
Arlie Russell Hochschild
Wydawnictwo Krytyki Politycznej
OBCY WE WŁASNYM KRAJU
Gniew i żal amerykańskiej prawicy

*Arlie Russell Hochschild*

# OBCY WE WŁASNYM KRAJU

Gniew i żal amerykańskiej prawicy

przełożyła Hanna Pustuła

WYDAWNICTWO KRYTYKI POLITYCZNEJ

Arlie Russell Hochschild, *Obcy we własnym kraju. Gniew i żal amerykańskiej prawicy*
Tytuł oryginału: *Strangers in Their Own Land. Anger and Mourning on the American Right*
Warszawa 2017



Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-65853-09-7

Wydawnictwo Krytyki Politycznej

Skład wersji elektronicznej:
virtualo
konwersja.virtualo.pl

# Spis treści

TEJ SAMEJ AUTORKI:

*So How's the Family? And Other Essays*

*The Outsourced Self: Intimate Life in Market Times*

*Global Woman: Nannies, Maids, and Sex Workers in the New Economy* (współredakcja)

*The Commercialization of Intimate Life: Notes from Home and Work (polski tytuł: Zarządzanie emocjami. Komercjalizacja ludzkich uczuć)*

*The Time Bind: When Work Becomes Home and Home Becomes Work*

*The Second Shift: Working Families and the Revolution at Home*

*The Unexpected Community: Portrait of an Old Age Subculture*

*Coleen the Question Girl*

*Dla Harolda i Annette Areno*

*oraz dla Williego, Wilmy, Marylee, Mike'a T., Clary i Generała*

# Wstęp

Gdy pięć lat temu rozpoczynałam ten projekt badawczy, zaczynała mnie niepokoić narastająca wrogość pomiędzy dwoma obozami, na które podzielił się nasz naród. Po lewej stronie sceny politycznej coraz powszechniejsze było odczucie, że Partia Republikańska i stacja Fox News chcą pozbawić rząd federalny znacznej części prerogatyw, ograniczyć pomoc dla najbiedniejszych, a także wzmocnić finansową i polityczną dominację i tak już niezwykle wpływowego jednego procenta najbogatszych. Zwolennicy prawicy uważali, że to właśnie rząd i elity w Waszyngtonie próbują zagarnąć całą władzę, wymyślając fikcyjne problemy, by mieć pretekst do zwiększania kontroli, i lekką ręką rozdając pieniądze wiernym wyborcom demokratów. Od tamtego momentu obie partie podzieliły się wewnętrznie, a na scenę przebojem wdarł się Donald Trump, gwałtownie podnosząc temperaturę życia politycznego. Sądziłam, że całkiem nieźle rozumiem procesy zachodzące po lewej stronie sceny, ale co właściwie działo się na prawicy?

Większość zadających sobie to pytanie szuka odpowiedzi w sferze polityki. Chociaż sama też mam przekonania, jako socjolożkę interesuje mnie przede wszystkim, jak sympatycy prawicy o d c z u w a j ą życie – inaczej mówiąc, ciekawią mnie emocje kryjące się za poglądami politycznymi. By je zrozumieć, musiałam wyobrazić sobie siebie na miejscu tych ludzi. W trakcie poznałam ich „głęboką historię”, narrację na poziomie uczuć.

O ile nigdy wcześniej nie zajmowałam się badaniem przekonań politycznych, o tyle metoda bliskiej obserwacji nie była dla mnie niczym nowym. W poprzedniej książce, *The Second Shift*, skupiłam się na zawsze aktualnym pytaniu, jak rodziny, w których oboje rodzice pracują, dzielą się opieką nad dziećmi i organizują czas na życie osobiste. Przesiadywałam na podłodze w kuchniach pracujących rodziców, aby zobaczyć, którego rodzica zawoła dziecko, które z partnerów odbierze telefon i kto komu jest za co wdzięczny. W poszukiwaniu przyjaznych rodzinie zakładów pracy kręciłam się po parkingach przed fabrykami i siedzibami korporacji w porze, gdy zmęczeni ludzie wychodzili z pracy i wracali do domów (*The Time Bind*). Analizowałam fantazje pracowników o wakacjach, na które pojechaliby, i o nauce gry na gitarze, którą by podjęli, „gdyby tylko mieli czas”. Przeprowadziłam wiele długich, wnikliwych wywiadów z filipińskimi nianiami (*Global Woman*); w małej wiosce w indyjskim stanie Gudźarat rozmawiałam z zawodowymi surogatkami, noszącymi w łonach biologiczne dzieci zachodnich klientów (*The Outsourced Self*). To wszystko przywiodło mnie do głębokiej wiary w sens płatnych urlopów rodzicielskich po porodzie i po adopcji, funkcjonujących we wszystkich zamożnych

krajach uprzemysłowionych z wyjątkiem Stanów Zjednoczonych. Zważywszy, że obecnie większość amerykańskich dzieci dorasta w rodzinach, gdzie wszyscy dorośli pracują, wprowadzenie płatnych urlopów rodzicielskich wydaje mi się znakomitym, humanitarnym i potrzebnym od dawna rozwiązaniem. Pomysł ten koliduje jednak z pewnym dość nowym zjawiskiem, a mianowicie gwałtowną niechęcią, jaką w zwolennikach prawicy budzi idea pomocy państwa dla pracujących rodziców. W istocie woleliby ograniczyć kompetencje władz federalnych niemal wyłącznie do sfery armii. Także inne ideały – skutecznej ochrony środowiska, przeciwdziałania globalnemu ociepleniu, likwidacji bezdomności – natrafiają na ten sam nieprzebyty mur. Zdałam sobie sprawę, że jeśli chcemy, by państwo zrobiło coś w tych sprawach, musimy zrozumieć ludzi, którzy postrzegają rząd bardziej jako źródło problemów niż rozwiązań. Dlatego postanowiłam wybrać się w podróż do matecznika amerykańskiej prawicy.

Już pod koniec lat 60. ja i mój mąż Adam, dostrzegając pęknięcie kulturowe w amerykańskim społeczeństwie, wprowadziliśmy się na miesiąc do apartamentu w ekskluzywnym osiedlu Kings Kauai Garden Apartments (gdzie mieszkańcy mogli odpoczywać na imitującym dżunglę patio przy wtórze odtwarzanych z taśmy odgłosów ptaków i dzikich zwierząt) w Santa Ana w Kalifornii. Chcieliśmy poznać członków John Birch Society, prekursora prawicowej Partii Herbacianej. Chodziliśmy na spotkania JBS i rozmawialiśmy z kim tylko się dało. Wielu naszych nowych znajomych dorastało w małych miasteczkach Midwestu i nie potrafiło się odnaleźć na anomicznych przedmieściach Kalifornii. Uczucia dezorientacji i niepokoju przekuli w przekonanie, że amerykańskiemu społeczeństwu zagraża przejęcie kontroli przez komunistów. Wystarczyło rozejrzeć się wokół, by zrozumieć, dlaczego czuli, że tracą kontrolę – w ciągu kilku poprzednich lat zniknęły całe gaje pomarańczowe, wycięte pod parkingi i centra handlowe w ramach dzikiej, nieplanowanej urbanizacji. My też czuliśmy, że coś przejmuje nad nami kontrolę, ale nie był to komunizm.

Niemal od zawsze identyfikuję się z obozem postępowym, ale w ostatnich latach zapragnęłam lepiej poznać zwolenników prawicy. Jaką drogą doszli do swoich przekonań? Czy moglibyśmy wypracować w niektórych kwestiach wspólne stanowisko? Te pytania zawiodły mnie na ponure przemysłowe obrzeża Lake Charles w stanie Luizjana, gdzie przez cały dzień jeździłam od fabryki do fabryki z Sharon Galicią, ciepłą, filigranową białą samotną matką, piękną blondynką sprzedającą ubezpieczenia medyczne. Ignorując ogłuszający jazgot pił tarczowych, rozmawiała z robotnikami, którzy słuchali jej z rękami założonymi na piersiach i odsuniętymi na czoło ochronnymi osłonami twarzy. Była urocza, wygadana i miała dar przekonywania. („A co, jeśli ulegniesz wypadkowi, nie będziesz miał z czego zapłacić rachunków i nie będziesz mógł czekać przez miesiąc na wypłatę odszkodowania? Nasza polisa uaktywnia się w ciągu dwudziestu czterech godzin”).

Gdy sięgali po długopis, by podpisać papiery, Sharon paplała o polowaniach na jelenie, właściwej proporcji mięsa aligatora w *boudin* – pikantnej kiełbasce, przysmaku mieszkańców Luizjany – albo ostatnim meczu Tigers z Uniwersytetu Stanowego Luizjany.

Podczas jazdy samochodem Sharon opowiadała mi po kawałku historię swojego życia. Dowiedziałam się, że jej ojciec, małomówny robotnik fabryczny, rozwiódł się z jej wiecznie zafrasowaną matką, ożenił ponownie i zamieszkał w przyczepie, pół godziny jazdy od domu byłej żony, nie informując o tym córki ani syna. Kiedy się pożegnałyśmy, zostałam z głową pełną pytań. Co się przydarzyło jej ojcu? Jak rozwód rodziców wpłynął na Sharon jako na małą dziewczynkę, a później żonę i matkę? Jak wyglądało życie młodych mężczyzn, z którymi rozmawiała w fabrykach? Dlaczego ta bystra, myśląca, zdeterminowana młoda kobieta – której bardzo pomógłby urlop macierzyński – była zagorzałym członkiem Partii Herbacianej, sprzeciwiającej się wprowadzeniu tego świadczenia?

Przy rozstaniu oczywiście podziękowałam Sharon za to, że pozwoliła mi sobie towarzyszyć, a później jeszcze nie raz dziękowałam jej w myślach za zaufanie, jakim mnie obdarzyła. Dopiero po pewnym czasie zrozumiałam, że zbliżenie między nami, które było możliwe dzięki jej otwartości, jest znacznie cenniejsze, niż pierwotnie sądziłam. Stworzyło rusztowanie dla mostu empatii. Po obu stronach podziału błędnie sądzimy, że empatia dla strony „przeciwnej” oznacza koniec trzeźwego rozumowania. W rzeczywistości dopiero po drugiej stronie mostu empatii możemy rozpocząć prawdziwie wartościową analizę.

W języku angielskim brakuje słów, którymi można opisać uczucie towarzyszące nam, gdy próbujemy zbliżyć się do osoby z innego świata i nasze zainteresowanie spotyka się z życzliwym przyjęciem. Rodzi się szczególnego rodzaju wzajemność. Cóż za wspaniały dar. Czujemy wdzięczność, podziw, uznanie; mogłabym użyć każdego z tych określeń i trudno mi między nimi wybrać. Myślę, że potrzebujemy jednak specjalnego słowa, któremu powinniśmy dać honorowe miejsce w naszym słowniku, by uzupełnić brakujący klawisz w kulturowym fortepianie anglojęzycznego świata. Polaryzacja społeczeństwa i coraz bardziej widoczny fakt, że się po prostu nawzajem nie znamy, sprawiają, że zbyt często poprzestajemy na niechęci i pogardzie.

Moje pierwsze doświadczenia z nawiązywaniem kontaktów z osobami z zupełnie innego świata sięgają czasów, gdy byłam córeczką dyplomaty. W dzieciństwie uważałam, że zaprzyjaźnianie się z mieszkańcami tych wszystkich krajów, do których zawiodła nas praca taty, jest moją misją. Rozmawianie z ludźmi, którzy mówili, ubierali się, chodzili, wyglądali i modlili się inaczej niż my, traktowałam jak powierzone mi zadanie. Czy mój ojciec rzeczywiście mnie o to prosił? Chyba nie. Dlaczego czułam, że muszę to robić? Nie wiedziałam. Zrozumiałam to dopiero po

jakimś czasie. Co ciekawe, to samo uczucie wdzięczności za dopuszczenie mnie do swojego świata towarzyszyło mi kilkadziesiąt lat później, gdy jeździłam od fabryki do fabryki z Sharon i gdy rozmawiałam z wieloma innymi osobami, które poznałam w trakcie zbierania materiałów do tej książki. Czułam się, jakbym znów przebywała w obcym kraju, tyle że tym razem był to mój własny.

# OBCY WE WŁASNYM KRAJU

# CZĘŚĆ PIERWSZA
# WIELKI PARADOKS

# 1
# Podróż do matecznika

Czerwona półciężarówka Mike’a sunie powoli gruntową drogą pomiędzy wysokimi rzędami trzciny cukrowej, porastającej równinę aluwialną po sam horyzont. Srebrzyste pióropusze liści na końcach łodyg kołyszą się buńczucznie w promieniach październikowego słońca. Znajdujemy się na terenie dawnej plantacji Armelise. Kilka mil na zachód płynie rzeka Missisipi. Jej potężne wody mijają Nowy Orlean, niosąc ogromne ilości namułów i odpadów z Midwestu aż do Zatoki Meksykańskiej.

– Ganialiśmy na bosaka po polach – wspomina Mike.

Wysoki biały sześćdziesięcioczterolatek o serdecznym sposobie bycia zdejmuje z nosa okulary przeciwsłoneczne i błądzi wzrokiem po morzu trzciny cukrowej. Samochód zwalnia, prawie staje.

– Moja babcia mieszkała… o tam. – Mike wysuwa rękę przez otwarte okno po stronie kierowcy. – A gdzieś tam… – tym razem pokazuje w prawo – był zakład stolarski mojego stryjecznego dziadka Taina.

Niedaleko mieszkał drugi stryjeczny dziadek, Henry, mechanik o przezwisku „Puk”. Niejaki „Piroga” miał kuźnię, gdzie Mike i jego kumpel polowali na kawałki metalu, które w ich dziecięcych oczach „błyszczały jak złoto”. Jego dziadek, Bill, był zarządcą na plantacji. Tam, z boku, mieszkała panna Ernestine, wspominał dalej Mike. Szczupła czarna kobieta z włosami przewiązanymi białą bandaną.

– Lubiła wrzucać do *gumbo*[1] mięso szopów i oposów. Przynosiliśmy jej, co nam się udało upolować. I ryby, miękławki. Do dziś słyszę, jak woła przez okno do męża, który nie może odpalić silnika: „Coś d o l e g a temu autu”.

Mike pokazuje, gdzie była kiedyś gruntowa droga do domu, w którym mieszkał w dzieciństwie.

– To był *shotgun house*[2] – mówi w zadumie. – Można się było przestrzelić na wylot. Ale dawał dach nad głową dziewięcioosobowej rodzinie.

Mieszkali w odnowionym baraku dla niewolników na plantacji Armelise. Ojciec Mike’a był hydraulikiem serwisującym instalacje wodno-kanalizacyjne we wszystkich okolicznych domach. To oczywiste, że za oknem półciężarówki Mike i ja widzimy zupełnie co innego. Mike – tętniący życiem ukochany świat, który odszedł w przeszłość. Ja z kolei przestwór zieleni.

Zjeżdżamy na pobocze, wysiadamy z szoferki i podchodzimy do najbliższego

rzędu trzciny cukrowej. Mike ścina łodygę, ostruguje ją i przełamuje na dwie włókniste pałki. Żujemy je, wysysając słodycz. Po powrocie do samochodu podejmuje przerwaną opowieść o małej osadzie Banderville, która ostatecznie przestała istnieć dopiero w latach 70. Jej mieszkańcy, w mniej więcej trzech czwartych czarni i w jednej czwartej biali, żyli ze sobą w ścisłej harmonii, która nie miała jednak nic wspólnego z równością. Dzieciństwo Mike’a to epoka cukru, bawełny i zaprzęganych w muły pługów, dorosłość – era ropy naftowej. Jako nastolatek podczas wakacji zarabiał na studia układaniem desek pod platformy wiertnicze na rojących się od komarów *bayous*. Już po studiach wyszkolił się na kosztorysanta budowlanego, specjalistę od obliczania ilości, parametrów wytrzymałościowych i ceny materiałów do konstrukcji wielkich platform wiertniczych na wodach Zatoki Meksykańskiej oraz gigantycznych białych cylindrycznych zbiorników do przechowywania olbrzymich ilości substancji chemicznych i ropy.

– Kiedy byłem dzieciakiem, wystawiało się kciuk i łapało podwózkę. Albo podwoziło się innych, jeśli się miało samochód. Jak ktoś był głodny, karmiło się go. Człowiek był częścią społeczności. Wiesz, kto to wszystko zniszczył? – Robi dramatyczną pauzę. – Wielki rząd w Waszyngtonie.

Wdrapujemy się z powrotem do samochodu, pijemy łyk wody (Mike zabrał dla nas dwie plastikowe butelki) i po chwili znów suniemy bez pośpiechu przez pola trzciny cukrowej. Rozmowa schodzi na politykę.

– Mieszkają tu głównie Kajuni, katolicy i konserwatyści – wyjaśnia. – Jestem za Partią Herbacianą – dodaje z entuzjazmem.

Pierwszy raz zobaczyłam Mike’a Schaffa kilka miesięcy wcześniej, na wiecu obrońców środowiska. Stał na schodach siedziby władz stanu, Louisiana State Capitol, w Baton Rouge i łamiącym się z emocji głosem przemawiał do mikrofonu. Był ofiarą jednej z najdziwniejszych katastrof ekologicznych w historii Ameryki, która dosłownie wstrząsnęła ziemią, pozbawiając go domu i społeczności: zapadlisko w Bayou Corne pochłonęło grupę trzydziestometrowych drzew i wywróciło na lewą stronę, że się tak wyrażę, szesnaście hektarów podmokłego lasu. Skłoniło mnie to do postawienia fundamentalnego pytania. Winę za katastrofę ponosiła firma wiertnicza podlegająca bardzo liberalnym przepisom. Jednak jako zwolennik Partii Herbacianej Mike domagał się ograniczenia kontroli rządu federalnego oraz drastycznego zmniejszenia wydatków państwa, także w dziedzinie ochrony środowiska. Jak to możliwe, że ze łzami w oczach wspominał utracony dom i jednocześnie propagował wizję świata, w którym rola rządu sprowadza się do zapewnienia państwu bezpieczeństwa militarnego i pomagania ofiarom huraganów? Byłam zdumiona. Czułam, że między nami jest mur.

## *Mury empatii*

Można by rzec, że do Luizjany przywiodło mnie zainteresowanie murami. Nie fizycznymi, widocznymi gołym okiem, jak te, które oddzielają katolików od protestantów w Belfaście, Amerykanów od Meksykanów na granicy Teksasu czy – w niedalekiej przeszłości – mieszkańców wschodniego i zachodniego Berlina. Interesowały mnie mury empatii. Mur empatii uniemożliwia głębokie zrozumienie drugiej osoby i może powodować, że odnosimy się z obojętnością czy nawet wrogością do ludzi wyznających inne poglądy lub wywodzących się z innego środowiska niż my. W okresach politycznych niepokojów chwytamy się łatwych pewników. Nowe informacje wpychamy w utarte koleiny myślenia. Wystarcza nam, że znamy naszych przeciwników z zewnątrz. Czy bez zmiany własnych przekonań można poznać ich od wewnątrz, spojrzeć na rzeczywistość ich oczyma, zrozumieć związki pomiędzy życiem, emocjami i polityką? Inaczej mówiąc, przeskoczyć mur empatii?[3] Sądziłam, że tak.

Poprosiłam Mike’a Schaffa, by pokazał mi, gdzie spędził dzieciństwo, ponieważ chciałam, na ile to możliwe, zrozumieć, jak postrzega świat. Gdy przedstawiłam mu się jako socjolożka z Uniwersytetu Kalifornijskiego w Berkeley, wyjaśniłam:

– Próbuję zrozumieć pogłębiający się podział naszego społeczeństwa. Dlatego staram się wychodzić ze swojej politycznej bańki i poznawać ludzi w pana bańce.

Mike kiwnął głową przy słowie „podział”, a potem błysnął dowcipem:

– Z Berkeley? Więc jesteś k o m u n i s t k ą!

Uśmiechnął się szeroko, jakby chciał powiedzieć „My, Kajuni, umiemy się śmiać. Mam nadzieję, że ty też to potrafisz”.

W jego towarzystwie nie było to wcale trudne. Był wysokim, krzepkim mężczyzną, nosił okulary w jasnobrązowych oprawkach, mówił zwięźle i cicho, niemal mamrocząc, i miał skłonność zarówno do sentymentalnych, niekiedy autoironicznych refleksji, jak i kategorycznych, facebookowych sądów.

– Moja mama była Kajunką, a ojciec Niemcem – poinformował mnie, opowiadając o swoim dzieciństwie. – My, Kajuni, mówimy o sobie *coon asses*[4]. Jestem pół-Kajunem i pół-Niemcem, więc mama nazywała mnie półdupkiem (*half-ass*). – Roześmieliśmy się. Mike był jednym z siedmiorga dzieci, które ojciec utrzymywał z zarobków hydraulika. – Nie wiedzieliśmy, że jesteśmy biedni – wyznał.

Ten refren będzie się stale powtarzał w opowieściach moich nowych znajomych z prawicy o własnym dzieciństwie albo o dzieciństwie ich rodziców. Mike miał oko inżyniera, zamiłowanie do łowienia ryb i polowań i ucho przyrodnika, bezbłędnie wyławiające nawoływania rzekotki. Nie znałam żadnego członka Partii Herbacianej,

w każdym razie nie na tyle, by móc swobodnie zagadać, a on miał kontakt z niewieloma osobami takimi jak ja.

– Jestem za ochroną życia, prawem do posiadania broni i za wolnością. Wolno nam żyć tak, jak nam się podoba, pod warunkiem że nie krzywdzimy innych. Jestem przeciwko tyranii federalnej biurokracji – oświadczył Mike. – Jest zbyt rozdęta, zbyt chciwa, zbyt nieudolna, zbyt przekupna i już nas nie reprezentuje. Musimy odbudować lokalne społeczności, jak ta, którą mieliśmy kiedyś w Armelise. Słowo daję, lepiej byśmy na tym wyszli.

Dwie główne partie polityczne naszego kraju coraz bardziej oddalają się od siebie w tego rodzaju kwestiach, a poza tym polityka budzi dziś znacznie silniejsze emocje niż dawniej. Gdy w 1960 roku zapytano dorosłych Amerykanów, czy „przeszkadzałoby” im, gdyby ich dziecko zawarło związek małżeński z członkiem przeciwnej partii, tylko pięć procent respondentów odpowiedziało „tak”. W 2010 roku na to samo pytanie odpowiedzi „tak” udzieliło trzydzieści trzy procent zwolenników demokratów i czterdzieści procent zwolenników republikanów[5]. P a r t y i z m, jak niektórzy nazywają to zjawisko, zajmuje dziś pierwsze miejsce wśród dzielących społeczeństwo uprzedzeń[6].

W przeszłości Amerykanie zmieniali miejsce zamieszkania w poszukiwaniu lepszej pracy, tańszych mieszkań albo łagodniejszego klimatu. Dziś jednak, jak piszą Bill Bishop i Robert G. Cushing w *The Big Sort: Why the Clustering of Like-Minded America Is Tearing Us Apart*[7], częściej przeprowadzają się po to, by mieszkać w pobliżu osób o zbliżonych poglądach. Osiedlają się w enklawach, które różnią się zabarwieniem emocjonalnym – w jednym miejscu dominuje gniew, w innym optymizm i zaufanie. Grupa libertarian z Teksasu nabyła grunty na pustkowiu na wschód od El Paso i założyła tam osiedle o nazwie Paulville, zarezerwowane dla „miłujących wolność” żarliwych zwolenników Rona Paula. Zamykanie się w gronie podobnie myślących prowadzi do radykalizacji poglądów. Według badań przeprowadzonych w 2014 roku przez Pew Research Center na próbce ponad dziesięciu tysięcy Amerykanów najbardziej zaangażowani w politykę przedstawiciele obu stron nie tylko uważają, że zwolennicy „drugiej partii” nie mają racji, lecz wręcz są przekonani, że „ich błędne myślenie stanowi zagrożenie dla dobra państwa”[8]. W porównaniu z przeszłością obie strony coraz częściej czerpią wiadomości wyłącznie z własnych kanałów telewizyjnych – prawica z Fox News, lewica z MSNBC. I przepaść się pogłębia.

Jak ujął to „New Yorker”, żyjemy „w epoce Partii Herbacianej”. Ugrupowanie to liczy około 350 tysięcy czynnych członków, ale według innego sondażu Pew Research Center cieszy się poparciem mniej więcej dwudziestu procent – czterdziestu pięciu milionów – Amerykanów[9]. Wachlarz dzielących społeczeństwo zagadnień jest zdumiewająco szeroki. Jak ujawniło badanie, dziewięćdziesiąt procent demokratów

wierzy, że do zmian klimatycznych przyczyniła się działalność człowieka. Podobnie sądzi pięćdziesiąt dziewięć procent umiarkowanych republikanów, trzydzieści osiem procent konserwatywnych republikanów i tylko dwadzieścia dziewięć procent zwolenników Partii Herbacianej. W istocie sympatie polityczne są najważniejszym czynnikiem określającym stanowisko wobec zmian klimatycznych[10].

Obie strony sceny politycznej oddaliły się od siebie, ale to prawica jeszcze bardziej przesunęła się na prawo, a nie lewica na lewo. Republikańscy prezydenci Eisenhower, Nixon i Ford byli zwolennikami wprowadzenia do Konstytucji poprawki gwarantującej równe prawa mężczyznom i kobietom. W 1960 roku Grand Old Party (Partia Republikańska) uwzględniała w swoim programie prawo pracowników do negocjacji zbiorowych z pracodawcą. Republikanie chwalili się, że dzięki nim „płaca minimalna objęła kolejne kilka milionów pracowników" oraz że „wzmocnili system ubezpieczeń od bezrobocia[11] i rozszerzyli jego świadczenia". Za prezydentury Dwighta Eisenhowera najwięcej zarabiający płacili dziewięćdziesiąt jeden procent podatku[12]; w 2015 już tylko czterdzieści procent. W kampanii wyborczej w 2016 roku prawie wszyscy republikańscy kandydaci na prezydenta ostro atakowali organizację Planned Parenthood, działającą na rzecz kontroli urodzeń, założoną w 1968 roku przez Peggy Goldwater, żonę republikańskiego kandydata Barry'ego Goldwatera. Generał Eisenhower był zwolennikiem ogromnych inwestycji w infrastrukturę, jednak obecnie prawie wszyscy republikańscy kongresmeni uważają, że takie działania stanowiłyby niebezpieczne przekroczenie kompetencji rządu federalnego. Ronald Reagan zwiększył dług narodowy i opowiadał się za ograniczeniem prawa do posiadania broni. Teraz prawo stanu Teksas pozwala na tak zwane *open carry*, wnoszenie widocznej załadowanej broni do kościołów i banków. Wczorajsi konserwatyści dziś uchodziliby za umiarkowanych albo wręcz liberałów.

Skrajna prawica domaga się zlikwidowania całych segmentów rządu federalnego, takich jak Departamenty Edukacji, Energii, Handlu i Zasobów Wewnętrznych. W styczniu 2015 roku pięćdziesięciu ośmiu republikańskich członków Izby Reprezentantów zagłosowało za zniesieniem Federalnego Urzędu Podatkowego (Internal Revenue Service, IRS)[13]. Niektórzy republikańscy kandydaci na kongresmenów domagają się zamknięcia wszystkich szkół publicznych[14]. W marcu 2015 roku zdominowany przez republikanów Senat Stanów Zjednoczonych zagłosował 51 przeciwko 49 za przyjęciem poprawki do ustawy budżetowej umożliwiającej sprzedaż lub bezpłatne przekazanie wszystkich terenów państwowych nieużytkowanych przez wojsko (z wyjątkiem monumentów i parków narodowych), a więc także lasów, rezerwatów zwierząt i dzikiej przyrody[15]. W 1970 roku Senat przyjął ustawę Clean Air Act [ustalającą standardy czystości powietrza] bez jednego głosu sprzeciwu. Senator David Vitter z Luizjany, jednego z najbardziej zanieczyszczonych stanów Ameryki, wraz z grupą dziewięćdziesięciu pięciu

kongresmenów z Partii Republikańskiej wezwał do zlikwidowania Agencji Ochrony Środowiska (Environmental Protection Agency, EPA)[16].

Zwrócenie się Partii Herbacianej przeciwko rządowi federalnemu może być przejawem szerszej tendencji. Podczas Wielkiej Depresji w latach 30. XX wieku Amerykanie zwracali się do rządu federalnego o wsparcie, oczekując, że pomoże im stanąć na nogi. Jednak po Wielkiej Recesji 2008 roku większość Amerykanów odwróciła się od Waszyngtonu[17]. Podział w społeczeństwie się pogłębia, poglądy radykalizują, gra toczy o coraz wyższą stawkę. Ani zwykli obywatele, ani przywódcy polityczni nie starają się „porozumieć ponad podziałami". Podkopuje to zaskakująco wrażliwy proces rządzenia państwem. Oczywiście Stany Zjednoczone już wcześniej bywały podzielone. W czasie wojny secesyjnej różnice poglądów doprowadziły do śmierci 750 tysięcy obywateli. W burzliwych latach 60. również dochodziło do ostrych spięć na tle wojny w Wietnamie, praw człowieka i praw kobiet. Ale przecież warunkiem zdrowej demokracji jest zdolność zbiorowości do rozstrzygania tego rodzaju sporów. By go spełnić, musimy najpierw zrozumieć, co się dzieje, zwłaszcza na gwałtownie przeobrażającej się i rosnącej w siłę prawicy.

### *Wielki Paradoks*

Zainspirowana książką Thomasa Franka *Co z tym Kansas?* udałam się w pięcioletnią podróż do matecznika amerykańskiej prawicy, wioząc ze sobą jak plecak Wielki Paradoks. W 2004 roku, kiedy ukazała się praca Franka, z rozłamem pomiędzy prawicą a lewicą wiązał się pewien paradoks. Od tamtej pory rozłam przerodził się w przepaść.

Czerwone stany[18] są biedniejsze, mają większą liczbę nastoletnich matek, więcej rozwodów, gorsze wskaźniki zdrowia, większy odsetek osób otyłych, więcej zgonów wskutek urazów, więcej dzieci z niską wagą urodzeniową i niższy procent dzieci objętych edukacją szkolną. W czerwonych stanach ludzie żyją średnio pięć lat krócej niż w niebieskich. Różnica między oczekiwaną długością życia w Luizjanie (75,7) i Connecticut (80,8) jest taka sama jak między Stanami Zjednoczonymi i Nikaraguą[19]. Czerwone stany bardziej cierpią też wskutek innego niezmiernie groźnego, choć gorzej rozpoznanego zjawiska, które ma bezpośredni wpływ na życie i zdrowie mieszkańców: zanieczyszczania środowiska przez wielkie zakłady przemysłowe.

Skrajnym przykładem paradoksu jest Luizjana. *The Measure of America*, raport Rady Badań Społecznych (Social Science Research Council, SSRC), ocenia poszczególne stany pod względem stopnia „rozwoju społecznego" (*human development*). O miejscu w rankingu decydują oczekiwana długość życia, odsetek dzieci objętych edukacją szkolną, wyniki w nauce i mediana zarobków. Ogólnie

Luizjana znalazła się na czterdziestym dziewiątym miejscu wśród pięćdziesięciu stanów USA, a pod względem zdrowotności – na ostatnim[20]. Według Nation's Report Card, oceniającej na bieżąco wyniki w nauce amerykańskich uczniów, w 2015 roku stan ten zajmował czterdzieste ósme miejsce w kraju pod względem umiejętności czytania i ostatnie, pięćdziesiąte, pod względem umiejętności matematycznych uczniów klas ósmych. W Luizjanie tylko ośmiu na dziesięciu uczniów kończy szkołę średnią, a zaledwie siedem procent zdobywa dyplom ukończenia uczelni albo wyższe kwalifikacje zawodowe. *KIDS COUNT Data Book*, opracowana przez fundację Annie E. Casey, umieszcza Luizjanę na przedostatnim miejscu pod względem sytuacji dzieci. Problem nie ma wyłącznie charakteru rasowego; czarnoskóry mieszkaniec Maryland żyje średnio cztery lata dłużej, zarabia dwa razy więcej i ma dwukrotnie większą szansę na ukończenie studiów wyższych niż w Luizjanie. Również wskaźniki poziomu życia białych mieszkańców Luizjany są niższe niż w Maryland i we wszystkich pozostałych stanach, z wyjątkiem Missisipi[21]. Ponadto Luizjana ma niekorzystne warunki naturalne – niemal sześćset kilometrów niskiej, płaskiej linii brzegowej – i co godzina traci obszar gruntu wielkości boiska do piłki nożnej. Poważne zagrożenia stanowią podnoszący się poziom morza i gwałtowne huragany, które czołowi naukowcy z całego świata wiążą z zachodzącymi zmianami klimatycznymi.

Należałoby sądzić, że mieszkańcy stanu, który boryka się z taką liczbą poważnych problemów, będą patrzyli przychylnym okiem na pomoc rządu federalnego. W istocie znaczna część budżetów czerwonych stanów – czterdzieści cztery procent w przypadku Luizjany – pochodzi ze środków federalnych. Rząd w Waszyngtonie dokłada dwa tysiące czterysta dolarów na głowę mieszkańca Luizjany rocznie[22].

Jednak Mike Schaff nie cieszy się z federalnych pieniędzy i nie wierzy w to, co naukowcy mówią o zmianie klimatu.

– Będę się martwił globalnym ociepleniem za pięćdziesiąt lat – mówi.

Mike kocha swój stan i uwielbia życie na łonie natury. Nie oczekuje pomocy od rządu, lecz jak inni zwolennicy Partii Herbacianej wierzy w zbawczą moc wolnego rynku. Jego matka głosowała na luizjańskiego demokratę Eda Edwardsa, bo był Kajunem, i na Jacka Kennedy'ego, bo był katolikiem. Kiedy Mike był dzieckiem, słowo „demokrata” nie uchodziło jeszcze za obelgę. Ale teraz już tak. Mike wiele lat przepracował w małych firmach i jest orędownikiem swobody rynkowej dla przedsiębiorstw każdej wielkości, co prowadzi nas do kolejnego paradoksu. Entuzjaści Partii Herbacianej często są pracownikami lub właścicielami małych firm. Ale popierani przez nich politycy opowiadają się za zmianami prawnymi umożliwiającymi konsolidację wielkich przedsiębiorstw, które tylko czekają na to, by połknąć mniejszych konkurentów. Drobni farmerzy głosujący na Monsanto?

Właściciele sklepików na rogu głosujący na Walmart? Lokalni księgarze głosujący na Amazona? Gdybym prowadziła małą firmę, popierałabym oczywiście obniżenie podatku od spółek, ale czy chciałabym wzmocnienia monopolów, które wypchną mnie z rynku? Nie byłam w stanie tego pojąć.

Za tymi wszystkimi zagadkami kryła się jedna, większa: jak to możliwe, że system, który generuje cierpienie, nie jest obarczany winą za to cierpienie? W 2008 roku wiele osób straciło oszczędności, domy, pracę i nadzieję wskutek niefrasobliwej, niedostatecznie uregulowanej przepisami działalności inwestorów z Wall Street. Mimo to kilka lat później coraz liczniejsi prawicowi wyborcy z małych miasteczek w imię „wolnego rynku" bronią Wall Street przed „nadmierną kontrolą" ze strony rządu. O co tu może chodzić?

Pomyślałam sobie, że aby znaleźć odpowiedź na to pytanie, warto może pójść pod prąd obowiązującego trendu, opuścić własną enklawę, wyjechać z niebieskiej dzielnicy i niebieskiego stanu, udać się do czerwonego i spróbować przeskoczyć mur empatii[23]. Moi sąsiedzi i przyjaciele po tej stronie muru są podobni do mnie. Mają co najmniej licencjat z nauk humanistycznych i czytują „New York Timesa". Jedzą żywność organiczną, segregują śmieci i starają się jak najczęściej korzystać z komunikacji publicznej. Większość z nich dorastała na Wschodnim albo Zachodnim Wybrzeżu. Niektórzy chodzą do kościoła, ale zwykle od religii wolą „duchowość". Pracują w sektorze publicznym lub organizacjach non-profit i są nie mniej ode mnie zdumieni tym, co się dzieje. Kiedy zaczynałam ten projekt, wśród moich przyjaciół nie było żadnego mieszkańca Południa, tylko jedna osoba pracowała w przemyśle naftowym i nikt nie głosował na Partię Herbacianą.

W artykule *Who Turned My Blue State Red?*, który ukazał się na łamach „New York Timesa", Alec MacGillis zaproponował intrygujące wyjaśnienie Wielkiego Paradoksu[24]. Według niego beneficjenci programu Medicaid i bonów żywnościowych w czerwonych stanach są zadowoleni z otrzymywanych świadczeń, ale nie głosują w wyborach, natomiast stojący nieco wyżej od nich na drabinie społecznej biali konserwatyści nie pobierają świadczeń i głosują przeciwko pomocy publicznej dla ubogich.

Teoria „dwóch szczebli wyżej" nieco rozjaśnia sprawę, ale nie daje pełnej odpowiedzi. Po pierwsze, jak wkrótce miałam odkryć, zamożniejsi wyborcy, którzy opowiadają się przeciwko świadczeniom publicznym, także z nich korzystają. Praktycznie każdy zwolennik Partii Herbacianej, z którym rozmawiałam, zbierając materiały do tej książki, albo sam był beneficjentem jakiegoś programu rządowego, albo miał taką osobę w najbliższej rodzinie. Kilku moich rozmówców zgłosiło starych rodziców jako osoby ubogie, kwalifikujące się do programu Medicaid, żeby zapewnić im długoterminową opiekę, której nie obejmowało prywatne ubezpieczenie. Pewien kochający mąż ciężko chorej żony, której leczenie by go zrujnowało, rozwiódł się

z nią, umożliwiając jej skorzystanie z bezpłatnej opieki medycznej. Zdrowy jak byk brat zadeklarowanej przeciwniczki pomocy społecznej dla ubogich (oboje są członkami Partii Herbacianej) korzystał z programu dożywiania Supplemental Nutrition Assistance Program (SNAP). Brat innej mojej rozmówczyni w sezonie łowieckim przechodził na zasiłek dla bezrobotnych. Większość z nich mówiła: „Skoro jest taka możliwość, dlaczego nie mielibyśmy z niej skorzystać?”. Jednak wielu wstydziło się tego i poprosiło mnie o niełączenie tych wypowiedzi z ich osobami. Ale wstyd nie przeszkadzał przeciwnikom pomocowych programów publicznych z nich korzystać.

MacGillis sugeruje, że wyborcy kierują się własnym interesem. Ale czy na pewno? Teoria „dwóch szczebli wyżej” nie wyjaśnia, dlaczego sami nie będąc miliarderami, sprzeciwiają się podniesieniu podatków dla miliarderów, chociaż za te pieniądze można by kupić książki do lokalnej biblioteki albo postawić nową huśtawkę na miejskim placu zabaw. Uznałam, że najlepszym testem dla teorii MacGillisa będzie wyselekcjonowanie konkretnego problemu, z którym r z e c z y w i ś c i e borykają się zamożni mieszkańcy czerwonych stanów, i pokazanie, że również w tej sprawie nie życzą sobie pomocy rządu federalnego. Innymi słowy, stojący o „dwa szczeble wyżej” wyborca może sobie mówić: „Zlikwidujmy pomoc dla ubogich, bo ja nie jestem ubogi” albo: „Nie zawracajmy sobie głowy podnoszeniem poziomu szkół publicznych. Moje dzieci chodzą do prywatnej” – chociaż od żadnego z moich rozmówców nie usłyszałam podobnego stwierdzenia. Ale oni też borykają się z realnymi problemami, w których rozwiązanie mógłby, z korzyścią dla wszystkich, włączyć się rząd w Waszyngtonie. W tej książce zawęzimy pole widzenia do jednego z nich, a mianowicie do zanieczyszczenia środowiska. Pomyślałam, że jeśli zbadam ten wycinek rzeczywistości z bliska, może uda mi się odkryć także szerszą perspektywę określającą stosunek mieszkańców czerwonych stanów do tej i do wielu innych spraw.

Przede wszystkim postanowiłam udać się do geograficznego serca prawicy, na Południe. Do wzmocnienia skrajnej prawicy, które obserwujemy w ostatnich latach, doszło przede wszystkim poniżej linii Masona-Dixona, w dawnych stanach Konfederatów, gdzie mieszka dwie trzecie ludności naszego kraju. W ciągu ostatniego dwudziestolecia populacja tych obszarów zwiększyła się o czternaście procent. Od 1952 do 2000 roku w grupie białych mieszkańców Południa z wykształceniem średnim liczba wyborców republikanów wzrosła o dwadzieścia siedem procent, a wśród absolwentów wyższych uczelni jeszcze bardziej[25]. W całym kraju sympatie polityczne przesunęły się na prawo: pomiędzy 1972 a 2014 rokiem elektorat demokratów skurczył się z czterdziestu jeden do dwudziestu czterech procent, a republikanów zwiększył z dwudziestu czterech do dwudziestu siedmiu procent. (Jednocześnie zwiększył się również odsetek białych wyborców

niezarejestrowanych jako zwolennicy określonej partii, w większości z odchyłem na prawo). Żeby więc zrozumieć prawicę, musiałam poznać białe Południe[26].

Dobrze, Południe, ale gdzie konkretnie? W wyborach prezydenckich w 2012 roku w skali całego kraju na Baracka Obamę zagłosowało trzydzieści dziewięć procent białych wyborców. Na Południu – dwadzieścia dziewięć procent. A w Luizjanie tylko czternaście procent – jeszcze mniej niż w innych południowych stanach[27]. Według jednego z sondaży przeprowadzonych w 2011 roku połowa mieszkańców Luizjany popierała Partię Herbacianą[28]. Tylko Karolina Południowa ma większą od Luizjany liczbę przedstawicieli w klubie Partii Herbacianej w Izbie Reprezentantów Kongresu USA[29].

Szczęśliwym zrządzeniem losu miałam w Luizjanie swój kontakt – Sally Cappel, teściową mojej byłej magistrantki. To ona wprowadziła mnie w świat białego Południa i, poprzez swoją przyjaciółkę, tamtejszej prawicy. Sally, artystka z Lake Charles i lewicująca demokratka, w prawyborach w 2016 roku popierała Bernie Sandersa. Jej ukochana przyjaciółka, Shirley Slack z Opelousas, stewardesa, która zjeździła pół świata, była zagorzałą zwolenniczką Partii Herbacianej i Donalda Trumpa. Obie należały do korporacji studentek (chociaż dwóch różnych) na Uniwersytecie Stanowym Luizjany. Wyszły za mąż, urodziły po troje dzieci, mieszkały blisko siebie w Lake Charles i miały klucze do swoich domów. Każda z nich kochała dzieci przyjaciółki. Shirley znała rodziców Sally i nawet wspierała psychicznie jej matkę, której małżeństwo przechodziło trudny okres. Wręczały sobie prezenty na urodziny i Boże Narodzenie, wspólnie szukały w lokalnych gazetach wiadomości o zbliżających się wydarzeniach kulturalnych i później razem w nich uczestniczyły. Kiedyś Shirley zaprosiła mnie, żebym została u niej na noc. Na ścianie pokoju gościnnego w jej domu w Opelousas wisiała akwarela, którą Sally namalowała dla jedenastoletniej wówczas córki mojej gospodyni, marzącej, by zostać baletnicą. Obraz przedstawiał baletnicę stojącą na czubku palców na pulchnym obłoczku, z uniesioną drugą nogą, w otoczeniu przypominających gwiazdy żółtych motyli. Był to czuły portret dziecięcych marzeń, które się zresztą spełniły. Obie kobiety śledziły wydarzenia w kraju – Sally oglądając program Rachel Maddow na MSNBC, Shirley słuchając komentarzy Charlesa Krauthammera w Fox News – i obie omawiały je potem z podzielającymi ich poglądy mężami. Dwa albo trzy razy w tygodniu rozmawiały przez telefon. Także ich dorosłe dzieci utrzymywały ze sobą kontakty, mimo podobnych różnic przekonań. Ta książka nie zajmuje się osobistymi losami Sally i Shirley, ale gdyby nie one, nie mogłaby powstać. Przyjaźń tych dwóch kobiet stanowi wzór umiejętności łączenia się ponad podziałami, której tak bardzo potrzebuje nasz kraj.

Zaczęłam od przeczytania, co na temat wzrostu znaczenia prawicy mieli do powiedzenia inni badacze. Jeden ze skrajnych poglądów głosił, że aby chronić swoje

pieniądze, najbogatsi wynajęli „animatorów społecznych” („*movement entrepreneurs*”) do „kładzenia sztucznej trawy”, czyli kreowania pseudooddolnego poparcia („*astro-turf grassroots following*”) dla ich interesów[30]. W filmie *The Billionaires’ Tea Party* (Partia Herbaciana miliarderów) australijski dokumentalista Taki Oldham ujawnia, że lokalne „grupy obywatelskie” kwestionujące zmiany klimatyczne biorą pieniądze od przedsiębiorstw naftowych, a rozgrywanie skierowanego przeciwko władzom federalnym gniewu stanowi stały element korporacyjnej strategii[31]. Inni analitycy także uważają, że za powstaniem tych ruchów stoją najbogatsi, nie posuwają się jednak do twierdzenia, że oddolne poparcie jest nieautentyczne. Jane Mayer[32], publicystka „New Yorkera”, opisała działalność baronów naftowych, braci Charlesa i Davida Kochów, którzy tylko w wyborach 2016 roku wspomogli kampanie prawicowych kandydatów sumą 889 milionów dolarów[33]. „Do spowodowania zmiany społecznej – powiada Charles Koch – potrzebna jest strategia” oparta na „zintegrowanym pionowo i poziomo” planowaniu, „począwszy od sformułowania idei, przez wypracowanie spójnej polityki, finansowanie edukacji i organizacji obywatelskich, aż po lobbing, drogę prawną i działania polityczne”[34]. To coś w rodzaju potężnego wielobranżowego przedsiębiorstwa, które jest właścicielem lasu, wytwórni papieru, wydawnictwa i płaci autorom za pisanie tendencyjnych książek. Takie polityczne „przedsiębiorstwa” są w stanie wywierać niebywały wpływ. I wywierają, zwłaszcza od czasu decyzji Sądu Najwyższego z 2010 roku w sprawie Citizens United przeciwko Federalnej Komisji Wyborczej, która otworzyła drogę nieograniczonym anonimowym darowiznom prywatnych przedsiębiorców dla partii politycznych. W pierwszej fazie wyborów prezydenckich w 2016 roku niemal połowa ze 176 milionów dolarów wpłaconych na rzecz kandydatów pochodziła z kieszeni raptem 158 majętnych rodzin – 138 milionów dolarów trafiło do kasy republikanów, dwadzieścia milionów do kasy demokratów[35]. Za pośrednictwem finansowanej przez siebie organizacji Americans for Prosperity Kochowie lobbują w Kongresie za ograniczeniem uprawnień Agencji Ochrony Środowiska (Environmental Protection Agency, EPA).

Plantację Armelise, gdzie Mike się urodził, oraz Bayou Corne, gdzie mieszkał i miał nadzieję dożyć swych dni, dzieliło kilka kilometrów od odcinka Missisipi, nad którym rozsiadły się zakłady petrochemiczne, nie bez powodu nazywanego Aleją Rakotwórczą (Cancer Alley). Czy zainteresowanie się tą sprawą leżało w interesie Mike’a Schaffa? Uważał, że tak. Za uczestniczenie w zebraniach lokalnej komórki Partii Herbacianej nikt nie płacił – ani jemu, ani jego sąsiadom, z których wielu podzielało jego poglądy.

W *Co z tym Kansas?* Frank twierdzi, że ludzie tacy jak Mike błędnie rozpoznają swoje interesy. Do „probiznesowej polityki gospodarczej” bogatych dołączono w charakterze „przynęty” kwestie społeczne. Przyciągnięci atrakcyjnymi hasłami

w rodzaju zakazu aborcji, prawa do posiadania broni czy modlitwy w szkole, Mike i jego przyjaciele zgodzili się poprzeć niekorzystne dla nich rozwiązania ekonomiczne. Jak pisze Frank: „*Głosujesz*, by zatrzymać aborcję; *dostajesz* obniżenie podatków dla najwyżej zarabiających. […] *Głosujesz* za tym, by zrzucić rząd z naszych barków; *dostajesz* konglomeraty i monopol na wszystko, od mediów po pakowanie mięsa. […] Głosujesz, by zadać cios elitom; otrzymujesz porządek społeczny, w którym bogactwa są skoncentrowane bardziej, niż kiedykolwiek za naszego życia…”[36]. Jego ukochane Kansas, stwierdza Frank, zostało wystrychnięte na dudka.

Jak to działa? Czy możemy być bystrzy, dociekliwi, dobrze poinformowani i mimo to błędnie rozpoznawać swoje interesy? Mike był niezwykle inteligentny, czerpał informacje z różnych nowych źródeł – chociaż przede wszystkim z Fox News – i prowadził nieustające dyskusje o polityce z rodziną, sąsiadami i przyjaciółmi. Podobnie jak ja, mieszkał w enklawie ludzi o podobnych poglądach. Nie uważał, że ideologiczna machina braci Koch robi go w konia. Przeciwnie, był zdania, że to ja pozwoliłam się ogłupić machinie sponsorowanej przez Sorosa. To prawda, że pieniądze dają realne możliwości wpływania na to, jak ludzie myślą, ale wyjaśnienie, że ktokolwiek z nas wierzy w to, co robi, bo jest naiwny i dał się omamić, jest zbyt proste.

Enklawy, w których żyjemy, często odzwierciedlają specyficzne kultury rządzenia, a więc polityka jest uwarunkowana geografią. Taką tezę przedstawił Colin Woodard w *American Nations*. Zauważył, że rolnicze obszary Midwestu, Południe i Alaska przechylają się na prawo, a duże miasta, Nowa Anglia i oba wybrzeża – na lewo. W zorientowanej na Europę Nowej Anglii, gdzie przetrwała silna tradycja lokalnych samorządów, dość powszechna jest wiara w mądry rząd działający dla „dobra ogółu”. Mieszkańcy Appalachów i Teksasu miłują wolność i są zwolennikami zminimalizowania uprawnień władzy. Biali mieszkańcy Południa, wywodzący się ze społeczności kastowych, szanują własne lokalne urzędy, ale wrogo odnoszą się do rządu federalnego, narzuconego im przez Północ, która pokonała ich sto pięćdziesiąt lat wcześniej w wojnie secesyjnej[37]. Jak zauważyła historyczka Robin Einhorn, sprzeciw wobec podatków federalnych również ma swoje korzenie na Południu[38]. Odmienne tradycje regionalne rzeczywiście istnieją, ale nie są aż tak trwałe i niezmienne, jak to sugeruje Woodard. Choć skrajna prawica faktycznie najsilniejsza jest na Południu, w całym kraju jej zwolennicy należą głównie do tej samej grupy demograficznej: białych, średnio lub mało zarabiających, starszych, żyjących w związkach małżeńskich chrześcijan[39].

Inni autorzy zwracają uwagę na wartości moralne wyznawane przez zwolenników prawicy. W książce *Prawy umysł* Jonathan Haidt, inaczej niż Frank, twierdzi na przykład, że ludzie nie zostali wprowadzeni w błąd, lecz głosują zgodnie

z własnym interesem, rozumianym w kategoriach wartości kulturowych. Zauważa on, że choć obie strony sceny politycznej cenią troskę o innych i sprawiedliwość, inaczej rozkładają priorytety. Dla przykładu: prawica przywiązuje większą wagę do posłuszeństwa wobec władzy, lewica zaś do autentyczności. Z pewnością jest to prawda. Jednak dany zestaw wartości można wyznawać spokojnie lub w stanie furii, która może powołać do życia zupełnie nową partię polityczną. Co o tym decyduje? Theda Skocpol i Vanessa Williamson słusznie zauważają, że musi zaistnieć wyjątkowe połączenie czynników sprzyjających i czynników wyzwalających. Do tych ostatnich należały Wielka Recesja 2008 roku, wysiłki rządu zmierzające do jej powstrzymania, prezydentura Baracka Obamy i powstanie stacji Fox News[40].

Te lektury bardzo mi pomogły, ale we wszystkich zabrakło mi jednej rzeczy – pełnego zrozumienia emocji leżących u podstaw przekonań politycznych[41]. Interesowało mnie, co ludzie *chcą czuć*, jakie uczucia uważają za *właściwe i niewłaściwe* oraz co *czują* w związku z całym szeregiem spraw. Kiedy słuchamy, jak przemawia przywódca polityczny, nie słyszymy po prostu słów; słuchamy, z góry nastawieni na odczuwanie określonych emocji. Pewne szeroko rozumiane ideały emocjonalne są wspólne dla całego politycznego spektrum, ale inne nie. Jedni kultywują etos Statuy Wolności witającej „strudzone, wynędzniałe ludzkie masy”, inni wybierają wzorzec praworządnego obywatela osiągającego dobrobyt ciężką pracą.

Obowiązują określone „zasady odczuwania”, różne dla prawej i lewej strony sceny politycznej. Zwolennicy prawicy pragną uwolnić się od liberalnych wyobrażeń o tym, co należy czuć – cieszyć się na widok pary świeżo zaślubionych gejów, smucić losem syryjskiego uchodźcy, nie oburzać na podatki. Lewica zaś wszędzie dostrzega uprzedzenia. Forsowane przez nią „zasady odczuwania” kwestionują podstawowe emocje leżące u podłoża prawicowych przekonań. Właśnie do tych fundamentalnych emocji odwołuje się nonszalancki do bólu biznesmen i miliarder Donald Trump, mówiąc do zgromadzonego przed nim tłumu zwolenników: „Widzę w was wielki *entuzjazm*”.

Doszłam do wniosku, że możemy się zbliżyć do tych podstawowych emocji poprzez to, co nazywam „głęboką historią”[42], to znaczy opowieścią „*czuję się, jakbym*”. Głęboka historia, jak zaczarowane lustro Alicji, skieruje moją uwagę na tlący się od dawna konflikt społeczny, przeoczony zarówno przez lewicowców spod znaku Occupy Wall Street – którzy w przepaści pomiędzy jednym procentem najbogatszych a resztą społeczeństwa widzą konflikt klasowy – jak i przez antyrządową prawicę, uważającą nierówności klasowe i rasowe za kwestię osobistego charakteru. Głęboka historia zaprowadzi mnie do tego, co należy i czego nie wolno czuć, do kwestii zarządzania uczuciami i do podstawowych emocji, do których odwołują się charyzmatyczni przywódcy. Jak zobaczymy, każdy ma swoją głęboką

historię.

*Spotkania towarzyskie i deptanie po piętach*

Ale najpierw ludzie. Założyłam bazę wypadową w siedemdziesięcioczterotysięcznym Lake Charles w południowo-zachodniej Luizjanie, mniej więcej pięćdziesiąt kilometrów od Zatoki Meksykańskiej. Połowę mieszkańców stanowią tam biali, drugą połowę czarni, wielu jest potomkami Kajunów. Trzy procent urodziło się za granicą[43]. Dwadzieścia trzy procent ukończyło studia licencjackie. Mediana dochodu gospodarstw domowych wynosi trzydzieści sześć tysięcy dolarów. Lake Charles leży na terenie parafii Calcasieu (parafie – *parishes* – zamiast hrabstw – *counties* – w podziale administracyjnym Luizjany są spuścizną po francuskich osadnikach) i jest gospodarzem siedemdziesięciu trzech lokalnych festiwali. Miejscowe Mardi Gras Museum posiada największy zbiór kostiumów karnawałowych na świecie. Trzy wielkie kasyna przyciągają turystów, dynamicznie rozwijający się przemysł petrochemiczny – robotników.

Zaraz po przyjeździe przystąpiłam do rozpoznania środowiska skrajnej prawicy. Na początku, z pomocą Sally Cappel i Shirley Slack, stworzyłam cztery grupy fokusowe, dwie złożone z liberałów i dwie ze zwolenników Partii Herbacianej, które zebrały się kolejno w kuchni Sally. Po spotkaniach z sympatykami Partii Herbacianej przeprowadzałam indywidualne wywiady z poszczególnymi uczestnikami, a niekiedy także z ich małżonkami lub rodzicami. Mówię „przeprowadzałam wywiady”, ponieważ przed rozpoczęciem prosiłam rozmówców o podpisanie kartki, na której przedstawiłam swoje cele. Ale po dwóch albo trzech godzinach słyszałam od nich często, że bardzo miło im się ze mną g a w ę d z i ł o i faktycznie, wiele z tych spotkań zmieniło się w coś pośredniego pomiędzy wywiadem a spotkaniem towarzyskim.

Pewna księgowa, którą poznałam na spotkaniu grupy fokusowej Partii Herbacianej, zaprosiła mnie na cykl uroczystych lunchów organizacji Republikanki Południowo-Zachodniej Luizjany (Republican Women of Southwest Louisiana), rzucając półżartem: „Może przekabacimy cię na naszą stronę!”. W ten sposób trafiłam na świetnie zorganizowaną imprezę, w której uczestniczyło liczne grono wykształconych białych kobiet w średnim wieku. Nastolatki w czerwonych T-shirtach miały dla siebie osobny stół. Za każdym razem sadzano mnie przy innym stole, dzięki czemu poznawałam nowe osoby, z którymi umawiałam się potem na spotkania. Wiele z nich przedstawiło mnie swoim rodzinom i sąsiadom. Zostałam zaproszona do dwóch prywatnych szkół prowadzonych przez organizacje religijne, chodziłam do kościołów baptystów, zielonoświątkowców i katolików, nie tylko na nabożeństwa,

lecz także na rozmaite imprezy, w tym zielonoświątkowy konkurs kulinarny dla kobiet 40+ na najlepsze *gumbo*. Jedna z poznanych na lunchu republikanek okazała się żoną pastora zielonoświątkowców. Przedstawiła mnie członkom swojej wspólnoty i zaprosiła na partyjkę Rooka, w którego grywała z przyjaciółkami (Rook, zwany „misjonarskim pokerem", to gra karciana, do której używa się talii pięćdziesięciu siedmiu kart; dla żarliwych chrześcijan stanowi sympatyczną alternatywę wobec gier kojarzonych z hazardem). Poznałam mężczyznę, którego stryjeczny dziadek był Wielkim Magiem Ku Klux Klanu (jego dziadek wyprowadził się z tego powodu z miasta), i białą członkinię Partii Herbacianej, twardą babkę, która adoptowała afroamerykańskie niemowlę i dziecko z Ameryki Południowej.

Uczestniczyłam też w trasach kampanii wyborczych republikańskiego kandydata do Senatu i jego rywala z ramienia Partii Herbacianej. Wzięłam udział w pieczeniu prosiaka w Acadian Village (odtworzonej kajuńskiej wiosce) w Lafayette, festiwalu ryżu i paradzie łodzi w New Iberia, chodziłam od drzwi do drzwi z wolontariuszami zachęcającymi do głosowania w Crowley, a także przysłuchiwałam się pogawędkom kandydata z wyborcami podczas kolacji w Union Hall w Rayne. Wszędzie, gdzie się znalazłam, starałam się rozmawiać z każdym napotkanym człowiekiem. Biolog morza i ekolog, Mike Tritico, niezwiązany z żadną partią polityczną syn właściciela sklepu meblowego, opowiedział mi o swoich przyjaciołach ze skrajnej prawicy, którzy są zajadłymi przeciwnikami jego działalności na rzecz ochrony środowiska. Tego wysokiego siedemdziesięciolatka o belferskim sposobie bycia i encyklopedycznej wiedzy na temat miejscowego przemysłu niektórzy uważali za odludka (mieszkał w rozpadającej się chatce w lesie pod Longville), inni za świętego, urzędnicy stanowych organów nadzoru za cierń w boku. Zapytałam go, czy mogę się za nim posnuć i poznać jego wrogów. Zgodził się z ochotą.

W ciągu pięciu lat zgromadziłam 4690 stron transkryptów z wywiadów z główną, czterdziestoosobową grupą zwolenników Partii Herbacianej oraz dwudziestociorgiem innych osób, przedstawicieli różnych środowisk i zawodów – nauczycieli, pracowników opieki społecznej, prawników, przedstawicieli władz – którzy pozwolili mi umieścić moją grupę podstawową w szerszym kontekście. Z grupy głównej wybrałam kilka osób, które najlepiej ilustrowały poszczególne wzorce. Za ich zgodą towarzyszyłam im na każdym kroku, prosiłam, by mi pokazali, gdzie się urodzili, gdzie uczęszczali do szkoły, w jakim kościele się modlą, gdzie robią zakupy. Spędzałam z nimi wolny czas i próbowałam wyczuć, co kształtuje ich poglądy. Część z nich chodziła do kościoła trzy razy w tygodniu, inni wcale. Jedni posiadali siedem sztuk broni, inni trzy; trzymali ją w gablotce za szkłem i w szufladzie przy łóżku. Różnili się stosunkiem do biedy. Pewien mężczyzna powiedział mi: „Spytałem ochroniarza w naszym sklepie spożywczym, jakie towary ludzie kradną. Powiedział, że głównie ryż, fasolę i jedzenie dla niemowląt. To chyba o czymś świadczy". Inni

uważali takie opowieści za „przesadzone”. Różne były także ich lęki. Ktoś zwierzył mi się, że kupił sobie używany podręcznik medycyny na wypadek, gdyby „gospodarkę szlag trafił” i musiał sam sobie poskładać złamaną rękę. Inna osoba przyznała się, że gromadziła zapasy, bo może dojść do sytuacji, że „wszyscy będziemy zdani tylko na siebie”, i że jej sąsiedzi postępują tak samo. Większość nie bała się aż tak bardzo. Również niechęć do prezydenta Obamy i postponowanie jego osoby przybierały różne formy. Jeden ze zwolenników Partii Herbacianej zamieścił na swojej stronie na Facebooku policyjne zdjęcie Baracka Obamy, *en face* i z profilu, z tabliczką z nazwiskiem, inny pokazał go na tle subsydiowanego przez władze osiedla dla biedoty. Najczęściej byli wściekli i przerażeni, czasem opłakiwali jakąś rzeczywistą stratę, ale konstrukcją emocjonalną bardzo różnili się od siebie. (Więcej o moich badaniach w Aneksie A).

Zdecydowanie nie było to kalifornijskie Berkeley. Nawet wtrącane w rozmowę powiedzonka brzmiały zupełnie inaczej: „Tak szybko, jak kaczka kłapnie stonkę…”, „Wpadłem po tyłek w aligatory…”. Ktoś nazwał prosty, pozbawiony ozdobników sposób wypowiedzi – „tak, nie” – „jankeskim gadaniem”. Gdziekolwiek spojrzeć, wznosiły się kościoły, okazałe lub skromne, w niektórych miastach były dosłownie na każdym rogu. W największej księgarni w Lake Charles trzy alejki zajmowały wydania Biblii, różniące się kolorystyką, kształtem i wielkością druku, oraz oprawne w skórę notesy do studiowania Pisma Świętego. Niektóre restauracje oferowały „specjalne dania wielkopostne”, przyciągając w ten sposób katolickich potomków Kreoli i Kajunów. Również to, czego nie było, przypominało mi, że nie jestem w domu: w kiosku brakowało „New York Timesa”, w sklepie spożywczym – żywności organicznej, w kinach – zagranicznych filmów. Widziałam mniej małych samochodów, mniej ubrań w małych rozmiarach w sklepach odzieżowych, mniej przechodniów rozmawiających przez komórki w obcych językach – w ogóle mniej przechodniów. Mniej biszkoptowych labradorów, więcej pitbulli i buldogów. Zapomnijcie o ścieżkach dla rowerzystów, kolorowych pojemnikach na segregowane odpadki i bateriach słonecznych na dachach. W niektórych knajpkach w karcie były praktycznie same smażone potrawy. Przed posiłkiem nikt nie pytał o bezglutenowe przystawki, za to kolacja zwykle rozpoczynała się od modlitwy. Trochę na wschód od Lake Charles, wzdłuż odcinka Missisipi oblepionego zakładami petrochemicznymi, zauważyłam sporą liczbę reklam prawników specjalizujących się w odszkodowaniach za poniesione szkody cielesne („Po prostu zadzwoń do Chucka”). Brak talizmanów mojego świata i obecność talizmanów tego świata uświadomiły mi, że Partia Herbaciana jest nie tyle oficjalnym ugrupowaniem politycznym, ile kulturą, sposobem widzenia i odczuwania tutejszej rzeczywistości.

Zestawiłam organizacje studenckie zarejestrowane na Uniwersytecie Stanowym Luizjany (LSU) w Baton Rouge (Alma Mater części moich rozmówców)

z działającymi na Uniwersytecie Kalifornijskim w Berkeley, gdzie od wielu lat wykładam. Na kampusie LSU (około trzydziestu tysięcy studentów, trzysta siedemdziesiąt pięć organizacji) znalazłam studenckie sekcje Oilfield Christian Fellowship, Agribusiness Club, Air & Waste Management Association, Society of Petrophysics and Well Log Analysts, Wargaming and Roleplaying Society (WARS), niemające odpowiedników w Berkeley.

Na Uniwersytecie Kalifornijskim w Berkeley (trzydzieści siedem tysięcy studentów, tysiąc organizacji studenckich) działają Amnesty International i Anti-Trafficking Coalition, Building Sustainability in Cal., Environmental Science Student Association, Global Student Embassy at Berkeley (organizacja promująca ideę współpracy lokalnych grup obrońców środowiska) – żadna z nich nie ma odpowiednika w Luizjanie. Mike Schaff ukończył Uniwersytet Stanowy Luizjany w Monroe, gdzie należał do klubu szachowego, Circle K (Kiwanis) i paramilitarnej organizacji o nazwie Scabbard and Blade (Pochwa i klinga). Na jego uczelni, liczącej około dwudziestu pięciu tysięcy słuchaczy, działało sto pięćdziesiąt organizacji studenckich. Jedna z nich – Cupcakes for a Cause – zajmowała się zbieraniem pieniędzy na pomoc dla weteranek wojennych. Inna, ULM Fishing Team, organizowała raz w miesiącu zawody łowienia ryb. Na Northwestern University działały studenckie kluby College Republicans i Young Americans for Liberty, ale nie było uczelnianego klubu młodych demokratów[44].

Jeżdżąc samochodem po okolicach Lake Charles, widywałam na zderzakach półciężarówek naklejki z napisem „Don’t Tread on Me” („Nie depcz po mnie”) i rysunkiem zwiniętego grzechotnika z wysuniętym językiem. Symbol ten, stworzony w 1775 roku przez generała walczącego w wojnie o niepodległość, przejęli zwolennicy Partii Herbacianej w całym kraju. Przy drodze międzystanowej numer 49 pomiędzy Lafayette i Opelousas stał (zdjęty co prawda w 2011 roku) ogromny billboard z napisem „Gdzie jest świadectwo urodzenia?”, publicznie podający w wątpliwość legalność wyboru prezydenta Obamy. Tabliczka na drewnianej budce na terenie komisu używanych ciężarówek przy drodze numer 171, między Longville i DeRidder, godzinę jazdy od Lake Charles, głosiła złowieszczo „Wędzarnia Obamy”.

Na każdym kroku widoczne były ślady podziałów rasowych. Przez cmentarz w Westlake biegła droga oddzielająca groby białych od czarnych. W części dla białych trawa była świeżo skoszona, w części dla czarnych wyższa. Innym przykładem był stojący przed starym budynkiem sądu parafii Calcasieu granitowy posąg młodego żołnierza Konfederacji. Na tabliczce na cokole wyryto słowa wdzięczności dla „obrońców Południa”. Żadnych analogicznych miejsc upamiętniających bohaterów niewolników lub ofiary linczów. Kiedy przyjechałam do Lake Charles w 2016 roku, zauważyłam u podnóża pomnika małą czerwono-biało-czerwoną flagę Konfederacji z trzynastoma gwiazdami w kwadratowym niebieskim

polu w górnym lewym rogu. Trzy z pięciu południowo-zachodnich parafii Luizjany, nie wspominając o Jefferson Davis Bank i autostradzie, nazwano na cześć przywódców Konfederacji z okresu wojny secesyjnej[45]. W całym stanie znajduje się dziewięćdziesiąt pomników na część Konfederatów, niektóre z nich odsłonięto bardzo niedawno, bo w 2010 roku. Zaledwie piętnaście lat temu spalono krzyż w pobliżu przyczepy, w której mój przewodnik, Mike Tritico, mieszkał z przyjaciółmi – był to ostatni znany przypadek spalenia krzyża w tym stanie[46]. Prokuratorzy federalni doprowadzili do postawienia przed sądem i skazania sześciu mężczyzn. Kwestia rasowa była stale obecna w fizycznym otoczeniu, ale prawie w ogóle nie pojawiała się w spontanicznych wypowiedziach.

### *Zawężenie pola obserwacji do jednej kwestii (*keyhole issue*)*

Zależało mi na jak największym zbliżeniu. Uznałam, że najlepszą metodą, by to osiągnąć, będzie poznanie jednej grupy ludzi w jednym miejscu i skupienie się na jednym problemie. Nie mogła to być żadna ze wspomnianych wcześniej spraw, w których bogaci prawicowi wyborcy odrzucali pomoc rządu federalnego, ponieważ nie dotyczyły ich osobiście. W Luizjanie Wielki Paradoks widoczny był jednak gołym okiem – ogromne zanieczyszczenie środowiska i równie duży opór przeciwko wprowadzeniu przepisów ograniczających działalność trucicieli. Gdyby w tej jednej sprawie udało mi się wejrzeć w głąb umysłów i serc zwolenników skrajnej prawicy, zrozumieć, jakie mają przemyślenia na temat wody, którą piją, zwierząt, na które polują, jezior, w których pływają, strumieni, w których łowią ryby, i powietrza, którym oddychają, poznałabym ich naprawdę blisko. Miałam nadzieję, że ich spojrzenie na tę jedną, konkretną sprawę – w jakim stopniu, jeśli w ogóle, rząd powinien kontrolować zanieczyszczający środowisko przemysł – pozwoli mi zrozumieć ich punkt widzenia na szereg innych kwestii.

Luizjana ma złoża nafty i gazu ziemnego oraz bardzo liberalne przepisy ochrony środowiska, które od kilkudziesięciu lat jest systematycznie niszczone. W okresie gdy prowadziłam badania, do Lake Charles dotarł boom na gaz ziemny wydobywany ze skał łupkowych metodą szczelinowania i miasto nagle stało się centralnym punktem gigantycznej inwestycji w południowo-zachodniej Luizjanie, zaplanowanej na oszałamiającą sumę osiemdziesięciu czterech miliardów dolarów – jednej z największych inwestycji przemysłowych w Ameryce. Lake Charles jest dziś potentatem branży petrochemicznej[47].

O gwałtownej ekspansji przemysłu rozmawiałam z urzędnikami publicznymi – burmistrzem pobliskiego Westlake i szefem Southwest Louisiana Task Force for Growth and Opportunity (grupy roboczej, której powierzono przygotowanie

tymczasowych kwater dla osiemnastu tysięcy robotników; szacowano, że trzynaście tysięcy, w tym filipińscy monterzy rurociągów, zostanie sprowadzonych spoza stanu)[48].

W Lake Charles mieszkałam w pensjonacie Aunt Ruby’s Bed and Breakfast. Na wannie w łazience odkryłam buteleczkę z nawilżającym płynem do kąpieli. Na etykietce maleńkimi literkami wydrukowano skład: ropa naftowa, eter laurylosiarczanu amonu, lauroamfooctan sodu, laurylosiarczan amonu, kwas laurynowy, chlorek sodu, eter 2-hydroksy 3-(trimetylamnio)propylowego chlorku z gumą guar. Uświadomiłam sobie, że te same związki znajdują się w plastikowych oprawkach moich okularów przeciwsłonecznych, w pasku od mojego zegarka, obudowie komputera, kremie do twarzy. Lake Charles wyprodukowało paliwo lotnicze dla samolotu, którym tu przyleciałam, i benzynę, dzięki której poruszałam się po okolicy. Wiele z tych produktów wytwarzano w okolicznych zakładach przemysłowych.

Przygotowując się do podróży, ponownie przeczytałam *Atlasa zbuntowanego* Ayn Rand, biblię Partii Herbacianej, wychwalaną pod niebiosa przez konserwatywnego prezentera radiowego Rusha Limbaugha i byłego publicystę Fox News Glenna Becka. Rand nazywa pomaganie ubogim „potwornym pomysłem”. Mówi, że dobroczynność jest zła, za to chciwość dobra. Wyobrażałam sobie, że skoro podoba im się Rand, pewnie są samolubni, bezwzględni i zimni, i przygotowałam się na najgorsze. Ku swojej radości poznałam wielu ciepłych, otwartych ludzi, gotowych nieść pomoc innym, w tym obcej starszej białej kobiecie o liberalnych poglądach, która pracuje nad książką.

Zważywszy, że Uniwersytet Kalifornijski w Berkeley uchodzi za bastion liberalizmu, trochę się bałam, jak zareagują, kiedy się przyznam, że tam wykładam. W głębi ducha żywiłam cichą nadzieję, że moi nowi luizjańscy znajomi z szacunkiem przypomną sobie siedemdziesięciu dwóch berkeleyowskich noblistów i estymę, jaką Uniwersytet Kalifornijski cieszy się w świecie akademickim. Ale nie. Pewien mężczyzna, usłyszawszy, że mieszkam w Berkeley, rzucił natychmiast: „Och, macie tam h i p i s ó w ”. Inny oglądał w Fox News reportaż o studentach protestujących w Berkeley przeciwko podwyżce czesnego. Skuli się żelaznym łańcuchem i stanęli na krawędzi dachu jednego z uniwersyteckich budynków. Gdyby jeden spadł, pociągnąłby za sobą resztę, co pewnie właśnie chcieli pokazać. Mój rozmówca zapytał mnie z niedowierzaniem w głosie: „Mówiłaś, że muszą mieć średnią pięć zero, żeby się dostać? Bo moim zdaniem ta akcja to głupota”.

Na spotkaniu Republikanek Południowo-Zachodniej Luizjany siedząca naprzeciw mnie pieśniarka gospel, Madonna Massey, oznajmiła przez stół, że „ u w i e l b i a Rusha Limbaugha”. Do tej pory, natykając się w radiu na Limbaugha, stwierdzałam, że jest arogancki i zadufany w sobie, i obrażona bez namysłu

zmieniałam program. Teraz jednak powiedziałam Madonnie: „Chciałabym porozmawiać z tobą o tym, co ci się w nim podoba”. Tydzień później powtórzyłam to pytanie przy słodkiej herbacie w miejscowej kawiarni Starbucks. „To, że krytykuje nazifeministki, wiesz, kobiety, które chcą być równe mężczyznom”. Potrzebowałam chwili, by to przetrawić. Kiedy zapytała, o czym myślę, i usłyszała moją odpowiedź, stwierdziła: „Ale ty jesteś miła…”. Zrobiłyśmy przegląd stosowanych przez Limbaugha epitetów („liberokomuchy”, „popieprzeni ekolodzy”). W końcu doszłyśmy do sedna, to jest do poczucia Madonny, że Limbaugh broni jej przed inwektywami liberałów, które odbierała osobiście. „Och, liberałowie uważają wierzących w Biblię mieszkańców Południa za zacofanych ciemniaków, wsioków i nieudaczników. Myślą, że jesteśmy rasistami, seksistami, homofobami i do tego pewnie jeszcze grubi”. Jej dziadek był biednym jak mysz kościelna dzierżawcą z Arkansas. Ona sama była utalentowaną śpiewaczką, uwielbianą przez wszystkich członków licznej kongregacji, absolwentką dwuletnich studiów biblijnych i kochającą matką dwójki dzieci. W tamtym momencie zaczęło do mnie docierać, jaką siłę mają szyderstwa, którymi niebieskie stany obrzucają mieszkańców czerwonych. W oczach Madonny Limbaugh był murem, który chronił ją i jej przodków przed obelgami liberałów. Zastanawiałam się, czy prawicowe media rozmyślnie podgrzewają atmosferę, czy może nie muszą tego robić, bo niebieskie stany same odwalają całą robotę. Przy następnym spotkaniu Madonna spytała, czy zabolało mnie to, co powiedziała. Odparłam, że nie. „Też tak czasem robię – wyznała. – Próbuję odsunąć się na bok, by zobaczyć, co czuje druga osoba”.

Wędrując z Mikiem Schaffem przez pola trzciny cukrowej dawnej plantacji Armelise i siedząc obok Madonny w kościele Zielonoświątkowym Żywej Drogi, poznawałam dobrych ludzi w samym środku Wielkiego Paradoksu. Jak serdeczna i pełna życzliwości Madonna mogła sprzeciwiać się rządowej pomocy dla ubogich? Dlaczego taki ciepły, inteligentny, myślący człowiek jak Mike Schaff, który sam był ofiarą przestępczej działalności wielkiego przemysłu, aż tyle żółci wylewał na rząd federalny? Jak to możliwe, że jeden z najbardziej narażonych na nieprzewidywalne zjawiska meteorologiczne stanów Ameryki stał się głównym ośrodkiem negowania zmian klimatycznych?

Chcąc poznać odpowiedzi na te pytania, udałam się w podróż do matecznika prawicy.

# 2
# „Przynajmniej tyle dobrego”

Siedzi na drewnianym ganku wychodzącym na zadbane podwórze na obrzeżach DeRidder i wygląda mojego samochodu. Wstaje z krzesła, macha do mnie ręką, drugą przytrzymując się balkoniku. Osiemdziesięciodwuletni Lee Sherman – ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu, szerokie bary, krótko obcięte siwe włosy, ciemnoniebieskie oczy – wita mnie promiennym uśmiechem. Były gracz drużyny futbolu amerykańskiego Dallas Texans (przemianowanej później na Kansas City Chefs), kierowca wyścigowy Narodowej Organizacji Wyścigów Samochodów Seryjnych (National Association for Stock Car Racing, NASCAR), uhonorowany przez *Who's Who of American Motorsports*, który pędził po torze trzysta kilometrów na godzinę w kołnierzu ortopedycznym i kombinezonie ognioodpornym, oraz dumny nabywca motorówki do nart wodnych należącej niegdyś do bohaterki serialu telewizyjnego *Wonder Woman* ściska moją dłoń i mówi przepraszająco, wskazując na swój balkonik:

– Przez to nie będę mógł cię oprowadzić jak należy po całym domu.

Wyjaśnia, że zupełnie nie czuje się na swój wiek, ale z pogodą ducha akceptuje swoje fizyczne ograniczenia. Zważywszy, jak niebezpieczną

pracę wykonywał w zakładach koncernu Pittsburgh Plate Glass, cieszy się, że w ogóle żyje.

– Wszyscy moi koledzy z pracy z tamtych czasów już nie żyją; większość umarła młodo – mówi, prowadząc mnie powolutku przez schludnie wysprzątany dom do stołu w jadalni, na którym, obok filiżanek, dzbanka i talerza ciasteczek, leży wielki album ze zdjęciami.

W drodze z Lake Charles do DeRidder, jadąc przez południowo-zachodnią część Luizjany, mijałam rozliczne stacje benzynowe, dyskonty Family Dollar, biura firm udzielających pożyczek krótkoterminowych, przydrożne restauracje i ciągnące się po horyzont soczyście zielone pola ryżowe. Na niektórych z nich w kanałach między rzędami sadzonek farmerzy hodowali raki. Około trzystu kilometrów na zachód od DeRidder, przy granicy z Teksasem, rozciągała się sosnowa puszcza, dawna ziemia niczyja, gdzie grasowała legendarna para wyrzutków spod prawa, Bonnie i Clyde. Dwieście kilometrów na południowy wschód od DeRidder leżało Baton Rouge. Brzegi potężnej Missisipi pomiędzy stolicą Luizjany a Nowym Orleanem obsiadły majestatyczne rezydencje dawnych plantatorów. Niegdyś w otoczonych rozkosznymi

trawnikami pałacach mieszkały najbogatsze rodziny Ameryki. Dziś ich domy są atrakcjami turystycznymi, ginącymi w cieniu gigantycznych zakładów petrochemicznych Shintech, ExxonMobil i Monsanto.

To, co Lee przeszedł, widział i musiał robić jako konserwator rurociągów w zakładach petrochemicznych, uczyniło z niego zagorzałego obrońcę środowiska. Parafia Calcasieu, gdzie przez piętnaście lat pracował w zakładach Pittsburgh Plate Glass w Lake Charles, zalicza się do dwóch procent parafii i hrabstw o najwyższym poziomie emisji zanieczyszczeń toksycznych na mieszkańca. Według American Cancer Society Luizjana zajmuje drugie miejsce wśród wszystkich stanów Ameryki pod względem zachorowalności i piąte pod względem umieralności mężczyzn na nowotwory[49].

Mimo to Lee zgłosił się niedawno do rozstawiania na trawnikach tabliczek z nazwiskiem kongresmena Partii Herbacianej Johna Fleminga, który uzyskał dziewięćdziesiąt jeden punktów na sto na karcie głosowań prawicowej organizacji FreedomWorks (śledzącej, jak kongresmeni głosują w sprawach dotyczących swobód ekonomicznych), opowiada się za zlikwidowaniem EPA, złagodzeniem zapisów Clean Air Act, kontynuowaniem wierceń w zewnętrznym szelfie kontynentalnym, a także jest przeciwnikiem przepisów ograniczających emisję gazów cieplarnianych i domaga się zmniejszenia kompetencji organów kontrolnych giełdy. Lee regularnie uczestniczy w spotkaniach lokalnej komórki Partii Herbacianej, wkładając na tę okazję czerwono-biało-niebieską partyjną koszulkę z rysunkiem orła ostrzącego szpony. Dlaczego obrońca środowiska angażuje się w kampanię polityka, który nawołuje do zamknięcia EPA? Pomyślałam, że jeśli znajdę odpowiedź na to pytanie, być może uda mi się uchylić drzwi do Wielkiego Paradoksu.

A przy okazji może znajdę klucz do wyjaśnienia zagadki drogi z lewa na prawo, którą w ciągu życia przebył Lee. Dawno temu, kiedy pracował w stoczni marynarki wojennej obok Seattle w stanie Waszyngton, przez lata agitował dla senatora Henry’ego Martina „Scoopa” Jacksona, liberalnego demokraty z czasów zimnej wojny, obrońcy praw obywatelskich i praw człowieka. Lee, wychowany przez pracującą samotną matkę, która walczyła w stoczni o uczciwe płace dla kobiet, mówi o sobie, że jest dzieckiem ruchu na rzecz równouprawnienia mniejszości. Jednak w latach 60. przeprowadzka na Południe zmieniła go w republikanina, a w 2009 roku zapisał się do Partii Herbacianej.

Siadamy przy stole i nalewamy sobie kawy. Proszę Lee, by opowiedział mi o swoim dzieciństwie. Mówi z namysłem, powoli i wyraźnie, jakby dla potomności.

– Miałem szalone pomysły. Miałem sześciu braci. W wieku siedmiu lat za pomocą liny przygiąłem do ziemi gałęzie topoli, przywiązałem się do nich i puściłem, żeby p o l a t a ć – wspomina ze śmiechem. – Poleciałem naprawdę wysoko – zatacza szeroki łuk ręką – i wylądowałem w gąszczu kłujących jeżyn. Nieźle

zabolało. Mama nie przybiegła mnie wyciągnąć, bo chciała mi dać nauczkę. Jednak niczego mnie to nie nauczyło – dodaje.

Lee prowadził auta na długo przed zrobieniem prawa jazdy, a jako dwunastolatek ukradł, wzbił w powietrze i bezpiecznie posadził na ziemi dwupłatowiec sąsiada.

Już wcześniej Lee był niezwykle żywym dzieckiem.

– Kiedy miałem pięć lat, zachorowałem na zapalenie płuc i przez trzy miesiące musiałem leżeć w łóżku. Moja babcia (rdzenna Amerykanka mieszkająca w rezerwacie Indian Crow w Montanie) nie siedziała p r z y mnie, tylko n a m n i e, żebym nie mógł wstać. W ten sposób zmusiła mnie do nauki szydełkowania.

Jako młody człowiek Lee wyuczył się zawodu kotlarza okrętowego w stoczni marynarki wojennej pod Seattle, gdzie jego ojciec pracował jako elektryk. Kiedy w 1965 roku przyjechał za pracą na Południe, dostał posadę konserwatora rurociągów w Pittsburgh Plate Glass. Szybko wyrobił sobie wśród kolegów reputację genialnego mechanika. „Umie robić mutry, śruby, pręty i rury i oszacować długość co do milimetra bez użycia miarki” – powiedział mi obrońca środowiska Mike Tritico, który poznał mnie z Lee. W weekendy ścigał się na torze wyścigowym, a w poniedziałek jeden z kierowników zawsze pytał go, jak mu poszło w sobotę.

Lee był nieustraszony i ostrożny – dobre połączenie cech dla niebezpiecznej pracy w zakładach PPG, polegającej na montowaniu i naprawianiu rur ze śmiertelnie groźnymi substancjami chemicznymi, takimi jak dichlorek etylenu, rtęć, ołów, chrom, wielopierścieniowe węglowodory aromatyczne i dioksyny. W jakiś tajemniczy sposób te same substancje przedostawały się do pobliskiej drogi wodnej o nazwie Bayou d’Inde. To właśnie nad nią od wielu pokoleń mieszkała kajuńska rodzina Arenów, która wiele wycierpiała i o której niezwykłych związkach z Lee dowiemy się nieco później[50].

Lee upija ostrożnie duży łyk kawy i mówi mi, że raz otarł się o śmierć. Pewnego dnia, kiedy pracował w fabryce, schłodzony chlor przypadkowo został poddany działaniu temperatury tysiąca stopni Celsjusza i błyskawicznie przeszedł ze stanu ciekłego w gazowy. Na terenie zakładu znajdowało się wtedy szesnastu robotników. Kierownik stwierdził, że jest zbyt mało kompletów odzieży ochronnej, i odesłał Lee do domu.

– Pół godziny później – opowiada Lee – fabryka wyleciała w powietrze. Zginęło pięciu z piętnastu robotników, których tam zostawiłem.

Następnego dnia kierownik poprosił Lee, żeby pomógł w poszukiwaniu zwłok. Udało się odnaleźć ciała tylko dwóch z pięciu ofiar. Kwas tak zniszczył zwłoki trzeciej, że ich fragmenty odkryto w kanale odprowadzającym ścieki do Bayou d’Inde.

– Gdyby ktoś ich w porę nie zauważył – mówi, odwracając się w stronę okna – spłynęłyby do *bayou*.

W latach 60. w zakładach PPG w zasadzie nie obowiązywały środki bezpieczeństwa.

– Na szkoleniach BHP – mówi Lee – kierownik po prostu dawał nam do podpisania papiery. Pracowaliśmy z chemikaliami bez masek ochronnych. Trzeba było zatykać nos i oddychać przez usta. Kierownictwo nie zawracało sobie głowy informowaniem nas o zagrożeniach. Robili to moi koledzy. – Jego ton łagodnieje. – Ostrzegali: „Nie możesz w tym stać. Wyłaź z tego”. Nie żyłbym dzisiaj, gdyby nie oni.

Rurociągami, które serwisował Lee, płynęły tlen, wodór i chlor. Kiedy dochodziło do rozszczelnienia, musiał usunąć wyciek.

– To była moja robota – wyjaśnia.

– Robiłeś to gołymi rękami? – pytam.

– O tak, tak.

W końcu kierownik produkcji wydał robotnikom specjalne plakietki, które miały ostrzegać o skażeniu szkodliwymi substancjami.

– Ale to były żarty – mówi Lee. – Teoretycznie miernik powinien pokazać przekroczenie limitu dopiero po dwóch albo trzech miesiącach. Mój pokazał po trzech dniach. Kierownik stwierdził, że musiałem go wetknąć do rury!

Tak pod koniec lat 60. wyglądała sytuacja w zakładach PPG w Lake Charles w Luizjanie.

Dochodziło do wypadków. Pewnego dnia, gdy Lee pochylił się w hali fabrycznej nad rurą, by sprawdzić filtr, operator w znajdującej się zupełnie gdzie indziej sterowni przez pomyłkę odkręcił zawór i puścił gorący strumień chlorowanych węglowodorów o zapachu migdałów. Chemikalia chlusnęły na Lee, oblewając go od stóp do głów.

– Były naprawdę g o r ą c e i przemoczyły mnie do suchej nitki. Wskoczyłem pod prysznic bezpieczeństwa i zakryłem usta maską z respiratorem, żeby nie stracić przytomności. Ale byłem porządnie poparzony. Najgorsze poparzenia zawsze są pod pachami, w kroczu i między pośladkami. – Prysznic pomógł tylko częściowo. – Chemikalia rozpuściły mi buty, spodnie i koszulę. Załatwiły nawet kalesony. Zostały mi tylko strzępki gumki ze skarpetek i gaci. Zżarły całe ubranie.

Kierownik powiedział Lee, żeby poszedł do domu, kupił sobie nowe buty, skarpetki, kalesony, lewisy i roboczą koszulę i przyniósł rachunki do biura. Obiecał mu zwrot pieniędzy. Kilka dni później Lee wrócił z paragonami na mniej więcej czterdzieści dolarów. Kierownik stwierdził jednak, że zniszczona odzież nie była już nowa. Oszacował, że buty były znoszone w osiemdziesięciu procentach, a spodnie w połowie.

– Ostatecznie, odliczywszy pieniądze za zużycie zniszczonego ubrania, dał mi czek na osiem dolarów. Nawet go nie zrealizowałem.

Lee był dumny ze swojej pracy w PPG, ale nie poczuwał się do szczególnej

lojalności wobec koncernu. Niemniej robił, co mu kazano. Następnego dnia po kwaśnej kąpieli otrzymał inne ponure zadanie, które miał wykonywać dwa razy dziennie, zwykle po zmierzchu i zawsze w tajemnicy. Lee musiał pchać czterokołowy „wózek smołowy” o długości dwóch i pół metra. Na ten wózek załadowany był olbrzymi stalowy pojemnik z lepkimi, smołowymi pozostałościami chlorowanych węglowodorów, zbierającymi się na dnie zbiorników wielkości kuchni. Pod pojemnikiem umieszczony był ogrzewacz w postaci miedzianych obręczy. Aby utrzymać ciepło wytwarzane przez ogrzewacz, pojemnik ów był owinięty warstwą azbestu. Podgrzewanie pozwalało utrzymać toksyczne odpady w stanie płynnym do momentu ich wylania.

Wyrabiając nadgodziny, pod osłoną zmierzchu, z ustami zasłoniętymi maską z respiratorem, Lee pchał wózek po ścieżce, która biegła od Calcasieu Ship Channel do Bayou d’Inde.

Rozglądał się dokoła, by „upewnić się, że nikt nie patrzy”, i sprawdzał kierunek wiatru, bo nie chciał, by opary wionęły mu w twarz. Dopychał wózek do granicy bagnistego rozlewiska. Następnie, według jego własnych słów, „pochylał się i odkręcał kran”. Pod naciskiem sprężonego powietrza toksyny tryskały na odległość „ośmiu, dziesięciu metrów” w brejowate bagno. Lee czekał, aż zbiornik się opróżni z nielegalnych odpadów toksycznych.

– Nigdy nikt mnie nie przyuważył – mówi.

### *Ptaszek*

Lee bierze z talerza ciasteczko i gryząc je powoli, wspomina coś, co wydarzyło się, gdy pewnego wieczoru był sam na brzegu ze swoją tajemnicą.

– Kiedy wyrzucałem osady smoliste do kanału, zobaczyłem ptaszka, który wleciał w opary i natychmiast spadł do wody. Jakby ktoś go postrzelił. Położyłem na błocie dwie łopaty, żeby na nich stanąć i nie utopić się w bagnie. Wszedłem na nie i podniosłem ptaszka. Jego skrzydła i ciałko były zupełnie nieruchome. Wyglądał na martwego, ale serduszko jeszcze biło. Wychowałem się na farmie i znałem się na ptakach. Wróciłem po łopatach na brzeg. Prawą dłonią trzymałem główkę, lewą skrzydła i korpus. Zacząłem wdmuchiwać mu do dzioba powietrze, jednocześnie masując serce. W końcu zaczął oddychać. Otworzył oczy. Ale reszta ciała pozostała nieruchoma. Położyłem go na masce mojej półciężarówki, żeby się ogrzał. Zostawiłem go tam i poszedłem zobaczyć, co z wózkiem. Kiedy wróciłem, ptaka już nie było. Odleciał. Przynajmniej tyle dobrego.

Przez całe popołudnie opowieść Lee krąży pomiędzy historią z ptakiem a „wózkiem smołowym”.

– Wiedziałem, że to, co robię, jest złe – powtarza. – Odpady toksyczne są zabójcze. Bardzo żałuję, że się tym zajmowałem. Moja mama by tego nie pochwaliła. Nikomu wcześniej o tym nie mówiłem, ale wiedziałem, jak n i e d a ć s i ę z ł a p a ć.

Jakby dokonując przestępstwa na żądanie koncernu, wziął na siebie jego winę.

Tymczasem, podobnie jak ptak, Lee też był ofiarą. Stały kontakt z trującymi substancjami chemicznymi zrujnował mu zdrowie.

– Po poparzeniu węglowodorami miałem stopy jak z drewna, a kiedy przykucnąłem, nie mogłem się podnieść i lekarz zakładowy wysłał mnie na zwolnienie – opowiada. – Wiele razy do niego przychodziłem, żeby mnie znów skierował do pracy, ale mówił, że najpierw muszę być w stanie zrobić pełen przysiad.

Lee był na zwolnieniu osiem miesięcy, a potem wrócił do pracy. Ale nie na długo.

Po piętnastu latach zatrudnienia w zakładach PPG Lee został wezwany do biura, gdzie czekała na niego siedmioosobowa komisja dyscyplinarna.

– Nie chcieli mi płacić renty inwalidzkiej – tłumaczy – więc wylali mnie za absencję! Powiedzieli, że nie przepracowałem wystarczającej liczby godzin! Nie policzyli moich nadgodzin! Nie wzięli pod uwagę, że musiałem wziąć udział w ćwiczeniach dla rezerwistów. I za to właśnie wyleciałem, za absencję. Wręczyli mi wymówienie. Dwóch strażników odprowadziło mnie na parking. – Lee uderza otwartą dłonią w stół, jakby kilkadziesiąt lat później znów został wyrzucony z pracy.

### *Śnięte ryby i ostateczne starcie*

Siedem lat później jeden z członków komisji dyscyplinarnej ku swojemu zaskoczeniu spotka Lee w zupełnie innych okolicznościach. W Bayou d’Inde, poniżej miejsca, gdzie Lee wyrzucał do bagna toksyczne odpady i uratował przytrutego ptaszka, zaobserwowano masowe śnięcie ryb. Nad tym samym *bayou* mieszkała rodzina Arenów. Przy parafii Calcasieu zebrała się doradcza grupa robocza, by rozważyć, czy lokalnych wód nie należy uznać za skażone i nie wydać oficjalnego ostrzeżenia przed spożyciem złowionych tam ryb[51].

Do okolicznych wód od dawna trafiały ścieki z różnych źródeł. W 1987 roku władze stanu wydały w końcu oficjalne ostrzeżenie dla Bayou d’Inde, Calcasieu Ship Channel i estuarium Lake Charles. Coś takiego zdarzyło się po raz pierwszy za ludzkiej pamięci. Szokujący dokument zalecał ograniczenie spożycia ryb i owoców morza „z powodu skażenia chemicznego o niskim poziomie”. Nie więcej niż dwa posiłki rybne na miesiąc. Unikać pływania, sportów wodnych i kontaktu z zalegającymi dno osadami. Władze Luizjany z dużym opóźnieniem zdecydowały

się ostrzec mieszkańców przed substancjami toksycznymi znajdującymi się w lokalnych wodach.

Wywołało to ogromne zaniepokojenie rybaków. Czy będą mogli sprzedać połów? Czy mieszkańcy stanu ograniczą spożycie ryb? Czy przestaną uważać je za pyszny dodatek do *gumbo* i *jambalai*[52] albo główną atrakcję pikniku wędkarskiego, traktując je odtąd jako źródło toksyn? Był to cios w starannie pielęgnowane przekonanie o harmonijnym współistnieniu przemysłu naftowego i rybołówstwa, i to nie tylko w samej Luizjanie: jedna trzecia konsumowanych w całym kraju owoców morza i ryb pochodziła z Zatoki Meksykańskiej, z czego dwie trzecie z Luizjany.

Wiele osób mogło stracić źródło utrzymania. Ryby i owoce morza zapewniały byt nie tylko rybakom, lecz także właścicielom sklepów spożywczych, firmom transportowym i pracownikom restauracji. Wszyscy oni byli teraz wściekli na władze, które radziły ograniczyć spożycie ryb. Rząd niszczył miejsca pracy, i to w niemałej wcale liczbie:

> Krewetki zapewniały piętnaście tysięcy,
> ostrygi cztery tysiące,
> kraby trzy tysiące,
> a raki tysiąc osiemset miejsc pracy, w tym
> tysiąc na fermach hodowlanych i osiemset przy połowach[53].

Do gniewnej reakcji rybaków przyczynił się cały szereg spraw, które wypłynęły na światło dzienne przed 1987 rokiem. Po pierwsze, okazało się, że PPG nie jest jedynym trucicielem. Także inne koncerny zanieczyszczały środowisko naturalne na ogromną skalę. Luizjana produkowała najwięcej w kraju odpadów niebezpiecznych, prześcigając wszystkie pozostałe stany. Po drugie, Kongres USA powołał do życia Agencję Ochrony Środowiska (1970) oraz przyjął ustawy o standardach czystości powietrza i wody, Clean Air Act (1970) i Clean Water Act (1972)[54]. W Luizjanie powstały liczne grupy obrońców środowiska, organizowane przez gospodynie domowe, nauczycieli, farmerów i przedstawicieli innych zawodów, zbulwersowanych odkryciem skali zanieczyszczeń i stopniem zagrożenia dla zdrowia mieszkańców. Wydanie przez władze oficjalnego ostrzeżenia o stanie wód zbiegło się w czasie z pierwszymi protestami ekologów przeciwko zatruwaniu środowiska toksycznymi substancjami, organizowanymi w Lake Charles, Willow Springs, Sulphur, Mossville i wielu innych miejscowościach. Była to część szerszego zjawiska polegającego na braniu przez obywateli spraw we własne ręce, nazywanego w latach 70. i 80. „polityką podwórkową” – choć w tym przypadku należałoby raczej powiedzieć „kuchenną”[55].

Peggy Frankland, pełna życia siedemdziesięciokilkulatka, wychowana na farmie

na wschodzie Teksasu, była królowa balu absolwentów, mieszkająca obecnie na farmie hikory w Sulphur w pobliżu zakładów PPG, wspomina tamte czasy:

– Zajeździłyśmy moje kombi i fotokopiarkę męża mojej przyjaciółki. Przemawiałyśmy w kościołach i szkołach, spotykałyśmy się ze skautami i z urzędnikami w Lake Charles, Baton Rouge i Waszyngtonie. Zarzucali nam, że nie jesteśmy chrześcijankami, tylko animistkami, które czczą Ziemię zamiast Boga. Nazywali nas „fanatyczkami" i „wiejskimi kozami". Próbowałyśmy umówić się na spotkanie z luizjańskimi ustawodawcami, ale nas zlekceważyli jako głupie gospodynie domowe.

W swojej książce *Women Pioneers of the Louisiana Environmental Movement* Frankland pisze: „Przedsiębiorstwa przemysłowe traktowały naszą ziemię i nasze rzeki jak publiczną toaletę, a my się im postawiłyśmy".

– Mogłyśmy mówić – zauważyła popierająca demokratów Frankland – „Hej, obowiązuje p r a w o f e d e r a l n e dotyczące czystości wody. Zatruwacie naszą wodę. Jak zamierzacie ją oczyścić?"

Ale od tamtej pory większość współpracujących z nią ekologów przeszła, podobnie jak Lee Sherman, pod sztandary republikanów i Partii Herbacianej. Dziś zwalczają biurokratyczne przerosty w Waszyngtonie, a nawet samą EPA. I tu dochodzimy do Wielkiego Paradoksu w czystej postaci.

Tymczasem nieznani sprawcy podziurawili kulami lub ukradli tablice ostrzegające przed kąpielą i łowieniem ryb, które luizjański Departament Zdrowia i Opieki Społecznej umieścił w miejscach publicznych. W takim klimacie jeden z członków dawnej komisji dyscyplinarnej PPG niespodziewanie znów natknął się na Lee Shermana.

Bierzemy sobie po jeszcze jednym ciasteczku i Lee wraca do przerwanej opowieści. Halę sportową Burton Coliseum, największe miejsce zgromadzeń publicznych w Luizjanie, wypełnił tłum „wściekłych rybaków i ludzi w taki czy inny sposób związanych z rybołówstwem", opowiada mi Lee.

– Kiedy oficjalnie otwarto obrady, zostały już tylko miejsca stojące. Tłum szemrał. Ludzie byli gotowi rozszarpać rząd.

Za ustawionym na podwyższeniu stołem siedzieli przedstawiciele koncernów przemysłowych, w tym dwóch z Pittsburgh Plate Glass, prawnicy i urzędnicy stanowi. Jeden z oficjeli wstał, by wyjaśnić powody wydania oficjalnego zalecenia ograniczenia spożycia ryb: ryby są skażone. Mieszkańcy powinni o tym wiedzieć. Co spowodowało skażenie? Faceci z PPG udawali, że nie mają pojęcia. Spotkanie ciągnęło się już dwadzieścia, trzydzieści minut, z tłumu dobiegały gwizdy.

Nagle ku powszechnemu zdumieniu Lee Sherman – przed laty wyrzucony dyscyplinarnie z PPG – wdrapał się nieproszony na scenę. Stanął plecami do urzędników, twarzą do rozwścieczonych rybaków i z kartonową tablicą w rękach

przedefilował wzdłuż całego podwyższenia, by każdy mógł przeczytać wypisane na niej słowa: „TO JA WRZUCIŁEM TO ŚWIŃSTWO DO BAYOU”.

W hali zapadła cisza.

Urzędnicy próbowali przegonić Lee ze sceny. Ale jeden z rybaków zawołał: „Chcemy go wysłuchać!”.

– Mówiłem bez przerwy przez trzydzieści sześć minut – wspomina Lee. – Ktoś powiedział: „Siadaj, Sherman, teraz głos ma ten-a-ten”. Ale inny wściekły facet zawołał: „Nie, dajcie mu mówić!”. Powiedziałem im, że wykonywałem polecenia przełożonych. Powiedziałem, że sam straciłem przez to zdrowie. Że wyrzucili mnie za absencję. Nie wspomniałem tylko, że za prezydialnym stołem siedzi członek komisji dyscyplinarnej, która wywaliła mnie z PPG. Kiedyś stawiał na mnie na weekendowych wyścigach NASCAR. To w tym wszystkim było najlepsze: obaj faceci z PPG siedzieli, jak gdyby nigdy nic, z rękami założonymi za głową.

Teraz rybacy wiedzieli, że ryby są naprawdę skażone. Niedługo po zebraniu w Burton Coliseum wytoczyli PPG sprawę z powództwa cywilnego, która zakończyła się pozasądową ugodą. Dostali głupie dwanaście tysięcy dolarów na głowę.

### *Inne sprawy, inne rozliczenia*

Lee wykonywał ciężką, nieprzyjemną, niebezpieczną pracę. Na polecenie przełożonych spuszczał toksyczne odpady do wód publicznych. Odwalał za firmę brudną robotę, biorąc na siebie moralną odpowiedzialność, a potem został zdradzony i wyrzucony, jakby sam był odpadem. Najbardziej bohaterskim czynem w jego całym życiu było ujawnienie wstydliwej tajemnicy fabryki i poinformowanie wściekłych na rząd rybaków, że wina leży po stronie koncernów w rodzaju PPG.

A mimo to w swoim życiu Lee przeszedł długą drogę z lewa na prawo. Opowiada z dumą, że w młodości, mieszkając w stanie Waszyngton, „zaangażował się w kampanię wyborczą pierwszej kobiety, która wystartowała stamtąd do Kongresu”. Ale kiedy w latach 50. przeniósł się za pracą z Seattle do Dallas, zmienił się z konserwatywnego demokraty w republikanina, a po 2009 roku w zwolennika Partii Herbacianej. Chociaż zdrada, której doświadczył ze strony wielkiego przemysłu, była centralnym doświadczeniem jego życia, teraz czuł się (co odzwierciedlały jego poglądy polityczne) zdradzony przede wszystkim przez rząd federalny. Zgadzał się, że PPG i inne lokalne zakłady petrochemiczne wyrządziły dużo zła i że należy to naprawić. Nie sądził, by przemysł sam z siebie zdecydował się „zrobić to, co należy”. A jednak nie chciał, by rząd federalny odgrywał rolę przeciwwagi dla wielkich koncernów. Lee popierał kandydatów, którzy domagali się usunięcia prawie wszystkich barier ograniczających zanieczyszczenia przemysłowe

i odebrania większości prerogatyw EPA. Administracja Bezpieczeństwa i Higieny Pracy (Occupational and Health Administration, OSHA, wydział amerykańskiego Departamentu Pracy) bardzo wiele zrobiła dla poprawy warunków pracy robotników i Lee Sherman to doceniał, ale uważał, że ta sprawa jest już w zasadzie załatwiona.

Życie jednego człowieka, Lee Shermana, odzwierciedla obie strony Wielkiego Paradoksu – potrzebę pomocy i odrzucanie pomocy na gruncie pryncypiów. Był ofiarą zatrucia toksycznymi chemikaliami, współsprawcą zanieczyszczenia wód publicznych i zagorzałym obrońcą środowiska, jak sam się teraz z dumą określał, dlaczego więc związał swój los z antyekologiczną Partią Herbacianą? Przecież bracia Koch nie płacili mu za to – przynajmniej nie bezpośrednio. Lee ustawiał na trawnikach tabliczki z nazwiskiem kandydata Partii Herbacianej za darmo. Ale jego głównym źródłem wiedzy o świecie były stacja Fox News oraz vlogi i blogi jego prawicowych przyjaciół, które nieustannie obrzucały błotem EPA, rząd federalny, prezydenta Obamę i podatki.

Jak się wydaje, zwolennicy Partii Herbacianej dochodzili do swojej nienawiści do Waszyngtonu jedną z trzech dróg – przez wiarę religijną (uważali, że rząd ogranicza swobodę wyznania), przez niechęć do podatków (ich zdaniem zbyt wygórowanych i zbyt progresywnych) oraz (jak zobaczymy później) przez poczucie urażonego honoru. W przypadku Lee decydującą rolę odegrały podatki. Według niego trafiały do niewłaściwych ludzi – przede wszystkim do beneficjentów opieki społecznej, „którzy w dzień się lenili, a w nocy imprezowali", oraz do obiboków na ciepłych państwowych posadkach. Wiedział, że zdaniem liberalnych demokratów powinien bardziej troszczyć się o beneficjentów opieki społecznej, ale nie zgadzał się, by zasady poprawności politycznej dyktowały mu, komu ma współczuć. Miał własny, bardziej lokalny – i osobisty – sposób okazywania współczucia ubogim. Co roku na Boże Narodzenie razem z żoną, „Miss Bobby", zdejmował ze świątecznej choinki Beau-Care (lokalnej organizacji non-profit działającej w parafii Beauregard) siedem kopert z nazwiskami dzieci i przygotowywał dla nich podarki gwiazdkowe. („W kopercie jest kartka z rozmiarem obuwia. Jeśli jest za duży, wiesz, że buty dostanie dorosły, więc ich nie kupujesz. Moja żona wydaje na te dzieciaki pieniądze, których sami nie mamy").

Lee i Miss Bobby faktycznie żyli z zasiłku i było im bardzo ciężko. Dwa kolejne zdarzenia dodatkowo spotęgowały jego niechęć do Federalnego Urzędu Podatkowego (IRS). Pewnego razu bowiem Lee znalazł pracę na część etatu, dzięki której mógł trochę dorobić, ale pracował więcej godzin, niż pozwalają przepisy federalne, został na tym przyłapany i na cały rok cofnięto mu zasiłek. Przetrwał trudny okres tylko dzięki pomocy swojego mormońskiego Kościoła i Mike'a Tritico, który sam ledwo wiązał koniec z końcem. Ale jeszcze bardziej rozgniewało go inne wydarzenie.

– Umówiłem się z urzędniczką w miejscowym biurze IRS, żeby odebrać zwrot

podatku na określoną sumę. Wszystko poszło nie tak, jak powinno – opowiada Lee. – Dziewczyna włożyła przezroczystą bluzkę, żeby mnie zdekoncentrować. Domagała się Bóg wie jakich rachunków, źle podliczyła należną mi sumę i wypłaciła mniej, niż miałem dostać. Oszukała mnie. Potrzebowałem tych pieniędzy, ale nawet nie zrealizowałem czeku. Jestem upartym człowiekiem – tłumaczy. – Kiedy ktoś nadepnie mi na odcisk, nie zapominam tego.

Znów chciał wyrównać rachunki, tak jak wtedy, gdy w Burton Coliseum odpłacił pięknym za nadobne facetowi z komisji dyscyplinarnej, która zwolniła go za rzekomą absencję. I rzeczywiście znalazł sposób, by policzyć się z urzędniczką, ze wszystkimi urzędnikami IRS i z samym źródłem podatków – rządem federalnym w Waszyngtonie. Wyrównał rachunki. Powtórzył Burton Coliseum. Wstąpił do Partii Herbacianej.

Lee gotował się ze złości, kiedy wyrzucono go z pracy w PPG i dwóch strażników odprowadziło go na parking.

– Miałem przy sobie broń – mówi. – Nie chciałem zrobić krzywdy ludziom, a na pewno już nie moim kolegom, ale chętnie dowaliłbym fabryce. T a k i byłem wściekły.

Z drugiej strony, to właśnie w fabryce przeżył chwile największej chwały, udowodnił swoją fachowość, wytrzymałość, męskość. Kiedy sobie to wszystko podliczył, wyszło mu, że bardziej wściekły jest na rząd. PPG płaciło mu pieniądze. Rząd mu je zabierał.

Spędziłam w jadalni domu Lee trzy i pół godziny. Wszystkie ciasteczka są już zjedzone. Gdy zbieram się do wyjścia, chwyta balkonik i drepcząc wolniutko, odprowadza mnie na ganek, do którego przylega garaż z poczwórną bramą (większy od samego domu). Stoją w nim trzy samochody wyścigowe w różnych stadiach remontu. Pod jedną ze ścian piętrzy się stos trzydziestu plastikowych tabliczek z nazwiskiem Johna Fleminga, kandydata do Kongresu z ramienia Partii Herbacianej, które Lee zamierza rozstawić na trawnikach przed domami sąsiadów.

Uśmiecha się do mnie promiennie i zaprasza, żebym jeszcze wpadła (nie zdążyliśmy obejrzeć zdjęć). Kiedy odjeżdżam, macha mi na pożegnanie. Odpady toksyczne, które pod osłoną mroku spuszczał do wód publicznych, spływały do Bayou d’Inde, do miejsca, gdzie od pokoleń mieszkała pewna rodzina. Czy oni też stanowili część Wielkiego Paradoksu? Uznałam, że powinnam się z nimi spotkać.

# 3
# Ludzie, którzy pamiętają

Siedzę na sofie w salonie Harolda Areno, sympatycznego montera rurociągów, Kajuna, który z sąsiedniego fotela ostrożnie pokazuje mi duży album ze zdjęciami. Wodzi dłonią po plastikowych osłonkach czarno-białych fotografii. Powoli przewraca strony, szuka konkretnego zdjęcia. Siedemdziesięciosiedmioletni Harold, były diakon Kościoła Zielonoświątkowego Latarni Morskiej Tabernakulum, ma na sobie koszulę w szkocką kratę i dżinsy. Mówi powoli, barytonem, nie odrywając oczu od zdjęć. Często kończy myśl krótkim chichotem, jakby chciał powiedzieć: „To nic takiego".

Wreszcie znalazł. O, tutaj. Matka, ojciec i dziewiątka rodzeństwa stoją w dwóch rzędach na brzegu Bayou d'Inde, mrużąc oczy przed promieniami słońca. Jest rok 1950[56]. Harold wymienia imiona braci i sióstr. Opowiada, jak jego mama łowiła z łodzi niszczuki, przywabiając ryby do burty, klepiąc po bokach, a potem wyciągając ręką za skrzela. Wolno odwraca stronę albumu. Teraz patrzymy na zdjęcie ojca Harolda w otoczeniu jego własnych braci i sióstr. Wszyscy oni urodzili się i dorastali zaraz naprzeciwko, po drugiej stronie Bayou d'Inde, którego nazwa oznacza *bayou* (rozlewisko) Indian. Dalej, w rozmaitych układach, rodzina na pikniku, rodzina błaznuje, pływa, wyrzuca z łodzi arbuza, żeby najpierw pobawić się nim w wodzie, a potem zjeść.

Ale to nie rodzinę chce mi pokazać. Wskazuje na sylwetki na drugim planie, jakby przedstawiał zaprzyjaźnionych sąsiadów. Za twarzami ludzi widnieją majestatyczne cypryśniki, wielkie trójkątne sylwetki wyrastające z wody, niegdyś nadobne królowe podmokłych lasów południowo-wschodniej Luizjany i do dziś oficjalny symbol tego stanu. Z dolnych, szeroko rozpostartych gałęzi zwisają festony mchu; przypominają koronkowe szale narzucone na ramiona dam w balowych sukniach.

– Były takie wysokie, że słońce prawie nie docierało do powierzchni rozlewiska – mówi cicho Harold.

Cypryśniki osiągają pięćdziesiąt metrów wysokości i dożywają sześciuset lat, a znane są nawet okazy tysiącsiedemsetletnie. Ojciec Harolda robił z ich pni płaskodenne pirogi, typowe dla kultury kajuńskiej. Przywoził pnie do tartaku, piłował w swoim warsztacie i budował z nich łodzie, które wynajmował potem rybakom. Za trzydzieści dolarów miesięcznie pilnował również dwuskrzydłowego zwodzonego

mostu, który otwierał specjalnym obrotowym kołem, żeby przepuścić statki. Poza tym uprawiał ziemię i łowił ryby.

– Wrzućcie Kajuna do bagna – chichocze Harold, dla emfazy unosząc brwi – a znajdzie sposób, by zarobić na życie.

Ale to było kiedyś.

Ze skraju swojego podwórza Harold pokazuje mi słonawe *bayou*. Tu i ówdzie z wody sterczą martwe szare pnie, niektóre zgięte jak pokonani żołnierze. Cmentarzysko umarłych drzew ciągnie się jak wzrokiem sięgnąć. Harold bezsilnie opuszcza ramiona.

Jesteśmy kilka metrów poniżej miejsca, gdzie Lee Sherman otwierał zawór „wózka smołowego” i spuszczał toksyczne substancje do wód publicznych. Droga wodna rozgałęzia się i prowadzi stamtąd w jednym kierunku do domu Arenów, w drugim zaś przewęża się w Calcasieu Ship Channel, by następnie rozlać na porośniętą kępami trawy *Spartina patens* przybrzeżną równinę błotną w strefie pływów, niespiesznie pokonać ostatnie pięćdziesiąt kilometrów i wpaść do Zatoki Meksykańskiej, z której pochodzi połowa ryb i owoców morza trafiających na amerykańskie stoły. Smoliste osady wyrzucane przez Lee Shermana do bagna w pobliżu zakładów PPG spływały z biegiem strumienia. Postanowiłam pójść ich śladem i odwiedzić Arenów, by spojrzeć na Wielki Paradoks z nieco innej perspektywy.

Od trzech pokoleń Arenowie łowili ryby, polowali, uprawiali ogrody i pola wokół pomalowanego na brązowo, niewiarygodnie schludnego drewnianego domu z zielonymi okiennicami, otoczonego starannie przystrzyżonym trawnikiem. Na podjeździe, wzdłuż którego ciągnęły się grządki lilii i hibiskusów, stała biała półciężarówka. Wychodzący na rzekę ganek zdobiła ogromna flaga Stanów Zjednoczonych. Dom Arenów jest jednym z dwóch ostatnich przy mniej więcej półtorakilometrowym odcinku Bayou d’Inde Pass Road, w którym jeszcze ktoś mieszka. Sąsiedni, należący kiedyś do siostry Harolda, od dawna stoi pusty. Inne rodziny też się wyprowadziły i na długim pasie ziemi pomiędzy wąską bitumiczną drogą a *bayou* zostały tylko zarośla sosny wirginijskiej.

– Nie wiedzieliśmy, co mamy, dopóki tego nie straciliśmy – mówi Harold.

Na jednym brzegu *bayou* dorastał, a na drugim, „w zasięgu krzyku” od rodzinnego domu, wychował swoje dzieci. Stracił nie tylko młodość, drzewa i wielu członków rodziny, lecz także swój sposób życia.

– Mieliśmy czterdzieści akrów [szesnaście hektarów] – opowiada. Zamknięty album ze zdjęciami spoczywa teraz na jego kolanach. – Na dwóch uprawialiśmy fasolę strączkową, kukurydzę i warzywa. W nocy łapaliśmy żaby, a w dzień łowiliśmy ryby: niszczuki, okonie.

Także inne gatunki ryb: kulbińce, menhadeny atlantyckie, barweny, łososie

w okresie tarła, którymi żywiły się czaple, pelikany dzioborogie i pelikany brunatne, mewy, warzęchy, rybitwy i siewki, które niegdyś żyły tu jak w raju.

– Żaby kumkały przez całą noc. I mogliśmy pić wodę z rozlewiska.

Harold i jego liczni bracia i siostry założyli własne gospodarstwa na należących do rodziny szesnastu hektarach nad brzegiem *bayou*.

– Do sklepu jeździliśmy tylko raz w miesiącu po cukier, wanilię i tego rodzaju produkty. Hodowaliśmy kury, świnie, krowy, uprawialiśmy ogród. Żyliśmy z *bayou*. W niedzielę jedliśmy na obiad żaby, w pozostałe dni chowder z suma. Do śmietany od naszych krów dodawaliśmy cukier i wanilię, robiliśmy domowe lody. Mamuśka była francuską damą – oznajmia Harold. – Mówiła po francusku, grała na akordeonie *The Watermelon Man*, codziennie gotowała trzy posiłki dla dwunastu osób na opalanej drewnem kuchence. Była dużą kobietą, ważyła sto kilo – opowiada. – Kiedy zabiła kurczaka, mięso wrzucała do garnka z *gumbo*, a wnętrzności używała jako przynęty na sumy. Nic się nie mogło zmarnować.

Jak wielu mieszkańców południowo-zachodniej Luizjany Arenowie byli potomkami francuskich katolików z Akadii, *les Cadiens*, których później zaczęto nazywać Kajunami. W 1765 roku, po zwycięstwie nad Francją, Brytyjczycy brutalnie wygnali ich z kanadyjskiego Nowego Brunszwiku, wywożąc statkami i wysadzając w różnych miejscach Zachodniego Wybrzeża. W końcu siedem okrętów z wygnańcami przybiło do portu w Nowym Orleanie, skąd Kajunowie rozproszyli się po bagiennych terenach południowo-zachodniej Luizjany, mieszając z Indianami Atakapa, a z niektórych obszarów ich wypierając. Rodzice Harolda prawie nie chodzili do szkoły, bo francuski w szkołach był zakazany, a dzieci francuskojęzycznych osadników przyjmowano do nich niechętnie[57]. Sam Harold ukończył tylko osiem klas.

Annette Areno, piękna siedemdziesięciokilkulatka z połyskującymi złociście siwymi włosami upiętymi na czubku głowy, też pamięta *bayou*, którego już nie ma. Nosi okulary, ma na sobie różową bluzkę i długą spódnicę w kwiaty. Jest ciepłą, pełną życia kobietą, która mówi cicho, lecz wyraźnie i z namysłem. Słucha opowieści Harolda, uzupełniając je i poprawiając, kiedy to jest konieczne. Tonem głosu podkreśla powagę słów męża, ale swobodnie wtrąca własne spostrzeżenia i uwagi, porównując *bayou* z farmą dziadka w Kinder, na której dorastała. Niedawno została uhonorowana specjalną nagrodą uznania za wieloletnią pracę woźnej w liceum w pobliskim Sulphur.

– Sprzątałam po nastolatkach – mówi z rozbawieniem. – Pamiętam, jak chroniliśmy się przed letnim skwarem w cieniu cypryśników. Zwisający z gałęzi mech był wtedy zielony. Żaby miały czym oddychać i mogły polować na rozmaite gatunki małych rybek. A potem pojawił się przemysł. Zaczęło śmierdzieć i nawet w upalne noce musieliśmy zamykać okna. Wytruł cypryśniki i trawę stąd aż do samej

Zatoki. Nadal nie można jeść ryb, a woda nie nadaje się do picia.

– Unoszące się na wodzie kawałki gumy zatykały pompę wody w motorówce. Powyżej była fabryka Firestone – dodaje Harold.

W drzwiach staje czterdziestosześcioletni syn Arenów, Derwin. Energiczny szatyn, monter rurociągów (poszedł w ślady ojca) zatrudniony w pobliskich zakładach petrochemicznych, odwiedził rodziców, korzystając z dnia wolnego od pracy. Przywiózł jedzenie na wynos z Popeye Louisiana Kitchen: kurczaka, ryż z fasolą, sałatkę coleslaw, słodkie bułeczki. Annette przygotowuje kawę i nakrywa do lunchu, przepraszając, że nie przyrządziła go sama.

Po modlitwie Derwin włącza się w rozmowę, która robi na mnie wrażenie dobrze przećwiczonego rodzinnego rytuału.

– Urodziłem się w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym drugim roku. Pamiętam tylko martwe cypryśniki i smród unoszący się znad wody. Teraz, dokądkolwiek bym pojechał, potrafię wyczuć po zapachu, czy woda i powietrze są dobre, czy złe. Jakbym miał specjalny instynkt. Woda na powierzchni jest teraz czystsza niż kiedyś, ale nie chciałaby pani zmącić błota na dnie. W nocy, kiedy wieje od wschodu, czuć spalenizną. Zawsze w nocy.

– Od wielu lat nie słyszałem żaby ryczącej – dodaje Harold. – Słyszałem jedną jakieś trzy lata temu, ze środka ścieku, ale szybko zamilkła. Nie wiem, czy ktoś ją złapał, czy zdechła.

Harold opowiada, jak w czasie masowego śnięcia ryby rzucały się na powierzchni wody i na brzegu, „próbując chwytać powietrze”. Następnie zmienia temat na żółwie i zaczynam rozumieć, że robimy makabryczny przegląd inwentarza.

– Zauważyliśmy, że zbielały im ślipia. Siedziały bez ruchu na pniu i nie zeskakiwały do wody, by złapać coś do jedzenia. Oślepły i zagłodziły się na śmierć.

Harold i Annette ze znajomością rzeczy i niezachwianym spokojem opowiadają na zmianę o różnych stworzeniach, jakby kolejno odsyłali je na wieczny odpoczynek.

– Ojciec znalazł poprzewracane krowy. Leżały na ziemi – ciągnie opowieść Harold. – Napiły się wody. Kury też. Z początku dreptały w kółko ze zwieszonymi skrzydłami. A potem kładły się i zdychały. To samo stało się ze stadami kóz i owiec. Wszystkie mu wyzdychały. – Wydaje z siebie niewesoły barytonowy chichot, jakby chciał powiedzieć: „Cóż począć?”.

Czuję się, jakbym oglądała odtwarzaną w zwolnionym tempie scenę zbrodni. „Wózek smołowy” Lee Shermana to tylko część obrazu. Dopełniały go inne koncerny przemysłowe i władze stanu.

– Mój siostrzeniec hodował świnie – mówi dalej Harold z błyskiem oburzenia w oku. – Wiesz, że świnie mogą znieść prawie wszystko. Zanim dał im pomyje, musiał je gotować, z powodu wody. Ale pewnego dnia wieprzki wyrwały się z chlewu, napiły z *bayou* i zdechły. Inspekcja sanitarna przyczepiła się do mojego

siostrzeńca, że nie upilnował świń, ale n a w e t n i e k i w n ę ł a p a l c e m w s p r a w i e z a t r u t e j w o d y.

W splatających się ze sobą jak warkocz opowieściach Harolda, Annette i Derwina wyczuwałam rezygnację i jednocześnie bunt. Gdy mówili, spoglądali to na okno, za którym znajdowało się *bayou*, to w dół, na stojące przed nimi talerze, to znów na mnie, sprawdzając, czy słucham z wystarczającą uwagą. Nie pytali mnie, co o tym myślę, tylko kręcili głowami, jakby chcieli powiedzieć: „To nie powinno się było wydarzyć". Od lat czekali na możliwość wypowiedzenia się w sądzie i to czekanie pochłonęło już niemal wszystkie ich siły i prawie cały gniew.

Ale to jeszcze nie koniec. Stracili dużo więcej niż ryby i zwierzęta. Przygotowuję się na najtrudniejsze.

Harold cicho kaszle i poprawia się na krześle.

– Pierwszy odszedł mój szwagier, J.D. – zaczyna wyliczać. – Zachorował na raka mózgu i umarł w wieku czterdziestu siedmiu lat. Po nim zmarła moja siostra, Lily May, która mieszkała tu obok. Miała raka piersi z przerzutami do kości. Mama umarła na raka płuc i pęcherza. I jeszcze nasi sąsiedzi znad *bayou*, Edward May i Lambert, też umarli na raka. Także Julia i Wendell, mieszkali trzy kilometry od nas. Moja siostra wychowała się tutaj, ale przeprowadziła się nad rzekę Houston. Walczy z rakiem. No i mój drugi szwagier miał raka prostaty z przerzutami do kości.

(Annette i Harold też chorowali na nowotwory, ale udało im się wyzdrowieć).

– Tylko mojego ojca nie dopadł rak – mówi Harold – ale on nigdy nie pracował w fabryce. Cała reszta, która mieszkała na tych czterdziestu akrach, moje siostry, bracia, ich mężowie i żony, zachorowała na raka.

Poza Annette i Haroldem wszyscy członkowie ich rodziny, którzy musieli zmagać się z rakiem, umarli. We wcześniejszych pokoleniach – na przykład dziadków Harolda – nowotwory nie występowały. Aronowie są zielonoświątkowcami, więc nikt w rodzinie nie palił ani nie pił alkoholu.

– A teraz woda jest czysta? – pytam głupio, nie wiedząc, co powiedzieć.

– Ach, nie – odpowiada Derwin. – Po ulewnym deszczu woda w *bayou* podnosi się i spłukuje zanieczyszczenia z roślin. Strasznie wtedy śmierdzi. Ostatnio mówi się, że będą ją oczyszczać, ale nie wiem, w jaki sposób można to zrobić[58].

Rozmowa schodzi na temat metod oceniania, czy dana ryba nadaje się do spożycia. Wyłaniają się trzy odmienne filozofie. Harold nie jada ryb złowionych w Bayou d'Inde – sama ta nazwa równa się dla niego z zagrożeniem.

– Telewizja stara się bagatelizować niebezpieczeństwo – ostrzega. – Po wycieku BP [British Petroleum] powiedzieli, że można jeść krewetki. Ale czy ktoś je sprawdził? Nie sądzę. Ja tam nie biorę ich do ust.

Ku zdumieniu rodziców Derwin oświadcza, że ocenia przydatność do spożycia ryb po wyglądzie, zapachu i strawności.

– Jeśli krewetka dobrze pachnie i smakuje, a po zjedzeniu nic mi nie dolega, uważam, że jest okej.

– I tak mogą ci zaszkodzić – uprzedza go Harold. – Dawniej na okrągło jedliśmy ryby. Dziś robimy to rzadko i nigdy nie jemy ryb z tego *bayou*. Kiedy wędkuję, wypuszczam cały połów.

– A ja złowiłem i przyrządziłem parę łososi – opowiada Derwin – bo w okresie tarła m i g r u j ą tutaj aż z Zatoki Meksykańskiej. Można je tu złapać, ale to jeszcze nie znaczy, że tu składają ikrę. Łososie nie siedzą tu cały czas, jak niszczuki. Więc uznałem, że w porządku, mogę je zjeść. Oprawiłem je. Powąchałem je przed przyrządzeniem, próbowałem wyczuć, czy nie mają dziwnego zapaszku, ale nie, pachniały jak normalna ryba. Wydawały się zupełnie zwyczajne. Chociaż nie miałem żadnego niszczuka z zatoki, żeby je porównać. Upiekłem je nad ogniskiem i spróbowałem, czy nie smakują dziwnie, ale nie, były, o rany, pyszne. Więc je zjadłem.

Annette patrzy na swojego syna z miłością i troską. Dla Derwina decydujące kryterium stanowi miejsce składania ikry; łosoś jest bezpieczny, niszczuk nie.

– Żadna ryba z *bayou* nie jest bezpieczna – Harold zgadza się z Annette. Ale gdyby miał ją zjeść, wybrałby bezpieczną c z ę ś ć. – Podpytałem faceta z Komisji do spraw Rybołówstwa i Myślistwa, z jakich części ryby bierze mięso do swoich próbek. Powiedział: „Pobieram tkankę tłuszczową i ciemne mięso, bo to w nich gromadzą się substancje chemiczne”. A ja mu na to: „Cieszę się, że mogłem z panem pogadać. Jeśli będę jadł rybę, wyrzucę tłuste kawałki i ciemne mięso”.

### *Mapa na serwetce*

Trochę wcześniej biolog morza i stary przyjaciel Arenów, Mike Tritico, narysował dla mnie na serwetce mapę. Kropka pośrodku oznaczała dom Arenów nad Bayou d’Inde. Niecałe dwa i pół kilometra na wschód znajdowała się fabryka Pittsburgh Plate Glass (PPG), gdzie pracowali Lee Sherman i Harold Areno. Później opłynę łodzią z Haroldem i Mikiem estuarium Lake Charles i dotrę do miejsca, gdzie Lee w tajemnicy spuszczał do wód publicznych substancje toksyczne z „wózka smołowego”. Porastające brzeg wysokie srebrzyste wiechcie trawy o nazwie spartyna nadawały mu pozornie normalny wygląd; na pierwszy rzut oka nic nie zdradzało straszliwego sekretu Lee.

Dawne zakłady PPG, które tymczasem zmieniły właściciela i otrzymały nową nazwę, Axiall, produkują chlorowane węglowodory[59]. Sześć i pół kilometra na wschód od domu Arenów znajdują się instalacje koncernu Conoco, z których w 1994 roku wyciekło ponad półtora miliona ton dichlorku etylenu (EDC). Był to jeden

z największych wycieków chemikaliów w Ameryce Północnej[60]. Sześć kilometrów na północ od domu Arenów działa należąca do koncernu Entergy elektrownia węglowa Nelson Station. Trzy kilometry na północ leży Willow Springs, czarne osiedle, gdzie w 1982 roku firma zajmująca się przetwarzaniem odpadów niebezpiecznych, Brown and Ferris International, wyrzucała szkodliwe substancje na otwartych składowiskach, wywołując falę zachorowań mieszkańców. Również na północ od domu Arenów południowoafrykański gigant energetyczno-chemiczny Sasol buduje pierwszą skraplarnię gazu oraz największy kompleks przemysłowy w Stanach Zjednoczonych[61]. Dalej, niespełna pięćset kilometrów na południowy wschód, na wodach Zatoki Meksykańskiej, eksplozja platformy wiertniczej Deepwater Horizon spowodowała w 2010 roku największy wyciek ropy w historii świata. Uświadomiłam sobie, że Bayou d'Inde jest epicentrum petrochemicznego imperium – i Wielkiego Paradoksu[62].

Większość szkodliwych substancji, które trafiały do *bayou*, opadała na dno rozlewiska: rtęć, metale ciężkie, dichlorek etylenu i chlorowane dioksyny. Początkowo więc zagrożenie koncentrowało się głównie tam. Jednak kiedy Korpus Inżynieryjny Armii Stanów Zjednoczonych dwukrotnie przebagrował pobliski kanał dla statków, „zgarnął – jak powiedział mi Harold – toksyczny muł z dna i rozsmarował go po brzegach, nie oznaczając skażonych miejsc". Teraz Arenowie nie mogą więc ufać także brzegom. Nie uszło mojej uwagi, że była to decyzja wojsk inżynieryjnych, a zatem rządu federalnego w Waszyngtonie.

Zapytałam Arenów, co sądzą o wprowadzeniu bardziej rygorystycznych przepisów, które ograniczyłyby działalność trucicieli. Zastanawiałam się, czy w wyborach głosowali na kandydatów nawołujących do oczyszczenia środowiska, czy, jak Lee Sherman, jednak nie.

– Zaostrzenie przepisów na pewno by się przydało – odpowiada Harold.

– Nie jesteśmy przeciwko przemysłowi – wyjaśnia Annette. – Cieszyliśmy się, gdy do nas przybył. Stworzył miejsca pracy. Byliśmy zadowoleni, kiedy Harold dostał robotę. Ale od kilkudziesięciu lat nie kiwnęli palcem, by oczyścić *bayou* albo wypłacić nam odszkodowanie, żebyśmy mogli się stąd wynieść.

Podobnie jak ich przyjaciele i pozostali członkowie rodziny, Harold i Annette są republikanami i w wyborach prezydenckich w 2012 roku głosowali na Mitta Romneya.

– To oczywiście człowiek wielkiego biznesu – stwierdza Harold. – Gdyby tu rządził, składałby przyjacielskie wizyty dyrektorom okolicznych zakładów. Nie zawracałby sobie głowy stanem środowiska.

Łagodny, beznamiętny ton ich wypowiedzi każe mi sądzić, że ten temat właściwie przestał być dla nich ważny.

– Głosujemy na kandydatów, którzy kierują się Biblią – dodaje Harold. –

Staramy się wieść przyzwoite i prawe życie i tego samego oczekujemy od naszych przywódców.

Zanim Arenowie w wyborach w 2012 roku zagłosowali na Romneya, popierali byłego senatora z Pensylwanii, Ricka Santoruma. Haroldowi i Annette nie podoba się, że „chciwe korporacje” nie liczą się ze zwykłymi ludźmi.

– Branża naftowa próbowała nie dopuścić do produkcji samochodów elektrycznych – mówi Annette.

– Republikanie popierają wielki biznes – zgadza się z nią Harold. – Nie pomogą nam w rozwiązaniu problemów, które tu mamy.

Republikanie powołują się jednak na Boga i wartości rodzinne.

– To nam się podoba – mówi Annette. – W Piśmie jest powiedziane, że Jezus chce, byśmy dbali o interesy Jego Ojca.

Wiara pomogła im przetrwać bolesną stratę bliskich, przyjaciół, sąsiadów, żab, żółwi i drzew. Uważają, że to Bóg dał im siłę i odwagę, by stawili czoła przeciwnościom losu, i są Mu za to wdzięczni.

– Nie wiem, co ludzie robią, jeśli nie znają Boga – mówi Annette.

W przypadku Arenów wiara religijna wkroczyła do przestrzeni kulturowej, w której polityka mogła odegrać istotną, niezależną rolę. Czuli, że polityka im nie pomogła, ale Biblia tak.

W wyborach gubernatora stanu Arenowie dwukrotnie zagłosowali na Bobby’ego Jindala, ponieważ odwoływał się do wiary i wartości rodzinnych[63]. Jindal nie uważał oczyszczenia środowiska za istotną sprawę. Zwracając się do konserwatywnego *think tanku* Heritage Foundation, powiedział, że za pomocą ograniczeń emisji i przepisów ochrony środowiska prezydent Obama „uczynił z naszej gospodarki zakładniczkę radykalnych ideologii”. W 2014 roku Jindal podarował przemysłowi 1,6 miliarda dolarów tytułem „zachęty” do inwestowania w Luizjanie (394 USD w przeliczeniu na mieszkańca). Wyjął te pieniądze z budżetu stanu, jednocześnie zwalniając trzydzieści tysięcy pracowników sektora budżetowego, w tym pielęgniarki, salowe, techników medycznych, nauczycieli oraz inspektorów BHP[64].

Jak się wydaje, zwolenników prawicy głęboko poruszają trzy sprawy: podatki, wiara i honor. Lee Sherman chciał płacić niższe podatki, Arenowie – bronić swojej chrześcijańskiej wiary. Na te zasadnicze motywacje nałożyły się pewne pragnienia osobiste: Lee, który wziął na siebie winę za zanieczyszczanie wód publicznych i został oszukany przez nieuczciwą urzędniczkę skarbówki, chciał wyrównania krzywd. Uważał, że urząd skarbowy jest skorumpowany, a podatki z definicji wiążą się z nieuczciwością. Człowiek nie wiedział, gdzie idą ani na co. Po tym wszystkim, co wycierpieli i przez co przeszli z pomocą Boga i swojego Kościoła, Arenowie pragnęli powierzyć swój los przywódcom, którzy kierują się Słowem Bożym. I dla Lee, i dla Arenów kluczową kwestię stanowiło zaufanie. Trudno im było zaufać

sąsiadom, a co dopiero politykom z dalekiego Waszyngtonu. Ludziom tak silnie przywiązanym do swoich korzeni rząd federalny wydawał się niezmiernie odległy. Podobnie jak wszyscy, z którymi będę rozmawiała później, i Lee, i Arenowie czuli, że utracili – a może im ukradziono? –swój kulturowy dom, własne miejsce na ziemi i honor.

Politycy, których obdarzali największym zaufaniem, nie oferowali pomocy w oczyszczeniu środowiska. Ci zaś, którzy taką pomoc proponowali – kim oni w ogóle byli? Za czym się opowiadali? Na tym polegał dylemat. Zarówno Lee, jak i Arenowie oddali swoje głosy na republikańskiego kandydata Davida Vittera, który w 2011 roku zagłosował za zlikwidowaniem Agencji Ochrony Środowiska (EPA). Głosował również przeciwko utworzeniu Narodowego Funduszu na rzecz Oceanów (National Endowment for the Oceans), którego zadaniem miała być ochrona oceanów, obszarów przybrzeżnych i ekosystemu Wielkich Jezior. Ostro zaatakował EPA, kiedy agencja ogłosiła, że formaldehyd ma działanie rakotwórcze, i uzyskał zero punktów na karcie głosowań League of Conservation Voters[65].

Jeśli chodzi o zagrożenia dla obszarów przybrzeżnych Luizjany, żaden z polityków, na których głosowali moi prawicowi przyjaciele, nie uważał ich za realne. Republikański gubernator Bobby Jindal nazwał zmiany klimatyczne „koniem trojańskim”, z którego wyskoczy horda nowych uregulowań prawnych. Lee Sherman sądził, że zmiana klimatu to „stek bzdur”. Wymysł federalnej biurokracji. Odwoływanie się do liberalnych lęków, a nie do konserwatywnej podejrzliwości i brawury. Ale Harold, Annette i Mike Tritico od czasu do czasu spotykali się w salonie Arenów, by wspólnie studiować Objawienie świętego Jana, rozdział 11, wers 18, gdzie jest mowa o tym, że Bóg wytraci tych, którzy niszczą ziemię. W Ewangelii według świętego Marka, rozdział 13, wers 19, też przeczytali: „Albowiem dni owe będą taką udręką, jakiej nie było aż dotąd od początku stworzenia, którego dokonał Bóg, i jakiej już nie będzie”[66]. Patrzyli na problem zmian klimatycznych z punktu widzenia swojej wiary, a Mike, biolog morza, dał im podbudowę naukową. Wspólnie doszli do wniosku, że zmiana klimatu jest dziełem człowieka i że może doprowadzić do katastrofy, jeśli nie podejmie się zdecydowanych kroków. Biorąc pod uwagę, jakie poglądy na tę kwestię dominowały w ich otoczeniu, był to z ich strony prawdziwy akt odwagi. Rodziło się jednak pytanie, jak można naprawić tę sytuację? Również w tej kwestii Biblia dawała jaśniejszą odpowiedź niż polityka.

## *Ludzie, którzy pamiętają*

– Przeszkadzają im nawet tablice ostrzegawcze „Zakaz kąpieli” albo „Zakaz łowienia

ryb” – stwierdza Derwin. – Jakiś czas temu władze postawiły je tutaj, ale ktoś je szybko pousuwał. Kto to zrobił? Nie wiem. Ale wygląda na to, że ten ktoś, ktokolwiek to był, nie chce, by ludzie wiedzieli (a jeśli już wiedzą, to niech przynajmniej nic im o tym nie przypomina), że tutaj wszystko jest zanieczyszczone. Telewizja pokazuje reklamy Shell Oil z białymi czaplami lecącymi nad zielonym rozlewiskiem i muzyką w tle. Człowiek zaczyna się zastanawiać, o czym mamy zapomnieć – mówi. Jesteśmy już przy kawie i deserze i wszyscy kiwają głowami.

Arenowie pamiętają stare, dobre czasy nad czystym Bayou d’Inde, ale nie jest to zwykłe pamiętanie. Pamiętają na przekór potężnemu przemysłowi zapominania i władzom stanu. Powszechne, zinstytucjonalizowane zapominanie odmieniło prywatny akt żałoby. Ale także coś więcej. Zmieniło poczucie tożsamości Arenów. Nie wynieśli się znad Bayou d’Inde. Wytrwale trzymają się tego miejsca. Nie chcieli się stąd wyprowadzać, a nawet gdyby chcieli, nie mieli na to pieniędzy. Zatruwające środowisko koncerny nie wypłaciły im ani grosza, by umożliwić przeprowadzkę. Wartość ich nieruchomości spadła; kto chciałby zamieszkać przy Bayou d’Inde Pass Road, nawet w tak pięknie utrzymanym domu? Arenowie stali się emigrantami, nie ruszając się z miejsca. Nigdzie nie wyjechali. To środowisko naturalne ich opuściło.

Rzeczownik „nostalgia” pochodzi od greckich słów *nóstos*, powrót, i *álgos*, ból. W XVII wieku europejscy lekarze uważali nostalgię za chorobę, taką jak grypa. Zapadali na nią głównie cudzoziemscy służący, żołnierze i wędrujący za pracą. Leczono ją opium i pijawkami, a zamożnym pacjentom zalecano podróż w szwajcarskie Alpy[67]. Uczucie nostalgii było dobrze rozpoznane we wszystkich epokach. Portugalczycy nazywają je *saudade*. Rosjanie *toska*. Czesi *litost*. Również inne nacje dobrze je znają: Rumuni mówią na nie *dor*, Niemcy *heimweh*, Walijczycy *hiraeth*, Hiszpanie *mal del corazón*[68]. Na tę chorobę serca cierpią zwykle ludzie, którzy musieli opuścić swój dom, pozostawiając go jednak tam, gdzie stał. Harold i Annette nadal mieszkali w domu, ale środowisko naturalne odeszło.

Spotkałam również innych, którzy pamiętają. Pewien mężczyzna pamiętał las wyniosłych, ogołoconych z liści cypryśników, wykarczowany w latach 20. Amerykańska Służba Leśna (U.S. Forest Service) umieściła na terenie Atchafalaya National Heritage Area (Obszaru Dziedzictwa Narodowego Atchafalaya) tabliczki upamiętniające te drzewa. Jakiś urzędnik federalny wpadł na genialny pomysł nazwania czcigodnych pomników przyrody „Drzewami [Pamiętającymi] Zakup Luizjany”, ponieważ rosły tam już w momencie nabycia Luizjany przez rząd Stanów Zjednoczonych w 1803 roku. Inne były świadkami oficjalnego włączenia Luizjany do Unii (1812 rok). Ludzie, którym leżało na sercu dobro stanu, mogliby zainteresować się teraz jego drzewami. Były przecież jego przodkami. Paul Ringo, członek ekologicznej organizacji non-profit o nazwie Riverkeepers, nie potrzebował takiej pomocy, żeby pamiętać. Żył w chatce bez prądu i wody nad brzegiem rzeki Sabine,

czarnej jak atrament od ścieków z działającej w wyższym biegu papierni. Co noc słuchał ryku i bulgotania Sabine. Tropił trucicieli i eskortował grupki „wojowników modlitwy”, którzy próbują uratować rzekę modleniem się do Boga. W zasadzie był jednym z nich. Pieczołowicie pielęgnował pamięć Indian Atakapa, zamieszkujących niegdyś dorzecze rzeki, i wspierał ich podupadłych na duchu potomków w negocjacjach z władzami stanu.

– Sabine jest naszą wspólną własnością – oświadczył, kiedy go odwiedziłam. – Ale jeśli nie możesz pić z niej wody, nie możesz w niej pływać, łowić ryb ani ochrzcić swoich dzieci, to nie jest twoja. Należy do papierni.

Paul Ringo, podobnie jak Arenowie, to jeden z tych, którzy pamiętają.

Takie podejście nie było jednak powszechne, a to z dwóch powodów. Po pierwsze, do miasta sprowadzały się kolejne koncerny i perspektywa nowych stanowisk pracy, nowych pieniędzy i nowych produktów oszołomiła mieszkańców, wprawiając ich w euforię[69]. Wszyscy mówili o „postępie gospodarczym”, któremu nostalgia mogła stanąć na przeszkodzie. „Nie wierzysz w postęp gospodarczy?” – mógł ktoś zapytać. Poza tym ludzie uważali, że ochrona środowiska stała się konikiem lewicujących despotów z Waszyngtonu i zbijających bąki lokalnych urzędasów.

Skoro ta droga wyrażania nostalgii została zablokowana, Stanowe Biuro Turystyki (Louisiana State Tourist Bureau) otworzyło inną, pracowicie promując siedemdziesiąt pięć festiwali, jarmarków i imprez kulturalnych, które co roku odbywają się w Lake Charles: Mardi Gras ustępujący rozmachem jedynie nowoorleańskiemu, Cajun-Zydeco Music i Lake Charles Contraband Days – dwutygodniowa fiesta na cześć dawnych piratów. Oprócz tego jest jeszcze Święto Raków w Breaux Bridge, Święto Żab w Rayne i Smażenie Gigantycznego Omletu w Abbeville. Zmienili pamiętanie w zabawę[70].

Wielu pracowników zakładów petrochemicznych było zapalonymi myśliwymi i wędkarzami. Teraz mieli okropny zgryz. Kochali dziką przyrodę. Pamiętali ją z dzieciństwa. Jako myśliwi i wędkarze znali ją i szanowali. Znaleźli jednak zatrudnienie w przemyśle, który tę przyrodę niszczył i często robił to legalnie. Mieli na utrzymaniu dzieci i woleli dwa razy się zastanowić, zanim poprą jakikolwiek ruch ekologiczny czy inicjatywę rządu federalnego, która mogłaby zagrozić ich miejscom pracy. W telewizji Fox News, w miejscowej prasie, w rozmowach z przyjaciółmi stale powracał ten sam refren: zbyt silna nostalgia za kumkaniem żab i czystymi rzekami to właśnie zbyt silna nostalgia. W mieście panowało ogólne przekonanie, że nie należy przesadnie martwić się o środowisko, tęsknić za czasami, gdy było czyste, być za bardzo retro; mieszkańcy „nie powinni czuć” takich rzeczy. A to dlatego, że zaczął się boom na wydobywanie gazu metodą szczelinowania i do Lake Charles masowo ściągali nowi potencjalni pracodawcy, którzy chcieli go tu przetwarzać.

Jak na ironię, pamięć o dawnej świetności przyrody Południa przejęli po części urzędnicy administracji w Waszyngtonie i ekolodzy z Północy. Tabliczki finansowane z funduszy federalnych Amerykańskiej Służby Leśnej zachęcały lokalnych mieszkańców, by pamiętali historię swoich własnych wiekowych drzew. Riverkeepers Alliance z siedzibą w Nowym Jorku, założony przez waszyngtońskiego ekologa Roberta F. Kennedy'ego Juniora, przypominał tutejszym obywatelom, co mogą stracić, jeśli nie zachowają czujności. Arenowie uważali obrońców środowiska z Północy za naturalnych sojuszników w trudnej walce. Takiego samego zdania był Mike Schaff, który też wiele stracił wskutek niefrasobliwości przemysłu.

Arenowie musieli zmierzyć się z osobliwą „amnezją strukturalną”, jak nazwał to zjawisko brytyjski antropolog sir Edward E. Evans-Pritchard, który zresztą zajmował się zupełnie czym innym. Evans-Pritchard badał żyjący w Sudanie pasterski lud Nuerów, który miał zdumiewającą pamięć do pewnych rzeczy i zupełnie zapominał o innych. Na przykład zarówno mężczyźni, jak i kobiety pamiętali męskich przodków jedenaście pokoleń wstecz, lecz najczęściej nie umieli wymienić imion swoich przodkiń. Antropolog odkrył, że to, o czym pamiętali, i to, o czym zapominali, wpisywało się w określoną strukturę opartą na systemie rodowym, który był dominującą instytucją Nuerów. Naczelną rolę odgrywali w nim mężczyźni[71]. Evans-Pritchard doszedł do wniosku, że pamięć jest pośrednim wyrazem władzy.

Amnezja strukturalna, z którą musieli się zmierzyć Arenowie, dotyczyła czegoś innego i łączyła się z innym źródłem władzy: z Louisiana Chemical Association, The Society of the Plastics Industry, The Vinyl Institute, Shell Oil, PPG Industries oraz ich własnymi przywódcami politycznymi. Rzecznicy owego źródła władzy karmili wyobraźnię opinii publicznej ekscytującymi obrazami przyszłej prosperity. Arenowie czuli, że ich milczące *bayou*, pochowani krewni i martwe drzewa zostali zapomniani jak żeńska połowa ludu Nuerów.

## *Czepianie się maluczkich*

Harold dorzuca ważną myśl do spostrzeżeń Evansa-Pritcharda:

– Państwo zawsze czepia się maluczkich – stwierdza. – Weź na przykład to *bayou*. Jeśli z twojej motorówki wycieknie do wody trochę ropy, strażnik zaraz cię spisze. Ale kiedy jakiś koncern ma wyciek i do wody trafiają tysiące litrów tego świństwa, niszcząc wszelkie życie? Uchodzi mu to na sucho. Jeśli ustrzelisz brunatnego pelikana, który jest gatunkiem zagrożonym, wsadzą cię do pudła. Ale kiedy koncern masowo zabija pelikany, zatruwając ryby, którymi się żywią, to co? Uchodzi mu to na sucho. Uważam, że gnębią przepisami dół, bo kontrolować górę jest znacznie trudniej.

Struktury władzy manipulują nie tylko pamięcią zbiorową. Manipulują również egzekwowaniem zasad. Im wyżej ktoś stoi na drabinie władzy, tym łatwiej jest mu się wywinąć od odpowiedzialności. Ci na dole mają znacznie trudniej. Tak właśnie działały przepisy dotyczące ochrony środowiska.

W sytuacji, gdy elity władzy chcą zapomnieć o zanieczyszczeniu środowiska, gdy narzucają społeczności amnezję strukturalną, potrzebujesz wszechpotężnego umysłu, by pamiętać, jak było dawniej. Potrzebujesz – uważali Arenowie – Boga. On pamięta, jak było. Wie, co zostało utracone. Rząd federalny, owładnięty zagrażającą pozycji chrześcijaństwa ideą wielokulturowej Ameryki, działał na szkodę religii i pomniejszał znaczenie Boga, a to przecież Bóg dał im siłę, by przetrwali nieszczęścia, jakie na nich spadły.

Derwin – który przywiózł rodzicom lunch, a teraz zbierał się już do wyjścia – uważał, że rozwiązanie problemu Bayou d’Inde leży poza sferą władzy, polityki czy nauki. Tak jak rodzice, żarliwie wierzy we wniebowstąpienie żywcem i opowiada o zbliżaniu się „czasów ostatecznych”. Cytując Objawienie świętego Jana, mówi, że „ziemia i dzieła ludzkie na niej spłoną”[72]. Ogień oczyszcza, więc za tysiąc lat planeta znów będzie czysta, a jak na razie grasuje na niej diabeł. W ogrodzie Edenu „nie było nic, co szkodziłoby środowisku. Nie zobaczymy *bayou* w takim stanie, w jakim stworzył je Bóg, dopóki On sam wszystkiego nie naprawi. A to się stanie już niedługo, więc to nie takie ważne, jakich szkód narobi jeszcze człowiek”.

Harold i Annette też niecierpliwie oczekują wniebowstąpienia żywcem, chcieliby jednak, żeby n a j p i e r w człowiek naprawił to, co zniszczył. Czekali już dostatecznie długo i właściwie stracili nadzieję, że politycy coś zrobią w tej sprawie[73] Od kilkudziesięciu lat co jakiś czas zbierała się komisja, która miała w „partnerskiej współpracy” z przedstawicielami przemysłu zbadać problem zanieczyszczeń. Przybysze spoza stanu nie są wtajemniczeni w historię trucia środowiska, a Biuro Turystyczne nie jest zainteresowane przypominaniem tej wstydliwej karty. Także niezwykły hart ducha, którego wymagało od Arenów przetrwanie tych wszystkich lat, nie przyniósł im powszechnego szacunku. Tylko Bóg pamiętał, co wycierpieli i z jaką odwagą stawiali czoła nieszczęściom.

Żegnając się z Arenami, pytam ich jeszcze o sprawę z powództwa cywilnego, którą wnieśli przeciwko trucicielom Bayou d’Inde. Pięćdziesiąt trzy osoby, mieszkańcy okolic *bayou* i pracownicy pobliskich zakładów przemysłowych, złożyły zbiorowy pozew przeciwko dwudziestu trzem przedsiębiorstwom.

– Ciągle czekamy – mówi Harold.

Choć nic nie zdoła w pełni wynagrodzić im straty drzew, ptaków i ryb z ukochanego *bayou*, Arenowie mają nadzieję, że dostaną odszkodowanie, które pozwoli im się stąd wyprowadzić. Mimo przywiązania do tego miejsca nie mają zaufania do wody, ziemi ani powietrza i czują się uchodźcami we własnym domu.

Jeśli sąd uzna ich roszczenia, będzie to zwycięstwo moralne, fakt, który zostanie zapamiętany. Prawnik z reprezentującej ich kancelarii (adwokat prowadzący sprawę zmarł) mówi mi z westchnieniem, że przeciąganie procesów tak długo, aż powód umrze, nie zobaczywszy ani grosza, jest klasyczną korporacyjną strategią, a koncernom pomagają w tym instytucje rządowe. Tak czy inaczej, ciągnie się to już bardzo długo.

Ze zdumieniem dowiaduję się, że wśród osób, które podpisały się pod pozwem, jest mój znajomy, Lee Sherman[74]. Lee odegrał w zatruciu Bayou d’Inde zupełnie inną rolę niż Arenowie, ale w ich oczach on też jest ofiarą. Zdążyli się blisko zaprzyjaźnić. W 2012 roku wszyscy troje słuchali przemówień kandydata na prezydenta, Mitta Romneya. Zdawali sobie sprawę, że nie zajmie się oczyszczaniem skażonych amerykańskich rzek, jednak jako przeciwnik aborcji był za „ratowaniem dzieci nienarodzonych”, a to wydawało im się znacznie bardziej doniosłą kwestią moralną, z której zostaną rozliczeni na Sądzie Ostatecznym.

Harold odprowadza mnie do samochodu. Wsiadam, opuszczam szybę i zapinam pas.

– Nasze przebywanie na tej ziemi trwa krótko – mówi, pochylając się do okna auta. – Ale jeśli zostaniemy zbawieni, pójdziemy do nieba, a niebo jest na całą wieczność. Wtedy nie będziemy musieli więcej martwić się o środowisko. To jest najważniejsze. Myślę długofalowo.

4

# Kandydaci

Pod wielkim namiotem w Acadian Village, zrekonstruowanej akadyjskiej wiosce na obrzeżach Lafayette w Luizjanie, akordeon podaje melodię skrzypcom, gitarze i tarze do prania. Czteroosobowy zespół gra wpadające w ucho, skoczne cajun-zydeco[75], bagienną wersję popu. Panie w dojrzałym wieku, ubrane w swetry, rybaczki i tenisówki, odciągają swoich partnerów od stołów i prowadzą na parkiet. Mężczyźni w kowbojskich kapeluszach z podwiniętym rondem drobią two-stepa, kilka nastolatek z podrygującymi w rytm tańca końskimi ogonami obraca mamy i babcie w dobrze wyćwiczonych figurach jitterbuga. Do tańczących przyłączają się na chwilę dwaj kucharze w wysokich białych czapkach. Ku głośnej wesołości uczestników pikniku, w znacznej większości białych, jakiś rodzic wprowadza na podwyższenie dla orkiestry brzdąca z zawieszoną na szyi miniaturową tarą, w którą malec wali na oślep pałeczką. Dzieciaki ganiają pomiędzy punktem malowania twarzy, sprzedawcą balonów i stoiskiem z lodami. Pod jedną ze ścian namiotu stoi długi stół z półmiskami z wieprzowiną, fasolą, ryżem i *gumbo*. Między stolikami krąży wielki kosz *cracklings* – bardzo słonych pasków pieczonej świńskiej skórki.

Jest ciepła niedziela, mniej więcej godzinę jazdy na wschód od Bayou d’Inde. Przyjechałam na Boustany Boucherie – wspólne pieczenie prosiaka i przystanek w kampanii wyborczej republikańskiego kongresmena Charlesa Boustany’ego. W wyborach w 2012 roku prowadzi wyrównaną walkę o mandat z członkiem kongresowego klubu Partii Herbacianej Jeffem Landrym. Do niedawna Landry reprezentował trzeci, a Boustany siódmy okręg wyborczy. Jednak przeprowadzony w 2010 roku spis ludności wykazał spadek liczby mieszkańców i z powodu wymogu, by każdy członek Kongresu reprezentował mniej więcej taką samą liczbę wyborców, Luizjana straciła jeden mandat. Jak w zabawie w gorące krzesła obaj mężczyźni przemierzają wzdłuż i wszerz ten sam obszar, rywalizując o jedyne wolne miejsce.

Wyborcze pieczenie prosiaka odbywa się w zrekonstruowanej dziewiętnastowiecznej wiosce potomków wygnanych z Kanady akadyjskich osadników. Wśród zieleni stoją proste drewniane domy ze ścianami oblepionymi gliną i dachami z blachy. Nad stawem, obok grupy majestatycznych dębów, przycupnęły kuźnia, warsztat przędzalniczo-tkacki i katolicki kościółek. Napis na drewnianej tabliczce informuje, że to „La Chapelle du Nouvel Espoir, 1850” (Kaplica Nowej Nadziei). Obok tkwią nieruchomo w trawie stara, zardzewiała brona mechaniczna i pług. Drewniana szopa mieści ośmiometrową dłubankę tego samego

typu co czółna, które ojciec Harolda Arno robił dla rybaków znad Bayou d’Inde.

Siadając przy stole, zastanawiam się, jak politycy pokroju Boustany’ego i Landry’ego podchodzą do kwestii Bayou d’Inde i innych miejsc, które Mike Tritico zaznaczył na mapie na serwetce. Czy pamiętają, co się tam wydarzyło? Czy pomogą takim ludziom, jak Lee Sherman albo Harold i Annette Arenowie? Skoro domagają się ograniczenia kompetencji władz federalnych, w jaki sposób zamierzają rozwiązać problemy stanowiące część Wielkiego Paradoksu, który skłonił mnie do przyjazdu do Luizjany? Po raz kolejny zadaję sobie pytanie, jak to możliwe, że mieszkańcy biednego stanu z najgorszymi w kraju wskaźnikami zdrowia patrzą krzywym okiem na rząd, z którego środków pochodzi czterdzieści cztery procent stanowego budżetu. Jak dramatycznie zanieczyszczony stan może sprzeciwiać się wprowadzeniu federalnych standardów ochrony środowiska? Kampanie polityków zajmują centralne miejsce w życiu kulturalnym Luizjany. To z nich zwykli obywatele dowiadują się, jakie sprawy ludzie władzy uważają za warte tego, by o nich mówić.

Zorientowałam się, że nieświadomie buduję sobie obraz przez wyłapywanie tego, czego w nim brakuje. Jakbym próbowała zrozumieć fotografię, studiując jej negatyw. Uświadomiłam sobie, że koncentruję się nie na tym, co ludzie pamiętają, co ich zajmuje i o czym mówią, lecz na tym, o czym zapomnieli, co ignorowali i czego nie powiedzieli. Niezauważalnie dla siebie samej wchodziłam w „głęboką historię”, jak ją nazywam, odnotowując, co ludzka świadomość z niej wypchnęła.

Moje budzące się zainteresowanie tym, co przemilczane, nie było rezultatem odważnego skoku przez mur empatii. Łudząc się, że skoro środowisko naturalne Luizjany znajduje się w opłakanym stanie, politycy będą mówić o tym, jak je uratować, wciąż tkwiłam po swojej stronie muru. A jeśli nie mówią o tym, to dlaczego? Zjawisko, które na pewno miało jakieś zdroworozsądkowe wyjaśnienie, zaczynało wydawać mi się nierozwiązywalną zagadką. Wielu moich nowych znajomych z Partii Herbacianej zrobiło na mnie wrażenie ciepłych, inteligentnych, szczodrych ludzi, zupełnie niepodobnych do okropnych postaci z kart *Atlasa zbuntowanego* Ayn Rand. Mieli swoją społeczność, Kościół i byli bardzo życzliwi w bezpośrednim kontakcie. Niektórzy, jak Lee Sherman czy Arenowie, martwili się o środowisko. Stopniowo uświadamiałam sobie, że w grę wchodzą także inne sprawy, które uważali za daleko ważniejsze. Podatki, religia? Na pewno tak. Ale czy na tym koniec? Kongresmen Boustany należał do głównego nurtu Partii Republikańskiej, był bardzo lubiany w swoim okręgu wyborczym, cieszył się opinią uczciwego człowieka i choć był uznanym chirurgiem, nie wynosił się ponad innych. Popierał przemysł naftowy. Wiedział, jak wyciągnąć z Waszyngtonu pieniądze, ale to mu nie przeszkadzało wieszać psów na tamtejszych „elitach”. Mógł narzekać, że rząd federalny jest zbyt daleki i nieosiągalny, a jednocześnie umiał załatwić ci dojście. Główną nagrodą w loterii biletowej na pieczeniu prosiaka był symbol władzy na

szczeblu federalnym – książka kucharska klubu republikanów w Kongresie, własnoręcznie ozdobiona motywami bożonarodzeniowymi przez panią Boustany i zawinięta w amerykańską flagę (jakimś fuksem to właśnie ja ją wylosowałam). Luizjańczycy obarczali Waszyngton odpowiedzialnością za swoje nieszczęścia, lecz cenili polityków, którzy czuli się tam jak u siebie. Jeff Landry był republikaninem spod znaku Partii Herbacianej i według wyników sondażu z 2011 roku cieszył się poparciem połowy luizjańskich wyborców. Byłam ciekawa, jakie różnice pomiędzy tymi dwoma kandydatami się ujawnią[76].

Orkiestra przestaje grać. Tancerze wracają do stolików. Kongresmen Boustany, łysiejący mężczyzna w okularach, wchodzi na podium i zaczyna przemawiać. „Razem przetrwaliśmy huragany. Przetrwaliśmy moratorium na wiercenia podmorskie, które zniszczyło wiele miejsc pracy. Przetrwaliśmy kryzys finansowy i kryzys gospodarczy”. Stwierdza, że Luizjana potrzebuje „konserwatywnego przywództwa, któremu możecie zaufać”. W późniejszym wywiadzie radiowym chwali się, że udaremnił przyjęcie ustawy o podatkach dla przedsiębiorstw naftowo-gazowniczych, która przyniosłaby budżetowi sześćdziesiąt miliardów dolarów, zwalczał wprowadzone po gigantycznym wycieku ropy z rurociągu BP do Zatoki Meksykańskiej moratorium na wiercenia i głosował za budową rurociągu Keystone[77].

Kilka dni później, podczas kolacji w Union Hall w Rayne, jego rywal, kongresmen Landry, były robotnik na plantacji trzciny cukrowej i były policjant, który mówi z bardzo wyraźnym południowym akcentem, wygłasza zdumiewająco podobne przemówienie, tyle tylko, że od czasu do czasu wtrąca: „Gdyby to nie było dobre dla was wszystkich, tobym za tym nie głosował”[78].

– Facet po szkole średniej, a znam kilku takich, co nawet tego nie skończyli – mówi Landry – jeśli będzie harował, może zarobić na nafcie i gazie lepszą kasę niż większość ludzi w tym kraju. – I nieco później: – Przejadło mi się, że rząd wtrąca się w moje sprawy… Kiedy ledwo wiązałem koniec z końcem i potrzebne nam było wsparcie, nie szedłem po pomoc do rządu. Wiecie, do kogo szedłem? Do mojego Kościoła. I do mojej społeczności. Kto pobudował w tym kraju szpitale? Rozejrzyjcie się dokoła, przypomnijcie sobie. *Our Lady of Lourdes*, przecież nie rząd, no nie? Albo te wszystkie szpitale baptystów w Midweście? I katolickie na Wschodnim Wybrzeżu? O nie, nie rząd, tylko ludzie, którzy pomagają innym ludziom. Odpowiedzi na nasze problemy są właśnie tutaj, w takich miejscach jak Rayne.

Jednak pytania z sali, wypełnionej głównie osobami w starszym wieku, koncentrują się wokół tego, jak uzyskać więcej i lepszych świadczeń finansowanych przez rząd federalny.

– Dlaczego zasiłki dla osób po sześćdziesiątym piątym roku życia nie są rewaloryzowane? – pyta jakiś mężczyzna. (Landry radzi, by później przechodzić na

emeryturę).

Ktoś inny porusza temat programu Medicare. Starsza kobieta narzeka, że musi wydać dwadzieścia osiem dolarów na taksówkę, żeby się dostać do lekarza.

– Dlaczego nie można zorganizować darmowego transportu dla seniorów?

Na te pytania Landry nie ma żadnej odpowiedzi.

Kilka dni po spotkaniu z wyborcami w Rayne kongresmen Landry przemawia na Paradzie Łodzi w New Iberia. Ludzie raczą się „diabelskimi hot dogami" (sos chili, musztarda i cukier), smażonymi kawałkami kurczaka i *double brownies* z dwoma gatunkami czekolady, whiskey i karmelem.

– Musimy wydrzeć nasz kraj z rąk rządu, który łamie Konstytucję, odrzuca nasze konserwatywne wartości i szasta pieniędzmi z podatków jak pijany marynarz. Z przeproszeniem marynarzy, oczywiście – oznajmia Landry. Z tłumu dochodzą pomruki zrozumienia.

Mniej więcej jedną trzecią przybyłych stanowią czarni. Widać też sporo mieszanych rasowo rodzin i grup przyjaciół, którzy, jak informuje mnie dwóch białych uczestników pikniku, przyszli się tu najeść i posłuchać grających zespołów, a nie dla polityki.

– Och, ja głosuję na Obamę – zwierza mi się czarnoskóra kobieta. – Mamy tu wielu naprawdę b i e d n y c h. Mój dwudziestojednoletni wnuk twierdzi, że odda głos na republikanina, ale nie wiem, czy mówi serio, czy tylko chce mnie przyprawić o zawał.

We wszystkich przemówieniach pomiędzy przysięgą na wierność sztandarowi Stanów Zjednoczonych a zaproszeniem do udziału w konkursie kulinarnym uderza mnie to, czego żaden z kandydatów nie mówi: że pod względem rozwoju społecznego Luizjana znajduje się na przedostatnim miejscu w kraju, że tylko jeden stan w Ameryce jest biedniejszy od niej i że czterdzieści cztery procent budżetu stanowego pochodzi ze środków federalnych – innymi słowy, Wielki Paradoks.

Jednocześnie obaj ubiegający się o ten sam mandat kandydaci reprezentują i propagują kulturę, której produktem jest Wielki Paradoks. Gardzą „urzędasami z Waszyngtonu", ale starają się wycisnąć z nich jak najwięcej kasy dla Luizjany. Niewiele brakuje (mimo wszystko się od tego powstrzymują), by wzorem innych czołowych republikańskich kandydatów z Południa zaczęli się licytować, który z nich oskubie więcej rządowych agencji. W wyścigu o fotel prezydenta w 2012 roku gubernator Teksasu Rick Perry wzywał do zlikwidowania trzech Departamentów (Handlu, Edukacji i Energii) rządu federalnego, chociaż w czasie transmitowanej na cały kraj debaty telewizyjnej zapomniał wymienić ten trzeci. Republikanin Ron Paul domagał się zamknięcia Federalnego Urzędu Podatkowego (IRS), Federalnej Agencji Zarządzania Kryzysowego (Federal Emergency Management Agency, FEMA) oraz Departamentu Zdrowia i Pomocy Humanitarnej (Department of Health and Human

Services). Jak już wspomniałam, kongresmen David Vitter nawołuje do odebrania EPA większości prerogatyw.

Jeśli chodzi o kwestię środowiska, do której zawęziłam swoje pole widzenia, sytuacja przedstawiała się następująco: trzeci okręg wyborczy, parafia Lafayette, którą obaj kandydaci chcieli reprezentować w Kongresie, jest jednym z najbardziej zanieczyszczonych hrabstw w całym kraju – to tutaj znajdują się zakłady i instalacje przemysłowe, które Mike Tritico zaznaczył na swojej mapce, a także rozegrała się na pół pamiętana, na pół zapomniana tragedia Bayou d'Inde. (W 2015 roku EPA uznała osiem z dziewięciu dróg wodnych na terenie parafii Lafayette za „zanieczyszczone", zaznaczając, że dziewiąta „nie została poddana ocenie"[79]). Według EPA w tym samym 2015 roku sto obiektów przemysłowych na terenie parafii Lafayette złamało przepisy ochrony środowiska, a wobec kolejnych osiemdziesięciu dziewięciu „w ciągu ostatnich pięciu lat podjęto formalne działania w celu wyegzekwowania przestrzegania przepisów"[80].

Większość moich respondentów oddała głos na Boustany'ego, który zdobył mandat. Jednak na całym jego szlaku wyborczym nie usłyszałam ani jednego słowa o tym, że głosował w Kongresie za zmniejszeniem kompetencji organów kontrolnych giełdy, co spowodowałoby wzmocnienie monopoli i uderzyło w drobnych przedsiębiorców, licznie reprezentowanych w szeregach Partii Herbacianej[81]. Nie wspomniał o subsydiowaniu koncernów naftowych przez rząd federalny i władze stanu, o obniżeniu podatków korporacyjnych, roli przemysłu naftowego w niszczeniu linii brzegowej Luizjany ani o zanieczyszczonych wodach. Protokoły z głosowań w Kongresie nie pozostawiają wątpliwości co do stanowiska obu kandydatów w tych sprawach. Boustany głosował za zmniejszeniem finansowania EPA, przeciwko wprowadzeniu standardów zużycia paliwa dla samochodów, za zawieszeniem federalnych standardów szczelinowania, za zniesieniem norm Clean Air Act dotyczących maksymalnego stężenia smogu, sadzy i związków rtęci w powietrzu, za wypatroszeniem Clean Water Act – zniesieniem minimalnych standardów jakości wody obowiązujących we wszystkich stanach. Głosował też za przeformułowaniem definicji „zdrowego powietrza" na podstawie kryteriów wykonalności oraz kosztów dla produkującego zanieczyszczenia przemysłu, a nie ludzkiego zdrowia. Członek Izby Reprezentantów Landry postępował tak samo[82]. Na karcie głosowań League of Conservation Voters obaj, Boustany i Landry, przez całą kadencję uzyskali po sześć punktów na sto możliwych[83]. W 2012 roku Luizjana wyprodukowała czternaście kilogramów toksycznych zrzutów do powietrza, wody i gleby na jednego mieszkańca. Dla porównania, w skali całych Stanów Zjednoczonych było to pięć kilogramów na jednego mieszkańca. Żaden z kandydatów nawet się o tym nie zająknął[84].

Także drugorzędni kandydaci do Kongresu milczeli na temat zanieczyszczeń środowiska. Na wiecu w Crowley pod hasłem „Spotkajmy się przy urnach", na który

przyszło kilkuset obywateli tego miasteczka, kandydat Partii Libertariańskiej obiecywał zmusić rząd federalny, by „przestał się wtrącać” i nie przeszkadzał mieszkańcom w „hodowaniu konopi na polach ryżowych”. Kandydat demokratów zaczął od słów: „Nie we wszystkim zgadzam się z linią partii i prezydentem Obamą”, po czym zadeklarował, że jest „za ochroną życia [poczętego], za tradycyjnym małżeństwem, za prawem do posiadania broni i za przemysłem naftowym”. Tylko jeden kandydat określił się jako zwolennik „ochrony linii brzegowej”, między innymi dlatego, by „chronić nasz przemysł energetyczny”.

Na imprezie wyborczej Landry’ego czterdziestu emerytowanych robotników fabrycznych siedzi przy drewnianych stołach i je z papierowych talerzy ryż z fasolą. Kiedy rozmowa zahacza o Partię Demokratyczną, mówią o niej, jakby była wyblakłym wspomnieniem z dalekiej przeszłości. Jeden z mężczyzn opowiada, że wstrzymywał się z głosowaniem na republikanów, dopóki żył jego ojciec, co zostaje przyjęte wymownym śmiechem. Ktoś inny dodaje: „Ostatnim demokratą w mojej rodzinie jest moja żona, a ona głosuje na Landry’ego”. Kolejny wybuch śmiechu. W Luizjanie, dawnym stanie konserwatywnych demokratów (tak zwanym *blue dog democratic state*), w siedmiu z jedenastu wyborów prezydenckich przeprowadzonych po 1970 roku zwyciężył kandydat republikanów. Wydaje się, że w grupie starszych białych mężczyzn – takich jak moi współbiesiadnicy w Union Hall – tendencja do przesuwania się w prawo powinna być nadal widoczna.

– Wielu z nas całkiem nieźle sobie poradziło, ale nie chcemy stracić tego, co mamy, bo ktoś postanowił to roztrwonić – wyjaśnił mi jeden z obecnych.

Kiedy go pytam, co jego zdaniem jest „trwonione”, nie wymienia wód publicznych zamienianych w ścieki ani czystego powietrza zatruwanego przez zrzuty z fabryk. Nie chodzi mu o zdrowie i krótsze życie. Ani o likwidowane miejsca pracy w sektorze publicznym. Uważa, że rząd trwoni pieniądze z jego podatków, rozdając je niepracującym, bezwartościowym obibokom. Zresztą chodziło nie tylko o pieniądze z podatków, lecz także o honor. Gdyby te pieniądze można było zwrócić obywatelom – tytułem swego rodzaju „podwyżki” po trzech dekadach zastoju gospodarczego – to czemu nie?

Podobnie jak w moich wcześniejszych rozmowach z Mikiem Schaffem, Lee Shermanem i Arenami, szybko pojawia się temat rozdźwięku pomiędzy płatnikami podatków a beneficjentami zasiłków; pierwsi zasługują na pieniądze, drudzy, stojący o klasę niżej, nie. Po raz kolejny stwierdzam, że ów rozdźwięk odgrywa rolę emocjonalnego zapłonu, zwłaszcza w przypadku mężczyzn, którzy pracowali w przemyśle naftowym i w innych zmaskulinizowanych zawodach w sektorze prywatnym. Ale polowanie i łowienie ryb to też męska rzecz, a strzelanie do kaczek, które żywią się rybami z Bayou d’Inde, nie jest już taką frajdą jak dawniej. Skoro jednak mowa o zwierzętach i ludziach, to – jak tłumaczy mi uczestnik imprezy

wyborczej Landry'ego – „dziś amerykańscy mężczyźni też są zagrożonym gatunkiem".

*Generał, psychologiczny program i „gadanie o miejscach pracy"*

Tymczasem potencjalny kandydat na gubernatora Luizjany przerwał milczenie na temat zanieczyszczenia środowiska obowiązujące w kampaniach wyborczych kandydatów do Kongresu. Prawie dwumetrowy mężczyzna w mundurze polowym wstaje od śniadania w restauracji hotelu w Baton Rouge, by się ze mną przywitać. Przenosimy się do sali konferencyjnej, gdzie siada na krześle, zdejmuje czapkę z trzema wielkimi gwiazdkami i odkłada ją na stół. Odznaczony licznymi orderami generał broni Russel Honoré we wrześniu 2005 roku, po przejściu huraganu Katrina, dowodził połączonym zespołem operacyjnym oraz tysiącem gwardzistów narodowych podczas akcji ratunkowej w zalanym wodą, ogarniętym chaosem Nowym Orleanie. Generał przejął to zadanie po szefie Federalnej Agencji Zarządzania Kryzysowego (FEMA), Michaelu Brownie, prawniku z Oklahomy i jednym ze sponsorów kampanii prezydenckiej George'a W. Busha, który okazał się niesłychanie niekompetentny i nieudolny. Honoré zyskał sobie przydomek „Generał 5. kategorii" (siłę huraganów mierzy się w kategoriach w skali Saffira-Simpsona). Polecił gwardzistom skierować broń lufą w dół, bo „to jest misja ratunkowa, do cholery". Uwielbiany przez tysiące ocalonych z powodzi, stał się w całym stanie żywą legendą.

Urodził się w parafii Point Coupe na południe od Nowego Orleanu jako najmłodszy z dwanaściorga rodzeństwa. Jest czarnym Kreolem, chociaż z powodu zamaszystego kroku, władczego głosu i energicznego sposobu bycia Luizjańczycy nazywają go pieszczotliwie „Dzikim Kajunem". Burmistrz Nowego Orleanu mówi o nim „facet w typie Johna Wayne'a". Nie oddaje to jednak Honorému sprawiedliwości. Na jego ozdobionej siwiejącym wąsem pociągłej twarzy o orlim nosie maluje się cała gama uczuć, od współczucia przez pogodną wesołość do troski i oburzenia. Ten człowiek naprawdę umie przeskakiwać mury empatii.

– Nie mam nic przeciw temu, by przemysł naftowo-gazowy zarabiał w Luizjanie pieniądze – zaczyna rzeczowo generał broni. – Ale koncerny naftowe powinny sprzątać po sobie, a tego nie robią. Powinny naprawiać to, co zniszczyły, a tego też nie robią. A my ciągle słyszymy tylko ich wersję.

– Dlaczego obywatele nie domagają się od polityków, by zajęli się oczyszczeniem środowiska? – pytam.

– Ludzie w Luizjanie w kółko słuchają o miejscach pracy – odpowiada po krótkim milczeniu. – Jest w tym dość prawdy, by w końcu uwierzyli, że wszystko się

do tego sprowadza. W rzeczywistości są więźniami pewnego psychologicznego programu.

Honoré domaga się oczyszczenia skażonych rzek i porzuconych szybów naftowych oraz montowania w zakładach przemysłowych urządzeń kontrolnych, podobnych do tych, jakie instaluje się w kabinie pilota. Dzięki temu, jeśli dojdzie do katastrofy, można będzie poznać jej przyczynę. Oprócz tego od kilku lat stoi na czele „Zielonej Armii” – konsorcjum małych grup obrońców środowiska.

– Dopiero przelatując helikopterem nad Nowym Orleanem po przejściu Katriny, zdałem sobie sprawę ze skali problemu – mówi. – Na przestrzeni wielu kilometrów pejzaż usiany był ruinami. Pamiętam, jak powiedziałem do pilota: „Huragan nieźle narozrabiał” i usłyszałem w odpowiedzi: „Nie, to stare szyby naftowe, nieczynne od wielu lat”.

Po godzinie rozmowy Honoré zabiera mnie na przejażdżkę swoim wozem po biegnącej wzdłuż Missisipi River Road, której odcinek pomiędzy Baton Rouge i Nowym Orleanem zyskał sobie miano Alei Rakotwórczej.

– Widzi pani rzekę? – Wystawiając rękę za okno samochodu, pokazuje mi Missisipi.

Przypomina mi się *Życie na Missisipi* Marka Twaina; na mapie widzę te same nazwy, które mnie niegdyś urzekły: Convent, Saint Gabriel, Saint Rose, Saint James. Wiem, że tędy spływała do Zatoki Meksykańskiej połowa krajowych zbiorów zboża i jedna piąta pozostałych towarów eksportowych.

– Wie pani, na co pani patrzy? – zapytał mnie Honoré. Wydawało mi się, że tak.
– To nie są wody Missisipi. To wody Monsanto, Exxona, Shell Oil. Droga wodna stanowi własność publiczną, ale woda jest prywatna. Missisipi została zawłaszczona przez przemysł. Ze świecą tu szukać publicznej przystani[85].

Jak się okazuje, potężna rzeka już od dawna jest zatruta. „W latach 50. – opowiadał jeden z moich luizjańskich znajomych – z Nowego Orleanu wypłynął statek parowy z pomalowanymi na czerwono łopatkami. Zanim dotarł do Natchez, po czerwonej farbie nie zostało śladu”.

Jadąc półciężarówką generała (zupełnie jak w czasie wycieczki z Mikiem Schaffem po plantacjach trzciny cukrowej), stopniowo uświadamiam sobie, czego nie widzę. Wtedy była to historia. Teraz – zanieczyszczenie środowiska. W Luizjanie większość zanieczyszczeń rzeczywiście jest niewidoczna gołym okiem. Przejeżdżamy przez Gonzales, miasteczko przy Alei Rakotwórczej, okrzyknięte przez Louisiana Visitor’s Bureau „światową stolicą *jambalai*”. W czasie odbywającego się wiosną festiwalu kucharze mieszają w olbrzymim kotle trzysta kilogramów ryżu. Nieopodal znajduje się „raj dla wędkarzy”, zachwalany przez louisianatravel.com, oraz „znakomite tereny do pieszych wędrówek i obserwowania dzikiej przyrody”. Ta sama strona internetowa proponuje „rundę honorową po kajuńskich bagnach”[86]. Można

odnieść wrażenie, że w Gonzales trwa nieustająca impreza – w każdym razie nad powierzchnią ziemi[87].

Niestety, stolica *jambalai* leży w jednym z najbardziej zanieczyszczonych regionów przemysłowych na świecie. Wzdłuż stuczterdziestokilometrowego odcinka rzeki na obu jej brzegach rozsiadło się sto pięćdziesiąt obiektów przemysłowych, ukrytych za wysokim parkanami z mocnej stalowej siatki. Zdarza się, że napis na bramie dumnie obwieszcza, ile dni roboczych upłynęło bez żadnego wypadku. Wiele zakładów powstało na terenie dawnych plantacji bawełny i trzciny cukrowej. Inne miasta przy River Road – Plaquemine, Saint Gabriel, Geismar, Donaldsonville – leżą na terenie parafii znajdujących się w wąskim gronie trzech procent amerykańskich hrabstw, które według EPA w 2013 roku zgłosiły najwięcej zrzutów substancji toksycznych[88]. Luizjana jest szóstym stanem USA pod względem produkowanych ilości odpadów niebezpiecznych i trzecim pod względem ilości odpadów niebezpiecznych importowanych spoza własnego obszaru.

– S p r o w a d z a m y odpady niebezpieczne – mówiąc to, generał szeroko otwiera oczy ze zdumienia – z A r k a n s a s, ponieważ tam mają b a r d z i e j r y g o r y s t y c z n e przepisy niż my[89].

Obszar całego stanu usiany jest studniami iniekcyjnymi – głębokimi odwiertami z ochronnym orurowaniem, do których wpompowuje się odpady niebezpieczne. Co jakiś czas w prasie ukazują się bardzo niepokojące artykuły na ten temat[90].

– Luizjana posiada bogate złoża ropy naftowej – mówi generał. – I wielu ludzi uważa to za błogosławieństwo. Mogłoby nim być, gdyby eksploatowano je we właściwy sposób. Ale tak się nie dzieje.

Generał podkreśla, że przedsiębiorstwa naftowe wywierciły na terenie stanu 220 tysięcy szybów, zlokalizowały sześćset obszarów roponośnych i pociągnęły trzynaście tysięcy kilometrów rurociągów i kanałów. Podwodne rurociągi o łącznej długości ponad czterdziestu tysięcy kilometrów łączą wieże wiertnicze na morzu z rafineriami w Luizjanie i Teksasie[91]. Dodaje, że firmy naftowe mają władze stanu w kieszeni, a cenę za to płacą ludzie.

Wjeżdżamy na kampus Southern University, dawnej Alma Mater generała, na której niegdyś uczyli się wyłącznie czarni studenci. Honoré zatrzymuje wóz na skraju nadrzecznej skarpy. Wysiadamy i schodzimy trawiastym zboczem nad brzeg Missisipi. Generał pokazuje mi wyspę daleko przy przeciwległym brzegu.

– Widzi pani ten cypel? Nazywają go Free Nigger Point [Cyplem Wolnego Czarnucha], ponieważ ten, kto tam dopłynął, mógł dotrzeć do Kolei Podziemnej[92] i był wolny. Wielu to się nie udawało i szło na dno. Dziś wystarczyłoby, by facet łyknął skażonej wody, a rozchorowałby się i prędzej czy później umarł.

*„Wyciek nas martwi, ale moratorium wkurza”*

Kiedy to, czego nie usłyszałam w przemówieniach wyborczych Boustany’ego i Landry’ego, połączyłam z tym, czego nie zobaczyłam w czasie przejażdżki z generałem, zrozumiałam, jak łatwo jest zapomnieć o problemach środowiska naturalnego w Luizjanie albo po prostu machnąć na nie ręką. Ale gdyby katastrofa była tak spektakularna, tak przewlekła, tak nagłośniona, tak bezprecedensowa, że nie dałoby się zbyć jej machnięciem ręki? Co wówczas powiedzieliby moi przyjaciele z Partii Herbacianej?

Taka spektakularna katastrofa rzeczywiście wydarzyła się w 2010 roku. Na platformie wiertniczej BP Deepwater Horizon w Zatoce Meksykańskiej u wybrzeży Luizjany doszło do eksplozji, którą prezydent Obama nazwał „największą katastrofą ekologiczną w dziejach Ameryki”[93]. W wybuchu zginęło jedenastu robotników, a siedemnastu odniosło rany. Z rury rozerwanej trzy tysiące metrów pod powierzchnią wody przez trzy miesiące wypływała do Zatoki Meksykańskiej ropa naftowa. W ciągu każdych trzech, czterech dni do zatoki trafiała ilość ropy odpowiadająca wyciekowi z tankowca Exxon Valdez[94] – i tak przez osiemdziesiąt siedem dni z rzędu.

Najlepsi inżynierowie nie potrafili zatrzymać wycieku. W telewizji występowali zaniepokojeni eksperci. Mówili, że sześćsetkilometrowa strefa przybrzeżna Luizjany ma kluczowe znaczenie dla cyklów życiowych ponad dziewięćdziesięciu procent gatunków ryb i dziewięćdziesięciu ośmiu procent wszystkich gatunków o znaczeniu handlowym, które żyją w Zatoce Meksykańskiej. Fale wyrzucały na brzeg bezokie krewetki i młode delfiny, wzdłuż linii lądu na długości około tysiąca kilometrów unosiły się na wodzie kulki smoły. Zdychały pelikany. Ropa zalepiła pułapki na kraby[95], zdziesiątkowała krewetki i zalała hodowle ostryg. Wybuch wyrzucił na brzeg trupy sześciu tysięcy ptaków, sześciuset żółwi morskich, ponad stu delfinów butlonosych i wielu innych ssaków morskich, nie wyłączając wielorybów[96]. Przeprowadzone później badania wykazały, że embriony ryb, zwłaszcza tuńczyków, które zetknęły się z ropą, mają zdeformowane ciała, serca i oczy[97].

To jeszcze nie koniec złych wiadomości. Dziewięćdziesiąt tysięcy rybaków straciło źródło utrzymania. W ramach programu Vessels of Opportunity zaproponowano im pracę przy oczyszczaniu wód Zatoki Meksykańskiej. Mieli używać do tego własnych łodzi[98]. Sprzęt ochronny, który im wydano, nie chronił w dostatecznym stopniu przed szkodliwym działaniem dyspergatora corexit. U części z nich wystąpiły objawy w postaci zmian skórnych, zaburzeń widzenia, trudności z oddychaniem i bólów głowy[99].

Wychodząc z założenia, że lepsza jedna katastrofa niż dwie, prezydent Obama ogłosił moratorium na podmorskie wiercenia na szelfie kontynentalnym, które miało

obowiązywać przez pół roku, do momentu wprowadzenia odpowiednich zabezpieczeń. Nikt nie wiedział dokładnie, co stanowiło przyczynę katastrofy. Głowice przeciwerupcyjne stosowane wówczas przez BP po raz pierwszy były wykorzystywane na głębokości trzech tysięcy metrów. Nawet roboty, które badały miejsce eksplozji, nie zostały wcześniej przetestowane, więc nie było pewności, czy będą działać[100]. Na wodach Zatoki pracowały trzydzieści dwie inne platformy wiertnicze, wydobywające ropę z tej samej głębokości i z zastosowaniem podobnej technologii. Nawet BP nie sprzeciwiało się wprowadzeniu moratorium. Wiele osób uważało to za mądre posunięcie.

Ale kiedy kilka miesięcy później zespół naukowców z Uniwersytetu Stanowego Luizjany zadał dwóm tysiącom mieszkańców zanieczyszczonego wybrzeża pytanie „Jesteś za czy przeciw moratorium na wiercenia podmorskie, dopóki nie zostaną spełnione nowe wymogi bezpieczeństwa?”, połowa badanych była przeciwko, a tylko jedna trzecia za[101]. Na pytanie „Czy po wycieku ropy zmieniłeś poglądy na inne problemy środowiska naturalnego, takie jak globalne ocieplenie albo ochrona dzikiej przyrody?” siedmioro na dziesięcioro respondentów odpowiedziało „nie”. Pozostali – co ciekawe, głównie osoby gorzej wykształcone i kobiety – „tak”. Także moi rozmówcy mieszkający w głębi lądu, podobnie jak kongresmeni Boustany i Landry, byli zdecydowanymi przeciwnikami wprowadzonego przez Obamę moratorium.

Dlaczego? Niewątpliwie jednym z powodów była utrata dochodów z wydobycia ropy. Ale istotną rolę odgrywał także opór wobec „biurokratycznych przerostów” w Waszyngtonie.

– Przecież żadna firma nie chce mieć wycieku albo awarii. Robią, co mogą, by do nich nie dopuścić – zauważyła jedna z moich rozmówczyń. – Więc jeśli dochodzi do wycieku, to znaczy, że pewnie nie dało się temu zapobiec.

Druga wyliczyła wszystkie produkty codziennego użytku wytwarzane z ropy naftowej. Pewien mężczyzna stwierdził, że „wyciek był skutkiem nadmiernej kontroli. Gdyby rząd nie patrzył BP na ręce, firma wprowadziłaby własne wewnętrzne uregulowania i nie doszłoby do wycieku”.

– Wyciek nas martwi, ale moratorium wkurza – podsumowała inna kobieta[102].

Gubernator stanu i luizjańscy senatorowie domagali się zniesienia moratorium. Wychodząc im częściowo naprzeciw, prezydent Obama zniósł je na miesiąc przed wyznaczonym terminem, ale ten gest nie zyskał mu uznania w oczach moich rozmówców. Pytali: „Co Obama w tym swoim Waszyngtonie może wiedzieć?”. Żaden z dwóch kandydatów do Kongresu, którym towarzyszyłam kilka lat później podczas kampanii wyborczej, ani słowem nie nawiązał w swoich przemówieniach do wycieku z platformy BP.

Możliwe, pomyślałam, że mieszkańcy przybrzeżnej części Luizjany protestują przeciwko moratorium z lojalności wobec przemysłu naftowego i sektora prywatnego

w ogóle, tradycyjnie winiąc za wszystko rząd federalny. Zważywszy jednak, na jakie straty i zagrożenia narażało ich zanieczyszczenie środowiska, możliwe, że zarządzali silnymi uczuciami niepokoju, lęku i złości[103]wywołanymi tym, co już przecież wiedzieli. Może powtarzali sobie: „Nie stać nas na to, by się tym martwić. Musimy odsunąć te myśli na bok, poradzić sobie z lękiem i udawać przed sobą, że wcale tego nie robimy".

Mając to na uwadze, wróciłam do Wielkiego Paradoksu. Punktem wyjścia do moich rozważań było spostrzeżenie, że Luizjana, podobnie jak inne czerwone stany, boryka się z dużą liczbą problemów. Dla zamożnych zwolenników prawicy takie bolączki jak bieda, kiepskie szkoły publiczne oraz marna opieka medyczna mogły nie mieć większego znaczenia, ponieważ nie dotyczyły ich osobiście. Ale skutki zanieczyszczenia środowiska dotykały również zamożnych. Mimo to sprawiali wrażenie, jakby byli gotowi się z nimi pogodzić. Co się tyczy kwestii winy i odpowiedzialności, wyglądało to tak, jakby tata zostawił po sobie ogromny bałagan, a ty masz pretensje do mamy, bo mama zawsze czuje się odpowiedzialna, kiedy coś pójdzie źle, próbuje to naprawić i jest pod ręką. Przynajmniej z początku tak właśnie się wydawało.

### *Wolność do, wolność od, wolność dla kogo?*

Jak więc Luizjańczycy zapatrywali się na w s z e l k i e g o r o d z a j u uregulowania prawne narzucane przez władze? Pomyślałam, że jeśli znajdę odpowiedź na to pytanie, łatwiej mi będzie zrozumieć mieszkańców przybrzeżnych obszarów stanu, którzy martwili się wyciekiem, ale byli wkurzeni na rząd. Może chodziło o to, że w ogóle nie uznają żadnych przepisów? Na pierwszy rzut oka władze stanu demonstracyjnie odrzucały samą ideę kontrolowania zachowań obywateli za pomocą prawa. Jeśli chodzi o alkohol, Luizjana jest jednym z najbardziej permisywnych stanów Ameryki[104]. Możesz wjechać do baru *drive-through* i zaopatrzyć się w dowolną liczbę *daiquiri* w kubkach „na wynos", musisz tylko pamiętać, by w czasie jazdy samochodem nie zdejmować plastikowej pokrywki ani nie wtykać w nią słomki. Zadowolony klient Caribbean Hut w Lake Charles powiedział mi, że zamówił trzydziestodwuuncjową (0,9 litra) Long Island Iced Tea z kilkoma dodatkowymi miarkami mocnego alkoholu w kubku z otworem na słomkę zaklejonym taśmą klejącą – a więc „zapieczętowanym" – i pojechał dalej. Wożenie samochodem niezapieczętowanych naczyń z alkoholem jest nielegalne dopiero od 2004 roku. Pod koniec lipca w Nowym Orleanie odbywa się nawet Defend the Daiquiri Festival, oczywiście sponsorowany przez grupę lobbingową branży alkoholowej[105].

Nie trzeba mieć licencji, żeby sprzedawać broń krótką, strzelby, karabiny, broń szturmową i magazynki o dużej pojemności. Jedna osoba może zakupić dowolną liczbę sztuk broni i (z wyjątkiem broni ręcznej) nie musi ich rejestrować ani zgłaszać kradzieży. Bez wahania może wejść z bronią na parking albo do publicznego parku. W Luizjanie obowiązuje także prawo *stand your ground* (do obrony własnego terytorium, tzw. „nie cofaj się”), które pozwala przestraszonemu właścicielowi domu wystrzelić, zanim uczyni to napastnik[106]. Naładowaną broń można bez przeszkód wnieść do baru na nowoorleańskiej Bourbon Street.

Co więcej, sprzedawca broni w Luizjanie nie musi rejestrować transakcji ani sprawdzać przeszłości klientów i może sprzedawać broń osobom, które w innych stanach nie mogłyby jej kupić: skazanym za brutalne przestępstwa, figurującym na listach podejrzanych o terroryzm, objętym zakazem wstępu na pokład samolotów, uzależnionym od narkotyków lub alkoholu, młodocianym przestępcom oraz kryminalistom z poważną diagnozą psychiatryczną lub historią przemocy domowej. W 2010 roku gubernator zatwierdził prawo zezwalające na wnoszenie schowanej broni krótkiej do kościołów, synagog i meczetów. Luizjana ma największy współczynnik zgonów w wyniku postrzału z broni palnej w całych Stanach Zjednoczonych, prawie dwukrotnie wyższy od średniej krajowej[107].

Mimo to wielu moich rozmówców było gorącymi zwolennikami prawa do noszenia broni. Mike Schaff miał cztery sztuki.

– Karabin .22, pistolet tego samego kalibru, który odziedziczyłem po tacie, czterdziestkę smitha & wessona i samopowtarzalną dwunastkę. Ta ostatnia na jelenie i lisy – wyjaśnia. – A smith & wesson do samooobrony.

Następnie opisuje strzelbę swojej pierwszej żony i replikę zabytkowego karabinu Kentucky, którą sam złożył z gotowego zestawu elementów. Obecnie posiada tylko cztery sztuki broni, choć, jak dodaje, „na Południu to tyle, co nic. Większość ludzi ma siedem albo osiem sztuk”. Zaznacza, że nie musi chować ich pod ubraniem ani nosić przy sobie pozwolenia, choć pewnie je sobie wyrobi, jeśli „zrobi się gorzej”.

Kiedy przyjrzeć się im bliżej, przepisy prawa stanowego zaczynają układać się w pewien wzór i Wielki Paradoks staje się bardziej skomplikowany, niż to się z początku wydawało. Przepisy dotyczące alkoholu, broni palnej, jazdy na motocyklach – innymi słowy, klasycznych pasji białych mężczyzn – są bardzo liberalne (aczkolwiek w sprawie obowiązku używania kasków ustawodawca co jakiś czas robi krok w przód albo krok wstecz). Ściślejszej kontroli podlegają jednak kobiety i czarni mężczyźni. Ustawodawstwo federalne gwarantuje kobietom, w pewnych granicach, prawo do decydowania, czy chcą usunąć ciążę. Jednak stan Luizjana nałożył ograniczenia na kliniki oferujące procedurę przerywania ciąży[108]. Jeśli Sąd Najwyższy je utrzyma, w całym stanie zostanie tylko jedna klinika,

w Nowym Orleanie, gdzie będzie można poddać się aborcji. Dorosłemu, który bez wiedzy jej rodziców wywiezie poza granicę stanu nastolatkę w celu umożliwienia jej usunięcia ciąży, grozi kara więzienia.

Prawo stanowe reguluje także zachowania młodych czarnych mężczyzn. Parafia Jefferson Davis wprowadziła zakaz noszenia w miejscach publicznych spodni odsłaniających „skórę bądź bieliznę poniżej pasa". Artykuł prasowy, który o tym informował, ilustrowały zrobione z tyłu zdjęcia dwóch nastolatków w spodniach odsłaniających znaczne fragmenty bokserek. Parafia uchwaliła karę grzywny w wysokości pięćdziesięciu dolarów za pierwsze wykroczenie i stu za drugie[109]. Zarządzenie władz miasteczka Ville Platte (w którym pięćdziesiąt cztery procent populacji jest czarna) nakłada na mieszkańców obowiązek noszenia po zmroku na odzieży wierzchniej „czegoś odblaskowego", widocznego ze wszystkich kierunków[110].

Ostatecznym narzędziem egzekwowania posłuszeństwa wobec prawa jest, po karze śmierci, więzienie. Stany Zjednoczone wsadzają za kratki proporcjonalnie więcej swoich obywateli niż jakiekolwiek inne państwo na świecie (z wyjątkiem Seszeli), nie wyłączając Rosji i Kuby[111]. Najwięcej odsiadujących wyrok więźniów w stosunku do liczby mieszkańców jest w Luizjanie. Nieproporcjonalnie wielu z nich to czarni. Na terenie tego stanu znajduje się więzienie Angola, największy zakład karny o zaostrzonym rygorze w USA, słynący z bardzo surowego regulaminu. To tam padł krajowy rekord przetrzymywania skazanego w pojedynczej celi – Afroamerykanin Albert Woodfox spędzał w samotności dwadzieścia trzy godziny na dobę przez czterdzieści trzy lata, do wyjścia na wolność 19 lutego 2016 roku. Więc chociaż Luizjana szczyci się kowbojskim umiłowaniem wolności, kobieta chcąca usunąć ciążę z gwałtu, czarny nastolatek w parafii Jefferson Davis czy Albert Woodfox mogą to postrzegać nieco inaczej.

A jednak Luizjańczycy, którzy w rozmowach ze mną oburzali się na przerost uregulowań prawnych, nie mieli na myśli zakazu aborcji i więzień, lecz to, że rząd próbuje im mówić, co mają nabywać w sklepach. Dyskusja przy stole podczas lunchu Republikanek Południowo-Zachodniej Luizjany skupiła się na propagowaniu żarówek fluorescencyjnych i ledowych.

– Rząd nie ma prawa kontrolować, jakie kupujemy żarówki – oznajmiła jedna z pań. – Kazałam mężowi *z powrotem* powkręcać *stare*.

Jej koleżanki narzekały na „przymusowe" sałatki w menu fast foodów.

– Rząd nie musi mi mówić, co mam jeść – stwierdziła jedna z moich rozmówczyń.

– Pamiętacie ten fartuch kuchenny z napisem „Jeśli kucharz nie jest gruby, nie wezmę tego do ust"? – powiedziała druga, wywołując salwę radosnego śmiechu.

Inne panie irytował lokalny zakaz jeżdżenia samochodem po chodniku,

trzymania na posesji więcej niż jednego kampera oraz wynalazki mające za zadanie zapewnić bezpieczeństwo dzieciom. Jedna z kobiet wspominała dzieciństwo bez zakrętek na buteleczkach z lekarstwami uniemożliwiających otwarcie ich przez dzieci i bez zapinania pasów w samochodzie.

– Pozwalaliśmy im grać w strzałki na trawnikach i paliliśmy w ich obecności – mówi. – I mimo to jakoś p r z e ż y ł y. Teraz, kiedy dzieciak chce pójść na zjeżdżalnię, musisz mu założyć kask i ochraniacze na kolana i łokcie.

Kolejny wybuch śmiechu.

### *Samoobsługowe przepisy*

Louise, opiekunka drużyny najmłodszych skautów, księgowa o czułym sercu i matka trójki dzieci, mieszka w pobliżu zakładów petrochemicznych. Uważa, że przemysł powinien podlegać uregulowaniom prawnym.

– Na wszystko mamy przepisy, więc dlaczego nie na to?

Zdarzenia, których była świadkiem, każą jej wątpić, czy firmy rzeczywiście skrupulatnie przestrzegają wymogów bezpieczeństwa. Dlatego zaczęła prowadzić nieoficjalną obserwację okolicznych obiektów przemysłowych.

– Czasami mija kilka miesięcy bez żadnego alarmu – opowiada. – A potem nagle słyszysz hałas albo drżą szyby w oknach. Wstrzymujesz oddech. Dzwonimy: „Tato, nic ci nie jest?” [jej teść pracuje w zakładach petrochemicznych], a on odpowiada: „Tiaa, wszystko w porządku”. Jeśli coś się stanie w Firestone, rozgrzeję do czerwoności telefon mojego zięcia, dzwoniąc po wszystkich, którzy znają kogoś w fabryce[112]. Czasem, kiedy jedziesz w nocy przez most, w powietrzu wisi mgła. W Lake Charles mamy wilgotne, ciężkie powietrze. Jakby ktoś narzucił na ciebie koc. Wyczuwasz jakiś zapach i zastanawiasz się, co tym razem nie może ulecieć do góry? – mówi. – Mieszkam cztery i pół kilometra w prostej linii od Citgo. Dziś mieliśmy zrzut, ale oni mówią, że zanieczyszczenia nie opuściły terenu fabryki. – Śmieje się. – Więc żartowałam sobie z sąsiadką, że och, dzięki Bogu, tylko do ogrodzenia.

Inna kobieta monitoruje kolor pochodni na kominach pobliskich zakładów przemysłowych.

– Kiedy robi się dziwny, dzwonię do kogoś z rodziny albo przyjaciół i pytam: „Dlaczego dziś są niebieskie?” albo „Dlaczego czerwone?”. Kiedy słyszysz jakiś dziwny dźwięk czy czujesz dziwny zapach, włączasz radio albo telewizję, żeby zobaczyć, czy po pasku u dołu ekranu nie pełznie informacja, że była jakaś awaria. Dla ludzi, którzy mieszkają w pobliżu fabryki, zanieczyszczenia są sprawą osobistą.

– Czy państwo robi wszystko, co w jego mocy, by zapewnić bezpieczeństwo? – spytałam mężczyznę siedzącego obok mnie w czasie Parady Łodzi w New Iberia.

– Nie wiem. Czasem władze nie informują nas o tym, co się dzieje, bo nie chcą nas niepokoić – odparł. – Oczywiście my też wcale nie chcemy czuć się zaniepokojeni.

W 2013 roku doszło do eksplozji w fabryce Axiall (dawnych zakładach PPG, które zmieniły nazwę i zarząd), drugiej w ciągu trzynastu miesięcy[113]. Nad Lake Charles, Westlake i wschodnią częścią Sulphur zawisły gęste, kłębiące się obłoki zawierające kwas chlorowodorowy, dichlorek etylenu i chlorek winylu. Ludzie fotografowali je telefonami komórkowymi i wrzucali zdjęcia i filmiki na YouTube'a i Facebooka. Dwadzieścia siedem osób – głównie kierowcy, których wydarzenie to zaskoczyło na międzystanowej dziesiątce – trafiło na szpitalne oddziały ratunkowe z powodu problemów z oddychaniem. Na trzy godziny zamknięto autostradę, a miejscowej ludności nakazano schronić się w bezpiecznych miejscach. Jednak luizjański Departament Jakości Środowiska poinformował, że czujniki nie wykryły obecności niebezpiecznych substancji w powietrzu. Obywatele musieli sami poradzić sobie jakoś z faktem, że ich iPhone'y i komputery pokazywały „wyraźne, oczywiste, okropne", a władze stanu mówiły: „Nic nie widzimy. Nie jesteśmy w stanie stwierdzić".

Generał zawraca i jedziemy River Road, wzdłuż Alei Rakotwórczej, do Baton Rouge. Proszę go, by odpowiedział na pytanie, które często stawiają rozmówcy: „Skoro koncerny same chcą uniknąć wypadków, to po co nam rząd?".

– W branżach przemysłu, gdzie przepisy są liberalne, częściej dochodzi do wypadków, a tam, gdzie są bardziej rygorystyczne, rzadziej. Uregulowania prawne działają – stwierdza. – Ale tutaj mamy „samoobsługę" – dodaje z cierpkim uśmiechem. – Federalna Agencja Ochrony Środowiska zrzuca odpowiedzialność na stanowy Departament Jakości Środowiska. Władze stanu zrzucają odpowiedzialność na koncerny naftowe. Każde przedsiębiorstwo ma własne przepisy. To tak, jakbym grzejąc półciężarówką po River Road sto sześćdziesiąt kilometrów na godzinę, wezwał drogówkę i powiedział: „Przepraszam, panie władzo, właśnie przekroczyłem prędkość".

W rozmowach, które prowadziłam i którym przysłuchiwałam się na imprezach wyborczych kongresmenów Boustany'ego i Landry'ego oraz przy stole na lunchach Republikanek Południowo-Zachodniej Luizjany, dużo miejsca zajmowała wolność, rozumiana jako wolność c z e g o ś – rozmawiania przez telefon komórkowy w czasie prowadzenia samochodu, kupowania w trasie *daiquiri* w zamkniętych kubkach bez wetkniętej słomki, chodzenia po mieście z naładowaną bronią. Ale prawie nikt nie mówił o w o l n o ś c i o d takich zjawisk, jak przemoc z użyciem broni palnej, wypadki samochodowe czy toksyczne zanieczyszczenia. Generał Honoré nie był histerykiem; po prostu zdawał sobie sprawę, czym grozi życie w bezpośrednim sąsiedztwie zakładów przemysłowych, które same sobie wyznaczają

standardy bezpieczeństwa.

– Ludzie nie są wolni, ale wydaje im się, że są. To część psychologicznego programu – mówi. – K o n c e r n może do woli zatruwać środowisko, ale l u d z i e nie mogą pływać w wodach publicznych.

Jak działał psychologiczny program? Może nie dostrzegałam oczywistego wyjaśnienia: miejsca pracy. Przemysł naftowy zapewniał miejsca pracy. Praca zapewniała pieniądze. Pieniądze zapewniały lepsze życie – lepszą szkołę, dom, opiekę medyczną, kawałek amerykańskiego snu. Możliwe, że ludzie, z którymi siedziałam na widowni wieców wyborczych kandydatów do Kongresu, nie tyle nienawidzili rządu federalnego, ile kochali sektor prywatny, a zwłaszcza jego luizjańską królową, ropę naftową. Może tak się zajęłam nasłuchiwaniem „niezaśpiewanej piosenki" o zanieczyszczonym środowisku, że puściłam mimo uszu wyraźną i głośną pieśń o miejscach pracy. Przecież Jeff Landry w czasie przemówienia prezydenta Obamy w Kongresie USA podniósł tablicę z napisem „Ropa naftowa = miejsca pracy". A wiele federalnych uregulowań prawnych stanowiło dla nich bezpośrednie zagrożenie.

Generał Honoré powiedział mi, że ludzie na okrągło słuchali o miejscach pracy i że w tej gadce była dostatecznie duża doza prawdy, by w nią uwierzyli. Powiedział też, że przekonanie o konieczności wyboru p o m i ę d z y miejscami pracy i czystością powietrza oraz wody jest elementem psychologicznego programu. Ale ile miejsc pracy rzeczywiście zależało od przemysłu naftowego? I czy naprawdę te dwie rzeczy się nawzajem wykluczały? Może zanim zrozumiem rząd, powinnam najpierw pojąć sektor prywatny? Może rzeczywiście istnieją trudne wybory, których nie dostrzegam?

# 5
# „Najmniej skłonny do protestowania typ osobowości”

Mam przed sobą doktora chemii fizycznej Paula Templeta, emerytowanego – od niedawna – wykładowcę Uniwersytetu Stanowego Luizjany. Templet przez cztery lata kierował stanowym Departamentem Jakości Środowiska; w tym czasie poziom zanieczyszczeń wszystkich typów spadł o połowę. Zna się na miejscach pracy, środowisku naturalnym i kompromisach. Rozmawiamy o tym przy kawie i ciasteczkach w domu wspólnych przyjaciół w Baton Rouge. Jest energicznym mężczyzną o przyjacielskim i zarazem stanowczym sposobie bycia. Ma wąsy, kozią bródkę, przyciemniane okulary i zupełnie nie wygląda na swoje siedemdziesiąt trzy lata. Ubrany w rdzawy T-shirt i spodnie koloru khaki z roztargnieniem podnosi do ust filiżankę z kawą, jakby całą jego uwagę pochłaniał doniosły temat rozmowy. Jest Kajunem, urodził się w Port Allen w Luizjanie, jako nastolatek wyładowywał worki z piaskiem z wagonów kolejowych w zakładach chemicznych Dow Chemical.

Z przemówień kongresmenów Boustany’ego, Landry’ego i Vittera oraz gubernatora Jindala wyłania się pewna logika. Ponieważ byli to przywódcy polityczni, wybrani głosami moich przyjaciół z Partii Herbacianej, chciałam pojąć tę logikę, sprawdzić, czy potrafię dostrzec w niej sens, i zrozumieć, dlaczego oni uważają ją za sensowną.

Wyglądało to tak: więcej ropy naftowej, więcej miejsc pracy. Więcej miejsc pracy, lepsza sytuacja gospodarcza, a co za tym idzie, mniejsza potrzeba pomocy rządowej. A im mniej ludzie będą zależni od rządu – lokalnego, stanowego czy federalnego – tym lepiej na tym wyjdą. Aby przyciągnąć miejsca pracy w przemyśle naftowym, stan musi stworzyć „zachęty” finansowe, które zwabią koncerny. Środki na te zachęty trzeba wygospodarować z budżetu stanowego, co może doprowadzić do zwolnień pracowników sektora publicznego. Jest to przykre, ale zmniejsza zależność obywateli od rządu oraz prowadzi do obniżenia podatków. Tak przedstawia się logika czerwonych stanów. Paradoks polega na tym, że są to biedne stany z dużą liczbą problemów.

– Ile miejsc pracy w Luizjanie daje przemysł naftowy i petrochemiczny? – pytam na początek.

Paul odpowiada, że dziś jest to niespełna dziesięć procent. Jestem w szoku. Tyle słyszymy o miejscach pracy, że dziesięć procent wydaje się jednak poniżej poziomu

pozwalającego mówić o „wystarczającej dozie prawdy” czy uzasadnić poczucie zagrożenia i irytacji, jakie w Luizjańczykach wywołują pojęcia „środowisko” i „uregulowania prawne”. Ale kiedy później sprawdzam liczby, okazuje się, że według najwyższych szacunków – podanych przez Louisiana Mid-Continent Oil and Gas Association – przemysł wydobycia i przetwórstwa ropy naftowej zapewnia piętnaście procent miejsc pracy w stanie Luizjana[114]. Według najniższych – federalnego U.S. Bureau of Labor Statistics – tylko 3,3 procent. (Obejmuje to wszystkich zatrudnionych przy wydobyciu ropy naftowej i w obsłudze sektora wydobywczego, w przetwórstwie ropy i węgla oraz przy eksploatacji rurociągów w roku 2014[115]).

Kongresmeni Boustany i Landry odmieniają „miejsca pracy” przez wszystkie przypadki, więc jak to się dzieje, że jest ich tak mało? Te dziedziny przemysłu są w wysokim stopniu zautomatyzowane. Do zbudowania zakładów petrochemicznych potrzeba wielu robotników, ale tylko przez krótki okres. Żeby działały, wystarczy niewielka liczba wysoko wykwalifikowanych inżynierów, chemików i operatorów urządzeń, którzy będą pilnowali paneli z przyrządami pomiarowymi i wiedzieli, co robić w wypadku awarii. I kilku konserwatorów, takich jak Lee Sherman.

Trwa jednak boom na gaz ziemny, więc może liczba miejsc pracy się zwiększa. Według przygotowanej w 2014 roku na zlecenie Sasola prognozy rozwoju regionalnego *Southwest Louisiana Regional Impact Study* do 2018 roku ma powstać osiemnaście tysięcy miejsc pracy, z czego tylko mała część stałych. Co więcej, siedemdziesiąt procent z nich zajmą robotnicy spoza południowo-zachodniej Luizjany[116]. Wiele koncernów rekrutuje wykwalifikowanych pracowników za granicą. Słyszałam, że to Meksykanie budują „obozy robotnicze” – zamknięte osiedla baraków – w których miało zamieszkać pięć tysięcy monterów rurociągów, w tym nieujawniona liczba Filipińczyków na wizach czasowych. Filipińczycy od ponad dziesięciu lat pracują na platformach wiertniczych w Zatoce Meksykańskiej[117].

Tymczasem większość zatrudnionych w Luizjanie na stałych etatach – osiemdziesiąt pięć procent – robiła zupełnie co innego, na przykład uczyła dzieci, pielęgnowała chorych, stawiała domki jednorodzinne z prefabrykatów, wytwarzała sprzęt dla placów zabaw, budowała jachty, remontowała samoloty, obsługiwała plany filmowe w – jak mówili niektórzy – „Hollywood Południa”, oprowadzała wycieczki po rezydencjach dawnych plantatorów, łowiła ryby, uprawiała ziemię[118].

Być może miejsca pracy w przemyśle naftowym miały pierwszeństwo w oficjalnym myśleniu, ponieważ ropa naftowa przynosiła budżetowi stanowemu duże dochody. Jednak tylko czternaście procent stanowego budżetu pochodziło z podatków od eksploatacji zasobów naturalnych, w porównaniu z czterdziestoma dwoma procentami w 1982 roku[119]. Niemniej nafta była największym pojedynczym

źródłem dochodów stanu i taka przesłanka stała za planem gubernatora Bobby'ego Jindala, by ściągnąć do Luizjany kolejne koncerny naftowe i petrochemiczne. (Koncerny naftowe wyłożyły też milion dolarów na jego kampanię wyborczą, z czego moi rozmówcy z Partii Herbacianej doskonale zdawali sobie sprawę. Krytycy planu Jindala twierdzili, że firmy naftowe nie potrzebowały żadnej dodatkowej zachęty, ponieważ w Luizjanie były ropa, rurociągi, zakłady petrochemiczne, port i cała potrzebna infrastruktura).

W ramach „zachęty" dla przemysłu naftowego Jindal obniżył podatek dochodowy od osób prawnych, przez co dochody stanu z tego tytułu spadły z 703 milionów dolarów w 2008 roku do 290 milionów w 2012[120]. Zmniejszył także podatek od eksploatacji zasobów naturalnych – w 2008 roku przyniósł on Luizjanie ponad miliard dolarów, ale w 2012 roku już tylko 886 milionów[121]. W latach 2000–2014 stan stracił kolejne 2,4 miliarda dolarów, ponieważ niektóre koncerny naftowe zostały całkowicie zwolnione z płacenia podatku od eksploatacji zasobów naturalnych. (Nowe firmy przez pierwsze dziesięć lat nie płacą żadnych podatków, a jeśli zmienią nazwę, mogą nie płacić ich przez kolejną dekadę).

Co więcej, według Louisiana Economic Development and Tax Foundation Luizjana ma „najniższy [w USA] podatek dochodowy dla nowych przedsiębiorstw podejmujących działalność produkcyjną na terenie stanu"[122]. Dla okresu trzech lat w ogóle nie da się stwierdzić, czy koncerny naftowe przelały jakieś pieniądze na konto stanu, ponieważ kontrolowanie tych płatności powierzono ściśle powiązanemu z przemysłem naftowym Office of Mineral Resources, które od 2010 do 2013 roku nie przeprowadziło ani jednego audytu[123]. Tak więc, pomijając piętnaście procent miejsc pracy, udział dochodów z przemysłu naftowego w budżecie stanu systematycznie malał. Przyciąganie koncernów naftowych stawało się coraz bardziej kosztowne, a te, które już tam działały, dawały coraz mniej. Tymczasem, żeby za to wszystko zapłacić, władze Luizjany likwidowały etaty w sektorze publicznym i nie zmniejszały zadłużenia, które w 2012 roku pozostało na poziomie osiemdziesięciu trzech miliardów dolarów (znaczną część tej sumy stanowiły niepokryte publiczne zobowiązania emerytalne).

Nalewamy sobie po drugiej filiżance kawy i wchodzimy na drugi poziom rewelacji.

– Przemysł naftowy tworzy nowe miejsca pracy – mówi doktor Templet – ale prowadzi do likwidacji innych i hamuje rozwój niektórych pozostałych sektorów gospodarki, takich jak rybołówstwo czy turystyka.

Eksplozje na platformach wiertniczych, takie jak ta, do której w 2010 roku doszło na BP Deepwater Horizon, poważnie szkodzą rybołówstwu i turystyce, przynosząc ogromne straty zbieraczom ostryg, rybakom głębokowodnym, hurtownikom, restauratorom, właścicielom i pracownikom hoteli. Nikt nie chce jeść uwalanych ropą

krewetek ani spędzać wakacji na plażach, po których poniewierają się kulki smoły. Wbrew temu, co zdaje się sugerować doroczny Luizjański Festiwal Krewetek i Ropy Naftowej w Morgan City, ropa naftowa i owoce morza nie stanowią dobranej pary. Przemysł naftowy niszczy miejsca pracy także w inny sposób. „Zachętom” finansowym gubernatora Jindala dla nafciarzy towarzyszyła likwidacja trzydziestu tysięcy etatów w sektorze publicznym – zatrudnienie straciły pielęgniarki, technicy medyczni, nauczyciele.

Faworyzowanie miejsc pracy w przemyśle naftowym argumentuje się często tym, że są one bardzo dobrze płatne i że wysokie zarobki poprzez konsumpcję „spłyną w dół”, zwiększając liczbę miejsc pracy i pensje pracowników innych sektorów. Ale czy rzeczywiście tak się dzieje?

– Nie bardzo – mówi Templet. A to dlatego, że zarobki w przemyśle naftowym nie spływają w dół, lecz wyciekają na zewnątrz[124]. – Większość obiektów należy do zagranicznych koncernów – wyjaśnia. – Centrala Sasola mieści się w Johannesburgu, Royal Dutch Shell w Hadze. BP w Londynie. Citgo jest spółką całkowicie zależną Petróleos de Venezuela. Magnolia LNG to australijska firma z główną siedzibą w Perth. Philips 66, spółka zależna wydzielona w 2012 roku z ConocoPhillips, jest zarejestrowana w Ameryce, ale nie w Lake Charles. Kierownicy najwyższego szczebla nie budują sobie luksusowych domów z basenami w Lake Charles, Sulphur czy Westlake. Również akcjonariusze wydają zyski z dywidend nie u nas, tylko tam, gdzie mieszkają, na przykład w Greenwich w stanie Connecticut albo w kalifornijskiej Mill Valley[125].

Zarobki tymczasowych pracowników z Filipin i Meksykanów z zieloną kartą również nie „spływają w dół”, ponieważ większość z nich sumiennie wysyła pieniądze potrzebującym rodzinom za granicą. Luizjańczycy narzekają nawet, że część filipińskich robotników w ogóle nie kupuje w miejscowych sklepach. Biorąc to wszystko pod uwagę, Templet oblicza, że z Luizjany „wycieka” około jednej trzeciej produktu krajowego brutto, czyli łącznej wartości wszystkich dóbr i usług wyprodukowanych w tym stanie[126].

Powracając myślą do Wielkiego Paradoksu, pytam Templeta, czy pojawienie się w Luizjanie przemysłu naftowego zmniejszyło biedę, z którą boryka się ten stan.

– Nie – odpowiada. – Luizjana była biedna przed pojawieniem się nafciarzy i pozostaje biedna do dzisiaj; jest drugim najuboższym stanem USA.

W 1979 roku dziewiętnaście procent Luizjańczyków żyło poniżej granicy ubóstwa; w 2014 roku wskaźnik ten wyniósł osiemnaście procent[127]. Ponadto stałe, wymagające wysokich kwalifikacji miejsca pracy w przemyśle naftowym są praktycznie poza zasięgiem źle wykształconych, ubogich mieszkańców Luizjany, i to bez względu na rasę. Przemysł naftowy nie podniósł jakości edukacji – szkoły są finansowane z lokalnych podatków od nieruchomości, wyższych w bogatych rejonach

i niższych w biednych.

Niemniej piętnaście procent zatrudnionych pracowało w nafcie. Dwie trzecie ich zarobków nie wyciekało poza stan. To były dobre wiadomości. Ale jak wyglądał pełen obraz? Może luizjański przemysł naftowy reprezentował bliską konserwatystom strategię rozwoju ekonomicznego, nazwaną przez socjologów Caroline Hanley i Michaela T. Douglassa strategią „niskiej drogi". Ograniczanie działalności związków zawodowych, ulgi podatkowe, niezbyt rygorystyczne przepisy ochrony środowiska odgrywają rolę przynęty, która ma zwabić do stanu przemysł już *istniejący gdzie indziej*. Pięćdziesiąt lat temu taka strategia ściągnęła na Południe przemysł tekstylny z Nowej Anglii, a dziś wywabia Mercedesa z New Jersey do Georgii, Toyotę z Kalifornii do Teksasu i Nissana z Kalifornii do Tennessee[128]. Luizjana uzyskała nowe miejsca pracy nie poprzez rozwijanie własnego przemysłu, lecz kradnąc je innym stanom. Z kolei strategia „wysokiej drogi" polega na *stymulowaniu nowych* miejsc pracy przez tworzenie atrakcyjnego sektora publicznego, tak jak Kalifornia uczyniła w Dolinie Krzemowej, a stan Waszyngton w Seattle. Przyszło mi do głowy, że być może jedna partia była zwolenniczką pierwszej strategii rozwoju gospodarczego (Partia Herbaciana, model luizjański), a druga drugiej (Partia Demokratyczna, model kalifornijski)[129].

Przy trzeciej filiżance kawy i kolejnych ciasteczkach wracamy z generałem Honorém do głównego założenia „psychologicznego programu" – wykorzystującego zrozumiały lęk prawicy przed utratą dobrych miejsc pracy – że w Ameryce musimy wybierać: praca albo czyste środowisko. Wiele razy słyszałam od moich luizjańskich rozmówców, że przepisy ochrony środowiska, celowo bądź w konsekwencji, niszczą miejsca pracy. Stąd niechęć do „ekologicznych świrów". Ale Templet odsyła mnie do badań politologa z Massachusetts Institute of Technology, Stephena Meyera, który w 1992 roku ocenił rygorystyczność przepisów ochrony środowiska w poszczególnych stanach Unii. Następnie zestawił ją ze wzrostem gospodarczym w okresie poprzednich dwudziestu lat i stwierdził, że im surowsze przepisy, tym więcej dostępnych miejsc pracy. Opublikowana w 2016 roku analiza najważniejszych gospodarek świata[130] również wykazała, że bardziej rygorystyczne uregulowania prawne w sferze ekologii podnoszą, a nie obniżają konkurencyjność na rynku międzynarodowym. Skoro ekonomiści Organizacji Współpracy Gospodarczej i Rozwoju (Organisation for Economic Cooperation and Development, OECD) w coraz większym stopniu są co do tego zgodni, zastanawiałam się, dlaczego moi przyjaciele z Partii Herbacianej nie słyszą o tym od swoich przywódców[131].

Możliwe, że odpowiadają za to dwie ostatnie składowe obrazu, który przedstawił mi Templet: rosnąca pozycja koncernów naftowych i ich ostentacyjna hojność. Były szef luizjańskiego Departamentu Jakości Środowiska zauważył, że im więcej ulg preferencyjnych przemysł naftowy wyciska z budżetu stanu, tym bardziej

niedofinansowane są szkoły i szpitale publiczne, tym bardziej ograniczona pomoc dla ubogich i tym słabsze pozostałe sektory gospodarki – co jeszcze bardziej wzmacnia dominację nafciarzy.

Jak na ironię, koncerny często wspierają finansowo lokalne społeczności w geście korporacyjnej dobrej woli. Wykorzystują do tego pieniądze, które niezasobny stan wyłożył, by je tam ściągnąć. Dow Chemical finansuje Audubon Nature Institute. Shell Oil Company wspiera National Fish and Wildlife Foundation[132]. Pittsburgh Plate Glass opłaca program edukacyjny „Naturelab-Classroom” w okolicach Lake Charles. Sasol wyłożył pieniądze na projekt utrwalenia historii Mossville, czarnego osiedla, którego mieszkańców zmuszono do wyprowadzki, by zrobić miejsce pod nowe obiekty koncernu. Louisiana Chemical Association sponsoruje Louisiana Tumor Registry.

– Więc teraz Luizjańczycy są wdzięczni… – Templet robi pauzę dla podkreślenia smutnej ironii tego faktu – …nie tylko za miejsca pracy, ale też za prezenty.

### *Zanieczyszczenia czerwone i niebieskie*

W drodze powrotnej do Lake Charles przychodzi mi do głowy zniechęcająca myśl. Może Luizjana jest naftowym odmieńcem, nietypowym reprezentantem stanów czerwonych. Może pokazuje jedynie, jak działa przemysł naftowy. Czyżby ropa zwiodła mnie na manowce, odciągając od prawdziwego matecznika prawicy? Wyobrażałam sobie, że sercem prawicy jest Południe, a sercem Południa – Luizjana. Czy była przypadkiem pobocznym, czy typowym dla ogólnokrajowej tendencji?

Po powrocie do domu znalazłam odpowiedź na te pytania w alarmującej pracy socjologa Arthura O’Connora z 2012 roku, który wykazał, że mieszkańcy czerwonych stanów borykają się z większym skażeniem środowiska niż mieszkańcy stanów niebieskich. Wyborcy w dwudziestu dwóch stanach, które w pięciu wyborach prezydenckich w latach 1992–2008 wybrały kandydatów republikańskich (zwykle opowiadających się za złagodzeniem przepisów krępujących przedsiębiorców), żyją w b a r d z i e j skażonym środowisku. Mieszkańcy dwudziestu dwóch stanów, które wybierały demokratów (z reguły popierający bardziej rygorystyczne uregulowania prawne) oddychają czystszym powietrzem[133]. To nie była dobra wiadomość dla moich przyjaciół z Partii Herbacianej.

Ja i moja asystentka z Berkeley, Rebecca Elliott, postawiłyśmy kolejne pytanie: czy tylko czerwone s t a n y można powiązać z większym poziomem zanieczyszczeń, czy też podobna korelacja zachodzi także dla tych h r a b s t w [i parafii] w każdym z nich, gdzie obywatele objawiają najsilniejsze tendencje prawicowe? Szukałyśmy powiązania między poglądami politycznymi

i zanieczyszczeniem środowiska. Najpierw sięgnęłyśmy po informacje udostępnione na oficjalnej stronie internetowej Agencji Ochrony Środowiska. Znalazłyśmy tam dane dotyczące narażenia na działanie zanieczyszczeń (Risk-Screening Environmental Indicators, RSEI) dla każdego hrabstwa w kraju. Określają one wielkość emisji substancji chemicznych, stopień ich toksyczności i wielkość narażonej populacji. Jest to najlepszy sposób zmierzenia stopnia narażenia obywateli na działanie zanieczyszczeń. Następnie zestawiłyśmy te dane z drugim źródłem informacji – opiniami indywidualnych osób zebranymi przez szacowny Generalny Sondaż Społeczny (General Social Survey, GSS). Badałyśmy, w jaki sposób to, co ludzie sądzą na temat środowiska i polityki, przekłada się na rzeczywiste ryzyko narażenia na działanie zanieczyszczeń na danym obszarze.

Odkryłyśmy, że statystyczny mieszkaniec hrabstwa o wyższym stopniu narażenia na działanie toksycznych zanieczyszczeń w 2010 roku był bardziej skłonny uważać, iż Amerykanie „zbytnio przejmują się” środowiskiem i że Stany Zjednoczone robią w tej sprawie „więcej niż to konieczne”. Częściej również określał się jako zdecydowany zwolennik Partii Republikańskiej. Powraca Wielki Paradoks, tyle że tym razem w odniesieniu do kwestii, do której postanowiłam zawęzić pole widzenia, a mianowicie zanieczyszczenia środowiska w Ameryce. Jak się okazało, Luizjana nie odbiega pod tym względem od reszty kraju. (Zobacz Aneks B).

### *„Najmniej skłonny do protestowania typ osobowości”*

Powróciłam myślami do domu Arenów nad Bayou d’Inde. Dlaczego PPG i pozostałe koncerny postanowiły zbudować swoje obiekty właśnie tam, a nie w jakimś innym miejscu? Główny powód na pewno stanowiła bliskość złóż ropy naftowej. Ale czy w grę wchodziły także inne czynniki? Z badań wynikało, że im biedniejszy stan, tym bardziej liberalne przepisy[134]. Czyżby mieszkańcy uboższych stanów mniej przejmowali się wyciekaniem zysków i finansowymi prezentami z kasy stanu dla wielkiego przemysłu? Czy też po prostu kierowali się zrozumiałą nadzieją na znalezienie pracy, a resztę zamierzali jakoś przetrzymać?

Oczywiście żaden z moich luizjańskich rozmówców nie był zadowolony z zanieczyszczenia środowiska. Ale co, jeśli pewni ludzie są bardziej od innych skłonni znosić to, co im się nie podoba? Po powrocie z Baton Rouge do domu odkryłam bardzo pouczający raport na temat sposobów, za pomocą których koncerny radzą sobie z faktem, że lokalni mieszkańcy nie chcą ich mieć za sąsiadów. Dokument autorstwa J. Stephena Powella z zarejestrowanej w Los Angeles firmy konsultingowej Cerrell Associates, Inc. nosił tytuł *Political Difficulties Facing Waste-to-Energy Conversion Plan Siting* (Polityczne utrudnienia lokalizowania zakładów

przetwarzania odpadów na energię). Raport liczył pięćdziesiąt siedem stron i miał charakter wewnętrzny, ale wyciekł, choć nie udało mi się dowiedzieć, kto za to odpowiadał. Mimo że powstał w zupełnie innym czasie (1984) i miejscu (Los Angeles), zachował aktualność do dzisiaj. Kalifornijska rada zarządzania odpadami (California Waste Management Board) zapłaciła Cerrell Associates pół miliona dolarów za wskazanie społeczności lokalnych, które nie będą protestowały przeciwko „zagospodarowaniu terenu w sposób uciążliwy dla otoczenia” („*locally undesirable land use*”, LULU)[135]. Arenowie uważali obecność Pittsburgh Plate Glass nad Bayou d’Inde właśnie za „uciążliwą dla otoczenia”.

Obiekt, dla którego rada zarządzania odpadami szukała odpowiedniej lokalizacji, miał być bardzo nieprzyjemnym sąsiadem. Generowałby smród i od czasu do czasu hałas. „Zakłady przetwarzania odpadów na energię powodują również potencjalne zagrożenie dla zdrowia w postaci zanieczyszczenia powietrza – pisze Powell. – Zrzuty mogą zawierać różne ilości tlenków azotu, tlenku węgla, dwutlenku siarki, węglowodorów, pyłów i innych substancji, dla których nie zostały jeszcze określone dopuszczalne normy”. Fabryczne ciężarówki mogą powodować korki na drogach. Autor raportu zauważył również, że tam, gdzie powstanie zakład, spadną ceny nieruchomości.

Jak tego rodzaju przedsiębiorstwo może przekonać lokalną społeczność do zaakceptowania jego obecności? Powell kończy raport konkluzją, że próba nakłonienia niechętnych mieszkańców do zmiany zdania nie jest najbardziej efektywną metodą. Lepiej znaleźć społeczność, która najprawdopodobniej nie będzie protestować.

Na podstawie przeprowadzonych wywiadów i ankiet Powell stworzył profil „najmniej skłonnego do protestowania typu osobowości”:

- wieloletni mieszkańcy małych miast na Południu i w Midweście;
- wykształcenie najwyżej średnie;
- katolicy;
- niezaangażowani społecznie, nieuczestniczący w życiu kulturalnym;
- pracujący w górnictwie, rolnictwie, hodowli zwierząt (jak to nazwało Cerrell Associates, „zawodach związanych z eksploatacją natury”);
- konserwatyści;
- głosujący na republikanów;
- zwolennicy wolnego rynku.

Kiedy w latach 40. do Luizjany zaczęły ściągać wielkie koncerny naftowe, większość dorosłych mieszkańców miała ukończonych zaledwie pięć klas.

Luizjańczycy najrzadziej w kraju przeprowadzali się poza granice własnego stanu. Począwszy od lat 70., przeciętny mieszkaniec stanu głosuje na Partię Republikańską i popiera wolny rynek oraz ograniczanie prerogatyw władzy. Większość Luizjańczyków, których poznałam, odpowiadało kilku lub wszystkim wymienionym kryteriom – od dawna mieszkali w tym samym miasteczku, połowa z nich miała wykształcenie średnie, wyznawali konserwatywne poglądy, głosowali na republikanów. Powyższy opis pasował do Arenów i w dużym stopniu do Lee Shermana. Przeciwnicy przemysłu naftowego byli zupełnie innymi ludźmi – młodymi, z wykształceniem wyższym, mieszkańcami dużych miast, liberałami, zaangażowanymi w sprawy społeczne i zwolennikami kompetentnej administracji. Czy osoby o „najmniej skłonnym do protestowania typie osobowości" były podatne na to, co generał Honoré nazywał „psychologicznym programem" – mówieniem w kółko o „miejscach pracy", w którym była „dostateczna doza prawdy", by w to uwierzyć? A może to zbyt proste wyjaśnienie, pomysł typowy dla mojej strony muru empatii?

Posłuchałam, o czym się mówi i o czym się milczy w mateczniku prawicy. Zobaczyłam, z czym moi przyjaciele z Partii Herbacianej muszą sobie radzić na co dzień. Ale mur empatii okazał się wyższy, niż początkowo sądziłam. Widziałam to, czego oni nie dostrzegali, ale nie to, czego – jak powiedziałby Miś Jogi – ja nie mogłam zobaczyć. Czułam, że nadal jestem ślepa na to, co oni widzą i co uważają za ważne. Musiałam zrobić coś więcej, musiałam wejść na s p o ł e c z n y  o b s z a r, w którym funkcjonowali i który kształtował ich poglądy. Ten obszar tworzyły przemysł, władze stanu, kościół i prasa. W jaki sposób te podstawowe instytucje wpływały na sposób odczuwania rzeczywistości zwolenników skrajnej prawicy? Postanowiłam zacząć od przemysłu. W tym celu opuściłam Lake Charles, przejechałam międzystanową dziesiątką przez most na rzece Calcasieu i weszłam przez otwarte drzwi do gabinetu burmistrza Boba Hardeya w ratuszu w Westlake.

# CZĘŚĆ DRUGA
# SPOŁECZNY OBSZAR

# 6
# Przemysł: błyszcząca klamra na pasie amerykańskiej energetyki

Siedząc w gabinecie burmistrza Boba Hardeya, oglądam nagranie wideo z wiekopomnej uroczystości, na której południowoafrykański gigant petrochemiczny Sasol ogłosił przełomowy plan zbudowania kompleksu energetycznego niespełna dziesięć kilometrów od domu Arenów nad Bayou d’Inde. Hardey – tryskający energią, wysportowany, łysiejący sześćdziesięciolatek o młodzieńczym sposobie bycia – wpatruje się w ekran z nieskrywanym zachwytem. Na ustawionych w rzędy krzesłach siedzi dwustu notabli w garniturach i krawatach. Kolejno podchodzą do mikrofonu. Nowe obiekty Sasola staną na działce o powierzchni tysiąca dwustu hektarów. Warta dwadzieścia jeden miliardów dolarów inwestycja będzie największą bezpośrednią zagraniczną inwestycją przemysłową w historii USA. Kompleks Sasola jest częścią szerszego planu inwestycji kilku koncernów o łącznej wartości osiemdziesięciu czterech miliardów dolarów, w ramach którego w ciągu pięciu lat w południowo-zachodniej Luizjanie ma powstać sześćdziesiąt sześć nowych obiektów przemysłowych[136]. By zrealizować wizję „Kataru nad Bayou [d’Inde]”, jak ochrzcił ją „Wall Street Journal”, trzeba będzie „zlikwidować dwadzieścia sześć dróg publicznych i wykupić 883 nieruchomości należących do stanu”. Na ich miejscu powstaną „nowe miasta fabryk nawozów sztucznych, zakładów przetwarzających bor, terminali metanolu, fabryk polimerów, amoniaku i papieru”[137].

Jako siódmy przemawia burmistrz Hardey.

– Nie przygotowałem sobie notatek – wspomina – ale pomyślałem, że powinienem wyglądać, jakbym je miał. – Zanim został burmistrzem Westlake, Hardey pracował jako kierownik działu oprzyrządowania w zakładach Phillips 66 i nie miał wielkiego doświadczenia w przemawianiu publicznie. – Dlatego wstałem z iPodem w ręku. Przez cały czas patrzyłem na zdjęcie żony. – Podaje mi urządzenie. Z wygaszacza uśmiecha się do mnie ciemnowłosa kobieta.

Trzymając przed sobą iPoda, trochę jak tarczę, a trochę dla moralnego wsparcia, burmistrz mówi zgromadzonym dygnitarzom, że Hardeyowie mieszkają w Westlake od czterech pokoleń. Jedna z ulic w mieście nosi jego rodowe nazwisko. Zarówno on sam, jak i jego ojciec i syn pracowali w miejscowych zakładach przemysłowych i ma nadzieję, że jego wnuk pójdzie w ich ślady. Ale wiele rzeczy będzie musiało się zmienić.

– Mój syn i synowa od dawna marzyli o postawieniu własnego domu. W dwa tysiące piętnastym roku byli już na półmetku budowy, niedaleko mnie i mojej żony. Pomagałem synowi z hydrauliką. Pewnego dnia mówi mi, że jego działka jest potrzebna Sasolowi. Chcą, żeby ją sprzedał i się wyprowadził. Wstałem od roboty i powiedziałem: „Synu, pomogę ci kłaść rury w twoim *następnym* domu”.

Widownia słucha go jak urzeczona.

Westlake jest szarym, bezładnym skupiskiem najeżonych kominami, opasanych stalą fortec i ustawionych w równych rzędach gigantycznych zbiorników, białych, cylindrycznych i płaskich u góry. W nocnym oświetleniu przywodzi na myśl dziwne i piękne Szmaragdowe Miasto w Krainie Oz. Ale w powietrzu często unosi się odór z zakładów chemicznych.

– Powiadają, że „Westlake ma ten swój smrodek” – przemawia dalej Hardey. – Ale ja zawsze mówię: „Człowieku, pachnie jak *ryż z sosem*”.

Widownia śmieje się ze zrozumieniem i oklaskuje go głośniej niż innych mówców.

Spotkałam się z burmistrzem Hardeyem, bo chciałam spróbować zobaczyć Wielki Paradoks z jego perspektywy. Moi nowi luizjańscy znajomi z oburzeniem odrzuciliby twierdzenia doktora Templeta, że przemysł naftowy niszczy miejsca pracy w innych branżach, wyprowadza ze stanu jedną trzecią zysków, zanieczyszcza środowisko i nie przyczynia się do rozwiązania żadnego z licznych problemów, z którymi borykają się mieszkańcy. Próbowałam wczuć się w stan umysłu, do którego nie trafiają argumenty o szkodliwości nadmiernego uzależnienia od przemysłu naftowego czy skutków ubocznych szczelinowania, ponieważ inne sprawy wydają się o wiele ważniejsze. Moi przyjaciele z Partii Herbacianej zwykle wypowiadali nazwę Sasol jednym tchem ze słowem „miliard”, na przykład „Sasol zainwestował siedem miliardów dolarów w instalacje krakingu etanu” albo „warta czternaście miliardów dolarów inwestycja Sasola w instalacje do skraplania gazu ziemnego”. Budziło to skojarzenia z potęgą, znaczeniem i dobrą koniunkturą gospodarczą[138].

Zastanawiałam się, czy te gigantyczne inwestycje burzą, czy raczej odzwierciedlają naszkicowany przez Templeta ponury obraz miejsc pracy w przemyśle paliw kopalnych. Może to gorączka inwestycyjna wywołana boomem na wydobycie gazu ziemnego ze skał łupkowych spowodowała, że ludzie gwałtownie zapragnęli zrzucić jarzmo rządu federalnego? Kto go potrzebował, skoro pojawiły się takie możliwości? Od wizyty w gabinecie burmistrza Hardeya rozpoczęłam badanie *instytucjonalnego kontekstu*, w którym kształtował się światopogląd Mike’a Schaffa, Lee Shermana i innych zwolenników prawicy.

Westlake i Lake Charles w ostatnim czasie stały się epicentrum oszałamiającego boomu gazu ziemnego. Wydobywany ze skał łupkowych gaz można przesyłać rurami do zakładów przetwórczych i przerabiać na rozmaite wsady dla przemysłu

chemicznego, które następnie trafią do fabryk produkujących frisbee, plastikowe szczotki do włosów, węże ogrodowe, kierownice do samochodów, obudowy komputerów, gumę do żucia, wykładzinę do pickupów, jednorazową odzież medyczną, paliwo lotnicze, spray na osy, reklamówki i batoniki Hershey Bar.

Po rozmowie burmistrz Hardey zabiera mnie swoim wozem na przejażdżkę po Westlake, by dać mi wyobrażenie, co inwestycja Sasola będzie oznaczać dla tego obszaru. Miasteczko o powierzchni pięciu kilometrów kwadratowych ze wszystkich stron otaczają tereny pod inwestycje przemysłowe, na których przemysł wyraźnie zdążył się już zadomowić. Westlake ma wychodzącą raz w tygodniu własną gazetę, liceum, gimnazjum, dwie szkoły podstawowe, cztery banki i osiemnaście kościołów. Mijamy dyskont Family Dollar Shop, warsztaty samochodowe, bar serwujący żeberka i burgery, Isle of Capri Casino Hotel. Miejskie życie toczy się swoim rytmem i na pozór nic nie zdradza obecności „przemysłu ciężkiego”, ale wkrótce to się może zmienić. Hardey roztacza przede mną wizję przyszłości, opowiadając, które budynki zostaną zburzone, a które dostaną nowe życie.

– Widzi pani kościół Zgromadzenia Bożego? Sasol wykupił go za dwa i pół miliona dolarów. Zamierza go zburzyć i postawić tutaj obiekty przemysłowe. Zapłacili cztery miliony dolarów za budynek Pierwszego Kościoła Baptystów. Jakby pieniądze zupełnie się dla nich nie liczyły. Muszą poszerzyć drogę, żeby przewieźć ciężkie urządzenia – mówi. – Widzi pani ten budynek? – Wystawia rękę przez okno samochodu. – To kościół metodystów. Diakon przelicytował, zażądał miliona trzystu tysięcy i Sasol zerwał negocjacje. Teraz stan może skorzystać z prawa do wywłaszczenia i oddać nieruchomość Sasolowi, który ją zburzy. Wierni nie dostaną ani grosza. W tej chwili w moim biurze czeka członek zarządu kongregacji – oznajmia. – Chce, bym nakłonił Sasol, żeby zapłacił. Zobaczymy, co się da zrobić.

Przejeżdżamy przez cmentarz. Droga biegnie przez jego środek, trawa po jednej stronie jest świeżo przycięta. Hardey osobiście ją skosił. (Część cmentarza po drugiej stronie drogi ma inne źródło finansowania. Pochowani są tam czarni, a trawa jest wyższa). Po odejściu na emeryturę z zakładów Phillips 66 Bob zatrudnił się na część etatu przy koszeniu miejskich trawników. Postanowił zachować tę pracę, bo jego siostra powiedziała: „Jesteś teraz burmistrzem, Bob, ale zostań tym, kim jesteś”. Dzięki koszeniu trawników może nadal być zwykłym facetem, który bezpośrednio uczestniczy w życiu ukochanego miasta. Dwie córki i syn Hardeya mieszkają kilka przecznic od rodziców, w dużych, osłoniętych gęstwiną krzewów domach na przedmieściu Westlake. Do niedawna mieszkał tam także jego brat, ale wziął pieniądze od Sasola i się wyprowadził. Także jego rodzice postawili na starość osiedlić się w pobliżu. Hardey pomagał im w budowie domu. Oboje są już po osiemdziesiątce i przed przejęciem tego obszaru przez Sasol planowali dożyć tu swoich dni.

Hardey popiera zmiany. Dzieli się ze mną swoją wizją nowego Westlake o populacji od dwudziestu pięciu do trzydziestu procent większej niż teraz.

– Widzi pani ten park? Chciałbym podwoić jego powierzchnię. A to pole golfowe? Moglibyśmy postawić na nim gustowne osiedle dla kadry kierowniczej i specjalistów, którzy tu zjadą.

Jednak niektóre z tych wspaniałych projektów mają za zadanie ukryć potencjalne problemy, które już teraz budzą niepokój mieszkańców. Hardey zwalnia, by pokazać mi przez okno SUV-a zarośniętą trawą jednoakrową parcelę.

– Widzi pani? Możemy tu posadzić drzewa, a za nimi zbudować „obóz robotniczy".

– Obóz robotniczy? – pytam zdziwiona.

– Spodziewamy się przyjazdu pięciu tysięcy tymczasowych robotników budowlanych i pięciuset stałych pracowników technicznych. Robotników budowlanych zakwateruje się w obozie – wyjaśnia rzeczowym tonem.

Według lokalnego wydania „American Press" nowe obiekty przemysłowe zatrudnią spawaczy, monterów rusztowań, monterów rurociągów, operatorów urządzeń, monterów konstrukcji stalowych, monterów izolacji przemysłowej, techników oprzyrządowania i elektryków. R.B. Smith, wicedyrektor ds. rozwoju zatrudnienia Stowarzyszenia Rozwoju Gospodarczego Południowo-Zachodniej Luizjany (Southwest Louisiana Economic Development Alliance, SWLAEDA), wezwał potencjalnych miejscowych pracowników, by „zainwestowali w siebie" i wyuczyli się fachu. Słyszałam jednak, że mieszkańcy Westlake nie zgłaszają się do pracy, ponieważ dowiedzieli się, że nowe firmy nie przyjmują osób bez „doświadczenia" – to znaczy bez praktyki zawodowej, której same nie oferują. W tej sytuacji, jak pisze „American Press", „Firmy budowlane i spece od zarządzania zasobami ludzkimi rekrutują pracowników w Irlandii, gdzie wskaźnik bezrobocia wynosi 14,6 procent, i ściągają Filipińczyków do sektora usług i prac budowlanych"[139].

Hardey mówi, że lokalni mieszkańcy nie chcą obozu robotniczego w swoim sąsiedztwie. Pytają burmistrza, co będzie, jeśli wśród sprowadzonych mężczyzn znajdą się gwałciciele lub włamywacze?

– Nie chcę im tego mówić, ale już teraz tuż obok, w przyczepach na kempingach, mieszka kilku zarejestrowanych przestępców seksualnych. Po prostu o tym nie wiedzą.

Hardey opowiada o innym trapiącym go dylemacie.

– Po poprzednim burmistrzu odziedziczyłem deficyt budżetowy. Westlake jest spłukane. Sasol nie dał nam jeszcze złamanego grosza. Znajdujemy się w samym środku planowanego kompleksu, ale w praktyce nie potrzebują naszej ziemi, muszą tylko poszerzyć kilka dróg dla pojazdów nienormatywnych. A nam przydałyby się

pieniądze, choćby na zbudowanie obozu dla robotników tutaj, w Westlake, albo osiedla dla dyrektorów na polu golfowym. Kadziłem im, jak mogłem, mam nadzieję, że to docenią. Jeśli nie, mam jeszcze asa w rękawie.

Hardey zatrzymuje swojego SUV-a i uśmiechając się pod nosem, pokazuje mi wąski kawałek zarośniętego chaszczami ugoru.

– Widzi pani ten stumetrowy pas ziemi? Jestem jego właścicielem. Sasol nie może budować ani na nim, ani pod nim, a go potrzebuje. To jest mój as w rękawie. Wolałbym go nie wyciągać, ale jeśli będzie trzeba, to zadzwonię do prawnika i to zrobię. Dla dobra miasta.

Za boomem na gaz ziemny kryje się historia odkryć i wynalazków. Żyzna gleba aluwialna idealnie nadawała się do uprawy bawełny, ryżu i trzciny cukrowej – jak Mike Schaff pokazał mi na dawnej plantacji Armelise. Ale w 1901 roku pewien rolnik odkrył na zalanym wodą poletku ryżowym ropę naftową[140]. W latach 20. i 30. XX wieku opracowano technologie pozwalające na prowadzenie odwiertów na bagnistym wybrzeżu Luizjany, a w latach 40. na szelfie kontynentalnym[141]. Pod ziemią, nad ziemią i pod wodą powstał gigantyczny labirynt rurociągów. Później, w 2003 roku, nowa technologia szczelinowania umożliwiła prowadzenie odwiertów poziomych w skałach łupkowych. Dziś świdry potrafią wwiercić się od trzystu do piętnastu tysięcy metrów w głąb ziemi, a następnie skręcić w bok równolegle do jej powierzchni. W odwiert wpompowuje się pod ciśnieniem mieszankę wody, soli i substancji chemicznych – dokładny skład płynu jest zastrzeżony – która wywiera nacisk na skały, tworząc szczeliny, z których pod wpływem ciśnienia wydobywa się gaz.

Boom na gaz ziemny wydobywany metodą szczelinowania, przez wielu ekologów uważany za przekleństwo, burmistrzowi Hardeyowi i większości moich pozostałych rozmówców przyniósł pieniądze i prestiż. Wszystko wskazywało na to, że Luizjana, leżąca w najbiedniejszym regionie USA, wkrótce stanie się dumnym ośrodkiem przemysłowego renesansu, nową, lśniącą klamrą na pasie amerykańskiej energetyki[142]. Nie będzie już ostatnia, tylko pierwsza. I wreszcie skończy się Wielki Paradoks.

## *Na progu boomu*

Boom na gaz ziemny był wielką sprawą. Moi rozmówcy z dumą śledzili rozwój wydarzeń. Czołowi eksperci od gospodarki przewidywali dla Luizjany jeden z najwyższych wzrostów gospodarczych w kraju – pięcioletnią stopę wzrostu 4,7 procent (dla lat 2014–2018)[143]. Powstaną nowe, dobrze płatne miejsca pracy. Stali pracownicy będą zarabiali około osiemdziesięciu tysięcy rocznie plus świadczenia.

W Luizjanie stolarz zarabia mniej więcej trzydzieści trzy tysiące rocznie, kierowca ciężarówki czterdzieści sześć tysięcy, a nauczyciel w szkole podstawowej trzydzieści cztery tysiące dolarów. Żeby dostać posadę operatora urządzeń w fabryce potrzebna jest praktyka zawodowa, ale nie dyplom ukończenia wyższej uczelni.

A miejsca pracy to jeszcze nie wszystko. Wydobywanie gazu ziemnego ze skał łupkowych mogło też wzmocnić amerykańską politykę zagraniczną. Zamiast importować ropę z niestabilnych lub autorytarnych państw, takich jak Arabia Saudyjska albo Uzbekistan, Stany Zjednoczone mogłyby wydobywać własny gaz ziemny, a nawet eksportować go przez poszerzony Kanał Panamski do wiecznie głodnej energii Japonii czy uzależnionej od Rosji Ukrainy. Dwie największe rafinerie w południowo-zachodniej Luizjanie (Citgo i Phillips 66), które dotąd głównie importowały naftę z Meksyku i Wenezueli, dostosowywały już swoje instalacje do eksportu[144].

Żadne oficjalne informacje o tym, że do starych źródeł zanieczyszczeń dołączą nowe, nie mąciły atmosfery powszechnej euforii. Podczas mojej półtoragodzinnej rozmowy z burmistrzem Hardeyem ten temat w ogóle się nie pojawił. Czy Lake Charles nie przeżyło już jednego boomu inwestycyjnego i czy nie doprowadził on do zatrucia Bayou d’Inde? Budowa zakładów Pittsburgh Plate Glass w 1966 roku wywoływała podobne okrzyki zachwytu. W „American Press” twierdzono wówczas, że rozmach inwestycji „przyprawia o zawrót głowy”. Autor artykułu wstępnego pisał, że wytwarzane przez PPG substancje chemiczne uodpornią gumę na ścieranie, umożliwią barwienie jej na różne kolory i pozwolą produkować farbę drukarską, która nie będzie przebijała przez papier[145]. W latach 60. mieszkańcy Luizjany (nie wyłączając Harolda i Annette Arenów) ekscytowali się cudowną wizją nowych inwestycji, wyrobów i miejsc pracy tak samo jak teraz burmistrz Hardey.

„Szacuje się, że sama fabryka Sasola wyemituje rocznie ilość benzenu osiemdziesięciopięciokrotnie przekraczającą dopuszczaną przez stan wartość progową” – napisał w „Wall Street Journal” Dennis Berman. Według niego „będzie wypuszczała także potężne ilości dwutlenku węgla i oczyszczonej wody”.

– Nie chcę sypiać w masce gazowej – oznajmił pewien monter rurociągów w czasie trwającego cztery i pół godziny wysłuchania publicznego w związku z rozbudową obiektów Sasola[146].

Sasol wystąpił o pozwolenie – i je otrzymał – na czerpanie wody z akwenów publicznych: sześćdziesiąt milionów litrów dziennie ze stosunkowo czystej rzeki Sabine. Będzie ją wykorzystywał do procesu produkcji, zanieczyszczał i spuszczał do rzeki Calcasieu[147]. Oprócz tego władze stanu wydały koncernowi pozwolenie na emisję dodatkowych dziesięciu milionów ton gazów cieplarnianych rocznie[148]. Sasol nie przedstawił żadnej propozycji wychwytywania dwutlenku węgla i teraz, kiedy uchyliły się drzwi, kolejne koncerny występowały o podobne pozwolenia, oczekując,

że im także zostaną udzielone.

– Jak wygląda sprawa wody wykorzystywanej w procesach produkcyjnych? – pytam burmistrza Hardeya.

– Koncerny stosują się do ustaleń – odpowiada zgodnie z prawdą. Władze stanu zgodziły się na ich warunki.

Tymczasem urząd miasta Lake Charles wdrażał własny program „przeciwozonowy” (Ozone Advance Program), skupiający się wyłącznie na tym, co mogą zrobić prywatne osoby. Mogą, jeżdżąc samochodami, wybierać krótsze trasy albo chodzić na piechotę. Mogą nie zostawiać aut na luzie. Rzadziej kosić trawniki. Zamierzano informować społeczeństwo o stężeniu ozonu w powietrzu za pomocą flag – zielonej dla właściwego, żółtej dla umiarkowanego i czerwonej dla wysokiego stężenia – aby „mieszkańcy wiedzieli, że […] jeśli ktoś w rodzinie ma kłopoty z oddychaniem, to nie jest dobry dzień na wychodzenie z domu”[149].

Gdy tak próbowałam wspiąć się na śliski mur empatii, przyszła mi do głowy wywrotowa myśl: czy naprawdę potrzebujemy tego całego nowego plastiku, który obiecuje nam American Chemical Association? Czy nie kręcimy się w błędnym kole? Wiele osób, z którymi rozmawiałam w Luizjanie, nosiło ze sobą plastikowe butelki z wodą, po części dla wygody, po części dlatego, że nie ufali wodzie w kranie. American Chemical Association twierdzi, że dostęp do taniego gazu umożliwi trzykrotne zwiększenie produkcji wsadów używanych do produkcji tworzyw sztucznych[150]. Ale jeśli będziemy wytwarzali trzy razy więcej plastiku, do rzeki trafi jeszcze więcej toksycznych ścieków z zakładów petrochemicznych i więcej ludzi kupi więcej plastikowych butelek z jeszcze trudniejszą do zdobycia czystą wodą. Wyrzucanie i kupowanie większej liczby plastikowych butelek jeszcze bardziej zwiększy popyt na plastik, którego produkcja truje nasze rzeki. Ale oddalałam się od swojego celu, którym było uchwycenie istoty zjawiska.

### *Drogi do dobrobytu*

Euforia wywołana boomem na gaz ziemny przesłoniła oczywiście niezwykle ważne – ale w dużej mierze pomijane w dyskusjach – wybory natury politycznej. W czasie poprzedniego boomu ropy naftowej w Luizjanie w latach 1928–1932, w samym środku Wielkiej Depresji, gubernator Huey Long, postępowy populista o przydomku „Kingfisher” (Fisza), opodatkował koncerny naftowe, by za uzyskane od nich pieniądze „włożyć każdemu do garnka kurczaka”, wydawać darmowe podręczniki dla uczniów, organizować wieczorowe kursy czytania i pisania dla dorosłych, budować drogi, mosty, szpitale i szkoły. Long zdołał ograniczyć bezdomność i biedę. Dopóki sam nie uległ urokowi naftowych pieniędzy, uosabiał ideał zaangażowanego

społecznie rządu, który pomaga biednym i działa dla dobra ogółu[151].

W przeciwieństwie do niego gubernator Bobby Jindal, jak już wspomniałam, w latach 2007–2015 z a b r a ł 1,6 miliarda dolarów szkołom i szpitalom, by d a ć je jako „zachęty” koncernom przemysłowym. Ta strategia oczywiście włożyła kurczaki do niektórych garnków, ale pośrednio doprowadziła do tego, że z wielu innych zniknęły. Podobnie jak niemal każdy, z kim rozmawiałam, burmistrz Hardey – i wszyscy członkowie jego rodziny – dwukrotnie zagłosował na Jindala. W ich miejscu zamieszkania Huey Long nie miałby dzisiaj dużego poparcia.

Kiedy pytam Hardeya o poglądy polityczne (jest umiarkowanym republikaninem), odpowiada bez namysłu:

– Dość mam użalających się nad sobą b i e d n y c h ż u c z k ó w. Nie podoba mi się, że rząd płaci niezamężnym matkom za rodzenie kolejnych dzieciaków, i nie jestem entuzjastą akcji afirmatywnej. Poznałem jednego czarnego, który narzekał, że nie może znaleźć pracy. Okazało się, że skończył szkołę p r y w a t n ą. Ja chodziłem do publicznej, jak każdy. Nikt nie powinien dostawać pracy tylko dlatego, że obowiązują jakieś narzucone z góry kwoty rasowe, ani rządowych pieniędzy za to, że nie pracuje.

Jindal zmniejszył pulę rządowych pieniędzy dla „biednych żuczków”. Hardey jest zdania, że wobec tylu nowych miejsc pracy „należałoby zamknąć urząd dla bezrobotnych”.

– Płacą od piętnastu do osiemnastu dolarów za wymachiwanie flagą (to znaczy kierowanie ruchem w pobliżu placów budowy).

Jako drugi z pięciorga rodzeństwa Hardey nauczył się walczyć z życzliwymi rywalami o uwagę rodziców. Rzadko narzekał, że jest biednym żuczkiem. Został skutecznym obrońcą lokalnej społeczności i wszyscy go za to kochają. Uważa jednak, że to właśnie przemysł pozwolił mu odkryć drzemiący w nim potencjał i stać się tym, kim jest.

– W podstawówce i w liceum byłem beznadziejny – oznajmia z powagą. – Niczego nie rozumiałem.

– Może miałeś niezdiagnozowane problemy z przyswajaniem wiedzy? – pytam.

– Nie – odpowiada krótko. – Po prostu nie rozumiałem. Nie byłem też typem sportowca. Miałem kiepskie oceny ze wszystkich przedmiotów. Ale kiedy zacząłem pracować w fabryce, na początku w dziale konserwacji urządzeń, okazało się, że potrafię różne rzeczy – opowiada. – Awansowałem. Przed emeryturą byłem już kierownikiem działu oprzyrządowania. Miałem pod sobą wielu ludzi i zarabiałem sto osiemdziesiąt tysięcy dolarów rocznie.

Phillips 66 dał Hardeyowi to, co wielu innych zyskało dzięki studiom wyższym lub wojsku: pomógł mu odkryć wrodzoną inteligencję, odnaleźć poczucie godności i zapewnić rodzinie komfortowe życie bez opuszczania rodzinnego domu – jednym

słowem, zrealizować amerykański sen.

Pytał, dlaczego czarni i imigranci nie mogą zrobić tego samego? Kiedy w latach 70. jako młody człowiek szukał pracy, usłyszał: „Musimy zatrudnić określoną liczbę czarnych”. Zastanawiałam się, czy rzeczywiście tak było, czy po prostu to mówiono białym, których nie chciano przyjąć? Hardey powiedział, że nie jest rasistą, ale nie podobają mu się fory dla czarnych i imigrantów. W podzielonym rasowo świecie może istnieć nierówność rasowa bez uprzedzeń rasowych. Biali zwracają się o pomoc do białych znajomych, którzy mają dojścia w fabryce. Czarni proszą o pomoc czarnych, którzy nie dysponują takimi możliwościami[152]. Możliwe, przyznał Hardey. Ale ten problem da się załatwić bez interwencji Waszyngtonu. Hardey dorobił się własnym wysiłkiem m i m o wtrącania się rządu. Tak to przynajmniej widział.

Inni moi rozmówcy wyrażali podobne poglądy, tylko jeszcze bardziej stanowczo. Prowadzona przez rząd „redystrybucja”? Nie! W rodzinie Hardeya wszystkim powodziło się znakomicie. Ale w innych rodzinach ktoś się dorobił pieniędzy, a ktoś inny rozpił, rozwiódł i wylądował na bruku. Już sama rodzina wydawała się swego rodzaju niepewnym systemem redystrybucji. Także po zapaści finansowej w 2008 roku jedni się wzbogacili, drudzy zbiednieli. Nikt nie chciał, żeby na d o m i a r z ł e g o mącił w tym jeszcze rząd, przyznając dodatkowe punkty swoim ulubieńcom. Lepiej polegać na wolnym rynku, przemyśle, zakładzie pracy, takim jak Phillips 66 czy Sasol.

A 1,6 miliarda dolarów, które gubernator Jindal podarował koncernom, by ściągnąć je do Luizjany?

– Dobry pomysł[153] – mówi Hardey. Pewnie, że to najbogatsze koncerny na świecie, a Luizjana jest biednym stanem[154]. – Ale musisz uatrakcyjnić ofertę, bo inaczej wybiorą Teksas z a m i a s t Luizjany – tłumaczy. – Teraz mój wnuk znajdzie dobrą pracę t u t a j!

Może z perspektywy całego kraju nie było ważne, czy Sasol zbuduje swoje obiekty w Houston czy w Lake Charles, ale dla Boba Hardeya, jego syna i wnuka miało to pierwszorzędne znaczenie.

Co się tyczy zanieczyszczenia środowiska, burmistrz uważał, że ten problem należy już do przeszłości.

– Kiedyś wypuszczaliśmy różne świństwa, ale EPA ograniczyła spalanie gazów na pochodniach – mówi.

Co się tyczy nowotworów, burmistrz jest przekonany, że mają podłoże genetyczne.

– Mój ojciec przez całe życie pracował w przemyśle i mieszkał w pobliżu fabryk. Tak samo ja, a także moi bracia i syn. Żaden z nas nie zachorował na raka. Ale drużba na moim weselu pracował w fabryce i mieszkał obok, tak jak my. I dopadł go rak.

Jego brat też umarł na nowotwór. I jeszcze kuzyn. To geny – stwierdza. – Powiem pani, gdzie naprawdę mają problem – dodaje. – Na w s c h ó d od nas, między Baton Rouge a Nowym Orleanem. Tam, gdzie jest chemia.

### *Czy są nam potrzebne dobre szkoły i ładne parki?*

Czym Westlake albo Charles Lake mają przyciągnąć nowych, wysoko wykwalifikowanych pracowników? Takie pytanie stawia 347-stronicowy raport *Regional Impact Study*, sponsorowany przede wszystkim przez Sasol. „Znalezienie potencjalnych pracowników, którzy byliby gotowi przeprowadzić się do Luizjany razem z rodziną, może stanowić problem ze względu na stereotypowy wizerunek stanu przedstawiany przez media" – stwierdza beznamiętnie dokument. By zachęcić do przyjazdu wysokiej klasy chemików, inżynierów i fizyków, miasto powinno „podnieść jakość życia".

W tym celu musi stać się atrakcyjnym miejscem do mieszkania, z nowoczesnymi szkołami publicznymi, nowatorskimi programami artystycznymi i muzycznymi, wspaniałymi parkami, nowo ułożonymi chodnikami, czystymi jeziorami, w których można się kąpać, oraz ciekawymi muzeami, które są otwarte w stałych godzinach. Lake Charles miało piękną dzielnicę historyczną, ale urząd miasta wydał niedawno zgodę na postawienie na samym jej środku gigantycznej wieży telefonii komórkowej. Co się tyczy publicznych akwenów, latem 2014 roku biuletyn Biura Zdrowia Publicznego luizjańskiego Departamentu Zdrowia i Szpitali poinformował amatorów kąpieli, że robią to na własne ryzyko, ponieważ do lokalnych rzek, jezior i rozlewisk spływają ścieki z kanalizacji i zanieczyszczonych kanałów burzowych. Autorzy biuletynu ostrzegali mieszkańców przed wkładaniem rąk do wody, jeśli mają otwarte rany[155].

Jak już wspomniałam, gubernator Jindal obciął wydatki na szkoły, parki i kontrolę zanieczyszczeń. Do 2015 roku Bobby Jindal drastycznie ograniczył finansowanie dwudziestu ośmiu stanowych college'ów i uniwersytetów. Luizjana od dawna utrzymuje się na czterdziestej szóstej pozycji w Unii pod względem wydatków na jednego uczącego się w placówkach edukacji publicznej. Według luizjańskiej Komisji Szkolnictwa Wyższego (Louisiana Commission on Higher Education) od 2008 roku gubernator zmniejszył finansowanie szkolnictwa wyższego o 800 milionów dolarów, doprowadzając do zamknięcia 854 wydziałów i zwolnienia 4734 pracowników. Studenci zaczęli się burzyć. Wiele wydziałów rozważa przeniesienie się na inne uczelnie. Możliwość przyciągnięcia najlepszych umysłów w kraju gwałtownie przestała istnieć[156]. Pod wpływem oburzenia opinii publicznej gubernator przywrócił w końcu część funduszy na edukację – i dla równowagi

obniżył wydatki na służbę zdrowia i ochronę środowiska.

Jeśli chodzi o marne szkoły publiczne, raport *Regional Impact Study* sugerował „zmiany w podziale na rejony w celu zapewnienia miejsc większej liczbie uczniów", stwierdzając rzeczowo, że „władze stanu powinny rozważyć możliwość i ewentualne następstwa cofnięcia nakazu desegregacji (Desegregation Order)"[157]. Raport napisany na zamówienie sektora prywatnego mówił miastu, do którego zamierzał wprowadzić się Sasol, że jego sfera publiczna jest do bani. Gdzie są wasze znakomite integracyjne szkoły publiczne? Gdzie nowe, niepopękane chodniki? Czyste jeziora? Okazuje się, że aby sektor prywatny mógł przyciągnąć talenty spoza stanu, potrzebna jest kwitnąca, atrakcyjna sfera publiczna, na którą dwukrotnie wybrany gubernator z ramienia Partii Herbacianej drastycznie ograniczył środki.

Burmistrz Hardey robił, co w jego mocy, by wyciągnąć od Sasola więcej pieniędzy na przygotowanie dla nowych przybyszy piękniejszego, ulepszonego Westlake. Ale Sasol okazał się twardym negocjatorem. Koncern potrzebował wody dla nowych obiektów przemysłowych i chciał, by Westlake wykopało nową studnię. Zgodził się jednak pokryć tylko dwadzieścia pięć procent kosztów, pozostałe siedemdziesiąt pięć procent będą musiały dołożyć władze stanu. Dziewięćdziesiąt procent kosztów nowych nawierzchni dróg – po których w zasadzie tylko Sasol jeździł ciężkimi pojazdami transportowymi – spadło na stan, parafię i miasto (to ostatnie zapłaciło z przyznanego na ten cel grantu); wkład Sasola wyniósł zaledwie dziesięć procent[158]. Raport *Regional Impact Study* radził Westlake i Lake Charles, by zmodernizowały swoją sferę publiczną, na którą fundusze gubernator Jindal zredukował do absolutnego minimum. Burmistrz Hardey musiał zmierzyć się z nieprzyjemnym uczuciem, że sam jest „biednym żuczkiem".

### *Dziwne wypadki*

W przemówieniach podczas uroczystego ogłoszenia przełomowych planów Sasola, a także we wspomnieniach niemal wszystkich moich rozmówców zabrakło wzmianki o zdarzeniu, które rozegrało się tuż obok: o największym wycieku chemicznym w dziejach Ameryki. Wykryto go w 1994 roku w czterdziestoletnim półtorakilometrowym rurociągu łączącym instalację Condea Vista z urządzeniami portowymi Conoco[159], który biegł pod ziemią kilka kilometrów od domu Arenów nad Bayou d'Inde. Rura była używana do transportowania, a także do magazynowania dichlorku etylenu (EDC). EDC jest znany ze zdolności przenikania przez gęstą glinę i wiele innych materiałów. Przez kilkadziesiąt lat nieduże ilości tej substancji sączyły się do gleby. Zanim wykryto wyciek, do luizjańskiej gliny sfalerytowej wyciekło od ośmiu do dwudziestu jeden milionów kilogramów EDC i naukowcy obawiali się, że

zanieczyszczenia przemieszczają się w kierunku obszaru wodonośnego Chicot, zapewniającego wodę pitną siedmiuset tysiącom mieszkańców południowo-zachodniej Luizjany.

W 1994 roku Condea Vista wynajęła robotników, którzy mieli usunąć część zanieczyszczeń, około 725 tysięcy kilogramów EDC. Nie zapewniła im jednak odpowiedniej odzieży ochronnej.

– Chłopcy zbierali EDC łopatami i wrzucali je do pompy ściekowej, ubrani we własne dżinsy i gumowce – powiedział mi jeden z moich rozmówców. – Nie dostali nawet masek z respiratorami.

Nikt nie uprzedził ich, jak EDC wpływa na układ oddechowy, arytmię serca czy płodność. Wielu robotników zachorowało.

– Skarżyli się na poważne problemy z oddychaniem – poinformował mnie związany ze sprawą prawnik. – Ale zarząd Condea Vista powiedział im, że ich kłopoty ze zdrowiem są spowodowane zupełnie czym innym[160].

W końcu pięciuset robotników pracujących przy oczyszczaniu po wycieku pozwało Condea Vista do sądu. Publicznym rozprawom sądowym przysłuchiwała się grupka ekologów, wśród nich niespożyty Lee Sherman (jego żona, Miss Bobby, pełniła funkcję skarbniczki), Mike Tritico oraz Harold i Annette Arenowie.

Zaczęły dziać się dziwne rzeczy. Z kancelarii adwokackiej zginęły akta. Grupa ekologów zyskała nowego członka, który szybko wysunął się na pozycję przywódcy. Zakłócał zebrania, rzucając rozmaite oskarżenia. W końcu zniesmaczeni i zdezorientowani aktywiści rozstali się w bardzo niemiłej atmosferze. Dopiero w 2008 roku przyczyna osobliwych wydarzeń wyszła na jaw. Ale niesławna Condea Vista zdążyła tymczasem zblaknąć w ludzkiej pamięci. Nowym właścicielem instalacji – niemającym nic wspólnego ze skandalem – został Sasol.

Wracając z burmistrzem Hardeyem do ratusza, zaczynam lepiej rozumieć kontekst, w jakim funkcjonuje prawica. Jak sugerował raport Cerrell Associates, wielkie koncerny mogą oszczędzić sobie kłopotów, lokalizując swoje obiekty w miejscowościach, gdzie większość mieszkańców stanowią konserwatyści, republikanie, ludzie z wykształceniem średnim, obojętni na problemy społeczne. W Westlake jedna z takich osób pełniła funkcję burmistrza. Hardey był bardzo oddany swojemu miastu. Fabryka pomogła mu odkryć w sobie błyskotliwą inteligencję, zdolności przywódcze i dumę, czego nie zdołał uczynić system edukacji. To dzięki fabryce mógł żyć w otoczeniu swoich bliskich i zapewnić komfort rodzinie. Bez względu na to, gdzie mieszkały grube ryby z Sasola i innych ściągających do miasta koncernów, wielka, kochająca rodzina Hardeya, jego kościół i jego sąsiedzi byli tutaj, w Westlake.

Burmistrz nie uważał, by rząd federalny cokolwiek dla niego zrobił; jeśli już, to akcja afirmatywna o mało co nie pozbawiła go kiedyś pracy. Ale przemysł też nie

ułatwiał mu życia.

– W Westlake mieszkały cztery pokolenia Hardeyów. A teraz, przez nowy kompleks Sasola, duża część mojej rodziny musi się wyprowadzić. Brat już się wyniósł. Syn i synowa zbudowali dom swoich marzeń, a teraz muszą go opuścić. Nasz rodzinny cmentarz znalazł się w samym środku projektów Sasola. – Jego głos łagodnieje. – Ma kształt trójkąta i ze wszystkich stron otaczają go „tereny przemysłowe”. Ale koncern obiecał, że zapewni nam dojazd. Jest tam pochowana moja babcia; miała osiemdziesiąt sześć lat, kiedy zmarła. I nasza dziewięciomiesięczna córeczka. Ja też chcę spocząć na tym cmentarzu.

7

# Stan: zarządzanie rynkiem cztery tysiące stóp[161] pod ziemią

Liczące około trzystu pięćdziesięciu mieszkańców osiedle przez długi czas uważało z dumą, że jest „rajem na ziemi”. Skromne, zadbane domy z jednej strony wychodzą na Crawfish Stew Street, a z drugiej na wodę. Znad tafli kanału, który prowadzi do *bayou*, długoskrzydłe ptaki zrywają się z wdziękiem i odlatują ku cyprysńikom i błotniom[162] – naprawdę niesamowity widok. Prawie każdy miał tu łódkę, wiedział, gdzie biorą ryby, dobrze dogadywał się z sąsiadami i lubił raki. Mike Schaff powiedział mi, że niemal wszyscy jego sąsiedzi byli „Kajunami, katolikami, konserwatystami i sympatykami Partii Herbacianej”. Najzagorzalszym zwolennikiem Partii Herbacianej z nich wszystkich był Mike – wpisał się na listę członków, chodził na zebrania, przemawiał na wiecach. Wychował się w *shotgun house* na plantacji trzciny cukrowej, przez całe życie pracował w przemyśle naftowym i chciał funkcjonować w przestrzeni całkowicie prywatnej, jak najdalej od rządowych podatków i uregulowań prawnych. Zastanawiałam się jednak, co by się stało, gdyby na społeczność złożoną z osób takich jak Mike spadła niespodziewana katastrofa, której ponad wszelką wątpliwość można było uniknąć, przestrzegając federalnych przepisów. Jak Mike postrzegał rolę rządu? Czy potrafię zrozumieć, dlaczego myślał tak, jak myślał? Te pytania przywiodły mnie do Mike’a Schaffa i zapadliska w Bayou Corne.

Do takiej właśnie katastrofy doszło tam bowiem w sierpniu 2012 roku. Najpierw okoliczni mieszkańcy zauważyli na powierzchni wody drobne skupiska bąbelków. Czyżby rura na dnie *bayou* zaczęła przeciekać? Koncern przysłał fachowca, który sprawdził rurę i uznał, że jest szczelna. Ale Mike Schaff pamięta, że już wtedy w powietrzu czuć było wyraźny zapach ropy naftowej. Nieco później Mike i jego sąsiedzi nagle poczuli wstrząsy i usłyszeli głuchy łoskot. Ponieważ w tej części Luizjany wcześniej nie zdarzały się trzęsienia ziemi, pewna kobieta uznała, że to „pojemnik na śmieci musiał spaść ze śmieciarki”. Samotna matka dwójki dzieci mieszkająca w domu z prefabrykatów półtora kilometra od Bayou Corne pomyślała, że pracuje pralka, i dopiero po chwili przypomniała sobie, że urządzenie jest od miesięcy zepsute[163]. Pewien mężczyzna jadł właśnie obiad z plastikowej tacki, kiedy ziemia zaczęła dygotać[164].

– Chodziłem po domu i nagle poczułem się, jakbym miał udar albo był pijany –

wspomina Mike. – To trwało dziesięć sekund. Moje poczucie równowagi szlag trafił.

Gdy drgania ustały, zauważył poszarpane, zygzakowate pęknięcie w cementowej wylewce pod dywanem w salonie. Trawniki pozapadały się i poprzechylały w najdziwniejszych kierunkach.

Niedaleko od domu Mike’a w ziemi pod *bayou* pojawiło się rozdarcie. Jakby ktoś wyciągnął zatyczkę z wanny, szczelina w dnie rozlewiska zaczęła wsysać krzaki i sosny rosnące na powierzchni ziemi. Majestatyczne stuletnie cypryśniki upadały w zwolnionym tempie i zjeżdżały bokiem do wodnej kipieli, która wciągała je w rozwartą gardziel zapadliska. Pochłonęło zarośla, łąkę, a nawet jedną łódź. Na powierzchni wody pojawiła się połyskująca oleiście powłoka. Dwóch ludzi próbowało rozrzucić dookoła leju zapory wodne, by ograniczyć rozprzestrzenianie się oleistej warstwy. Pracowali, stojąc w przywiązanej do drzewa łodzi, ale drzewo przechyliło się i zaczęło dryfować. Robotników uratowano, jednak ich łódź zniknęła[165].

Przez wiele dni i tygodni zapadlisko wypluwało na powierzchnię wody zanieczyszczone błoto w upiornym, przerażającym procesie przemiany pierwotnego lasu bagiennego w oleisty szlam. Ropa naftowa przesiąkała na powierzchnię wody, w wielu miejscach z ziemi i wody sączył się gaz ziemny.

– Kałuże po deszczu błyszczały i musowały, jakby ktoś wrzucił do nich alka-prim – opowiada Mike.

Zapadlisko cały czas się powiększało. Z początku miało wielkość domu, potem boiska do piłki nożnej. W 2015 roku zajmowało powierzchnię piętnastu hektarów. Wreszcie gazowany szlam przeniknął do warstwy wodonośnej i zaczął zagrażać ujęciom wody pitnej.

Mieszkańcy zauważyli, że główna ulica w ich miejscowości zaczyna się zapadać, i bali się, że w nawierzchni zrobi się wyrwa. Także wały przeciwpowodziowe wzdłuż *bayou* osunęły się w niektórych miejscach i lada chwila mógł się przelać przez nie zanieczyszczony szlam.

### *Przyczyna i odpowiedzialność*

Sprawcą tego dziwnego wypadku była firma wiertnicza z Houston, Texas Brine. Jak sama nazwa wskazuje[166], zajmowała się wydobywaniem soli kamiennej, kupowanej przez producentów chloru i używanej do szczelinowania. Firma przewierciła się na głębokość tysiąca siedmiuset metrów pod dnem *bayou* do ogromnej formacji zwanej wysadem solnym; wysady solne, choć ich nie widać z powierzchni ziemi, są liczne w rejonie Zatoki Meksykańskiej[167]. Działając bardzo ryzykownie – lekceważąc zalecenia własnego inżyniera, za przyzwoleniem urzędnika władz stanu, który także

zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa – Texas Brine wiercił otwory pod Bayou Corne. Zarówno koncern, jak i władze stanu złamały przepisy.

Świder przypadkowo przebił boczną ścianę kawerny solnej w wysadzie solnym Napoleonville. (Napoleonville Dome to podziemny blok soli o szerokości pięciu kilometrów i głębokości półtora kilometra, osłonięty warstwą ropy naftowej i gazu ziemnego. Okoliczni mieszkańcy dobrze wiedzą o jego istnieniu, choć poza nimi mało kto o nim słyszał. Prywatne firmy drążą w nim kawerny solne różnej wielkości i o różnych kształtach: prostego słupa, grzyba lub stożka. Kawerny wykorzystuje się do magazynowania substancji chemicznych).

Przebicie się do jednej z kawern zapoczątkowało powolny proces, który doprowadził do katastrofy. Osłabiona ściana rozpadła się pod ciężarem otaczających skał łupkowych[168]. Zasysana do środka woda pociągnęła za sobą drzewa i krzaki. Otaczająca wysad solny ropa zaczęła się przesączać na powierzchnię. Zadrżała ziemia. W niektórych miejscach powstały wyrwy i zapadliska.

Katastrofa skierowała uwagę opinii publicznej na rozległy świat podziemny – o którego istnieniu nie miałam dotąd pojęcia – zmuszając do zastanowienia się, jak w warunkach wolnego rynku i kultury silnej niechęci do uregulowań prawnych wygląda przechowywanie toksycznych substancji w stu dwudziestu sześciu wysadach solnych na lądowym obszarze Luizjany[169](oraz wielu innych w strefie przybrzeżnej), w kawernach na głębokości od tysiąca do pięciu i pół tysiąca metrów pod powierzchnią ziemi.

W wysadzie solnym Napoleonville toczyła się ożywiona działalność handlowa. Pięćdziesiąt trzy kawerny są w ł a s n o ś c i ą koncernów petrochemicznych. Kolejne siedem firm tylko w y n a j m u j e przestrzeń magazynową. Kawerny są bardzo cennymi magazynami o ogromnej pojemności, w których przechowuje się rozmaite substancje chemiczne wykorzystywane przy wydobyciu ropy naftowej, szczelinowaniu i produkcji plastiku. Texas Brine wynajmuje sześć kawern. Dow and Union Carbide[170] ma własne kawerny, do których wpompował przeszło dwa i pół miliarda litrów dichlorku etylenu. Chociaż informacja, że kapitalizm dotarł aż tak głęboko pod ziemię, była dla mnie zupełnym zaskoczeniem, w rejonie Zatoki Meksykańskiej od dawna składuje się substancje chemiczne w takich podziemnych systemach magazynowych. Nawet Krajowe Rezerwy Ropy Naftowej (National Petroleum Reserves) korzystają z kawern solnych.

Skoro jednak pojedyncza dziura wywiercona w jednej ścianie jednej kawerny może spowodować powstanie takiego zapadliska, że w kałużach po deszczu musują bąbelki metanu, co jeszcze może się zdarzyć w okolicy, gdzie zaczęły występować trzęsienia ziemi i znajduje się wiele innych kawern solnych wypełnionych dichlorkiem etylenu – a to wszystko w kulturze pogardy dla samej idei uregulowań prawnych?[171]

Problem, do którego zawęziłam pole widzenia, zawiódł mnie tysiąc dwieście metrów pod ziemię. Razem ze mną zszedł tam Wielki Paradoks: Partia Herbaciana obawiała się rządu federalnego, gardziła nim i domagała się ograniczenia jego prerogatyw. Jednak jej zwolennicy równocześnie chcieli czystego, bezpiecznego środowiska – bez posyłających toksyczne zanieczyszczenia do źródeł wody pitnej trzęsień ziemi albo czegoś gorszego. Te dwa pragnienia kolidowały ze sobą. Czyż Ameryka nie potrzebowała kultury szacunku dla chroniących środowisko zabezpieczeń prawnych? Czy nie potrzebujemy urzędników państwowych – niemających nic do ugrania – którzy pilnowaliby przestrzegania standardów bezpieczeństwa? Jak mój dobry, inteligentny i czuły przyjaciel Mike Schaff łączył ze sobą te dwa pragnienia?

## *Państwo minimalne*

Gubernator Bobby Jindal, bardzo elegancki w niebieskiej koszuli i spodniach khaki, wysiada z helikoptera i energicznym krokiem podchodzi do garstki oficjeli i zdenerwowanych uchodźców z Bayou Corne Sinkhole, jak nazywają zapadlisko amerykańskie media. Siedem miesięcy po tragicznych wydarzeniach wciąż waletują po krewnych, gnieżdżą się w przyczepach kempingowych, motelach i kamperach. Pewne małżeństwo obchodziło Święto Dziękczynienia w całodobowej pralni samoobsługowej, bo nie miało gdzie pójść. Napakowani ochroniarze w ciemnych okularach, z krótko ostrzyżonymi włosami rozsypują się w wachlarz za gubernatorem. Jindal szybko zbliża się do dygnitarzy, wita się z nimi i z przechyloną głową i rękami na biodrach słucha, co mają do powiedzenia. Po chwili rusza w kierunku mównicy ustawionej pośrodku zielonej łąki, niedaleko od zapadliska.

Ziemia rozstąpiła się złowieszczo 3 sierpnia 2012 roku. Cztery miesiące później, 16 grudnia 2012 roku, jeden z mieszkańców napisał na Facebooku:

> „Gdzie jesteś, Bobbie Jindalu?????
>
> Wybraliśmy cię na przywódcę Luizjany. […] 3 sierpnia [2012 roku] twoje biuro ogłosiło stan klęski żywiołowej dla Bayou Corne / Grand Bayou. […] Mamy minitrzęsienia ziemi. Metan, benzen i siarkowodór ulatniają się do powietrza, którym oddychamy. Nasza społeczność przeszła piekło i nadal żyje jak w nocnym koszmarze. Moim zdaniem, które podziela wiele osób […] nie zrobiłeś nic, żeby nam pomóc”[172].

Siedem miesięcy po katastrofie, 9 marca 2013 roku, gubernator Jindal pierwszy raz pojawił się na miejscu zdarzenia. Przyleciał helikopterem z odległego o sześćdziesiąt pięć kilometrów Baton Rouge – „pięć minut

lotu”, jak skomentował z niesmakiem jeden z moich rozmówców – żeby przemówić do zgromadzonych[173].

Mając za plecami rządek urzędników w białych koszulach, Jindal zwraca się do garstki zrozpaczonych mieszkańców, którzy słuchają go ze skrzyżowanymi na piersi ramionami. Dobitnie wymawiając słowa, odczytuje przygotowany wcześniej tekst. Sypie danymi i faktami. Szybki rytm jego wypowiedzi wyraża wyższość, zniecierpliwienie, pośpiech, a być może także chęć wymigania się. Oświadcza, że władze dokładają wszelkich starań, by im pomóc. Zapowiada powołanie komisji niezależnych ekspertów. Osobiście zajmuje się tą sprawą.

Kończy deklamować tekst i oddaje głos miejscowym urzędnikom. Następnie oznajmia, że jest gotów odpowiedzieć na pytania. Ktoś pyta, dlaczego przyjechanie tutaj zajęło mu siedem miesięcy, chociaż ma tak blisko. Ktoś inny zwraca uwagę, że mieszkańców zawiadomiono o zaplanowanej na czternastą wizycie gubernatora o dziewiątej rano tego samego dnia, i chciałby wiedzieć, dlaczego po siedmiu miesiącach zwłoki nie można było zapowiedzieć jej z większym wyprzedzeniem. I dlaczego wyznaczono ją o drugiej po południu w środku tygodnia, kiedy większość ludzi jest w pracy? Czy gubernator w ogóle w i d z i a ł  z a p a d l i s k o? [174]

Tymczasem władze wyznaczyły „strefę wykluczenia”, w której znalazły się domy trzystu pięćdziesięciu mieszkańców. Wynajęty przez Texas Brine geolog wyjaśnił zszokowanym obywatelom, że „jeszcze nikt na świecie nie miał do czynienia z taką sytuacją”. Czy sąsiednia kawerna, w której nadal wierci się otwory, też grozi zawaleniem? Kiedy przestanie się sączyć gaz i ustaną wstrząsy tektoniczne? Gubernator mówi, że komisja to zbada.

### *Robótka za dwa piwka*

Jadę do domu Mike’a Schaffa. Skręcam w prawo w Gumbo Street, potem w lewo w Jambalaya, mijam skrzyżowanie z Sauce Piquante Lane i parkuję przy Crawfish Stew Street, naprzeciwko piętrowego domu z pomalowanych na żółto desek. Ulica jest wyludniona, niekoszona trawa wyrosła wysoko. Na podwórzu Mike’a rosną drzewa owocowe, ale nikt nie zbiera mandarynek satsuma, grejpfrutów, mango i fig.

– Przepraszam za trawnik. – Mike wita mnie przed domem ubrany w T-shirt w pomarańczowo-czerwone paski, dżinsy i solidne buty. – Zaniedbałem gospodarstwo. – Szerokim gestem muskularnego ramienia pokazuje zarośniętą różaną altankę.

Przygotował kawę, śmietanę i cukier. Na stoliku stoi też słoik z brzoskwiniami w syropie, który zabiorę potem ze sobą do domu.

– To najdłuższe pół roku w moim życiu. Szczerze mówiąc, jestem przygnębiony

– wyznaje. – Pięć lat temu przeprowadziłem się tutaj z Baton Rouge, żeby zamieszkać z nową żoną – mówi, nalewając nam kawy. – Ale przez ulatniający się metan nie jest tu bezpiecznie. Żona wróciła do Alexandrii i stamtąd dojeżdża do pracy. Widujemy się tylko w weekendy. Wnuki też mnie nie odwiedzają, bo co będzie, jak ktoś zapali zapałkę? Cały dom może wylecieć w powietrze.

Mike sypia niespokojnie. Postawił w garażu czujnik gazu i co chwila go sprawdza.

– Koncern wywiercił dziurę w moim garażu, żeby zobaczyć, czy pod spodem nie ma gazu. Jest. W stężeniu o dwadzieścia procent wyższym niż normalnie.

Mike unika zapalania zapałek. Żyje z dnia na dzień na kartonowych pudłach, pilnując domów sąsiadów i odganiając dzikie koty.

Gubernator nakazał ewakuację wszystkich mieszkańców Bayou Corne, ale Mike nie potrafi porzucić tego miejsca.

– Zostałem, żeby strzec domu przed złodziejami (było już kilka włamań w sąsiedztwie) i wesprzeć innych, którzy zostali. – Zamyśla się. – Tak naprawdę to nie chcę się stąd wyprowadzać – dodaje po chwili milczenia. – Przepraszam za to. – Pokazuje zwinięty dywan i poszarpane pęknięcie w cementowej wylewce. – To przez trzęsienie ziemi. Przed zapadliskiem nie mieliśmy wstrząsów ani buchającego z trawników metanu.

Pijemy kawę, a potem Mike pokazuje mi podwórze za domem.

– Tutaj pieczemy z sąsiadami raki – opowiada w czasie teraźniejszym, jakby dawne życie toczyło się nadal.

Po drugiej stronie kanału ciągną się inne podwórka z ogrodowymi grillami. Kiedyś wystarczyło krzyknąć, by zaprosić przyjaciół na rakową ucztę.

– Ale to już nie jest dom Janet i Jerry’ego – mówi. – To już nie są domy Tommy’ego, Nicky’ego i jego żony ani Mister Jima. Teraz to wszystko Texas Brine, Texas Brine, Texas Brine i Texas Brine. W poniedziałek minęło osiemdziesiąt osiem tygodni. Zostaliśmy tylko ja, Tommy, Victor i Brenda.

Texas Brine negocjuje z właścicielami domów ceny wykupu.

To była bardzo zżyta społeczność. Sąsiadów łączyły wspólne zamiłowanie do łowienia ryb, polowania, dzikiej przyrody, a także konserwatywne poglądy polityczne. Mike od pięciu lat miał nową, piękną żonę (to było jego trzecie małżeństwo, a jej drugie) i nie spodziewał się, że znajdzie się w takiej sytuacji.

– Jesteśmy bardzo zżyci. – Zatacza ręką szeroki łuk, jakby chciał mi przedstawić niewidzialnych przyjaciół. – Mamy własny Mardi Gras, wyprawiamy przyjęcia w domku dla ptaków Eddiego.

Mąż sąsiadki, ornitolog amator, zbudował szopę dla ptaków, bo sąsiedzi skarżyli się, że są zbyt hałaśliwe. Kiedy umarł, wdowa przerobiła ją na imprezownię z jacuzzi

i dyskotekowym oświetleniem.

– Po powodziach pomagamy sobie nawzajem naprawiać wały powodziowe. Dzielimy to na robótki za dwa piwka i robótki za cztery. – Śmieje się. – Cudownie nam się tu mieszka.

To samo słyszałam od innych uchodźców z Bayou Corne. Mężczyzna o imieniu Nick pokazał mi zdjęcia dzieciaków paradujących po osiedlu na świątecznie przyozdobionych rowerach, sąsiadów w udekorowanych pojazdach golfowych, łodzi przygotowanych do parady i tańczących na ulicach ludzi – przez kilka kolejnych lat do muzyki granej na żywo.

– Urządzaliśmy konkursy wędkarskie. Wygrywał ten, kto złapał największą rybę, a potem urządzaliśmy piknik ze smażeniem ryb.

Nawet jeśli rząd pomagał ludziom – a Mike uważał, że raczej niewiele w tym kierunku robił – to i tak nie miał prawa niszczyć ducha społeczności. Mike dorastał w ścisłym kręgu ciotek, wujków, kuzynów i dziadków mieszkających blisko siebie na plantacji Armelise. Po sześćdziesiątce znów zamieszkał w podobnym miejscu, w otoczeniu ludzi, którzy czuli się ze sobą blisko związani i chętnie sobie pomagali – i nie chciał tego stracić.

Społeczność Bayou Corne wniosła dużo radości do życia człowieka, który potrafił godzinami siedzieć w garażu, składając z gotowego zestawu elementów dwumiejscowy samolocik Zenith 701, i mówił o sobie, że jest „samotnikiem”. Intensywne życie towarzyskie mieszkańców Bayou Corne zmusiło go do wyjścia ze swojej skorupy[175]. Owszem, Mike chciał ograniczyć rolę rządu, ale przede wszystkim pragnął czuć się częścią ciepłej, współdziałającej grupy. Uważał, że rząd wpycha się na jej miejsce.

Istotną rolę odgrywał także patriotyzm lokalny. Mike Schaff kochał Bayou Corne tak, jak burmistrz Hardey kochał Westlake. Sasol potrzebował pod swój nowy kompleks ziemi Hardeyów; dom Mike’a przejął Texas Brine. Była jednak pewna różnica. Hardeyowie dostali sowite odszkodowanie, ich dom nadal stoi w nienaruszonym stanie, a burmistrz nie ma nic przeciw temu, by mieszkać po sąsiedzku z wielkim przemysłem. Dom Mike’a jest w widoczny sposób zniszczony, a jego ukochana społeczność rozproszyła się po Missisipi, Teksasie i innych częściach Luizjany.

Mike znika w szopie na łódź i po chwili wyprowadza motorówkę na kanał. Wdrapuję się na pokład. Silnik ożywa z charkotem i łódź, podskakując na falach, płynie kanałem w kierunku ujścia do *bayou*. Skręcając gwałtownie, omijamy poczerniałe pnie martwych cypryśników. Pochylamy głowy, by uniknąć spotkania z pasami mchu, które zwisają z dolnych gałęzi cypryśników, drzew gumowych i czerwonych klonów niczym włochate strzępy starego futra. Schylamy się po raz

ostatni, przepływamy pod mostem i nagle pejzaż się rozszerza.

– Łowimy tutaj sumy i różne gatunki okoniowatych. A przynajmniej łowiliśmy. Teraz pływają w metanie.

Przybita do pnia drzewa gumowego czerwono-biało-czarno-żółta tablica z napisem NIEBEZPIECZEŃSTWO! NIE ZBLIŻAĆ SIĘ! ŁATWOPALNY GAZ! z daleka rzuca się w oczy. Ostrzeżenie odbija się w pomarszczonej wodzie. Mike pokazuje mi małe, koncentryczne kręgi bąbelków, które rozbiegają się jak robaczki.

– Metan – mówi.

### *Plotki, panika, przerzucanie się oskarżeniami*

Pojawienie się zapadliska wywołało falę wzajemnych oskarżeń i zarzutów. Najpierw Texas Brine winą obarczył Matkę Naturę. Przedstawiciele koncernu oświadczyli, że trzęsienia ziemi występują w tym rejonie naturalnie, co mijało się z prawdą. Następnie przedsiębiorstwo wystąpiło na drogę sądową przeciwko Occidental Chemical Company, od której wynajmowało przestrzeń magazynową w wysadzie solnym Napoleonville. Z kolei ubezpieczyciel Texas Brine doszedł do wniosku, że do wypadku doszło z winy koncernu, i odmówił wypłaty odszkodowania. Texas Brine pozwał go do sądu. Prawnicze przepychanki zataczały coraz szersze kręgi. Sąsiednia kawerna solna, położona zaledwie półtora kilometra od zapadliska, należała do Crosstec Energy Services. Firma wynajmowała ją innemu podmiotowi, który trzymał w niej półtora miliona litrów butanu. CES złożyło pozew przeciwko Texas Brine, twierdząc, że zapadlisko u n i e m o ż l i w i ł o p o w i ę k s z e n i e p r z e s t r z e n i m a g a z y n o w e j, wskutek czego firma straciła kontrakty z potencjalnymi podnajemcami. W 2015 roku Texas Brine pozwał Oxy Petroleum, domagając się stumilionowego odszkodowania za to, że w 1986 roku koncern przewiercił się zbyt blisko ściany kawerny[176], co jego zdaniem było przyczyną katastrofy w 2012 roku. I tak dalej.

Tymczasem uchodźcy z Bayou Corne tułali się po domach krewnych, przyczepach kempingowych i motelach, dojeżdżając do pracy z tymczasowych miejsc zamieszkania. Wciąż jeszcze w szoku, nerwowo szukali nowych informacji w telewizji i internecie oraz wymieniali e-maile z byłymi sąsiadami. Krążyły dramatyczne plotki. Czy zgromadzony w kawernie gaz wybuchnie, wywołując gigantyczny pożar? Czy trzęsienia ziemi mogą spowodować zawalenie się ścian innych kawern, które zawierają niebezpieczne substancje chemiczne? Pewna zaniepokojona współpracowniczka strony internetowej examiner.com z Denver obawiała się, że może dojść do eksplozji „o sile przewyższającej sto bomb wodorowych zrzuconych na Hiroszimę i Nagasaki”[177]. Inni apelowali o spokój

i rozsądek. Pewien użytkownik Facebooka, który nie opuścił domu w Bayou Corne, dla rozluźnienia atmosfery napisał na swoim profilu: „Zrobiłem sobie przerwę od malowania mebli ogrodowych i w godzinę złowiłem z mojego pomostu osiem tych ślicznotek [zdjęcie ryb]”.

Autorzy strony internetowej The Louisiana Sinkhole Bugle uważali, że winny jest zarówno koncern, jak i rząd, ale najbardziej wściekli byli na rząd. Dennis Landry, właściciel ośrodka wypoczynkowego Cajun Cabins w Bayou Corne, słusznie zauważył, że Departament Zasobów Naturalnych (Department of Natural Resources) „od miesięcy wiedział” o problemach Texas Brine z przestrzeganiem standardów, jednak nie powiadomił o tym miejscowych władz. „Jest mi bardzo przykro. […] Czuję się zdradzony przez luizjański Departament Zasobów Naturalnych”[178]. Ktoś nawet nazwał Texas Brine kozłem ofiarnym.

### *Moralna brudna robota*

Zaczynałam powoli rozumieć, dlaczego ofiary katastrofy spowodowanej przez przemysł energetyczny są wściekłe na rząd. Przede wszystkim wyszło na jaw, że Scott Angelle, sekretarz luizjańskiego Departamentu Zasobów Naturalnych w latach 2004–2014, wiedział, że ściana kawerny jest osłabiona, lecz mimo to wydał Texas Brine pozwolenie na wiercenie nowych otworów. Wkrótce po katastrofie został przesunięty na inne stanowisko i teraz, ku przerażeniu Mike’a, ubiegał się o fotel gubernatora. (Angelle przegrał wybory).

Przepisy dotyczące eksploatacji kawern solnych rzeczywiście były bardzo liberalne. W przeszłości zdarzały się już podobne wypadki, ale nikt o nich nie pamiętał (a jeśli nawet pamiętał, to nie przykładał do nich większej wagi), jak w strukturalnej amnezji, z którą zetknęli się Arenowie. Okazało się też, że koncerny energetyczne zaniżały wartość kawern i przechowywanych w nich substancji, by płacić niższe podatki. Problem nie polegał na tym, że rząd stanowy był zbyt potężny, wścibski i kontrolujący; miałam wrażenie, że raczej w ogóle go przy tym nie było.

Poza tym czego innego oczekiwano od biznesu, a czego innego od rządu. Koncerny zarabiały pieniądze i odpowiadały przed akcjonariuszami; to zrozumiałe, mówili moi rozmówcy, że starają się „chronić własny tyłek”. Ale rządowi płacono za to, by chronił ludzi, więc należało się więcej po nim spodziewać. Ku mojemu zaskoczeniu ofiary katastrofy były także gorzko zawiedzione, że Texas Brine nie okazał im zwykłego ludzkiego współczucia.

– Kiedy to się stało, przedstawiciele koncernu nie pofatygowali się tutaj, żeby zapytać, jak sobie radzimy. Wypłacili odszkodowania za domy i dali nam miesiąc na wyprowadzkę – powiedział z rozżaleniem jeden z uchodźców. – Kiedy schorowany

osiemdziesięciotrzyletni staruszek poprosił o więcej czasu, odparli: „Dobra, masz jeszcze tydzień”.

Texas Brine nie interesował się nimi. Firmie chodziło tylko o pieniądze. Mike żywił wobec koncernu mieszane uczucia. W czasie spotkania z mieszkańcami poczęstował dyrektora z Texas Brine mandarynkami satsuma, rzucając żart: „Nie nafaszerowałem ich żyletkami”.

– Roześmiałem się, ale dyrektor nawet się nie uśmiechnął – powiedział mi później.

Ofiary zapadliska były wściekłe na Texas Brine za ten „brak serca”, ale nie traktowały firmy z lekceważeniem ani pogardą. Za to urzędników władz stanowych uważały za niemrawych podwładnych skorumpowanych szych, które rozbijają się wypasionymi SUV-ami „kupionymi za moje podatki”.

Jak urzędnicy władz stanowych wywiązywali się z obowiązku chronienia obywateli? Odpowiedź na to pytanie znajdujemy w zdumiewającym raporcie inspektora generalnego EPA z 2003 roku. Dokument ten ocenia wprowadzanie w życie federalnych przepisów ochrony środowiska przez poszczególne stany w każdym z sześciu regionów. Luizjana zajęła ostatnie miejsce w regionie szóstym. Stanowa baza danych o odpadach niebezpiecznych zawierała mnóstwo błędów. Luizjański Departament Jakości Środowiska (w którego nazwie zabrakło słowa „Ochrona”) często nie wiedział, czy dany obiekt przemysłowy przestrzega przepisów. Z powodu opóźnienia w wydaniu decyzji szesnaście zakładów bez zezwolenia odprowadzało ścieki do wód publicznych. Wielu obiektów przemysłowych w ogóle nie udało się skontrolować. Nawet tam, gdzie stwierdzono łamanie przepisów, EPA nie nakładała na winnych kar finansowych, a jeśli już to zrobiła, nie zostały one wyegzekwowane[179]. Inspektor zakończył raport stwierdzeniem, iż „nie jest w stanie zapewnić opinii publicznej, że Luizjana realizuje programy w sposób, który skutecznie chroni zdrowie ludzi i środowisko”[180].

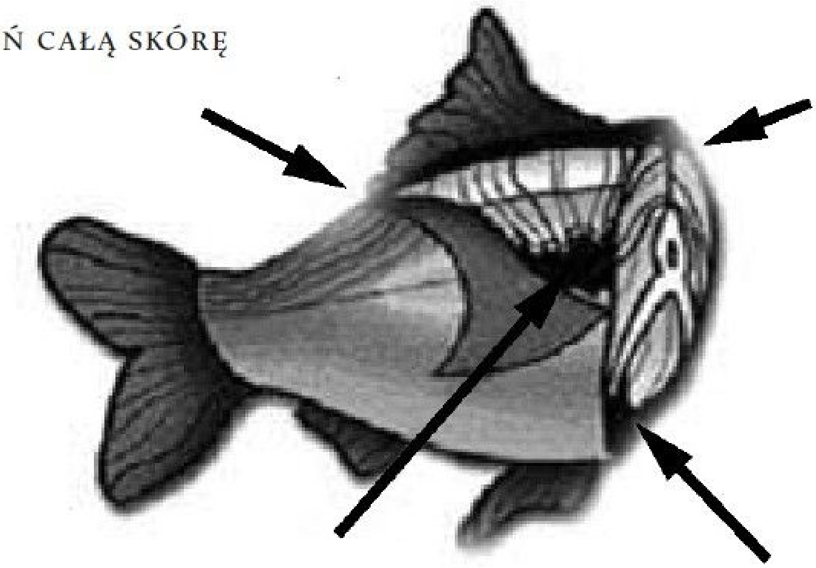
Skąd taka słaba ocena? Generalny inspektor EPA wymienił trzy przyczyny: katastrofy naturalne, brak środków finansowych i „kultura, w której od instytucji rządowych oczekuje się, że będą chroniły przemysł”[181]. Co się tyczy zbyt niskich funduszy, w 2012 roku władze stanu zredukowały wydatki na ochronę środowiska z dotychczasowych 3,5 procent budżetu do 2,2 procent. Czujny rewident odkrył również, że luizjański fiskus niechcący „oddał” koncernom naftowo-gazowym trzynaście milionów dolarów, które należały mu się z tytułu podatków[182]. Co się tyczy „kultury” faworyzującej przemysł, uzyskanie odpowiednich zezwoleń rzeczywiście nie było trudne. Jak można przeczytać na oficjalnej witrynie internetowej stanu, od 1967 roku do lipca 2015 roku wydano 89 787 zezwoleń na pozbywanie się odpadów i innych substancji mających wpływ na stan środowiska. Tylko w sześćdziesięciu – czyli 0,07 procent – przypadkach wydano decyzję

odmowną[183].

Niektóre raporty instytucji stanowych zdradzają osobliwe podejście do naukowej metodologii. Porównywano poziom zanieczyszczenia na różnych obszarach, dla jednych ustalając próg wykrywalności wysoko, dla innych nisko[184]. W 2005 roku grupa naukowców badających sytuację w estuarium Calcasieu nie wiadomo czemu doszła do wniosku, że dla dzieci i młodzieży w wieku od siedmiu do siedemnastu lat kąpiel może być niebezpieczna, ale nie ma żadnego zagrożenia dla dzieci „sześcioletnich i młodszych”[185]. Część tego rodzaju dokumentów w ogóle nie nadawała się do czytania. Oto jeden z typowych przykładów gatunku: „Analizy odnotowane jako «nie wykryto» przeanalizowano przy użyciu metod z wyższym progiem wykrywalności niż wartości porównawcze dla badań przesiewowych”[186].

Czasem władze stanu po prostu obniżały standardy ochrony środowiska. Jednym z wstrząsających przykładów takiej strategii jest biuletyn stanowego Departamentu Zdrowia i Opieki Społecznej dla urzędników innych agencji rządowych instruujący, co odpowiadać mieszkańcom, kiedy zapytają, jakie ryby mogą jeść. Dokument, opublikowany w lutym 2012 roku, a 5 maja 2016 roku wciąż dostępny w internecie, został napisany przez jeden zespół stanowych urzędników dla innych zespołów stanowych urzędników[187]. Po mrożących krew w żyłach opisach „siły działania kancerogennego” udziela łowiącym rekreacyjnie wędkarzom rzeczowych porad, jak przyrządzać zatrute ryby: „Można ograniczyć zawartość kontaminantów w rybach i skorupiakach poprzez odcięcie tłuszczu i skóry z ryb płetwowych i usunięcie wątrobo-trzustki z krabów. By dodatkowo zmniejszyć ryzyko, [podczas przyrządzania] pozbądź się tłustego sosu"[188]– zaleca protokół. „Jednak niektóre kontaminanty, takie jak rtęć i inne metale ciężkie, utrzymują się w zdatnych do spożycia tkankach ryb i skorupiaków nawet po ugotowaniu” – stwierdza dalej dokument śmiertelnie poważną naukową prozą.

Zalecenia są szokujące, ale w pewien ponury sposób mają sens. Skoro koncerny nie płacą za oczyszczanie wód, do których odprowadzają ścieki, a władze stanu nie potrafią ich do tego zmusić, i skoro problem biedy nadal pozostaje nierozwiązany, niektórzy ludzie muszą łowić – i po odcięciu tłuszczu i upieczeniu – jeść zawierające rtęć ryby. Przynajmniej autorzy protokołu nie udawali, że nie wiedzą, iż odpowiedź na Wielki Paradoks brzmi: „Masz problem? Przyzwyczaj się do niego”.




Mike Schaff nie wiedział o istnieniu protokołu, ale kiedy mu o nim powiedziałam, pokiwał głową.

– Kolejny przykład złego funkcjonowania rządu. Po co podnosi się pensje? Weźmy Steve’a Schultza, który kieruje naszym Departamentem Zasobów Naturalnych. Kiedy zaczynał pracować dla mnie i pozostałych luizjańskich podatników, zarabiał trzydzieści tysięcy dolarów rocznie i pewnie kupił sobie wtedy domek z prefabrykatów albo kawalerkę, w którą wcisnął całą rodzinę. A po kilku podwyżkach przeprowadził się na zamknięte osiedle. Powiedzmy, że podnosimy budżet na ochronę środowiska. Jego pensja rośnie ze stu pięćdziesięciu do stu dziewięćdziesięciu tysięcy. Im więcej mu płacimy, tym więcej ma powodów, by przytakiwać we wszystkim Jindalowi i nafciarzom. Moim zdaniem urzędnik państwowy, który zarabia nie za wiele, prędzej będzie traktował swoją pracę jako misję.

Ideę pracy jako misji Mike przejął od swojego Kościoła. Pewnego razu zawiózł mnie swoją czerwoną półciężarówką do katolickiej szkoły podstawowej, do której chodził w dzieciństwie. Po drugiej stronie ulicy stał kościół, gdzie był bierzmowany, a na pobliskim cmentarzu spoczywali jego rodzice i dziadkowie ze strony matki.

Opowiedział mi, że zakonnice kazały mu trzepać ścierkę do tablicy o chodnik (Bóg mu to wynagrodzi).

– Ale były wspaniałymi nauczycielkami i żyły bardzo skromnie – dodaje mimochodem. – *Uważam, że urzędnicy państwowi powinni być jak zakonnice.*

Oszczędziłoby to wydatków podatnikom. Mike zdawał sobie jednak sprawę, że zdolni ludzie nie mieliby wtedy żadnej motywacji do wstępowania do służby państwowej.

– Nie mógłbym żyć tak, jak te zakonnice – powiedział mi innym razem.

Myślałam o katastrofie w Bayou Corne i nie przestawałam się dziwić. Mike popierał wolny rynek, bo chciał zachować swoją społeczność. Ale czy totalny wolny rynek rzeczywiście sprzyja lokalnym społecznościom? I czy w gruncie rzeczy *już teraz* społeczeństwo Luizjany nie rządziło się zasadami niemal czystego wolnego rynku? Bobby Jindal był zwolennikiem wolnego rynku i ograniczonych prerogatyw państwa, dlatego właśnie Mike na niego głosował. Gubernator zmniejszył wydatki na świadczenia publiczne i ochronę środowiska oraz wprowadził rozwiązania korzystne dla przemysłu. Administracja stanu nie zadbała o bezpieczeństwo mieszkańców Bayou Corne i powinna, jak uważali niektórzy, wziąć na siebie znaczną część winy za zapadlisko, tak jak Lee wziął na siebie winę za zanieczyszczanie Bayou d’Inde przez Pittsburgh Plate Glass.

Zbadałam wszystkie miejsca, do których zawiódł mnie Wielki Paradoks – od przestrzeni magazynowej w wysadzie Napoleonville pięćset metrów pod ziemią po urzędowy biuletyn instruujący rekreacyjnych wędkarzy, jak mają przyrządzać złowione przez siebie ryby – i wydawało mi się, że to wszystko w oczywisty sposób przemawia za potrzebą kompetentnej władzy. Jednak dla mojego przyjaciela informator o rybach był oczywistym argumentem przemawiającym za *zmniejszeniem* kompetencji rządu.

Mike wprowadza łódź do doku i wracamy do jadalni. Mówi, że ubezpieczenia społeczne ani program Medicare nie są nam potrzebne.

– Weźmy ubezpieczenie społeczne. Gdybyśmy ty i ja nie musieli za nie płacić – mówi – moglibyśmy sami zainwestować te pieniądze i nawet biorąc pod uwagę zniżkę koniunktury w dwa tysiące ósmym roku, bylibyśmy teraz *milionerami*.

Uważa, że nie potrzebujemy federalnego Departamentu Edukacji (jego rolę mogą przejąć odpowiednie instytucje w poszczególnych stanach) ani Departamentu Zasobów Wewnętrznych (moglibyśmy sprywatyzować więcej terenów państwowych). Ale czy Texas Brine nie potraktował właśnie publicznych wód Bayou Corne, *jakby* były prywatną własnością koncernu? Czy Mike chciał, żebyśmy dalej szli w tym kierunku? Czułam, że utknęłam po swojej stronie muru empatii. Postanowiłam więc odwrócić pytanie.

– A co rząd federalny dla ciebie zrobił? Za co jesteś mu w d z i ę c z n y?

Zastanawia się przez dłuższą chwilę.

– Za pomoc dla ofiar huraganu. – I znów się namyśla. – Za drogę międzystanową I-10 (autostradę, której budowę sfinansował rząd federalny)… – Milczenie. – No dobra, za zasiłek dla bezrobotnych. – Kiedyś przez krótki czas go pobierał.

Podpowiadam mu inspektorów Agencji Żywności i Leków (Food and Drug Administration, FDA), którzy pilnują, czy to, co jemy, jest bezpieczne dla zdrowia.

– No tak, to też.

– A co z państwową pocztą, która dostarczyła części do twojego Zenitha 701? Złożyłeś go i przeleciałeś nad zapadliskiem w Bayou Corne, żeby nakręcić ten filmik wstawiony później na YouTube'a.

– Dostarczyła je firma FedEx.

A armia, do której zaciągnął się po kursie oficerskim dla studentów?

– No tak, okej.

Milczenie.

Tak to szło. Tego nie potrzebujemy, tamto nie jest nam potrzebne. Inni moi rozmówcy mówili to samo, z takimi samymi długimi przerwami do namysłu.

A co z czterdziestoma czterema procentami stanowego budżetu, które dokłada rząd w Waszyngtonie? Mike zastanawia się nad odpowiedzią.

– Większość z tego idzie na Medicaid. A przynajmniej połowa beneficjentów tego programu, jeśli nie więcej, nawet nie szuka pracy.

– Znasz takie osoby?

– Pewnie – odpowiada. – I nie widzę w tym nic złego. Większość z moich znajomych korzysta z dostępnych programów rządowych, na które przecież poszły ich podatki. Skoro są, dlaczego nie mieliby z nich skorzystać?

Przy innej okazji Mike opowiedział mi o wypadku, który o mały włos nie zakończył się tragicznie. Zabrał na łódź swoją nową żonę i jej córki. Nagle rozpętała się potężna burza, silnik przestał pracować i krypa bezwładnie kołysała się na wielkich falach.

– Dziewczynki z początku piszczały z uciechy. Potem ucichły. Niewiele brakowało, żebyśmy wywrócili się do góry dnem. Na szczęście zauważyła nas straż przybrzeżna i doholowała nas do brzegu. Naprawdę ucieszyłem się na ich widok. Sprawdzili, czy mamy kapoki, ale to chyba w porządku.

Jaki obraz rządu federalnego mieli moi rozmówcy? Czy uważali go za wścibskiego Wielkiego Brata (straż przybrzeżna sprawdzająca, czy mają kapoki)? Wielkiego Brata sterującego nimi na odległość (federalny Departament Edukacji zamiast stanowego)? Złego rodzica, który nierówno traktuje swoje dzieci (akcja afirmatywna)? Natarczywego żebraka na swoim progu (podatki)? Wszystko to naraz, ale także coś jeszcze. Jak hipisi z Berkeley w latach 60. gardzili konsumpcjonizmem,

manifestując przywiązanie do szlachetniejszych ideałów miłości i ogólnoświatowej harmonii – nawet jeśli często byli na garnuszku rodziców, którymi gardzili – tak Mike Schaff i inni zwolennicy Partii Herbacianej zdawali się mówić: „Mamy w pogardzie rząd i wszystkie jego świadczenia”, chociaż z wielu z nich korzystali. Poza wszystkim rząd działał także jak specyficzna maszynka do wyznaczania statusu. Im mniej od niego zależysz, tym wyżej stoisz w hierarchii społecznej. Jak już dawno zauważył socjolog Thorstein Veblen, im mniej potrzebujemy, tym większy zaszczyt[189].

Zbieram wszystkie powody niechęci Mike’a do państwa. Wpycha się na miejsce społeczności lokalnej. Ogranicza wolność jednostki. Nie chroni obywateli. Jego funkcjonariusze nie żyją jak zakonnice. Przy czym rząd f e d e r a l n y był potężniejszą, bardziej odległą i niegodną zaufania wersją rządu s t a n o w e g o. Poza tym Mike funkcjonował w kulturze, która wysoko ceniła wytrzymałość i zdolność przystosowania; jeśli ryby zawierają rtęć, odetnij ciemne mięso i jedz białe. Jak zobaczymy później, przeciwko tej właśnie kulturze przystosowania Mike w końcu wystąpi.

Jednak było coś jeszcze, co ożywiało niechęć Mike’a do rządu i co odkrywałam wszędzie, gdzie poszłam. Czasem mówiono o tym z gniewem i wprost, kiedy indziej napomykano za pomocą aluzji. Rząd federalny, nie pytając ludzi o zdanie, zabierał pieniądze pracującym i dawał je nierobom. Zabierał porządnym ludziom i dawał typom bez charakteru. Nikt nawet nie napomknął o klasach społecznych i wszyscy bardzo się starali wyrażać oględnie i delikatnie o czarnoskórych, chociaż kiedy rozmowa schodziła na muzułmanów, nie kryli podszytej strachem niechęci. Gdyby punkt zapalny między tymi grupami dało się umiejscowić, tym miejscem byłyby lokalne biura instytucji rozdających federalne pieniądze zasiłkowiczom w ramach różnych programów – funduszu edukacyjnego dla najmłodszych, inicjatywy tymczasowego wspomagania zagrożonych rodzin, Medicaid, ogólnokrajowego programu darmowych śniadań i obiadów dla biednych uczniów czy programu dożywiania dla kobiet, niemowląt i dzieci. Liberałowie pouczali Amerykanów, że mają współczuć beneficjentom pomocy społecznej, ale to byli wielkomiejscy liberałowie ze Wschodniego i Zachodniego Wybrzeża, usiłujący narzucić swoje zasady odczuwania starszym białym chrześcijanom z Południa i Midwestu. Stali po drugiej stronie. Zastanawiałam się więc, czy przygnębienie i poczucie bezsilności, które obserwowałam, nie były po części wynikiem konfliktu klasowego, który ujawnił się tam, gdzie można się go było najmniej spodziewać (w sferze rządów) i pomiędzy grupami (klasa średnia / robotnicy i biedota), które nie znajdowały się w centrum zainteresowania liberałów. Czy to nie on był głównym źródłem niezadowolenia napędzającego prawicę? Czy zwolennicy Partii Herbacianej czuli, że w tej walce rząd stanął po cudzej stronie, że ich zdradził? Może to przede wszystkim d l a t e g o Mike półżartem powie mi później w odniesieniu do wyborów prezydenckich w 2016

roku, że nigdy w życiu nie zmusiłby się do zagłosowania na kandydata mienszewików (Hillary Clinton) ani bolszewików (Bernie Sanders).

Przy pożegnaniu Mike wręcza mi słoik z brzoskwiniami, który stał już na stole, gdy przyjechałam. Jadę Crawfish Stew Street, mijając przekrzywione podwórka. Po chwili wyjeżdżam na jedyną drogę wylotową z miasteczka, która w każdej chwili może się zapaść. Wracam do Lake Charles, zastanawiając się, jakie informacje na temat Bayou Corne, przepisów federalnych, zasiłków i wielu innych spraw Mike słyszał w kościele i w swojej ulubionej stacji telewizyjnej – Fox News.

8

# Ambona i prasa: „Nie ma takiego tematu”

Już w pierwszych minutach mojego spotkania z Madonną Massey w Starbucksie w Lake Charles uderza mnie, jak wielu ludzi cieszy się na jej widok.

– Dzień dobry, pięknie dziś pani wygląda.

– Dziękuję panu, panie Gaudet. Pan też dobrze wygląda.

– Cześć, Madonno, cudownie wczoraj śpiewałaś.

– Dzięki, Joey. Jak się miewa twoja córka?

Tego dnia ma na sobie spódnicę w kwiaty i koronkową marynareczkę. Gęsta masa jasnych włosów spływa na jedno ramię. Jest bezpośrednia i serdeczna, ma melodyjny śmiech, a kiedy się uśmiecha, zdaje się roztaczać wokół siebie krąg ciepła.

Poznałam Madonnę na spotkaniu Republikanek Południowo-Zachodniej Luizjany. Powiedziała mi wtedy, że jest wierną słuchaczką gospodarza ultrakonserwatywnego programu radiowego Rusha Limbaugha.

– Zgadzam się ze wszystkim, co mówi Rush – wyznała. – Zwłaszcza o nazifeministkach.

Pomyślałam, że byłaby ciekawą rozmówczynią, i zapytałam, czy umówiłaby się ze mną na kawę.

Prawicową kulturę, która otaczała mnie teraz zewsząd, wspierał określony społeczny obszar. Poznałam już przemysł i władze stanowe. Ale co z Kościołem i prasą? Mike Schaff bronił swoją społeczność przed zakusami państwa. Czy inni uważali, że takiej samej obrony potrzebuje Kościół? Czy moi nowi przyjaciele starali się chronić *sferę*, która była dla nich szczególnie cenna? A może, niezależnie od tego, Kościół propagował *indywidualne wartości*, które pomagały rozwiązać interesujący mnie paradoks?

Prawie wszyscy moi znajomi z Luizjany chodzą do kościoła. Harold i Annette Arenowie są członkami Kościoła Zielonoświątkowego Latarni Morskiej Tabernakulum. Siostrzenica Harolda, Janice, święci niedzielę z grupką nienależących do żadnego Kościoła chrześcijan, którzy czekają, aż Bóg wskaże im właściwego pastora. Lee Sherman, który opróżniał „wózek smołowy” do wód publicznych, uczestniczy w obrzędach Kościoła mormońskiego. Burmistrz Westlake, Bob Hardey, jest praktykującym katolikiem. Mike Tritico odszedł ze swojego Kościoła, spróbował innego, ale też się rozczarował i teraz studiuje Biblię z Arenami albo na własną rękę w swojej krzywej chatce w Longville. Bywa też w pobliskim kościele baptystów na

wieczorach wspólnego śpiewania gospel przy wtórze akordeonu. Pewna mieszkanka Lake Charles, która w dzieciństwie wiele przeszła, wyznała, że niedziela jest jej „ulubionym dniem". Czarnoskóry duchowny baptystyczny z Crowley łagodnie upomina swoją czarnoskórą trzódkę, by wystrzegała się zaciągania pożyczek chwilówek. Jako dwukrotnie rozwiedziony katolik Mike Schaff nie uczestniczy w niedzielnych mszach, ale od kilkudziesięciu lat co roku jeździ na organizowane przez jezuitów rekolekcje, gdzie przez dwa dni zachowuje ścisłe milczenie, czasem tylko sprawdzając chyłkiem wiadomości na iPhonie. Niektórzy dwa razy w tygodniu uczestniczą w nabożeństwach oraz spotykają się na wspólne studiowanie Biblii. O swoich dzieciach nie mówią, że chodzą do kościoła (*going to church*), ale że są „ukościelnione" (*churched*), z tą samą dumą, z jaką ktoś inny mógłby powiedzieć „porządnie wykształcone" lub „dobrze wychowane". W Luizjanie Kościół – przeważnie baptystyczny, katolicki, metodystyczny lub zielonoświątkowy – jest filarem życia społecznego.

W siedmiotysięcznym Donaldsonville – mieście, do którego jest najbliżej z rodzinnego domu Mike'a Schaffa – wyszukiwarka churchfinder.com znalazła jedenaście kościołów baptystycznych, cztery metodystyczne, cztery katolickie i jeden określony jako „wypełniony duchem Bożym". Sto siedemdziesiąt kilometrów na zachód od Donaldsonville, w liczącym siedemdziesiąt tysięcy mieszkańców Lake Charles, jest sto kościołów – głównie baptystycznych i „wypełnionych duchem Bożym" (57), ale także zielonoświątkowych (12) i katolickich (13). Niektóre świątynie mogą pomieścić tysiąc wiernych, inne tylko kilkudziesięcioro. Dla porównania: w moim rodzinnym Berkeley w Kalifornii (117 000 mieszkańców) znajdują się osiemdziesiąt dwa kościoły – jeden na 1423 mieszkańców[190]. Berkeley ma osiem synagog, Lake Charles jedną, Donaldsonville żadnej.

W okolicach Lake Charles i w samym mieście Bóg był obecny wszędzie. Wspólną modlitwę zmawiano przed posiłkiem oraz na większości zgromadzeń publicznych, przed oddaniem honorów sztandarowi. Kościół stanowił nieodłączny element dzieciństwa.

– Jako mały chłopiec chodziłem do kościoła dwa razy w tygodniu, a w dniach odnowy przymierza z Bogiem codziennie – wspomina młodość nad Bayou d'Inde Harold Areno.

Religia była także nieodłącznym elementem działalności biznesowej. Dla przykładu: podczas bankietu Izby Handlowej Lake Charles w Golden Nugget Casino, zdecydowanie świeckiej imprezy, prezes Glen Bertrand, mówiąc o gigantycznych, wartych osiemdziesiąt cztery miliardy dolarów inwestycjach w regionie, powiedział: „Mam nadzieję, że uznamy nasz sukces ekonomiczny za błogosławieństwo niebios" [191].

*Kościół jako świat emocjonalny*

W czwartkowy wieczór o 19:05 mąż Madonny, Glenn Massey, przechadza się między rzędami ławek w Kościele Zielonoświątkowym Żywej Drogi, gawędząc z wiernymi. Czekamy jeszcze na mężczyzn, którzy właśnie schodzą ze zmiany w fabryce. Siedzę w pierwszym rzędzie po prawej, obok Madonny. To jej stałe miejsce. Za nią, w drugim rzędzie, siedzi jej matka. Obie kobiety są znanymi pieśniarkami gospel. Na zewnątrz parafianie parkują SUV-y, wtykają koszule w spodnie, przyczesują grzebieniem włosy i wchodzą do kościoła, gdzie witają ich wyciągnięte dłonie i otwarte ramiona przyjaciół.

– Dobrze cię widzieć… Cieszę się, że udało ci się dotrzeć.

O 19:15 w ławkach siedzi mniej więcej siedmiuset wiernych. Pastor Glenn Massey wygłasza słowo do wiernych przy wtórze cichych dźwięków pianina. Mówi: „Pan błyskawicznie uzdrowił moją duszę”. Ma zamknięte oczy. Uniesione ręce. Kołysze dłońmi, jakby przywoływał do siebie Boga. Po kazaniu przemawia językami (bezpośrednio komunikując się z Bogiem, jak wierzą zielonoświątkowcy). Następnie parafianie podchodzą do przodu, gdzie czekają już na nich pastorzy pomocniczy. Jedna z kobiet pochyla się w pozie wyrażającej rozpacz. Inna strzepuje ręce, jakby chciała uwolnić się od jakiegoś paskudztwa. Mężczyzna w mundurze polowym sztywnym krokiem maszeruje tam i z powrotem przed podwyższeniem dla pastora, jakby ochraniał wzburzonych wiernych albo próbował uciszyć własny niepokój. Wszystkie ludzkie emocje są tu wystawiane na pokaz.

Pastorzy pomocniczy kładą dłonie na głowach i ramionach wiernych, stanowczo, na dłuższą chwilę, po czym potrząsają nimi delikatnie, jakby chcieli uwolnić od duchowego napięcia. Podchodzą kolejne osoby, ludzkie warstwy nakładają się na siebie, tworząc żywy obraz międzyludzkiej więzi. Pod koniec nabożeństwa pastor Glenn prosi, by wszyscy, którzy chcą wybaczyć albo potrzebują wybaczenia, podeszli do przodu. Ponad połowa kongregacji przechodzi na przód kościoła. Kilka minut później rozlegają się głębokie westchnienia, ktoś szlocha, ludzie klepią się po ramionach, atmosfera się odpręża. Robotnicy fabryczni powoli wstają z miejsc, wymieniają uściski dłoni, obejmują się, przez moment gawędzą z przyjaciółmi i w końcu wracają do swoich SUV-ów i półciężarówek, by odjechać do domów.

Kościół Zielonoświątkowy Żywej Drogi kładzie główny nacisk na uzdrowienie duchowe. Pełni tę samą funkcję, którą w mniej religijnych kulturach zaspokajają psychoterapia i medytacja, a także rodzina i krąg przyjaciół. Inne Kościoły, jak choćby Baptystyczny Świętej Trójcy, megakościół w Lake Charles, dodatkowo zajmują się również pomaganiem tym, którym się gorzej powiodło. Parafianie Świętej Trójcy zorganizowali akcję zbiórki jedzenia dla Namiotu Abrahama, miejscowego

banku żywności i jadłodajni dla ubogich[192].

Na tablicach informacyjnych w przedsionkach kościołów wiszą zdjęcia uśmiechniętych afrykańskich dzieci w niedzielnych ubrankach, ustawionych w rządek przed kościołem zagranicznej misji. Baptyści ze Świętej Trójcy prowadzą posługę w Ekwadorze, Afryce, Peru i Hondurasie. Co roku wysyłają do tych krajów dwadzieścioro lekarzy, pielęgniarek i stomatologów. Organizują też letnie obozy biblijne dla dzieci. Grupka wiernych jeździ do Zimbabwe, by chodząc od domu do domu, głosić Dobrą Nowinę. Pewna kobieta zorganizowała w swoim kościele zbiórkę miękkich poduszek dla amerykańskich żołnierzy w Iraku i Afganistanie. Zebrała ich setki.

– To przestraszeni młodzi chłopcy daleko od domu – powiedziała mi. – Ale kiedy żołnierz przyłoży głowę do takiej poduszki, poczuje, że jest w kontakcie z Bogiem.

Przy jeszcze innych kościołach działają grupy „wojowników modlitwy”, którzy modlą się za osoby doświadczone przez los.

Wszystkie kościoły, które odwiedziłam – baptystyczne, zielonoświątkowe, katolickie i innych wyznań – zaspokajają również pozaduchowe potrzeby swoich parafian, i to w sposób, który nie wiąże się z upokorzeniem, z jakim moim przyjaciołom z Partii Herbacianej kojarzy się pomoc publiczna. Kościół Baptystyczny Świętej Trójcy prowadzi duże centrum fitness, wyposażone w rowery stacjonarne i przyrządy do wzmacniania mięśni. Teściowa parafianki z Lake Charles zrzuciła tam dwadzieścia kilogramów. Kiedy dzieci mojej rozmówczyni były małe, uwielbiały zjeżdżać na wielkiej zjeżdżalni z pierwszego piętra do pokoju zabaw na parterze, gdzie czekały na nich ośmiornica, wieloryb, rekin, pilotowany przez aligatora samolot i ogromna foka z miękkiego kolorowego plastiku. Trochę starszej młodzieży Święta Trójca proponowała barek przekąskowy otwarty w niedziele i obóz letni w czasie wakacji. Kościół „świętował trzeźwienie” razem z byłymi alkoholikami i narkomanami, sponsorował własne drużyny sportowe dla dzieci w wieku gimnazjalnym i urządzał turnieje golfa dla dorosłych. Kościoły zazwyczaj oczekują od wiernych „dziesięciny” – stałego datku w wysokości dziesięciu procent dochodów. Dla wielu ludzi są to spore sumy, ale łożenie na Kościół uważane jest za kwestię honoru. Luizjańczycy p ł a c ą podatki, lecz d a j ą na Kościół.

Wielka zjeżdżalnia baptystów przywiodła mi na myśl pomysłowo zaprojektowany park Dolores w dzielnicy Mission w San Francisco i programy oferowane przez tamtejszy wydział rekreacji i parków. Po mojej stronie muru empatii świadczenia i programy „publiczne” były czymś z gruntu pozytywnym. Pomyślałam o prowadzonym przez miasto Chórze Dziewczęcym i teatrze musicalowym dla nastolatków, wystawiającym *Skrzypka na dachu*. Dzieciaki z gimnazjów uczą się tam za darmo aktorstwa i śpiewu. San Francisco przyznaje miejscowym artystom granty na malowanie murali w zapomnianych przejściach podziemnych. Organizuje rozmaite

zajęcia sportowe dla mieszkańców, od hula-hop przez acrojogę i stanie na rękach do ewolucji akrobatycznych w parach. Sponsoruje własne drużyny ligowe w takich sportach, jak softball, koszykówka i tenis. Oferta dla mieszkańców obejmuje lekcje gotowania, piesze wycieczki, potańcówki i obozy letnie nad jeziorem, na które trzeba się zapisywać z dużym wyprzedzeniem. Zajęcia i obóz są płatne, ale osoby o niskich dochodach mogą ubiegać się o dofinansowanie. Ratusz wspiera wolontariuszy, którzy usuwają z ulicy wulgarne napisy, troszczą się o piesze trasy turystyczne, sadzą drzewa i oprowadzają dzieciaki po ogrodzie botanicznym. W ramach programu Mobile Recreation po mieście jeździ przenośna ścianka wspinaczkowa. Adresowany do uczniów dziewiątej i dziesiątej klasy program Greenagers uczy nastolatków dbania o tereny zielone. Uświadomiłam sobie, że tego rodzaju programy, dostępne dla przedstawicieli wszystkich ras i wyznań, wypełniają tę samą przestrzeń kulturową, którą w Lake Charles zajmuje Kościół.

Giganci z Doliny Krzemowej, Google, Facebook i Twitter, a także wielu innych pracodawców w całym kraju, oferują usługi i udogodnienia w miejscu pracy, wiążąc w ten sposób pracowników z firmą. Google serwuje śniadania, obiady i kolacje, także w weekendy. Pracownicy mogą korzystać z sal do fitnessu, masażu, kapsuł do spania, opieki lekarskiej i usług speców od picowania samochodów. To wszystko razem tworzy bardzo atrakcyjne środowisko społeczne w sektorze prywatnym, po części bazujące na innej religii – pracy.

### *Kościół jako świat moralny*

Madonna Massey niedawno przeprowadziła się do Lake Charles ze stanu Missisipi, więc nie wie, co przeszli Arenowie nad Bayou d’Inde ani o sprawie sądowej, którą mają nadzieję wygrać. Słyszała za to o zapadlisku w Bayou Corne i kiedy o tym napomykam, ze zrozumieniem kiwa głową. W lokalnym wydaniu „American Press” czytała o „strukturalnych problemach” na estakadzie drogi międzystanowej I-10.

– To mnie przeraża – mówi. – Coś mi się w tym wiadukcie nie podoba.

Ale ani gazeta, ani Fox News nie poinformowały jej o wycieku dichlorku etylenu (EDC) zagrażającym fundamentom estakady.

– Jestem całym sercem za kapitalizmem i wolnym rynkiem – wyznaje, kiedy popijamy w kawiarni słodką herbatę. – Nienawidzę słowa „przepisy”. Nie chcę, by ktoś mi narzucał, jaki kształt ma mieć butelka coca-coli albo jakich mam używać żarówek. Amerykańskiego snu nie stworzył socjalizm ani EPA. Oczywiście, że chcę mieć czystą wodę, ale wierzę, że nasz system potrafi to zapewnić – dodaje.

Przemyka mi przez myśl, że tym właśnie zajmują się pracownicy instytucji państwowych. Jednak Madonna zdaje się uważać, że od ochrony własności prywatnej

jest policja, od pielęgnowania poczucia dumy Rush Limbaugh, a cała reszta spoczywa w rękach Boga.

– Obrońcy środowiska chcą zniszczyć amerykański sen, żeby ochronić zagrożony gatunek żaby – mówi. – Gdybym miała wybierać pomiędzy amerykańskim snem a żabą, powiedziałabym: „Hej, dajcie mi amerykański sen".

Inni moi rozmówcy przedstawiali mi ten sam scenariusz wyboru pomiędzy dwoma wykluczającymi się wzajemnie możliwościami, którego prawdziwość kwestionował Paul Templet.

Madonna urodziła się w zupełnie nieprzypominającym amerykańskiego snu miasteczku Lake Providence w stanie Missisipi, okrzykniętym przez czasopismo „Time" najbiedniejszym miastem Ameryki[193]. Osiągnęła życiowy sukces, o jakim nawet nie śniła. Pomaga swojemu mężowi budować megakościół. Jest utalentowaną pieśniarką gospel, ma dwoje dzieci, wydała kilka płyt ściąganych z iTunes niezliczoną ilość razy, mieszka w pięknym domu i jeździ białym mercedesem.

Kościół pomógł Madonnie, a także wielu innym członkom kongregacji, urzeczywistnić amerykański sen. Jednak Kościoły dzieliły się na bogate i biedne. Madonna cieszy się, że dziesięć–piętnaście procent jej kongregacji stanowią czarni, ale czarna jest połowa mieszkańców Lake Charles, więc to świadczy jeśli nie o nierówności, to w każdym razie o podziale. W Lake Charles praktycznie wszystkie białe Kościoły są bogatsze od czarnych. Gdyby zniknęło państwo i jego miejsce zajął Kościół, to czy w takim „ukościelnionym" świecie nie panowałaby ogromna nierówność? Madonna nie zaprząta sobie głowy takimi sprawami. Wierzy, że z boską pomocą każdy może się wybić, jeśli tylko pozwoli, by Bóg wlał w jego serce siłę i determinację.

Członkowie tej religijnej społeczności lubią spędzać wolny czas na świeżym powietrzu. Co wobec tego mają do powiedzenia na temat ochrony czystości powietrza? Na stronie internetowej Pierwszego Kościoła Zielonoświątkowców w Lake Charles pastor Jeffrey Ralston tak pisze o sobie: „Wychowałem się na wsi. Razem z bratem codziennie pokonywaliśmy wiele mil konno i łowiliśmy ryby". Pastor pomocniczy Jerod Grissom wylicza swoje hobby: „polowanie […] łowienie ryb, nie tylko w Luizjanie, i łapanie żab"[194]. Nie ma tam jednak ani słowa o stanie środowiska naturalnego, w którym żyją owe ryby, zwierzęta i żaby. Na stronach internetowych dziesięciu najważniejszych kościołów w Lake Charles nie znalazłam najmniejszej wzmianki na temat walki z zanieczyszczeniem środowiska[195].

Narodowe Stowarzyszenie Ewangelikanów w USA (The National Association of Evangelicals, organizacja zrzeszająca Kościoły ewangelikalne w USA) wypowiada się w imieniu trzydziestu milionów wiernych, czyli jednej czwartej amerykańskich wyborców, i jest najważniejszą organizacją religijnej prawicy, która zabiera głos w kwestiach politycznych[196]. Podobną rolę odgrywa Koalicja Chrześcijańska,

wspierająca trzydziestu sześciu senatorów i dwustu czterdziestu trzech członków Izby Reprezentantów; połowa z nich uzyskała dziesięcioprocentowy lub niższy wynik na karcie głosowań League of Conservation Voters[197].

W alarmującym programie *Is God Green?* (Czy Bóg jest zielony?), wyemitowanym w 2006 roku przez telewizję PBS, Bill Moyers próbował porozmawiać z czołowymi przywódcami Kościołów ewangelikalnych, w tym z wielebnymi Patem Robertsonem i Jerrym Falwellem oraz z działaczem religijnym Ralphem Reedem. Wszyscy oni odesłali go do swojego wspólnego rzecznika, doktora Calvina Beisnera z Acton Institute for the Study of Religion and Liberty w Grand Rapids w stanie Michigan. Z kolei Beisner zacytował Księgę Rodzaju (1:28): „I błogosławił im Bóg, i rzekł do nich Bóg: Rozradzajcie się i rozmnażajcie się, i napełniajcie ziemię, i czyńcie ją sobie poddaną; panujcie nad rybami morskimi i nad ptactwem niebios, i nad wszelkimi zwierzętami, które się poruszają po ziemi!”.

Doktor Beisner oświadczył także, że Biblia sankcjonuje górnictwo wierzchołkowe, czyli w domyśle działalność koncernów węglowych. „Nie da się wydobywać drogocennych metali, paliw kopalnych ani niczego innego za pomocą miotełki z piór – powiedział Moyersowi. – Pismo Święte mówi nam, jakie wspaniałe rzeczy możemy robić z metali. Opowiada o złocie, srebrze i tak dalej. Tym wszystkim zajmuje się górnictwo, a słowo «siła» jest po prostu naukowym terminem oznaczającym przyłożenie energii do obiektów fizycznych w celu spowodowania zmiany. […] Nie da się uniknąć stosowania siły, które jest zawarte w znaczeniu hebrajskiego czasownika «uczynić poddaną sobie», użytego w Księdze Rodzaju 1:28”. Jak informuje oficjalna strona internetowa, Acton Institute został założony, by „nauczać i propagować myślenie wolnorynkowe”, a wśród jego korporacyjnych sponsorów jest między innymi ExxonMobil[198].

Jednakże w łonie Kościoła ewangelikalnego podnoszą się nieliczne zielone głosy nawołujące do troski o środowisko – „troski o Stworzenie”[199]. W 2006 roku osiemdziesięciu sześciu przywódców religijnych podpisało oświadczenie *Climate Change: An Evangelical Call to Action* (Zmiany klimatyczne: Ewangelikalne wezwanie do działania). W Wirginii Zachodniej przeciwnicy odkrywkowego wydobywania węgla założyli koalicję pod nazwą Christians for the Mountains (Chrześcijanie dla Gór). W kraju toczy się debata na temat środowiska, w której zabierają głos przede wszystkim młodzi.

Jednakże w rozmowach z luizjańskimi ewangelikanami była ona zupełnie nieobecna. Duchowni przemawiający do wiernych z ambon Lake Charles kładli nacisk na siłę moralną jednostki pozwalającą z n o s i ć najgorsze warunki, a nie na wolę zmiany tych warunków. Liturgie budowały wspólną wspierającą przestrzeń, w której można było bezpiecznie przeżywać uczucia bezsilności, smutku i zagubienia. Podczas nabożeństwa, jak na godzinnej sesji terapeutycznej, jednostka czerpała

z okazywanego jej wsparcia siłę, by przetrwać przeciwności losu. Harold i Annette Arenowie znaleźli pocieszenie w Kościele. Inna zrozpaczona parafianka, matka chorego dziecka z bardzo zanieczyszczonego Mossville, wyznała:

– Nie wiem, jak bym przetrwała to wszystko bez mojego Kościoła.

Jeśli chodzi o walkę z zanieczyszczeniem środowiska, biedą, chorobami i innymi rzeczami, które trzeba było znosić, ludzie przeważnie uważali, że nie leży ona w gestii Kościoła.

Podobnie jak Arenowie i wielu innych moich rozmówców, Madonna wierzy we wniebowstąpienie żywcem.

– Biblia zapowiada, że ziemia będzie jęczeć, będą trzęsienia ziemi, tornada, ulewy, zamiecie śnieżne, wojny. A ziemia *już* jęczy – stwierdza.

Opierając się na Objawieniu świętego Jana i Księdze Daniela, Madonna mówi, że kiedy dopełni się tysiąc lat, grawitacja uwolni stopy wiernych i wstąpią oni do nieba, niewierni zaś pozostaną na ziemi, która stanie się „jak piekło" (Objawienie św. Jana 20, 4–15; Ks. Daniela 9, 23–27). Madonna wyjaśnia mi, że po wniebowstąpieniu żywcem świat przestanie istnieć do czasu, gdy Chrystus stworzy go na nowo, a wtedy na tysiąc lat zapanuje powszechny pokój.

Pytam ją, co powinniśmy zrobić z jęczącą ziemią.

– Chciałabym, żeby moich dziesięcioro wnucząt otrzymało w spadku wspaniałą planetę – odpowiada. – Tylko że wtedy Ziemi może już w ogóle nie być. Wyciek z platformy BP w Zatoce Meksykańskiej? – wyprzedza moje pytanie. – Nie wiem, niektórzy mówią, żebyśmy sobie odpuścili. Daję ci biblijne odpowiedzi, nie jestem wykształcona – dodaje. Madonna skończyła w Missisipi dwuletni Bible College. – Na twoim uniwersytecie uczą czego innego, ale moja wiara jest prawdziwa.

Ta wiara dała Madonnie obrazowy opis stworzenia świata w sześć dni. Określiła wiek Ziemi na sześć tysięcy lat. Nowe Jeruzalem, w kształcie sześcianu o boku tysiąca pięciuset mil, będzie podzielone na dwanaście pięter o wysokości stu dwudziestu mil każde, z bramami ze szlachetnych kamieni – największa z nich będzie z pereł.

Wielu ludzi w całym kraju wierzy w to samo co Madonna[200]. Według sondażu przeprowadzonego w 2010 roku przez Pew Research Center czterdzieści jeden procent Amerykanów wierzy, że drugie przyjście Jezusa „prawdopodobnie" lub „z całą pewnością" nastąpi do roku 2050[201]. Zamieszczane na facebookowych profilach obrazki wniebowstąpienia żywcem zdają się świadczyć, że przepaść między wiernymi, którzy dostąpią życia wiecznego, a niewiernymi, którzy pozostaną na ziemi, staje się coraz głębsza. Na jednej z takich ilustracji szczupły, dobrze ubrany dorosły unosi się do błękitnego nieba. Przyszło mi do głowy, że być może idea wniebowstąpienia żywcem przemawia do zrozumiałych wspólnych lęków związanych z sytuacją ekonomiczną na ziemi. Dla wielu wiernych dobrze płatna,

chroniona przez związki zawodowe praca umożliwiająca utrzymanie niepracującej żony jest wspomnieniem z przeszłości, przywilejem dziś dostępnym tylko bardzo nielicznym. W następstwie automatyzacji i przenoszenia produkcji do innych krajów płaca realna amerykańskiego mężczyzny z wykształceniem średnim spadła o czterdzieści procent w stosunku do roku 1970. Średnia płaca dziewięćdziesięciu procent amerykańskich pracowników utrzymuje się na tym samym poziomie od 1980 roku. Wielu starszych białych mężczyzn boryka się z uczuciem rozpaczy. Z powodu nadużywania alkoholu i narkotyków, a nawet samobójstw śmiertelność w tej grupie jest wyższa od średniej krajowej[202]. Chociaż w prawie wszystkich pozostałych grupach ludności oczekiwana długość życia stale rośnie, w grupie starszych białych mężczyzn bez dyplomu ukończenia szkoły średniej między 1990 a 2008 rokiem spadła o trzy lata – i jak się wydaje, rzeczywiście jest to spowodowane rozpaczą[203]. Ich doczesne życie stało się tak trudne, że naprawdę mogą mieć wrażenie, że zbliża się „koniec świata".

Ale słowa, które słyszą w swoich kościołach, odwracają ich uwagę od problemów społecznych Luizjany (biedy, niskiego poziomu edukacji, chorób spowodowanych zanieczyszczeniem środowiska), a także od pomocy państwa i od Wielkiego Paradoksu.

### *Media jako producent lęków*

Siedzimy w kawiarni i popijamy słodką herbatę. Madonna przesuwa palcem po ekranie smartfona, pokazując mi, czyje tweety są dla niej najważniejszym źródłem informacji. Obserwuje profile Narodowego Komitetu Republikanów (Republican National Committee), Jeba Busha, Michaela Reagana, Michelle Malkin, „National Review", „Drudge Report", Donalda Trumpa. Dalej idą motywujące cytaty z Fox News, Debbie Phelps (matki mistrza olimpijskiego w pływaniu Michaela Phelpsa) i różnych chrześcijańskich duchownych. W samochodzie Madonna słucha programu Rusha Limbaugha, którego nazywa swoim „walecznym sercem".

Fox News ma potężny wpływ na poglądy moich nowych znajomych. Stacja jest kolejnym filarem specyficznej kultury politycznej Luizjany, obok przemysłu, władz stanowych, Kościoła i mediów głównego nurtu. Madonna śledzi doniesienia Fox w radiu, telewizji i internecie. Mike Tritico powiedział mi, że w Longville, gdzie niewiele osób ma kablówkę, potrafi poznać, kto ogląda Fox News, po kącie nachylenia anteny na dachu domu.

– Prawie wszyscy – stwierdza.

Fox News informuje Madonnę i innych mieszkańców Luizjany o wydarzeniach w kraju i na świecie. Sugeruje, które sprawy są ważne. Mówi im, czego powinni się

bać, na co wściekać i czym niepokoić.

Niektórzy traktują Fox jak własną rodzinę. Pewna bardzo oczytana kobieta, która z zainteresowaniem śledzi bieżące wydarzenia, powiedziała mi, że przez cały dzień słucha wiadomości na tym kanale. Kiedy obróci kluczyk w stacyjce swojego SUV-a, włącza się Fox News. Siedząc przed komputerem w domu, kątem oka ogląda wiadomości na małym telewizorze, który stoi po prawej stronie monitora. O piątej po południu siada w miękkim fotelu obok męża i ogląda na dużym ekranie popołudniowy serwis informacyjny Fox News.

– Fox jest dla mnie jak rodzina – mówi. – Billy O’Reilly to spokojny ojciec, na którym można zawsze polegać. Sean Hannity to wybuchowy wujek, który zbyt łatwo wpada w gniew. Megyn Kelly to mądra siostra. I jeszcze Greta Van Susteren. I Juan Williams, który przeszedł z NPR, bo tamten kanał był dla niego za bardzo na lewo. Adoptowane dziecko. Są bardzo różni, jak to w rodzinie.

Stacja Fox przedstawia informacje i komentarze polityczne, ale często uderza także w alarmujący ton w sprawach (choroby, gwałtowne spadki na giełdzie), które nie mają bezpośredniego wpływu na politykę. Oczywiście wszystkie programy informacyjne uruchamiają nasze emocjonalne systemy alarmowe. Lecz mówiąc o „meczecie terrorystów” na Ground Zero, o „tajnym lewackim planie sprowadzania imigrantów” po to, by zniszczyć tradycyjną Amerykę, czy o rzekomym uwolnieniu przez Obamę przywódcy Państwa Islamskiego Abu Bakra al-Baghdadiego albo sugerując, że to prezydent stał za masakrą w Fort Hood, Fox News podsyca lęki, a konkretnie lęki białych z klasy średniej i robotniczej. Gdy doszło do serii zabójstw młodych czarnoskórych mężczyzn, dziennikarze Fox News bronili białych policjantów i krytykowali czarnych uczestników zamieszek. Popierają prawo do posiadania broni i zaostrzenie przepisów o rejestracji wyborców oraz nieustannie szydzą z rządu w Waszyngtonie. Moi rozmówcy słuchają różnych stacji radiowych – pewien mechanik samochodowy łapie w płatnym radiu satelitarnym Sirius XM rozgłośnię Uniwersytetu Brighama Younga[204] – ale wieczorem wszyscy oglądają Fox News i zwykle to ich zawartość trawią razem z kolacją.

Programy Billa O’Reilly’ego i innych komentatorów Fox są głównym źródłem informacji dla Mike’a Schaffa, który żyje na kartonowych pudłach w domu obok zapadliska. Ale Mike regularnie zagląda także na CNN, MSNBC i CBS, głównie po to, by sprawdzić, co liberalni publicyści w rodzaju Rachel Maddow mówią o białych konserwatystach z Południa.

– Wielu liberalnych komentatorów traktuje nas z pogardą. Zabraniają nam używać słowa na N [*nigger* – pejoratywne określenie osoby czarnoskórej]. I tak byśmy tego nie robili, bo to obraźliwe. Tylko dlaczego w takim razie sami używają słowa na R [*redneck* – lekceważące określenie mieszkańca Południa Stanów Zjednoczonych]?

A jednak żadna z osób, z którymi rozmawiałam osobiście, często wielokrotnie na przestrzeni pięciu lat, nie używała radykalnego języka stacji

Fox. George Russell mówił o „tyranii zielonej energii”[205]. Guru przedsiębiorców, Eric Bolling, nazwał pracowników EPA „terrorystami niszczącymi miejsca pracy”, którzy wyciskają życie z Ameryki. Komentator Fox News Business Network, Lou Dobbs, stwierdził w 2011 roku, że „pod obecnym kierownictwem EPA mogłaby być częścią sowieckiego aparatu przymusu”[206]. Ulubiony publicysta jednej z moich rozmówczyń, Charles Krauthammer, porównał podniesienie przez EPA standardów czystości powietrza do „wrogiego ataku” na nasz kraj[207]. Fox poświęcał sprawom środowiska nie mniej uwagi niż CNN czy CNBC, ale posługiwał się przy tym językiem konfrontacji[208]. Mimo to nie słyszałam z ust zwolenników Partii Herbacianej takich słów, jak „tyrania”, „aparat przymusu”, „terrorysta” czy „morderca”.

Każdy z nas intuicyjnie filtruje informacje. Oczytana zwolenniczka Partii Herbacianej oglądała głównie Fox News i czytała internetowe wydanie „Drudge Report”. Jednak zdarzało jej się sięgać także po liberalne media. Od czasu do czasu kupowała niedzielne wydanie „New York Timesa” ze względu na dział poświęcony sztuce. Jak sama powiedziała:

– Resztę gazety wyrzucam. Jest zbyt liberalna, nie da się jej czytać.

Była wiernym widzem Fox News, ale pracując jako stewardesa, w hotelach w obcym mieście przerzucała czasem kanały: BBC, CNN, MSNBC.

– CNN w ogóle nie jest obiektywny – narzeka. – Włączam, żeby obejrzeć wiadomości, a dostaję opinie.

– Jak odróżniasz zwykłe wiadomości od opinii? – pytam.

– Po *tonie głosu* – wyjaśnia. – Weźmy na przykład Christiane Amanpour. Klęczy obok chorego dziecka w Afryce albo obszarpanego Indusa, patrzy w kamerę, a jej głos mówi: „Coś jest *nie tak*. Musimy to *naprawić*”. Albo jeszcze gorzej: „To *nasza wina*”. Używa tego dziecka, by powiedzieć: „Ameryko, *zrób* coś”.

Moja rozmówczyni wyczuwała w tonie Christiane Amanpour ukryty zarzut pod własnym adresem. Dziennikarka próbowała narzucić jej liberalne zasady odczuwania, określające, komu trzeba współczuć. Jednak moja znajoma nie życzyła sobie, by ktoś jej mówił, że ma współczuć dziecku w Afryce albo czuć się odpowiedzialna za jego los. Sugerując widzom, co powinni czuć, Amanpour wykraczała poza rolę komentatorki. Reakcją mojej rozmówczyni była wzmożona czujność. „Nie – powiedziała sobie krótko – to jest poprawność polityczna. Liberałowie chcieliby, żebym tak się czuła. Nie podoba mi się to. Co więcej, nie chcę, by ktoś mi mówił, że jestem złym człowiekiem, bo nie współczuję choremu dziecku”. Społeczny obszar,

w którym funkcjonowała – przemysł, władze stanu, Kościół, media – uwalniał ją od interesowania się potrzebami afrykańskiego dziecka[209]i swoją własną obojętnością na nie. I znów, niejako przy okazji, poznawałam głęboką historię, badając to, co zostało z niej wypchnięte. Ale w ten sposób funkcjonują wszystkie głębokie historie, a każdy z nas ma własną.

### *Tajne wiadomości*

Lee Sherman, który zatruł Bayou d'Inde, zachorował i został wyrzucony z pracy za absencję, długo po tych wydarzeniach – mniej więcej w tym samym czasie, gdy podniósł tabliczkę z napisem „To ja…" w hali sportowej pełnej wściekłych rybaków – przyłączył się do grupki ekologów o nazwie RESTORE[210]. W 1994 roku wykryto wyciek z czterdziestoletniego rurociągu, który łączył zakłady Condea Vista z instalacjami portowymi Conoco. Powoli, ale za to przez wiele lat, dichlorek etylenu przesączał się do gleby. Robotnicy, którzy oczyszczali wyciek, nie mając odpowiedniej odzieży ochronnej, zaczęli chorować. Pięćset osób złożyło pozew do sądu; w 1997 roku wygrali sprawę i firma wypłaciła im skromne odszkodowanie.

I wtedy zaczęła się seria dziwnych wypadków.

– Spotykaliśmy się w kanciapie Miss Bobby i u nas w domu. Było nas ośmioro, między innymi Arenowie i Mike Tritico. Nauczyciel i jego żona dołączyli później. Z początku wydawało się, że mogą się przydać. A potem wydarzyło się parę drobiazgów. Któregoś dnia mieliśmy we dwóch kupić dla grupy kilka rzeczy. Nauczyciel przygotował listę i cały czas trzymał ją w ręku. Były na niej dwa GPS-y. Kiedy wróciliśmy, ludzie zapytali, po co nam one. Facet tak jakoś zamącił, że wyszło na to, iż kupiłem je za nasze wspólne pieniądze d l a  s i e b i e. Nic nie powiedziałem, ale to mi się nie spodobało – wspomina Lee. – Innym razem przyszedł wcześniej i spytał, czy może skorzystać z komputera Miss Bobby. Moja żona prowadziła w nim naszą księgowość.

Pani Sherman wyszła na chwilę z pokoju, a kiedy wróciła, zobaczyła, że facet pospiesznie zamyka oglądaną stronę. Później odkryła, że zainstalował oprogramowanie szpiegowskie, które kopiowało jej pocztę na jego komputer. Na kolejnym spotkaniu doszło do konfrontacji i grupa się rozpadła. Nikt nie rozumiał, o co chodziło temu facetowi ani dlaczego wszystko się popsuło.

Dziesięć lat później na światło dzienne wypłynęła sprawa tak zwanego „Projektu Lake Charles". Chcąc powstrzymać wichrzycieli i nie dopuścić do kolejnych pozwów sądowych, Condea Vista wynajęła ludzi do szpiegowania ekologów z RESTORE. Peter Markey, kierownik do spraw zarządzania łańcuchem dostaw Condea Vista, zeznał pod przysięgą, że firma zapłaciła ćwierć miliona dolarów wynajętym szpiegom

za przeniknięcie do szeregów RESTORE[211]. Byli to emerytowani agenci służb specjalnych pracujący dla firmy ochroniarskiej z Maryland[212].

Jeden z udziałowców firmy ochroniarskiej zauważył, że jej pracownicy palą akta. To wydało mu się podejrzane. Zabrał do domu dokumenty, których nie zdążyli jeszcze zniszczyć, i odkrył wśród nich teczkę „Projektu Lake Charles”.

Czym był „Projekt Lake Charles”?[213]

Zapytany w sądzie, na czym polegało zadanie tajnych agentów, Markey odparł:

– To była operacja inwigilacyjna…

Mecenas Perry R. Sanders: Kto miał być inwigilowany?

Markey: Grupy obrońców środowiska.

Mecenas Sanders: Co pan ma dokładnie na myśli, mówiąc, że były inwigilowane?

Markey: Ludzie chodzili na spotkania ekologów i tego rodzaju rzeczy.

Mecenas Sanders: Jacy ludzie chodzili na spotkania? Mówi pan o tajnych agentach?

Markey: Tak.

Mecenas Sanders: Kto o tym wiedział?

Markey: Prezes. I być może radca prawny.

Szpiedzy wykradli zeznania podatkowe, podsłuchiwali rozmowy telefoniczne i fotografowali dom matki Mike’a Tritico, u której zatrzymał się w Lake Charles.

Sprawa „Projektu Lake Charles” wypłynęła na światło dzienne w 2008 roku dzięki tekstowi dziennikarza śledczego Jamesa Ridgewaya opublikowanemu w lewicującym czasopiśmie „MotherJones”, o którym moi prawicowi przyjaciele z Luizjany nigdy nie słyszeli. Latem 2008 roku lokalna stacja telewizyjna KPLC, związana z kanałem ABC, wyemitowała cztery kilkuminutowe programy, z których pierwszy nosił tytuł *Condea Vista Hired Spies* (Condea Vista wynajęła szpiegów)[214]. Ale w archiwach najważniejszej gazety ukazującej się w Lake Charles, miejscowego wydania „American Press”, nie znalazłam żadnej wzmianki o tej sprawie. Nowoorleański „Times-Picayune” pisał w 2011 roku o pozwie złożonym przez Greenpeace, wspominając mimochodem o aferze, która wyszła na jaw trzy lata wcześniej[215]. Jednak kiedy w 2011 roku przeprowadzałam pierwsze rozmowy z mieszkańcami Lake Charles, nikt już nie pamiętał o skandalu szpiegowskim. Grupa ekologów bezpowrotnie się rozpadła, a Condea Vista nazywała się teraz Sasol.

Analizując kontekst społeczny, w którym funkcjonowali moi nowi prawicowi przyjaciele – przedsiębiorstwa, władze stanowe, Kościół, Fox News – przez cały czas zastanawiałam się nad kwestią, do której postanowiłam zawęzić pole widzenia. Każdy, z kim rozmawiałam, wiele wycierpiał z powodu zanieczyszczenia środowiska i choć koncerny, politycy i urzędnicy władz stanowych konsekwentnie pomijali ten problem milczeniem, niemal wszyscy zdawali sobie z niego sprawę. Dla niektórych

osób, takich jak Lee Sherman czy Harold i Annette, narażenie na działanie zanieczyszczeń było przełomowym doświadczeniem, które zdefiniowało całe ich dalsze życie. Inni traktowali je jako przelotną niedogodność. Wielu moich rozmówców, tak jak Madonna Massey, deklarowało miłość do kapitalizmu, ale dominująca w Luizjanie gałąź przemysłu odgrywała bardzo niejednoznaczną rolę. Wydobycie i przetwórstwo ropy naftowej było wysoko zautomatyzowane i zapewniało zaledwie piętnaście procent miejsc pracy, z których część i tak przejmują gorzej opłacani zagraniczni robotnicy. Administracja stanu drastycznie zredukowała zatrudnienie w sferze budżetowej i wydatki na pomoc społeczną, by ściągnąć do siebie koncerny naftowe, tymczasem zyski z nafty, zamiast spływać w dół, wyciekały poza granice stanu. W pewnym sensie południowo-zachodnia Luizjana stała się miejscem lokalnej produkcji bez lokalnych producentów. Ludzie, którzy ucierpieli wskutek tej sytuacji, byli ofiarami niedysponującymi odpowiednim językiem, by wyrazić swoje cierpienie.

Czułam, że niepostrzeżenie zbliżam się do rozwiązania Wielkiego Paradoksu. Raz po raz przeskakiwałam mur empatii i znów wracałam na swoją stronę, starając się skupiać uwagę na tym, jak postrzegają świat moi nowi przyjaciele. Zaczęłam od problemów (które były jedną stroną paradoksu). Wielu lokalnych mieszkańców nie chciało o nich ze mną rozmawiać. Czy nie widzę, jak piękna jest Luizjana? Czy byłam na Mardi Gras w Lake Charles? Dlaczego wybieram takie ponure tematy? Ale to nie ja wymyśliłam te problemy. One tam były – zanieczyszczenie środowiska, zła opieka medyczna, kiepskie szkoły, bieda.

Kiedy człowiek przyzna wreszcie, że problem istnieje, powinien wyrazić chęć znalezienia rozwiązania. Ale kto mógł rozwiązać problem zanieczyszczenia środowiska? Koncerny się do tego nie garnęły. Kościół nie miał pieniędzy na pomoc społeczną i nie uważał tego za swoją misję. O dziwo, wszyscy zgadzali się, że jeśli coś ma zostać zrobione, nie obędzie się bez udziału rządu federalnego. Ale kiedy rząd federalny próbował się włączyć, prawica podnosiła larum, że jest zbyt wielki, zbyt nieudolny i nie można mu ufać.

Możliwe, że znów wróciliśmy do strukturalnej amnezji: o co tyle hałasu? Dlaczego to taki wielki problem? Czy nie ma ważniejszych rzeczy – Państwa Islamskiego, imigrantów, nieuczciwych zasiłkobiorców? Kto im powiedział, że im się to wszystko należy – im, czyli ponad połowie Luizjańczyków, którzy, jak zauważył Mike Schaff, korzystają z dobroczynności państwa; „zabawowym panienkom”, jak wyraził się Lee Sherman; „biednym żuczkom”, których Bob Hardey widział w swoim mieście? To jasne, że niektórzy z nich oszukiwali państwo i że to było złe. Ale między złością na oszustów a niemal totalną nienawiścią do rządu w Waszyngtonie jest głęboka przepaść. Dlaczego ją przeskoczyli? Uznałam, że najlepszą drogą do znalezienia odpowiedzi będzie poznanie ich głębokiej historii.

# CZĘŚĆ TRZECIA

# GŁĘBOKA HISTORIA I LUDZIE W GŁĘBOKIEJ HISTORII

## 9
# Głęboka historia

Uświadomiłam sobie, że za wszystkim, czego dowiadywałam się o *bayou* i dzieciństwie w cieniu zakładów przemysłowych, a także za szerszym kontekstem, w którym funkcjonowali moi nowi znajomi (przemysł, władze stanu, Kościół, media głównego nurtu, Fox News), kryje się głęboka historia.

Głęboka historia, opowieść „c z u j ę  s i ę,  j a k b y ”, to historia opowiadana przez uczucia językiem symboli. Nie skupia się na faktach. Mówi nam, jak rzeczywistość jest odczuwana. Obu stronom politycznego podziału umożliwia zrobienie kroku do tyłu i poznanie  s u b i e k t y w n e g o  p r y z m a t u,  przez który druga strona patrzy na świat. Myślę, że bez tego nie zrozumiemy nawzajem swoich poglądów, prawicowych czy lewicowych[216]. Ponieważ każdy z nas ma swoją głęboką historię.

Oczywiście istnieje wiele rodzajów głębokiej historii. Zakochani opowiadają sobie o dzieciństwie; poznają indywidualną głęboką historię partnera, by zrozumieć, jak to jest być tą drugą osobą. Głowy państw i dyplomaci starają się zrozumieć głębokie historie innych narodów, by zwiększyć swoją skuteczność w kontaktach ze światowymi przywódcami. Zgłębiają międzynarodowe głębokie historie. Głęboka historia zwolenników Partii Herbacianej, którą zajmujemy się w tej książce, skupia się na relacjach między grupami społecznymi żyjącymi w naszym kraju. Skonstruowałam tę głęboką historię, by przedstawić – w formie metafory – nadzieję, lęk, dumę, wstyd, oburzenie i niepokój ludzi, z którymi rozmawiałam. Następnie przedstawiłam ją moim przyjaciołom z Partii Herbacianej, by sprawdzić, czy pasuje do ich doświadczeń. Okazało się, że tak.

Głęboka historia, tak jak sztuka teatralna, składa się z następujących po sobie scen.

### *Czekanie w kolejce*

Stoisz cierpliwie w długiej kolejce na szczyt wzgórza, jakbyś odbywał pielgrzymkę. Znajdujesz się mniej więcej w połowie drogi. Przed tobą i za tobą stoją ludzie podobni do ciebie: biali, starsi, chrześcijanie, przede wszystkim mężczyźni, po studiach lub nie[217].

Za grzbietem wzgórza jest amerykański sen, cel wszystkich czekających w kolejce. Wśród stojących za tobą jest wielu kolorowych – biednych, młodych i starych, którym w zasadzie życzysz jak najlepiej. Jednak sam już długo czekasz, masz za sobą wiele lat ciężkiej pracy, a kolejka ledwo się porusza. Zasłużyłeś na to, by trochę szybciej przesuwać się do przodu. Jesteś cierpliwy, lecz zmęczony. Skupiasz się na tym, co przed tobą, przede wszystkim na osobach, które są już na szczycie.

Amerykański sen jest marzeniem o postępie – zakłada, że będzie ci się żyło lepiej niż twoim rodzicom, tak jak im żyło się lepiej niż twoim dziadkom – i nie chodzi wyłącznie o pieniądze i dobra materialne. Znosiłeś wielogodzinny dzień pracy, przymusowe urlopy bezpłatne, narażenie na działanie substancji chemicznych w zakładzie pracy, a teraz pobierasz obniżoną emeryturę. Udowodniłeś swoją siłę moralną w ogniu bitwy. Amerykański sen o dobrobycie i bezpieczeństwie ma być nagrodą za twój trud i wytrwałość, czymś w rodzaju honorowego odznaczenia.

Spełnienie amerykańskiego snu znajduje się po drugiej stronie szczytu, ukryte przed twoim wzrokiem. Czy gospodarka znalazła się w jakimś dziwnym zastoju? Czy firma, w której pracuję, dobrze sobie radzi? Czy otrzymam w tym roku podwyżkę? Czy dobrych miejsc pracy starczy dla wszystkich? Czy tylko dla niektórych? Czy ta kolejka nigdy się nie ruszy? Cel cały czas pozostaje poza zasięgiem wzroku.

Słońce praży, a kolejka ani drgnie. Czy aby nie przesuwa się do tyłu? Od lat nie dostałeś podwyżki i teraz też się na to nie zanosi. Jeśli nie masz wykształcenia średniego albo licencjatu, właściwie zarabiasz mniej niż dwadzieścia lat temu. Tak samo twoi koledzy. Wielu z nich już nawet nie szuka lepszej pracy, ponieważ uważają, że dla takich jak oni nie ma dobrych ofert.

Złe wieści przyjmowałeś z podniesionym czołem, bo jesteś człowiekiem myślącym pozytywnie. Nie lubisz narzekać. Dziękujesz Bogu za to, co masz. Żałujesz, że nie możesz więcej dać swojej rodzinie i Kościołowi, bo to do nich należy twoje serce. Chciałbyś, by darzyli cię wdzięcznością za twoją hojność. Ale kolejka nie przesuwa się do przodu. Po wszystkich trudach i poświęceniach zaczynasz czuć, że utknąłeś w miejscu.

Myślisz o tym, z czego jesteś dumny – na przykład o swojej chrześcijańskiej moralności. Zawsze broniłeś przyzwoitego, monogamicznego, heteroseksualnego małżeństwa. Nie było to łatwe. Sam jesteś w separacji, a może nawet w trakcie rozwodu. Liberałowie uważają twoje poglądy za przestarzałe, seksistowskie, homofobiczne, ale nie jest do końca jasne, jakie wartości o n i wyznają. Dziś panuje klimat świeckiej tolerancji, lecz ty pamiętasz lepsze czasy, gdy jako dziecko w szkole publicznej zaczynałeś dzień od modlitwy i przysięgi na wierność sztandarowi – zanim wykreślono z niej słowa „[jeden naród,] a nad nim Bóg”.

*Tacy, co wpychają się do kolejki*

Patrz! Jacyś ludzie *wpychają się przed tobą* do kolejki! Przestrzegasz zasad, a oni nie. Kiedy oni wpychają się przed ciebie, masz wrażenie, że się cofasz. Jak oni mogą? Co to za ludzie? Jest wśród nich wielu czarnych. Dzięki akcji afirmacyjnej należy im się pierwszeństwo przy przyjmowaniu na studia, rozdawaniu staży, posad, zasiłków opieki społecznej i darmowych obiadów. Jak się niedługo przekonamy, zajmują w umysłach ludzi pewne sekretne miejsce. Kobiety, imigranci, uchodźcy, pracownicy sektora publicznego – czy to się nigdy nie skończy? Pieniądze wyciekają przez sito liberalnego współczucia, którego nie kontrolujesz i z którym się nie zgadzasz. Sam chętnie skorzystałbyś w swoim czasie z takich możliwości – więc albo ty też powinieneś je mieć, kiedy byłeś młody, albo oni nie powinni korzystać z nich teraz. To niesprawiedliwe.

Albo prezydent Obama: jakim cudem zaszedł tak wysoko? Mieszany rasowo syn niezamożnej, samotnej matki zostaje prezydentem najpotężniejszego państwa na świecie; nigdy byś się tego nie spodziewał. Skoro on nim został, to ty, rzekomo uprzywilejowany, wyszedłeś chyba na ostatniego niedojdę. Tylko czy Obama zrobił karierę *uczciwie*? Jak udało mu się dostać na tak drogą uczelnię, jak Uniwersytet *Columbia*? Skąd Michelle Obama wzięła pieniądze na studia w *Princeton*? A potem jeszcze na prawo na *Harvardzie*, skoro jej ojciec pracował w miejskim przedsiębiorstwie kanalizacyjnym? Nigdy w życiu czegoś takiego nie widziałeś. Musieli dostać pieniądze od rządu federalnego. Michelle *powinna* czuć się za to wszystko wdzięczna, ale czasem wydaje się, że jest wściekła. Nie ma prawa być wściekła.

Kobiety: kolejna grupa, która, jeśli jesteś mężczyzną, wpycha się przed ciebie do kolejki. Twój ojciec nie musiał konkurować z kobietami o nieliczne posady biurowe. Wciskają się przed ciebie także przepłacani pracownicy urzędów państwowych, w większości kobiety i przedstawiciele mniejszości rasowych. Wydaje ci się, że mają krótsze godziny pracy, pewność zatrudnienia i wygórowane pensje, a potem emeryturę wyższą od twojej. Ta młoda urzędniczka w dziale uregulowań ma wygodne godziny pracy, perspektywę sutej emerytury, stały etat i pewnie teraz gapi się w ekran, robiąc zakupy w internecie. Dlaczego jej przysługują przywileje, o których ty nie masz nawet co marzyć?

Imigranci: przed tobą stoją także Filipińczycy, Meksykanie, Arabowie, Hindusi i Chińczycy na wizach specjalnych albo zielonych kartach. Może wśliznęli się do kolejki. Widziałeś, że mężczyźni o meksykańskim wyglądzie budują baraki dla filipińskich monterów rurociągów Sasola. Zauważyłeś, że Meksykanie ciężko pracują, i podziwiasz ich za to, ale zgadzają się na niższe stawki, a to obniża płace

Amerykanów.

Uchodźcy: cztery miliony Syryjczyków ucieka przed wojną i chaosem, codziennie tysiące ludzi przypływa łodziami do wybrzeży Grecji. Prezydent Obama przyjął dziesięć tysięcy syryjskich uchodźców, z których dwie trzecie to kobiety i dzieci. Ale ludzie mówią, że dziewięćdziesiąt procent uchodźców to młodzi mężczyźni, może nawet terroryści Państwa Islamskiego, którzy tylko czekają, by wepchnąć się do kolejki i wyciągnąć rękę po pieniądze z twoich podatków. A ty? Przetrwałeś powodzie, wycieki ropy i chemikaliów. Są takie dni, kiedy sam czujesz się jak uchodźca.

Pelikan brunatny: nie do wiary, w kolejce przed tobą stoi ptak, pelikan brunatny, trzepoczący długimi, unurzanymi w ropie skrzydłami. Symbol Luizjany, przedstawiony na fladze stanu, buduje gniazda w lasach mangrowych na wąskich piaszczystych plażach. W pewnym momencie z powodu zanieczyszczenia środowiska znalazł się na skraju wymarcia, ale w 2009 roku – rok przed wyciekiem z platformy wiertniczej BP – wykreślono go z listy gatunków zagrożonych. Żeby przetrwać, potrzebuje zdrowych ryb do jedzenia, czystej wody do nurkowania, nieskażonych ropą zalewisk i powstrzymania erozji wybrzeża. Dlatego jest w kolejce przed tobą. Ale to tylko ptak, a przecież ty jesteś istotą ludzką.

Czarni, kobiety, imigranci, uchodźcy, pelikany brunatne wcisnęli się przed ciebie do kolejki. Lecz ten kraj swoją wielkość zawdzięcza takim jak *ty*. Jest ci przykro. Trzeba to głośno powiedzieć: wkurzają cię ludzie, którzy wpychają się do kolejki. Postępują niezgodnie z zasadami. Jesteś na nich zły i uważasz, że masz do tego prawo. Podobnie myślą twoi przyjaciele. Komentarze publicystów stacji Fox odzwierciedlają twoje uczucia. Twoja głęboka historia jest równocześnie głęboką historią Fox News.

Jesteś człowiekiem współczującym. Tylko że teraz każą ci jeszcze współczuć wszystkim tym, którzy wepchnęli się przed ciebie do kolejki. To budzi twoją czujność. Ludzie narzekają na rasizm, dyskryminację, seksizm. Słyszałeś wiele opowieści o dyskryminowanych czarnych, ciemiężonych kobietach, wycieńczonych imigrantach, gejach, którzy boją się ujawnić, zrozpaczonych uchodźcach, ale uważasz, że w pewnym momencie trzeba powiedzieć dość, zwłaszcza jeśli wśród oczekujących współczucia są jednostki, które działają na twoją szkodę. Sam wiele wycierpiałeś, ale się nie skarżysz.

## *Zdrada*

A potem robisz się podejrzliwy. Skoro ludzie wciskają się do kolejki, widocznie ktoś im w tym *pomaga*. Kto? Kolejka ma swojego kierownika, który pilnuje, by

wszystko odbywało się w należytym porządku i by dostęp do amerykańskiego snu był sprawiedliwy. Ten kierownik nazywa się „pan prezydent Barack Hussein Obama”. Ale chwila, widzisz, jak *przywołuje* gestem dłoni ludzi, którzy wpychają się do kolejki. Pomaga im. Ma dla nich więcej współczucia niż dla ciebie. Jest po *ich* stronie. Mówi ci, że ci ludzie *zasługują* na specjalne traktowanie, że było im trudniej niż tobie. Nie mieszkasz po sąsiedzku z wciskającymi się do kolejki i w większości tych grup nie masz bliskich przyjaciół, ale z tego, co widzisz i słyszysz w Fox News, prawda wygląda inaczej niż w opowieści Obamy, który wygłasza peany na cześć czarnych, kobiet i imigrantów[218]. Kierownik chce, żebyś solidaryzował się z ludźmi, którzy wepchnęli się przed ciebie, ale ty nie masz na to ochoty. To nie w porządku. Właściwie prezydent i jego żona też kiedyś wcisnęli się do kolejki.

Czujesz się zdradzony. Prezydent jest *ich* prezydentem, nie *twoim*. Zaczynasz być czujny. Nadstawiasz ucha, by wyłapywać kłamstwa. Prezydent i urzędnicy Białego Domu mają zwyczaj noszenia w klapie marynarki znaczka z amerykańską flagą. Widziałeś, jaki *malutki* znaczek wpiął dzisiaj? To może oznaczać, że wcale nie jest dumny z Ameryki. W takim razie niezmierna duma, którą napawa cię fakt, że jesteś Amerykaninem, nie może się wyrazić przez niego. Czerpanie dumy z bycia Amerykaninem odgrywa dziś dla ciebie ważniejszą rolę niż kiedykolwiek dotąd, ponieważ kolejka do amerykańskiego snu ledwo się posuwa, a wierzący w Pismo Święte chrześcijańscy biali mężczyźni nie cieszą się dzisiaj takim szacunkiem, jak dawniej.

Historia Obamy wydaje ci się „mętna”. Nie jesteś paranoikiem, ale wygląda na to, że albo rząd federalny zafundował mu studia, albo, co byłoby jeszcze gorsze, ktoś pociągnął za jakieś ukryte sznurki. Przyjaciółka pyta cię, czy zauważyłeś, że Obama nie nosił zegarka w czasie Ramadanu. (Nawiązuje do muzułmańskiego zwyczaju zdejmowania biżuterii w czasie miesiąca postu). „Wychowano go na Koranie” – mówi sąsiad.

Może nie masz jeszcze największego domu, ale na pewno możesz być dumny z tego, że jesteś Amerykaninem. I każdy, kto krytykuje Amerykę – krytykuje ciebie. Skoro prezydent przestał być wyrazicielem twojej dumy ze Stanów Zjednoczonych, musisz wyrazić ją w inny sposób – przez zrzeszenie się z ludźmi, którzy tak jak ty, czują się obcy we własnym kraju.

### *Antrakt*

Głęboka historia moich nowych luizjańskich znajomych – starszych białych chrześcijan o prawicowych poglądach – była reakcją na rzeczywisty impas, w którym się znaleźli. Narodowym ideałem, nadzieją i obietnicą czekającą na nich na szczycie

wzgórza był amerykański sen – innymi słowy postęp, czyli p o l e p s z e n i e b y t u. Tylko że dziś polepszenie bytu stało się bardzo t r u d n e.

Jako ideał amerykański sen wskazuje, jak należy się czuć. Masz się czuć pełen nadziei i energii, skupiony i zmotywowany. Postęp – fundament amerykańskiego snu – nie licuje z poczuciem dezorientacji czy żalu. Jednak amerykański sen nie podpowiadał, jak powinieneś się czuć, jeśli niektóre cele osiągnąłeś, a innych nie. Taki stan budził bardziej powściągliwą chęć ochronienia tego, co już się ma.

Polepszanie swojego bytu też stało się trudniejsze, bardziej niepewne i zarezerwowane dla nielicznej elity. Kryzys finansowy 2008 roku, wskutek którego wiele osób straciło domy, oszczędności i pracę, dobiegł końca, lecz ludzie jeszcze nie otrząsnęli się z szoku. Dla dziewięćdziesięciu procent Amerykanów maszyna produkująca amerykański sen – niewidoczna za szczytem wzgórza – zatrzymała się w następstwie automatyzacji, przenoszenia produkcji za granicę i coraz bardziej nierównego rozkładu sił między ponadnarodowymi korporacjami i ich pracownikami. Równocześnie zaostrzyła się rywalizacja pomiędzy białymi mężczyznami i pozostałymi grupami ludności – o miejsca pracy, szacunek i rządowe pieniądze. Dla dziewięćdziesięciu procent naszego społeczeństwa amerykański sen przestał działać w 1950 roku. Jeśli urodziłeś się przed 1950 rokiem, twoje dochody, statystycznie rzecz biorąc, rosły wraz z wiekiem. Ale jeśli urodziłeś się po 1950 roku, już nie. W istocie, jak przekonuje ekonomista Phillip Longman, urodzeni po 1950 roku należą do pierwszego pokolenia w dziejach Ameryki, które przesunęło się na drabinie społecznej w dół, to znaczy – „na każdym etapie dorosłego życia zarabiali i posiadali mniej niż ich rówieśnicy dziesięć lat wcześniej”[219]. Niektórych to tak zniechęciło, że przestali szukać pracy; od lat 60. XX wieku odsetek mężczyzn między dwudziestym piątym a pięćdziesiątym czwartym rokiem życia pozostających poza rynkiem pracy wzrósł trzykrotnie[220].

Dla wielu zwolenników prawicy zastopowanie amerykańskiego snu przyszło w szczególnie niedogodnym momencie – po pięćdziesiątce, sześćdziesiątce albo siedemdziesiątce. Na tym etapie ludzie zwykle układają listę rzeczy, które chcą jeszcze przeżyć przed śmiercią, robią życiowy bilans i rozstają się z niektórymi młodzieńczymi marzeniami. Człowiek w tym wieku mówi sobie: „A więc to jest moje życie”. Pewien mężczyzna zwierzył mi się: „Myślałem, że pewnego dnia spotkam dziewczynę swoich marzeń. Tak się nie stało i chyba już się nie stanie”. Inny chciał założyć własną firmę turystyczną organizującą wycieczki po bagnach, lecz projekt nie wypalił. Kolejny planował objechać całe Południe, by oglądać występy rodeo, ale zachorował. Kogo masz obarczyć winą za te rozczarowania? Siebie, oczywiście[221]. Jednak to powoduje, że jeszcze bardziej koncentrujesz się na swoim miejscu w kolejce.

Starość oznaczała również dyskryminację z powodu wieku. Amerykański sen

najwcześniej rozwiał się dla starszych mężczyzn, dzisiejszych sześćdziesięciokilkulatków, dlatego że nie mają wymaganych dziś umiejętności albo ponieważ pracodawcy przestali podnosić wynagrodzenie proporcjonalnie do stażu pracy. Ale gdzie są ośrodki podnoszenia kwalifikacji zawodowych, finansowane z funduszy federalnych? I kto wyjaśni, czemu tak trudno jest znaleźć dobrą robotę?

W Lake Charles poznałam sześćdziesięciotrzylatka, którego będę nazywała Billem Beatifo. Miał bujną siwą czupryne i anielski uśmiech. Kiedy opowiedział mi swoją historię, poczułam głęboki podziw dla jego woli walki.

Jego życiową pasją był marketing.

– Zjadłem zęby na akwizycji przez telefon – powiedział. – Sprzedawałem samochody ciężarowe w firmie Ryder, odkurzacze Kirby, domki kempingowe, krótkoterminowe ubezpieczenia zdrowotne, co tylko pani chce. Przez szesnaście lat osiągałem sukcesy jako sprzedawca i kierownik sprzedaży.

Wszystko zmieniło się w 1992 roku.

– Kazano mi zwolnić kilku ludzi. Potem wzięli się za mnie. Zarabiałem sześćdziesiąt tysięcy dolarów rocznie. Oznajmili, że są zmuszeni obniżyć mi uposażenie do czterdziestu tysięcy rocznie i że te dwadzieścia będę mógł sobie dorobić na prowizjach. Ale faktycznie obcięli mi pensję. Więc odszedłem. Pozbywali się starszych pracowników, bo więcej zarabialiśmy. Czułem się zdradzony, zwłaszcza przez kolegę, który wiedział, co się święci, lecz mnie nie ostrzegł.

Zaczął szukać innej pracy.

– Dzwoniłem… Wysyłałem e-maile… Dzwoniłem… Wysyłałem e-maile… Czekałem na odpowiedź… Ale zwykle się nie odzywali. Wiedzą z CV, ile masz lat.

Im dłużej Bill pozostawał poza zawodem, tym trudniej było mu cokolwiek znaleźć. W końcu poszedł na bezrobocie.

– Siedziałem na bezrobociu dziewięćdziesiąt dziewięć tygodni. – Tyle wynosi maksymalny okres pobierania zasiłku. – To było prawie za długo; przecież nie codziennie zajmujesz się szukaniem pracy.

Chciał się zatrudnić do wykładania towaru w sklepie spożywczym w pełnym wymiarze godzin, ale zdał sobie sprawę, że w jego wieku osiem godzin na nogach to za dużo.

Zatrudnił się na część etatu jako księgowy w pobliskim warsztacie samochodowym. Płacono mu dziesięć dolarów za godzinę – dokładnie tyle, ile czterdzieści lat wcześniej zarabiał jako student dorabiający w wakacje w chronionej przez związki zawodowe fabryce. Starał się o posadę ochroniarza na strzeżonym osiedlu, ale jej nie dostał. Zaczął się bardziej angażować w działalność, którą długo traktował jako uboczną – sprzedawał magnetyczne wkładki do butów, które „leczyły wszelkie rodzaje bólu”, choć nie miały atestu Agencji Żywności i Leków (Food and Drug Administration, FDA). Nabył akcje firmy, która „szykuje się do rozpoczęcia

produkcji” pewnego urządzenia medycznego. Chciał, kiedy wreszcie sprzęt zejdzie z taśmy, sprzedawać go szpitalom. Rozprowadzał wśród przyjaciół i znajomych kawę Organo Gold („produkt organiczny” bez atestu), chociaż jego córka uważała, że to przekręt (żeby ją sprzedawać, musiałeś ją najpierw kupić). Bill nie lubił się poddawać. Nie bał się wysiłku.

– Jestem kapitalistą – oświadczył. – Kiedy to urządzenie trafi wreszcie na rynek, będziemy z żoną milionerami.

Słowo „milioner” unosiło się jak duch nad moją rozmową z Billem i z innymi mężczyznami[222].

Automatyzacja produkcji, outsourcing i rosnąca potęga międzynarodowych korporacji powodują, że mężczyźni tacy jak Bill są spychani na margines. Równocześnie muszą dziś rywalizować o kurczące się zasoby szacunku z innymi grupami. Jak zobaczymy dalej, lata 60. i 70. otworzyły zamknięte wcześniej drzwi do społecznego prestiżu czarnym i kobietom. W tym samym czasie do Stanów Zjednoczonych napływali witani przez Statuę Wolności imigranci i uchodźcy, zaostrzając rywalizację o coraz bardziej nieliczne dobre miejsca pracy.

Do tego wszystkiego aktywnie przyczyniał się rząd federalny. W latach 90., kiedy to Bill Clinton oświadczył, że „musimy skończyć z pomocą społeczną w dotychczasowym kształcie”, ograniczono zasiłki dla najuboższych. Jednak po kryzysie finansowym 2008 roku nakłady na pomoc społeczną – głównie poprzez Medicaid i program dożywiania SNAP – znów wzrosły, chociaż najwyższy poziom mają już za sobą i teraz znowu maleją. (Zob. Aneks C). Przy obecnych trendach gospodarczych i szerszym dostępie do społecznego prestiżu informacje o „rozdawnictwie rządu federalnego” powodują zapalenie się czerwonej lampki. Tak wyglądała sytuacja.

Oczywiście nie wszyscy biali mężczyźni z klasy robotniczej i średniej, którzy znaleźli się w impasie, przesunęli się na prawo. Jednakże wielu z nich, zwłaszcza tych bardziej operatywnych, lepiej radzących sobie w zaistniałych okolicznościach, oraz członków kościołów ewangelikalnych w rejonach rolniczych i enklawach Południa, którzy przez długie lata wykazywali się niezwykłą odpornością emocjonalną (a także podobne do nich lub związane z nimi kobiety), zaczęło popierać skrajną prawicę.

## *Obelgi*

„Świrnięte wsiochy”. „Biała biedota”. „Nawiedzeni kaznodzieje”. Zaczyna do ciebie docierać, że to o t o b i e. Słyszysz te określenia w radiu, w telewizji, czytasz je na blogach. Burzy się w tobie krew. Czujesz się znieważony. Wściekły. I z całego serca nienawidzisz niekończącej się parady pokrzywdzonych, rozbestwionych kulturą lat

60., która, jak się wydaje, na dobre zadomowiła się w naszym kraju.

Na domiar złego hollywoodzkie filmy i popularne seriale telewizyjne ignorują istnienie ludzi podobnych do ciebie lub – jak horror *Buck Wild* – ukazują ich w krzywym zwierciadle.

– Bez dwóch przednich zębów i w jakichś strasznych łachach, tak nas malują – poskarżył się jeden z moich rozmówców.

Jak zauważyła dziennikarka Barbara Ehrenreich, stereotypowy wizerunek mieszkańca Południa z początku XX wieku – przebrany za Murzyna minstrel z uczernioną korkiem twarzą, wiejski prostaczek – dziś, unowocześniony i wybielony, nadal żyje w takich programach telewizyjnych, jak serial *Duck Dynasty* czy reality show *Here Comes Honey Boo Boo*. „Białych z klasy robotniczej przedstawia się dziś jako idiotów, podczas gdy czarni bohaterowie często są niezwykle elokwentni, cwani i… bogaci”[223].

Jesteś obcy w swoim własnym kraju. Nie rozpoznajesz siebie w tym, jak widzą cię inni. Toczysz trudną walkę o uznanie i szacunek. Chcesz się piąć i chcesz, żeby ludzie to widzieli – to dla ciebie kwestia honoru. Ale z jakichś tajemniczych powodów, nie ze swojej winy, się zsuwasz.

Chciałbyś, by darzono cię szacunkiem za twoją pracę – ale zarobki stoją w miejscu, a etat jest niepewny. Szukasz więc innych podstaw do szacunku. Nie możesz liczyć na dodatkowe punkty ze względu na rasę. Płeć? Bycie mężczyzną też nie działa na twoją korzyść. Jeśli nie jesteś gejem, czujesz się dumny z roli żonatego, heteroseksualnego mężczyzny, ale taka duma trąci dziś homofobią, a to już powód do wstydu. Patriotyzm lokalny? Też nie. Często traktują cię lekceważąco z powodu miejsca, które nazywasz swoim domem. Co się tyczy Kościoła, wielu ludzi patrzy dziś na religię z góry, a odsetek Amerykanów, którzy nie identyfikują się z żadnym wyznaniem, wzrósł. Jesteś stary, tymczasem w Ameryce najwięcej uwagi poświęca się młodym. Ludzie tacy jak ty – biali chrześcijanie z klasy średniej i robotniczej – czują, że ich pozycja słabnie, także pod względem demograficznym, ponieważ ta właśnie grupa zmniejszyła się liczebnie.

Masz ochotę zawołać: „Ja t e ż należę do mniejszości!”. Lecz przecież krytykowałeś innych, kiedy na tej podstawie domagali się współczucia. Jesteś rozdarty pomiędzy dojmującą potrzebą szacunku za to, kim jesteś i czego dokonałeś w swoim życiu, a strachem przed przyłączeniem się do parady „biednych żuczków”. Pragniesz zbuntować się przeciwko siłom, które spychają cię w dół. Istnieje ruch polityczny stworzony przez takich jak ty – ludzi, którzy dzielą z tobą głęboką historię. Ten ruch nazywa się Partia Herbaciana.

*Co na to moi przyjaciele?*

Wracam do moich nowych luizjańskich przyjaciół i znajomych, by sprawdzić, czy ta głęboka historia zabrzmi w ich uszach znajomo. Przedstawiam ją Mike'owi Schaffowi. Odpisuje mi w e-mailu: „To m o j e ż y c i e. Płacimy setki milionów dolarów z naszych ciężko zarobionych podatków biurokratom z Departamentu Jakości Środowiska i EPA, żeby robili, co do nich należy, lecz oni się z tego nie wywiązują. A potem te obiboki wciskają się w kolejkę do emerytury przed robotnikami, którzy łożą na ich pensje. Kiedy podatnik wreszcie doczeka emerytury, okazuje się, że waszyngtońskie urzędasy zdążyły opróżnić kasę. A cała reszta czeka w kolejce".

Opowiadam głęboką historię innym. Lee Sherman mówi: „Czytasz mi w myślach". Janice Areno: „Dobrze to ujęłaś, ale zapomniałaś dodać, że stojący w kolejce p ł a c ą p o d a t k i i że te podatki i d ą d o osób, które się przed nich wpychają!". Inna kobieta skomentowała: „Nie dokończyłaś. Po pewnym czasie ludzie, którzy utknęli w kolejce, mają dosyć i organizują w ł a s n ą kolejkę". Ktoś powiedział: „To prawda, ale amerykański sen to nie tylko pieniądze. To także duma z tego, że jest się Amerykaninem, i mówienie «jeden naród, a nad nim Bóg» w przysiędze na wierność sztandarowi w poczuciu, że to jest w p o r z ą d k u, i życie w społeczeństwie, które wierzy w zdrową, normalną rodzinę. Jak to dodasz, rzeczywiście będzie to moja historia". Socjolog Nils Kumkar, który rozmawiał z sympatykami Partii Herbacianej w Nowym Jorku, Jersey City, Newark i innych miejscowościach stanu, także zanotował spontaniczną wypowiedź na temat niezadowolenia, że inni wpychają się do kolejki[224]. Socjolożki Theda Skocpol i Vanessa Williamson, które przeprowadziły wywiady ze zwolennikami Partii Herbacianej w stanach Massachusetts, Wirginia i Arizona i w 2011 roku przeanalizowały blisko tysiąc stron internetowych tego ruchu, opisały postawy wobec czarnych, imigrantów, urzędników państwowych i innych grup analogiczne do tych, z jakimi zetknęłam się w Luizjanie[225].

Wiele osób mówiło o zmęczeniu współczuciem.

– Liberałowie chcą, żebyśmy współczuli czarnym, kobietom, biednym i oczywiście do pewnego momentu im współczujemy – powiedział sympatyczny właściciel restauracji. – Słyszałem wiele historii, które głęboko mnie zasmuciły. Ale czasem nie wiem, czy ktoś mnie nie wkręca. Przychodzą do mnie ludzie i pytają o pracę. Zatrudniam ich, a oni się więcej nie pokazują. Czyżby chodziło im tylko o papierek, że szukają pracy, aby mogli dalej pobierać zasiłek? Kiedyś jakaś kobieta podeszła do mnie w knajpie z fast foodem. Powiedziała, że ma dwójkę dzieci i że potrzebuje pieniędzy na hotel, bo jest bezdomna. Zapytałem ją, gdzie są teraz jej dzieciaki. Powiedziała, że u jej mamy. „To dlaczego nie mieszkasz z mamą?" – rzuciłem. Facet z Czerwonego Krzyża prosił mnie o jedzenie na niedzielny obiad dla bezdomnych. Dałem mu, bo chodziło o jedzenie. Ale nie mam ochoty iść tam

i sprawdzić. Może wcale nie próbują stanąć na własnych nogach. Nie chciałbym zniechęcić się do dawania jedzenia. Lubię dawać. – Jednak wolałby, żeby ci, którym pomaga, sami starali się poprawić swój los, a obawiał się, że liberałowie zapomnieli o takim wymogu.

## *Głęboka historia: rasa*

Głęboka historia prawicy, opowieść „c z u j ę s i ę, j a k b y ”, ma pokrycie w rzeczywistym strukturalnym impasie. Ludzie pragną zrealizować amerykański sen, ale z powodu splotu różnych okoliczności czują, że coś ich hamuje. To prowadzi do frustracji i gniewu oraz poczucia, że rząd federalny ich zdradził. Istotnym elementem tej historii jest rasa.

Co ciekawe, moi prawicowi rozmówcy swobodnie wypowiadali się na temat Meksykanów (w 2011 roku Latynosi stanowili cztery procent ludności Luizjany) i muzułmanów (jeden procent ludności Luizjany), ale unikali mówienia o czarnych, którzy są największą mniejszością w stanie (dwadzieścia sześć procent mieszkańców)[226]. Kiedy pojawiał się ten temat, wiele osób stwierdzało, że czują się oskarżani przez „Północ” o rasizm, chociaż według ich własnej definicji absolutnie nie są rasistami. Uważali, że rasista to ktoś, kto używa „słowa na N” albo nienawidzi czarnych. Mike Schaff z pewnością nie jest takim człowiekiem. Urodził się na plantacji trzciny cukrowej, gdzie jego dziadek był nadzorcą, i sam o sobie mówi, że był „bezmyślnym rasistą”.

– Używałem „słowa na N” i czarne dzieciaki, z którymi się bawiłem, też nim rzucały. Ale przestałem w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym dziewiątym roku. Pamiętam, jak w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym roku wrzeszczałem z trybuny uczelnianego stadionu: „Dawaj! *Nigger*! Dawaj!” A rok później krzyczałem już: „Dawaj! Joe! Dawaj!”. Od tamtego czasu nie wymówiłem tego słowa. Mam nadzieję, że przyjdzie taki dzień, kiedy kolor skóry przestanie mieć jakiekolwiek znaczenie. Myślę, że jesteśmy w połowie drogi.

Jednak w rozumieniu, w jakim ja i inni używamy tego terminu, rasizm wiąże się z przekonaniem o istnieniu naturalnej hierarchii, w której czarni zajmują najniższą pozycję, a także z tendencją do opierania poczucia własnej wartości na tym, że samemu stoi się wyżej. Zgodnie z tą definicją wielu Amerykanów, na Północy i na Południu, jest rasistami. Rasizm przejawia się nie tylko w indywidualnych postawach, ale także w rozwiązaniach strukturalnych – na przykład, kiedy zanieczyszczający środowisko przemysł lokalizuje swoje zakłady bliżej czarnych dzielnic niż białych.

Osoby czarnoskóre pojawiały się w życiu moich luizjańskich znajomych – starszych białych zwolenników prawicy – nie jako sąsiedzi czy koledzy z pracy, lecz

za pośrednictwem telewizji i gazet przedstawiających ich na kilka całkowicie rozbieżnych sposobów. Pierwszą grupę stanowiły megagwiazdy muzyki, filmu i sportu – Beyoncé, Jamie Foxx, Michael Jordan, Serena Williams. Moi nowi przyjaciele wiedzieli, że legenda zawodowej koszykówki, LeBron James, zarobił dziewięćdziesiąt milionów dolarów na samym lansowaniu produktów. Więc gdzie tu problem? Według drugiego szablonowego wizerunku czarni tworzyli nieproporcjonalnie dużą część świata przestępczego, gloryfikowanego przez wulgarne rapowe teksty o broni, „lachociągach” i „sukach”. Trzeci stereotyp to czarni utrzymujący się z zasiłków. (Zob. jednak Aneks C). W umysłach białych Luizjańczyków zupełnie nieobecny był obraz czarnego mężczyzny albo czarnej kobiety, którzy cierpliwie stoją obok nich w kolejce po zasłużoną nagrodę.

### *Głęboka historia: gender*

U podłoża dezorientacji, lęku i żalu wywoływanych przez głęboką historię leżą także kwestie genderowe. Wszystkie kobiety, z którymi rozmawiałam w Luizjanie, pracowały albo zamierzały wrócić do pracy. Jednak poglądy polityczne, którym dawały wyraz, wynikały z ich roli żon i matek – chciały być żonami dobrze zarabiających mężczyzn i mieć luksus, jak wyraziła się jedna z moich rozmówczyń, zajmowania się wyłącznie domem. Według ogólnokrajowych sondaży wśród zwolenników republikanów jest więcej mężczyzn niż kobiet. Także więcej mężczyzn (dwanaście procent w 2012) niż kobiet (dziewięć procent) działa w Partii Herbacianej lub z nią sympatyzuje. I nawet w tej konserwatywnej grupie kobiety częściej niż mężczyźni doceniają rolę administracji federalnej w pomaganiu potrzebującym, zapewnianiu dostępu do antykoncepcji i walce o równe wynagrodzenia za taką samą pracę[227]. Jak wspomniałam we *Wstępie*, to właśnie ten zakres problemów – a zwłaszcza potrzeba wprowadzenia urlopów rodzicielskich – podsunął mi myśl, by udać się na Południe. Odniosłam wrażenie, że moje rozmówczynie są świadome, że jeśli drastycznie ograniczymy prerogatywy rządu, stracą więcej niż mężczyźni, ponieważ więcej kobiet niż mężczyzn pracuje w urzędach publicznych i korzysta ze świadczeń.

Moją uwagę zwróciła także ciekawa rozbieżność poglądów wśród zwolenników prawicy. Gdy rozmowa nieuchronnie schodziła na „jałmużnę” dla niepracujących, wypłacaną z pieniędzy robotników, którzy stoją za nimi „w kolejce”, ujawniał się interesujący podział według płci. Zapytałam pewne małżeństwo, jaki procent zasiłkowiczów kantuje ich zdaniem system; kobieta odpowiedziała, że trzydzieści, jej mąż oszacował, że osiemdziesiąt. W łonie Partii Herbacianej uwidocznił się podział według płci. Jednak mimo tej różnicy kobiety i mężczyźni

o prawicowych poglądach głosowali podobnie i bardziej niż na płci – kobietach wpychających się w kolejkę w ramach akcji afirmatywnej – jedni i drudzy koncentrowali się na rasie oraz przynależności klasowej.

### *Głęboka historia: klasa, rząd federalny i wolny rynek jako sojusznik per procura*

Na spychanie moich rozmówców na koniec kolejki przez kolejne grupy uprzywilejowanych można patrzeć jak na przejaw konfliktu klasowego. To może trochę dziwne zastosowanie tego terminu. Prawica z całą pewnością go unika, lewica stosuje w zupełnie innych przypadkach. Takie konflikty występowały jednak w całej historii Ameryki – w różnych teatrach życia, z różnymi aktorami i różnym słownikiem moralnym. Wszystkie odwoływały się do głębokiego poczucia sprawiedliwości. W przemysłowym wieku XIX konflikt klasowy rozgrywał się w hali fabrycznej, między przedsiębiorcą a robotnikiem, i dotyczył sprawiedliwego wynagrodzenia za pracę. W 1892 roku w Nowym Orleanie wybuchł strajk generalny. Najpierw zastrajkowali konduktorzy tramwajów, którzy domagali się dziesięciogodzinnego dnia pracy, płatnych nadgodzin i prawa do zrzeszania. W geście solidarności do kontrolerów przyłączyły się inne związki zawodowe. Próby podsycania nienawiści rasowej się nie powiodły, biali i czarni strajkowali ramię w ramię. Strajki robotników zakładów odzieżowych w Chicago w 1910 roku w odpowiedzi na obniżenie przez dyrekcję stawek akordowych czy dokerów Zachodniego Wybrzeża w 1934 roku również były przejawem sprzecznych interesów robotników i pracodawców i dotyczyły takich spraw, jak płace, godziny i warunki pracy.

Choć dziś też dochodzi do tego rodzaju strajków (jak choćby strajk pracowników sieci supermarketów Walmart w 2012 roku), wiele zakładów pracy przeniosło się za granicę, do Meksyku, Chin, Wietnamu i innych krajów. Ujawniły się inne konflikty społeczne w innych teatrach życia. Jeden z tych teatrów skupia na sobie żywe zainteresowanie lewicy. Chodzi o konflikt w sektorze prywatnym, a konkretnie o przepaść między jednym procentem najbogatszych a resztą Amerykanów. To właśnie przeciwko tym nierównościom protestują aktywiści ruchu Occupy Wall Street. Nie jest to konflikt między właścicielem fabryki a robotnikiem żądającym wyższej pensji albo krótszych godzin pracy. To konflikt między majętnymi a niezamożnymi[228], obrastającym w coraz większe bogactwa jednym procentem a dziewięćdziesięcioma dziewięcioma procentami pozostałych obywateli Stanów Zjednoczonych. Aktywiści OWS postrzegają jako niesprawiedliwość nie tylko dysproporcję w zarobkach (wielomilionowe premie dla zarządzających funduszami hedgingowymi w porównaniu ze stawką godzinową sprzedawców Walmartu

wynoszącą 8,25 dolara), ale także brak polityki fiskalnej, która pomogłaby odbudować w Ameryce społeczeństwo oparte na klasie średniej.

Dla dzisiejszej prawicy teatru kluczowego konfliktu nie stanowią ani hala fabryczna, ani protesty uliczne Occupy Wall Street. Główny konflikt – samo sedno głębokiej historii – umiejscowiony jest w lokalnym ośrodku pomocy społecznej i w skrzynce na listy, w której lądują czeki z rentą i talony żywnościowe. Pieniądze od rządu dla ludzi, którzy nie pracują i nie szukają pracy, to przecież jawna niesprawiedliwość. O ile w moralnym słowniku aktywistów Occupy Wall Street poczucie niesprawiedliwości wyrażane jest za pomocą takich określeń, jak „sprawiedliwy udział" w zasobach czy właściwe proporcje stratyfikacji społecznej, o tyle głęboka historia zwolenników prawicy posługuje się kategoriami „producentów" i „pasożytów". Lewica widzi punkt zapalny konfliktu klasowego w górnej części drabiny społecznej (pomiędzy samym jej szczytem a resztą); dla prawicy znajduje się on pomiędzy klasą średnią i biedotą. Lewica lokuje go w sektorze prywatnym, prawica w publicznym. Jak na ironię, obie domagają się uczciwej płacy za uczciwą pracę.

Wydaje się także, że prawica i lewica szukają sprzymierzeńców w innych sektorach społeczeństwa. Odniosłam wrażenie, że moi rozmówcy myślą o rządzie i rynku niemal tak samo, jak inni myślą o oddzielnych państwach. Różne narody wspierają różne strony konfliktu zbrojnego, zwalczając się nawzajem na „zastępczych" frontach. Zwolennicy prawicy z Luizjany w taki sam sposób mówili o rządzie federalnym i wolnym rynku. Wolny rynek jest niezachwianym sojusznikiem dobrych obywateli czekających w kolejce na spełnienie amerykańskiego snu. Rząd federalny trzyma z wciskającymi się do kolejki cwaniakami.

Czując się zdradzeni przez rząd i całym sercem zwracając się w stronę wolnego rynku, zwolennicy prawicy muszą stawić czoła realiom, których ich głęboka historia nie uwzględnia. Wielkie koncerny stają się jeszcze bardziej gigantyczne, zautomatyzowane, globalne i potężne. Ich rentowność w coraz większym stopniu opiera się na taniej sile roboczej w zagranicznych fabrykach, tanich zagranicznych pracownikach sprowadzanych do Ameryki i automatyzacji produkcji, a coraz mniej na pracy rodowitych Amerykanów. Im są silniejsze, tym słabszy opór napotykają ze strony związków zawodowych i rządu, co z kolei pozwala im jeszcze większą część zysków przeznaczać na premie dla wyższej kadry kierowniczej i dywidendy akcjonariuszy, a mniejszą na pensje pracowników[229]. Ale to jest „niewłaściwy" teatr i prawica nie tam szuka źródeł konfliktu, chyba że koncern w rodzaju Texas Brine spowoduje katastrofę na miarę zapadliska w Bayou Corne.

Tłumaczy to być może, dlaczego prawica nie przejmuje się nierównowagą sił pomiędzy wielkim biznesem i drobnymi przedsiębiorcami. Wielu entuzjastów Partii Herbacianej prowadzi małe przedsiębiorstwa albo w nich pracuje. Są właścicielami

niewielkich firm dostawczych obsługujących koncerny naftowe, kempingów karawaningowych, restauracji, lokalnych banków i sklepów. Wzmacnianie wielkich monopoli osłabia pozycję drobnych przedsiębiorstw. Jak pisze w *Saving Capitalism* Robert Reich, wielkie monopole angażują się w politykę, by wesprzeć rozwiązania, które ułatwiają im konkurowanie z drobnymi przedsiębiorstwami, takie jak prawo o zobowiązaniach umownych i prawo upadłościowe faworyzujące wielkich graczy. Zgodnie ze znowelizowanym niedawno prawem upadłościowym miliarder Donald Trump może ogłosić bankructwo bez ryzyka dla swoich inwestycji, ale drobni przedsiębiorcy nie mają takiej możliwości. Zdaniem Reicha stoimy przed wyborem nie między rynkiem regulowanym a rynkiem nieregulowanym, lecz między rynkiem regulowanym przez prawo faworyzujące monopolistyczne koncerny a rynkiem regulowanym przez prawo faworyzujące drobne przedsiębiorstwa. Jak na ironię, to właśnie małe firmy, jakie prowadzi wielu zwolenników Partii Herbacianej, są sektorem gospodarki najbardziej zagrożonym przez wielkie monopole. Można bez większej przesady powiedzieć, że popieranie ideologii wyrażającej interesy jednego procenta najbogatszych przez właścicieli rodzinnych firm przypomina opowiedzenie się stosującego naturalne metody uprawy farmera po stronie Monsanto, właściciela osiedlowego spożywczaka po stronie Walmartu czy lokalnej księgarni po stronie Amazona. Pod sztandarem wolnego rynku giganci mogą bez przeszkód zdominować małe płotki.

Jednakże trudno jest krytykować sojusznika, a prawica uważa wolny rynek za swojego sprzymierzeńca w walce z potężnym przymierzem rządu federalnego i wciskających się do kolejki. Nawet boleśnie skrzywdzony przez Pittsburgh Plate Glass Lee Sherman był właścicielem akcji tego przedsiębiorstwa. Gdy zapytałem go, jak się czuł, kiedy wyrzucono go z pracy, wykrzyknął z dumą: „Byłem wkurzony i skołowany, ale nie straciłem wszystkiego, bo miałem pięć tysięcy w akcjach!”.

Niezadeklarowana wojna klasowa, która przejawiała się w nużącym, irytującym i doprowadzającym prędzej czy później do wściekłości czekaniu na amerykański sen, rozbudziła w moich rozmówcach instynktowną nienawiść do sojusznika ludzi, którzy wciskają się przed nich do kolejki – rządu federalnego w Waszyngtonie. Nienawidzili wciskaczy za to, że potrzebują rządowej pomocy. Nie przyjmowali do wiadomości, że im samym także jest potrzebna, choćby do usunięcia zanieczyszczeń z ich własnego podwórka.

Taka determinacja wymaga szczególnego rodzaju osobowości, zgodnej z głęboką historią.

# 10
# Gracz drużynowy: lojalność przede wszystkim

– Od razu widać, że jestem republikanką – mówi Janice Areno. Znajdujemy się w jej biurze, Janice zaprasza mnie, żebym usiadła.

Trzy półki naprzeciwko biurka zapełniają słonie[230]. Jeden jest biało-niebieski, z porcelany, drugi złoty; obok trzeciego, czerwono-biało-niebieskiego, stoi dziecięcy rysunek żółtego słonia. Jest także imbryk do herbaty w kształcie słonia. Kolejny słoń trzyma amerykańską flagę. Są słonie duże i małe słonie, z drewna i ze szkła. Jedne stoją, inne biegną. Kupione na kiermaszach dobroczynnych, wygrane na loteriach w czasie uroczystych lunchów, przywiezione z konwencji Partii Republikańskiej. Gromadzona przez lata kolekcja zajmuje w jej biurze honorowe miejsce, obok nagród za wybitne zasługi dla lokalnej społeczności i zdjęć członków rodziny.

– Kiedy widzę słonia, czuję się dumna z tego kraju.

Siedzę naprzeciwko Janice (jej imię wymawia się „Dżan-is”) w przestronnym gabinecie w siedzibie Lacassane, spółki gospodarującej gruntami, w Lake Charles. Janice od wielu lat prowadzi tam księgowość. Jest córką najstarszego brata Harolda Areno, dorastała niedaleko Bayou d’Inde. Niska, o żywej mimice, wita się mocnym uściskiem dłoni, nosi praktyczne żakiety ze spodniami i wygodne buty. Nie maluje się i nie uznaje biżuterii; jak sama mówi, „ubiera się po zielonoświątkowemu”.

– Chociaż pod pewnymi względami nie po zielonoświątkowemu – dodaje, czyniąc aluzję do cokolwiek męskiego stroju i krótko obciętych brązowych włosów.

Ma bezpośredni, stanowczy i zazwyczaj przyjacielski sposób bycia. W czasie pierwszego z naszych licznych spotkań zasypała mnie zza biurka gradem jasno sformułowanych opinii na cały szereg kwestii.

– Wyliczyłam pani wszystkie r z e p y p o d m o i m s i o d ł e m – skomentowała wesoło własne słowa. – Może odwiedzę panią w Berkeley i pokaże mi pani gołych hipisów? – zażartowała.

Wielkie drewniane biurko zaściełają zaspy papierów.

– Sezon składania zeznań podatkowych – wyjaśnia. – Rozliczam za darmo naszą sprzątaczkę i komputerowca. Właśnie skończyłam podatki córki koleżanki z pracy.

Jednocześnie obdzwania znajomych, zbierając produkty żywnościowe i meble dla kuzyna przyjaciółki, żołnierza, który po powrocie z drugiej misji w Iraku odkrył, że jego żona porzuciła trójkę małych dzieci. Najstarsze karmiło młodsze rodzeństwo

resztkami stęchłych płatków śniadaniowych. Janice zaangażowała się w kościelną akcję wspierania samotnego ojca.

Żartujemy. Następnym razem przywożę jej z San Francisco czapkę drużyny 49ers; Janice jest zagorzałą kibicką Kowboi z Dallas. Mówi, że czapka świetnie się nada na polowania na jelenie, lecz nie obiecuje, że będzie kibicować 49ersom. Jednakże prawdziwą drużyną macierzystą Janice jest prawa strona słonia, Partii Republikańskiej. Lojalność wobec Grand Old Party definiuje jej świat.

Sześćdziesięciojednoletnia dziś Janice nie założyła rodziny, ale otacza ją krąg krewnych, do których jest bardzo przywiązana.

– Wychowywałam dzieci mojej siostry jak własne – mówi.

Jeden z jej siostrzeńców mieszka teraz w przyczepie kempingowej na jej działce i pomaga w budowie, pomieszczenie po pomieszczeniu, wielkiego domu, gdzie znajdzie się miejsce dla jednej, a może dwóch sióstr Janice i każdego, kto będzie chętny i się z nią dogada. Janice zwykle jako ostatnia opuszcza wieczorem biuro Lacassane. Nadzoruje zarządzanie gruntami o powierzchni ośmiu i pół tysiąca hektarów, na których w dawnych czasach uprawiano ryż i soję. Później firma wydzierżawiała ziemię organizatorom polowań oraz szukającym złóż koncernom naftowo-gazowym. Lacassane jest również właścicielem dużego domku myśliwskiego Jed Cabin, pobiera opłatę za podziemny rurociąg, który biegnie przez należący do niej teren, i prowadzi wycinkę drzew.

Proszę Janice, by pokazała mi swoją dawną szkołę, kościół i dom w Sulphur, na zachód od Lake Charles. Wychodzimy z biura na parking i wsiadamy do jej srebrnego SUV-a. W bagażniku grzechoczą wędki i półtorakilogramowy woreczek orzeszków hikory, „rozgniecionych, ale nie łuskanych”, który Janice zamierza podarować znajomym. Dwudziestotysięczne przemysłowe Sulphur powstało w latach 70. XIX wieku. Jadąc przez miasto, mijamy znane luizjańskie firmy z innych branż: restaurację Richard’s Boudin and Seafood Market, lombard Sulphur Pawn and Discount Center, bar Bebop’s Ice House, składy drewna, zakłady fryzjerskie, dyskonty sieci Family Dollar, apteki Walgreen, dom towarowy J. C. Penney, udzielające szybkich pożyczek parabanki PayDay Loans of Sulphur i EZ Cash.

W drodze do dawnej szkoły Janice zaczyna opowiadać mi o swoim dzieciństwie.

– Byłam środkowym dzieckiem, czwartym z sześciorga rodzeństwa. Mój ojciec był najstarszy z dziesięciorga, a mama najmłodsza z siedmiorga. Wszyscy bracia i siostry rodziców pożenili się i mieli dzieci. Ze strony taty mam czterdzieścioro sześcioro ciotecznego rodzeństwa, ze strony mamy podobnie. Jedna z jej sióstr urodziła jedenaścioro dzieci.

Podobnie jak wielu innych moich rozmówców, Janice określa swoje dzieciństwo jako „biedne, ale szczęśliwe”.

– Mama zajmowała się tylko domem, ale szalała przy garach od świtu do nocy

i opierała w pralni osiem osób. Całe życie ciężko pracuję. Zaczęłam w wieku ośmiu lat i do dzisiaj nie miałam żadnej przerwy.

Ciężko przepracowane życie nauczyło ją radzenia sobie i wytrzymałości. Cierpliwe znoszenie niedogodności było nie tylko wartością moralną, lecz także codzienną praktyką. Swego rodzaju pracą emocjonalną. Z lojalności wobec wolnego rynku Janice godziła się z nieprzyjemnymi skutkami liberalnych uregulowań prawnych i nie uważała się za ofiarę. Była to forma cichego heroizmu, niedostrzegana przez objawiających brak zainteresowania liberałów. Janice wierzyła, że czasem trzeba zaakceptować złe strony w imię wyższego dobra, na przykład miejsc pracy w przemyśle naftowym.

Zauważyłam, że ta cierpliwa, wytrzymała osobowość wyraża się w moich rozmówcach z Lake Charles i okolic na trzy wyraźnie odmienne sposoby, które nazwałam: gracz drużynowy, wyznawca i kowboj. Wszystkie trzy typy uważają wytrzymałość za wartość i są do niej zdolne. Każdy z nich wkłada w ten heroizm cząstkę własnej osobowości. Gracz drużynowy popiera Partię Republikańską, by osiągnąć wspólny cel swojego zespołu. Wyznawca poświęca swoje najgorętsze pragnienie. Kowboj udowadnia, że się niczego nie boi. Janice jest graczem drużynowym.

Moja rozmówczyni wychowała się na wsi i kochała wiejskie życie.

– Miałam sześć lat, kiedy nauczyłam się trzymać strzelbę. Strzelałam z łódki do jadowitych węży wodnych – opowiada. – Teraz w sezonie łowieckim poluję na jelenie, kaczki i dziki. W weekendy łowię ryby. Tata mawiał, że to, co ustrzelisz, musisz oprawić i zjeść. Do mojej czterdziestki robiliśmy tak, jak kazał. Teraz zawożę mięso do masarni, żeby wyprodukowali z niego kiełbaski.

Mijamy podstawówkę, do której chodziła; szkoła nosi imię niemieckiego naukowca Hermana Frascha, twórcy metody wydobywania siarki. Godłem dawnego liceum Janice jest górniczy hełm, a pod nim skrzyżowane kilof i łopata, oficjalnymi barwami szkoły zaś czerwony, biały i niebieski. Areno działała w Honor Society i 4-H, została przewodniczącą szkolnego kółka dyskusyjnego, zrobiła licencjat na Uniwersytecie Stanowym McNeese i karierę księgowej. Powiedziała mi, że jej ojciec nie miał tyle szczęścia. Jako najstarszy z dziesięciorga rodzeństwa, wcześnie rzucił szkołę, by pomagać w ogrodzie ojcu, który musiał wyżywić dwunastoosobową rodzinę.

Zatrzymujemy się przed kościołem Janice, wysiadamy z wozu, wyjmujemy z bagażnika skrzynki z kubkami, talerzami i serwetkami i zanosimy je do środka. Będą potrzebne w czasie kolacji dobroczynnej na rzecz amerykańskich żołnierzy w Iraku i Afganistanie.

– Ludzie przestali dawać pieniądze na naszych chłopców, ale oni n a d a l tam są – mówi Janice. – Musimy im pomagać

Wsiadamy z powrotem do SUV-a i jedziemy dalej. Janice opowiada o swojej rodzinie, skupiając się głównie na osobie ojca.

– Skończył tylko trzy klasy, ale utrzymywał ośmioosobową rodzinę. Umiał robić mnóstwo rzeczy. Nikt tak jak on nie potrafił naprawić rybackiej sieci.

Jako dziewiętnastolatek wyuczył się fachu montera rurociągów. Zapisał się do związku zawodowego i przepracował trzydzieści lat w Cities Service (obecnie Citgo).

– Nigdy nie pobierał renty ani zasiłku dla bezrobotnych – mówi z dumą Janice. – Tylko dzięki pracy w rafinerii zdołał nas wszystkich utrzymać.

Kiedy przeszedł na emeryturę, wraz z żoną jeździł kamperem do Utah i Kolorado, gdzie oboje zatrudniali się przy zbiorach owoców.

– Jedli dużo owoców. Cieszę się, że przed śmiercią udało im się zobaczyć kawałek Stanów.

SUV zwalnia, mijamy skromny budynek, niewyróżniający się z szeregu oddzielonych żywopłotami domów. To Kościół Pełnej Ewangelii (nazwa odnosi się do przemawiania językami, prorokowania i daru uzdrawiania), do którego w dzieciństwie przychodziła rano i wieczorem w każdą niedzielę i wieczorem w każdą środę, „bez opuszczania”. Jej dziadek zasiadał w radzie założycielskiej, a ojciec był skarbnikiem Kościoła, który tymczasem zmienił siedzibę. Teraz Janice przewodniczy radzie parafialnej.

### *Pracowitość, przemysł, partia*

To właśnie Kościół nauczył Janice, że praca przynosi zaszczyt.

– Kiedy miałam osiem lat, co niedzielę i środę zamiatałam po nabożeństwie całą świątynię. Kosiłam też trawnik. Sprzątałam toalety, męską i damską. Rodzice podrzucali mnie do kościoła i odbierali, gdy skończyłam.

Kiedy podrosła, zachowała tę pracę, ale oprócz tego podjęła drugą, w lodziarni sieci Tastee-Freez. Po skończeniu liceum:

– Przez całe studia na McNeese pracowałam czterdzieści godzin tygodniowo jako telefonistka. Dyżurowałam od trzynastej trzydzieści do dwudziestej drugiej, od piętnastej do dwudziestej trzeciej i od szesnastej do północy. Niełatwo było tak dużo pracować, a potem wstawać rano na zajęcia i jeszcze się uczyć. Miałam wolny tylko jeden weekend w miesiącu i żadnych wakacji. Naprawdę było mi ciężko.

Po studiach zatrudniła się w przedsiębiorstwie, w którym pracuje do dzisiaj. Janice jest bardzo dumna z tego, że tak jak jej ojciec nie wzięła „od rządu ani dziesięciu centów”.

– Nie byłam na bezrobociu nawet przez miesiąc i nigdy nie korzystałam z rządowej pomocy – oznajmia. – Owszem, dostałam małą pożyczkę na studia, wtedy

jeszcze rząd nie dawał ci tak po prostu pieniędzy, ale spłaciłam ją co do grosza.

Wielu moich rozmówców uważało to, że ktoś nie dostał nic albo dostał bardzo mało od rządu, za powód do dumy. Branie państwowych pieniędzy było – albo przynajmniej powinno być, jak twierdziła Janice – powodem do wstydu.

– Najbardziej kłującym rzepem pod moim siodłem są ludzie, którzy biorą pieniądze od rządu i nie pracują – oświadcza. – Znam budowlańców, którzy w sezonie łowieckim idą na zasiłek. – Podobnie dzieje się z rentą inwalidzką. – Mąż córki mojej przyjaciółki, kiedy przepracował wymaganą liczbę miesięcy, zrobił sobie krzywdę w pracy i złożył podanie o rentę inwalidzką. Moi kuzyni, wujowie i bracia też tak postąpili. Czasem nie ma pracy i wtedy fajnie jest pobierać zasiłek – przyznaje. – Ale jeśli praca *jest*, dlaczego nie pójdą kosić trawy przed kościołem, składać ubrań w ośrodku pomocy albo sprzątać łazienek w szkole? Płacimy im za nicnierobienie, najpierw za pośrednictwem TANF [Temporary Assistance for Needy Families, program tymczasowego wsparcia dla rodzin w trudnej sytuacji], a potem SSI [Supplemental Security Issue, zasiłek dla osób starszych i inwalidów]. To nie w porządku. Powinni *robić coś* pożytecznego. (Zob. Aneks C).

Dla pokolenia jej ojca praca była paszportem umożliwiającym ucieczkę od strachu, biedy i poniżenia. Ale Janice nie mierzy honoru, własnego i innych, po prostu pieniędzmi. Wyznacznika honoru nie stanowi również talent, z jakim wykonuje swoją pracę, ani to, czy czyni ona świat lepszym – w każdym razie te aspekty nie pojawiły się w naszych rozmowach. Jeśli ludzie pracują tak *ciężko* jak ona, świat już *jest* lepszy.

Sposób, w jaki Janice myśli o pracy, jest elementem kodeksu moralnego określającego jej stosunek do osób, które stoją przed nią i za nią w kolejce po amerykański sen. Istotną rolę odgrywa w nim słowo „ciężko”. *Ciężka* praca to większy powód do dumy niż zdolności, nagrody lub znaczenie. Łączy się z przyzwoitym życiem i „ukościelnieniem”. Janice czuje, że ludzie, którzy stoją przed nią w kolejce, nie podzielają jej poglądów na pracę. Liberałowie nie przywiązują należytej wagi do moralności jednostki, może dlatego, że nie są ukościelnieni. Janice jest przeciwniczką usuwania ciąży z wyjątkiem określonych sytuacji, ale wyobraża sobie, że „mamy pięćdziesiąt milionów aborcji rocznie i prawdopodobnie wszystkie przeprowadzają demokratki”. (Po chwili w przypływie czarnego humoru dodaje: „Może powinnam przemyśleć swoje stanowisko w tej sprawie”). W państwie, gdzie Sąd Najwyższy uznał prawo gejów do zawierania związków małżeńskich, rząd federalny daje pieniądze niepracującym, a poprawność polityczna każe zapomnieć o bohaterstwie chłopców, którzy oddali życie za Południe (nawet jeśli Konfederaci walczyli w niesłusznej sprawie), jej kawałek Ameryki wydaje się małym, dzielnym przyczółkiem oporu przeciwko zalewającej kraj potężnej fali. Również amerykański sen się zmienił – stał się niezgodny z Biblią, ultramaterialistyczny i niezbyt

honorowy. Stojąc cierpliwie w kolejce, Janice czuje się obca we własnym kraju. Tylko Partia Republikańska broni jeszcze pozytywnych aspektów przeszłości.

Janice uważa, że jeśli masz pracę, musisz się do niej przykładać, nawet jeśli wiąże się to z pewnym ryzykiem.

– Dwóch moich braci spawa rurociągi. Ich koledzy z byle powodu przerywają pracę – narzeka. – Raz spawali aluminiowe rury. Picie mleka neutralizuje szkodliwe działanie wdychanych oparów, dlatego firma o dziesiątej rano dostarcza im mleko. Tak jest w umowie ze związkiem zawodowym. Jeśli o dziesiątej nie dostaną mleka, nie pracują. To przecież głupota, prawda? Mogliby jeden dzień obejść się bez mleka. Nie umarliby od tego. Albo mogą przynosić własne mleko.

Janice przyjmuje punkt widzenia firmy. Przez pewien czas pracowała dla Lake Area Industry Alliance, odwiedzając szkoły i opowiadając o pożytkach z przemysłu uczniom, którzy mogli co innego słyszeć w domu albo w liberalnych mediach.

Praca pełniła także funkcję dyscyplinującą.

– Jeśli nie ma dość pracy dla wszystkich, niech do budowy autostrad używają taczek i łopat, a nie wywrotek – mówi. – Jak się zmęczą, wieczorem będą wracać do domów zamiast szlajać się po mieście, pić i brać narkotyki.

Janice ma nawet pomysłowy sposób sprowadzenia miejsc pracy z powrotem do kraju. „Powinniśmy wykopać każdy kamień i każdy nagrobek” z mogił amerykańskich żołnierzy poległych w czasie drugiej wojny światowej we Francji, „która wcale nie jest naszym przyjacielem, i przywieźć je do ojczyzny, żeby to Amerykanie kosili wokół nich trawę amerykańskimi kosiarkami”.

Skoro nie możemy dla umoralnienia bezrobotnych zastąpić wywrotek taczkami ani sprowadzić z Europy cmentarzy, myśli Janice zwracają się ku wojnie.

– Nie jestem zwolenniczką wdawania się w konflikty zbrojne po to, by stworzyć miejsca pracy – zastrzega pospiesznie. – Ale wojna ma swoje dobre strony[231]. Produkcja amunicji, wielozadaniowych pojazdów wojskowych, szycie mundurów, to wszystko daje pracę.

Nie wszystko w Sulphur wiąże się z pracą, zapewnia mnie Janice. Podjeżdżamy pod nowe, gigantyczne centrum targowo-rozrywkowe z salą balową o powierzchni tysiąca trzystu metrów kwadratowych i areną, na której odbywają się zawody Silver Spur Rodeo w *barrel racing* (objeżdżaniu slalomem beczek na czas) i *steer-roping* (pętaniu młodego wołu).

– W dniach rodeo rodzice nie podrzucają dzieciaków, żeby odebrać je po zawodach. To imprezy r o d z i n n e.

Janice rozumie dylemat, przed którym stają bezrobotni.

– Możesz znaleźć pracę za osiem dolarów na godzinę i wyciągać jakieś dwieście pięćdziesiąt dolarów tygodniowo – mówi. – Ale jeśli możesz dostać zasiłek, to się zupełnie nie opłaca.

Co nie zmienia faktu, że Janice (i wielu innych) lubi opowiadać, że widziała „na własne oczy”, jak rodzice podwożą lexusami dzieci na zajęcia Head Start (finansowanego ze środków federalnych wyrównawczego programu edukacyjnego dla dzieci z rodzin o niskich dochodach). Ma poczucie, że rząd oczekuje od niej współczucia dla tych ludzi. Nie ma mowy. Niech znajdą pracę.

Na chwilę odwraca wzrok od drogi i patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami, przekonana, że mnie zaszokuje.

– Niektórzy uważają, że nie mam serca – mówi – ale uważam, że jeśli ktoś odmawia pracy, to niech sobie głoduje. Niech będzie bezdomny.

Jest gotowa oddać te czterdzieści cztery procent stanowego budżetu, które dokłada rząd federalny, w dużej części w zasiłkach dla najuboższych. Dawanie pieniędzy za nic? To pogwałcenie zasady moralnej „wynagrodzenie za pracę”. Janice nie dostrzega paradoksu w tym, że stan, który zajmuje czterdzieste dziewiąte miejsce w kraju pod względem rozwoju społecznego i ostatnie, pięćdziesiąte, pod względem stanu zdrowia mieszkańców, odrzuca ideę pomocy ze strony administracji w Waszyngtonie. Niech sobie zajmują takie miejsce, jakie chcą, skoro nie chce im się pracować.

Zajeżdżamy do Burger Kinga dla zmotoryzowanych, kupujemy dwa whopper juniory i dwie duże słodkie herbaty. Siadamy na ławeczce, żeby zjeść. Janice ma mi pokazać dom swoich marzeń. Dorastała dwie ulice od zakładów Citgo i jesień życia chce spędzić z dala od przemysłu, dlatego nabyła działkę na północ od miasta. Stawia tam, jak mówi, swoją „emerycką stodołę”. Buduje ją pokój po pokoju z pomocą siostrzeńca, który zamierza wprowadzić się tam ze swoją rodziną. W czasie jazdy głośno dzwoni telefon: siostrzeniec chce sprawdzić jakiś szczegół dotyczący armatury hydraulicznej.

Przez moje pytania o Wielki Paradoks jestem kolejnym rzepem pod jej siodłem, jednak nie powstrzymuje mnie to przed zadaniem ostatniego: co z d z i e ć m i, które urodziły się biedne? Czy aż takie oburzenie wzbudzają w niej niepracujący rodzice, że odebrałaby pomoc ich dzieciom? Czy jest przeciwna subsydiowanym przez rząd programom edukacyjnym i dotowanym obiadom w szkole?

– Chciałabym wierzyć, że dziecko powie: „Będę się ciężko trudzić, by zdobyć wykształcenie, a potem dobrą pracę i wyrwać się z tego środowiska” – odpowiada. Inne proponowane przez nią rozwiązanie to „ukościelnienie” i ograniczenie płodności biednych kobiet. – Niektórzy uważają, że nie mam serca – powtarza – ale po jednym albo po dwójce dzieci podwiązałabym takiej jajniki.

– Czy nie byłoby to ze strony rządu zachowanie w stylu Wielkiego Brata? – naciskam.

– Nie – odpowiada. – Mogłaby nie wyrazić zgody, ale pod warunkiem, że zrezygnuje z zasiłku.

Rozumowanie Janice opiera się na jej poglądach na nierówność. Być może niektórym ludziom pisane jest ostatnie miejsce w kolejce po amerykański sen. Dlatego Janice sprzeciwia się redystrybucji pieniędzy z podatków bogatych, tak by trafiły do biednych. To i tak nie przyniosłoby trwałych skutków.

– Dziesięć procent obywateli Stanów Zjednoczonych ma dziewięćdziesiąt procent pieniędzy, zgadza się? Jeśli to wyrównasz, po roku, albo nawet sześciu miesiącach, znów dziesięć procent będzie miało dziewięćdziesiąt procent pieniędzy. Ludzie wygrywają 247 milionów dolarów w kumulacji loterii PowerBall i dziesięć lat później są bankrutami. Nie umieją opędzić się od żebraków i nie znają się na inwestowaniu. Każdy z nas musi odnaleźć własną niszę i zadowolić się takim życiem, jakie ma.

Zdaniem Janice rząd federalny nie tylko za dużo daje, ale też za dużo robi i za dużo posiada.

– Potrzebujemy go tylko do tego, żeby zajmował się wojskiem i dyplomacją, budował drogi i pogłębiał szlaki wodne – mówi. Jeśli chodzi o tereny będące własnością państwa, uważa, że powinniśmy zatrzymać Wielki Kanion, część Yellowstone i kilka innych parków narodowych, a resztę sprzedać pod inwestycje, które stworzą miejsca pracy.

Rząd również za wiele kontroluje – na przykład broń. Nie spodziewając się, że mnie tym zaskoczy, Janice stwierdza, iż najlepszym sposobem wprowadzenia demokracji na Bliskim Wschodzie byłoby rozdanie broni.

– Gdyby każdy miał karabin i amunicję, sami rozwiązaliby wszystkie spory. Rządzą tam dyktatorzy, bo cała broń jest w ich rękach i ludzie nie mają do niej dostępu. Dlatego nie mogą się zbuntować. Jeśli rząd zabierze nam broń, u nas będzie tak samo – przepowiada ponuro.

Inni zwolennicy skrajnej prawicy, z którymi rozmawiałam, wyrażali podobne odczucie. Kiedy Obama objął urząd prezydenta, rozeszła się plotka, że odbierze obywatelom broń. Lee Sherman powiedział mi, że sklepy w okolicach DeRidder wyprzedały całą amunicję, bo ludzie rzucili się robić zapasy. Od innego mężczyzny usłyszałam historię o pastorze, który zorganizował wyprawę wiernych do Walmartu.

Janice odnosiła wrażenie, że urzędy państwowe zatrudniają absurdalną liczbę pracowników. Nie chciała strzelać w ciemno, ale wielu innych moich rozmówców szacowało, że od jednej trzeciej do połowy wszystkich zatrudnionych w Stanach Zjednoczonych pracuje dla rządu; najczęściej mówili o czterdziestu procentach. (Nie znałam właściwych liczb, więc je sprawdziłam. W 2013 roku pracownicy urzędów federalnych stanowili 1,9 procent wszystkich zatrudnionych w USA, a w ciągu ostatnich trzech lat ten wskaźnik zmalał. Więcej na ten temat w Aneksie C).

Zdaniem Janice rządowi urzędnicy marnują pieniądze podatników, wykonując

działania, które nikomu nie przynoszą pożytku. Fox News dostarczyło jej wielu przykładów, których „nic nie przebije”. Najpierw produkująca baterie słoneczne Solyndra roztrwoniła 535 milionów dolarów rządowej pożyczki. Jakiś czas później pracownik EPA został przyłapany na oglądaniu na służbowym komputerze czterogodzinnego pornosa pod tytułem *Sadism is Beautiful* (Sadyzm jest piękny). Następnie agencja National Endowment for the Arts dała grant artyście Chrisowi Ofiliemu na namalowanie krowim łajnem postaci Matki Boskiej.

Wsiadamy do SUV-a i jedziemy z powrotem; w bagażniku grzechoczą wędki.

– Okej, to jest wolny kraj – mówi. – Ale nie a ż t a k wolny. Jeśli masz na to ochotę, maluj sobie Jezusa krowim łajnem. Albo Mahometa. Albo Buddę. Ale nie za pieniądze z m o i c h podatków. Weź łopatę i sam zbieraj na polu krowie placki.

Według Janice za skandalem Solyndry, pornosem w EPA i malującym łajnem artystą stała „przeciwna drużyna”. Nie jej zespół. W żadnym razie.

## *Twarze w kolejce*

Janice irytuje nie tyle rozpasanie moralne liberałów, ile to, że próbują narzucić j e j swoje swobodne zasady. Ma wrażenie, że starają się wymusić jej współczucie, a kiedy go nie okazuje, ma się czuć winna. Weźmy na przykład orientację seksualną i tożsamość genderową.

– Jesteś gejem, to sobie nim bądź. Ale mnie tego nie narzucaj – mówi. Kiedy zauważam, że geje nie narzucają jej ani innym gejowskiego stylu życia, odparowuje: – Owszem, narzucają. – I powołuje się na przykład Chaz Bono, dziecka piosenkarzy popowych Sonny’ego i Cher, które urodziło się jako dziewczynka, a później zmieniło płeć.

Janice uważnie śledziła w mediach tę historię.

– W czasach mojego dzieciństwa był najsłodszą małą dziewczynką w całym programie. Kiedy syn Cher powiedział, że jego/jej dorastanie byłoby łatwiejsze, gdyby ludzie nie mieli tylu uprzedzeń, pomyślałam, że Chaz narzuca mi swój sposób życia. Żąda, by cały świat się zmienił po to, żeby jemu było łatwiej dorastać. Dlatego mówię: „Chcesz być facetem, to nim bądź. Chcesz być gejem, to nim bądź”. Nie przeszkadza mi, że jesteś gejem, skoro masz na to ochotę. Tylko zachowuj się tak jak wszyscy, pracuj, koś trawnik, chodź na ryby. Nie musisz zaraz obwieszczać tego całemu światu. Nie zmuszaj mnie, żebym się zmieniła, i nie nazywaj mnie fanatyczką, jeśli tego nie zrobię. Tak właśnie nas przedstawiają. Cher Bono powiedział w programie Jaya Leno, że „zwolennicy Partii Herbacianej to pieprzone świry”, i całe liberalne Hollywood tak nas postrzega[232].

Wracam do tematu, który ma bardziej bezpośrednie przełożenie na jej życie:

zanieczyszczeń zrzucanych przez przemysł do Bayou d'Inde, nad którym mieszka jej stryj, Harold Areno, ze swoją żoną, Annette.

– Mój dziadek pobudował się na tych czterdziestu akrach, kiedy nikt jeszcze nie wiedział, co to jest rafineria – mówi w zamyśleniu. – Teraz ta ziemia obumarła. To sprawia, że nie chcę tam mieszkać i że jest mi smutno.

W Sulphur znajdują się cztery składowiska odpadów przemysłowych, jedno z nich zaledwie o przecznicę od jej domu[233]. Mimo to Janice mówi:

– Produkują rzeczy, które są nam potrzebne: plastikowe butelki na napoje, gumowe podeszwy do butów, pastę do zębów. P o t r z e b u j e m y pasty do zębów.

Bycie graczem drużynowym oznaczało niezważanie na problemy. W tym celu Janice wykonywała pracę, której nawet nie uważała za pracę: emocjonalną pracę zaakceptowania składowisk odpadów toksycznych w bezpośrednim sąsiedztwie jej domu, obok których, w głębi duszy, wcale nie chciała mieszkać. Gracz drużynowy musiał czasem zacisnąć zęby i jakoś sobie radzić.

### *Gumowany koń*

Przyjechałyśmy do domu kuzynki Janice, by spotkać się z jej siostrzeńcem, Dickym. Jest też jej siostra. Janice opowiedziała mi kiedyś wstrząsającą historię o koniu Dicky'ego i chciałam porozmawiać z nim osobiście, by usłyszeć ją ponownie, z jego ust. Dicky, Janice, jej siostra, kuzynka i ja usiedliśmy przy małym stoliku w kuchni, by jeszcze raz wysłuchać zdumiewającej, wielokrotnie powtarzanej opowieści, która po latach nadal wywołuje smutek.

Przydarzyła się Dicky'emu, dzisiaj emerytowanemu nauczycielowi, w latach 50., kiedy był jeszcze chłopcem.

– Jechałem na moim kasztanku, Tedzie – wspomina. – Normalnie Ted bez problemu przeskakiwał półtorametrowe rowy, ale tym razem wpadł do wody i zaczął tonąć. Bezskutecznie usiłował wydostać się z rowu. Próbowaliśmy wyciągnąć go za wodze. W końcu mój wuj wyciągnął go traktorem. Ale kiedy Ted wreszcie wydostał się z wody, pokrywała go jakaś dziwna błonka. Próbowałem zmyć ją szlauchem, lecz tylko od tego stwardniała. Wyglądał, jakby miał na sobie piankę do nurkowania. Z gumy. Weterynarz starał się go uratować, ale mu się nie udało i dwa dni później Ted padł.

Rów znajdował się nad *bayou* poniżej fabryki polimerów Firestone'a.

Dicky był załamany i jeszcze teraz, kiedy opowiada tę historię, słychać to w jego głosie. Jednak Janice mówi o tym w inny sposób. Owszem, jest jej przykro, lecz lojalność wobec przemysłu bierze górę nad smutkiem. Kręci głową, jakby chciała powiedzieć, że w tamtych czasach mieliśmy wiele problemów, ale nie warto

zwyczajem ekologów rozwodzić się nad nieprzyjemnymi zjawiskami. Pamięta, jak pewnego dnia, gdy była dzieckiem, usłyszała potężny huk i w środku dnia niebo zrobiło się czarne. Doszło do wybuchu w rafinerii Cities Service (obecnie Citgo).

– Myśleliśmy, że to koniec świata – mówi. Ale to było kiedyś. Dziś przemysł przestrzega warunków zezwoleń, które wydają władze stanu, więc Janice nie widzi problemu.

Żegnamy się z Dickym i siostrą Janice i jedziemy dalej. Po chwili Janice zjeżdża z asfaltówki na drogę gruntową wijącą się między dwoma dużymi stawami. Zbliżamy się do „stodoły", domu jej marzeń, który buduje na swoją emeryturę na czterdziestoakrowej działce niespełna dziesięć kilometrów od nowego kompleksu Sasola. Dawniej ta ziemia należała do przedsiębiorstwa handlującego tarcicą.

– Do stawu po lewej wpuściłam sumy, a teraz kopię staw po prawej. Uwielbiamy łowić ryby – oznajmia z dumą.

Parkuje samochód przed wielkim budynkiem przykrytym długim, płaskim dachem z blachy. Budowa nie jest jeszcze ukończona, ale podjazd zdobi już ogródek skalny z małą fontanną pośrodku. Grupa rzeźb, z której tryska woda, przedstawia pawia i dwa słonie; jeden jest czarny, drugi biały, z uniesioną trąbą. Przodem do fontanny stoją dwa leżaki, z których można podziwiać tę scenę.

– To dzieło mojej siostry – informuje Janice.

Chociaż jest niezamężna i bezdzietna, zbudowała rezydencję z sześcioma sypialniami, czterema łazienkami i połączonym z kuchnią przestronnym salonem, w którym może zebrać się cały klan. Lodówkę wypełniają napoje gazowane. W „stodole" jest miejsce dla dwóch sióstr Janice: Joyce, która przeprowadzi się, jak tylko dojdzie do siebie po operacji biodra, i – ewentualnie – mieszkającej w Teksasie Judy, gdyby owdowiała. Jej siostrzeniec Kelly, który pomaga w budowie i mieszka w przyczepie kempingowej, przyniósł właśnie kosz jajek i informację o zdechłym kurczątku. Kiedyś przeprowadzi się pewnie z przyczepy do domu razem ze swoją dziewczyną i córeczką Mattie, ulubienicą całej rodziny, nad którą sprawuje opiekę na przemian z jej matką. Za domem są wiata dla kampera, szopa na narzędzia ogrodnicze („Joyce kocha rośliny"), kojec dla kur, podwórko dla dwóch kóz i wybieg na dwanaście koni.

– Mamy też psy – dodaje Janice.

W głębi posiadłości znajduje się ogromna arena rodeo o szerokości całego domu, gdzie Mattie, gdy trochę podrośnie, będzie mogła ćwiczyć pętanie byczków i slalom wokół beczek.

– Nie chodziło mi o wypasioną rezydencję, tylko o dom, w którym moglibyśmy wszyscy wygodnie mieszkać.

W weekendy można ją tu zobaczyć na traktorku do koszenia trawy, którym strzyże osiem ze swoich czterdziestu akrów.

Kiedy Janice oprowadza mnie po domu, który ucieleśnia dla niej amerykański sen, zaczynam rozumieć, jak w jej wypadku działa głęboka historia. Wybrnęła ze strukturalnego impasu – postawiła sobie wysoko poprzeczkę, choć musiała radzić sobie z brakiem podwyżek, niepewnością zatrudnienia, rywalizacją na rynku pracy i pomocą rządową dla innych. Może jej pensja nie rosła skokowo, ale Janice i tak przesunęła się na początek kolejki. A to, wierzcie mi, naprawdę wymagało wielkiego *wysiłku*. Nie możesz być omdlałym fiołkiem. Poza tym była narażona na niespodziewane eksplozje, jazgot maszyn i dziwne zapachy, co też nie należało do przyjemności. By to wytrzymać, Janice zarządzała lękiem, z którego ledwo zdawała sobie sprawę i który z czasem wszedł jej w krew; to jej pozwalało zachować spokój ducha i odwagę. Mogła skupiać się na tym, co dobrego Citgo zrobiło dla jej ojca, a Lacassane dla niej, na „klamrze na pasie amerykańskiej energetyki”, wolnym rynku. Poczuwała się do *lojalności* wobec kapitalizmu, reprezentowanego przez zakłady petrochemiczne w Sulphur – wobec systemu, któremu jej ojciec i ona sama zawdzięczali cud swoich zarobków. Chciała, by inni też byli lojalni. Czy to nie oczywiste? Bo co innego, oprócz rodziny i Kościoła, zasługiwało na lojalność?

Janice czuła, że taka postawa nie wzbudza dzisiaj szacunku. Miała wrażenie, że musi *bronić* swojego przywiązania do kapitalizmu przed ideologią liberałów, którą łączyła z rozwiązłą, amoralną, zeświecczoną kulturą Wschodniego i Zachodniego Wybrzeża. Nie dość, że ciągle ktoś wpychał się do kolejki, to jeszcze musiała patrzeć, jak fałszywe wyobrażenia dobra i prawdy zdobywają sobie coraz większą popularność, wypierając jej własne, zdrowsze. Naród nie tylko nie zgadzał się z jej społecznością, że z natury rzeczy heteroseksualne małżeństwo stanowi podstawę rodziny, lecz wręcz zarzucał jej seksizm, homofobię i zacofanie. Nie chciała, by uważano, że jest nieczuła na problemy ubogich, imigrantów i syryjskich uchodźców. Po prostu nie życzyła sobie, by wpychali się przed nią do kolejki.

Obrony potrzebowały nie tylko wyznawane przez Janice wartości, ale też jej cierpliwa i wytrzymała osobowość, która najwyraźniej wyszła z mody razem z niebieskimi kołnierzykami.

– Mojego ojca chwalono w fabryce za solidność i obowiązkowość – mówi z dumą.

Ale czy ktoś to jeszcze docenia? Dla Janice, tak samo jak dla jej stryja, Harolda Areno, zakorzeniona osobowość, osadzona w aktywnej, zwartej, stabilnej społeczności złożonej z krewnych, członków Kościoła i przyjaciół, była źródłem dumy. Obecnie jednak coraz większą popularność zdaje się zdobywać nowsza osobowość – kosmopolityczna, wykorzeniona, luźno związana z lokalną społecznością, nastawiona na dużą liczbę powierzchownych znajomości, mobilna czy wręcz migrująca. Dla takiej osobowości źródłem dumy była otwartość na różne kodeksy moralne, ale czy to nie prosta droga do uznania, że „wszystko jest

dozwolone”?[234] To było przerażające. Złe. I Janice nie miała zamiaru się na to godzić.

Wykonywała dodatkową pracę emocjonalną polegającą na nieprzyjmowaniu do wiadomości złych stron „błyszczącej klamry na pasie amerykańskiej energetyki”. Skupiała się na samych zaletach. Przemysł był jej wiernym przyjacielem, a ona odpłacała mu tym samym. Jeśli chodzi o zanieczyszczenia:

– Fabryka wykonuje swoją robotę; produkuje rzeczy, które są nam potrzebne. Ludzie muszą chodzić do toalety, fabryki też. N i e m o ż e s z kazać im przestać.

Przyjmując punkt widzenia Citgo, Sasola, Monsanto i innych działających w Luizjanie koncernów, Janice odsuwała od siebie problemy, o których istnieniu wiedziała, ale z którymi postanowiła się pogodzić. Do takiej postawy zobowiązywała ją lojalność.

Kiedy znałyśmy się już kilka lat, powiedziała mi, że w „stodole” zamierza zamieszkać jej siostra Joyce, kobieta serdeczna i życzliwa. Joyce pracowała jako spedytorka w Olin Chemical. Bez maski z respiratorem sprawdzała cysterny kolejowe, w których przewożono fosgen (silnie trujący w temperaturze pokojowej gaz stosowany do produkcji pestycydów). Zapadła na wyniszczającą chorobę autoimmunologiczną, musiała przejść na część etatu i starała się wrócić do zdrowia, stosując prednizolon i neuropatię. Również Janice cierpiała na dolegliwość, której – wedle jej własnych słów – prawdopodobnie nabawiła się, „mieszkając w dzieciństwie w sąsiedztwie zakładów przemysłowych”. Rozważała zrobienie badania krwi, ale nie zamierzała się tym zamartwiać.

Już teraz Janice co miesiąc urządza spotkanie przy grillu dla całego klanu Arenów.

– W Wielki Piątek było tu sześćdziesiąt siedem osób – mówi z dumą. – Co najmniej raz w miesiącu urządzamy duże przyjęcie. Jeśli specjalnie tego nie rozgłaszasz, przychodzi dwadzieścia pięć osób, a kiedy wieść się rozniesie, jeszcze więcej. Jeśli jedzenia jest dosyć, nie wyjdziesz głodna; jeśli półmiski są puste, to znaczy, że się spóźniłaś.

W czasach gdy wyrąbuje się lasy pod nowe kompleksy przemysłowe, a sympatie prawicowych wyborców na południu Stanów Zjednoczonych przesuwają się jeszcze bardziej na prawo, Janice Areno łączy najlepsze aspekty tradycji – kochającą rodzinę, rodeo, łowienie sumów w stawie, polowania na jelenie i wielkie przyjęcia, na które „wszyscy są zaproszeni” – z owocami licencjatu i cierpliwości. Uważa, że wszystko, co jej się dobrego przytrafiło, zawdzięcza swojej partii oraz przemysłowi, który ta partia reprezentuje. Jest graczem drużynowym. Przeniosła się do północnej części Sulphur, by mieszkać dalej od fabryk. Jednak wkrótce po jej przeprowadzce Sasol niespełna dziesięć kilometrów od działki Janice zaczął budować nową instalację do krakingu etanu.

– Jeśli dojdzie do pożaru albo wybuchu, znajdziemy się w strefie zagrożenia –

stwierdza ze stoickim spokojem.

Bum na wydobycie gazu ziemnego ze skał łupkowych się utrzymuje, więc niewykluczone, że w przyszłości w sąsiedztwie powstaną zakłady także innych koncernów.

– No cóż, w Berkeley w Kalifornii jesteście narażeni na trzęsienia ziemi. Zdarzają się różne rzeczy.

Na razie jednak każdy, kto chce, może się wyciągnąć na leżaku przed nowym domem Janice, obok małej fontanny, i podziwiać pękatego białego słonia z jedną stopą w górze i uniesioną trąbą – symbol jej niezachwianej lojalności.

## 11

# Wyznawca: niewidoczne wyrzeczenie

– Ze wszystkich dni najbardziej lubię niedzielę – oświadcza Jackie Tabor, jakby wręczała mi klucz do swojego życia.

To moja trzecia wizyta u niej, właśnie wróciliśmy z niedzielnego nabożeństwa w Kościele Baptystycznym Świętej Trójcy. Mąż Jackie, Heath, zaparkował jasnobrązowego SUV-a pod wiatą obok quada arctic cat z wysokim zawieszeniem i głęboko bieżnikowanymi oponami, oblepionymi błotem po niedawnym polowaniu.

Jackie jest drobną, szczupłą czterdziestopięciolatką o młodzieńczym wyglądzie. Ma ciemne włosy do ramion, złote kolczyki, różową bawełnianą bluzkę i pantofle na płaskich obcasach; sportowy styl i wyraziste ciemne oczy. Prowadzi mnie przez swój przestronny dom. Przywołuje do porządku podekscytowanego owczarka niemieckiego i uspokaja pozostałe psy, kiedy mijamy klatkę z chomikiem w pokoju zabaw dzieci. Wchodzimy do salonu z wysokim sufitem i trzema rogatymi głowami jeleni nad wielkim kamiennym kominkiem. Kto wykonał obudowę kominka?

– To wszystko zrobił Heath. Zastrzelił jelenie i zaprojektował cały dom – mówi Jackie, wodząc dumnym wzrokiem po wystroju salonu. Uważa za cud, że to wszystko naprawdę należy do niej.

Heath serwuje własnoręcznie złowionego w Zatoce Meksykańskiej tuńczyka, którego upiekł na grillu i podał z pikantnym sosem. Siadamy do stołu – Jackie, Heath, ich dwoje dzieci i ja – odmawiamy modlitwę i zabieramy się do pysznej ryby. Heath opowiada, jak w 2010 roku, łowiąc na głębokich wodach Zatoki Meksykańskiej, obserwował z daleka pożar po wybuchu na platformie wiertniczej BP. Zastanawiał się, czy ropa i dyspergator skaziły połów, ale uznał, że najwyżej w minimalnym stopniu. Jackie wstaje od stołu, żeby przynieść dziecięce pisemko sportowe. Otwiera je na zdjęciu swojego dziesięcioletniego syna, Christiana, który z szerokim uśmiechem na twarzy unosi dużego tuńczyka żółtopłetwego. Jackie mówi, że cała rodzina uwielbia łowić ryby, polować i spędzać czas na świeżym powietrzu.

Po obiedzie przenosimy się we dwie do salonu i rozmowa schodzi na Jezusa. Moja gospodyni jest głęboko przekonana, że wszystkie te skarby – kochający mąż, dwoje cudownych dzieci, rozbrykane psy i możliwość zajmowania się potomstwem w spłaconym pięknym domu, słowem: amerykański sen – zawdzięcza Panu. Okazały budynek w barwach ziemi stoi na ekskluzywnym osiedlu Courtland Place na przedmieściach Lake Charles, za bramą flankowaną filarami z cegły. Wzdłuż podjazdu biegną grządki azalii i stokrotek. Na trawniku po stronie sąsiada leży wielki

głaz owinięty amerykańską flagą. W ciągu tygodnia po południu osiedle jest prawie puste, można tu spotkać tylko niepracujące żony i czarnego ogrodnika strzygącego żywopłot elektryczną przycinarką.

Heath prowadzi świetnie prosperującą firmę budowlaną. Odbudowywał i remontował domy po huraganach Katrina, Rita, Gustav, Ivan, Matthew i Bertha. Klęski żywiołowe, według których Luizjana mierzy upływ czasu, dla Heatha oznaczają zerwane dachy, powybijane szyby, zalane piwnice i lawinę zleceń – o ile tylko znajdzie wystarczającą liczbę dobrych robotników.

### *„Nie miałam nic”*

Pierwsze słowa, które usłyszałam od Jackie, kiedy poznałyśmy się na spotkaniu grupy fokusowej zwolenników Partii Herbacianej, brzmiały: „Nie miałam n i c! ”. W okresie dorastania pragnęła tak wielu rzeczy, ale o większości z nich nie miała nawet co marzyć – łącznie z czułą i troskliwą opieką. Z biegiem lat nauczyła się subtelnej sztuki tłumienia silnych pragnień i przekonała się, że wbrew temu, co by się wydawało, tak można dostać więcej. Kiedy czegoś się bardzo mocno chce, czasem mądrzej jest to sobie odpuścić. Niezbadane są ścieżki Pana, może w końcu spełni twoje życzenie.

Podobnie jak kilku innych moich rozmówców, Jackie czuła, że spełniła amerykański sen, ale wcale nie wiadomo, czy na zawsze.

– Jutro tego wszystkiego może nie być! – mówi, pokazując salon.

Ciężko pracowała. Czekała w kolejce. Z irytacją patrzyła, jak inni wpychają się przed nią; to ją zraziło do rządu. Podobnie jak Janice Areno, Jackie zbudowała osobowość zgodną z głęboką historią. Zaakceptowała minusy wolnego rynku, do których należały niestety zanieczyszczenia przemysłowe, ale robiła to na własny sposób.

Jackie podaje w salonie kawę i zostajemy same, żeby spokojnie porozmawiać. Mówi, że kocha przyrodę. Wychowana na wsi Janice Areno opowiadała o łowieniu ryb i polowaniach na jelenie. Jackie dorastała w Chicago, nigdy nie łowiła ryb ani nie polowała, nawet w zoo była zaledwie kilka razy. Jak na ironię, gdy napomknęłam o zanieczyszczonym środowisku, Janice przyznała, że istnieje taki problem, i szybko zmieniła temat. Ale teraz Jackie sama wprowadza do rozmowy tę kwestię, otwarcie wyrażając niepokój.

– W zeszłym tygodniu widziałam, jak w jeziorze Charles kąpał się mały chłopiec. Powinni postawić tam tablice z ostrzeżeniem. Co będzie, jeśli niechcący napił się wody? Przecież nurkował. Łatwo nałykać się wody. Krwawi mi serce, gdy o tym myślę – wyznaje.

Niepokoi ją też obecność substancji chemicznych w powietrzu i glebie, a jeśli tak ma być dalej, to ze względu na zdrowie rodziny wolałaby się stąd wyprowadzić. Zastanawiam się, jak to się dzieje, że ktoś, kto tak bardzo kocha przyrodę i nie zamyka oczu na szkody wyrządzane przez zakłady przemysłowe, staje się entuzjastą tego przemysłu oraz nieograniczonej konsumpcji jego produktów. W jaki sposób Jackie przeżywa swoją głęboką historię?

Jak w przypadku nas wszystkich, odpowiedź tkwi korzeniami w dzieciństwie. W śnieżny marcowy dzień w 1980 roku dziewiętnastoletnia Jackie nie miała pracy ani własnego kąta. Leżała na od dawna nieodkurzanej podłodze dużego pokoju w mieszkaniu swojej młodszej siostry, obok jej psa.

– Nie miałam własnego adresu. Znalazłam pracę w recepcji hotelowej w Dallas, potem zarabiałam, sprawdzając tytuły własności gruntów dla przedsiębiorcy budowlanego. Podejmowałam różne prace, nieźle mi szło, ale czułam się zagubiona, odrzucona i wściekła. Cały mój dobytek mieścił się w jednej walizce. Kiedy ojczym wyrzucił mnie z domu, została mi tylko siostra. Przyjęła mnie do siebie. Mieszkałam u niej półtora miesiąca i traktowałam ją wtedy okropnie – wspomina. – Miałam dwie prace, a kiedy byłam w domu, siedziałam w pidżamie, paląc i pijąc. Nie sprzątałam, wrzucałam brudne naczynia do zlewu i nabijałam siostrze rachunek za telefon. Okłamywałam ją. Codziennie robiłam taką listę: „Nie będę kłamać. Zacznę odkładać pieniądze. Przestanę pić”. Wszędzie ją ze sobą nosiłam. Medytowałam nad nią, udawało mi się wytrwać pół dnia, a potem wszystko zaczynało się od nowa. Czułam się martwa. Nie miałam nic i nie zanosiło się na to, że kiedykolwiek coś będę miała.

Przyszła na świat jako trzecie z piątki dzieci gospodyni domowej, irlandzkiej katoliczki, i agresywnego alkoholika, który porzucił rodzinę, kiedy Jackie miała osiem lat.

– Matka musiała pójść na zasiłek, żeby nas utrzymać – mówi. (Broni prawa do zasiłku dla kobiet w takiej sytuacji, uważa jednak, że stanowią niewielki odsetek korzystających z pomocy finansowej państwa). – Znalazła pracę, potem drugą i trzecią. Nie opowiadaliśmy jej o naszych problemach. I tak miała pełne ręce roboty.

W końcu matka Jackie ponownie wzięła ślub i razem z dziećmi przeprowadziła się do męża, do Luizjany. Kiedy wychodziła do pracy, jej córki musiały znosić wulgarne zaloty ojczyma. Jackie mu się postawiła. Wybuchła awantura i ojczym oświadczył, że jeśli teraz wyjdzie z domu, już nigdy nie będzie mogła wrócić. W wieku dziewiętnastu lat Jackie opuściła dom ze świadectwem ukończenia liceum i walizką w ręce i wkroczyła w emocjonalnie pusty, jak się wydawało, świat. Pomogła jej siostra, jednak Jackie czuła się zagubiona, dopóki nie wydarzyło się coś, co odmieniło jej życie.

Siostra była w pracy. Za oknem trwał „piękny, słoneczny dzień”. Leżąc na podłodze z psem, Jackie przeżyła moment przemiany.

– Patrząc na niebo, powiedziałam: „Jezu, jeśli naprawdę zbawiasz ludzi, to może mnie też byś zbawił? Bo sama nie dam rady”. Wstałam z podłogi. Nie wiedziałam, co zamierzam zrobić. Weszłam do łazienki, spojrzałam w lustro i zobaczyłam zupełnie inną dziewczynę. I to już wszystko.

– Jak wyglądała ta inna dziewczyna? – pytam.

– Była czysta i piękna. Wierzę, że po raz pierwszy w życiu zobaczyłam siebie tak, jak On mnie widzi. Pokazał mi, k i m  j e s t e m  d l a  N i e g o.

Uważa, że wszystko – jej małżeństwo z Heathem, dzieci, salon z pięknym kamiennym kominkiem, przestronny dom – jest świadectwem tamtej chwili.

– Abraham Lincoln był bardzo dobrym człowiekiem. Naprawdę go szanuję – stwierdza. – Ale gdyby minął mnie na drodze, nawet by na mnie nie spojrzał. A Jezus m n i e  w i d z i.

Prezydenci? Nie możesz ich zobaczyć, a oni nie widzą ciebie. A Jezus cały czas jest przy niej. Nauczył ją ufać, że dobre rzeczy same przyjdą. Jeśli czegoś zbyt silnie się pragnie, to może nawet przeszkodzić.

– Zaczęłam studiować Biblię i przeczytałam w niej, że „ci, którzy ufają Panu […] wzbijają się w górę na skrzydłach jak orły, biegną, a nie mdleją, idą, a nie ustają”[235]. – Przez chwilę milczy zamyślona. – Ci, którzy ufają. To oznacza, że jeśli wszystko jest w porządku, rzeczy się same wydarzą. Nie musimy w tym kierunku nic r o b i ć.

Co ciekawe, Jackie ma wiele podziwu dla swojej matki, która wiele r o b i ł a, by poprawić sytuację rodziny. Porzucona przez męża, zostawiona z piątką dzieci, skazana na pomoc społeczną, najpierw znalazła źle płatną pracę w Chicago Flower City.

– Wiesz, jak zdobyła pierwszą dobrą posadę sekretarki medycznej? Poszła do biblioteki, przeczytała, co robią sekretarki medyczne, odstawiła się, zgłosiła na rozmowę, s k ł a m a ł a, że ukończyła c o l l e g e, i ją zatrudnili. Świetnie sobie radziła i po latach doszła do stanowiska opiekuna klienta w agencji reklamowej. – Jackie śmieje się zachwycona.

Tego rodzaju operatywności nie uczą w college’u. Jackie też jest bardzo przedsiębiorczą osobą, ale idzie inną drogą niż matka, przynajmniej na razie. Czasem trzeba stłumić silne pragnienie; wtedy zdarzy się coś dobrego – znajdziesz opiekuńczego męża, będziesz mogła się cieszyć spłaconym domem.

### *Nagroda za wyrzeczenie się pragnień*

Jackie kończy opowiadać swoją historię i niespodziewanie proponuje:

– Chcesz, żebym zabrała cię na wyprawę?

Przekładamy na tylne siedzenie dziecięce kurtki i tenisówki i wsiadamy do jej

SUV-a. Opuszczamy Courtland Place przez flankowaną ceglanymi filarami bramę, mijamy puste pole i wjeżdżamy na główną drogę, przy której ciągną się centra handlowe. Po pewnym czasie docieramy do płaskiego jak patelnia osiedla skromnych szeregowców otoczonych schludnymi trawniczkami. Jackie zatrzymuje się przed jednym z wielu niemal identycznych budynków. Mówi, że to był ich pierwszy dom. Mieszkali tutaj z Heathem, kiedy dzieci były małe. Ich sąsiadami byli technicy z rafinerii, barmani, konserwatorzy urządzeń i kasjerzy z trzech ogromnych kasyn w Lake Charles. Wielu z nich pracowało do późna i osiedle przez większą część dnia stało puste.

– Nie zdążyliśmy poznać sąsiadów, ale dzieci mogły tu bezpiecznie jeździć na rowerkach – wyjaśnia, pokazując ślepy zaułek.

Ruszamy w dalszą drogę i po dziesięciu minutach jazdy przez dzielnicę jednorodzinnych ceglanych domów poprzedzielanych niskimi żywopłotami docieramy do drugiego domu.

– Drugi dom zbudowaliśmy w Pine Mist Estate. Spłaciliśmy go w ciągu trzech lat – mówi. Przez okno samochodu pstrykam fotkę ładnemu parterowemu domowi w stylu ranczo, z czerwonej cegły, wykończonemu białymi listwami. Przed fasadą pochylają się wdzięcznie trzy średniej wielkości palmy.

Widziałyśmy dwa dawne domy. Zastanawiam się, czy to już koniec wyprawy.

– Kiedy mieszkaliśmy w Pine Mist Estates, m a r z y ł a m o przeprowadzce do Autumn Run – ciągnie Jackie.

Przejeżdżamy przez jeszcze jedno niewielkie osiedle i zatrzymujemy się przed trzecim domem: tym, o którym m a r z y ł a, mieszkając w Pine Mist. To też jednopiętrowy budynek w stylu ranczo, usytuowany na narożnej działce bez ani jednego drzewa, większy od poprzedniego, ale mniejszy od tego, w którym mieszka teraz. Dom numer 3 był większy od domu numer 2. Ale tego domu bała się pragnąć.

Jackie nauczyła się być posłuszną chrześcijańską żoną i podporządkowywać swoje pragnienia pragnieniom Heatha. Przeżyła dwa katastrofalne małżeństwa matki i chciała, by jej związek z mężem się udał. Uważała, że w tym celu musi być dla Heatha tym, kim Ewa była dla Adama, „żebrem”, pomocnicą, wierną towarzyszką życia. Stało się to źródłem wewnętrznego konfliktu.

– T a k b a r d z o pragnęłam tego domu – powtarza, wpatrując się w obiekt swych dawnych marzeń. – Ale ani jednym słowem nie wspomniałam o tym Heathowi. Nie było nas na to stać. Mąż ciężko pracował. Nie chciałam wywierać na niego presji. Wstydziłam się, że marzę o czymś, czego nie mogę mieć. Nigdy nie dowiedział się, j a k b a r d z o chciałam mieszkać w Autumn Run. Ale popatrz, jak ten dom wygląda t e r a z.

Wyrwa w dachu. Odpadający tynk. Przewrócone ogrodzenie – nieusunięte ślady niszczycielskiego huraganu Rita.

– Dzieci nazywają teraz to osiedle Autumn Ruina – mówi Jackie.

Po obejrzeniu domu numer 1 (gniazdka młodego małżeństwa), domu numer 2 (trochę większego) i domu numer 3 (byłego obiektu marzeń) wracamy do domu numer 4 (pięknego domu Jackie). Chce mi coś wyjaśnić na temat swojego stosunku do domu numer 3. Pragnęła go „za bardzo”.

– Z a w s z e  c h c i a ł a m mieszkać w Autumn Run – powtarza.

Pokazała ten talizman pragnień na dowód, że niemądrze jest chcieć czegoś za bardzo. Dawny obiekt marzeń Jackie jest niczym w porównaniu z jej obecnym domem, o którym mówi:

– Przekracza moje najśmielsze oczekiwania, a do tego spłaciliśmy go w ciągu trzech lat, chociaż myślałam, że potrwa to co najmniej trzydzieści.

– Powiedziałam córce: wiesz, co by było, gdybym naciskała na przeprowadzkę do Autumn Run? Zostalibyśmy tam, chociaż to ten [obecny dom] był nam przeznaczony. Zacytowałam ten fragment Biblii, że nie musimy nic robić, żeby spełniły się nasze marzenia.

Domy numer 1, 2, 3 i 4 stanowiły kolejne szczeble drabiny do spełnienia amerykańskiego snu. Na jednym z tych szczebli Jackie za bardzo chciała wspiąć się wyżej i wyciągnęła z tego naukę, która stała w pewnej sprzeczności z głęboką historią: nie należy za bardzo marzyć o zrobieniu kolejnego kroku na drodze do amerykańskiego snu. To była zachłanność. Jackie wykonała dużą emocjonalną pracę, by powstrzymać się od zachłannego sięgnięcia po obiekt swoich marzeń. Zabrała mnie na tę wyprawę, żebym to zrozumiała.

W drodze powrotnej do domu Jackie pokazuje mi coś za oknem samochodu,

– Widzisz tam? To Crestview. – Osiedle z potencjalnymi domami numer 5, 6 i 7. – Tu mieszkają superbogaci – mówi. – Nigdy tędy nie jeżdżę. Nie chcę. Nie chcę chcieć tu mieszkać. – Marzenie o rzeczach, których nie mogła mieć, w przeszłości zbyt wiele ją kosztowały. – Byłam biedną irlandzką dziewczynką – opowiada. – Rozpaczałam, że nie mam ładnego domu, jak inne dzieci. Część moich koleżanek pochodziła z bogatych rodzin, poszły na najlepsze uczelnie Ligi Bluszczowej. W Chicago mieszkaliśmy przy Elliott Road. Po naszej stronie ulicy wszyscy byli biedni. Ładnie się ubieraliśmy, więc nie było widać, że nic nie mamy.

Zazdrościła dziewczynkom z przeciwnej strony Elliott Road szczęśliwych rodzin i pięknych domów. Było jej bardzo trudno nie pragnąć tego, co one miały bez żadnego wysiłku. Ale Jezus pomógł jej wyrzec się pragnień. W nagrodę może się teraz cieszyć swoim wspaniałym domem.

Została także w inny sposób wynagrodzona za gotowość do odrzucenia marzeń. Chociaż była nawróconą chrześcijanką, z początku niechętnie chodziła do kościoła baptystów, do którego należał jej mąż. Jeszcze większą niechęć budził w niej obowiązek oddawania Kościołowi dziesięciu procent ciężko zapracowanych

dochodów.

– Oprócz trzydziestu trzech procent, które zabiera nam w podatkach rząd – podkreśla.

Mieli do zapłacenia ratę za dom, czesne za prywatną chrześcijańską szkołę dzieci, ubezpieczenie zdrowotne i od skutków huraganu, ubezpieczenie samochodu, benzynę – i do tego jeszcze dziesięć procent na Kościół. Skąd mieli wziąć na to wszystko pieniądze? A to jeszcze nie koniec. Kościół Baptystyczny Świętej Trójcy ogłosił zbiórkę na remont i rozbudowę, prosząc wszystkich parafian, by zrzucili się po kolejne trzy tysiące dolarów. Z początku Jackie uznała, że ich na to nie stać. Trzydziestosiedmioletni wówczas Heath zarabiał osiemnaście dolarów za godzinę w firmie budowlanej swojego ojca (oprócz tego otrzymywał premię w wysokości jednej trzeciej zysków). Ale Heath zobowiązał się dać Kościołowi żądaną sumę. Jako posłuszna chrześcijańska żona Jackie zrezygnowała z marzeń o szybkiej spłacie kredytu.

Odkryła, że kiedy wyrzeknie się jakiegoś pragnienia, dostaje inny dar, jeszcze piękniejszy. Po przejściu huraganu Rita, który zniszczył domy i powyrywał drzewa, Heath miał wiele zleceń i zarobił mnóstwo pieniędzy. Odbudowywał domy ludzi gnieżdżących się tymczasowo w przyczepach kempingowych. Święta Trójca poprosiła go o postawienie ścianek działowych w sali zabaw dla dzieci i siłowni.

– Mimo tych trzech tysięcy i stałej dziesięciny na Kościół, spłaciliśmy kredyt za dom – cieszy się Jackie.

Opowiada, że w każdej pracy, jaką dotychczas miała, zawsze szybko zaczynała szefować.

– Jestem w tym dobra – mówi.

Ale kiedy uznała Chrystusa za swojego Zbawiciela, przyłączyła się do Kościoła Baptystycznego Świętej Trójcy i została chrześcijańską żoną, wyrzekła się chęci szefowania.

– Żona jest towarzyszką mężczyzny. Ewa została stworzona, by pomagać Adamowi. A ja zostałam stworzona, by pomagać Heathowi.

Wyrzekłszy się jednego pragnienia, Jackie spełniła inne: mogła zostać w domu i zająć się wychowywaniem dzieci.

Mijając kolejne osiedla domów jednorodzinnych, wracamy do Courtland Place. Rozmowa schodzi na temat zanieczyszczeń przemysłowych.

– Żyjemy w zatrutym środowisku – mówi Jackie. – Niedawno najbliższy przyjaciel mojego syna, Patrick, umarł na rzadką neuroblastomę. Miał dziewięć lat. Dziewięć! To bardzo mało. Jego rodzice sądzą, że chorobę spowodowały zanieczyszczenia chemiczne, ale nie są w stanie tego udowodnić.

Kandydaci na kongresmenów, media, Kościół i przemysł pomijały milczeniem problem zanieczyszczonego środowiska. Przypominało to zbiorową amnezję, o której

pisał Edward E. Evans-Pritchard i która spowodowała, że pamiętając o Bayou d'Inde, Arenowie rzucili wyzwanie swojej społeczności. Milczenie to rozciąga się także na prywatny świat Jackie.

– Zanieczyszczenia? Rzadko rozmawiamy o tym w gronie znajomych – mówi. – Całe miasto żyje z ropy naftowej. Czasem gawędzę z dwoma zaprzyjaźnionymi mamami, których mężowie pracują w rafineriach. Obawiają się, że wprowadzenie federalnych standardów ochrony środowiska pociągnie za sobą likwidację miejsc pracy albo zniechęci kolejne koncerny do otwierania produkcji na terenie Luizjany. Nie chcesz im o tym p r z y p o m i n a ć. Ani podsuwać myśli, że twoim zdaniem ich mężowie robią coś złego. To ich bezpośrednio dotyczy.

I znów milczenie. Wielu pracowników zakładów przemysłowych rzeczywiście znajdowało się między młotem a kowadłem – jako entuzjastyczni członkowie wędkarsko-łowieckiego Calcasieu Rod and Gun Club i miłośnicy dzikiej przyrody czuli wyrzuty sumienia, że przykładają rękę do niszczenia środowiska, lecz jako robotnicy przemysłowi uważali, że powinni siedzieć cicho. Przez szacunek dla nich Jackie i Heath też nie poruszali tego tematu. Pewien inspektor przemysłowy powiedział mi, że widział „w męskiej toalecie w fabryce Axiall [dawne PPG] ostrzeżenie «Woda z kranu nie nadaje się do picia». […] Ale nikt nie mówił o tym dlaczego".

Jackie była wyznawczynią. Rozwinęła w sobie postawę nabożnej pokory i zdolność do doniosłych wyrzeczeń. Nie próbuje przemóc swojej awersji do przepisów, lecz mówi, że trzeba nauczyć się żyć bez nich. To ją upodabnia do graczy drużynowych, takich jak Janice Areno. Przystosowujesz się. Fajnie byłoby mieć czyste powietrze i czystą wodę. Pragnęła ich tak samo jak ładnego domu. Ale czasem trzeba się obejść bez tego, czego się chce. Jackie uważała, że nie można mieć j e d n o c z e ś n i e przemysłu naftowego i czystych jezior i wobec konieczności wyboru trzeba wybrać naftę.

– Ropa przyniosła nam wiele korzyści – powiedziała. – Nie chcę mieszkać w mniejszym domu. Nie chcę jeździć mniejszym samochodem.

Praca operatora centrum kontroli w rafinerii była przepustką do domu w Pine Mist. Nieliczne stanowiska inżynierskie zapewniały dostęp do Autumn Run, a posada dyrektora do Courtland Place. Quad arctic cat, SUV, dom: Jackie czuła, że pośrednio zawdzięcza to wszystko przemysłowi naftowemu. Rząd federalny próbował stanąć na drodze zarówno nafciarzom, jak i dobremu życiu.

Będąc graczem drużynowym, Janice Areno nie pozwalała sobie na smutek z powodu zniszczonego środowiska, Bayou d'Inde, gumowanego konia. Z lojalności wobec przemysłu i Partii Republikańskiej broniła się przed „przesadnym" niepokojem o środowisko, brunatne pelikany i zdrowie mieszkańców. Lecz Jackie Tabor nie wypierała smutku. To straszne, że do tego wszystkiego doszło. Jednak pozwoliwszy

sobie na smutek, wyrzekała się chęci naprawienia szkód, ponieważ wymagałoby to ingerencji jeszcze straszniejszego rządu w Waszyngtonie. Obie kobiety w różnych miejscach stawiały emocjonalną cezurę. Janice powstrzymywała się przed uznaniem straty i związanym z nią smutkiem. Jackie wyrzekała się istotnego pragnienia. Czyste środowisko? Niestety, to nie dla nas.

– Dostałam imię po Jacqueline Kennedy – mówi.

Jej mina zdradza, że to mnie miało zaskoczyć. Podziwia rodzinę Kennedych, ale uważa, że dzisiaj rząd, tak jak w głębokiej historii, jest nieuczciwy, skorumpowany, nikczemny i podły. Nie może nikomu pomóc.

Według Jackie, i wielu innych osób prezydent Obama nie jest prawdziwym chrześcijaninem ani prawdziwym Amerykaninem, i to zarówno ze względu na jego wychowanie, jak i poczucie lojalności. Jej nieufny stosunek do państwa rozciąga się na wszystkie jego szczeble: od prezydenta przez redystrybucyjną rolę rządu federalnego po niemal większość jego pozostałych funkcji, łącznie z ochroną środowiska.

Mimochodem zaznacza, że nie czuje najmniejszego podziwu dla obywateli, którzy chętnie płacą podatki. Nie jest wdzięczna rządowi za to, co dla niej robi, i uważa, że inni też nie mają powodów do wdzięczności. Lekko drwiącym tonem przywołuje postać finansisty Warrena Buffetta.

– Jest bardzo bogaty i twierdzi, że c h c e płacić wyższe podatki, bo to by było sprawiedliwsze wobec biednych. – (Buffett powiedział, że nie uważa za sprawiedliwe, iż jego sekretarka płaci wyższe podatki od niego). – Okej. Daj dobry przykład – pokpiwa. – Co cię powstrzymuje, kolego? Jeśli sądzisz, że płacisz za małe podatki, wypisz czek. Idź do telewizji, niech cały świat się dowie, jaki z ciebie bohater. Nie krępuj się. No, dlaczego nie wypisujesz czeku?

W jej głosie słychać frustrację. Uważa, że Buffett doprasza się o pochwałę za bycie dobrym obywatelem systemu, w który ona sama już nie wierzy. Stawiany jest za wzór liberalnej wdzięczności za publiczne szkoły, biblioteki i parki. Ale to liberalne reguły odczuwania, których ona nie podziela.

– Oczywiście nie jestem przeciwniczką walki z zanieczyszczeniem środowiska. Popieram wprowadzenie przepisów przeciwko trucicielom – oświadcza, poprawiając się czym prędzej: – To znaczy p o p i e r a ł a b y m, gdyby rząd nie wykorzystywał zanieczyszczenia środowiska jako pretekstu do zwiększania swoich uprawnień. – Nie należy również ufać ekologom. – Naciskają na rząd, żeby się coraz bardziej panoszył, i są zaangażowani finansowo w energię słoneczną i wiatrową.

To przekonanie o zdradzie i interesowności nie rozciąga się jednak na Konstytucję i flagę Stanów Zjednoczonych. Przy innej okazji pojechałam z Jackie do małej chrześcijańskiej szkoły, żeby obejrzeć przedstawienie, w którym występował jej syn. Siedziałyśmy na widowni razem z przemiłą teściową i matką teściowej Jackie.

Christian wychodzi na proscenium, prosi zebranych rodziców, by wstali, odczytuje ustęp z Biblii i mówi, by wszyscy usiedli. Te same czynności powtarzają kolejni uczniowie. W ramach spektaklu wyświetlany jest filmik, któremu towarzyszy [pieśń patriotyczna] *America the Beautiful*. Na ekranie powiewa majestatycznie amerykańska flaga, podświetlona jaskrawymi promieniami zachodzącego słońca.

– Zrób komórką zdjęcie! – szepce mi do ucha Jackie. – F l a g i!

W jej poczuciu amerykański rząd jest zdrajcą, ale amerykańska flaga pozostaje nieskalanie czysta.

Liberałowie stanowią dla Jackie problem, bo wierzą w co innego niż ona i mogłoby się zdarzyć, że przekonają do swoich poglądów także jej dzieci. Wracamy do domu ze szkolnego przedstawienia, na tylnym siedzeniu SUV-a jadą dzieci Jackie.

– Dzieciaki oglądały kiedyś na Disney Channel serial *Victoria znaczy zwycięstwo*. Wydawało mi się, że wszystko gra. – I tak było, dopóki komentator nie zaczął nagle mówić o globalnym ociepleniu. – Nie wierzymy w globalne ocieplenie. – To także wydawało się częścią zdrady, pretekstem do zwiększania prerogatyw rządu. – Powiedział, że tylko idioci oglądają Fox News. Całe szczęście, że siedziałam przed telewizorem razem z dziećmi i to wyłapałam. Pomyślałam wtedy: „Jak długo jeszcze moje dzieci będą wierzyły mnie, a nie jemu? Rok? Pół roku?”.

W przypadku Jackie istotną rolę w powściąganiu impulsu, by zawalczyć o czyste środowisko, odgrywała również wiara.

– Gdybym nie odnalazła wiary, pewnie bardziej bym się angażowała – mówi. – W dzieciństwie pisałam listy do wszystkich prezydentów, żeby powiedzieć im, co moim zdaniem powinni zrobić. Ale teraz już tak się tym nie przejmuję. Myślę, że wielu aktywistów kieruje się wyrachowaniem. Trzeba umieć pogodzić się z tym, co jest.

Jackie ma osobowość zgodną z głęboką historią: pozostawiła za sobą trudne dzieciństwo i kosztem ogromnego wysiłku przesunęła się na początek kolejki po amerykański sen. Bała się, że jej rodzina może stracić to miejsce. Mijamy owinięty amerykańską flagą kamień na podwórzu sąsiada i parkujemy SUV-a pod wiatą obok ubłoconego arctic cata.

– Zanieczyszczenie środowiska to ofiara, którą musimy ponieść w imię kapitalizmu – mówi Jackie, ze smutkiem kręcąc głową.

# 12
# Kowboj: Stoicyzm

Cebula słodkiej odmiany vidalia przez cały czas leży w zasięgu ręki brata Cappy'ego jako półżartobliwe ostrzeżenie, żeby nie skakać sobie do oczu. Przy stole w domu Cappy'ego i Fay Brantleyów zasiadło do niedzielnego obiadu około dziesięciu osób. Brat Cappy i siostra Fay są szacownymi członkami starszyzny Kościoła zielonoświątkowego w Longville, godzinę jazdy na północ od Lake Charles. Zaprzyjaźniony z gospodarzami Mike Tritico zapytał, czy może mnie przyprowadzić. Wszyscy obecni przyszli prosto z nabożeństwa w kościele zielonoświątkowców albo w miejscowym kościele baptystów i wiedzą, co symbolizuje cebula. Za chwilę rozpocznie się tradycyjna debata dwóch zagorzałych polemistów, stałych bywalców niedzielnych obiadów u Brantleyów. To jednocześnie bezpardonowy domowy teatr, wywołujący salwy zbiorowej wesołości, i publiczne roztrząsanie poważnych różnic poglądów. Cebula Cappy'ego jest stałym żartem, napomnieniem: „Nie przekraczajcie granic, chłopcy". Dyskusja na dowolny temat związany ze środowiskiem, przepisami czy rządem federalnym może się łatwo przerodzić w awanturę.

Lubiany przez wszystkich brat Cappy jest emerytowanym serwisantem linii telefonicznych o ojcowskim sposobie bycia, migdałowych oczach i przerzedzonych rudych włosach. Przed obiadem byłam z Brantleyami w kościele. Brat Cappy wygłosił słowo do wiernych i przedstawił człowieka, który zameldował, ile osób wzięło udział w nabożeństwie (trzydzieści osiem) i ile zebrano pieniędzy (42,45 dolara). Żona Cappy'ego, siostra Fay, w długiej sukience w kwiaty, okularach w jasnej oprawie, z siwymi lokami upiętymi wysoko na czubku głowy, w kościele z werwą śpiewała pieśni gospel, a teraz zaprasza nas do swojego przytulnego domu. Przechodzimy rządkiem obok karmników dla ptaków i rabatek i wspinamy się po schodkach na ganek z drewnianą huśtawką, niechcący wypłaszając dobrze utuczonego kota tricolora. Na tym ganku sąsiedzi spotykają się przy porannej kawie. Dom Brantleyów stoi na terenie zamkniętego osiedla rodzinnego.

– Cała rodzina tu mieszka – wyjaśnia z dumą Fay. – Córka z mężem i dziećmi tutaj – pokazuje w lewo – a syn z rodziną tam – pokazuje w prawo. Z tyłu mieszka moja dziewięćdziesięciojednoletnia matka.

Jest z nami także ich kuzyn, który kształci się na pastora, i zięć, inspektor w CertainTeed.

– A na dodatek brat Cappy i siostra Fay zaadoptowali n a s! – oznajmia radośnie Mike Tritico, mając na myśli siebie i innego stałego uczestnika niedzielnych obiadów

u Brantleyów, emerytowanego konserwatora torów i wiaduktów kolejowych. – Mają wielką rodzinę.

Cappy i Mike od wielu lat są przyjaciółmi. Cappy razem z innym członkiem Kościoła przez dwanaście lat „leczył wiarą” uporczywe bóle pleców, na które cierpiał Mike. To doświadczenie jeszcze mocniej związało ich ze sobą. Oprócz niedzielnych obiadów prawie codziennie spotykają się na ganku, by poplotkować i podyskutować o polityce przy porannej kawie.

Trzy młode kobiety – córka, synowa i wnuczka Brantleyów, studentka pierwszego roku na Uniwersytecie Stanowym McNeese – zostały w domu, by przygotować pieczeń wołową z sosem, ziemniaki, zielony groszek, chleb kukurydziany i słodką herbatę. (Pójdą na nabożeństwo wieczorne). Nakryły do dwóch stołów. Zwykle kobiety i mężczyźni jedzą osobno, ale Mike zapytał Brantleyów, czy mogłabym usiąść przy męskim stole i posłuchać jego cotygodniowej debaty z Donnym McCorquodale’em.

Bardzo chciałam poznać tego emerytowanego pracownika filmy telekomunikacyjnej, nienawidzącego przepisów i organów nadzoru. Tyczkowaty, wysportowany blondyn po sześćdziesiątce, w płóciennych spodniach i niebieskiej koszuli, siedzi w niedbałej pozie na swoim krześle i milczy. Wiem od Tritico, że jest najmłodszym synem bardzo religijnej baptystki, znanej w okolicy „wojowniczki modlitwy”. Kiedy dorastał, jego matka, podobnie jak kilka innych dewotek z Merryville, nosiła długie suknie, nie obcinała włosów i gromiła młode dziewczęta za nieskromne zachowanie. Być może w buncie przeciwko tak rygorystycznemu wychowaniu Donny wyrósł na nieustraszonego śmiałka i żartownisia. Obecnie wraz z drugą żoną wychowuje dwójkę małych dzieci, w tym adoptowanego chłopca z Hondurasu. Słynie ze spontanicznych aktów hojności. Pewnego razu zauważył, że Tritico ogląda na kościelnym kiermaszu drewniane organy za dwadzieścia pięć dolarów, na które nie było go stać. Donny zapłacił za instrument, zawołał człowieka z wózkiem i kazał mu dostarczyć organy do chaty Mike’a. Brakuje im kilku klawiszy i czasem wydają dziwne dźwięki, ale do dziś stoją u Tritico, przypominając o dobrym sercu Donny’ego.

Choć kiedyś popierał demokratów, w wyborach prezydenckich Donny zagłosował na George’a W. Busha, bo „jeśli Al Gore wierzy w zmianę klimatu, to jest za głupi na prezydenta”. Od tamtej pory jego poglądy przesunęły się jeszcze bardziej na prawo i dziś popiera skrajne skrzydło republikanów.

W okolicach Longville krążą o nim niezliczone historie, przyjmowane przez słuchaczy ze zdumieniem i niedowierzaniem. Donny przez wiele lat pracował w firmie telekomunikacyjnej, gdzie tak jak Cappy jeździł furgonetką serwisową i naprawiał awarie. Pewnego dnia Cappy gnał sto mil na godzinę po autostradzie, gdy nagle usłyszał klakson. Wyjrzał przez okno i – jak głosi legenda – osłupiał na widok

furgonetki Donny’ego, która jechała równo z nim, sto na godzinę, ale na wstecznym biegu. Donny lubił ukradkiem przekłuwać szpilką styropianowe kubki z kawą kolegów z pracy, które zaczynały tajemniczo przeciekać. Pracował przy wyrębie lasów, budował rurociągi na Alasce, wdrapywał się na słupy telefoniczne i naprawiał przewody; zawsze wybierał niebezpieczne zajęcia[236]. Nie uznaje ograniczeń prędkości i nienawidzi ekologów.

– Zagadają się na śmierć o zanieczyszczeniach.

Janice Areno cierpliwie znosiła zanieczyszczenie środowiska z lojalności wobec swojej drużyny, Partii Republikańskiej; cierpliwość Jackie Tabor wynikała z postawy motywowanego wiarą wyrzeczenia. Donnym kieruje podziw dla odwagi. Jest kowbojem.

Napełniamy talerze, zajmujemy miejsca i zmawiamy modlitwę. U szczytu stołu siedzi brat Cappy; Mike Tritico i Donny usiedli naprzeciwko siebie, po jego prawej i lewej ręce. Obaj są biali, religijni i obaj mieszkają w Longville. Są sąsiadami i przyjaciółmi, którzy w pewnej konkretnej sprawie zajmują przeciwne stanowiska. Obaj wysoko cenią honor i uczciwość, ale pod pewnymi względami się różnią. Matka Mike’a, choć emocjonalnie niezrównoważona, skończyła college, a Mike przez trzy lata studiował medycynę i przez dwa biologię morza. Rodzice Donny’ego nie mają wyższego wykształcenia, ale Donny przez pewien czas studiował leśnictwo.

Zaczynają rozmawiać o wycieku dichlorku etylenu, który w 1994 roku wykryto w rurociągu łączącym Condea Vista z rafinerią Conoco. Był to największy wyciek chemiczny w historii Stanów Zjednoczonych. Jak wspomniałam wcześniej, Condea Vista zatrudniła pięciuset robotników do usunięcia spod czterdziestopięcioletniej rury gliny przesiąkniętej dichlorkiem etylenu; szacuje się, że od ośmiu i pół miliona do dwudziestu jeden milionów kilogramów toksycznej substancji przeniknęło do gleby. Robotnicy nie dostali odpowiedniej odzieży ochronnej. Wielu z nich zaczęło mieć kłopoty z oddychaniem i kilka lat później pozwali Condea Vista do sądu[237].

Ale na tym problem się nie skończył. Dichlorek etylenu przeniknął przez gliniastą glebę i zaczął się powoli przemieszczać w kierunku fundamentów estakady drogi międzystanowej I-10, łączącej Lake Charles z Westlake. Codziennie przejeżdża przez nią pięćdziesiąt tysięcy samochodów. Madonna Massey uważa estakadę za „upiorną”. Jackie Tabor starała się nią nie jeździć. Inni moi rozmówcy twierdzili, że z tą drogą jest „coś dziwnego”, ale nie wspominali o wycieku EDC.

Goście wstają od stołu, biorą sobie dokładkę i wracają na miejsca w oczekiwaniu na następny punkt programu. Donny McCorquodale i Mike Tritico rozpoczynają debatę na temat dichlorku etylenu i filarów estakady I-10.

### *Estakada*

– Zarząd dróg po raz pierwszy mówi o zamknięciu I-10 bez zbudowania drugiej estakady – otwiera dyskusję Mike Tritico. – Nie mogą przekopać się do podłoża skalnego przez gąbczastą glinę przesiąkniętą EDC. To pokazuje, że [burmistrz Lake Charles i inżynierowie z zarządu dróg] zdają sobie sprawę z zagrożenia. Jest się czego bać. Przydałby się lepszy nadzór. – Tritico kieruje się zasadą ostrożności i w swoich polemikach z Donnym stale się na nią powołuje.

– Tej samej zasady przestrzegają lekarze: po pierwsze, nie szkodzić – podkreśla.

Uważa, że mądra władza zastosowałaby ją również do I-10.

– Nie czepiaj się koncernu – odparowuje Donny. – Nie wiedzieli, że ich rurociąg przecieka. Kiedy go kładli czterdzieści lat temu, nie zdawali sobie sprawy, że tak to się skończy.

Mike:

– Nie mogą się tłumaczyć, że w latach 70. nie mieli pojęcia, co EDC zrobi z naszą gliną. Condea Vista i Conoco wiedziały, jak dichlorek etylenu wpływa na glebę, bo przeprowadziły dwa oddzielne badania, które wykazały, że ma niszczące działanie na tutejszą glinę.

Donny:

– Nie mogli być pewni. Dlaczego mieliby wierzyć w to, co mówią eksperci? To, że jakiś mądrala nazywa coś prawdą, wcale nie znaczy, że tak jest. Kiedy zarabiasz na czymś milion dolarów dziennie, a ktoś każe ci przestać, nie przyznasz, że to prawda, dopóki nie będziesz tego całkowicie pewien. Ja bym nie uwierzył na słowo.

Mike:

– Koncerny udają niewiedzę. Mówią: „Będziemy wierzyć w to, co nam pasuje, i mamy gdzieś naukowe dowody, że jest inaczej”. Lekceważą informacje od własnych ekspertów.

Donny:

– Eksperci czasem się mylą. Pamiętasz, jak w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym trzecim roku wprowadzili obowiązek zapinania pasów? Miałem wtedy pontiaca z biodrowym pasem bezpieczeństwa. Jeździłem z zapiętym. W chevroletach i fordach w ogóle nie było pasów. GMC montował je w pickupach. Niektórzy uważali, że to dobre rozwiązanie, inni, że złe. A później ustawodawcy uznali, że biodrowy pas bezpieczeństwa nie spełnia zadania. Wyszło na to, że wszyscy przestrzegaliśmy idiotycznych przepisów.

Mike:

– Skoro Condea Vista i Conoco postanowiły schować głowy w piasek i nie przyjmować do wiadomości, że dichlorek etylenu może spowodować rozpad gleby pod filarami estakady I-10, to teraz, kiedy już do tego doszło, powinny zapłacić za skutki swojej niefrasobliwości.

Donny:

– Nie możesz z automatu zrzucać winy na koncerny jak ci prawnicy, którzy niczego innego nie robią.

Mike:

– A jeśli i c h działalność doprowadziła do zniszczenia t w o j e j estakady? Przypuśćmy, że estakada wali się nagle, kiedy jedziesz po niej samochodem, bo glina pod filarami zmieniła się w gąbkę. Giniesz. Twoja rodzina powie: „Chwileczkę. Koncern wiedział, że niszczy glinę”.

Donny:

– Chcesz, by wszystko było doskonałe, a koncerny nie popełniały błędów, ale nie możesz, nie możemy tak żyć. Kiedy dążysz do doskonałości, stajesz się zbyt ostrożny, a trzeba umieć podejmować ryzyko. Tak rozbili atom: ryzykując. Tak wynaleźli szczepionki: ryzykując. Działali odważnie. Wiele dobrego zawdzięczamy temu, że ludzie mają o d w a g ę zaryzykować. Te wszystkie przepisy ochrony środowiska to nadmiar ostrożności. Unikamy tego, co złe, zamiast maksymalizować to, co dobre. Żyjąc w cywilizacji, musisz podejmować ryzyko. Błędy b ę d ą się zdarzać. Jeśli chcesz osiągnąć sukces, nie możesz być zawsze doskonały. Ludzie uczą się na błędach. Inaczej nie wynaleźlibyśmy tego wszystkiego, nie żylibyśmy w świecie plastiku. Kierownice w samochodach, obudowy komputerów, kable telefoniczne, przy których pracowałem, to mnóstwo plastiku. Nie zbudowalibyśmy tego kraju, gdybyśmy wszyscy wystrzegali się ryzyka, tak jak ty. Czy chcemy wrócić do mieszkania w szałasach i czytania przy lampie naftowej? Wypadki się zdarzają. Nafta też się czasem rozlewała. I co z tego? Mieli jej nie używać?

Mike:

– Nikt nie mówi o powrocie do lamp naftowych ani o niepopełnianiu błędów.

Donny:

– Przepisy są jak b e t o n: jak raz je wprowadzisz, stwardnieją i staną się już nie do ruszenia.

Odpowiada mu salwa śmiechu. Kobiety przysiadają się do jednego końca męskiego stołu.

Donny:

– Kiedy coś zostanie uregulowane przepisami, bardzo trudno to cofnąć. Wprowadzają je stopniowo, przez lata, po troszku, a potem nagle jest tak jak teraz: wszędzie twardy beton. Na wszystko są przepisy. Tkwimy po uszy w betonie.

Rozmowa schodzi na temat zakazu bicia się na placach zabaw.

– Dzieci mają naturalną potrzebę dominowania i jak czegoś chcą, to próbują to dostać – mówi Donny. – Chyba że jakiś chłopak boi się, że mu rozkwaszą wargę. To naturalna kolej rzeczy. Przepisy w to ingerują. Nie zauważamy zła, które wyrządza

prawo.

Mike:

– Nie mówię o regulowaniu przepisami wszystkich aspektów życia ani o unikaniu wszystkich błędów. Chcę tylko, żebyśmy nie dopuszczali do t a k i c h błędów, jak zrzucanie do rzek substancji chemicznych, które wywołują rzadką odmianę raka mózgu i endometriozę albo mogą spowodować zawalenie się estakady i śmierć niewinnych ludzi, w tym dzieci. Dlaczego takie nieszczęścia mają się zdarzać, skoro wiemy, jak się przed nimi uchronić?

Donny:

– Jestem zdania, że niestety musimy być przygotowani na różne sytuacje. Samodzielnie podejmować decyzje. Przy takiej masie przepisów rząd właściwie żyje za nas. Nie jesteś podmiotem, tylko przedmiotem.

Mike:

– To znaczy, że jeśli z własnej woli jedziesz I-10 i coś ci się stanie, to s a m jesteś sobie winny?

W tym momencie adoptowana córka Donny’ego, śliczna szesnastolatka, siada na kolanach przybranego ojca. Obejmuje ją ramionami i mówi dalej:

– Powiedziałbym, że w dużym stopniu tak. Nie wiem, co na to moje dzieci.

Wnuk gospodarzy obchodzi dookoła stół, pytając nas kolejno, czy chcemy truskawek do lodów.

– Możesz zachorować – Mike Tritico mówi Donny’emu. – Ja zachorowałem. Matka Natura w Bayou d’Inde jest chora. Rozchorowała się przez ludzi, którzy myślą tak jak ty. Już prawie nigdzie nie ma warunków do tego, by wieść kreatywne życie, bo nasi przywódcy podejmują decyzje, kierując się brawurą.

Zapada cisza. Polemiści szykują się do rozstrzygającej wymiany ciosów.

Mike:

– Zobacz, co się dzieje, kiedy taki facet jak ja próbuje poznać przyczyny i skutki wycieku dichlorku etylenu. Koncerny nabrały wody w usta, rząd też. Powołujesz się na ustawę o wolności informacji, dostajesz trzy tysiące stron pozaczernianych markerem i nadal nie wiesz, co się naprawdę wydarzyło. Dlaczego mamy się na to zgadzać? I jakim cudem to moja wina, jeśli coś mi się stanie albo zginę?

Donny:

– Jeśli mamy ograniczać ryzyko, powinni się tym zająć zwykli ludzie. Ryzykowałem, pracując przy wyrębie drzew. Budowaliśmy mosty z bali, związywaliśmy pnie łańcuchem i przejeżdżaliśmy przez taki most z bardzo ciężkim ładunkiem. To było ryzyko i jeden facet rzeczywiście został ranny. Z ryzykiem trzeba się liczyć zawsze. To p r a w d z i w i l u d z i e – a nie r z ą d – powinni nam mówić, co jest, a co nie jest zbyt ryzykowne.

Mike:

– Ale w tym celu trzeba znać się na skomplikowanych sprawach i mieć dostęp do wszystkich istotnych informacji.

Donny:

– Obywatele sami mogą to robić. Mieszkańcy skarżyli się na smród z kopalni asfaltu i została zamknięta.

– A gdyby właściciel nie zgodził się jej zamknąć?

– Wtedy bierze się prawnika.

Dyskusja toczy się dalej. Nakładamy sobie po dokładce lodów z truskawkami, kobiety podają kawę. Tritico uważa, że Donny mimo woli jest tubą propagandową *koncernów* chemicznych. Broni *ich* prawa do ryzykowania *naszym* życiem. Donny przyznaje, że Mike lepiej się na tym wszystkim zna, reprezentuje jednak punkt widzenia *organów nadzoru*, które chcą zmienić społeczeństwo w wielką bryłę betonu. Ciągnący się od wielu lat spór czasem przenosi do sieci. Mike zaprosił kiedyś do Lake Charles profesora wyższej uczelni, który wygłosił wykład na temat globalnego ocieplenia. Relacja z tego wydarzenia znalazła się w internetowym wydaniu miejscowej gazety. W komentarzach pod tekstem jeden z czytelników oskarżył profesora o rozpowszechnianie „łgarstw”. Wpis był anonimowy, ale Mike stwierdził: „Och, to pewnie Donny”[238].

Siostra Fay i pozostałe kobiety, które tymczasem przysiadły się do męskiego stołu, sprowadzają rozmowę na temat państwowej pomocy społecznej, nieślubnych dzieci, uzależnień i niechęci do utrzymywania się z własnej pracy. Fay stwierdza, że kobiety na zasiłku mają po sześcioro, siedmioro dzieci. Wszyscy obecni zgadzają się, żeby rząd łożył na pierwsze nieślubne dziecko, ale nie na pozostałą „piątkę albo szóstkę”, bo matka powinna się czegoś nauczyć[239].

Dyskusja Mike’a i Donny’ego przypomina wynik szerzej zakrojonego badania z 1997 roku, przeprowadzonego na czterystuosobowej grupie pracowników zakładów chemicznych wykorzystujących do produkcji substancje kancerogenne, mutagenne i łatwopalne. John Baugher i J. Timmons Roberts z Uniwersytetu Browna zadali respondentom dwa pytania: „Jak często jesteś *narażony* w pracy na działanie niebezpiecznych substancji chemicznych?” i „Czy jesteś *zaniepokojony* z powodu narażenia na działanie tych niebezpiecznych substancji?”[240]. Badacze odkryli, że niepokój z powodu kontaktu z toksynami był luźno powiązany z rzeczywistym stopniem narażenia. Robotnicy zatrudnieni w godzinowym systemie pracy – mężczyźni pokroju Donny’ego McCorquodale’a – niepokoili się mniej, niż można się było spodziewać, biorąc pod uwagę ich rzeczywisty stopień zagrożenia. Personel kierowniczy i pracownicy biurowi byli bardziej skłonni do niepokoju. Dla przykładu: pięćdziesiąt procent robotników powiedziało, że w pracy „zawsze albo często” są narażeni na kontakt z niebezpiecznymi substancjami, ale tylko czterdzieści

procent przyznało, że to ich niepokoi; więcej osób czuło się narażonych, niż się tym martwiło.

W grupie pracowników na stanowiskach kierowniczych i wysoko wykwalifikowanych specjalistów odsetek osób, które uważały, że są wystawione na kontakt z niebezpiecznymi substancjami był znacznie niższy (dziesięć procent), za to więcej z nich (dwadzieścia procent) przyznało się do związanego z tym niepokoju. Robotnicy niepokoili się mniej, a kierownicy bardziej, niż by to wynikało z rzeczywistego stopnia zagrożenia[241]. Kobiety uważniej słuchały ostrzeżeń, traktowały je z większą powagą i częściej zachowywały środki ostrożności niż ich koledzy z pracy. Przedstawiciele mniejszości rasowych wykazywali się większą rozwagą od białych[242]. Kiedy badacze przedstawili całą listę potencjalnych zagrożeń, wyróżniającą się grupą najmniej skłonną do dostrzegania ryzyka okazali się biali mężczyźni[243]. Może Donny był bardziej podobny do białego robotnika, a Mike Tritico do przedstawiciela kadry kierowniczej.

Donny i Mike różnili się także stanowiskiem w sprawie tego, jak należy traktować zagrożenia w pracy. Inaczej rozumieli pojęcie honoru. Donny, który wielokrotnie narażał się na niebezpieczeństwo, śmiało stawiał mu czoła i uważał, że przynosi mu to zaszczyt. Tritico chciał ograniczyć konieczność wykazywania się odwagą. Postawę Donny'ego można streścić w ten sposób: „Jestem silny. Ty też jesteś silny. Matka Natura jest silna. Damy radę". Przypominał pod tym względem kowboja. Tritico opowiadał się po stronie zasady ostrożności. Mówił mniej więcej tak: „Musimy być silni, ale po to, by przeciwstawić się przemysłowi i wszechwładzy pieniądza".

Mike też podejmował w przeszłości ryzyko, ale innego rodzaju. Znał historię naukowca, który na publicznym wysłuchaniu w sprawie planowanego pogłębienia drogi wodnej wyliczył zagrożenia związane z tym projektem. Późnym wieczorem rozwścieczeni robotnicy, obawiający się, że przez jego zeznania stracą pracę, zepchnęli z drogi samochód, którym jechał. Kilka tygodni później Mike stawił się na kolejne przesłuchanie w sprawie tego samego projektu, by ostrzec przed nim tych samych dyszących gniewem robotników. Po spotkaniu kilku mężczyzn zaproponowało, że odstawią go bezpiecznie do domu. Nie trzeba być kowbojem, by wykazać się odwagą.

Zastanawiałam się, jak funkcjonowały same zakłady przemysłowe. Czy bliższa im była kowbojska brawura Donny'ego, czy jak Mike Tritico kierowały się zasadą ostrożności? Poznałam inspektora bezpieczeństwa z zakładów Axiall, gdzie w 2013 i 2014 roku doszło do dwóch potężnych eksplozji. Jego praca polegała na minimalizowaniu ryzyka wypadków. Młody człowiek wspinał się na wieże i wciskał pod maszyny, by sprawdzać rury i zawory. Kiedy jakiś element wymagał wymiany lub uszczelnienia, przyczepiał do niego małą czerwoną chorągiewkę. Powiedział mi,

że operatorzy urządzeń nie lubili, kiedy przychodził, bo czerwona chorągiewka oznaczała dla nich dodatkową robotę. Czasem próbowali go spławić, mówiąc: „Nie, nie dzisiaj". Kiedy to nie pomagało, „skrzykiwali się przeciwko mnie w kilku. Musiałem dzwonić do ich szefa, a to im się już bardzo nie podobało. Więc na mój widok mówili: «Idzie Wielki Brat». To była bardzo stresująca praca".

Po wysłuchaniu tej opowieści inny mężczyzna, higienista pracy zatrudniony do pobierania próbek kwaśnych oparów w dziale ładowania akumulatorów zakładów Forda, opowiedział własną historię:

– Do instalowania czujników musiałem włożyć maskę z respiratorem. Kierownik poprosił mnie, żebym ją zdjął, bo pracownicy mogą pomyśleć, że powietrze w fabryce nie nadaje się do oddychania. Niepotrzebnie się tym przejmował. Niektórzy robotnicy przezywali mnie korporacyjnym cykorem, który nie potrafi wytrzymać tego, co oni, ale kiedy się ze mnie śmiali, widziałem, że mają zęby przeżarte oparami kwasu siarkowego.

Oczywiście nie wszyscy kowboje są mężczyznami. Pracują w różnych zawodach. Wśród kowbojów, z którymi rozmawiałam, był urzędnik administracji stanowej, księgowy i kilka pań domu. Gdyby przy stole w domu brata Cappy'ego i siostry Fay siedział stan Luizjana we własnej osobie, zapewne wziąłby stronę Donny'ego. Ponieważ, jak już wspomniałam, w Luizjanie można zgodnie z prawem kupić w sklepie *drive-by* mrożone *daiquiri* w plastikowym kubku z pokrywką, co prawda bez wetkniętej słomki i z otworem zalepionym taśmą. Można w majestacie prawa uprawiać hazard i wnieść do baru przy nowoorleańskiej Bourbon Street naładowany pistolet. W tym sensie Luizjana jest stanem kowbojskim.

Dla Donny'ego kowboj symbolizował moralną cnotę. Utożsamiając kreatywność z odwagą – cechą wielkich odkrywców, wynalazców, generałów i zwycięzców – Donny wyrażał szacunek dla zdolności podejmowania ryzyka i poskramiania strachu. Potrafił po męsku znosić ciosy. Umiał wytrzymać. Janice Areno zaakceptowała niszczenie środowiska z lojalności do zapewniającego miejsca pracy przemysłu i partii, z którą się identyfikowała. Jackie Tabor pogodziła się z zanieczyszczeniami, ponieważ była to „nasza ofiara na rzecz kapitalizmu". Donny robił to z szacunku dla odwagi. Osobowość każdego z nich była zgodna z głęboką historią.

Tak jak przeważająca większość moich rozmówców, Donny nie uważał się za ofiarę. To określenie należało do słownika „biednych żuczków" wyciągających rękę po rządową jałmużnę. Samo słowo „ofiara" wiązało się z uczuciem dyskomfortu. Zwolennikom skrajnej prawicy nie podobało się „liberalne" gadanie o ofiarach. Zaczynałam się jednak zastanawiać, czy konserwatywni starsi biali mieszkańcy południowo-zachodniej Luizjany – gracz drużynowy, wyznawca i kowboj – sami nie są przypadkiem ofiarami. Z podniesionym czołem znosili najbardziej negatywne skutki działalności przemysłu, którego owocami liberałowie mogli się bezpiecznie

cieszyć daleko stąd, w swoich chronionych przepisami i czystszych niebieskich stanach.

Dyskusja przy niedzielnym obiedzie u brata Cappy’ego i siostry Fay toczy się dalej, ujawniając kolejne różnice zdań. Czy przyjąć dwadzieścia tysięcy uchodźców z Syrii, jak chce prezydent Obama? Nie! – zakrzyknęli chórem wszyscy zebrani. Tak, mówi Mike Tritico. Kto na prezydenta? Donald Trump! – woła Donny. Nie, mówi Mike. I tak z tematu na temat.

Kiedy zeskrobujemy z talerzyków resztki pysznego deseru – nikt nie odmówił truskawek, a brat Cappy ani razu nie musiał sięgać po cebulę odmiany vidalia – Tritico podejmuje ostatnią próbę podpuszczenia swojego przeciwnika i przyjaciela.

– Więc co powiesz o jeżdżeniu estakadą I-10?

– Gdyby nie to, że w samochodzie są ze mną dzieci – odpowiada z uśmiechem Donny – powiedziałbym: „Gaz do dechy”.

## 13

# Buntownik: gracz drużynowy walczy o nową sprawę

Nad głowami protestujących kołyszą się domowej produkcji tablice z hasłami: „Czysta woda dla Baton Rouge”, „Przyjaciele Lake Peigneur”, „Czysta woda dla czystych ryb”, „Nafciarze, naprawcie to, co zniszczyliście”. Korpulentny muzyk z trzyosobowej kapeli, ubrany w luźne fioletowe spodnie, koszulę w paski i białą fedorę, siedzi z tarą do prania, czekając na początek koncertu muzyki kajuńskiej. Wśród rozproszonego tłumku przechadza się mężczyzna w stroju pelikana brunatnego. Organizatorzy starali się wzbudzić zainteresowanie mieszkańców, ale w słoneczną niedzielę w dwustutrzydziestotysięcznym Baton Rouge na wiec przyszło zaledwie sto pięćdziesiąt osób.

To właśnie na tym wiecu, na schodach przed siedzibą władz stanu, po raz pierwszy zobaczyłam Mike’a Schaffa. Miał na sobie jaskrawożółtą koszulkę z napisem „Bayou Corne Sinkhole” (Zapadlisko w Bayou Corne). Podszedł do mikrofonu z jedną z ofiar tej katastrofy, opiekuńczo obejmując ją ramieniem, ale to on przemówił głosem nabrzmiałym łzami:

– Od pięciuset osiemdziesięciu dwóch dni ta kobieta nie mieszka w swoim domu – poinformował zebranych. – W takiej samej sytuacji jest trzysta osób – dodał.

Katastrofa uczyniła z Mike’a aktywistę. Nie chciał, by podobne nieszczęście spotkało innych. Zastanawiałam się, czy ta nowa działalność zmieniła jego spojrzenie na miłującą wolny rynek i nienawidzącą rządu federalnego Partię Herbacianą, której był zagorzałym zwolennikiem.

Mike mówi o sobie, że był „wodnym dzieckiem”.

– Miałem jakieś trzy lata – opowiada. – Mieszkaliśmy na plantacji Armelise i tata zabierał mnie, kiedy szedł opróżniać pułapki na raki. Pakował mnie do plastikowej balii i ciągnął za sobą po rozlewisku. Uwielbiałem to.

Dziś Mike ma sześćdziesiąt cztery lata i jest właścicielem niedużego domu nad kanałem łączącym się z przepięknym *bayou*. Marzył, że w tym rajskim zakątku, w domu nad wodą, spędzi lata emerytury. Półtora roku po katastrofie, siedząc samotnie przy kuchennym stole wśród kartonowych pudeł w pustym domu z pozostałą po trzęsieniu ziemi szparą w betonowej podłodze i czujnikiem gazu w garażu, Mike pisze do członków stanowej legislatury listy w sprawie kluczowych ustaw:

24 kwietnia 2014
Przyjaciele, Sympatycy i Znakomici Senatorowie,
nazywam się Mike Schaff. […] Marzyłem o tym, by spędzić tu resztę życia i przekazać w testamencie bezcenny klejnot moim spadkobiercom. […] Zamiast tego […] jedyną spuścizną, jaką po sobie zostawię, jest bezmiar przelanych łez, pamięć o pogardzie, jaką okazali nam Texas Brine i władze stanu, oraz okrutną prawdę, że skutków epizodu, o którym chcieliśmy jak najszybciej zapomnieć, nigdy nie uda się w pełni naprawić […]
Mike Schaff, mieszkaniec Raju Ukradzionego, Bayou Corne, Luizjana

Próbował przekonać stanowych senatorów, by zagłosowali za przyjęciem projektu ustawy numer 209, która zobowiązywałaby koncerny do wypłacenia poszkodowanym ceny odtworzeniowej zniszczonych domów w ciągu stu osiemdziesięciu dni od wydarzenia[244]. Projekt został napisany suchym prawniczym językiem. Wielu senatorów – przedsiębiorców, byłych pracowników koncernów naftowych, inwestorów oraz beneficjentów korporacyjnych datków na kampanię wyborczą – miało związki z przemysłem naftowym, więc propozycja ustawy trafiła do szuflady.

Kiedy Texas Brine wystąpił o pozwolenie na odprowadzanie toksycznych ścieków do spowodowanego przez siebie zapadliska, Mike Schaff zaprotestował w liście do szefowej luizjańskiego Departamentu Jakości Środowiska[245]: „Do Pani Hatch […] Wylewanie ścieków do zapadliska to tak, jakby kazać BP zebrać ropę naftową z powierzchni Zatoki Meksykańskiej, a potem pozwolić, by wrzucili ją tam z powrotem”.

I tak to szło: list za listem, ustawa za ustawą, wiec za wiecem. Bo Mike został – choć wciąż bronił się przed tym określeniem – obrońcą środowiska. Do sierpnia 2015 roku wysłał pięćdziesiąt listów do urzędników stanowych i federalnych. Udzielił dwudziestu wywiadów lokalnej telewizji, piętnastu prasie i pięciu ogólnokrajowym i międzynarodowym stacjom telewizyjnym.

– Prawie zostałem szalonym ekologiem – mówi z żalem.

Po katastrofie w Bayou Corne zmobilizował zrozpaczonych sąsiadów do zorganizowania sieci wzajemnej pomocy. Na spotkaniu ktoś zaproponował, by zaprosić generała Russela Honorégo. Mike pomyślał wtedy, że generał nie zechce przyjechać dla garstki osób. Jednak Honoré bez wahania przyjął zaproszenie i narodziło się coś nowego: Zielona Armia. Sam generał powie mi później w oddzielnym wywiadzie: „Wracając do domu po tym pierwszym spotkaniu [w Bayou Corne], myślałem o Mike’u. Przyszło mi do głowy, że świetnie by się z nim pracowało i że powinniśmy zrobić razem coś dużego. Zielona Armia stała się organizacją parasolową dla wielu małych grup, takich jak Baton Rouge Aquifer Protection, Restore Louisiana Now czy Lower Mississippi Riverskeeper. Jej głos liczył się na tyle, że mogła wesprzeć je w sporach z przemysłem naftowym i politykami, którzy domagają się wypatroszenia EPA.

– Ludzie często uważają, że o przyrodę troszczą się mięczaki i baby – zauważył.

– Potrzebujemy takich Mike’ów. – Jakby mówił: „Nie bądź kowbojem, który cierpliwie znosi niszczenie środowiska. Bądź kowbojem, który z tym walczy”.

Ale kiedy Mike opowiadał publicznie o Bayou Corne, za każdym razem zasłaniał dłonią usta i wygłaszał łamiącym się głosem kilka krótkich zdań.

– Było mi bardzo trudno, bo nagle wróciły emocje. Ostatnio ciągle się tak dzieje – wyznał mi po spotkaniu z grupą zwolenników Partii Herbacianej. – Rany nadal są świeże. – Mike’a wychowano w podziwie dla kowbojów. – Na Południu faceci nie płaczą. Nigdy nie byłem beksą. – Gula, którą ma w gardle, mówiąc o Bayou Corne, nadal wprawia go w zakłopotanie. – Modlę się, by przyszedł taki dzień, kiedy będę mógł mówić o tym bez łez, a tylko z gniewem[246] – wyznaje.

Przed zapadliskiem Mike przez całe życie pracował w przemyśle naftowym. Był zagorzałym konserwatywnym republikaninem i od 2009 roku bez żadnych wahań popierał Partię Herbacianą. Jak sam mi powiedział, identyfikował się z wolnym rynkiem. Ale jaką wolnością cieszyli się ludzie w świecie, gdzie koncerny mogły do woli wypuszczać metan pod twoim trawnikiem? Co na to Partia Herbaciana? Mike musiał odpowiedzieć sobie na to pytanie.

Czuł, że zbyt długo czekał cierpliwie w kolejce na spełnienie amerykańskiego snu. Ciężko pracował dla swojego szefa i firmy, którą lubił, podobnie jak dziewięćdziesiąt procent Amerykanów, ale od lat nie dostał podwyżki. Dawno przestał przesuwać się do przodu. Zabolała go uwaga, którą miała wygłosić w obronie Texas Brine żona emerytowanego inżyniera Exxona:

– Jest jedną z trzydziestu albo czterdziestu właścicielek wypasionych rezydencji po drugiej stronie autostrady – zauważył. – Wymknęło jej się, że nasze osiedle ma niski standard. Stowarzyszenie mieszkańców po naszej stronie drogi pozwala stawiać na działkach przyczepy mieszkalne, a po jej stronie nie.

Uważał, że całkiem nieźle mu się powodzi, ale był czuły na tego rodzaju uszczypliwości. Odnosił wrażenie, że w zasięgu ręki są o wiele większe bogactwa. Dwukrotnie wspomniał o mieszkających w pobliżu „milionerach”. Jednym z nich był brodaty gwiazdor serialu *Duck Dynasty*, łączący konserwatywne poglądy z umiejętnościami kajuńskiego pioniera. Drugi – niski, także brodaty mężczyzna w T-shircie, niebieskich dżinsach i tenisówkach – stał w tylnym rzędzie na spotkaniu ofiar zapadliska w Bayou Corne, na które zabrał mnie Mike. Przedstawił się jako „ubogi człowiek”, na co zebrani zareagowali wymownym śmiechem. O nie, może ubierał się biednie, ale był bogaty. Mike znał wielu ludzi, którzy mieli więcej pieniędzy od niego. Po dzieciństwie spędzonym w *shotgun house* na plantacji Armelise wiele osiągnął w życiu – studia, kariera zawodowa, dom w Bayou Corne – jednak wyraźnie nie był pewny, czy to wystarczy.

Mike uwielbia łowić ryby, pływać łodzią i obserwować czaple białe, ibisy i warzęchy różowe, wzbijające się z szeroko rozłożonymi skrzydłami nad rozlewisko.

Nazwa użytkownika w jego adresie e-mailowym to „Swampman” (Człowiek z bagien). Ale przez większość życia w ciągu dnia rzadko miał czas na takie rozrywki.

– W życiu pełny miesiąc wakacji miałem raz, w wieku dwudziestu dwóch lat – stwierdza ze smutkiem. Pracował jako kosztorysant budowlany, obliczał ilość, parametry wytrzymałości, między innymi na temperaturę i cieśnienie, oraz koszt materiałów potrzebnych do budowy platform wiertniczych i gigantycznych zbiorników do magazynowania ropy naftowej. Przez pierwsze pięć lat pracy przysługiwał mu tylko jeden tydzień wolnego w roku, i to łącznie ze zwolnieniami chorobowymi. W następnych pięciu latach należały mu się już dwa tygodnie, a po dekadzie – trzy. Przez całe życie zawodowe marzył o tym, by móc spędzać dnie na łonie przyrody. Niecierpliwie czekał na przejście na emeryturę. Wreszcie miałby czas dla nowej żony i dla wnuków i mógłby do woli polować i łowić ryby.

I wtedy doszło do powstania zapadliska.

Po nabożeństwie w kościele w Bayou Corne, zakończonym wspólnym odśpiewaniem francuskiej wersji hymnu *Amazing Grace* (Zdumiewająca łaska), przyjaciele i sąsiedzi Mike’a opuszczają miasto-widmo na skraju trzynastu hektarów toksycznego błota i wracają do kamperów, moteli, pokojów gościnnych w domach znajomych, gdzie koczują od czasu katastrofy. Czas wspólnej zabawy – rakowych uczt, pikników ze smażeniem ryb, imprezek w domku dla ptaków pani Eddy, Parad Łodzi w Mardi Gras – odszedł w przeszłość. Mike próbował pogodzić się ze stratą, ale trzy lata po katastrofie mówi:

– Bayou Corne zawsze będzie moim domem.

W nowej działalności obrońcy środowiska bardzo przydała mu się wiedza, którą zgromadził przez lata pracy w przemyśle naftowym. Sporo wiedział o geologii i ekonomii. Znał ukształtowanie terenu. Miał osobiste doświadczenie z niebezpiecznymi substancjami chemicznymi. W dzieciństwie lubił chować się w kukurydzy i obserwować samoloty rolnicze Piper Cub, które opryskiwały uprawy. Latały tak nisko, że kołami niemal muskały kukurydzę. Gdy na końcu pola samolot zwiększał wysokość przed nawrotem, Mike wyskakiwał w chmurę rozpylonych pestycydów, by obejrzeć manewr. Wiedział, co to znaczy być nieświadomym zagrożenia. Za to zupełnie nowa była dla niego polityczna strona całej sprawy, a zwłaszcza podejście do ochrony środowiska reprezentowane przez republikańskiego gubernatora Bobby’ego Jindala.

W swoim najbliższym otoczeniu Mike znalazł się w niekomfortowej sytuacji rozdarcia pomiędzy dwoma grupami. W kwestiach związanych z rządem i podatkami w stu procentach zgadzał się z linią luizjańskiej Partii Herbacianej. Miał poczucie, że – tak jak w głębokiej historii – skorumpowani urzędnicy wpychają się przed niego do kolejki. Pracownicy stanowej administracji zupełnie nie przypominali skłonnych do wyrzeczeń zakonnic, na których, zdaniem Mike’a, powinni się wzorować. Nie

poważał luizjańskich organów nadzoru i niewiele większym szacunkiem, przynajmniej w teorii, darzył ich federalne odpowiedniki. Lecz jeden raz, nie ufając urzędnikom stanowym, którzy nie wykryli śladów ropy naftowej w glebie Bayou Corne, zwrócił się o przeprowadzenie powtórnych badań do bardziej godnych zaufania „federalnych”[247].

Jednak nowi towarzysze Mike’a, ekolodzy, byli w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach liberałami i – jak pokażę dalej – mieli własną głęboką historię.

– Lepiej bym się czuł, gdyby ta proporcja wynosiła siedemdziesiąt do trzydziestu – stwierdził Mike.

Zgadzał się z nimi, że władze Luizjany „rozdają pozwolenia na odwierty jak cukierki”. Podzielał ich krytyczną opinię o metodzie szczelinowania i zgadzał się, że trzeba zmusić koncerny przemysłowe do odtworzenia zniszczonej przez nie strefy nabrzeżnej. Miał takie samo zdanie na temat alternatywnych źródeł energii. Luizjana zajmowała pod tym względem czterdzieste drugie miejsce w kraju. W odróżnieniu od liberałów sprzeciwiał się finansowaniu przez państwo wyrównawczych programów edukacyjnych dla dzieci z ubogich rodzin, programu stypendiów Pell, Obamacare i opieki społecznej. I to było w porządku. Ale w głębi serca marzył o wprowadzeniu kwestii ochrony środowiska do programu Partii Herbacianej. Jak trudno będzie ją do tego przekonać? Postanowił to sprawdzić.

### *O jedną katastrofę wcześniej*

Wypadki zdarzały się, ulegały zapomnieniu i zdarzały się znowu. Mike – jak Harold i Annette Arenowie – został człowiekiem, który pamięta. Chciał sprawić, by Bayou Corne utkwiło wszystkim w pamięci jako ostatnie zdarzenie tego rodzaju.

W 1980 roku w Lake Peigneur, ponad sto pięćdziesiąt kilometrów na zachód od zapadliska w Bayou Corne, doszło do jeszcze groźniejszej katastrofy. Koncern Texaco przewiercił się przez dno jeziora do znajdującego się poniżej wysadu solnego, powodując wir wodny, który wessał dwie platformy wiertnicze, jedenaście barek, cztery ciężarówki z platformami, holownik, wiele hektarów ziemi z drzewami, samochodami i parkingiem oraz sześćdziesięciopięcioakrowy [25 ha] ogród botaniczny. Jakimś cudem nikt nie zginął. Dziewięć barek po pewnym czasie wyskoczyło na powierzchnię, ale dwie przepadły na zawsze. Pamiętnego dnia pewien mężczyzna łowił ryby z motorówki, którą przywiązał do drzewa. Nagle drzewo zaczęło przesuwać się w kierunku wiru. Rybak zauważył, co się dzieje, odwiązał łódź i odpłynął w pośpiechu, z całej siły machając pagajem.

Wyemitowany wiele lat później film dokumentalny rozmywa pamięć o tym wydarzeniu. Lakoniczna narracja umieszcza katastrofę w odległej przeszłości,

koncentrując się na zabawnych ciekawostkach. Wyprodukowany przez miejscową Izbę Handlową dokument działa na widza uspokajająco. Narrator oczywiście cieszy się, że obyło się bez ofiar śmiertelnych, ale unika mówienia o odpowiedzialności Texaco. Dużo uwagi poświęca za to wiertłu, które – można odnieść takie wrażenie – wwierciło się w wysad solny bez niczyjej pomocy. Ostatnie kadry pokazują ptaki lecące nad gładką taflą jeziora i zbliżenie strony internetowej lokalnego biura turystycznego, zachęcającej do odwiedzenia miejsca katastrofy. Folder parku Rip Van Winkle Gardens wymienia filmik nakręcony w czasie katastrofy jako jedną z atrakcji: „Przed obejrzeniem kolonii warzęch różowych, które co roku wiosną budują tu gniazda, obejrzyj [na ekranie], jak kopalnia soli połyka jezioro w Rip Van Winkle Gardens na wyspie Jefferson[248]”.

Ale to jeszcze nie koniec. Zaledwie osiem miesięcy po powstaniu zapadliska w Bayou Corne władze stanu zezwoliły na wznowienie odwiertów w Lake Peigneur w ramach nowego, szeroko zakrojonego projektu[249]. Największy amerykański dystrybutor gazu ziemnego, AGL Resources, zamierzał pogłębić jezioro i wywiercić trzy studnie iniekcyjne do składowania odpadów toksycznych. Firma otrzymała też pozwolenie na wywiercenie trzech dodatkowych studni do magazynowania gazu ziemnego oraz na wydobycie solanki metodą odwiertów górniczych, a wszystko to w wysadzie solnym pod jeziorem Peigneur[250].

– Dzięki Bogu, nie uznali, że można tam składować odpady radioaktywne![251] – oświadcza Mike.

Ludzka pamięć jest krótka. Przedsiębiorstwo wiertnicze, które spowodowało zapadlisko w Bayou Corne (2012), zapomniało o katastrofie w Lake Peigneur (1980). Teraz AGL Resources w Lake Peigneur zapominało o obu wcześniejszych katastrofach albo postanowiło je zlekceważyć. Organami nadzoru kierowali kowboje. Organizacje obrońców środowiska Save Lake Peigneur i Louisiana Environmental Action Network (LEAN) złożyły wspólny pozew przeciwko władzom stanu. Sędzia nakazał wstrzymanie odwiertów i w momencie pisania tych słów sprawa jest w zawieszeniu.

Siedząc samotnie w kuchni zniszczonego domu w Bayou Corne, Mike napisał błagalny list do jednego z członków stanowej legislatury, w którym prosi go, by zagłosował za rocznym zakazem wydawania nowych pozwoleń na składowanie odpadów niebezpiecznych w kawernach solnych do momentu wprowadzenia skuteczniejszych zabezpieczeń. Projekt przepadł w głosowaniu[252].

Mike rozpoczął jeszcze jedną kampanię, tym razem w łonie samej luizjańskiej Partii Herbacianej. Dlaczego nie miałaby się przyłączyć do walki o środowisko? Nadbrzeżne obszary Luizjany od dawna powoli osuwają się do Zatoki Meksykańskiej. To tutaj znajduje się czterdzieści procent wszystkich obszarów

bagienno-wodnych USA i komercyjne łowiska, z których pochodzi jedna czwarta ryb i owoców morza trafiających na amerykańskie stoły. Eksperci są zgodni, że za erozję linii brzegowej odpowiada wydobycie ropy i wdzieranie się wody morskiej. Na przestrzeni lat przedsiębiorstwa naftowe wykopały setki kanałów i ułożyły liczne rurociągi, którymi wydobywana w zatoce ropa płynie do rafinerii na stałym lądzie. Wdzierająca się do kanałów woda morska zabija trawę, która niegdyś chroniła wybrzeże Luizjany przed częstymi w tym rejonie tropikalnymi sztormami. Od 1930 roku Luizjana straciła obszar wielkości stanu Delaware; co godzinę znika kawałek lądu o powierzchni boiska do piłki nożnej[253].

Amerykańska Narodowa Służba Oceaniczna i Meteorologiczna (National Oceanic and Atmospheric Administration, NOAA) stanęła przed nowym, zdumiewającym zadaniem wykreślania kolejnych miejscowości z listy adresów pocztowych[254]. Zniknęło Yellow Cotton Bay, niegdyś kwitnąca wioska rybacka w parafii Plaquemines. Nie ma już Little Pass de Wharf i Skipback Bay. Kościół w Grand Bayou stoi na palach, a do małego cmentarza można się dostać tylko łódką[255]. Trzydzieści jeden miejscowości przeszło do historii. Mieszkańcy Isle de Jean Charles jako pierwsi „uchodźcy klimatyczni” skorzystali z pomocy rządu federalnego przy przesiedlaniu się na suchy ląd[256].

Po przejściu huraganu Katrina legislatura stanowa powołała Komisję do spraw Ochrony Przeciwpowodziowej (Southeast Flood Control Commission), która miała opracować plan zabezpieczeń południowo-wschodniej części Luizjany. Komisja uznała, że najlepszym rozwiązaniem będzie zasypanie kanałów i wzmocnienie linii brzegowej. A zgodnie z zawartymi umowami było to obowiązkiem przedsiębiorstw naftowych. Ponieważ się z niego nie wywiązały, komisja zrobiła coś, co nigdy wcześniej się nie zdarzyło: złożyła pozew do sądu przeciwko dziewięćdziesięciu siedmiu koncernom naftowym. Gubernator Jindal szybko przywołał do porządku nadgorliwe gremium. Usunął kilku jego członków. Zakwestionował uprawnienia komisji do występowania na drogę sądową. Legislatura Luizjany uczyniła kolejną rzecz bez precedensu: odebrała – z mocą wsteczną – prawo składania pozwów do sądu organowi, który je uprzednio posiadał. Ta sama ustawa (SB 535) przerzuciła koszty naprawienia szkód z koncernów naftowych na luizjańskich podatników.

Mike dostrzegł tu szansę dla siebie. Nadal urzędując w swojej kuchni, napisał do kolegów z luizjańskiej Partii Herbacianej z główną siedzibą w Nowym Orleanie. Niższe podatki! Pewny, że tym razem go poprą, zwołał spotkanie w restauracji TJ Ribs w Baton Rouge.

Jednakże zwolennicy Partii Herbacianej wysłuchali go z obojętnymi minami. Ochrona środowiska? To konik liberałów. Jeden z obecnych pomylił Zieloną Armię z Partią Zielonych. Ku zdumieniu Mike’a ktoś inny zasugerował ulżenie luizjańskim

podatnikom przez sfinansowanie naprawy szkód z podatków federalnych.

– To była totalna klapa – opowiada Mike. – Zaprosiłem generała i musiałem go potem przepraszać, że zmarnowałem jego cenny czas.

Niezrażony pierwszym niepowodzeniem Mike spróbował szczęścia z inną grupą sympatyków Partii Herbacianej, w Ruston w północno-środkowej Luizjanie. Znowu zaprosił generała Honorégo, który włożył na tę okazję krawat z amerykańską flagą i orłem. Honoré mówił o przenikaniu wody morskiej do źródeł wody pitnej i tym razem zebrani słuchali z uwagą.

– Dlaczego mamy zostawić ochronę środowiska lewicy? – argumentował Mike. – To powinna być także nasza sprawa.

Zastanawiałam się, jak by to miało wyglądać w praktyce. Jak połączyć troskę o środowisko z obcięciem funduszy, jeśli nie z całkowitą likwidacją Agencji Ochrony Środowiska? Mike ma na to odpowiedź: wolny rynek.

– Trzeba pójść śladem pieniędzy – wyjaśnia. – Zrobić tak, żeby każdemu opłacało się postępować właściwie. Texas Brine postępował ryzykownie, ale przedtem wykupił polisę. Firma, która ją sprzedała, też się ubezpieczyła. W interesie *finansowym* ubezpieczycieli jest zadbanie o to, by nie było wypadków. Niech *sami* sprawują nadzór. Ale – dodaje – firmy ubezpieczeniowe muszą być zobowiązane do wypłacenia odszkodowania [gwarancja osoby trzeciej do spełnienia świadczenia w wypadku zajścia problemów]. To załatwi sprawę. Od rządu federalnego potrzebujemy tylko więzień, sądownictwa i zobowiązania ubezpieczycieli do wypłacania odszkodowań. Wtedy nie będziemy potrzebowali państwowych organów nadzoru do kontrolowania koncernów.

Pomyślałam, że to ciekawa propozycja. Ale chwileczkę. Czy nie taki właśnie układ doprowadził do zapadliska w Bayou Corne? Texas Brine ubezpieczył się w Liberty Insurance Company z centralą w Nowym Jorku. Liberty było prawnie zobowiązane do wypłaty odszkodowania, ale tego nie uczyniło, pozywając Texas Brine do sądu. Inni ubezpieczyciele Texas Brine zrobili to samo, na co koncern odpowiedział złożeniem pozwów przeciwko nim wszystkim. Istniały sądy, prawo, więzienia i zobowiązanie do wypłaty odszkodowania, a mimo to mieliśmy ekologiczny i prawniczy bałagan. Poza tym, czy bogatych przedsiębiorstw naftowych nie stać na wynajęcie całego zastępu prawników przeciwko samotnemu adwokatowi poszkodowanych?

– To nie tak – zaoponował Mike. – Bogate koncerny naftowe procesują się z bogatymi firmami ubezpieczeniowymi.

Nawet jeśli to prawda, czy nie przydałaby się dodatkowa przeciwwaga w postaci organów federalnych?

Wróciłam myślą do pracy Lee Shermana w PPG, gumowanego konia, eksplozji w zakładach przemysłowych, którą młodziutka Janice Areno wzięła za koniec świata,

do zmarłych krewnych Arenów, martwych zwierząt, żab, które zniknęły z Bayou d'Inde, i do wydarzeń poprzedzających zalecenie spożywania mniejszej ilości ryb. Pomyślałam, jak wyglądało życie przed EPA. I to wszystko w stanie, o którego fantastyczną przyrodę naprawdę warto było zadbać. Donny McCorquodale miał rację, że części wypadków nie dało się uniknąć. Lecz jeśli nie stworzymy w tym kraju jednej wizji opartej na pojęciu dobra ogółu, nikt z nas nie pozostawi w spadku swoim dzieciom cudów przyrody ani – jak powiedział generał – nie będzie „wolny". Wolny rynek nie czynił nas wolnymi ludźmi. Ale znów ześliznęłam się na swoją stronę muru empatii.

Mike zgadzał się z tym wszystkim w naprawdę minimalnym stopniu. Mógłby zaakceptować pozostawienie Agencji Ochrony Środowiska w szczątkowej formie, jednak generalnie był zdania, że EPA zagarnia władzę i pieniądze podatników w imię walki z nieistniejącym problemem – ociepleniem globalnym, które zwyczajem wszystkich instytucji rządowych wykorzystuje jako pretekst do zwiększania swoich prerogatyw. Administracja federalna podkopywała lokalne społeczności, takie jak ta, z którą identyfikował się Mike. Jeśli rząd federalny przypominał rząd Luizjany – a Mike uważał, że tak – nie był wart tego, by mu ufać i płacić podatki[257]. „Rząd federalny" łączył się w umyśle Mike'a – i wszystkich pozostałych zwolenników skrajnej prawicy, których poznałam w Luizjanie – z zapadliskiem finansowym.

Kiedy po 2009 roku rząd federalny wsparł subwencjami upadające banki, firmy i właścicieli nieruchomości, w oczach moich nowych znajomych opowiedział się po stronie kolejnej grupy wciskających się do kolejki. Teraz przed nimi stali także d ł u ż n i c y, a rząd im w tym pomagał. W ten osobliwy sposób przejawiał się niezadeklarowany konflikt społeczny, rozgrywający się na nowej płaszczyźnie z udziałem rozmaitych grup, nieuznawanych za klasy społeczne *per se* – czarnych imigrantów, uchodźców. Działający w ich imieniu rząd federalny stawał się wrogiem *per procura*.

Istniała jeszcze jedna kwestia, bardziej osobista – państwo nie wspierało męskich mężczyzn. W tej sprawie liberałowie z całą pewnością stali po niewłaściwej stronie. Niełatwo jest być mężczyzną. Żyjemy w czasach nieustannego kwestionowania męskości, często w bardzo subtelny sposób. Kobieta nie potrzebuje już mężczyzny, żeby ją utrzymywał, żeby mieć dzieci ani nawet po to, by awansować do pozycji mężatki. Ciągle słyszy się o osobach transpłciowych i trudno się połapać, kto jest prawdziwym mężczyzną. To zatrważające, złe. Dawniej bycie mężczyzną zasadniczo oznaczało gotowość do oddania życia w walce i użycia siły w obronie słabszych. Kto jeszcze o tym pamięta? Mike uznawał wyłącznie małżeństwo między osobami odmiennej płci. Trzeba mieć jasno określoną tożsamość, a temu sprzyjało wojsko, które jednocześnie oferowało honorową ścieżkę kariery mężczyznom z niezamożnych środowisk. Tymczasem niemal wszystkie tradycyjnie męskie obszary działalności –

policja, straż pożarna, po części armia, platformy wiertnicze – muszą się dzisiaj bronić przed kulturową erozją męskości. Administracja Federalna i EPA chroniły środowisko b i o l o g i c z n e, ale tolerowały – a czasem, jak się wydawało, wręcz powodowały – niszczenie środowiska k u l t u r o w e g o. Moi przyjaciele z Partii Herbacianej uważali, że to amerykańska kultura jest niebezpiecznie zanieczyszczona, brudna i szkodliwa. I z tym zanieczyszczeniem walczyli z pełnym przekonaniem.

Mike był wojownikiem, ale nie kowbojem; człowiekiem religijnym, ale nie wyznawcą; graczem drużynowym, ale w pewnej konkretnej sprawie krytycznie nastawionym do swojej drużyny. Jego drużyna opowiadała się za odebraniem większości prerogatyw rządowi federalnemu, który również zdaniem Mike’a ponosił winę za wiele złych zjawisk w Ameryce. Mike nadal uważał, że wiele problemów można rozwiązać bez rządu. Jednak w godzinie próby, po katastrofie w Bayou Corne, poprosił EPA o zbadanie poziomu metanu w okolicy jego domu. Mike wierzył, że potrzebujemy policji do zapewnienia bezpieczeństwa na ulicach, ale nie był pewien, czy EPA jest niezbędna do ochrony naszych dróg wodnych. Mogłaby zacząć za bardzo się rządzić. Mogłaby stać się zbyt potężna.

Opowiedział mi, jak po ewakuacji Bayou Corne wyszedł popatrzeć na gwiazdy. Większość mieszkańców opuściła osiedle, w ani jednym oknie nie paliło się światło.

W zniszczonych domach pozostała tylko garstka osób. Jedną z nich był sąsiad i serdeczny przyjaciel Mike’a, Randy. Jego żona miała właśnie trzecią wznowę raka piersi. Źle znosiła naświetlania i Randy uważał, że lepiej teraz nigdzie jej nie przenosić.

Kiedy pewnego wieczoru Mike wyszedł na dwór, Randy stał na trawniku przed swoim domem po drugiej stronie Crawfish Stew Street i palił papierosa. Spirala dymu unosiła się w puste niebo.

– Przez zapadlisko stracił dom. Jego żona była chora. Pies umierający. Ale czułem, że coś jeszcze go przygnębiło – opowiada Mike. – Przeszedłem więc do niego przez ulicę. Właśnie się dowiedział, że jego syn ma raka trzustki.

Mike położył dłoń na ramieniu Randy’ego i obydwaj mężczyźni długo razem płakali.

# CZĘŚĆ CZWARTA

# FALA ROZLEWA SIĘ NA CAŁY KRAJ

# 14
# Ognie historii: lata 60. XIX i XX wieku

Cofając się w czasie, możemy wyodrębnić trzy nurty wpływów z przeszłości obecne w sposobie odczuwania moich luizjańskich przyjaciół z Partii Herbacianej; o jednym z nich mówi się często, o dwóch pozostałych rzadko. Jeśli chodzi o pierwszy – ruch Partii Herbacianej wpisuje się w długi szereg nasilających się periodycznie „endemicznych w amerykańskiej kulturze politycznej impulsów ludowych”, jak je określił historyk Richard Hofstadter[258]. W XIX i XX stuleciu wiele ruchów społecznych występowało przeciwko sekularyzmowi, nowoczesności, integracji rasowej i kulturze ekspertów, ale przed Partią Herbacianą – ruchem zrodzonym w reakcji na głęboką historię – żaden z nich nie dążył z aż taką determinacją do cofnięcia postępowych reform i zlikwidowania rządu federalnego. Dlaczego akurat on? Moim zdaniem, aby znaleźć odpowiedź na to pytanie, musimy cofnąć się do dwóch przełomowych momentów w historii. Pierwszym są lata 60. XIX wieku, które mają znaczenie szczególnie dla Południa. Drugi to lata 60. XX wieku, które wpłynęły na myślenie całej amerykańskiej prawicy.

Obecny zwrot w prawo dokonał się przede wszystkim na Południu i to właśnie zwróciło moją uwagę na tę część kraju. Oczywiście nie trzeba być południowcem, by popierać Partię Herbacianą, ale największym poparciem cieszy się ona na białym Południu. Przeszłość tej części kraju interesuje mnie ze względu na zestaw emocjonalnych kolein, jak moglibyśmy je nazwać, wyżłobionych w umysłach i sercach moich nowych przyjaciół przez koleje życia ich przodków, wśród których było wielu białych właścicieli niewielkich farm. Ciekawią mnie nie tyle historyczne źródła pewnych idei, ile sposób, w jaki przeszłość odciska w naszych umysłach wzorce tożsamości klasowej, które następnie nakładamy na teraźniejszość. Jakie uczucia mogą uchodzić za pożądane i właściwe? Jakie uczucia sami ludzie uważają za pożądane i właściwe? Jakich się od nich oczekuje? Jakich oczekują sami od siebie? Jak, z grubsza rzecz biorąc, historie opowiedziane przez dziadków, nauczycieli i książki kształtowały poglądy moich nowych znajomych?

## *Lata 60. XIX wieku*

System plantacyjny spowodował, że Południe stało się, by zacytować C. Vanna

Woodwarda, „osobną częścią [kraju]”. System ten miał oczywiście przemożny wpływ na życie bogatych białych plantatorów i czarnych niewolników, lecz głębokie piętno odcisnął także na innej dużej grupie, o której często się zapomina – na ubogich białych dzierżawcach i małorolnych farmerach. Przodkowie części moich luizjańskich przyjaciół należeli właśnie do tej warstwy. W klasycznym dziele *The Mind of the South*[259] W. J. Cash mówi, że system plantacyjny „zamknął białego człowieka w niewidocznych dla niego murach”. Biały biedak nie dostrzegał, że „tkwi na marginesie życia”, uważając się za „potencjalnego plantatora albo bawełnianego barona”[260].

Wewnątrz tych murów wyobraźnia kulturowa skupiała się intensywnie na dwóch grupach – dominujących i zdominowanych, bardzo bogatych i bardzo biednych, wolnych i zniewolonych, budzących zawiść i budzących litość. Zajmowały one prawie całą przestrzeń, zostawiając bardzo mało miejsca pośrodku. Opływający w dostatki plantatorzy sączyli zagraniczne wina w blasku kryształowych kandelabrów na sprowadzonych z Europy fotelach w dworach z białymi portykami. Wcale nie uważali się za niegodziwych wyzyskiwaczy. Mieli się za szczodrych dobroczyńców i tak samo postrzegała ich biała biedota[261]. Na drugim biegunie ubodzy farmerzy widzieli przerażającą udrękę maltretowanych, skazanych na krótkie życie niewolników. Te dwie skrajności ukształtowały ich wyobrażenia o najlepszym i najgorszym losie, jaki może spotkać człowieka. Zarówno wywołujące zazdrość bogactwa stojących wyżej, jak i budząca grozę niedola stojących niżej na drabinie społecznej były nieporównywalnie większe niż w rolniczych rejonach Nowej Anglii[262]. Taki układ sugerował własną metaforyczną kolejkę po amerykański sen, w której przed nami jest niewiele miejsca dla większych szczęściarzy, za to z tyłu mnóstwo przestrzeni dla zapomnianych przez los[263].

Pomiędzy dwoma biegunami egzystowała biała biedota, jak opisuje Cash, gnieżdżąca się w nieotynkowanych domach z „przewróconymi płotami […] i w dziurawych stodołach, pękających od [zebranego] zboża”[264]. Wraz z rozwojem systemu plantacyjnego życie drobnych farmerów stało się jeszcze trudniejsze. Zamożni plantatorzy wykupywali najżyźniejsze grunty, spychając ich na jałowe wyżyny. Kiedy ubodzy biali farmerzy próbowali znaleźć lepsze pola, szybko przekonywali się, że plantatorzy „zajęli już tam najlepsze ziemie” nawet „za Missisipi”, w „Arkansas i Teksasie, uzbrojeni w solidny kapitał i zwarte bataliony niewolników”[265]. Ubogim farmerom pozostały „czerwone wzgórza, piachy, porośnięte sosną pustkowia i moczary – wszelkie nieużytki Południa”[266]. Właściciele plantacji karczowali lasy pod uprawy trzciny cukrowej i bawełny, pozbawiając „stoły farmerów dawnej obfitości rozmaitej zwierzyny” i skazując ich na dietę złożoną z „kukurydzianego chleba i mięsa wychudzonych wieprzy”[267]. Ponieważ plantatorzy korzystali z pracy niewolników i zaopatrywali się w siano, kukurydzę, wołowinę oraz

drewno głównie na Północy i Środkowym Zachodzie, biedni biali stanowili nadwyżkę siły roboczej i musieli żywić się tym, co sami wyprodukowali[268]. Zepchnięci na margines, pozbawieni możliwości zarobku, znosili pogardliwe epitety – biały nędzarz, białas, *buckra*.

Przekładając historię przodków na naszą współczesną głęboką historię, dziewiętnastowieczni biali biedacy stali blisko końca kolejki po amerykański sen. Żadne grupy etniczne ani genderowe nie wpychały się przed nich. W systemie plantacyjnym sama idea redystrybucji stanowiła herezję. Finansowane przez rząd instytucje użytku publicznego były bardzo nieliczne – na Południu działało znacznie mniej dostępnych dla ogółu bibliotek, parków, szkół i uniwersytetów niż na Północy.

A potem wybuchła wojna secesyjna i Północ spustoszyła Południe. Miasta zostały spalone, pola obrócone w perzynę – po części także przez cofające się wojska Konfederatów. Po wygranej wojnie zwycięzcy zastąpili dotychczasowe władze zbuntowanych stanów lojalnymi wobec siebie gubernatorami. Na Południe zaczęli ściągać goniący za zyskiem kombinatorzy, w których moi nowi znajomi widzieli agentów panoszącej się Północy. Na obraz, jaki odmalowywali mi moi rozmówcy, składali się wyzyskiwacze z Północy, miejscowa czarna populacja, dysząca gniewem i naznaczona traumą niewolnictwa, oraz moralne potępienie spadające na nich ze wszystkich stron. Kiedy w latach 60. XX wieku na Południe dotarli Freedom Riders i aktywiści ruchu na rzecz praw obywatelskich, wzywający rząd w Waszyngtonie do wprowadzenia zakazu segregacji rasowej, znów można było odnieść wrażenie, że są agentami moralizatorskiej Północy.

I dalej: Obamacare, globalne ocieplenie, ograniczenie prawa do posiadania broni, prawo do aborcji – czy te kwestie też wpadły w emocjonalne koleiny ukształtowane przez historię? Zastanawiałam się, czy są odbierane jako kolejny atak Północy, rządu w Waszyngtonie, który wepchnął pelikana brunatnego do kolejki przed zwolennika Partii Herbacianej. Kiedy rozmawialiśmy w Longville o wyborach prezydenckich w 2016 roku, Cappy Brantley skomentował z łagodnym uśmiechem: „Hillary Clinton, Bernie Sanders – oboje są z Północy".

### *Inny kostium*

„Między Baton Rouge i Nowym Orleanem wielkie plantacje trzciny cukrowej rozłożyły się szeroko po obu stronach rzeki […] Po obu stronach, przez prawie całą drogę mnóstwo domostw stoi tuż obok siebie na wielkich przestrzeniach, tak że szeroka rzeka leżąca między ich dwoma rzędami staje się jakby ogromną ulicą" – napisał Mark Twain w *Życiu na Missisipi*[269]. Na studziesięciokilometrowym odcinku wznosi się około czterystu wspaniałych rezydencji plantatorów, których fasady zdobią

białe greckie kolumny o wysokości dwóch albo trzech pięter. Otaczają wypielęgnowane trawniki, cieniste dębowe aleje i urocze sadzawki. To starodawne zamki Ameryki, wzniesione za zyski z bawełny.

Miejsce bawełny zajęła ropa naftowa, ale kultura plantacyjna trwa dalej. Niektóre posiadłości dawnych plantatorów kupiły koncerny naftowe i petrochemiczne. Dow Chemical jest właścicielem czterech plantacji, między innymi Australia i Abner Jackson. W okazałym dworze na tej ostatniej organizowane są konferencje. „Zawsze byliśmy stanem wielkich plantacji – zaważył Oliver Houck, profesor prawa na Uniwersytecie Tulane. – Tyle że dzisiaj rolnictwo zastąpiły ropa naftowa i gaz”[270]. Nafta, tak jak bawełna, jest pojedynczym towarem, którego produkcja wymaga ogromnych nakładów i który, jak wcześniej bawełna i cukier, zdominował gospodarkę stanu.

Podobieństwo bawełny i ropy oczywiście nie jest pełne. Bawełniani baronowie nie obiecywali ubogim farmerom i niewolnikom dostatniego życia, jak to czyni dzisiaj przemysł naftowy w Luizjanie. Po stronie pozytywów: nafta pozwoliła odzyskać utracony honor. Jeśli system plantacyjny w oczach całego narodu okrył Południe hańbą, to nafta przywróciła mu dumę. Louisiana Chemical Association formułuje swoje entuzjastyczne wypowiedzi w języku inwestycji, zysków i miejsc pacy. Ale nowy system plantacyjny zdaje się oferować coś więcej: pański dwór bez baraków niewolników.

Tymczasem, jak zauważył Paul Templet, wzorem wielkich właścicieli ziemskich, którzy zawłaszczyli najlepsze ziemie na plantacje bawełny i trzciny cukrowej, spychając drobnych farmerów na jałowe nieużytki, nafta częściowo wyparła rybołówstwo i turystykę. Na własnej skórze odczuł to pewien rozmowny mężczyzna, którego poznałam w czasie jednej z moich letnich wizyt w Luizjanie. Pocąc się w wełnianej czapce i mundurze, odgrywał rolę żołnierza Konfederatów na odrestaurowanej plantacji Oak Alley, najokazalszej z majestatycznych rezydencji przy River Road, przekształconej obecnie w popularną atrakcję turystyczną. Stacjonował w namiociku za dworem. Na wystrój z epoki składał się karabin z czasów wojny secesyjnej i wiszący na wieszaku mundur konfederacki w komplecie z czapką i chlebakiem. Sympatyczny blondyn po czterdziestce miał za zadanie opowiadać zwiedzającym o fikcyjnym życiu żołnierza Konfederatów w latach 60. XIX wieku i robił to naprawdę przekonująco.

W namiocie nie było akurat innych zwiedzających poza mną. Zaprosił mnie, żebym usiadła przy stoliku, i rezygnując z wyuczonej roli, opowiedział mi o sobie:

– Nafta jest nową bawełną. Urodziłem się dwanaście kilometrów stąd. Razem z żoną prowadzimy na naszych ośmiu akrach [3 ha] stadninę koni wyścigowych. Koncern naftowy wystąpił o pozwolenia na zbudowanie obok naszego domu kompleksu zbiorników na ropę o powierzchni połowy stadionu futbolowego. –

(Gigantycznego obiektu magazynowego o łącznej pojemności czterdziestu sześciu milionów baryłek ropy). – Nie mogliśmy nic na to poradzić. Nikt nie mógł. Nie możemy nawet sprzedać domu, bo sąsiedztwo zbiorników na ropę obniżyło jego wartość. – Rozejrzał się czujnie, jakby chciał sprawdzić, czy ktoś nas nie podsłuchuje. – Ubrali mnie w ten kostium, żebym odgrywał żołnierza Konfederacji. Konfederaci próbowali uwolnić się od kontroli rządu federalnego, dokonać secesji. Ale nie da się dokonać secesji od ropy naftowej. Nie da się oderwać od mentalności. Potrzebny jest wysiłek umysłowy, żeby w nią wejść i żeby z niej wyjść. Ale powinni mi dać inny kostium, jeśli mam o tym mówić[271].

## *Echa lat 60. i 70. XX wieku*

Późniejsza o sto lat spuścizna dostarcza paliwa prawicy w całym kraju, nie tylko na Południu. W 60. i 70. latach ubiegłego wieku narodziło się szereg ruchów społecznych, które do pewnego stopnia przetasowały kolejkę po amerykański sen, pozostawiając po sobie tlący się żar rozgoryczenia. Będzie się tlił przez lata, aż w końcu wybuchnie płomieniem Partii Herbacianej[272]. W tym okresie przed oczami opinii publicznej przedefilował długi pochód dyskryminowanych, którzy kolejno opowiadali o swoich prześladowaniach: czarni uciekający przed obowiązującą na Południu segregacją rasową, pracujący za grosze latynoscy robotnicy sezonowi, internowani w czasie drugiej wojny światowej Japończycy, skrzywdzeni rdzenni Amerykanie, imigranci z różnych stron świata. Następnie upomniały się o swoje prawa kobiety. Przeciążone obowiązkami domowymi, ograniczone zawodowo do posad biurowych i nauczycielskich, narażone na molestowanie seksualne, zaczęły domagać się należnego im miejsca w kolejce po amerykański sen. Po kobietach walkę o równe prawa podjęli geje i lesbijki. Obrońcy środowiska stanęli w obronie zwierząt leśnych pozbawianych lasów. Trzepocząc oblepionymi ropą długimi skrzydłami, do stojących w kolejce dołączył zagrożony wymarciem pelikan brunatny.

Kiedy lata 60. przeszły w 70., hasła zmiany systemu społeczno-prawnego zastąpiła kwestia tożsamości jednostki. Teraz, by domagać się współczucia opinii publicznej, wystarczyło być rdzennym Amerykaninem, kobietą lub gejem. Wiele osób po obu stronach politycznego spektrum czuło, że ich cierpliwość została wystawiona na próbę. Wszystkie te ruchy społeczne pominęły jedną grupę kolejkowiczów: starszych białych mężczyzn, zwłaszcza tych, którzy pracowali w gałęzi przemysłu nieprzyczyniającej się bynajmniej do poprawy kondycji planety. Sami stali się – lub mieli się wkrótce stać – dyskryminowaną mniejszością.

Ruch na rzecz praw obywatelskich i walczące o równouprawnienie kobiety wskazywali oskarżycielsko palcem na uprzywilejowanego białego mężczyznę; może

więc nadszedł czas, by jego też uznać za ofiarę, wysłuchać, docenić i ustawić – lub pozostawić – na przedzie kolejki. Stawiało jednak członków tej grupy przed kłopotliwym dylematem: jak włączyć się w politykę tożsamości, jednocześnie ją zwalczając?

Momentem definiującym lata 60. było zapewne „lato wolności". Wybuchło w czerwcu 1964 roku na Południu, w najbardziej konserwatywnej i najsłabiej przygotowanej na nadchodzące zmiany części kraju[273]. Setki studentów, często z elitarnych uczelni, ściągały do Missisipi, by rejestrować wyborców, nauczać historii czarnej Ameryki i angażować się w rozmaite inne działania. (Mój mąż Adam i ja także byliśmy w tej grupie). Sześćdziesięciu działaczy na rzecz praw obywatelskich odbyło szkolenie z rejestrowania wyborców w Plaquemine w Luizjanie. Chociaż większość potencjalnych czarnoskórych wyborców odprawiono z kwitkiem, ponad tysiącowi udało się zarejestrować po raz pierwszy w życiu. Czarni studenci podejmowali słynne akcje wprowadzenia integracji rasowej do stołówek, restauracji, hoteli, akademików, szkół i uniwersytetów.

Była to niebezpieczna praca, zwłaszcza dla czarnych. Latem 1964 roku trzej aktywiści rejestrujący czarnoskórych wyborców, jeden czarny i dwóch białych – James Chaney, Andrew Goodman i Michael Schwerner – zginęli z rąk Ku Klux Klanu w Philadelphii w stanie Missisipi. Wywołało to falę oburzenia opinii publicznej i doprowadziło do uchwalenia w 1964 roku ustawy o prawach obywatelskich (Civil Rights Act), a rok później ustawy o równych prawach mniejszości rasowych do głosowania (Voting Rights Act). Aresztowano 1062 osoby; trzydzieści siedem kościołów i trzydzieści domów oraz firm czarnych właścicieli spłonęło albo zostało zniszczonych w wyniku podłożenia bomby. W tym samym roku delegacja Mississippi Freedom Democratic Party zjawiła się na krajowej konwencji demokratów i podważyła legalność wyboru złożonej z samych białych delegacji Partii Demokratycznej z Missisipi[274].

W jakiej pozycji stawiało to białych z klasy pracującej na Południu, najbardziej widocznych przeciwników równych praw obywatelskich dla mniejszości rasowych? W oczach całego narodu zasłużyli na moralne potępienie. Rozmawiałam w Luizjanie z wieloma starszymi dziś mężczyznami, którzy w latach 60. byli dziećmi lub nastolatkami. Bez względu na to, co myślały o tym ich rodziny i oni sami, według obowiązującej narracji Północ przybyła na Południe, by znów, tak jak sto lat wcześniej, w czasach wojny secesyjnej i Rekonstrukcji, mówić miejscowym białym, jak mają żyć. Historia opowiedziała się po stronie ruchu na rzecz praw obywatelskich. Naród uczcił jego przywódców. Biali z Południa znów nosili piętno hańby, mimo że – jak zauważył jeden z moich rozmówców – „To nie *my* robiliśmy te wszystkie złe rzeczy".

Rząd federalny, który w przeszłości był przecież narzędziem segregacji rasowej,

teraz popierał rasową równość. Powoli zaczęła się toczyć lawina: w 1948 roku prezydent Harry S. Truman zniósł segregację rasową w armii. W 1954 roku wyrok Sądu Najwyższego w sprawie Brown przeciwko Komisji Edukacji otworzył drogę do integracji w szkołach. W 1959 roku prezydent Dwight D. Eisenhower wysłał wojsko i Gwardię Narodową do Little Rock w stanie Arkansas, by wyegzekwowały przestrzeganie federalnego zakazu segregacji w szkołach publicznych. To przygotowało grunt pod kolejne interwencje rządu w następnym dziesięcioleciu. W 1962 roku na rozkaz prezydenta Johna F. Kennedy'ego pięć tysięcy żołnierzy pilnowało, by James Meredith mógł skorzystać z prawa do studiowania na Uniwersytecie Stanowym Missisipi. Prezydent Lyndon B. Johnson podpisał w 1964 roku ustawę o prawach obywatelskich, najbardziej radykalny akt prawny od czasu Rekonstrukcji po wojnie secesyjnej. Następnym krokiem był dekret prezydencki zobowiązujący wszystkich rządowych kontrahentów do prowadzenia akcji afirmatywnej, ułatwiającej dostęp do rynku pracy przedstawicielom mniejszości rasowych. W 1968 roku Johnson zakazał dyskryminacji ze względu na rasę przy wynajmowaniu mieszkań. I tak to szło – rząd federalny wychodził naprzeciw ruchom społecznym, które domagały się zagwarantowania kolejnym grupom należnego im miejsca w kolejce po amerykański sen.

Po ruchu na rzecz praw obywatelskich uaktywniły się feministki, podejmując dzieło sufrażystek, które wywalczyły bierne i czynne prawo wyborcze oraz prawo do posiadania własnego majątku. Szereg orzeczeń sądowych wzmacniających przepisy 14. poprawki do Konstytucji Stanów Zjednoczonych zostało narzuconych teraz wszystkim pracodawcom, którzy robili jakiekolwiek interesy z rządem federalnym[275]. W latach 70. tę samą drogę przeszedł ruch walki o prawa gejów.

Do starych grup dołączały nowe i z czasem kultura polityczna zlała się w jedno z kulturą terapeutyczną. Narodziła się polityka tożsamości. Media zaczęły interesować się tożsamościami opartymi na przeżyciu choroby nowotworowej, gwałtu, wykorzystywania seksualnego w dzieciństwie, na uzależnieniu od alkoholu, narkotyków, seksu czy pracy, i nie tylko. Jak zauważył z ubolewaniem w książce *The Twilight of Common Dreams: Why America is Wracked by Culture Wars* były aktywista z lat 60., Todd Gitlin, ruszył „wyścig o koronę cierniową"[276]. W ślad za ruchami na rzecz zmian społecznych wśliznęła się kultura wiktymizacji. I gdzie był teraz starszy biały mężczyzna? Wygląda na to, że walka o sprawiedliwość skończyła się, nim przyszła jego kolej[277].

### *Walka o honor*

Moi przyjaciele z Partii Herbacianej – bo teraz wielu z nich naprawdę uważałam za

przyjaciół – zareagowali na ideologiczny ogień lat 60., przyswajając niektóre elementy jego przesłania i odrzucając inne. Jedna z kobiet powiedziała mi, że uwielbia Sarah Palin, ponieważ jest ona „silną dziewuchą”, broniącą życia poczętego i wspierającą „Mama Grizzlies”, czyli kobiety walczące o fotele w Kongresie. Druga wyraziła uznanie dla Martina Luthera Kinga, którego uważała za wzór rozsądnego przywódcy w przeciwieństwie do młodych zadymiarzy z wielkich miast, wybijających szyby sklepów w reakcji na brutalność policji.

Jednak niektóre rezultaty społecznych ruchów lat 60. budziły ich poważne zastrzeżenia. Jeśli w twoich żyłach płynie choć jedna kropla krwi rdzennych Amerykanów, podpadasz pod taki czy inny rządowy program, który pomaga ci sfinansować naukę w college’u. Moje znajome nie rozumiały, dlaczego ma to komuś zapewnić lepsze miejsce w kolejce. Ktoś, kto deklaruje, że jest biały, opisując siebie [w kategoriach rasowych], jak to czynią rdzenni Amerykanie i czarni, ryzykuje etykietkę rasisty i wyznawcy białej supremacji. Jeśli z dumą oświadczy, że jest mężczyzną, naraża się – chyba że należy do grupy mężczyzn odrzucających tradycyjne wzorce męskości – na oskarżenie o męski szowinizm. Jeśli oczekuje szacunku z powodu wieku i zgromadzonego przez całe życie doświadczenia, w kulturze skupionej na młodych ryzykuje, że wyjdzie na starego durnia.

Zestawiając lata 60. XIX wieku z latami 60. XX wieku, można odnieść wrażenie, że biali mężczyźni z Południa żyją w jednej długiej głębokiej historii o spychaniu na koniec kolejki. W XIX wieku plantatorzy wypierali na jałowe nieużytki małorolnych białych farmerów; w XXI wieku globalne, zautomatyzowane korporacje przenoszą produkcję do krajów z tanią siłą roboczą lub sprowadzają tanią siłę roboczą do Ameryki, same sprytnie pozostając przy tym poza zasięgiem wzroku, za grzbietem wzgórza. Według danych z 2011 roku około dwustu osiemdziesięciu najbardziej dochodowych amerykańskich przedsiębiorstw zręcznie uniknęło zapłacenia podatków od połowy zysków, ale przesiąknięta historią głęboka historia wam tego nie powie. Jesteście skazani na własną wyobraźnię i poczucie, że nic nie możecie z tym z r o b i ć. Co gorsza, zawiódł was wasz własny sektor – wolny rynek. Jednocześnie zarobki białych spadły albo utknęły w miejscu, a wydatki na pomoc społeczną wzrosły[278].

## *Honor w impasie*

Lata 60. XX wieku postawiły więc starszych białych mężczyzn przed pewnym subtelnym dylematem. Z jednej strony chcieli wystąpić przed szereg i wzorem wielu innych grup śmiało wyrazić swoją tożsamość. Dlaczego my też nie mielibyśmy tego zrobić? Z drugiej strony, ze względu na swoje prawicowe poglądy byli z zasady

przeciwni wpychaniu się do kolejki i nie znosili nadużywanego słowa „ofiara”. Niemniej zaczynali c z u ć s i ę ofiarami, choć za nic nie powiedzieliby tego na głos. Inni przesuwali się do przodu; oni utknęli z tyłu. Nie lubili słowa „cierpienie”, ale c i e r p i e l i z powodu stagnacji zarobków, pułapki amerykańskiego snu i uwłaczającego im powszechnego przekonania, że niesłusznie zajmują pierwsze miejsce w kolejce. Uważali, że – w sensie kulturowym – cała Północ „wcisnęła się” do kolejki, spychając Południe na szary koniec, mimo że – o czym woleli nie pamiętać – z Północy na Południe płynął nieprzerwany strumień federalnych dolarów.

I znów: jak biały mężczyzna mógł jawnie chcieć przepchnąć się na początek kolejki, skoro z zasady sprzeciwiał się takim praktykom? Znalazłszy się w sytuacji wewnętrznego konfliktu, szukał innych powodów do dumy. Po pierwsze, domagał się uznania za swoją pracę. Jednak stałe zatrudnienie było coraz bardziej niepewne, a zarobki dziewięćdziesięciu procent Amerykanów od dawna nie rosły. Podobno pracownicy Toys „R” Us i Disneylandu musieli szkolić nowy narybek, który miał przejąć ich miejsca pracy za niższe płace. Tymczasem rząd federalny dawał pieniądze bezrobotnym, co dodatkowo obniżało prestiż związany z pracą. (Zob. jednak Aneks C).

Nie mogąc czerpać dumy z pracy, zwolennik Partii Herbacianej próbował powiązać poczucie honoru ze swoim regionem i stanem, ale tu też napotykał na trudności. Większość moich rozmówców kochała Południe, rodzinne miasto lub *bayou*, jednak zdawała sobie sprawę z ich niskiego statusu.

– Jesteśmy stanem tranzytowym – powiedziała popierająca Partię Herbacianą nauczycielka.

– Mamy opinię zacofanych i biednych – poskarżyła się inna kobieta.

Podobnie jak konserwatywni farmerzy z Midwestu, nazywani pogardliwie „kmiotkami”, i górnicy z kopalni węgla w Appalachach – powszechnie uważani za prymitywów – mieszkańcy Południa spotykali się z niezasłużoną pogardą ze względu na miejsce zamieszkania.

Skoro ich region i stan nie zapewniały im szacunku, pozostawało silne przywiązanie do wartości rodzinnych. Mieszkańcy Południa są dumni ze swojego kodeksu moralnego, faworyzującego heteroseksualne, monogamiczne, niestosujące antykoncepcji małżeństwo na całe życie, nawet jeśli sami nie zdołali spełnić jego wymogów. Wcale nie było łatwo żyć według jego nakazów. Pewna zwolenniczka prawicy miała brata geja, który ożenił się, spłodził dziecko, a potem opuścił najbliższych „po prostu dla seksu”. To wydarzenie potężnie wstrząsnęło całą rodziną. Inna kobieta, pamiętając, jakim dramatem był rozwód jej rodziców, zawarła małżeństwo-przymierze (*covenant marriage*). (Małżeństwo-przymierze zostało wprowadzone w Luizjanie w 1997 roku, by wzmocnić instytucję rodziny; nieco później zalegalizowały je Arkansas i Arizona. Zawierający taki związek muszą

przejść kurs przygotowujący do małżeństwa oraz podpisać zgodę na dłuższą i bardziej skomplikowaną procedurę rozwodową). Niedługo po ślubie odkryła, że jej mąż jest gejem. Wspólnie wychowują dwoje dzieci i moja rozmówczyni cieszy się, że udało jej się „zachować małżeństwo”. Czternastoletnia córka innej matki zaszła w ciążę i urodziła dziecko.

– Pracuję na pełnym etacie, a ona musi skończyć szkołę. Szczerze mówiąc, było nam bardzo ciężko – powiedziała moja znajoma.

Uważa, że jej córce byłoby łatwiej, gdyby dokonała aborcji. Ale „postąpienie jak należy” i zachowanie dziecka było dla nich kwestią honoru, którego liberałowie zdają się nie doceniać.

I jeszcze Kościół: wiele osób, tak jak Janice Areno, podkreślało wartość moralną „ukościelnienia” i oddawania dziesięciny. Ale jeśli brali dosłownie niektóre treści nauczane przez Kościół – że świat został stworzony w ciągu sześciu dni, Ewa powstała z żebra Adama, a ewolucja się nie zdarzyła – w oczach świeckiego społeczeństwa uchodzili za ignorantów.

Deklarując się jako chrześcijanki, które przyjęły Jezusa jako Zbawiciela, Janice, Jackie i Madonna mówiły światu: „Zobowiązałam się być osobą moralną. Codziennie staram się być dobra, pomagać, wybaczać. Naprawdę *ciężko pracuję*, by być dobrym człowiekiem”.

– Jeśli ktoś jest chrześcijaninem – powiedziała jedna z moich rozmówczyń – wiem, że wiele nas łączy. Łatwiej mi *zaufać*, że ta osoba postąpi *moralnie*, niż gdyby nie była chrześcijaninem.

Za tymi wszystkimi źródłami honoru – pracą, przywiązaniem do regionu i stanu, życiem rodzinnym i przynależnością do Kościoła – kryła się duma z *osobowości* zgodnej z głęboką historią. Ludzie, których poznałam w Luizjanie, wiele poświęcili w swoim życiu i uważali, że przynosi im to zaszczyt. Ojcu Janice Areno niełatwo było przerwać naukę w szkole i pomagać rodzicom w utrzymaniu dziesięcioosobowej rodziny. Prawie wszyscy moi rozmówcy mieli dwoje, najwyżej troje dzieci, niektórzy nie mieli ich w ogóle, ale kilkoro z nich wspomniało o szacunku dla swoich matek lub dziadków, którzy wychowali liczne potomstwo. Wymagało to wiele wysiłku. Powodem do dumy była także działalność na rzecz lokalnej społeczności – pomaganie sąsiadom za dwa piwa w układaniu wałów przeciwpowodziowych z worków z piaskiem (Mike Schaff), zorganizowanie zbiórki poduszek dla amerykańskich żołnierzy w Iraku (przyjaciółka Janice), praca w Namiocie Abrahama (Jackie Tabor).

Moi nowi znajomi z Partii Herbacianej byli także dumni z identyfikowania się z górnym jednym procentem społeczeństwa, klasą plantatorów, co tak nie podobało się liberałom. Świadczyło o tym, że jesteś pełnym nadziei optymistą, że się nie poddajesz. Owszem, rzadko oglądasz się na tych, którzy stali w kolejce za tobą, ale

nie ma w tym niczego złego. Dlaczego miałbyś krzywo patrzeć na faceta, któremu udało się wspiąć na sam szczyt? Wzrok skierowany przed siebie, nawet kiedy sprawy szły bardzo kiepsko, był elementem dzielnej osobowości zgodnej z głęboką historią.

Jednakże posiadanie tego typu osobowości nie zapewniało już takiego szacunku jak kiedyś. Na czoło wysuwała się inna, kosmopolityczna osobowość, typowa dla wyższej klasy średniej, utrzymująca większą liczbę bardziej rozproszonych, luźniejszych przyjaźni, gotowa rywalizować o miejsca na renomowanych uczelniach i nieustępliwie piąć się po szczeblach kariery, nawet jeśli wiązało się to z opuszczeniem rodzinnych stron. Takie kosmopolityczne osobowości były zorientowane na wstrzelenie się w globalne elity. Nie przeszkadzało im, jeśli musiały w tym celu oderwać się od korzeni. Były gotowe w każdej chwili udać się tam, gdzie czekała na nie dobra praca. Były dumne ze swoich liberalnych ideałów – praw człowieka, równości rasowej, walki z globalnym ociepleniem. Wielu liberałów z wyższej klasy średniej, zarówno białych, jak i czarnych, nie dostrzegało, co – na płaszczyźnie emocjonalnej – wypierał ich typ osobowości. Znikały bowiem nie tylko miejsca pracy dla białych robotników, lecz także wychodził z mody ich sposób życia, a wraz z nim szacunek dla zakorzenionej osobowości, potrafiącej cierpliwie znosić przeciwności losu – dla osobowości zgodnej z głęboką historią. Liberalna wyższa klasa średnia uważała przywiązanie do lokalnej społeczności za dowód zaściankowości i ciasnoty umysłowej, a nie za źródło dumy i poczucia przynależności. Nie dostrzegała, że przy obecnych trendach „za grzbietem wzgórza" może być następna w kolejce do wyeliminowania.

Ta zmiana kwalifikacji moralnych do spełnienia amerykańskiego snu uczyniła z konserwatystów obcych we własnym kraju – przerażonych, rozgoryczonych, spychanych na margines przez ludzi, którzy – w ich odczuciu – wcisnęli się przed nich do kolejki. Niewypowiedziana wojna klasowa, tocząca się na innej scenie, z innymi aktorami i wywołująca inne poczucie niesprawiedliwości, uczyniła ze zwolenników Partii Herbacianej wrogów „dostawcy" kolejkowych cwaniaków – rządu federalnego w Waszyngtonie.

### *Syryjscy uchodźcy*

Uchodźcy, którzy w 2015 roku przybyli do Stanów Zjednoczonych z ogarniętej wojną Syrii, dla moich informatorów z Partii Herbacianej byli kolejną grupą wpychającą się przed nich do kolejki – na dodatek niebezpieczną. Lee Sherman uważał Syryjczyków za potencjalnych członków Państwa Islamskiego.

– Dziewięćdziesiąt procent z nich to mężczyźni – powiedział. – Myślę, że powinniśmy wysłać ich do Guantanamo.

– Nie są żołnierzami wrogiej armii – przypomniałam mu.

– Wiem, ale można by rozebrać ogrodzenie, zrobić coś, żeby to wyglądało mniej jak więzienie – odparł. – Jeśli wpuścimy ich do USA, będą mieli te same prawa co my.

Mike Schaff, który sam był uchodźcą z Bayou Corne, porównał uciekinierów z Syrii do mieszkańców Południa w czasie wojny secesyjnej.

– Generał Lee stanął na czele mężnych Konfederatów, którzy mimo przytłaczającej przewagi liczebnej wroga i rozpaczliwych braków w uzbrojeniu nie chcieli opuścić ojczyzny i stanęli do walki. Walczyli, wielu z nich poległo. Ich żony i dzieci, gwałcone i mordowane, nie porzuciły domów. Po klęsce Południa też nie uciekli. Stopniowo przekształcili system władzy. Syryjczycy powinni zostać w swoim kraju i walczyć za to, w co wierzą. Jeśli uciekasz, w moim odczuciu zdradzasz samego siebie. Wiem, że to brzmi okrutnie, ale czasem trzeba dokonać trudnego wyboru.

– Bronimy muzułmanów i prześladujemy chrześcijan – powiedziała Jackie Tabor. – Czy widziałaś choć raz muzułmańską akcję dobroczynną albo jadłodajnię dla bezdomnych? Muzułmańskie Święto Dziękczynienia? Gdzie jest muzułmańskie nazwisko na Deklaracji Niepodległości?

O ile Mike patrzył na syryjskich uchodźców przez pryzmat lat 60. XIX wieku, o tyle Jackie widziała w skwapliwym przyjmowaniu ich przez rząd federalny różnorodność w stylu lat 60. XX wieku, zagrażającą religijnej kulturze, którą uważała za rzecz świętą.

Czując się obcy we własnym kraju, Lee, Mike i Jackie chcieli odzyskać ojczyznę, a Partia Herbaciana im to obiecywała. Obiecywała finansową wolność od podatków i emocjonalną wolność od rygorów liberalnej filozofii oraz wynikających z niej reguł odczuwania. Liberałowie żądali od nich współczucia dla uciskanych z końca kolejki, dla „niewolników” współczesnego społeczeństwa. Ale oni nie chcieli im współczuć; sami czuli się uciskani i chcieli patrzeć „wyżej”, na elitę. Co złego było w dążeniu na szczyt? Uważali, że przynosi im ono chlubę. Liberałowie twierdzili, że nieuczciwie zdobyte zyski nadmiernie bogatych, „plantatorów” powinny budzić ich oburzenie; prawica wolała oburzać się na biednych obiboków wpychających się przed nich do kolejki.

Kulturowym wkładem Południa w nowoczesną amerykańską prawicę może być jego uporczywa tendencja do secesji. W XIX wieku secesja miała charakter geograficzny: Południe odłączyło się od Północy. Pomiędzy 1860 a 1865 rokiem jedenaście stanów utworzyło odrębne terytorium i państwo. Współcześni zwolennicy Partii Herbacianej, których poznałam w Luizjanie, dążyli do innej secesji – oddzielenia się zamożnych od ubogich. W ich idealnym świecie rząd nie odbierałby bogatym, by dawać biednym. Utrzymywałby armię i Gwardię Narodową, budował

międzystanowe autostrady, pogłębiał akweny portowe, a poza tym mogłoby go nie być.

Zgodnie z ideologią Partii Herbacianej Północ i Południe miały pozostać zjednoczone, ale dokonałby się inny rozłam; bogaci oderwaliby się od biednych, którzy masowo wciskają się do kolejki. W latach 70. XX wieku dużo mówiło się o „strategii Południa” prezydenta Richarda Nixona, która odwoływała się do strachu białych przed społecznym awansem czarnych i przeciągnęła wielu białych wyborców na stronę republikanów. W XXI wieku narodziła się „strategia Północy”; konserwatyści z Północy dołączyli do konserwatystów z Południa, wspólnie powołując do życia ruch bogatych oraz tych, którzy się z nimi identyfikują, pragnących zrzucić z barków ciężar pomagania upośledzonym ekonomicznie. Idea zlikwidowania zasiłków społecznych znalazła licznych zwolenników w całym kraju. We wszystkich stanach bogatsi chcą się uwolnić od biedniejszych. Dokonać secesji.

# 15
# Już nie obcy: potęga obietnic

Prowadząc badania w terenie, socjolog zwykle udaje się w jakieś miejsce, a potem opuszcza je, ale samo miejsce się nie zmienia. W ciągu moich pierwszych dziewięciu wizyt w Luizjanie stwierdziłam, że praktycznie wszyscy członkowie grupy podstawowej – biali, w średnim wieku lub starsi, chrześcijanie, żyjący w związkach małżeńskich, pracujący fizycznie lub umysłowo – identyfikują się z tą samą „czuję się, jakbym" głęboką historią. Jednak kiedy przyjechałam do Luizjany po raz ostatni, zauważyłam, że zaszła istotna zmiana. Razem z zagorzałą zwolenniczką Partii Herbacianej pojechałam na wiec wyborczy zyskującego coraz szersze poparcie kandydata republikanów na nowoorleańskim lotnisku Lakefront[279]. Po powrocie zapytałam moich nowych przyjaciół i znajomych, co sądzą o Donaldzie J. Trumpie.

Wracając myślami do swoich wcześniejszych badań, widzę, że Trump wkroczył na przygotowaną zawczasu scenę – jak zapałka przytknięta do ułożonego wcześniej stosu suchych gałązek. Złożyły się na to trzy czynniki. Od 1980 roku prawie wszyscy moi rozmówcy czuli, że grunt ekonomiczny usuwa im się spod stóp, co powodowało, że spinali się na dźwięk słowa „redystrybucja". Także pod względem kulturowym czuli się spychani na margines: media głównego nurtu otwarcie wyśmiewały ich poglądy na temat aborcji, małżeństw jednopłciowych, ról genderowych, rasy, broni i flagi Konfederacji, przedstawiając je jako ciemnogród. Zdawali sobie sprawę, że słabną również w sensie demograficznym; „coraz mniej jest białych chrześcijan, takich jak my" – powiedziała mi Madonna. Zaczynali się czuć jak dyskryminowana mniejszość. Na te uczucia nałożyła się kulturowa tendencja – opisana przez W. J. Casha w *The Mind of the Soul*, lecz w łagodniejszej formie występująca także poza obszarem Południa – do identyfikowania się ze stojącym wyżej na drabinie społecznej plantatorem lub potentatem naftowym oraz nieodczuwania wspólnoty z zajmującymi niższe szczeble.

To wszystko należało do „głębokiej historii". W tej historii obcy wpychają się przed ciebie do kolejki, sprawiając, że czujesz niepokój, rozgoryczenie i strach. Prezydent ich wspiera, więc nie możesz mu zaufać i czujesz się zdradzony. Koleś przed tobą obraża cię, nazywając ciemnym kmiotkiem. Jesteś upokorzony i wściekły. Nagle stałeś się – ekonomicznie, demograficznie i politycznie – obcy we własnym kraju. Cały kontekst społeczny Luizjany – koncerny, administracja stanowa, Kościół i media – umacnia głęboką historię. Była już więc tam przed zapaleniem zapałki.

Drzwi hangaru na lotnisku Lakefront w Nowym Orleanie otwierają się

o piętnastej. Republikański kandydat na prezydenta, były gwiazdor telewizyjnego *reality show*, Donald J. Trump, zapowiedział swoje przybycie na osiemnastą. Zjawi się z półgodzinnym opóźnieniem. Następnego dnia w Luizjanie zostaną przeprowadzone prawybory. Rozentuzjazmowani zwolennicy Trumpa wysiadają z autobusów na oddalonych od lotniska parkingach i dołączają do tłumów płynących w kierunku bramek kontroli bezpieczeństwa.

Gigantyczną halę hangaru omiatają czerwone, białe i niebieskie reflektory stroboskopowe. Snopy światła suną do góry i na boki, do góry i na boki, jakby chciały zagarnąć urzeczone masy i porwać je do nieba. Wewnątrz hangaru kłębią się dwa, może trzy tysiące wielbicieli Trumpa, w czapkach i koszulkach z jego nazwiskiem. Ludzie kołyszą trzymanymi w górze tablicami z hasłami „TRUMP, PRZYWRÓĆ AMERYCE WIELKOŚĆ” albo „MILCZĄCA WIĘKSZOŚĆ POPIERA TRUMPA”. Na głównej ścianie wisi gigantyczna flaga Stanów Zjednoczonych.

Prawie sami biali. Jedyni czarni, których widzę – nie licząc protestujących – to ochroniarze i sprzedawcy handlujący na trawniku przed hangarem koszulkami z nazwiskiem Trumpa: dwadzieścia dolarów za sztukę, trzydzieści pięć za dwie. Wielu ludzi włożyło czerwono-biało-niebieskie czapki. Brodaci mężczyźni z włosami związanymi w kitkę kołyszą transparentami. Potężny mężczyzna o spływających na plecy długich siwych włosach, w niebieskich dżinsach i koszuli w kratę, przechadza się wśród tłumu z narzuconą na ramiona wielką amerykańską flagą. Rodzice trzymają dzieci na barana. Inny mężczyzna, w spodniach w biało-czerwone paski, kroczy dumnie w wysokim kapeluszu. Ktoś owinął się gigantyczną flagą. Dwaj mężczyźni włożyli zielone T-shirty z nadrukiem studolarowego banknotu. To sarkazm czy na poważnie? A może jedno i drugie jednocześnie? Trudno się zorientować. Gra głośna muzyka: *You Can’t Always Get What You Want* Rolling Stonesów.

Wędrujące światła reflektorów zatrzymują się w miejscu. Donald Trump wchodzi po schodkach na ustawione przed flagą podwyższenie, odwraca się do rozentuzjazmowanych tłumów, uśmiecha i macha na powitanie ręką.

– Kto po-ko-na Trumpa? Kto pokona go? – skanduje cały hangar, parafrazując stadionowe zawołanie kibiców New Orleans Saints.

Trump dziękuje i zaczyna opowiadać, jak zdobywał poparcie.

– Najpierw miałem siedem procent i myśleli, że mnie zmiotą. Potem miałem piętnaście, potem dwadzieścia pięć… – Przechodzi z „ja” na „my”. – Rośniemy w siłę… Ameryka będzie potężna, dumna, bogata. Ja jestem tylko posłańcem.

Ludzie pohukują i krzyczą. Gorączkowo machają tablicami z hasłami, w górę i w dół, kołyszą nimi na boki.

– Nie pozwolimy okradać się innym państwom! – wrzeszczy Trump.

Tłum wiwatuje.

– Nie pozwolimy na to!

Wiwaty.

– Nasz kraj schodzi na psy. Ale my sprawimy, że znów będzie wielki!

Wiwaty.

– Postawimy mur na granicy z Meksykiem i obciążymy Meksyk kosztami budowy!

Wiwaty.

– Wzmocnimy naszą armię!

Tłum szaleje.

– Rozpędzimy Państwo Islamskie!

Tłum wyje z zachwytu.

Żylasty staruszek w czerwonym krawacie trzyma tablicę z napisem „KKK ZA TRUMPEM!”. Odwraca ją, pokazując, co jest napisane z drugiej strony: „TRUMP, DUKE W 2016” [Donald Trump na prezydenta, David Duke, Wielki Mag Ku Klux Klanu, na wiceprezydenta]. W pierwszej chwili biorę go za protestującego, ale kiedy lepiej przyjrzę się jego twarzy, dochodzę do wniosku, że chyba rzeczywiście jest z Ku Klux Klanu. Opędza się rękami od ochroniarzy, lecz w końcu go wyprowadzają.

Pojawiają się protestujący, między innymi z ruchu Black Lives Matter. Mają tablice z hasłami w rodzaju „TEN WETERAN NIE POPIERA TRUMPA”, „MAŁE RĘCE, MAŁE SERCE”, „NIE DLA TRUMPA, NIE DLA KU KLUX KLANU, NIE DLA FASZYZMU W USA”.

Trump wskazuje jednego z nich palcem i poleca ochroniarzom:

– Zabierzcie tego gościa. P r e c z z nim!

Ludzie w tłumie też pokazują go sobie palcem.

– P r e c z!

– Dlaczego to tyle trwa? Nie wierzę, że to zabiera tyle czasu – powtarza Trump, znów wskazując palcem mężczyznę. Tłum wybucha wrzaskiem, zagłuszając protestujących.

– U S A!

– U S A!

– U S A!

Podczas późniejszych imprez wyborczych na widok protestujących Trump sam zaczyna skandować „USA”. W ten sposób daje do zrozumienia, że protesty to jedno, a bycie Amerykaninem to zupełnie co innego.

Po przemówieniu Trumpa znowu rozlega się muzyka. Tym razem *Rocket Man* Eltona Johna.

Trump wstrzymuje się z odejściem. Podpisuje plakaty, czapki, koszulki i buty. Dumni rodzice podają kandydatowi na prezydenta wyraźnie nieszczęśliwego jasnowłosego brzdąca, by zrobić im wspólne zdjęcie. Dzieciak ma ułożoną na piankę fryzurę á la Trump. Niska kobieta w czerwonym kapeluszu gorączkowo podskakuje,

by zobaczyć coś ponad głowami wyższych od siebie ludzi. W końcu staje na krześle, opierając ręce na ramionach nieznajomego mężczyzny. Widzę człowieka w średnim wieku, z uniesionymi rękami, jakby był w ekstazie. Mówi do wszystkich wokół i do nikogo w szczególności:

– Przebywać w obecności takiego człowieka!

Następnego dnia Donald Trump uzyskuje czterdzieści jeden procent głosów w prawyborach Partii Republikańskiej w Luizjanie, wygrywając ze swoim rywalem, chrześcijańskim fundamentalistą Tedem Cruzem.

Na kolejnych wiecach Trump wyjaśnia swoim zwolennikom, co ma im do zaoferowania.

– Byłem chciwy. Jestem biznesmenem […] biorę, biorę, biorę. Teraz będę chciwy dla Stanów Zjednoczonych. – (Tłum szaleje).

Kreśli wyraźną linię pomiędzy chrześcijanami, którym obiecuje zwrócić chrześcijańską kulturę publiczną, a muzułmanami i protestującymi aktywistami Black Lives Matter. Czasem mówi o nich:

– To źli, źli, źli ludzie… Nic nie robią… Słyszycie ten słaby pisk? Protestujący… To nie żadni protestujący. Dla mnie to wichrzyciele.

Na innych imprezach wyborczych stwierdzał pod adresem protestujących: „Chętnie dałbym mu w zęby” (23 lutego 2016); „W starych, dobrych czasach szybko ściągnęliby go z tego krzesła” (27 lutego 2016); „Przyłóżcie mu, żeby nabrał rozumu, dobra? Poważnie… Obiecuję, że zapłacę za was w sądzie. Obiecuję. Obiecuję” (1 lutego 2016). „Niektórzy [z nich] są bardzo agresywni… Zrujnujmy… Zrujnują sobie… resztę życia… Skoro chcą się tak zachowywać, niech idą siedzieć… Zrujnują sobie życie… Złożę zawiadomienie o przestępstwie" (13 marca 2016)[280].

Innym razem, po wyprowadzeniu przez ochronę człowieka, który wtargnął na estradę, stwierdził: „Zdjęli faceta”. Zastanawiając się na głos, jak by postąpił, gdyby napastnik zdołał do niego dobiec, powiedział: „Byłoby bęc, bęc, bęc”[281] (naśladując okładanie pięściami).

A co z zanieczyszczeniem środowiska, które tak daje się we znaki mieszkańcom Luizjany? Co Donald Trump zamierza z tym zrobić? O Agencji Ochrony Środowiska wyraził się: „Pozbędziemy się jej w prawie każdej formie"[282]. (Wiwaty).

Trump jest „kandydatem emocji”. W większym stopniu niż którykolwiek z jego poprzedników skupia się na wywoływaniu – i nagradzaniu – emocjonalnych porywów swoich zwolenników, a nie na szczegółowym przedstawianiu rozwiązań politycznych. Jego przemówienia wywołują w słuchaczach poczucie dominacji, brawurę, pewność, dumę narodową i optymizm, prowadząc do emocjonalnej przemiany. Następnie Trump wypunktowuje tę przemianę. „Jest w nas pasja” – oznajmił swoim zwolennikom w Luizjanie. „Przerwaliśmy milczenie[283]; jesteśmy głośną, hałaśliwą

większością”. Szydzi z niezdolności rywali z obu partii do wzbudzenia entuzjazmu. „Brakuje im energii”. Jednak Trump nie tylko rozbudza emocje, lecz także czyni z nich obiekt, który oddaje swoim zwolennikom jako symbol zbiorowego sukcesu.

Jego zwolennicy opłakiwali utracony sposób życia. Wielu z nich poddało się zniechęceniu lub przygnębieniu. Pragnęli czuć dumę, lecz zamiast tego musieli się wstydzić. Mieli wrażenie, że ich kraj nie należy już do nich. Stojąc w tłumie innych podobnych do siebie, poczuli nadzieję, radość, uniesienie. Mężczyzna z podniesionymi rękami, który wyraził zdumienie – „być w obecności takiego człowieka!” – wydawał się znajdować w stanie ekstatycznego upojenia. Jakby uniosła ich jakaś magiczna siła, nie są już obcymi we własnym kraju.

„Zbiorowa ekscytacja”, jak nazwał to zjawisko francuski socjolog Émile Durkheim w *Elementarnych formach życia religijnego*, to stan emocjonalnego podniecenia pojawiającego się w momencie przyłączenia się do grupy, z którą odczuwamy plemienną, moralną lub biologiczną więź. Ludzie gromadzą się, by utwierdzić się w poczuciu jedności[284], a utwierdzeni w nim, czują się bezpieczni i otoczeni szacunkiem. Durkheim badał obrzędy religijne rdzennych społeczności Australii i innych obszarów, jednak sporo jego spostrzeżeń można zastosować do wiecu na lotnisku Lakefront i wielu podobnych imprez wyborczych. Ludzie zbierają się wokół tego, co Durkheim nazywa „totemem” – symbolu, jakim jest krzyż albo flaga. Przywódcy podłączają się pod totem, a charyzmatyczni przywódcy mogą sami stać się totemem. Funkcją totemu jest zjednoczenie wyznawców. Patrząc z perspektywy Durkheima, ekstatyczne zgromadzenie wokół Donalda Trumpa służy zjednoczeniu wszystkich religijnych białych entuzjastów, którzy boją się, że „wpychający się do kolejki” stworzą nową, przerażającą i obcą Amerykę. Źródłem uniesienia i ekscytacji nie jest sam Trump, lecz poczucie jedności potężnego tłumu nieznających się osobiście ludzi, zgromadzonego wokół jego osoby. Gdyby sam wiec mógł przemówić, zakrzyknąłby: „Jesteśmy większością!”. Na to nakłada się sugestywna obietnica wyniesienia ponad gorycz, rozpacz, przygnębienie. „Ruch”, jak Trump zaczął nazywać swoją kampanię wyborczą, działa podobnie do antydepresantów. Jak inni przywódcy obiecujący wybawienie, Trump odwołuje się do świadomości moralnej, ale na poziomie emocji daje swoim zwolennikom euforyczny odlot.

Wzmocnieniu świeżo zrodzonego poczucia jedności służą stroje, czapki, tablice ze sloganami. Dla ludzi, którzy przychodzą na wiece, te imprezy są symbolem potężnej, wzbierającej fali. Opuszczając hangar, zwolennicy Trumpa powtarzali: „Zobaczcie, jak wielu nas jest”. W ich odczuciu Trump zdobył amerykańską flagę.

Jednym ze sposobów wzmocnienia „odlotu” zjednoczonych w braterstwie i siostrzeństwie wyznawców jest napiętnowanie i wypędzenia członków

zewnętrznych grup. W swoich przemówieniach wyborczych Trump stwierdzał, że „w islamie jest coś, co nienawidzi chrześcijan”, i zapowiadał, że zamknie granice Stanów Zjednoczonych dla wszystkich muzułmanów. Mówił o wydaleniu z USA wszystkich osób o pochodzeniu meksykańskim, które nie będą mogły przedstawić ważnych zezwoleń na pobyt. Niechętnie i w zaczepnym tonie („Odżegnuję się od niego, *okej?* ”) odżegnał się od osławionego Wielkiego Maga luizjańskiego Ku Klux Klanu, Davida Duke’a, sygnalizując w ten sposób, że czarni należą do zewnętrznej grupy. Niemal na każdym wiecu Trump wskazuje palcem protestujących, niekiedy demonizując ich i domagając się wyrzucenia. (Jedną z takich osób fałszywie oskarżył o przynależność do Państwa Islamskiego). Wskazanie kozła ofiarnego wzmacnia ekstatyczną jedność zgromadzonych. Akt wyrzucenia „złego” poza nawias społeczności pomaga zwolennikom zjednoczyć się we wspólnym poczuciu, że to oni są „dobrymi”, większością, już nie obcymi we własnym kraju.

W sensie emocjonalnym na wiecu wyborczym Trumpa zadziało się jeszcze coś bardzo ważnego, co także można porównać do przyłożenia zapałki do stosu suchych gałązek. Nastrój euforii wzmagało poczucie wyzwolenia się od ograniczeń politycznie poprawnego języka i politycznie poprawnych poglądów. Trump krzyczy: „Pozbędziemy się PC [*political correctness* – politycznej poprawności]!”. Republikański kandydat na prezydenta odrzucił nie tylko „politycznie poprawne” postawy, lecz także komplet „reguł odczuwania” – dyktujących, co należy czuć w stosunku do czarnych, kobiet, imigrantów i gejów – do których nawiązywało hasło na tablicy jednej z kobiet protestujących w Nowym Orleanie: „GŁOSUJ SERCEM, A NIE NIENAWIŚCIĄ”.

Zwolennicy skrajnej prawicy, których poznałam w Luizjanie, czuli dwie rzeczy. Po pierwsze, że głęboka historia jest prawdziwa. Po drugie, że liberałowie nie wierzą w jej prawdziwość i zarzucają konserwatystom, iż *nie czują tego co należy.* Według liberałów czarni i kobiety, beneficjenci akcji afirmacyjnej, imigranci, uchodźcy i pracownicy sektora publicznego *naprawdę* wcale nie kradną im miejsca w kolejce. *Więc nie ma powodu do oburzenia.* Liberałowie głosili, że pomoc Obamy dla tych grup nie jest naprawdę zdradą. Awans wciskających się do kolejki nie następował kosztem białych mężczyzn i ich żon. Innymi słowy, zwolennicy skrajnej prawicy czuli, że ich głęboka historia oddaje *prawdę,* a fałszywa polityka poprawności stanowi przykrywkę, która ma tę prawdę *zatuszować.* Czuli się wzgardzeni.

– Uważają, że jeśli nie jest nam żal czarnych, imigrantów i syryjskich uchodźców, to nie możemy się uważać za dobrych ludzi – powiedział mi pewien mężczyzna. – Ale ja jestem dobrym człowiekiem i *nie* jest mi ich żal.

Moi nowi przyjaciele czuli, że przykrywka poprawności politycznej zmusza ich do zarządzania pozorami uczuć, a nawet, w pewnej mierze, prawdziwymi uczuciami.

Nie musieli tego robić w kontaktach z przyjaciółmi, sąsiadami i rodziną, czuli jednak, że reszta Ameryki nie podziela ich poglądów. (Od jednej z kobiet usłyszałam: „Wiem, że liberałowie chcą, byśmy współczuli czarnym. Wydaje im się, że w odróżnieniu od nas są idealistami”). Moi prawicowi przyjaciele czuli się zobowiązani do modyfikowania swoich uczuć, choć wcale nie mieli ochoty tego robić; czuli na sobie baczny wzrok „policji poprawności politycznej”. W sferze uczuć konserwatyści czuli się traktowani jak przestępcy, chociaż to liberałowie trzymali w ręku spluwę.

Dlatego z radosnym poczuciem ulgi słuchali Donalda Trumpa, który sprawiał wrażenie szaleńczo, wszechpotężnie, czarodziejsko wolnego od ograniczeń politycznej poprawności. Ze swadą generalizował na temat wszystkich muzułmanów, wszystkich Meksykanów, wszystkich kobiet – łącznie z tym, że wszystkie kobiety miesiączkują, co uznał za „obrzydliwe”. (Głośna była sprawa wypowiedzi Trumpa na temat prezenterki wiadomości Fox News Megyn Kelly, o której wyraził się, że „leci jej krew z tego, co tam ma”). W przypływie jowialności przedrzeźniał niepełnosprawnego dziennikarza, potrząsając ręką, jakby była bezwładna. Nieprzychylni mu uważali te zachowania za głęboko uwłaczające, ale zmęczonym udawaniem współczucia konserwatystom dawały one poczucie wolności. Dzięki Trumpowi mogli jednocześnie czuć się dobrymi, moralnymi Amerykanami i odczuwać wyższość wobec tych, których uważali za „innych” albo gorszych od siebie.

Oszałamiająca, podnosząca poczucie wartości swoboda wyrażania własnych poglądów powodowała stan bardzo przyjemnego odlotu. To oczywiste, że ludzie chcą czuć się przyjemnie. Utrzymanie tego stanu leży w ich emocjonalnym interesie. Wielu liberalnych badaczy – łącznie ze mną – ma tendencję do skupiania się na interesie ekonomicznym. Zainteresowanie tym aspektem sprawiło, że kiedy zainspirowana *Co z tym Kansas?* Thomasa Franka wyruszyłam do Luizjany, wiozłam ze sobą jak walizę Wielki Paradoks. Wielokrotnie zadawałam sobie pytanie, dlaczego mieszkańcy stanu borykającego się z tyloma poważnymi problemami gardzą federalnymi pieniędzmi, które mogą je pomóc rozwiązać. Tego rodzaju pytania odwoływały się do ekonomicznej korzyści własnej. Odkryłam jednak, że choć względy ekonomicznej korzyści własnej nigdy nie znikały całkowicie z pola widzenia, przemożną rolę odgrywała korzyść emocjonalna – euforyczna ulga, że już się nie jest obcym we własnym kraju.

Wiele osób, które doświadczyły ekstazy – „odlotu” – bycia częścią potężnej, jednomyślnej większości, nieskrępowanej nakazami politycznie poprawnych reguł odczuwania, chciało tę ekstazę utrzymać. W tym celu odrzucały wątpliwości i szukały potwierdzenia. Pewna kobieta przez całe nasze sześciogodzinne spotkanie bez przerwy mówiła o Trumpie, odpierając wszystkie potencjalne zarzuty i nie zostawiając żadnej szpary, przez którą mógłby się wkraść sceptycyzm. Przyszło

mi do głowy, że nieustanne mówienie pełniło funkcję tarczy, którą chroniła swój stan ekstazy[285].

Kiedy po raz ostatni przyjechałam do Luizjany spotkać się z moimi prawicowymi przyjaciółmi, zetknęłam się z rozmaitymi reakcjami na Donalda Trumpa. Połowa była za, połowa przeciw. Janice Areno, gracz drużynowy, broniła go jak lwica, podobnie jak wiele osób w jej biurze i rodzinie. Z niewzruszoną obojętnością przyjmowała wywoływane przez niego kontrowersje, kwitując je słowami: „Ten kraj schodzi na psy; potrzebujemy silnego przywódcy, który go wyprowadzi na prostą". Spora część uczestników niedzielnych obiadków u Cappy'ego i Fay w Longville dostrzegała w Trumpie wiele godnych podziwu zalet. Zdaniem Donny'ego McCorquodale'a nadawał się na naczelnego kowboja kraju. Mike Schaff, obrońca środowiska i działacz Partii Herbacianej, popierał senatora z Teksasu Teda Cruza, mimo że licząc od 2011 roku, Cruz zainkasował milion dolarów od przemysłu naftowo-gazowego na swoją kampanię wyborczą i powiedział o Agencji Ochrony Środowiska, że jest „niewiarygodnie agresywna". Dla Mike'a liczyły się ograniczenie prerogatyw rządu, niskie podatki, prawo do posiadania broni i zakaz aborcji. Gdyby jednak Cruz odpadł w prawyborach, Mike, jego żona i pięcioro z sześciorga rodzeństwa zamierzali zagłosować na Trumpa.

Nie wszyscy byli na to zdecydowani. Jackie Tabor, wyznawczyni, napisała w e-mailu do mnie: „Trump mnie przeraża, a szkoda, bo ewidentnie jest świetnym biznesmenem, co bardzo by nam się przydało, zważywszy obecny stan finansów państwa". Harolda i Annette Arenów, głęboko religijne małżeństwo zielonoświątkowców z Bayou d'Inde, zraziły do Trumpa jego kpiny z osoby niepełnosprawnej. Sharon Garcia, była prezeska Republikanek Południowo-Zachodniej Luizjany, ubiegająca się o stanowisko w strukturach Partii Republikańskiej, powiedziała: „Myślę, że jest podły. Ale robotnicy w fabrykach, którym sprzedaję ubezpieczenia, uważają go za wspaniałego człowieka". Jeśli Trump uzyska nominację republikanów, będzie mógł liczyć także na jej niechętny głos. Pewien uchodźca z Bayou Corne, niezdecydowany jeszcze, jak zagłosuje, przyznał: „Podoba mi się to, co Trump mówi, ale boję się tego, co robi".

Sporo osób podziwiało Trumpa ze względu na jego sukcesy biznesowe. Był dla nich orędownikiem wolnego rynku, a to miało istotne znaczenie. W czasie Wielkiej Depresji w latach 30. XX wieku część Amerykanów zwróciła się w stronę socjalizmu i komunizmu. Idealizując scentralizowany system władzy, obdarzyli zaufaniem przywódców, którzy ucieleśniali ich – inspirowaną emocjami – wiarę w taką formę rządów. W czasie obecnej dekoniunktury gospodarczej wielu zwolenników prawicy w podobny sposób zawierzyło kapitalizmowi.

Pośrednio Trump obiecuje „przywrócić wielkość" także mężczyznom, zarówno wymachującym pięściami, rozmiłowanym w broni samcom, jak i ambitnym

przedsiębiorcom. Dał urodzonym w Ameryce heteroseksualnym białym mężczyznom szansę uwolnienia się od dylematu, z którym od długiego czasu zmagali się jako „pominięci" przez triumfalną politykę tożsamości lat 60. i 70. Z jej punktu widzenia Trump jest kandydatem białych mężczyzn. Poza tym nie występuje otwarcie przeciwko darmowej opiece medycznej dla tych, którzy tego potrzebują. Jeśli zwycięży w wyborach, będziesz mógł korzystać z Trumpcare i nadal czuć się mężczyzną.

W początkach XXI wieku, gdy ponadnarodowe korporacje stają się potężniejsze od rywalizujących o ich przychylność rządów, na całym świecie prawica rośnie w siłę. Prawicowe reżimy – skupiające się na nacjonalistycznych sentymentach, silnej władzy centralnej oraz nietolerancji dla mniejszości i opozycji – doszły do władzy w Rosji, gdzie prezydent Putin uważa głosy sprzeciwu za oznakę słabości i „zachodnich wpływów", w Indiach, gdzie Indyjska Partia Ludowa (Bharatiya Janata Party) ogłosiła, że Indie są państwem hinduskim, na Węgrzech, gdzie antysowieckie pomniki zastępuje się antyniemieckimi, i w Polsce, która wydała wojnę wolnym mediom. Prawica aktywizuje się we Francji (Front Narodowy), w Niemczech (Narodowodemokratyczna Partia Niemiec, Nationaldemokratische Partei Deutschlands) i w Zjednoczonym Królestwie (Partia Niepodległości, Independence Party).

Wygląda na to, że fala różnych wersji głębokiej historii zalewa cały świat.

# 16
# Podobno rosną tam piękne drzewa

W ciągu ośmiu lat na stanowisku gubernatora Luizjany Bob Jindal zwolnił trzydzieści tysięcy pracowników sektora publicznego, wielu innych wysyłając na przymusowe urlopy bezpłatne. Pracownicy opieki społecznej muszą sobie radzić ze zwiększoną liczbą klientów. Dzieci-ofiary przemocy po raz pierwszy w historii nocują w biurach stanowych urzędów. Od początku roku akademickiego 2007/2008 gubernator Jindal ograniczył finansowanie wyższych uczelni w drugim najbiedniejszym stanie Ameryki o czterdzieści cztery procent. Na kampusie Southern University, Alma Mater generała Russela Honorégo, niegdyś kształcącej wyłącznie czarnych studentów, ściany budynków pokrywa pleśń, a po dormitoriach biegają szczury. Większość dziekanatów pracuje dwa albo trzy dni w tygodniu. Cięcia nakładów na sądownictwo w stanie, gdzie ośmiu na dziesięciu oskarżonych zdanych jest na obrońcę z urzędu, doprowadziły do zwolnienia wielu adwokatów. Oskarżeni gniją w aresztach, czekając na proces – sześćdziesiąt osób w samym tylko Nowym Orleanie – bo nie ma ich kto bronić, a listy oczekujących liczą tysiące nazwisk[286]. Jednocześnie przewidywany deficyt budżetowy Luizjany wynosi 1,6 miliarda dolarów. Spodziewane są kolejne cięcia w sferze budżetowej. Następca Jindala, John Bel Edwards, gubernator z ramienia demokratów, w marcu 2016 roku niechętnie ogłosił, że w obliczu „bezprecedensowego kryzysu fiskalnego” stan potrzebuje blisko trzech miliardów dolarów – prawie sześćset pięćdziesiąt dolarów na jednego mieszkańca – by utrzymać funkcjonowanie służb publicznych. Jindal obniżył podatki dochodowe osób prawnych i fizycznych i przeznaczył 1,6 miliarda dolarów na „zachęty” dla przemysłu, które miały ściągnąć do stanu nowe przedsiębiorstwa. Zaoferował im dziesięcioletnie zwolnienie od podatków. Sprzedał należące do stanu parkingi i ziemie uprawne – potencjalne źródło dochodów. Umieścił w stanowych szpitalach menadżerów „przyjaznych biznesowi”, przez co koszty leczenia zaczęły rosnąć. Założył, że ceny ropy pójdą w górę i koncerny naftowe zgarną podlegające opodatkowaniu zyski, ale tak się nie stało. Postawił wszystko na jedną kartę i przegrał. Stan Luizjana osuwa się w finansowe zapadlisko.

Prawie wszyscy zwolennicy Partii Herbacianej, z którymi rozmawiałam, dwukrotnie zagłosowali na Jindala, który obiecywał wcielić w życie ich system wartości. Jednak po ośmiu latach jego rządów są bardzo niezadowoleni z efektów. Spełnił swoje obietnice wyborcze – obniżył podatki i ograniczył finansowanie sektora publicznego – ale pozostawił stan w ruinie. Dziś jednak, jak się zdaje, o Jindalu nikt

już nie pamięta. Mówiąc o gubernatorze Edwardsie, który próbuje ratować sytuację, wielu z moich rozmówców niemal dosłownie powtórzyło komentarz Mike’a Schaffa: „Teraz mamy gubernatora z Partii Demokratycznej i pierwsze, co robi, to zwiększa podatki”.

W 2016 roku w następstwie finansowego zapadliska Wielki Paradoks był jeszcze ostrzejszy niż wcześniej. Pod względem ogólnego poziomu życia ich ukochana Luizjana nadal zajmowała przedostatnie, czterdzieste dziewiąte miejsce wśród wszystkich stanów USA, a znienawidzony rząd federalny dokładał czterdzieści cztery procent do jej budżetu. Sama była „biednym żuczkiem” wciskającym się do kolejki przed inne stany, do czego walnie przyczyniła się polityka gubernatora Jindala. Ludzie nie rozmawiali jednak o Jindalu ani o Wielkim Paradoksie, który uporczywie nie chciał zniknąć. Zdawali sobie sprawę z jego istnienia. Nie podobało im się to, ale nie zawracali sobie tym głowy. Ich myśli zaprzątała głęboka historia.

„Ofiara” jest ostatnim słowem, którego moi przyjaciele z luizjańskiej Partii Herbacianej użyliby w odniesieniu do siebie. Nie chcą być „biednymi żuczkami”. Jako gracze drużynowi, wyznawcy i kowboje są dumni z umiejętności cierpliwego znoszenia przeciwności losu. Jednakże ludzi, którzy stracili domy, wodę pitną, a nawet miejsca pracy w pozanaftowych sektorach gospodarki, nie można inaczej nazwać: są ofiarami. W istocie Luizjańczycy są barankami ofiarnymi złożonymi na ołtarzu amerykańskiego systemu przemysłowego. Bez względu na nasze przekonania polityczne wszyscy radośnie używamy plastikowych grzebieni, szczoteczek do zębów, telefonów komórkowych i samochodów, nie płacąc za to straszliwie zanieczyszczonym środowiskiem. Jak pokazują dane, do których dotarłam w toku pisania tej książki, czerwone stany ponoszą wyższe koszty, po części na skutek decyzji własnych wyborców głosujących za liberalizacją przepisów, po części w wyniku oddziaływania obszaru społecznego – polityki, przemysłu, stacji telewizyjnych i Kościoła – który zachęca owych wyborców, by głosowali tak, a nie inaczej. W pewnym sensie mieszkańcy niebieskich stanów mogą mieć ciasteczko i zjeść ciasteczko, podczas gdy w czerwonych stanach wiele osób nie ma żadnej z tych możliwości. Prawicowi politycy, paradoksalnie, odwołują się do tego poczucia krzywdy, nawet gdy to ich własne działania, jak w przypadku gubernatora Jindala, przyczyniły się do zaostrzenia problemu.

Jednocześnie lewica i prawica potrzebują siebie nawzajem, tak samo jak niebieskie miasta na obu Wybrzeżach i w głębi kontynentu potrzebują energii i silnych więzi społecznych stanów czerwonych. Rolnicze rejony Midwestu i Południa potrzebują kosmopolitycznej otwartości na zróżnicowany świat zewnętrzny. Jak pisze socjolog Richard Florida: „Oparte na wiedzy gospodarki niebieskich stanów pracują na energii produkowanej przez czerwone stany. Z kolei gospodarki czerwonych stanów są uzależnione od gęsto zaludnionych miast na

wybrzeżach i obszarach metropolitalnych, które są dla nich nie tylko rynkiem zbytu i źródłem migrującej siły roboczej, lecz także technologii i talentów”[287].

Przytłoczyła mnie złożoność i wysokość murów empatii, które napotkałam podczas swoich wypraw. Jednak żartobliwa serdeczność, z jaką ludzie, których poznałam w Luizjanie, zaakceptowali obcą kobietę z Berkeley, pokazała, że w bezpośrednich kontaktach można je łatwo obalić. W wielu konkretnych sprawach istnieje możliwość praktycznej współpracy. Lewica i prawica w Kongresie zgadzają się obecnie, że musimy zmniejszyć liczbę więźniów przebywających w zakładach karnych. Młodzi konserwatyści troszczą się o środowisko dużo częściej niż poprzednie pokolenia[288]. Podczas naszego ostatniego spotkania Mike Schaff zaskoczył mnie, sugerując kolejny wspólny cel: „Duże pieniądze pogłębiają dzielące nas różnice. Zabierzmy je politykom – obu stron!”.

Po powrocie do Kalifornii – z notesem wypełnionym adresami nowych przyjaciół i nadzieją na podtrzymanie kontaktów – siedzę przy biurku w swoim gabinecie i patrzę w wychodzące na północ okno. W oddali niebo zasnuwają szare chmury nad rafinerią Chevronu na wschodnim brzegu Zatoki San Francisco. Ten widok przypomina mi, że problemy, o których mówiliśmy na przykładzie Bayou d’Inde, nie są aż tak znów odległe. Wyciek z odwiertu platformy wiertniczej Union Oil na wodach przybrzeżnych w okolicy Santa Barbara w Kalifornii w 1969 roku[289] swego czasu był największą tego rodzaju katastrofą w historii Ameryki. Do wycieków dochodziło także w innych miejscach. Niebieskie stany są czystsze od czerwonych, ale problem dotyczy całego kraju – i staje się coraz bardziej poważny. Po kilkudziesięciu latach stopniowej poprawy od 2009 roku w całych Stanach Zjednoczonych znów wzrasta poziom zanieczyszczenia powietrza, wody i gleby[290]. W niniejszej książce zawęziłam pole obserwacji do kwestii środowiska (*keyhole issue*), by przypomnieć, jak niezwykle ważne dla nas wszystkich jest to, o co – poza głęboką historią i polityką – toczy się gra.

---

Gdybym miała napisać list do przyjaciela z liberalnej lewicy, brzmiałby on tak:

> Dlaczego nie poznasz jakichś ludzi spoza własnej politycznej bańki? Zapomnij o Ayn Rand; jest ich guru, ale nie spotkasz ani jednej osoby aż tak samolubnej, jak mógłbyś oczekiwać po lekturze jej książki. Prawdopodobnie poznasz wspaniałych ludzi, od których będziesz mógł się wiele nauczyć na temat mocnych więzi społecznych, siły charakteru i odporności na przeciwności losu.
>
> Pewnie przypuszczasz, że potężni gracze, którzy – dla własnej korzyści materialnej – mobilizują szeregowych zwolenników prawicy, „łapią” ich,

odwołując się do c i e m n e j s t r o n y ich natury: chciwości, egoizmu, nietolerancji rasowej, homofobii i niechęci do finansowania ze swoich podatków zasiłków dla potrzebujących. Jak widziałam na wiecu wyborczym Trumpa w Nowym Orleanie, częściowo rzeczywiście tak jest. Przesłania to jednak fakt, że jednocześnie odwołują się do j a s n e j s t r o n y ich natury: umiejętności cierpliwego czekania w kolejce w trudnych ekonomicznie czasach, lojalności, gotowości do ponoszenia ofiar, wytrzymałości – przymiotów, o których opowiada głęboka historia.

Rozważ, czy gdybyś był na ich miejscu, nie myślałbyś trochę podobnie.

Gdybym miała napisać list do popierającego skrajną prawicę przyjaciela z Luizjany, brzmiałby on tak:

Wielu postępowych liberałów jest równie jak Ty niezadowolonych z decyzji politycznych naszego kraju. I wielu odnajduje siebie w niektórych fragmentach Twojej głębokiej historii. Biała sześćdziesięcioletnia nauczycielka ze szkoły podstawowej w San Francisco powiedziała mi: „Mam liberalne poglądy, ale dobrze rozumiem ten kawałek o czekaniu w kolejce”. Wiem, jakie stawiacie sobie cele – kwitnąca społeczność lokalna, pełne zatrudnienie, godne warunki pracy, wolność – ale czy programy polityczne, które popieracie, naprawdę pomogą Wam je osiągnąć? To oczywiste, że chcecie mieć dobrą pracę i przyzwoicie zarabiać. Pewnie Wam się to nie spodoba, ale jeśli chodzi o pracę, w przeszłości demokraci zawsze byli lepsi od republikanów. Bob Deitrick i Lew Goldfarb w *Bulls, Bears, and the Ballot Box* zauważają na przykład, że w ciągu ostatnich osiemdziesięciu lat według jedenastu z dwunastu wskaźników gospodarka radziła sobie lepiej za prezydentów z ramienia demokratów niż z ramienia republikanów. (Zob. Aneks C). Zresztą różnice między obiema partiami nie są bynajmniej oczywiste. Demokrata Bill Clinton zapoczątkował epokę deregulacji, zwykle popieranej przez prawicę, a republikanin Richard Nixon wprowadził pierwsze przepisy ochrony środowiska, obecnie postulowane przez lewicowców.

Drodzy Luizjańczycy, spójrzcie na Norwegię. To mała, kapitalistyczna demokracja z mniej więcej taką samą, pięciomilionową, populacją jak Luizjana. Ma bardzo długie wybrzeże i jej mieszkańcy, podobnie jak wy, kochają wodę, łodzie i łowienie ryb. Tak jak i Wy, Norwegia dysponuje złożami ropy naftowej, jednak różni się od Luizjany filozofią rządzenia i koncepcją wolności. Norwegowie bardzo wiele oczekują – i dostają – od wyłonionych w wyborach urzędników. Kraj ten posiada największy na świecie Państwowy Fundusz Majątkowy – warty 800 miliardów dolarów – a przeważająca większość jego

obywateli prowadzi życie na poziomie klasy średniej[291]. Mają znakomite wskaźniki zdrowia, wykształcenia i ogólnego dobrobytu, idące w parze z zamożnością, i cieszą się wolnością od ubóstwa[292]. My, Amerykanie, stworzyliśmy własną kulturę, jednak czasem potrafimy też czerpać z najlepszych wzorców światowych. Może w dalszej perspektywie uda nam się całkowicie uwolnić od ropy, tymczasem jednak warto poszukać – jako alternatywy dla drogi Bobby'ego Jindala – sposobu na „uwolnienie" Luizjany od dręczącego ją paradoksu.

Kiedy lepiej poznasz orędowników postępu, zobaczysz, że mają swoją własną głęboką historię, analogiczną do Waszej, i czują, że jej nie rozumiecie. W tej historii ludzie stoją wokół wielkiego publicznego placu, na którym znajdują muzea z ciekawymi ekspozycjami edukacyjnymi dla dzieci, finansowane ze środków publicznych programy artystyczne i teatry, biblioteki, szkoły – dostępna dla ogółu najwyższej klasy infrastruktura społeczna. Są z niej niesamowicie dumni. Niektórzy z nich uczestniczyli w jej budowaniu. Osoby z zewnątrz mogą przyłączać się do ludzi na placu, ponieważ wielu z tych, którzy teraz na nim stoją, też kiedyś przybyło z zewnątrz; przyłączanie się i akceptowanie różnic uważają za tradycyjne amerykańskie wartości, symbolizowane przez Statuę Wolności. Ale w liberalnej głębokiej historii nagle wydarza się coś strasznego: na publiczny plac wdzierają się rabusie, którzy niefrasobliwie rozmontowują infrastrukturę, kradnąc cegły i bloki betonu z budynków publicznych. Jakby tego było mało, na oczach bezradnych strażników placu wznoszą ze skradzionych elementów prywatne McRezydencje, prywatyzując sferę publiczną. Tak w skrócie wygląda liberalna głęboka historia. Prawica nie rozumie bezbrzeżnej dumy liberałów z inteligentnie zaprojektowanej, zbudowanej ogromnym nakładem pracy sfery publicznej jako siły integrującej amerykańskie społeczeństwo. Może macie ze sobą więcej wspólnego, niż Ci się wydaje, jak na ironię bowiem, z w o l e n n i c y l e w i c y t e ż c z ę s t o c z u j ą s i ę o b c y w e w ł a s n y m k r a j u.

---

Mając różne głębokie historie, lewica i prawica skupiają się na różnych konfliktach i odpowiednio – na różnych ideach nierówności, które się z nimi wiążą. Lewica spogląda w stronę sektora prywatnego, jednego procenta nadklasy i dziewięćdziesięciu dziewięciu procent reszty społeczeństwa, z której wyłania się podklasa. To tam właśnie, zdaniem lewicy, znajduje się punkt zapalny. Prawica

uważa sektor publiczny za dział obsługi niepracujących „braczy”. Robert Reich uważa jednak, że znacznie istotniejszy konflikt rozgrywa się jeszcze gdzie indziej – pomiędzy kapitalizmem lokalnych przedsiębiorców a kapitalizmem globalnym, kapitalizmem konkurencyjnym i monopolistycznym. „Główna linia podziału w amerykańskiej polityce przesunie się”, przewiduje Reich, „z «demokraci kontra republikanie» na «przeciwnicy establishmentu kontra establishment»”. Podzieli społeczeństwo na tych, którzy „uważają, że gra jest ustawiona, i na tych, którzy wierzą, że jest uczciwa”[293].

Ironia zawiera się w tym, że obie strony politycznego podziału usiłują skonfrontować się z tym samym nowym, przerażającym obliczem globalnego kapitalizmu. W jaki sposób dziewięćdziesiąt procent Amerykanów, których zarobki stoją w miejscu lub spadają, ma stawić czoła zaawansowanej automatyzacji i globalizacji? Partia Herbaciana wzywa do ustawienia barykady z wozów wokół rodziny i Kościoła i ukorzenia się przed ponadnarodowymi korporacjami, by zwabić je do siebie. Za pomocą takiej strategii gubernatorzy stanów na Południu ściągnęli firmy odzieżowe z Nowej Anglii i producentów samochodów z New Jersey i Kalifornii. Zaoferowali im tańszą siłę roboczą, antyzwiązkowe prawodawstwo, niższy podatek od przedsiębiorstw i hojne zachęty finansowe. Liberalna lewica za najlepsze rozwiązanie uważa hodowanie nowych branży na pożywce światowej klasy infrastruktury społecznej i znakomitych szkół. Za przykład mogą posłużyć Dolina Krzemowa – za sprawą Google'a, Twittera, Apple'a i Facebooka często uważana za epicentrum nowej ery przemysłu – jej okolice oraz energia słoneczna i samochody elektryczne. Czerwone stany obierają zwykle drogę Luizjany, niebieskie zaś, do pewnego stopnia, wzorują się na Kalifornii[294].

Co ciekawe, w reakcji na nowe wyzwania globalnego kapitalizmu obie strony politycznego podziału chcą interwencjonistycznego rządu, ale angażującego się w inne sprawy. Przeznaczenie przez gubernatora Bobby’ego Jindala 1,6 miliarda dolarów z pieniędzy luizjańskich podatników na „zachęty” dla prywatnych koncernów jest przykładem interwencjonistycznej polityki rządu. Liberalni politycy nawołujący do odtworzenia naszej sypiącej się infrastruktury społecznej też opowiadają się za interwencjonistycznym rządem, chociaż innego rodzaju. Po obu stronach z pewnością narodzi się jeszcze wiele nowych pomysłów[295].

W Berkeley przechodziłam często obok Café Gratitude przy Shattuck Avenue, (zamkniętej już) wegańskiej restauracji, w której raz w miesiącu klienci płacili tyle, ile chcieli. Zaszłam tam kiedyś, dawno temu. Bekon kokosowy nie powalił mnie na kolana, za to byłam zauroczona samym pomysłem. Zastanawiam się teraz, czy Janice Areno uznałaby Café Gratitude za hipisowską fanaberię, czy może jednak dostrzegłaby w niej biznes w duchu swojego Kościoła? Albo weźmy kontenery na segregowane śmieci – zielony, czarny i szary – obok mojego garażu. Czy Donny

McCorquodale uznałby je za bryłę betonu, czy może za ciekawy pomysł? Sharon Galicia, samotna matka, która sprzedawała robotnikom ubezpieczenia medyczne i wzięła mnie ze sobą na objazd po fabrykach, zamierzała ubiegać się o stanowisko w lokalnych strukturach Partii Republikańskiej, ale jej piętnastoletni syn był fanem demokratycznego kandydata na prezydenta Berniego Sandersa. Sharon zapewniła synowi i córce dzieciństwo, jakiego sama nigdy nie miała. Zabrała ich do Kalifornii, na Islandię, do Finlandii, Szwecji, Danii, Wielkiej Brytanii i Rosji i zachęcała, by przy wyborze studiów rozważyli wiele różnych uczelni, nie wyłączając Uniwersytetu Kalifornijskiego w Berkeley. Zaprosiłam ją do siebie, by pokazała synowi Berkeley – kto wie, na co się zdecyduje? Nasze głębokie historie oczywiście różnią się od siebie; są zakotwiczone w biografii, klasie społecznej, kulturze i regionie kraju. Czuję jednak głęboki podziw dla ludzi poznanych po drugiej stronie muru empatii. I chociaż oddam swój głos na innego kandydata niż oni, życzę im jak najlepiej.

### *Pożegnania*

Łódź Harolda i Annette Arenów od dawna już leżała odwrócona dnem do góry obok martwych kikutów cypryśników, świadków nieszczęścia, które na nich spadło, gdy w październiku 2014 roku otworzyli drzwi swojemu przyjacielowi, Mike’owi Tritico. Minęło wiele lat, odkąd utracili wieczorne koncerty żab, plusk wyskakujących ponad powierzchnię wody ryb i zaufanie do swojej wody i ziemi. Mike usiadł w salonie i z powagą oznajmił złe wieści: sąd oddalił pozew o odszkodowanie za zatrutą wodę. Arenowie do dzisiaj nie otrzymali ani grosza za utratę zdrowia i spadek wartości swojego domu, nie wspominając o psychicznej udręce spowodowanej kulturową amnezją, która otaczała ich rozpaczliwą sytuację. W 1996 roku Mike Tritico pomógł Arenom i dwudziestu jeden innym osobom, w tym Lee Shermanowi, złożyć zbiorowy pozew przeciwko całemu szeregowi koncernów, między innymi Pittsburgh Plate Glass. Osiemnaście lat później sąd odrzucił powództwo z powodu „braku dowodów”. Stwierdził, że nie można uznać przemysłowych zanieczyszczeń za celową działalność na szkodę ludzi. Arenowie pozostali więc więźniami własnego utraconego raju, tymi, którzy pamiętają[296].

Z tym samym niefrasobliwym brakiem pośpiechu, z jakim sąd rozpatrywał pozew mieszkańców Bayou d’Inde, przez długie lata zabierano się do usunięcia zanieczyszczeń. W końcu w 2015 roku skierowano tam ekipę oczyszczającą[297]. Miała ona zdjąć skażony osad z dna *bayou* o powierzchni blisko trzystu hektarów i przepompować go do otwartego zbiornika. Dno *bayou* planowano pokryć matą z żelbetonu, a następnie piętnastocentymetrową warstwą czystego mułu[298]. Jak stwierdził pewien lokalny urzędnik: „Nie ma potrzeby, by była idealnie szczelna.

Wystarczy, jeśli uda się zmniejszyć stężenie substancji chemicznych na powierzchni”[299]. Mike Tritico dostrzegał jednak potencjalne zagrożenie: „Co może się stać z dużym, otwartym zbiornikiem, do którego zostaną przepompowane toksyczne zanieczyszczenia? W czerwcu dwa tysiące piętnastego roku tropikalny sztorm Bill tak podniósł jego poziom, że o mało się nie przelał”.

Po drugiej stronie domu Arenów południowokoreańska firma zbudowała na zlecenie Axiall – dawnego PPG – potężną instalację do krakingu etanu oraz fabrykę glikolu etylenowego.

– Wydaje wam się, że to postęp – powiedział Harold Areno na kameralnym zebraniu, na którym lokalni mieszkańcy mieli wymienić opinie na ten temat. – Ale tak naprawdę to zależy od tego, po której stronie płotu mieszkacie.

Dobiegający z fabryki hałas był tak głośny, że pewnej nocy zupełnie wybił go ze snu. Nim ucichł wreszcie o wpół do trzeciej nad ranem, Harold czytał Biblię. W czasie naszej ostatniej rozmowy telefonicznej Annette powiedziała mi, że o pewnych porach w pewnych dniach smród z fabryki tak się nasila, że starają się w ogóle nie wychodzić na dwór.

Lee Sherman, człowiek z tablicą „TO JA WRZUCIŁEM TO ŚWIŃSTWO DO BAYOU”, zadzwonił do mnie w chwili, gdy właśnie o nim myślałam i pisałam. Osiemdziesięciotrzyletni teraz Lee przesiaduje w garażu, tuningując swoje wyścigowe auta. Pod jedną ze ścian leży równy stosik tabliczek z hasłami wyborczymi Johna Fleminga, kandydata Partii Herbacianej, który chce ograniczyć prerogatywy Agencji Ochrony Środowiska; Lee zamierza porozstawiać je na trawnikach sąsiadów.

– Trochę mi ciężko, odkąd zdziadziałem, ale jeszcze radzę sobie z młotkiem i śrubokrętem – przypomina mi Lee. – Całkiem nieźle mi wyszły te tabliczki.

W Longville, jak mi doniesiono, Mike Tritico i Donny McCorquodale wpadają do domu brata Cappy’ego i siostry Fay, by podyskutować o Trumpie. Mike jest przeciwko, Donny za. Kuzyn Brantleyów, brat Michael, przygotowujący się do zawodu pastora, rozważa założenie własnego kościoła zielonoświątkowego w dzielnicy Marina w San Francisco. „Żyje tam wielu samotnych ludzi – powiedział. – Myślę, że mógłbym uczynić sporo dobrego”.

Madonna Massey, tryskająca energią pieśniarka gospel, która uważa Rusha Limbaugha za swoje „dzielne serce”, przeżyła szok, kiedy odkryła, że jej nastoletnia córka, Chapel, ściągnęła na swojego iPada teledysk do utworu *Anaconda* Nicki Minaj. Na filmiku niezwykle popularna czarna diwa tańczy, potrząsając prowokująco pośladkami. Kiedy Chapel wróciła ze szkoły, Madonna spuściła jej lanie, skonfiskowała iPada, zdjęła z zawiasów drzwi od jej pokoju i na cały miesiąc zniosła je do garażu.

– Minaj jest na liście przebojów Billboard Top 100. Popatrz, przed jaką kulturą musimy chronić nasze dzieci – powiedziała mi przy ostatnim spotkaniu.

Jackie Tabor, która z całego tygodnia najbardziej lubi niedzielę, poleciała z rodziną do Izraela, by zwiedzić Ziemię Świętą. „Byliśmy najmłodszą parą z całej wycieczki” – zwierzyła mi się po powrocie. Poza tym otworzyła w centrum Lake Charles klub fitness On a Roll, ze stacjonarnymi rowerami, energetyzującą muzyką i zdrowymi koktajlami warzywnymi. Znów była córką swojej matki, organizatorką, szefową. Na jej filmie promocyjnym trzydzieści osób pedałuje w rytm muzyki przed ogromnym ekranem telewizyjnym pokazującym soczyście zielone wiejskie pejzaże.

Kiedy ostatni raz odwiedziłam Janice Areno, wyszłyśmy razem z jej biura, mijając barwną kolekcję słoni. Przed zamknięciem drzwi Janice przestawiła termostat, by wyłączyć klimatyzację.

– Widzisz – powiedziała z szelmowskim uśmiechem – jestem teraz z i e l o n a!

Na ostatnim lunchu Republikanek Południowo-Zachodniej Luizjany, w którym wzięłam udział, odbyła się loteria, w której główną nagrodą była strzelba Super Black Eagle II firmy Benelli. Zysk ze sprzedanych losów został przeznaczony na „poduszki dla żołnierzy, stypendia studenckie i pomoc dla rodzin wojskowych”. Ujawnił się ostry podział na republikanki, które z radością zagłosują na Trumpa, i na te, które zrobią to, ale niechętnie. (Kilka pań nie wiedziało jeszcze, jak postąpi).

Przyjaciółki od zawsze, niebieska Sally Cappel i czerwona Shirley Slack, mieszkają teraz w różnych miastach – Sally w Lake Charles, Shirley w Opelousas. Dwa albo trzy razy w tygodniu rozmawiają przez telefon, starannie omijając nazwiska Donalda Trumpa i Berniego Sandersa. Sally ogromnie niepokoi działalność „monstrum genetycznie modyfikowanej żywności, Monsanto”. Sally martwi się gwałtownie rosnącym długiem narodowym. Niedawno poleciały razem do Cleveland, by obejrzeć występ córki Shirley na scenie Ballet Theatre of Ohio.

Podczas mojego ostatniego pobytu w Luizjanie większość moich przyjaciół nadal jeździła „upiorną” estakadą drogi międzystanowej I-10 łączącej Lake Charles z Westlake, zwykle nie wiążąc swoich obaw z wyciekiem dichlorku etylenu.

Dawni mieszkańcy Bayou Corne rozproszyli się po całym stanie; niektórzy wyprowadzili się aż do Missisipi i Teksasu. Sąsiednie osiedle Belle Rose też niemal całkowicie opustoszało. Mechanik samochodowy, który dwukrotnie musiał uciekać z własnego domu – po wycieku metanu w zakładach chemicznych Dow Chemical w 2003 roku i po przewierceniu się przez Texas Brine do wysadu solnego – mieszka razem z żoną w przyczepie kempingowej obok swojego zniszczonego domu nieopodal zapadliska. Dwa małżeństwa przeprowadziły się ponad sto pięćdziesiąt kilometrów na północ, na rozległe przedmieścia Baton Rouge.

– Okropnie nam się tam nie podoba – powiedziała emerytowana pracownica służb reagowania kryzysowego. Jej mąż, emerytowany kierowca dwunastokołowej

ciężarówki, pokiwał przytakująco głową.

Inne małżeństwo, mieszkające teraz wiele godzin jazdy samochodem od byłych sąsiadów, z czułością wspomina dawne czasy. Nick, emerytowany pracownik poczty, pokazał mi dużą kolorową fotografię, na której w białym garniturze z szeroką szarfą zamiast paska i w słomianym kapeluszu na głowie stoi w grupie kilkunastu sąsiadów poprzebieranych za klaunów, Indian, kowbojów, królów i królowe. Ze szklankami w dłoniach świętują Mardi Gras przed katastrofą w Bayou Corne.

– Zbierałem kawałki drewna wyrzucone przez wodę na brzeg *bayou*. Moja żona malowała je i sprzedawała. – Pokazuje różnokolorowe kawałki drewna. – Teraz nie możemy już tego robić.

Kiedy po raz ostatni odwiedziłam z Mikiem Schaffem jego zniszczony dom przy Crawfish Stew Street w Belle Rose, krzak róży usechł, z dachu odpadło kilka gontów i widoczne były ślady włamania. Po okolicy włóczyło się trzydzieści osiem zdziczałych kotów (nazywanych teraz „kajuńskimi kociakami z Bayou Corne”). Mike przeprowadził się razem z żoną do odremontowanego pięknego domu nad kanałem uchodzącym do jeziora Verret. Część skrzynek na listy przy jego ulicy ma kształt otwartych rybich pysków. Mieszka niedaleko rozlewiska, po którym jego ojciec ciągnął go kiedyś w plastikowej balii, opróżniając sieci na raki. Wrócił nad wodę.

Naprawił zapadniętą podłogę w salonie, wymienił stiukowe gzymsy w sypialni, zbudował nowy taras i wstawił do garażu niedokończony samolot. Wróci do niego później. Niedawne tornado zerwało amerykańską flagę z masztu na dachu garażu, ale nie tknęło flagi konfederatów na ganku sąsiada.

Nowy dom Mike’a znajduje się w pobliżu przelewu rzeki do Atchafalaya Basin, największego mokradła w Stanach Zjednoczonych porośniętego lasem liściastym. Znajdujący się tam rezerwat przyrody o powierzchni ponad sześćdziesięciu kilometrów kwadratowych częściowo podlega pod nadzór luizjańskiego Departamentu Przyrody i Rybołówstwa. Mike zabrał mnie płaskodenną łodzią na rozlewiska na połów okoni. Pokazał mi bielika amerykańskiego na nagiej gałęzi wysokiego cypryśnika, wzbijającą się do lotu czaplę białą i brodzącą w wodzie w poszukiwaniu ryb długonogą warzęchę.

– Wpadłem z deszczu pod rynnę – powiedział jednak. – Miliony litrów ścieków ze szczelinowania gazu ziemnego jest odprowadzane prosto do rozlewiska. Przemysł nazywa to oczyszczoną wodą. Może zawierać metanol, chlor, siarczany, rad. Importują odpady ze szczelinowania z Pensylwanii i innych miejsc, gdzie wydobywa się gaz, i wpuszczają je do studni iniekcyjnych niedaleko stąd. Sól może zniszczyć ochronne orurowanie studni iniekcyjnych, a jesteśmy blisko obszaru wodonośnego.

W 2015 roku legislatura stanowa w Teksasie skutecznie uniemożliwiła wprowadzanie lokalnych zakazów spuszczania i składowania odpadów ze szczelinowania gazu ziemnego[300], uznając je za nieegzekwowalne.

Zapytałam Mike’a, którego kandydata na prezydenta Stanów Zjednoczonych zamierza poprzeć. Najchętniej zagłosowałby na faworyta Partii Herbacianej, Teda Cruza, senatora z Teksasu, który za pośrednictwem swojego super political action committee otrzymał piętnaście milionów dolarów od miliarderów gazowych Farrisa i Dana Wilksów, nazywa szczelinowanie „błogosławieństwem Opatrzności” i kategorycznie sprzeciwia się ograniczaniu przemysłu wydobywczego jakimikolwiek zakazami[301]. Cruz opowiada się także za wykastrowaniem ustawy o ochronie czystości wody, ograniczeniem dostępu obywateli do sądów i zwolnieniem zakładów przemysłowych z obowiązku przestrzegania standardów czystości powietrza. Podobnie jak Mike, nie wierzy, że zmiany klimatyczne są skutkiem działalności człowieka, i domaga się obcięcia finansowania dla programów naukowych, które badają ich skutki. W 2015 roku na karcie głosowań League of Conservation Voters, rejestrującej sposób głosowania poszczególnych kongresmenów w dwudziestu pięciu sprawach związanych z ochroną środowiska, Cruz zdobył zero punktów na sto możliwych. Najlepszym wynikiem, jaki kiedykolwiek uzyskał, było pięć punktów na sto. Jednak Mike, który chciał chronić niezrównany majestat mokradeł Atchafalaya i nie dopuścić do kolejnej fali ekologicznych uchodźców, musiał położyć na drugiej szali przemożną niechęć do rządu federalnego. Nie chciał głosować na mienszewika ani bolszewika. Pozostawał więc Ted Cruz. Zapytałam go, co zrobi, jeśli Cruz nie uzyska nominacji republikanów.

– Wtedy zagłosuję na Donalda Trumpa – odparł.

Kiedy po raz ostatni odwiedziłam Arenów w Bayou d’Inde, Harold powiedział, że nie jest do końca pewny, ale ostatnio woda wydaje mu się trochę czystsza. Odprowadził mnie na podjazd i uprzejmie otworzył drzwi samochodu. Wsiadłam do środka i otworzyłam okno po stronie kierowcy. Osiemdziesięciokilkuletni teraz Harold wpatrywał się w swoje ukochane *bayou*, gdzie dumne niegdyś cypryśniki zdawały się sunąć majestatycznie w dal, powiewając koronkowymi szalami z mchu. Przypomniałam sobie stare fotografie, które mi pokazał.

– Nie wiem, kiedy znów się zobaczymy – powiedział Harold, pochylając się do okna samochodu. – Jeden archanioł Gabriel wie, kiedy wybije twoja i moja godzina. Ale gdy to się stanie, grawitacja uwolni nasze stopy i wzniesiemy się do nieba. Wiem, że cię tam spotkam. A podobno w niebie rosną piękne drzewa.

# Podziękowania

Tak wielu osobom jestem winna wdzięczność.

Pierwsze wielkie „dziękuję” chciałabym skierować do Sally Cappel. Pewnej niedzieli mój były magistrant, Manuel Vallee, wraz z żoną, Alice Cappel, odwiedził mnie w Berkeley i zapytał, nad czym obecnie pracuję. Kiedy odparłam: „Nad podziałem politycznym w Ameryce; myślę, że powinnam się stąd ruszyć, może na Południe”, Alice natychmiast powiedziała: „Moja mama jest postępowa, a jej serdeczna przyjaciółka popiera Partię Herbacianą – powinna je pani odwiedzić!”. Wkrótce Sally Cappel zaprosiła mnie do Lake Charles w Luizjanie i tak zaczęła się moja przygoda. Podczas dziesięciu wypraw w latach 2011–2016, poświęconych zbieraniu wywiadów w okolicach Lake Charles i w innych częściach stanu, dom Cappelów był moim drugim domem. To właśnie w przytulnej kuchni Sally i Freda – ozdobionej obrazami w intensywnych barwach i imponującą kolekcją wiklinowych koszyków, z tabliczką z napisem „JEDZ” zawieszoną na oknie i aromatycznymi woniami unoszącymi się z garnka na dużej żelaznej kuchence – postawiłam na stole dyktafon i przeprowadziłam wstępne spotkania z czterema grupami fokusowymi. (Przebieg projektu badawczego opisuję w Aneksie A). Przyjaciółka Sally z Partii Herbacianej, Shirley Slack, zaprosiła mnie do swojego domu w Opelousas. Razem przeglądałyśmy księgę pamiątkową jej rocznika na Uniwersytecie Stanowym Luizjany i rodzinne albumy ze zdjęciami, odwiedziłyśmy jej kościół, dom opieki, w którym przebywała jej matka, szkołę jej wnuczki i cmentarz z grobami jej bliskich. Mąż Shirley, Booty, zabrał nas swoją półciężarówką do zakątka za przesłoniętymi drzewami wieżami wiertniczymi, gdzie lubi łowić ryby. Bez Sally, Shirley i ich rodzin ta książka nigdy by nie powstała.

Z głębi serca dziękuję zagorzałym zwolennikom Partii Herbacianej, którzy wpuścili mnie do swojego życia. Ofiarowaliście mi zaufanie i czas, pozwoliliście zajrzeć do swoich umysłów i zakosztować słynnej południowej gościnności. A przede wszystkim dzieliliście ze mną nadzieję, że z tego projektu może wyjść coś dobrego. Pewnie nie ze wszystkim, co napisałam w tej książce, się zgodzicie, ale mam nadzieję, że udało mi się wiernie przedstawić wasze doświadczenia i waszą perspektywę.

Serdeczne podziękowania należą się Susan Reed, która pomogła mi skontaktować się z ekspertami z rozmaitych dziedzin. Jestem wdzięczna Peggy Frankland, autorce znakomitej książki *Women Pioneers of the Louisiana Environmental Movement* o pionierkach ruchu obrońców środowiska wyrosłego z „polityki kuchennej” [lat 70.], która, tak jak Mike Tritico, przeczytała wczesną

wersję manuskryptu tej książki. Dziękuję Paulowi Ringo z Singer w stanie Luizjana, który podzielił się ze mną swoją wiedzą na temat zanieczyszczeń luizjańskich rzek, ze szczególnym uwzględnieniem rzeki Sabine. Dziękuję Jimmy'emu i Marilyn Coxom za wprowadzenie mnie w arkana polityki władz stanu oraz za ich serdeczną gościnność. Jimmy pomógł mi też zebrać materiały na temat obozów dla robotników. Dziękuję Danowi Schaadowi i Sherry Jones Miller z pensjonatu Aunt Ruby's Bed and Breakfast, gdzie mieszkałam podczas wizyt w Lake Charles i gdzie zawsze czułam się jak w domu. Jestem niezwykle wdzięczna Williemu Fontenotowi z Baton Rouge, byłemu zastępcy prokuratora generalnego Luizjany; razem z żoną Mary gościł w swoim domu mnie i mojego syna i okazał się fantastycznym przewodnikiem po ekologicznej historii Luizjany.

Dedykuję tę książkę sześciorgu wspaniałych obrońców środowiska: Williemu Fontenotowi, Wilmie Subrze, Marylee Orr, Mike'owi Tritico, Clarze Baudoin i generałowi Russelowi Honorému. Dziękuję wam za wszystko, co robicie.

Ilustracje i tekst nadzwyczajnej *Petrochemical America* Richarda Misracha i Kate Orff otworzyły mi oczy – uroczyście dziękuję za ten dar. To właśnie z ich książki pochodzi zdjęcie na okładce amerykańskiego wydania.

Specjalne podziękowania dla Rona i Lindy Alfierich. Ron złożył mi pomysłową i szlachetną propozycję – miałam oglądać program telewizyjny, który dla mnie wybierze (Billa O'Reilly'ego na Fox News), a on będzie oglądał program wybrany przeze mnie (Rachel Maddow na MSNBC). Oboje będziemy robić notatki, a potem podzielimy się wrażeniami. Zrobiliśmy tak, a przy okazji się zaprzyjaźniliśmy. Dziękuję także Mari Alfieri Harris.

Inni Luizjańczycy z wielu politycznych środowisk pomogli mi znacznie pogłębić zrozumienie prawicy. Wśród nich byli Wendy Aguilar, Michele Armstrong, William Baggett, John Barry, nieżyjący już David Conner, Eric Cormier, Laura Cox, Janice i Bob Cradorowie, Debra Gillory, Michael Hall, były kongresmen z Luizjany „Buddy" Leach, Daniel Lévesque, ojciec Henry Manusco, wielebny Keith Matthews, Robert McCall, Ann Polak, Deborah Ramirez, Stacey Ryan, Rachael i Eddie Windhamowie, Carolyn Woosley i Beth Zilbert.

W Berkeley mogłam liczyć na pomoc dwóch niezwykle zdolnych asystentek. W pierwszym roku tego projektu Sarah Garrett przewertowała literaturę – z dziedzin socjologii, psychologii, politologii i historii – odnoszącą się do poglądów politycznych. Później Rebecca Elliott skupiła się na historii przemysłu i jego wpływie na środowisko. Obie śmigały wśród danych z naukowych i rządowych źródeł jak na czarodziejskich wrotkach. Rebecca, dziś wykładowczyni London School of Economy, skrupulatnie zbierała informacje do Aneksów B i C oraz przeprowadziła skomplikowaną analizę współzależności pomiędzy wynikami narodowego sondażu (Generalny Sondaż Społeczny, General Social Survey, przeprowadzony przez

National Opinion Research Center) a danymi na temat narażenia na działanie odpadów niebezpiecznych, publikowanymi przez Agencję Ochrony Środowiska (Risk Screening Environmental Indicators EPA). Odkryłyśmy, że – w całym kraju – im bardziej dana osoba jest narażona na działanie odpadów niebezpiecznych, tym mniej się tym zwykle przejmuje i tym większe prawdopodobieństwo, że popiera konserwatywny odłam Partii Republikańskiej – to element Wielkiego Paradoksu, który stanowi oś tej książki. Dziękuję też Bonnie Kwan, która bohatersko spisała z taśmy cztery tysiące stron wywiadów, zrobiła korektę rękopisu i podnosiła mnie na duchu przez cały czas trwania tego projektu.

Jestem niezmiernie wdzięczna ogromnie utalentowanej Connie Hale za pomoc redaktorską na wczesnym etapie powstawania książki; narzuciła mi wysokie standardy i pomogła nadać kształt narracji. Serdeczne podziękowania dla moich przyjaciół, którzy czytali kolejne wersje manuskryptu. Dziękuję wspierającej mnie niezłomnie Barbarze Ehrenreich, która potrząsała mną, przywracając „berkeleyowski” sposób myślenia, oraz Ann Swindler, która popychała mnie w odwrotnym kierunku. Od obu nad wyraz dużo się nauczyłam. Dziękuję Allison Pugh, drogiej przyjaciółce i wybitnej redaktorce, obdarzonej niezwykłym talentem wyłapywania ukrytych nieścisłości. Dziękuję Mike’owi i Flo Houtom za pomocne uwagi do tekstu, a Mike’owi za to, że umiejętnie przeprowadził mnie i Rebeccę przez zawiłości analizy danych Generalnego Sondażu Społecznego, o której wspomniałam wyżej. Wielkie dzięki dla Troya Dustera i Larry’ego Rosenthala za pomoc na wszystkich etapach projektu. Dziękuję Harriet Barlow, której głębokie zaniepokojenie obecnym momentem politycznym zainspirowało wielu badaczy, Deirdre English za niesłabnące wsparcie i wnikliwe spostrzeżenia, a Wayne’owi Herknessowi za szczegółowe informacje o wycieku ropy z platformy wiertniczej BP. Dziękuję Chuckowi Collinsowi, który pomógł mi zrozumieć, jakie rozwiązania polityczne są korzystne dla wielkich przedsiębiorstw, a jakie dla małych, i Ruth Collier oraz Elizabeth Farnsworth za inspirujące rozmowy. Moja wdzięczność należy się również Gustavowi Wickstromowi za użyteczne uwagi krytyczne na początkowym etapie projektu oraz Larry’emu Rosenthalowi i Martinowi Paleyowi za komentarze do wczesnej wersji manuskryptu. Ogromne dzięki dla Joan Cole, która była wspierającym aniołem. W chwilach gdy najbardziej się bałam, że wszyscy przyjaciele uważają mnie za zatyraną pracoholiczkę, Joan wdzierała się do emocjonalnego tunelu, w jaki zwykle zmieniają się tego rodzaju projekty, ze swoim serdecznym, prawie codziennym „Jak ci idzie?”.

Jestem winna najgłębszą wdzięczność mojemu wieloletniemu agentowi literackiemu, Georges’owi Borchardtowi, za bezgraniczne wsparcie, rozmach wizji i niezawodne poczucie humoru. Dziękuję również dwojgu fantastycznym redaktorom z The New Press, Ellen Adler i Jedowi Bickmanowi, za mądrą i wnikliwą redakcję.

W szczególności dziękuję Ellen za jej spokój pod presją, a Jedowi za teoretyczne dyskusje na boku; praca z nimi była czystą przyjemnością. A także Emily Albarillo za życzliwy, wspaniały nadzór nad całym procesem wydawniczym.

Bardziej, niż to potrafię wyrazić, jestem wdzięczna rodzinie. Mój syn David towarzyszył mi na wiecu obrońców środowiska przed siedzibą władz stanu w Baton Rouge – gdzie po raz pierwszy usłyszałam, jak (przedstawiony w tej książce) Mike Schaff przemawia publicznie – przeglądał manuskrypty i służył mi wsparciem i zachętą. Ogromne podziękowania dla mojego syna Gabriela za mądre refleksje na temat polityki i ludzkiej duszy, a także dla mojego siostrzeńca Bena Russela, który odwiedził wraz ze mną Port Arthur w stanie Teksas oraz Longville, Singer i Lake Charles w stanie Luizjana, a także spędził cały dzień u pewnego mężczyzny, który mieszka w przyczepie kempingowej bez prądu i wody na terenie „strefy przemysłowej”, wyznaczonej pod budowę nowego kompleksu Sasola. Wielkie dzięki dla mojej synowej Cynthi Li, która sama jest utalentowaną pisarką; przeczytała rękopis i pomogła mi spojrzeć na tekst swoim cudownie bystrym wzrokiem.

I wreszcie Adam. Dwa razy rozkładał swój warsztat w Aunt Ruby’s, żeby pracować nad własną książką. Odwiedzał wraz ze mną moich nowych przyjaciół, jeździł do kościoła, szperał po księgarniach i łapał koraliki rzucane z karnawałowych platform w czasie Mardi Gras. Oprócz tego poprawiał niezliczone wersje manuskryptu, gotował, słuchał, dziwił się, rozładowywał atmosferę, zachęcał, przytulał i towarzyszył mi w pracy nad tą książką, tak jak w wielu innych doświadczeniach, przez które przeszliśmy wspólnie w ciągu pięćdziesięciu lat naszego małżeństwa. Jest światłem mojego życia i za to mu dziękuję.

# ANEKS A
# Badania

Ta książka oparta jest na badaniach nazywanych przez socjologów „eksploracyjnymi” (opisowymi) i „generującymi hipotezy badawcze”. Nie mają one na celu stwierdzenia, jak często lub jak rzadko coś występuje, gdzie można to coś spotkać, a gdzie nie, ani jak się kształtowało na przestrzeni czasu, chociaż korzystałam z prac innych badaczy zajmujących się tymi kwestiami. Moim celem było odkrycie, czym to „coś” jest. Od dawna fascynowała mnie emocjonalna atrakcyjność prawicowej ideologii; to właśnie obrałam na swoje „coś”. Żeby dowiedzieć się, czym ono właściwie jest, musiałam skrócić dystans, a to zdeterminowało wybór metody badawczej.

Podobnie jak w innych książkach opartych na tej samej metodzie – *The Second Shift: Working Families and the Revolution at Home*; *The Time Bind: When Home Becomes Work and Work Becomes Home* oraz *Zarządzanie emocjami. Komercjalizacja ludzkich uczuć* – dostosowałam swoje podejście do tematu. Wszystkie decyzje dotyczące doboru próby, metody przeprowadzania wywiadów, doboru próby do obserwacji uczestniczącej i analizy statystycznej podejmowałam w ten sposób, by jak najbardziej zbliżyć się do tego „czegoś”.

Moim pierwszym krokiem było zebranie czterech grup fokusowych, dwóch złożonych z sympatyczek Partii Herbacianej i dwóch złożonych ze zwolenniczek demokratów. Wszystkie uczestniczki były białymi kobietami z klasy średniej, mieszkającymi w Lake Charles w stanie Luizjana. Następnie przeprowadziłam wywiady z niemal wszystkimi konserwatystkami, a czasem, zgodnie ze stosowaną przez socjologów „metodą kuli śniegowej”, także z ich mężami, rodzicami i sąsiadami. Uczestniczka prawicowej grupy fokusowej zaprosiła mnie na comiesięczny lunch Republikanek Południowo-Zachodniej Luizjany, co dało mi możliwość porozmawiania z sąsiadkami przy stole, a następnie przeprowadzenia kolejnych wywiadów. Jedną z tych pań była żona pastora zielonoświątkowców, którą poznaliście w rozdziale 8. Przedstawiła mnie członkom Kościoła, zaprosiła na kościelne przyjęcie i otworzyła drzwi do swojej społeczności.

Jednocześnie podążałam inną ścieżką, śledząc kampanie wyborcze dwóch konserwatywnych kandydatów, rywalizujących o ten sam fotel w Kongresie. Z perspektywy Berkeley różnice między nimi były ledwo widoczne, jednak dla wielu mieszkańców Luizjany miały ogromne znaczenie. Na każdej imprezie wyborczej, w której uczestniczyłam, starałam się rozmawiać z osobami zajmującymi miejsce obok mnie, a one przedstawiały mnie czasem swoim znajomym. Na przykład podczas

spotkania z kandydatem Partii Herbacianej w siedzibie związku zawodowego w Rayne pewien życzliwy mężczyzna zaofiarował się przedstawić mnie emerytowanym białym robotnikom siedzącym przy wielkim piknikowym stole: „Słuchajcie, ta pani przyjechała z Kalifornii i pisze książkę”.

Obrońca środowiska z Lake Charles, Mike Tritico, wielokrotnie pojawiający się na kartach tej książki, miał wielu głęboko konserwatywnych przyjaciół, antyekologicznie nastawionych sympatyków Partii Herbacianej, z którymi utrzymywał bliskie kontakty. Zapytałam go, czy mogę mu towarzyszyć, kiedy będzie ich odwiedzał. W ten sposób uczestniczyłam w kilku niedzielnych obiadach w domu brata Cappy’ego i siostry Fay Brantleyów (rozdział 12), gdzie przysłuchiwałam się dyskusjom Mike’a z Donnym McCorquodale’em.

Zdając sobie sprawę, jak istotna dla tej książki jest ich polemika, zaczęłam jeździć na wiece w sprawie ochrony środowiska. Na jednym z nich poznałam Mike’a Schaffa z Partii Herbacianej i generała Russela Honorégo. By lepiej zrozumieć, jak to się dzieje, że Honoré umie trafić do przekonania przeciwnikom ochrony środowiska, towarzyszyłam mu przez jeden dzień podczas spotkań zarówno z przedsiębiorcami, jak i z ofiarami zanieczyszczeń. Generał zabrał mnie na opisaną w rozdziale 4 przejażdżkę wzdłuż zawłaszczonego przez przemysł naftowo-petrochemiczny odcinka Missisipi między Baton Rouge i Nowym Orleanem, znanego jako Aleja Rakotwórcza.

Przeprowadziłam wywiady z sześćdziesięcioma osobami, gromadząc ponad cztery tysiące stron transkryptów. Czterdzieścioro respondentów wyznawało ideologię Partii Herbacianej. Pozostała dwudziestka pomogła mi lepiej zrozumieć grupę podstawową; byli wśród nich naukowcy, wykładowcy uniwersyteccy, dwóch byłych członków luizjańskiej legislatury stanowej, minister, dziennikarz prasowy, bibliotekarz i wolontariusz grupy River Watchers, dwaj profesorowie, były szef luizjańskiego Departamentu Jakości Środowiska, były zastępca prokuratora generalnego Luizjany, zaangażowana w ochronę środowiska chemiczka, biolog morza i burmistrz. Spędziłam cały dzień z niepełnosprawnym czarnym operatorem urządzeń fabrycznych, który mieszka w przyczepie w samym środku „strefy przemysłowej” przeznaczonej pod nowy kompleks Sasola. Odcięto mu wodę i prąd, listonosz przestał dostarczać pocztę, ale kiedy z nim rozmawiałam, był zdecydowany nigdy nie opuścić swojego domu.

Przed rozpoczęciem wywiadu dawałam respondentom do podpisania formularz zgody, ustawiałam na stole dyktafon i mówiłam, że jeśli o to poproszą, przerwę nagrywanie. Rzeczywiście, wiele razy mnie o to prosili i te nienagrane rozmowy przytaczam w taki sposób, by nie można ich było powiązać z daną osobą, lub nie przytaczam ich wcale.

Z głównej, czterdziestoosobowej grupy respondentów wybrałam sześć osób,

których sylwetki przedstawiam bliżej, ponieważ najlepiej i najbardziej wszechstronnie ilustrują wzorce myślenia i odczuwania wielu innych członków grupy. Z tymi sześcioma osobami prowadziłam także to, co socjolodzy nazywają obserwacją uczestniczącą: odwiedzałam z nimi miejsca, w których się urodzili, ich kościoły i rodzinne groby, jadłam z nimi posiłki, jeździłam samochodem, brałam udział w rozmaitych imprezach i tak dalej.

Mniej więcej połowę grupy podstawowej stanowiły kobiety, a połowę mężczyźni. Wszyscy byli biali i mieli od czterdziestu do osiemdziesięciu pięciu lat. Z tytułu wykonywanych zawodów należeli do klasy średniej, wyższej średniej i pracującej. Mniej więcej jedna trzecia pracowała – teraz lub kiedyś – dla przemysłu naftowego, bezpośrednio (na przykład jako monterzy rurociągów) lub pośrednio (na przykład jako dostawcy), a dwie trzecie w dziedzinach niezwiązanych z naftą (nauczyciele, sekretarki, stewardesa, właściciel pola kempingowego). Co ciekawe, członkowie tych podgrup prawie nie różnili się poglądami.

W Berkeley przy pomocy dwóch asystentek, doktorantek Wydziału Socjologii Uniwersytetu Kalifornijskiego, zabrałam się do studiowania sondaży opinii publicznej Instytutu Gallupa, Generalnego Sondażu Społecznego i Pew Research Center. Szczególną uwagę zwracałam na to, do jakiego stopnia moi respondenci stanowią odzwierciedlenie, wyolbrzymienie lub zaprzeczenie wzorców ogólnokrajowych.

W połowie badań wróciłam do Generalnego Sondażu Społecznego z nowym, ważnym pytaniem. Zainteresował mnie związek pomiędzy określaniem się przez daną osobę jako „zdecydowany republikanin” albo „zdecydowany demokrata”, jej podejściem do przepisów ochrony środowiska i faktycznym narażeniem na działanie zanieczyszczeń. Ten aspekt badań i wnioski, do których doszłyśmy, omawia Aneks B.

Na koniec starałam się poznać Luizjanę. Odwiedziłam więzienie Angola, największy zakład karny o zaostrzonym rygorze w Stanach Zjednoczonych, gdzie odbyłam pogawędkę z więźniem uprzywilejowanym [za nienaganne sprawowanie], który odsiadywał wyrok dożywocia za morderstwo. Obejrzałam rekonstrukcję potyczki z wojny secesyjnej i rozmawiałam z rekonstruktorami. Obejrzałam Junior Miss Black Pride Contest, konkurs piękności dla czarnych nastolatek, i przeprowadziłam wywiad z ojcem zwyciężczyni, robotnikiem zakładów petrochemicznych. Wysłuchałam opowieści przewodnika wycieczki po plantacji Oak Alley („niewolnicy byli pracowici i zręczni”). Szperałam po półkach księgarń i bibliotek i schodziłam Lake Charles wzdłuż i wszerz, w ciągu dnia widując gównie białych, wieczorami zaś głównie czarnych na publicznym placu na brzegu jeziora. Studiowałam broszurki dla turystów i fotografie ślubne, zainscenizowane w dekoracjach dawnych plantacji. Zjadłam lunch w restauracji z białym bezdomnym republikaninem. Tańczyłam nawet na całodniowym dansingu w Breaux Bridge, gdzie złośliwie zabrała mnie liberalno-konserwatywna para przyjaciółek, Sally Cappel

i Shirley Slack, by mi przybliżyć kajuńskiego ducha *laissez les bons temps rouler*[302].

Myślę, iż na moją korzyść działało, że byłam siwowłosą białą kobietą i pisałam książkę o podziale, który niepokoił również moich nowych znajomych. Ale tym, co mi najbardziej pomagało, były niezwykła serdeczność i słynna południowa gościnność, za które pozostaję głęboko wdzięczna.

## ANEKS B

# Polityka i zanieczyszczenia: co wyczytałyśmy z amerykańskiej mapy zanieczyszczeń toksycznych

Zanim wyruszyłam na Południe, wyobrażałam sobie, że im większe zanieczyszczenie środowiska, tym bardziej mieszkańcy danego obszaru będą się nim przejmować i tym bardziej będą chcieli je usunąć. Tymczasem odkryłam, że środowisko naturalne Luizjany jest dramatycznie zanieczyszczone, jednak ludzie, z którymi rozmawiałam, z reguły byli przeciwnikami zaostrzania przepisów ochrony środowiska, a prawdę powiedziawszy, w ogóle wszelkich przepisów. Czy Luizjana stanowi wyjątek od reguły, czy może nie?

Wcześniejsze badania wykazały, że im bardziej zanieczyszczony jest dany stan, tym większe prawdopodobieństwo, iż w wyborach prezydenckich większość głosów zdobędzie w nim kandydat Partii Republikańskiej (rozdział 5). Ale co się dzieje *wewnątrz* poszczególnych czerwonych stanów? Czy, jak twierdzi dziennikarz „New York Timesa” Alec MacGillis, mieszkańcy czerwonych stanów borykający się z biedą, niskim poziomem nauczania w szkołach i problemami rodzinnymi są niewidoczni w badaniach opinii publicznej, ponieważ w ogóle nie głosują, a mieszkańcy tych samych stanów, którzy plasują się na drabinie społecznej o dwa szczeble wyżej, głosują na republikanów?[303] Przyjmując logikę MacGillisa, moglibyśmy oczekiwać, że ludzie mieszkający bliżej zatruwającego środowisko przemysłu chcieliby wprowadzenia ograniczających trucicieli przepisów, ale nie zawracają sobie głowy głosowaniem w wyborach, podczas gdy biali republikanie, bogatsi i mieszkający w czystszych miejscach, nie widzą problemu, więc odrzucają ideę krępujących przemysł uregulowań prawnych. Może.

Bardziej zagadkowa wydaje się druga możliwość: czy *te same osoby* żyją w zanieczyszczonym środowisku i głosują *przeciwko* ograniczeniu trucicieli? Żeby to sprawdzić, Rebecca Elliott i ja postanowiłyśmy zestawić dane z dwóch kluczowych źródeł. Pierwszym z nich był Generalny Sondaż Społeczny, prowadzony przez National Opinion Research Center Uniwersytetu Chicagowskiego i uważany przez socjologów za jeden z najlepszych zbiorów danych na temat trendów społecznych w naszym kraju. Ankieterzy GSS proszą respondentów o ustosunkowanie się według skali od „zdecydowanie się zgadzam” do

„zdecydowanie się nie zgadzam” do takich stwierdzeń, jak: „Ludzie za bardzo się przejmują, że postęp ma szkodliwy wpływ na środowisko naturalne”, „Zanieczyszczania wypuszczane przez przemysł do powietrza są groźne dla środowiska naturalnego”, „Stany Zjednoczone robią dla ochrony środowiska wszystko co trzeba” czy „Niektórzy myślą, że rząd w Waszyngtonie próbuje robić zbyt wiele rzeczy, które powinno się pozostawić jednostkom i prywatnym przedsiębiorcom”. National Opinion Research Center udzielił nam zgody na przeanalizowanie trzech tysięcy anonimowych odpowiedzi na te pytania z sondażu przeprowadzonego w 2010 roku.

Drugim źródłem informacji był Toxic Release Inventory (TRI) Agencji Ochrony Środowiska. TRI podaje różne wskaźniki odnoszące się do emisji toksycznych substancji chemicznych i składowisk odpadów toksycznych. Najbardziej kompleksowe z nich wszystkich są tak zwane Risk-Screening Environmental Indicators (RSEI), wskaźniki narażenia na działanie zanieczyszczeń[304]. Mierzą one stopień narażenia mieszkańców poszczególnych obszarów (według kodów pocztowych) na działanie substancji chemicznych na podstawie trzech czynników: *wielkości* emisji substancji chemicznych, *stopnia* ich toksyczności i *wielkości* narażonej na ich działanie populacji. Wykorzystałyśmy dane dotyczące narażenia na działanie zanieczyszczeń z tego samego, 2010 roku.

Następnie powiązałyśmy informacje na temat preferencji politycznych i stosunku do ochrony środowiska z danymi dotyczącymi rzeczywistego narażenia na działanie substancji chemicznej w hrabstwie, gdzie mieszka dana osoba. Zrobiłyśmy to przy użyciu „oprogramowania pomostowego”, korzystając z pomocy dyrektora Laboratorium Danych na Uniwersytecie Kalifornijskim, doktora Jona Stilesa, i konsultując się z profesorem Mikiem Houtem z Wydziału Socjologii Uniwersytetu Nowojorskiego.

Dzięki analizie regresji sprawdziłyśmy, czy znając stopień narażenia na działanie szkodliwych zanieczyszczeń w miejscu zamieszkania (RSEI) konkretnego respondenta, można przewidzieć jego odpowiedzi na rozmaite pytania związane ze środowiskiem (z kwestionariusza GSS). Odwróciłyśmy też wektor analizy, by zobaczyć, czy rozmaite społeczno-demograficzne i polityczne zmienne pozwalają „przewidzieć” stopień narażenia na działanie zanieczyszczeń w miejscu zamieszkania danej osoby. Zbadałyśmy również związek pomiędzy wskaźnikami RSEI i ogólną orientacją polityczną respondentów[305].

Oto nasze najciekawsze odkrycia: im wyższy poziom zanieczyszczeń na danym obszarze administracyjnym, tym większe prawdopodobieństwo, że jego mieszkańcy zgodzą się ze stwierdzeniem „Ludzie *za bardzo* się przejmują, że postęp ma szkodliwy wpływ na środowisko naturalne”. Innymi słowy, im wyższy poziom zanieczyszczeń na danym terenie, tym mniej jego mieszkańcy są skłonni się tym

przejmować i tym większe prawdopodobieństwo, że określą się jako „zdecydowani republikanie”.

Respondenci określający się jako „mężczyźni, dobrze zarabiający, konserwatyści, republikanie, chrześcijanie, głęboko religijni” zwykle wyznawali pogląd, że zanieczyszczenia powietrza i wody nie są groźne. Ponadto im wyższy stopnień narażenia na działanie zanieczyszczeń na danym obszarze, tym większe prawdopodobieństwo, że ankietowany zgodzi się ze stwierdzeniem: „Stany Zjednoczone robią dla ochrony środowiska więcej, niż to konieczne”. I co ciekawe, im bardziej dana osoba była narażona na działanie zanieczyszczeń w swoim miejscu zamieszkania, tym bardziej była skłonna uważać, że Stany Zjednoczone generalnie p r z e s a d z a j ą w tej sprawie.

To paradoks, ale bynajmniej nie zrodzony z niewiedzy. Ponieważ im wyższy stopień narażenia na działanie zanieczyszczeń na danym obszarze, tym częściej ankietowani zgadzali się ze stwierdzeniem: „Zanieczyszczenia wypuszczane przez przemysł do powietrza są groźne dla środowiska naturalnego”. Osoby zamożniejsze i lepiej wykształcone wyrażały przekonanie, że ludzkość jest w stanie poprawić stan środowiska naturalnego. Nie zgadzały się ze stwierdzeniem, że „zrobienie czegoś dla środowiska jest zbyt trudne”.

W ostatecznym rozrachunku czerwone stany są bardziej zanieczyszczone od niebieskich. Bez względu na to, czy dana osoba głosuje w wyborach, czy nie, konserwatyści i republikanie wykazują skłonność do odsuwania od siebie problemu zanieczyszczenia środowiska i godzenia się z konsekwencjami, to znaczy z mieszkaniem w miejscach o wyższym poziomie zanieczyszczeń. Luizjana jest skrajnym przykładem polityczno-ekologicznego paradoksu występującego w całym kraju.

# ANEKS C
# Czy powszechne wyobrażenia mają pokrycie w faktach?

Często odnosiłam wrażenie, że ja i moi nowi przyjaciele żyjemy nie tylko w różnych regionach kraju, lecz także w różnych prawdach. Po zakończeniu wywiadu nieraz zastanawiałam się, jak wyglądają fakty. Dlatego niżej przedstawiam stwierdzenia, które często słyszałam od moich rozmówców, oraz fakty, które Rebecca Elliott zgromadziła dla mnie na podstawie najnowszych dostępnych danych (źródła są wyszczególnione w przypisach).

### *Rząd wydaje mnóstwo pieniędzy na opiekę społeczną.*

W 2014 roku Stany Zjednoczone przeznaczyły osiem procent budżetu na „opiekę społeczną" – świadczenia dla osób o niskich dochodach[306].

### *Lista beneficjentów opieki społecznej wydłużyła się, a pobierający zasiłki nie pracują.*

Po ogłoszeniu w 1996 roku przez prezydenta Billa Clintona „końca opieki społecznej w dotychczasowym kształcie" program Aid to Families with Dependent Children (AFDC, pomoc dla rodzin z niesamodzielnymi dziećmi) został zamknięty, a jego miejsce zajął Temporary Assistance for Needy Families (TANF, program tymczasowego wsparcia dla rodzin w trudnej sytuacji, uzależniony od podjęcia pracy i ograniczony w czasie). W trzydziestu pięciu stanach oraz w dystrykcie Kolumbia wydatki na TANF – pomoc dla najbiedniejszych rodzin z dziećmi – są dziś o dwadzieścia procent niższe niż w 1996 roku[307]. Ale po Wielkiej Recesji w 2008 roku liczba Amerykanów otrzymujących talony żywnościowe (Supplemental Nutrition Assistance Program, SNAP) wzrosła powyżej poziomu z roku 1995, chociaż szczyt osiągnęła w 2013 roku i od tamtej pory gwałtownie spada[308]. Wzrosły także nakłady na Medicaid, jednak Kaiser Family Foundation przewiduje, że do 2016 roku spadną z powrotem do poziomu z 1999 roku[309].

Większość beneficjentów pomocy państwa to dzieci i osoby starsze. Na przykład w 2013 roku pięćdziesiąt jeden procent korzystających z Medicaid stanowiły dzieci przed ukończeniem osiemnastego roku życia, a pięć procent seniorzy w wieku

powyżej sześćdziesięciu pięciu lat. Pozostali pobierający świadczenia dla osób o niskich dochodach – klienci „opieki społecznej” – w wieku od osiemnastego do sześćdziesiątego czwartego roku życia, według danych z lat 2010–2012, w większości pracują[310]. Pracuje sześćdziesiąt jeden procent beneficjentów Medicaid i Children’s Health Insurance Program, stanowiących zdecydowanie największą grupę świadczeniobiorców[311]. Pracuje trzydzieści sześć procent osób otrzymujących talony żywnościowe (SNAP) i trzydzieści dwa procent pobierających zasiłek w ramach programu tymczasowego wsparcia dla rodzin w trudnej sytuacji (TANF). Pracują wszyscy, którym przysługuje ulga podatkowa od dochodu z pracy (Earned Income Tax Credit), ale wykonują prace, które są źle płatne i nie dają zatrudnienia w pełnym wymiarze godzin[312]. Odwracając wektor analizy, w 2013 roku pięćdziesiąt dwa procent zatrudnionych w fast foodach na bardzo źle płatnych pełnych etatach korzystało z jakiejś formy pomocy państwa. Podobnie czterdzieści sześć procent opiekunek do dzieci i czterdzieści osiem procent opiekunów osób starszych i niepełnosprawnych[313]. W takich przypadkach można powiedzieć, że podatnicy zatrudnieni w sektorze publicznym dokładają do niskich płac oferowanych przez część prywatnych przedsiębiorstw – zdaniem niektórych jest to forma „korporacyjnej pomocy społecznej”.

### *Zasiłkobiorcy utrzymują się wyłącznie z pieniędzy z naszych podatków.*

W 2011 roku tyko trzydzieści siedem procent łącznych dochodów najbiedniejszych dwudziestu procent Amerykanów dopłacał rząd. Pozostałą część stanowiły dochody z pracy[314].

### *Wszyscy biedni pobierają zasiłki.*

Nie wszyscy ubodzy otrzymują pomoc od rządu. Według Survey of Income and Program Participation prowadzonego przez U.S. Census Bureau w 2012 roku (najnowsze dostępne dane) 26,2 procent ubogich rodzin nie korzystało z żadnego z głównych rządowych programów pomocy dla najbiedniejszych (Medicaid, SNAP, TANF/GA, Housing Assistance czy SSI)[315]. Sytuacja wygląda różnie w różnych stanach. W Vermont siedemdziesiąt osiem z każdych stu osób żyjących w ubóstwie było objętych rządowym programem TANF; w Luizjanie tylko cztery na sto[316]. Za to w znacznie większym stopniu, niż to nam się zwykle wydaje, rząd pomaga najlepiej sytuowanym. Według pewnych szacunków połowa wszystkich ulg podatkowych trafia do kieszeni najbogatszych dwudziestu procent Amerykanów.

### *Czarne kobiety mają znacznie więcej dzieci niż białe.*

W ostatnich latach wskaźniki dzietności czarnych i białych kobiet niemal się zbiegły. W 2013 roku wskaźnik dzietności czarnych kobiet wynosił 1,88, a białych 1,76 dzieci w ciągu całego okresu rozrodczego[317].

## *Ogromna część zatrudnionych – może nawet czterdzieści procent – pracuje dla rządu federalnego i władz stanowych.*

Według Bureau of Labor Statistics z końca 2014 roku 1,9 procent ze 143 milionów zatrudnionych poza rolnictwem Amerykanów pracowało w cywilnym sektorze rządu federalnego[318]. Jeden procent służył w armii[319]. Trzy i pół procent, w tym nauczycieli i personel szpitali, zatrudniały władze poszczególnych stanów. Dalsze 9,8 procent, między innymi nauczyciele szkół publicznych, pracowało dla lokalnych władz samorządowych[320]. W 2014 roku 826 848 osób – 0,58 procent wszystkich Amerykanów – stanowili żołnierze przeniesieni do rezerwy. Jeśli więc zsumujemy wszystkich pracowników wojskowych i cywilnych, zatrudnionych przez władze federalne, stanowe i samorządowe, okaże się, że w 2014 roku dla rządu pracowało niespełna siedemnaście procent Amerykanów.

## *Pracownicy sektora publicznego są przepłacani.*

Na podstawie wyników corocznych badań społeczno-ekonomicznych, stanowiących uzupełnienie bieżących badań ludnościowych (The Annual Social and Economic Supplement of the Current Population Survey) dla lat 2006 i 2007, badacze porównali zarobki pracowników sektorów publicznego i prywatnego o podobnym wykształceniu, doświadczeniu zawodowym, tej samej płci, rasie, pochodzeniu etnicznym, stanie cywilnym, statusie zatrudnienia (pełny / niepełny etat), liczbie przepracowanych godzin i innych zmiennych i ustalili, że pracownicy sektora prywatnego zarabiają o dwanaście procent więcej od pracowników sektora publicznego[321].

Kobiety z wyższym wykształceniem w sektorze prywatnym zarabiają o dwadzieścia jeden procent mniej niż ich koledzy na takich samych stanowiskach, ale w sektorze publicznym tylko o dwanaście procent mniej. Są więc gorzej opłacane w obu sektorach, jednak w sektorze publicznym różnica zarobków na ich niekorzyść jest mniejsza. To samo dotyczy czarnych: bez względu na wykształcenie w sektorze publicznym czarni zarabiają mniej niż biali – ale nie aż o tyle mniej, jak w sektorze prywatnym. W sektorze publicznym zarabiają o dwa procent mniej niż biali; w sektorze prywatnym o trzynaście procent mniej[322].

## *Im bardziej rygorystyczne przepisy ochrony środowiska, tym mniej miejsc

***pracy.***

Niemal wszyscy sympatycy Partii Herbacianej, z którymi przeprowadziłam wywiady, wspominali o kompromisie pomiędzy miejscami pracy a ochroną środowiska. Zgodnie z ich rozumowaniem zaostrzenie przepisów oznacza większe koszty dla przedsiębiorców, którzy w odpowiedzi podnoszą ceny swoich produktów, co z kolei prowadzi do zmniejszenia popytu i zatrudnienia.

Czy taka logika albo-albo ma pokrycie w faktach? W rzeczywistości nie ma[323]. Badania z 1993 roku, w których oceniono rygorystyczność przepisów ochrony środowiska w poszczególnych stanach, a następnie porównano wskaźniki gospodarki (ogólny wzrost gospodarki, wzrost zatrudnienia, rozwój budownictwa) w ciągu poprzednich dwudziestu lat, wykazały, że surowsze regulacje prawne nie spowolniły tempa rozwoju gospodarczego[324]. Z kolei autorzy opublikowanego w 2001 roku artykułu na temat nowych przepisów ochrony powietrza wprowadzonych w życie w rejonie Los Angeles stwierdzili, że lokalne uregulowania prawne, jedne z najostrzejszych w całym kraju, nie spowodowały istotnego wzrostu bezrobocia[325]. Studium z 2002 roku przeanalizowało wpływ przepisów ochrony środowiska na cztery gałęzie przemysłu, które produkują znaczną ilość zanieczyszczeń, więc można się spodziewać, że silnie odczują zaostrzenie regulacji. W dwóch z czterech badanych gałęzi (tworzywa sztuczne i ropa naftowa) efekt netto wprowadzenia przepisów ochrony środowiska na liczbę miejsc pracy był niewielki, ale pozytywny, w dwóch zaś pozostałych (produkcja papieru oraz żelaza i stali) okazał się statystycznie nieistotny[326]. Na koniec: badanie z roku 2008 wykazało, że inwestycje w ochronę środowiska tworzą nowe miejsca pracy i prowadzą do zlikwidowania innych, lecz bilans netto jest dodatni. W rzeczywistości ochrona środowiska sama stanowi ważny, generujący sprzedaż i tworzący miejsca pracy przemysł. Porównując Florydę, Michigan, Minnesotę, Karolinę Północną, Ohio i Wisconsin, dwoje badaczy stwierdziło, że surowsze przepisy ochrony środowiska nie hamują wzrostu zatrudnienia[327].

Czy nadmierne wymagania narzucane przez regulatorów prowadzą do grupowych zwolnień pracowników? Według statystyk zbiorowych zwolnień, prowadzonych przez Bureau of Labor Statistics[328], 0,1 procent zwolnień grupowych w latach 1987–1990 miało „związek z kwestiami środowiska i bezpieczeństwa”[329]. Nowsze dane, obejmujące sześć i pół tysiąca przypadków zwolnień grupowych w przedsiębiorstwach pozarolniczych od 2012 roku, pokazują, że czterdzieści pięć przypadków (0,69 procent całkowitej liczby zwolnień) było spowodowanych „katastrofą lub względami bezpieczeństwa”, w tym „niebezpiecznymi warunkami pracy” i „klęskami naturalnymi”. Tylko w osiemnastu przypadkach (0,28 całkowitej liczby zwolnień) jako powód podano „regulacje / interwencje rządowe”[330].

***Zachęty ekonomiczne i bardziej liberalne przepisy są konieczne, by ściągnąć koncerny naftowo-gazowe, które inaczej mogłyby wybrać, i zapewne wybrałyby, inny stan.***

W 2004 roku zespół naukowców zbadał wpływ lokalnej polityki finansowej na wybór lokalizacji 3763 obiektów przemysłowych, które w latach 1993–1995 rozpoczęły działalność w stanie Maine. Stwierdzili, że przedsiębiorstwa preferują miasta, które przeznaczają wysokie sumy na usługi i dobra publiczne, nawet jeśli pociąga to za sobą podniesienie podatków. Jak z tego wynika, polityka cięć w sferze publicznej dla zrównoważenia niższych podatków może mieć mniejszą siłę przyciągania nowych przedsiębiorstw niż polityka zwiększania nakładów na sferę publiczną kosztem podnoszenia podatków[331]. Ostatnio wiele wskazuje na to, że władze lokalne polegające głównie na strategii bodźców ekonomicznych – bez względu na to, czy ona działa, czy nie – muszą się liczyć z negatywnymi konsekwencjami. Przeprowadzona w 2010 roku analiza wyników ogólnokrajowych sondaży z lat 1994, 1999 i 2004, obejmujących od siedmiuset do tysiąca lokalnych administracji, wykazała, że poleganie głównie na zachętach finansowych może prowadzić do zaostrzenia rywalizacji pomiędzy poszczególnymi jednostkami administracyjnymi, stagnacji lub nawet ekonomicznej zapaści oraz do obniżenia podstawy wymiaru podatków. Zachęty dla przemysłu mogą zapoczątkować cykl destrukcyjnej rywalizacji[332].

## *Rządowe subwencje dla przemysłu przyczyniają się do zwiększenia liczby miejsc pracy.*

Ośmioczęściowy raport specjalny ze śledztwa dziennikarskiego, opublikowany w 2014 roku przez największą luizjańską gazetę codzienną, „Advocate”, nosił tytuł *Giving Away Louisiana* (Rozdawanie Luizjany)[333]. Zespół dziennikarzy sprawdził, czy mieszkańcom stanu, który co roku oddaje około 1,1 miliarda dolarów z podatków koncernom przemysłowym w postaci „zachęt”, wydane w ten sposób pieniądze zwracają się w postaci miejsc pracy. Okazało się, że nie.

Luizjański podatnik może drogo zapłacić za każde nowe miejsce pracy w przemyśle. Jak pisze Gordon Russell: „Kiedy koncern Valero ogłosił, że zamierza rozbudować rafinerię w Norco i stworzyć czterdzieści trzy nowe miejsca pracy, Luizjana obiecała pokryć koszty rozbudowy w wysokości dziesięciu milionów dolarów, czyli niemal ćwierć miliona dolarów na jedno nowe miejsce pracy”. Kiedy w Luizjanie rzeczywiście powstają nowe miejsca pracy, nie ma wcale pewności, że jest to efektem rządowych subwencji. W 2013 roku Luizjana zapłaciła koncernom gazowym 240 milionów dolarów w zwolnieniach od podatków, ale Russell zauważa:

„Nie ma większych dowodów, że zwolnienia z podatków stymulują wydobycie gazu". Zdaniem dziennikarza „Advocate" wydobycie rośnie i spada zależnie od dostępności złóż oraz światowych cen ropy i gazu, a nie od wysokości rządowych subwencji. Poza tym dotacje stanowych władz Luizjany dla przemysłu rosną szybciej niż jej gospodarka.

Organizacja Good Jobs First, monitorująca wpływ rządowych dotacji dla przemysłu na poziom zatrudnienia, podkreśla, że nie wszystkie pięćdziesiąt badanych przez nią stanów równie chętnie ujawnia informacje na ten temat. Jednak na ile udało jej się stwierdzić, Luizjana wydaje na ten cel najwięcej na głowę mieszkańca w całym kraju.

## *Przemysł naftowy stymuluje pozostałe gałęzie gospodarki.*

Czy zyski z wydobycia ropy zostają w Luizjanie, czy uciekają ze stanu w postaci zarobków pracowników szczebla kierowniczego i zwrotów z akcji dla mieszkających poza stanem udziałowców? By znaleźć odpowiedź na to pytanie, porównałyśmy produkt stanowy brutto Luizjany (PSB) z całkowitym dochodem osobistym (CDO) statystycznego mieszkańca. Im więcej pieniędzy „wycieka" poza stan, tym większa różnica pomiędzy PSB i CDO w przeliczeniu na jednego mieszkańca. Innymi słowy, jeśli suma wszystkich dochodów statystycznego mieszkańca stanu jest wyższa od PSB w przeliczeniu na jednego mieszkańca, zarobione przez niego pieniądze musiały gdzieś wypłynąć, ponieważ nie powiększyły PSB. Opierając się na danych Bureau of Economic Analysis, przeliczonych na dolary z 2012 roku, zmierzyłyśmy wielkość „wycieku" pieniędzy w latach 1997–2012 w procentach dochodu statystycznego mieszkańca. Przez większość tego okresu „wyciek" pieniędzy z Luizjany utrzymywał się na poziomie od dwudziestu do trzydziestu pięciu procent[334]. (Również bezwzględna wielkość „wycieku" zmieniała się z roku na rok; na przykład w 2003 roku był on mały, a w 2005 duży). Lokalne przedsiębiorstwa z reguły nie przerzucają zysków poza swój teren, w odróżnieniu od wielkich międzynarodowych korporacji, które prowadzą działalność i mają centrale w innych miejscach.

## *Gospodarka zawsze ma się lepiej, gdy Ameryką rządzi prezydent z ramienia republikanów.*

W okresie 1949–2009 bezrobocie było niższe, a produkt krajowy brutto wyższy, kiedy w Białym Domu urzędowali demokraci[335]. Politolog Larry Bartels wykazał, że także nierówność społeczna zdecydowanie rosła za rządów republikańskich prezydentów i nieznacznie malała za rządów demokratów[336]. Ekonomiści z Princetown potwierdzili niedawno, że amerykańska gospodarka szybciej rosła,

kiedy na fotelu prezydenta zasiadali demokraci. Zwiększała się też wtedy liczba miejsc pracy, spadało bezrobocie, rosły zyski przedsiębiorstw i nakłady na inwestycje, a także stopa zwrotu z rynku papierów wartościowych. Badacze wiążą to jednak ze skokami cen ropy i pojawieniem się nowych technologii, które pozytywnie wpłynęły na gospodarkę (na przykład internet za prezydentury Clintona) – innymi słowy, korelacja pomiędzy wzrostem gospodarczym i rządami demokratów po części była spowodowana czynnikami poza kontrolą administracji prezydenckiej[337]. Również dług federalny liczony w procentach PKB szybciej rósł pod rządami republikanów niż demokratów; rekordzistą od 1945 roku był Reagan, który zwiększył dług federalny o blisko sześćdziesiąt procent PKB. Wszystkim demokratycznym prezydentom – Trumanowi, Kennedy'emu, Johnsonowi, Carterowi i Clintonowi – udało się zmniejszyć dług federalny liczony w procentach PKB[338].

# Bibliografia

*Abraham's Tent Opens New Facility to Feed the Hungry*, „Jambalaya News", 22 grudnia 2014, http://lakecharles.com/2014/12/abrahams-tent-opens-new-facility-feed-hungry.

AGL Resources, *2011 Annual Report* (data dostępu: 7 sierpnia 2015), http://www.aglresources.com/about/docs/AGL-AR-011/2011AnnualReport.pdf.

Albrizio Silvia, Botta Enrico, Kozluk Tomasz, Zipperer Vera, *Do Environmental Policies Matter for Productivity Growth? Insights from New Cross-Country Measures of Environmental Policies*, dokument roboczy nr 1176, 3 grudnia 2014, http://www.oecd-library.org/economics/do-environmwetal-policies-matter-for-productivity-growth_5jxrjncjrcxp-en.

Annie E. Casey Foundation, *2009 Kids Count Data Book: State Profiles of Child Well-Being*, http://www.aecf.org/resources/the-2009-kids-count-data-book.

Associated Press, *Cross Burning Defendant Speaks Out*, KPLC-TV (12 grudnia 2001), http://www.kplctv.com/story/317803/cross-burning-defendant-speaks-out.

Associated Press, *Gulf Platform Owner Sued over Deadly 2012 Blast*, KPLC-TV, http://www.kplctv.com/story/23832004/gulf-platform-owner-sued-over-deadly-blast.

Associated Press, *Number of Injured from Axiall Chemical Plant Fire in Westlake Rises to 18*, „Times-Picayunne" (25 grudnia 2013), http://www.nola.com/environment/index.ssf/2013/number_of_injured_from_axiall.htm

Associated Press, *Obama Approval Ratings Low in Louisiana*, „New Orleans City Business" (13 października 2011), http://neworleanscitybusiness.com/blog/2011/10/13/obama-approval-ratings-low-in-louisiana.

Auyero Javier, Swistun Débora Alejandra, *Flammable: Environmental Suffering in an Argentine Shantytown*, Oxford University Press, Oxford 2009.

Babington Charles, *A Polarized America Lives as It Votes*, Pew Research Center, lato 2014, http://magazine.pewtrusts.org/en/archive/summer-2014/a-polarized-america-lives-as-it-votes.

Bageant Joe, *Deer Hunting with Jesus: Dispatches from America's Class War*, Broadway Books, New York 2007.

*Baggy Pants Law Will Fine Offenders in Louisiana Parish*, „Huffington Post", 14 kwietnia 2013 (data dostępu: 3 listopada 2015), http://www.huffingtonpost.com/2013/04/14/baggy-pants-law-fine-louisiana_n_3080851.html.

Ballotpedia, *Louisiana State Budget and Finances*, 2013,

https://ballotpedia.org/Louisiana_state_budget_and_finances.
Bartels Larry, *Unequal Democracy: The Political Economy of the New Gilded Age*, Princeton University Press, Princeton 2008.
Bartels Larry, *What's the Matter with Kansas?* „Quarterly Journal of Political Science" 2006, nr 1, s. 201–226.
Baugher John, Roberts J. Timmons, *Perceptions and Worry About Hazards at Work: Unions, Contract Maintenance, and Job Control in the U.S. Petrochemical Industry*, „Industrial Relations" 1999, nr 4, s. 522–541.
Bauman Nick, *Tea Party Frontrunner: Abolish Public Schools*, „Mother Jones", 13 października 2010.
Beckman Jeffrey D., Williamson Alex K., *Salt-Dome Locations in the Gulf Coastal Plain, South-Central United States*, U.S. Geological Survey, Water-ResourcesInvestigations Report 90-4060, 1990, http://pubs.usgs.gov/wri/1990/4060/report.pdf.
Berlet Chip, *Reframing Populist Resentment in the Tea Party Movement* [w:] *Steep: The Precipitous Rise of the Tea Party*, red. Lawrence Rosenthal, Christine Trost, University of California Press, Berkeley 2012, s. 47–66.
Berman Dennis K, *Are You Underestimating America's Fracking Boom?*, „Wall Street Journal", 27 maja 2014.
Berman Eli, Bui Linda T.M., *Environmental Regulation and Labor Demand: Evidence from the South Coast Air Basin*, „Journal of Public Economics" 2001, nr 79, s. 265–295.
*Bertrand Excited About Future of Southwest Louisiana*, „American Press", 27 stycznia 2015, B4.
Bezdek Roger H., Wendling Robert M., DiPerna Paula, *Environmental Protection, the Economy, and Jobs: National and Regional Analyses*, „Journal of Environmental Management" 2008, nr 1, s. 63–79.
Bishop Bill, Cushing Robert G., *The Big Sort: Why the Clustering of Like-Minded America Is Tearing Us Apart*, Mariner Books, New York 2008.
Bliese John R.E., *The Great 'Environment Versus Economy' Myth*, Brownstone Policy Institute, New York 1999.
Blinder Alan S., Watson Mark W., *Presidents and the U.S. Economy: An Econometric Exploration*, National Bureau of Economic Research, dokument roboczy nr 20334, lipiec 2014, http://www.nber.org/papers/w20324.
Boyd James, *Nixon's Southern Strategy: 'It's All in the Charts'*, „New York Times", 17 maja 1970, http://www.nytimes.com/packages/html/books/phillips-southern.pdf.
Boym Svetlana, *The Future of Nostalgia*, Basic Books, New York 2001.
Boym Svetlana, *Nostalgia and Its Discontents*, „Hedgehog Review", lato 2007, s. 13, http://www.iasc-culture.org/eNews/2007_10/9.2CBoym.pdf.

Brooks Arthur C., *Who Really Cares: The Surprising Truth About Compassionate Conservatism*, Basic Books, New York 2007.
Brooks Clem, Manza Jeff, *A Broken Public? Americans' Responses to the Great Recession*, „American Sociological Review" 2013, nr 5, s. 727–748.
Brown Heath, *The Tea Party Divided: The Hidden Diversity of a Maturing Movement*, Praeger, New York 2015.
Buchele Mose, *After HB 40, What's Next for Local Drilling Rules in Texas?*, StateImpact, 2 lipca 2015, https://stateimpact.npr.org/texas/2015/07/02/after-hb-40-whats-next-for-local-drilling-bans-in-texas.
Bullard Robert D., *Dumping in Dixie: Race, Class, and Environmental Quality*, Westwiev Press, New York 2000.
Bureau of Economic Analysis, *Bureau of Economic Analysis [Regional Datafile]: Louisiana, 2013*, Washington (pobrane 22 września 2015).
Bureau of Economic Analysis, *Personal Income and Gross Domestic Product by State [1997–2012 data]*, Washington 2012 (data dostępu: 13 marca 2014).
Bureau of Labor Statistics, *Current Employment Statistics [2014 data]*, Washington 2014 (data dostępu: 2 września 2014), http://stats.bls.gov/ces/#data.
Bureau of Labor Statistics, *Mass Layoff Statistics [2012 data]*, Washington 2012 (data dostępu: 13 marca 2014), http://www.bls.gov/mls.
Bureau of Labor Statistics, *A Profile of the Working Poor*, *2013*, Washington 2015, http://www.bls.gov/opub/reports/cps/a-profile-of-the-working-poor-2013.pdf.
Bureau of Labor Statistics, *Quarterly Census of Employment and Wages [December 2014 estimates]* (data dostępu: 18 czerwca 2015), http://data.bls.gov/cgi-bin/dsrv?en.
*Cancer Facts and Figures 2015*, American Cancer Society, http://www.cancer.org/acs/groups/content/@editorial/documents/document/acspc-044552.pdf.
Cash Wilbur Joseph, *The Mind of the South*, Vintage Books, New York 1991.
Center on Budget and Policy Priorities, *SNAP Costs and Caseloads Declining*, 10 lutego 2016, http://www.cbpp.org/research/food-assistance/snap-cost-and-caseloads-declining.
Cernansky Rachel, *Natural Gas Boom Brings Major Growth for U.S. Chemical Plants*, Environment 360, 29 stycznia 2015 (data dostępu: 16 sierpnia 2015), http://e360.yale.edu/feature/natural_gas_boom_brings_major_growth_for_us_chemica
Cerrell Associates, Inc., *Political Difficulties Facing Waste-to-Energy Conversion Plant Siting*, Los Angeles 1984.
Chait Jonathan, *Confessions of a 'Partyist': Yes, I Judge Your Politics*, „New York Magazine", 30 października 2014, http://nymag.com/daily/intelligencer/2014/10/im-a-partyist-and-yes-i-judge-your-politics.html.
Chetty Raj, Hendren Nathaniel, Kline Patrick, Saez Emmanuel, *Where Is the Land of*

*Opportunity? The Geography of Intergenerational Mobility in the United States*, „Quarterly Journal of Economics" 2014, s. 1–71.
Chetty Raj, Hendren Nathaniel, Kline Patrick, Saez Emmanuel, Turner Nicholas, *Is the United States Still a Land of Opportunity? Recent Trends in Intergenerational Mobility*, dokument roboczy National Bureau of Economical Research nr 19844 (styczeń 2014), http://www.nber.org/papers/w19844.
Childress Sarah, *Has the Justice Department Found a New Town That Preys on Its Poor?*, „Frontline", 27 kwietnia 2015, http://www.pbs.org/wgbh/pages/frontline/criminal-justice/has-the-justice-department-found-a-new-town-that-preys-on-its-poor.
Chipman Kim, *Americans in 73% Majority Oppose Ban on Deepwater Oil Drilling*, Bloomberg, 14 lipca 2010, http://www.bloomberg.com/news/articles/2010-07-14/americans-in-73-majority-oppose-ban-on-deepwater-drilling-after-oil-spill.
Choi Charles Q., *Gas-Charged Earthquakes Linked to Mysterious Louisiana Sinkhole*, Live Science, http://www.livescience.com/46692-louisiana-sinkhole-explained.html.
Citizens for Tax Justice, *Corporate Taxpayers and Corporate Tax Dodgers, 2008–2010*, listopad 2011, http://ctj.org/ctjreports/2011/11/corporate_taxpayers_corporate_tax_dodgers_2008-2010.php.
Clark Candace, *Misery and Company: Sympathy in Everyday Life*, University of Chicago Press, Chicago 1998.
Clark Stephen, *Gun Control Advocates Decry Louisiana's New Law Allowing Churchgoers to Pack Heat*, Fox News, 8 czerwca 2010, http://www.foxnews.com/politics/2010/07/08/gun-control-advocates-decry-louisianas-new-law-allowing-churchgoers-pack-heat.html.
Clemons Steve, *GOP Presidents Have Been the Worst Contributors to the Federal Debt*, „Atlantic", 27 października 2012, http://www.theatlantic.com/politics/archive/2012/10/gop-presidents-have-been-the-worst-contributors-to-the-federal-debt/264193.
Coastal Wetlands Planning, Protection and Restoration Act (ustawa o zagospodarowaniu, ochronie i restytucji nadmorskich terenów wodno-bagiennych, CWPPRA), *Frequently Asked Questions*, https://lacoast.gov/new/About/FAQs.aspx.
Cockerham Sean, *Louisiana French: L'heritage at Risk*, „Seattle Times", 6 lipca 2012.
Coll Steve, *Dangerous Gamesmanship*, „New Yorker", 27 kwietnia 2015.
Comiskey Michael, Marsh Lawrence C., *Presidents, Parties, and the Business Cycle, 1949–2009*, „Presidential Studies Quarterly" 2012, nr 1, s. 40–59.
Confessore Nicholas, Cohen Sarah, Yourish Karen, *Buying Power*, „New York Times", 10 października 2015.

Congressional Budget Office, *The Distribution of Household Income and Federal Taxes, 2011*, Washington 2014, http://www.cbo.gov/sites/default/files/cbofiles/attachments/49440-Distribution-of-Income-and-Taxes.pdf.
Cooper David, Gable Mary, Austin Algernon, *The Public-Sector Jobs Crisis: Women and African Americans Hit Hardest by Job Losses in State and Local Governments*, Economic Policy Institute, 2 maja 2012, http://www.epi.org/publication/bp339-public-sector-jobs-crisis.
Cornier Eric, *Construction Boom: Labor Shortage Among Area Concerns*, „American Press", 10 lutego 2013.
CSRS, *Southwest Louisiana Regional Impact Study, 2014* (data dostępu: 4 sierpnia 2015), http://www.gogroupswla.com/Content/Uploads/gogroupswla.com/files/SWLA Regional Impact Study_Final.pdf.
Davenport Coral, *E.P.A. Faces More Tasks, Louder Critics, and a Shrinking Budget*, „New York Times", 19 marca 2016.
Davenport Coral, Robertson Campbell, *Resettling the First American 'Climate Refugees'*, „New York Times", 3 maja 2016.
*David Vitter on Environment*, On the Issues, http://www.ontheissues.org/Domestic/David_Vitter_Environment.htm.
Deckman Melissa, *A Gender Gap in the Tea Party?*, referat na sesję Midwest Political Science Association, 11–14 kwietnia 2013 (niepublikowany).
*Deep Water: The Gulf Oil Disaster and the Future of Offshore Drilling*, raport dla prezydenta USA, National Commission on the BP Deepwater Horizon Oil Spill and Offshore Drilling, styczeń 2011, www.oilspillcommission.gov.
Defense Manpower Data Center, *Personnel, Workforce Reports & Publications*, Washington 2014 (data dostępu: 25 listopada 2014), https://www.dmdc.osd.mil/appj/dwp/dwp_reports.jsp.
Desmond Matthew, *On the Fireline: Living and Dying with Wildland Firefighters*, University of Chicago Press, Chicago 2007.
DiCesare Frank, *All Water, Air Permits for Sasol Approved*, „American Press", 2 czerwca 2014.
DiCesare Frank, *Bayou d'Inde Cleanup to Begin This Month*, „American Press", 16 lutego 2015.
Diemer Miriam, *Energy and Natural Resources: Industry Influence in the Climate Change Debate*, opensecrets.org (aktualizacja 29 stycznia 2015), https://www.opensecrets.org/news/issues/energy.

DiTomaso Nancy, *The American Non-Dilemma: Racial Inequality Without Racism*, Russell Sage Foundation, New York 2013.

Dlouhy Jennifer A., *Dangers Face Immigrant Contract Workforce in Gulf*, Fuel-Fix, 3 listopada 2013, http://fuelfix.com/blog/2013/11/03/dangers-face-immigrant-contractor-workforce-in-gulf.

*Dome Issues Kept Quiet*, „Advocate”, 12 sierpnia 2012.

*Donald Trump Forcefully Removes Protesters from Louisiana Rally*, mic.com, 5 marca 2016, http://mic.com/articles/137129/donald-trump-forcefully-removes-protesters-from-louisiana-rally.

Drozd David J., *Trends in Fertility Rates by Race and Ethnicity for the U.S. and Nebraska: 1989 to 2013*, Omaha 2015, http://www.unomaha.edu/college-of-public-affairs-and-community-service/center-for-public-affairs-research/news/fertility-rate-gap.php.

Dupre Deborah, *Sinkhole: H-Bomb Explosion Equivalent in Bayou Corne Possible*, examiner.com, 12 sierpnia 2012, http://www.examiner.com/article/sinkhole-h-bomb-explosion-equivalent-bayou-corne-possible.

Dupre Deborah, *State Blames One Company for Gassy Sinkhole, Orders More Seismic Monitors*, examiner.com, 13 października 2012, http://www.examiner.com/article/state-blames-one-company-for-gassy-sinkhole-orders-more-seismic-monitors.

Durkheim Émile, *Elementarne formy życia religijnego. System totemiczny w Australii*, przeł. Anna Zadróżyńska, wstęp do wydania polskiego Elżbieta Tarkowska, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2010.

Ehrenreich Barbara, *Dead, White, and Blue: The Great Die-Off of America’s Blue Collar Whites*, tomdispatch.com, 1 grudnia 2015, http://www.tomdispatch.com/dialogs/print/?d=176075.

Ehrenreich John, *Third Wave Capitalism: How Money, Power, and the Pursuit Self-Interest Have Imperiled the American Dream*, ILR Press, Ithaca and London 2016.

Einhorn Robin L., *American Taxation, American Slavery*, University of Chicago Press, Chicago 2008.

Eliot T. S., *Kto to jest klasyk i inne eseje*, przeł. Magdalena Heydel, Maria Niemojowska, Helena Pręczkowska i Maciej Żurowski, Znak, Kraków 1998.

Environmental Protection Agency, *TRI Explorer [Data file], 1990 and 2013*, Washington 2015, http://iaspub.epa.gov/triexplorer/tri_release.chemical.

Ernst & Young LLP, *2014 US Investment Monitor: Tracking Mobile Capital Investments During 2013* (data dostępu: 4 sierpnia 2015), http://www.ey.com/Publication/vwLUAssets/EY-the-us-investment-monitor/$FILE/EY-the-us-investment-monitor.pdf.

Evans-Pritchard Edward. E., *The Nuer: A Description of the Modes of Livelihood and Political Institutions of a Nilotic People*, Clarendon Press, Oxford 1940.

Eysink Curt, *Louisiana Workforce Information Review, 2010*, Statewide Report,

https://www.doleta.gov/performance/results/AnnualReports/2010_economic_reports/la
Fagin Dan, *Toms River: A Story of Science and Salvation*, Bantam Books, New York 2013.
Fahrenthold David, *Deep Underground Federal Employees Process Paperwork by Hand in a Long Outdated, Inefficient System*, „Washington Post”, 22 marca 2014.
Fallin Amanda, Grana Rachel, Glantz Tanton A., *‘To Quarterback Behind the Scenes, Third-Party Efforts’: The Tobacco Industry and the Tea Party*, „Tobacco Control”, 8 lutego 2013, http://tobaccocontrol.bmj.com/content/early/2013/02/07/tobaccocontrol-2012-050815.abstract.
Festinger Leon, Riecken Henry W., Schachter Stanley, *Gdy proroctwo zawodzi. Koniec świata, który nie nastąpił*, przeł. Małgorzata Hołda, Wydawnictwo WAM, Kraków 2012.
Fischer Claude, Hout Michael, *Century of Difference: How America Changedin the Last One Hundred Years*, Russell Sage Foundation, New York 2008.
Florida Richard, *Is Life Better in America’s Red States?*, „New York Times Sunday Review”, 3 stycznia 2015.
Floser A. D., *A Closer Look at the Parties in 2012*, Pew Research Center, 23 sierpnia 2012, http://www.people-press.org/2012/08/23/a-closer-look-at-the-parties-in-2012.
Floyd Ife, Pavetti Ladonna, Schott Liz, *TANF Continues to Weaken as a Safety Net*, Center on Budget and Policy Priorities (aktualizacja 27 października 2015), http://www.cbpp.org/research/family-income-support/tanf-continues-to-weaken-as-a-safety-net.
Floyd Ife, Schott Liz, *TANF Cash Benefits Have Fallen by More Than 20 Percent in Most States and Continue to Erode*, Center on Budget and Policy Priorities (ostatnia aktualizacja 15 października 2015), http://www.cbpp.org/research/family-income-support/tanf-cash-benefits-have-fallen-by-more-than-20-percent-in-most-states.
Frank Thomas, *Co z tym Kansas?*, przeł. Julian Kutyła, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2008.
Frank Thomas, *Listen, Liberal, or What Ever Happened to the Party of the People?*, Metropolitan Books, New York 2016.
Frankland Peggy, *Women Pioneers of the Louisiana Environmental Movement*, University Press of Mississippi, Jackson 2013.
Freddoso David, *State Government Dependence on Federal Funding Growing at Alarming Rate*, State Budget Solutions, 14 kwietnia 2015, http://www.statebudgetsolutions.org/publications/detail/state-government-dependence-on-federal-funding-growing-at-alarming-rate.
Fuller Jaime, *Environmental Policy Is Partisan. It Wasn’t Always*, „Washington Post”, 2 czerwca 2014, https://www.washingtonpost.com/news/the-fix/wp/2014/06/02/support-for-the-clean-air-act-has-changed-a-lot-since-1970.

Furman Jason, Stevenson Betsey, Stock Jim, „2014 Economic Report of the President” (10 marca 2014), https://www.whitehouse.gov/blog/2014/03/10/2014-economic-report-president.
Gabe Todd M., Bell Kathleen P., *Tradeoffs Between Local Taxes and Government Spending as Determinants of Business Location*, „Journal of Regional Science” 2004, nr 1, s. 21–41.
Garcia-Perez Javier, Fernandez-Navarro Pablo, Castello Adela, Lopez-Cima Maria Felicitas, Ramis Rebeca, Boldo Elena, Lopez-Abente Gonzalo, *Cancer Mortality in Towns in the Vicinity of Incinerators and Installations for the Recovery or Disposal of Hazardous Waste*, „Environment International” 2013, nr 51, s. 31–44.
Girard René, *Kozioł ofiarny*, przeł. Mirosława Goszczyńska, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1987.
Gibson David R., *Doing Time in Space: Line Joining Rules and Resulting Morphologies*, „Sociological Forum” 2008, nr 2, s. 207–233.
Gillin Joshua, *Income Tax Rates Were 90 Percent Under Eisenhower, Sanders Says*, PolitiFact, 15 listopada 2015, http://www.politifact.com/truth-o-meter/statements/2015/nov/15/bernie-s/income-tax-rates-were-90-percent-under-eisenhower-.
Gitlin Todd, *The Twilight of Common Dreams: Why America Is Wracked by Culture Wars*, Holt Paperbacks, New York 1995.
*Gonzales*, louisianatravel.com. http://www.louisianatravel.com/cities/gonzales.
Goodman Joseph, *Gulf Oil Spill Threatens Louisiana Native Americans' Way of Life*, „Miami Herald”, 1 czerwca 2010.
Goodstein Eban, *Jobs and the Environment: The Myth of a National Trade-Off*, Washington 1994.
Gordon Claire, *Filipino Workers Kept as Slaves in Louisiana, Lawsuit Charges*, AOL Jobs, 5 listopada 2011, http://jobs.aol.com/articles/2011/11/15/filipino-workers-kept-as-slaves-in-louisiana-according-to-lawsu.
*Governing, the State and Localities*, governing.com, źródło: U.S. Census Bureau (data dostępu: 21 września 2015), http://www.governing.com/gov-data/state-tax-revenue-data.html.
*Governor Bobby Jindal Says Americans Want a 'Hostile Takeover' of Washington*, teaparty.org, 16 września 2014, http://www.teaparty.org/gov-bobby-jindal-says-americans-want-hostile-takeover-washington-55848.
Grandia Kevin, *If Canada Is 'Oil Rich' Why Are We So in Debt?*, DESMOGCANADA, 5 marca 2013, https://www.desmog.ca/2013/02/28/if-canada-oil-rich-why-are-we-so-debt.
Gray Melissa, *Louisiana Probes Cause of Massive Bayou Sinkhole*, CNN, 10 sierpnia 2012, http://www.cnn.com/2012/08/09/us/louisiana-bayou-sinkhole.

Green John C., *The Fifth National Survey of Religion and Politics*, Akron 2008. http://www.uakron.edu/bliss/research/archives/2008/Blissreligionreport.pdf.

Guldroz John, *LSU Professor Discusses Climate Change, Erosion*, „American Press", 28 czerwca 2013.

Gulf Engineers and Consultants, *Hazardous, Toxic and Radioactive Waste Reconnaissance Report (HTRW) Calcasieu River and Pass*, Louisiana Dredged Material Management Plan, U.S. Army Corps of Engineers, New Orleans District.

Hacker Jacob S., Pierson Paul, *Winner-Take-All Politics: How Washington Made the Rich Richer – and Turned Its Back on the Middle Class*, Simon & Schuster, New York 2010.

Hamilton Lawrence C., Safford Thomas G., Ulrich Jessica D., *In the Wake of the Spill: Environmental Views Along the Gulf Coast*, „Social Science Quarterly" 2012, nr 4, s. 1053–1064.

Hanle Caroline, Douglass Michael T., *High Road, Low Road or Off Road: Economic Development Strategies in the American States*, „Economic Development Quarterly" 2014, nr 3, s. 1–10.

Harlan Chico, *Battered by Drop in Oil Prices and Jindal's Fiscal Policies, Louisiana Falls into Budget Crisis*, „Washington Post", 4 marca 2016, https://www.washingtonpost.com/news/wonk/wp/2016/03/04/the-debilitating-economic-disaster-louisianas-governor-left-behind/?utm_term=.f0b7351d3139.

Hertsgaard Mark, *What BP Doesn't Want You to Know About the Gulf Spill*, „Newsweek", 22 kwietnia 2013.

Hochschild Arlie Russell, *Zarządzanie emocjami. Komercjalizacja ludzkich uczuć*, przeł. Jacek Konieczny, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2009.

Hochschild Arlie Russell, *The Outsourced Self: Intimate Life in Market Times*, Metropolitan Books, New York 2012.

Hochschild Arlie Russell, *The Second Shift: Working Families and the Revolution at Home*, Penguin Books, New York 2012 (1989).

Hochschild Arlie Russell, *So How's the Family? And Other Essays*, University of California Press, Berkeley–Los Angeles 2012 (1983).

Hochschild Arlie Russell, *The Time Bind: When Work Becomes Home and Home Becomes Work*, Holt Paperbacks, New York 2000 (1997).

Hofstadter Richard, *The Age of Reform*, Vintage Books, New York 1955.

Hofstadter Richard, *Anti-Intellectualism in American Life*, Vintage Books, New York 1966.

Houck Oliver A., *The Reckoning: Oil and Gas Development in the Louisiana Coastal Zone*, „Tulane Environmental Law Journal" 2015, nr 2, s. 185–296.

Houck Oliver A., *Save Ourselves: The Environmental Case That Changed Louisiana*, „Louisiana Law Review" 2012, nr 72, s. 409–437.

*How States Compare and How They Voted in the 2012 Election*, „Chronicle of Philanthropy” (aktualizacja 13 stycznia 2015; data dostępu: 5 sierpnia 2015), https://philanthropy.com/article/How-States-CompareHow/152501.
*Iberia Parish, Louisiana*, tourlouisiana.com (data dostępu: 7 sierpnia 2015), http://www.tourlouisiana.com/content.cfm?id=15.
Institute for Criminal Policy Research, *World Prison Brief*, http://www.prisonstudies.org/highest-to-lowest/prison_population_rate.
Institute for Southern Studies, *Looting Louisiana: How the Jindal Administration Is Helping Big Oil Rip Off a Cash-Strapped State*, http://www.southernstudies.org/2015/05/looting-louisiana-how-the-jindal-administration-is.html.
Irons John, Shapiro Isaac, *Regulation, Employment, and the Economy: Fears of Job Loss Are Overblown*, Economic Policy Institute, Washington 2011.
Irving Shelley K., Loveless Tracy A., *Dynamics of Economic Well-Being: Participation in Government Programs, 2009–2012: Who Gets Assistance*, Washington 2015, http://www.census.gov/content/dam/Census/library/publications/2015/demo/p70-141.pdf.
Iyengar Shanto, Sood Gaurav, Lelkes Yphtach, *Affect, Not Ideology: A Social Identity Perspective on Polarization*, „Public Opinion Quarterly” 2012, nr 3, s. 405–431.
Iyengar Shanto, Westwood Sean, *Fear and Loathing Across Party Lines: New Evidence on Group Polarization*, „American Journal of Political Science” 2014, nr 3, s. 45.
Jacobs Ken, Perry Ian, MacGillvary Jenifer, *The High Public Cost of Low Wages*, 13 kwietnia 2015, http://laborcenter.berkeley.edu/the-high-public-cost-of-low-wages.
Jacobson Louis, *Are There More Welfare Recipients in the U.S. Than Full-Time Workers?*, PolitiFact, 28 stycznia 2015, http://www.politifact.com/punditfact/statements/2015/jan/28/terry-jeffrey/are-there-more-welfare-recipients-us-full-time-wor.
Jilani Zaid, *Fracking Industry Billionaires Give Record $15 Million to Ted Cruz’s Super PAC*, Alternet, 25 lipca 2015, http://www.alternet.org/election-2016/fracking-industry-billionaires-give-record-15-million-ted-cruzs-super-pac.
Johnson Brad, *Senate Republicans Introduce Bill to Abolish the EPA*, Think Progress, 6 maja 2011, http://thinkprogress.org/politics/2011/05/06/164077/senate-republicans-introduce-bill-to-abolish-the-epa.
Juhasz Antonia, *Investigation: Two Years After the BP Spill, a Hidden Health Crisis Festers*, „Nation”, 18 kwietnia 2012, https://www.thenation.com/article/investigation-two-years-after-bp-spill-hidden-health-crisis-festers.
Kasperowicz Pete, *Who Wants to Abolish the IRS? So Far, 58 House Republicans*,

„Blaze” (data dostępu: 16 sierpnia 2015), http://www.theblaze.com/blog/2015/01/07/who-wants-to-abolish-the-irs-so-far-58-house-republicans.
Katznelson Ira, *When Affirmative Action Was White: An Untold History of Racial Inequality in Twentieth-Century America*, W. W. Norton & Company, New York 2006.
Kirshenbaum Sheril, *Political Ideology Continues to Be the Single Greatest Determinant of Americans' Views on Climate Change*, http://news.utexas.edu/2015/10/20/views-of-key-energy-issues-are-shaped-by-partisan-politics.
Knox E. G., *Oil Combustion and Childhood Cancers*, „Journal of Epidemiology and Community Health” 2005, nr 9, s. 755–760.
Koeppel Barbara, *Cancer Alley, Louisiana*, „Nation”, 8 listopada 1999, s. 16–24.
Kohut Andrew, Keeter Scott, Doherty Carroll, Dimock Michael, Remez Michael, Suls Robert, Neidorf Shawn, Christian Leah, Kiley Jocelyn, Tyson Alec, Pushter Jacob, *Life in 2050: Amazing Science, Familiar Threats: Public Sees a Future Full of Promise and Peril*, komunikat dla prasy, Pew Center for the People and the Press, 22 czerwca 2010.
Kolata Gina, *Death Rate Rising for Middle Aged White Americans, Study Finds*, „New York Times”, 2 listopada 2015.
Krugman Paul, *Enemies of the Sun*, „New York Times”, 5 października 2015.
Kumar Sheila V., *Jindal Meets with Bayou Corne Residents, Promises to Fight Texas Brine for Fair Buyouts*, „Times-Picayune”, 19 marca 2013, http://www.nola.com/politics/index.ssf/2013/03/jindal_to_visit_assumption_par_1.htm
Kumkar Nils, *A Socio-Analysis of Discontent: Protests Against the Politics of Crisis in the U.S. and Germany: An Empirical Comparison*, nieopublikowana praca doktorska, Fakultät für Sozialwissenschaften und Philosophie, Universität Leipzig, 30 listopada 2015.
Kurth Michael, *On the Brink of the Boom*, „Lagniappe”, 6 maja 2014, http://www.bestofswla.com/2014/05/06/brink-boom.
*Lake Charles: A Case Study: With Massive New Industrial Investments and up to 25,000 New Workers Headed to Town, the Landscape of Lake Charles Is Changing Dramatically*, „Business Report”, 25 września 2014, https://www.businessreport.com/article/lake-charles-a-case-study-with-massive-new-industrial-investments-and-up-to-25000-new-workers-headed-to-town-the-landscape-of-lake-charles-is-changing-dramatically.
Lakoff George, Johnson Mark, *Metafory w naszym życiu*, przeł. Tomasz Paweł Krzeszowski, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1988.
Law Center to Prevent Gun Violence and the Brady Campaign, *2013 State Scorecard:*

*Why Gun Laws Matter*, San Francisco 2013. http://www.bradycampaign.org/sites/default/files/SCGLM-Final10-spreads-points.pdf.
*Lawsuit: Filipino Teachers Defrauded in International Labor Trafficking Scheme*, la.aft.org, http://la.aft.org/news/lawsuit-filipino-teachers-defrauded-international-labor-trafficking-scheme.
League of Conservation Voters, *Public Health Basis of the Clean Air Act, House Roll Call Vote 395*, Washington 2012, http://scorecard.lcv.org/roll-call-vote/2012-395-public-health-basis-clean-air-act.
LaHaye Tim, Jenkins Jerry B., *Anioł czeluści*, przeł. Zbigniew Kościuk, Vocatio, Warszawa 2003.
LaHaye Tim, Jenkins Jerry B., *Profanacja*, przeł. Zbigniew Kościuk, Vocatio, Warszawa 2004.
LaHaye Tim, Jenkins Jerry B., *Diabelski traktat: powieść o czasach ostatecznych*, przeł. Peter Chojnacki, Vocatio, Warszawa 2002.
LaHaye Tim, Jenkins Jerry B., *Dzień zagłady: powieść o czasach ostatecznych*, przeł. Peter Chojnacki, Vocatio, Warszawa 2001.
LaHaye Tim, Jenkins Jerry B., *Łowcy dusz*, przeł. Zbigniew Kościuk, Vocatio, Warszawa 2003.
LaHaye Tim, Jenkins Jerry B., *Opętanie*, przeł. Zbigniew Kościuk, Vocatio, Warszawa 2004.
LaHaye Tim, Jenkins Jerry B., *Zabójcy*, przeł. Zbigniew Kościuk, Vocatio, Warszawa 2004.
LaHaye Tim, Jenkins Jerry B., *Znak bestii*, przeł. Zbigniew Kościuk, Vocatio, Warszawa 2004.
Leonhardt David, *In Climbing Income Ladder*, *Location Matters*, „New York Times", 22 lipca 2013, http://www.nytimes.com/2013/07/22/business/in-climbing-income-ladder-location-matters.html.
Lepore Jill, *The Whites of Their Eyes: The Tea Party's Revolution and the Battle over American History*, Princeton University Press, Princeton 2010.
Lester James, Franke James, Bowman Ann, Kramer Kenneth, *Hazardous Wastes, Politics, and Public Policy: A Comparative State Analysis*, „Western Political Quarterly" 1983, nr 36, s. 255–285.
Lewis Scott, *Boustany and Landry Fight Over Obamacare, Medicare, Negative Campaigns and Oilfield Jobs* [Audio], Cajun Radio, 31 października 2012 cajunradio.com/boustany-and-landry-fight-over-obamacare-medicare-negative-campaigns-and-oilfield-jobs-audio/?trackback=tsmclip.
Little Amanda, *Will Conservatives Finally Embrace Clean Energy?*, „New Yorker", 29 października 2015.

Lindsey Hal, *The Late Great Planet Earth*, Zondervan, Grand Rapids 1970.
Liptak Adam, *Supreme Court Blocks Louisiana Abortion Law*, „New York Times", 4 marca 2016, http://www.nytimes.com/2016/03/05/us/politics/supreme-court-blocks-louisiana-abortion-law.html.
Longman Phillip, *Wealth and Generations*, „Washington Monthly" 2015, nr 6–8, http://www.washingtonmonthly.com/magazine/junejulyaugust_2015/features/wealth_a
*Lou Dobbs on the EPA: 'As It's Being Run Now, It Could Be Part of the Apparatchik of the Soviet Union'*, MediaMatters, 6 czerwca 2011, http://mediamatters.org/video/2011/06/06/lou-dobbs-on-the-epa-as-its-being-run-now-it-co/180331.
Louisiana Department of Environmental Quality, *Solid Waste Landfill Report* (data dostępu: 7 sierpnia 2015), http://www.deq.louisiana.gov/portal/DIVISIONS/WastePermits/SolidWastePermits/So
Louisiana Department of Health and Hospitals, Louisiana Department of Environmental Quality, Louisiana Department of Agriculture and Forestry, Louisiana Department of Wildlife and Fisheries, *Protocol for Issuing Public Health Advisories for Chemical Contaminants in Recreationally Caught Fish and Shellfish*, Baton Rouge 2012, s. 24, http://www.dhh.louisiana.gov/assets/oph/Center-EH/envepi/fishadvisory/Documents/LA_Fish_Protocol_FINAL_Feb_2012_updated_li
Louisiana Department of Health and Hospitals for the Agency for Toxic Substances and Disease Registry, *Health Consultation: Calcasieu Estuary Sediment Sample Evaluation, Calcasieu Parish, Louisiana, EPA Facility ID: LA0002368173*, Baton Rouge 2005.
Louisiana Department of Health and Hospitals for the Agency for Toxic Substances and Disease Registry, *Public Health Assessment, Initial / Public Comment Release, Review of Data from the 2010 EPA Mossville Site Investigation*, Baton Rouge 2013.
Louisiana Department of Health and Hospitals, *Health Department Advises 'Take Precautions When Swimming'*, 21 maja 2014, http://new.dhh.louisiana.gov/index.cfm/communication/viewcampaign/896?uid=gE&nowrap=1.
Louisiana Economic Development, *Louisiana: At the Epicenter of the U.S. Industrial Rebirth* (data dostępu: 4 stycznia 2014), http://www.opportunitylouisiana.com/index.cfm/newsroom/detail/265.
*Louisiana Law Regarding the Unlawful Sale, Purchase and Possession of Alcoholic Beverages*, Louisiana R.S.14:93.10–14.
Louisiana Seafood Marketing and Promotion Board, *By the Numbers: Louisiana's Ecology* (data dostępu: 8 kwietnia 2015), http://www.louisianaseafood.com/ecology.
*Louisiana State Profile*, National Rifle Association, 12 listopada 2014 (data dostępu: 31 lipca 2015), https://www.nraila.org/gun-laws/state-gun-laws/louisiana.

Luke Ronald T., *Managing Community Acceptance of Major Industrial Projects*, „Coastal Zone Management Journal” 1980, nr 7, s. 271–296.
Lustgarten Abraham, *Injection Wells: The Poison Beneath Us*, ProPublica, 21 czerwca 2012, https://www.propublica.org/article/injection-wells-the-poison-beneath-us.
MacGillis Alec, *Who Turned My Blue State Red?*, „New York Times”, 20 listopada 2015.
Mann Catherine L., *Environment and Trade: Do Stricter Environmental Policies Hurt Expert Competitiveness?*, Organisation for Economic Co-operation and Development, http://www.oecd.org/economy/greeneco/do-stricter-environmental-policies-hurt-export-competitiveness.htm.
Mann Robert, *Residents of Bayou Corne Ask, Where Are You, Bobby Jindal?*, 16 grudnia 2012, http://bobmannblog.com/2012/12/16/residents-of-bayou-corne-ask-where-are-you-bobby-jindal.
Margolis Michele F., Sances Michael W., *Who Really Gives? Partisanship and Charitable Giving in the United States*, dokument roboczy, „Social Science Research Network” 2013, s. 1–17, http://papers.ssrn.com/sol3/papers.cfm?abstract_id=2148033.
Martin Isaac William, *Rich People’s Movements: Grassroots Campaigns to Untax the One Percent*, Oxford University Press, New York 2013.
Martinez Yolanda, *Environmentalists Allege Constitutional Violation in Permitting Gas Storages Salt Dome Construction in Lake Peigneur*, „Louisiana Record”, 24 lipca 2013.
Mather Mark, *Fact Sheet: The Decline in U.S. Fertility*, Washington 2012, http://www.prb.org/publications/datasheets/2012/world-population-data-sheet/fact-sheet-us-population.aspx.
Mayer Jane, *Covert Operations*, „New Yorker”, 30 sierpnia 2010.
Mayer Jane, *Dark Money: The Hidden History of the Billionaires Behind the Rise of the Radical Right*, Doubleday, New York 2016.
McAdam Doug, *Freedom Summer*, Oxford University Press, Oxford 1990.
*Meet the Staff*, First Pentecostal Church, Lake Charles (data dostępu: 28 sierpnia 2014), http://firstpentecostalchurchlc.org/about-us/meet-the-staff.
Meyer Stephen M., *Endangered Species Listings and State Economic Performance*, MIT Project on Environmental Politics and Policy, 1995.
Meyer Stephen M., *Environmentalism and Economic Prosperity: An Update*, MIT Project on Environmental Politics and Policy, 1993.
Meyer Stephen M., *Environmentalism and Economic Prosperity: Testing the Environmental Impact Hypothesis*, MIT Project on Environmental Politics and Policy, 1992.

Misrach Richard, Orff Kate, *Petrochemical America*, Aperture, New York 2012.
Mitchell David J., *Texas Brine Shifts Blame to Occidental Petroleum, Others for Causing Bayou Corne Sinkhole*, „Advocate”, 9 lipca 2015, http://theadvocate.com/news/ascension/12870889-123/texas-brine-shifts-blame-to.
Mitchell Stacy, Clements Fred, *How Washington Punishes Small Business*, „Wall Street Journal”, 7 maja 2015.
Mizell-Nelson Michael, *Nurturing the Drive-Through Daiquiri*, „Louisiana Cultural Vistas”, 12 marca 2015.
Montopoli Brian, *Tea Party Supporters: Who They Are and What They Believe*, CBS News, 14 grudnia 2012.
Morgenstern Richard D., Pizer William A., Shih Jhih-Shyang, *Jobs Versus the Environment: An Industry-Level Perspective*, „Journal of Environmental Economics and Management” 2002, nr 43, s. 412–436.
Moyers Bill, *Welcome to Doomsday*, „New York Review of Books”, 24 marca 2005.
Mulhere Kaitlin, *In the Face of Colossal Cuts*, „Inside Higher Ed”, 27 kwietnia 2015, https://www.insidehighered.com/news/2015/04/27/anxiety-over-massive-proposed-cuts-louisianas-colleges-felt-across-state.
Natural Resources Defense Council, *The BP Oil Disaster at One Year*, Washington 2011.
*New Tax Foundation Ranking Indicates Dramatic Improvement in Louisiana's Business Tax Competitiveness*, „Louisiana Economic Development”, 29 lutego 2012 (data dostępu: 5 stycznia 2014), http://www.opportunitylouisiana.com/index.cfm/newsroom/detail/175.
*Next Time We See Him, We Might Have to Kill Him: Trump Fan on Punching Black Protester*, rt.com, 11 marca 2016, https://www.rt.com/usa/335188-trump-protester-punched-arrest.
Ng Christina, *Louisiana Boat Disappears into Sinkhole, Workers Rescued*, ABC News, 16 sierpnia 2012, http://abcnews.go.com/US/louisiana-sinkhole-engulfs-boat-workers-rescued/story?id=17021557.
*Not All Republicans Think Alike About Global Warming*, Yale Project on Climate Change Communication, http://environment.yale.edu/climate-communication/article/not-all-republicans-think-alike-about-global-warming.
O'Connor Arthur, *Political Polarization and Environmental Inequality: A Pilot Study of Pollution Release Amounts and Practices in 'Red' Versus 'Blue' States*, „International Environmental Review”, nr 4, s. 308–322.
O'Donoghue Julia, *Louisiana Failed to Collect Millions in Oil and Gas Taxes*, „Times-Picayune”, 2 grudnia 2013, http://www.nola.com/politics/index.ssf/2013/12/louisiana_oil_and_gas_taxes.html.
Office of the Inspector General, *Audit Report: EPA Region 6 Needs to Improve*

*Oversight of Louisiana's Environmental Programs*, Washington 2003, http://www.epa.gov/oig/reports/2003/2003-p-0005.pdf.
Office of the Inspector General, *EPA Must Improve Oversight of State Enforcement*, Washington 2011, http://www.epa.gov/oig/reports/2012/20111209-12-P-0113.pdf.
Oldham Taki, *The Billionaires' Tea Party*, [film] https://www.youtube.com/watch?v=-zBOQL5lZuU.
Parker Christopher S., Barreto Matt A., *Change They Can't Believe In: The Tea Party and Reactionary Politics in America*, Princeton University Press, Princeton 2013.
Pavlov Pavel, *US' Axiall Declares Force Majeure on VCM from PHH Monomers Plant*, Platts, 23 grudnia 2013, http://www.platts.com/latest-news/petrochemicals/houston/us-axiall-declares-force-majeure-on-vcm-from-21990566.
Pedersen Chris, *Sasol Clears Major Hurdle to Build America's First GTP Plant*, oilprice.com, 4 września 2014, http://oilprice.com/Energy/Natural-Gas/Sasol-Clears-Major-Hurdle-to-Build-Americas-First-GTL-Plant.html.
Phillips Justin, *Calcasieu, Cameron Areas 'on Bubble' with EPA for Air Quality*, „American Press", 11 lipca 2014, http://www.americanpress.com/news/local/Air-quality.
Phillips-Fein Kim, *Invisible Hands: The Businessmen's Crusade Against the New Deal*, W. W. Norton & Company, New York 2007.
Piketty Thomas, *Kapitał XXI wieku*, przeł. Andrzej Bilik, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2015.
Piketty Thomas, Saez Emmanuel, *2007 Average Incomes*, *U.S. 1980–2012 (in real 2014 dollars)*, The World Top Incomes Database. http://topincomes.g-mond.parisschoolofeconomics.edu.
Porter Michael, Linde C. van der, *Toward a New Conception of the Environment–Competitiveness Relationship*, „Journal of Economic Perspectives" 1995, nr 4, s. 97–118.
Povich Deborah, Roberts Brandon, Mather Mark, *Low-Income Working Families: The Racial/Ethnic Divide*, Working Poor Families Project and Population Reference Bureau, 2015, http://www.workingpoorfamilies.org/wp-content/uploads/2015/03/WPFP-2015-Report_Racial-Ethnic-Divide.pdf.
*Project HAL: Historical American Lynching Data Collection Project*, University of North Carolina–Wilmington, http://people.uncw.edu/hinese/HAL/HAL Web Page.htm.
Pugh Allison, *The Tumbleweed Society: Working and Caring in an Age of Insecurity*, Oxford University Press, London 2015.
Regan-White Heather, *Westlake City Council Reaches Agreement with Sasol on Expansion Costs*, „Sulphur Daily News", 25 listopada 2015,

http://www.sulphurdailynews.com/article/20151125/NEWS/151129875.
Reich Robert B., *Saving Capitalism: For the Many, Not the Few*, Vintage Books, New York 2015.
*Remarks by the President to the Nation on the BP Oil Spill*, komunikat prasowy Białego Domu, 15 czerwca 2010, https://www.whitehouse.gov/the-press-office/remarks-president-nation-bp-oil-spill.
Ridgeway James, *Environmental Espionage: Inside a Chemical Company's Louisiana Spy Op*, „Mother Jones", 20 maja 2008, http://www.motherjones.com/environment/2008/05/environmental-espionage-inside-chemical-companys-louisiana-spy-op.
Right to Know Network, *Biennial Reporting System Quantities by State for 2011: Waste Received and Managed*, Washington 2015, http://www.rtknet.org/db/brs/tables.php?tabtype=t3&year=2011&subtype=a&sorttype=rcv.
Robertson Campbell, *In Louisiana, the Poor Lack Legal Defense*, „New York Times", 20 marca 2016.
Rogers Will, *Our Land, Up for Grabs*, „New York Times", 2 kwietnia 2015 (data dostępu: 16 sierpnia 2015), http://www.nytimes.com/2015/04/02/opinion/our-land-up-for-grabs.html.
Rosenthal Lawrence, Trost Christine (red.), *Steep: The Precipitous Rise of the Tea Party*, University of California Press, Berkeley 2012.
Royster Deirdre, *Race and the Invisible Hand: How White Networks Exclude Black Men from Blue Collar Jobs*, University of California Press, Berkeley 2003.
Rudowitz Robin, Snyder Laura, Smith Vernon K., *Medicaid Enrollment & Spending Growth: FY 2015 & 2016*, Henry J. Kaiser Foundation, 15 października 2015, http://kff.org/medicaid/issue-brief/medicaid-enrollment-spending-growth-fy-2015-2016.
Russell George, *Exclusive: EPA Ponders Expanded Regulatory Power in Name of 'Sustainable Development'*, Fox News, 19 grudnia 2011, http://www.foxnews.com/politics/2011/12/19/epa-ponders-expanded-regulatory-power-in-name-sustainable-development.
Russell Gordon, *Giving Away Louisiana: An Overview*, „Advocate", raporty specjalne, 26 listopada 2014, http://blogs.theadvocate.com/specialreports/2014/11/26/giving-away-louisiana.
Santhanam Laura, *Report: Fox News Enlists Fossil Fuel Industry to Smear EPA Carbon Pollution Standards*, MediaMatters, 6 czerwca 2014, http://mediamatters.org/research/2014/06/06/report-fox-news-enlists-fossil-fuel-industry-to/199622.
Savchuck Katia, *Are America's Richest Families Republican or Democrat?*, „Forbes",

9 lipca 2014.
Schell Jonathan, *The Time of Illusion*, Vintage Books, New York 1975.
Scherer Glenn, *Christian-Right Views Are Swaying Politicians and Threatening the Environment*, grist.org, 28 października 2004, http://grist.org/article/scherer-christian/.
Schmidt Theresa, *Condea Vista Hired Spies*, KPLCTV, 29 maja 2008, http://www.kplctv.com/story/8399515/condea-vista-hired-spies.
Schmidt Theresa, *Spy Targets Call for Action*, KPLCTV, 30 maja 2008, http://www.kplctv.com/story/8404443/spy-targets-call-for-action.
Schmidt Theresa, *Motion Filed to Force Disclosure of Spy Details*, KPLCTV, 4 czerwca 2008, http://www.kplctv.com/story/8433538/motion-filed-to-force-disclosure-of-spy-details.
Schmidt Theresa, *Attorneys Seek Disclosure of Spy Operation*, KPLCTV, 3 grudnia 2008, http://www.kplctv.com/story/9366858/attorneys-seek-disclosure-of-spy-operation.
Schor Juliet, *The Overspent American: Why We Want What We Don't Need*, Harper Perennial, New York 1999.
Schouten Fredreka, *Koch Brothers Set $889 Million Budget for 2016*, „USA Today", 27 stycznia 2015, http://www.usatoday.com/story/news/politics/2015/01/26/koch-brothers-network-announces-889-million-budget-for-next-two-years/22363809.
Schulman Daniel, *Sons of Wichita: How the Koch Brothers Became America's Most Powerful and Private Dynasty*, Grand Central Publishing, New York 2015.
Schwab Jim, *Front Porch Politics: The Forgotten Heyday of American Activism in the 1970s and 1980s*, Hill and Wang, New York 2013.
Scott Loren C., *The Energy Sector: A Giant Economic Engine for the Louisiana Economy*, Baton Rouge 2014, http://www.scribd.com/doc/233387193/The-Energy-Sector-A-Giant-Economic-Engine-for-the-Louisiana-Economy.
Scott Loren C., *The Energy Sector: Still a Giant Economic Engine for the Louisiana Economy – an Update*, raport Louisiana Mid-Continent Oil and Gas Association oraz Grow Louisiana Coalition, 2014, http://www.growlouisianacoalition.com/blog/wp-content/uploads/2014/07/Loren-Scott-Study.pdf.
Seib Gerald, *How Trump's Army Is Transforming the GOP*, „Wall Street Journal", 23 lutego 2016.
Seydlitz Ruth, Laska Shirley, *Social and Economic Impacts of Petroleum 'Boom and Bust' Cycles*, raport Environmental Social Science Research Institute, University of New Orleans, OCS Study MMS 94-0016, New Orleans 1993.
Sheppard Kate, *BP's Bad Breakup: How Toxic Is Corexit?*, „Mother Jones", wrzesień / październik 2010, http://www.motherjones.com/environment/2010/09/bp-ocean-dispersant-corexit.

Silverstein Ken, *Dirty South: Letter from Baton Rouge*, „Harpers", listopad 2013, s. 45–56.
Skocpol Theda, Williamson Vanessa, *The Tea Party and the Remaking of Republican Conservatism*, Oxford University Press, New York 2012.
Snell John, *As More of Coastal Louisiana Is Lost, Official Map Makers Erase Names*, WorldNow, 21 kwietnia 2014, http://apmobile.worldnow.com/story/24807691/as-more-of-coastal-louisiana-is-lost-mapmakers-erase-names.
Snell John, *Despite Land Loss, Native American Community Clings to Life Along the Mississippi River*, WorldNow, 4 marca 2015, http://apmobile.worldnow.com/story/26559685/despite-land-loss-native-american-community-clings-to-life-along-the-mississippi-river.
Social Science Research Council, *The Measure of America: American Human Development Report 2008–2009*, Brooklyn, NY 2009.
Social Science Research Council, *The Measure of America: HD Index and Supplemental Indicators by State*, *2013–2014 Dataset*, Brooklyn, NY 2014.
*South Dakota House: Abolish U.S. Department of Education*, teaparty.org, 29 stycznia 2015 (data dostępu: 16 sierpnia 2015), http://www.teaparty.org/south-dakota-house-abolish-u-s-dept-education-80153.
Spatig-Amerikaner Ary, *Unequal Education: Federal Loophole Enables Lower Spending on Students of Color*, Washington 2012, https://www.americanprogress.org/wp-content/uploads/2012/08/UnequalEduation.pdf.
Spencer Malia, *Fire Damages PPG Industries Plant in Louisiana*, „Pittsburgh Business Times", 27 grudnia 2012, http://www.bizjournals.com/pittsburgh/news/2012/12/27/plant-fire-causes-force-majeure-for-ppg.html.
Steingraber Sandra, *Living Downstream: A Scientist's Personal Investigation of Cancer and the Environment*, Vintage Books, New York 1998.
Stoler Ann Laura, *Colonial Aphasia: Race and Disabled Histories in France*, „Public Culture" 2011, nr 1, s. 121–156.
Stoler Ann Laura, *Imperial Debris: Reflections on Ruins and Ruination*, „Cultural Anthropology" 2008, nr 2, s. 191–219.
Subra Wilma, *Results of the Health Survey of Mossville Residents and Chemicals and Industrial Sources of Chemicals Associated with Mossville Residents Medical Symptoms and Conditions*, New Iberia 2008.
Sunstein Cass R., *'Partyism' Now Trumps Racism*, Bloomberg View, 22 września 2014, http://www.bloombergview.com/articles/2014-09-22/partyism-now-trumps-racism.
Swidler Ann, *Cultural Constructions of Modern Individualism*, referat wygłoszony na

sesji American Sociological Association, 23 sierpnia 1992.
Tavernise Sabrina, *Life Spans Shrink for Least Educated Whites in U.S.*, „New York Times”, 20 września 2012.
Templet Paul H., *Defending the Public Domain, Pollution, Subsidies and Poverty* [w:] *Natural Assets: Democratizing Environmental Ownership*, red. James K. Boyce, Barry G. Shelley, Island Press, Washington 2003.
Templet Paul H., *Defending the Public Domain: Pollution, Subsidies and Poverty*, dokument roboczy nr 12, Political Economy Research Institute, styczeń 2001, http://scholarworks.umass.edu/cgi/viewcontent.cgi?article=1007&context=peri_workingpapers.
Templet Paul H., *Grazing the Commons: Externalities, Subsidies and Economic Development*, „Ecological Economics”, 12 lutego 1995, s. 141–159.
Templet Paul H., *Integrating Resource Conservation and Economic Development, People First: Developing Sustainable Communities*, dokument roboczy, marzec 1997.
Terkel Amanda, *GOP Platform in Years Past Supported Equal Rights, Higher Wages, Funding for the Arts*, „Huffington Post”, 24 września 2012, http://www.huffingtonpost.com/2012/09/04/gop-platform_n_1852733.html.
Thompson Richard, *Giving Away Louisiana: Industrial Tax Incentives*, „Advocate”, 11 grudnia 2014, http://blogs.theadvocate.com/specialreports/2014/12/03/giving-away-louisiana-industrial-tax-incentives.
*Three out of Four Believe Climate Change Is Occurring: Views of Key Energy Issues Are Shaped by Partisan Politics*, „University of Texas News”, 20 października 2015, http://news.utexas.edu/2015/10/20/views-of-key-energy-issues-are-shaped-by-partisan-politics.
Thurman Todd, *Charles Krauthammer Destroys Global Warming Myths in 89 Seconds*, „Daily Signal”, 18 lutego 2014, http://blog.heritage.org/2014/02/18/charles-krauthammer-destroys-global-warming-myths-89-seconds.
*Trump Ends Wild Day on Campaign Trail by Calling for Protesters' Arrests*, CNN Politics, 13 marca 2016, http://www.cnn.com/2016/03/12/politics/donald-trump-protests.
United Health Foundation, *America's Health Rankings, 2015 Annual Report*, http://www.americashealthrankings.org.

U.S. Census Bureau, *5-Year American Community Survey* [*2009–2013 data*], Washington 2013 (data dostępu: 17 sierpnia 2015), http://factfinder.census.gov/faces/nav/jsf/pages/guided_search.xhtml.
U.S. Census Bureau, *State Government Tax Collections: 2014*, Table STC005 (data dostępu: 11 grudnia 2015), http://factfinder.census.gov/bkmk/table/1.0/en/STC/2014/STC005.

Veblen Thorstein, *Teoria klasy próżniaczej*, przeł. Janina i Krzysztof Zagórscy, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1971.
Vogel Kenneth P., *Big Money: 2.5 Billion Dollars, One Suspicious Vehicle, and a Pimp—on the Trail of the Ultra-Rich Hijacking American Politics*, Public Affairs, New York 2014.
Walsh Katherine Kramer, *Putting Inequality in Its Place: Rural Consciousness and the Power of Perspective*, „American Political Science Review" 2012, nr 3, s. 517–532.
Wei Jackie, *Governor LePage Undermines Maine's Green-Building Economy, Sets Back Sustainable Forestry*, nrdc.org, 12 grudnia 2011, https://www.nrdc.org/media/2011/111212.
White Jack E., *The Poorest Place in America*, „Time", 15 sierpnia 1994.
Williams Rob, Gero Shane, Bejder Lars, Calambokidis John, Krauss Scott D., Lusseau David, Read Andrew J., Robbins Jooke, *Underestimating the Damage: Interpreting Cetacean Carcass Recoveries in the Context of the Deepwater Horizon/BP Incident*, „Conservation Letters" 2011, nr 3, s. 228–233.
Wilson Xerxes A., *Mysterious Tremors Raise Questions*, dailycomet.com, 4 października 2012 (data dostępu: 19 listopada 2015), http://www.dailycomet.com/article/20121004/ARTICLES/121009798.
Wines Michael, *Fish Embryos Exposed to Oil from BP Spill Develop Deformities, a Study Finds*, „New York Times", 25 marca 2014.
Wolbrecht Christina, *The Politics of Women's Rights: Parties, Positions, and Change*, Princeton University Press, Princeton 2000.
Wold Amy, *Washed Away*, „Advocate", http://theadvocate.com/home/5782941-125/washed-away.
Wolf Vicki, *Salt Dome Instability Caused by Bayou Corne Sinkhole Tragedy and Others*, CLEAN (Citizen's League for Environmental Action Now), http://www.cleanhouston.org/misc/salt_dome.htm.
Wolff Henry, *Race and the 2012 Election*, „American Renaissance", 9 listopada 2012, http://www.amren.com/features/2012/11/race-and-the-2012-election.
Woodard Colin, *American Nations: A History of the Eleven Rival Regional Cultures of North America*, Penguin Books, New York 2011.
World Health Organization, *Global Health Observatory Data Repository* [*2013 data*] (data dostępu: 12 sierpnia 2015), http://apps.who.int/gho/data/node.main.688.
WWL-TV Staff, *Poll: Obama Loses Support in La.; Perry, Romney, Cain Close on GOP Side*, WWL-TV, 13 października 2011, http://www.wwltv.com/story/news/politics/2014/08/29/14408560.
Zheng Lingwen, Warner Mildred, *Business Incentive Use Among U.S. Local GB Governments: A Story of Accountability and Policy Learning*, „Economic

Development Quarterly” 2010, nr 4, s. 325–336.

1 *Gumbo* – zupa z ketmii jadalnej, klasyczna potrawa luizjańskiej kuchni (przypisy opatrzone gwiazdką pochodzą od tłumaczki).

2 *Shotgun house* – wąski, podłużny budynek mieszkalny z pokojami w amfiladzie i drzwiami po obu stronach, bardzo popularny na południu Stanów Zjednoczonych od czasów wojny secesyjnej do lat 20. XX wieku.

3 Zwolennicy postępu i sympatycy Partii Herbacianej stosują różne niewypowiadane na głos „zasady empatii", jak je nazywam. Prawicowcy są skłonni sympatyzować z bogatymi, podczas gdy lewicowcy identyfikują się raczej z biednymi robotnikami (ulubieńcem pierwszych jest Donald Trump, drugich zaś Bernie Sanders). Latem 2015 roku odkryłam, że moi prawicowi znajomi masowo zamieszczają na Facebooku pozytywne historie o białych policjantach, podczas gdy moi przyjaciele z Bay Area dyskutują o ruchu czarnych aktywistów Black Lives Matter. Każda ze stron ma własną mapę empatii. Zob. rozdział *Empathy Maps* w mojej książce *So How's the Family? And Other Essays* (University of California Press, Berkeley–Los Angeles, 2012).

4 *Coon ass* – dupa czarnucha albo dupa szopa, określenie o niepewnej etymologii (*coon* oznacza czarnucha, ale może też odnosić się do szopa – ang. *racoon*).

5 Shanto Iyengar, Sean Westwood, *Fear and Loathing Across Party Lines: New Evidence on Group Polarization*, „American Journal of Political Science" 59, nr 3 (2014); Shanto Iyengar, Gaurav Stood, Yphtach Lelkes, *Affect, Not Ideology: A Social Identity Perspective on Polarization*, „Public Opinion Quarterly" 76, nr 3, s. 405–431.

6 Cass R. Sunstein, *Partyism! Now Trumps Racism*, „Bloomberg View", 22 września 2014, http://www.bloombergview.com/articles/2014-09-22/partyism-now-trumps-racism; Jonathan Chait, *Confessions of 'Partyist': Yes, I Judge Your Politics*, „New York Magazine", 30 października 2014, http://nymag.com/daily/intelligencer/2014/10/im-a-partyist-and-yes-i-judge-your-politics.html. Do pogłębienia podziału przyczyniła się między innymi wewnętrzna konsolidacja w łonie zarówno demokratów, jak i republikanów, podczas gdy osoby, których poglądy nie pokrywają się w całości z linią ideologiczną partii, zasiliły grono wyborców niezależnych.

7 Bill Bishop, Robert G. Cushing, *Why the Clustering of Like-Minded America Is Tearing Us Apart*, Mariner Books, New York 2008.

8 Charles Babington, *A Polarized America Lives as It Votes*, Pew Research Center, lato 2014, http://magazine.pewtrusts.org/en/archive/summer-2014/a-polarized-america-lives-as-it-votes.

9 Christopher S. Parker, Matt Barreto, *Change They Can't Believe in: The Tea Party and Reactionary Politics in America*, Princeton University Press, Princeton 2013, s. 14. Według różnych badań od 18 do 30% Amerykanów sympatyzuje z Partią Herbacianą. Steve Coll, *Dangerous Gamesmanship*, „New Yorker", 27 kwietnia 2015.

10 *Not All Americans Think Alike About Global Warming*, Yale Project on Climate Change Communication, http://environment.yale.edu/climate-communication/article/not-all-republicans-think-alike-about-global-warming. Zob. też *Three out of Four Believe Climate Change Is Occurring: Views of Key Energy Issues Are Shaped by Partisan Politics*, „University of Texas News", 20 października 2015, http://news.utexas.edu/2015/10/20/views-of-key-energy-issues-are-shaped-by-partisan-politics; Sheril Kirshenbaum, *Political Ideology Continues to Be the Single Greatest Determinant of Americans' Views on Climate Change*, http://news.utexas.edu/2015/10/20/political-ideology-continues-to-be-the-single-greatest-determinant-of-americans'-views-on-climate-change.

11 Amanda Terkel, *GOP Platform in Years Past Supported Equal Rights, Higher Wages, Funding for the Arts*, „Huffington Post", 24 września 2012, http://www.huffingtonpost.com/2012/09/04/gop-platform_n_1852733; Christina Wolbrecht, *The Politics of Women's Rights: Parties, Positions, and Change*, Princeton University Press, Princeton 2000.

12 Joshua Gillin, *Income Tax Rates Were 90 Percent Under Eisenhower, Sanders Says*, PolitiFact, 15 listopada 2015, http://www.politifact.com/truth-o-meter-statements/2015/nov/15/bernie-s/income-tax-rates-were-90-percent-under-eisenhower.

13 *South Dakota House: Abolish U.S. Department of Education*, teaparty.org, 29 stycznia 2015, http://www.teaparty.org/south-dakota-house-abolish-u-s-dept-education-80153.

14 Nick Bauman, *Tea Party Frontrunner: Abolish Public Schools*, „Mother Jones", 13 października 2010.

15 Will Rogers, *Our Land, Up for Grabs*, „New York Times", 2 kwietnia 2015 (data dostępu: 16 sierpnia 2015), http://www.nytimes.com/2015/04/02/opinion/our-land-up-for-grabs.html.

[16] Jaime Fuller, *Environmental Policy Is Partisan. It Wasn't Always*, „Washington Post", 2 czerwca 2014, https://www.washingtonpost.com/news/the-fix/wp/2014/06/02/support-for-the-clean-air-act-has-changed-a-lot-since-1970.

[17] Clem Brooks, Jeff Manza, *A Broken Public? Americans' Responses to the Great Recession*, „American Sociologist Review" 78, nr 5 (2013), s. 727–748.

[18] Czerwone stany – stany, w których wybory tradycyjnie wygrywają republikanie; niebieskie stany – stany, w których większość głosów zdobywają demokraci.

[19] Średnia oczekiwana długość życia w Stanach Zjednoczonych wynosi 78,9, a w Nikaragui 74 lata. W dziewięciu stanach o najniższej w kraju oczekiwanej długości życia, wszystkich bez wyjątku czerwonych, wskaźnik ten wynosi od 75,0 (Missisipi) do 76,3 (Tennessee). Największą oczekiwaną długość życia mają stany niebieskie i waha się ona od 80,3 (New Jersey) do 81,3 (Hawaje). World Health Organization, *Global Health Observatory Data Repository* [za rok 2013] (data dostępu: 12 sierpnia 2015), http://apps.who.int/gho/data/node.main.688. Zob. też Social Science Research Council, *The Measure of America: HD Index and Supplemental Indicators by State*, *2013–2014 Dataset* (Brooklyn 2014); Annie E. Casey Foundation, *2009 KIDS COUNT Data Book: State Profiles of Child Well-Being*, http://www.aecf.org/resources/the-2009-kids-count-data-book. Zob. też raport *State of American Well-Being* z 2014 roku Instytutu Gallupa i firmy doradczej Healthways, który umieszcza Luizjanę na 40. miejscu wśród wszystkich stanów USA pod względem poziomu życia.

[20] United Health Foundation, *America's Health Rankings, 2015 Annual Report*, 8, http://www.americashealthrankings.org.

[21] Social Science Research Council, The Measure of America: American Human Development Report 2008–2009 (Brooklyn 2009).

[22] Luizjana jest drugim po Missisipi stanem najbardziej uzależnionym od funduszy federalnych. David Freddoso, *State Government Dependence on Federal Funding Growing at Alarming Rate*, raport State Budget Solutions, 14 kwietnia 2015, http://www.statebudgetsolutions.org/publications/detail/state-government-dependance-on-federal-funding-growing-at-alarming-rate.

[23] Katherine Kramer Walsh, *Putting Inequality in Its Place: Rural Consciousness and the Power of Perspective*, „American Political Science Review" 2012, nr 3, s. 517–532.

[24] Alec MacGillis, *Who Turned My State Red*, „New York Times", 20 listopada 2015.

[25] Larry Bartels, *What's the Matter with Kansas?*, „Quarterly Journal of Political Science" 2006, nr 1, s. 211. W okresie od 1972 do 2014 roku w całych Stanach Zjednoczonych rosła liczba białych wyborców niezarejestrowanych jako zwolennicy określonej partii. W tym samym czasie elektorat demokratów skurczył się z 41% do 24%, a elektorat republikanów nieznacznie powiększył, z 24% do 27%. Na Południu demokraci stracili, a republikanie zyskali jeszcze większy odsetek wyborców. Badając, z kim ludzie się i d e n t y f i k u j ą, a nie na kogo g ł o s u j ą, dostrzeżemy tę samą tendencję. Według *General Social Survey* od 1972 do 2014 roku wśród białych mieszkańców Południa liczba zwolenników republikanów zwiększyła się z 19% (1972) do 34% (2014). Dla całego kraju wskaźniki te wyniosły, odpowiednio, 24% (1972) i 27% (2014). W prawyborach w 2015 roku wystartowało nieproporcjonalnie wielu kandydatów z Teksasu, Florydy, Georgii, Karoliny Południowej i Północnej albo Wirginii – Ted Cruz i Rick Perry pochodzili z Teksasu, Jeb Bush i Marco Rubio z Florydy, Lindsay Graham z Karoliny Południowej, Mike Huckabee z Arkansas i Bobby Jindal z Luizjany.

[26] 36% białych z wykształceniem średnim lub niższym głosowało na republikanów, 26% na demokratów. Podobnie proporcje rozłożyły się w grupie białych absolwentów studiów licencjackich. Tylko wśród białych ze stopniem magistra lub wyższym tendencja odwróciła się na korzyść Partii Demokratycznej. A. D. Floser, *A Closer Look at the Parties in 2012*, Pew Research Center, 23 sierpnia 2012, http://www.people-press.org/2012/08/23/a-closer-look-at-the-parties-in-2012.

[27] Henry Wolff, *Race and the 2012 Election*, „American Renaissance", 9 listopada 2012, http://www.amren.com/features/2012/11/race-and-the-2012-election. W 2012 tylko w jednym stanie, Missisipi, mniejszy odsetek białych wyborców zagłosował na Baracka Obamę.

[28] Według sondażu Clarus Research Group, przeprowadzonego na próbce 602 potencjalnych wyborców z Luizjany, 46% popierało Partię Herbacianą. Associated Press, *Obama Approval Ratings Low in Louisiana*, „New Orleans City Business", 13 października 2011, http://neworleanscitybusiness.com/blog/2011/10/13/obama-approval-ratings-low-in-louisiana.

[29] W 2014 roku trzech (John Fleming, Steve Scalise i Jeff Landry) z siedmiu – obecnie tylko sześciu – członków Izby Reprezentantów z ramienia republikanów należało do klubu Partii Herbacianej.

[30] Isaac William Martin, *Rich People's Movements: Grassroots Campaigns to Untax the One Percent*, Oxford University Press, New York 2013.

[31] Taki Oldham, *The Billionaires' Tea Party*, http://www.youtube.com/watch?v=zBOQL5IZuU.

[32] Jane Mayer, *Dark Money: The Hidden History of the Billionaires Behind the Rise of the Radical Right*, Doubleday, New York 2016. Według danych Center for Responsive Politics w 2014 roku 87% darowizn na kampanię wyborczą wpłaconych przez przemysł naftowo-gazowy – i 96% przez przemysł węglowy – trafiło do kandydatów Partii Republikańskiej. Demokraci natomiast otrzymali 56% datków przedsiębiorstw z branży energii alternatywnej. Paul Krugman, *Enemies of the Sun*, „New York Times", 5 października 2015. Zob. też Miriam Diemer, *Energy and Natural Resources: Industry Influence in the Climate Change Debate*, opensecrets.org, http://www.opensecrets.org/news/issues/energy.

[33] Fredreka Schouten, *Koch Brothers Set $889 Million Budget for 2016*, „USA Today", 27 stycznia 2015, http://www.usatoday.com/story/news/politics/2015/01/26/koch-brothers-network-announces-889-million-budget-for-next-two-years/22363809. W swojej książce *Invisible Hands* Kim Phillips-Fein prześledziła wpłaty Davida i Charlesa Kochów oraz Ruperta Murdocha na rzecz Partii Herbacianej. Zob. Kim Phillips-Fein, *The Invisible Hands: The Businessmen's Crusade Against the New Deal*, W. W. Norton & Company, New York 2007.

[34] Jane Mayer, *Covert Operations*, „New Yorker", 30 sierpnia 2010. Zob. też Kenneth P. Vogel, *Big Money: 2,5 Billion Dollars, One Suspicion Vehicle, and a Pimp – on the Trail of the Ultra-Rich Hijacking American Politics*, PublicAffairs, New York 2014; Daniel Schulman, *Sons of Wichita: How the Koch Brothers Became America's Most Powerful and Private Dynasty*, Grand Central Publishing, New York 2015.

[35] Nicholas Confessore, Sarah Cohen, Karen Yourish, *Buying Power*, „New York Times", 10 października 2015. Oczywiście bogaci donatorzy wspierają również demokratów, ale według ankiety przeprowadzonej przez magazyn „Forbes" dwadzieścia osiem z pięćdziesięciu najbogatszych rodzin wpłaca pieniądze głównie na rzecz republikanów, a tylko siedem na demokratów. Katia Savchuk, *Are America's Richest Families Republican or Democrats?*, „Forbes", 9 lipca 2014.

[36] Thomas Frank, *Co z tym Kansas? Czyli opowieść o tym, jak konserwatyści zdobyli serce Ameryki*, przeł. Julian Kutyła, wstęp Jacek Żakowski, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2008, s. 26.

[37] Colin Woodard, *American Nations: A History of the Eleven Rival Regional Cultures of North America*, Penguin Books, New York 2011.

[38] Robin L. Einhorn, *American Taxation, American Slavery*, University of Chicago Press, Chicago 2008.

[39] Brian Montopoli, *Tea Party Supporters: Who They Are and What They Believe*, CBS News, 14 grudnia 2012, sondaż CBS i „New York Times" na próbce 1580 respondentów.

[40] W znakomitym wczesnym studium Partii Herbacianej, *The Tea Party and Remaking of Republican Conservatism* (Oxford University Press, New York 2012), Theda Skocpol i Vanessa Williamson mówią o dokonaniu „empatycznego skoku" (s. 47), choć nie podają liczby przeprowadzonych wywiadów ani nie wyjaśniają, jaki miały one charakter. Główny przedmiot ich zainteresowania stanowią relacje pomiędzy zmobilizowanymi grupami obywatelskimi i szerzej rozumianym układem politycznym. Autorki zajęły się również zbiegiem czynników, które doprowadziły do powstania Partii Herbacianej (prezydentura Baracka Obamy, powstanie stacji Fox News, panika finansowa w 2008 roku). Inni badacze skupiają się na historycznych korzeniach ruchu, a także zwracają uwagę, że był on reakcją na inicjatywę Occupy Wall Street. Zob. Lawrence Rosenthal, Christine Trost (red.), *Steep: The Precipitous Rise of the Tea Party*, University of California Press, Berkeley 2012.

[41] W *The Tea Party and Remaking of Republican Conservatism* Theda Skocpol i Vanessa Williamson twierdzą, że wybór Baracka Obamy na urząd prezydenta doprowadził do połączenia trzech stałych konserwatywnych trendów. Starsi biali konserwatyści z klasy średniej, nie czując się reprezentowani przez Obamę, zaczęli szukać alternatywy. Połączyli siły z ugrupowaniami zwolenników wolnego rynku – zwłaszcza z Americans for Prosperity i FreedomWorks – a stacja Fox News wzięła na siebie rolę ich tuby propagandowej. Także Lawrence Rosenthal i Chistine Trost w *Steep: The Precipitous Rise of the Tea Party* umieszczają ten ruch w szerszej perspektywie historycznej.

[42] Zainspirowała mnie praca lingwistów z Uniwersytetu Kalifornijskiego w Berkeley, George'a Lakoffa i Marka

Johnsona, *Metaphors We Live By* (wyd. polskie: *Metafory w naszym życiu*, przeł. Tomasz Paweł Krzeszowski, Warszawa 1988). Twierdzą oni, że metafory kształtują nasz sposób myślenia i działania. Sądzę, że kształtują również nasz sposób odczuwania. Jeśli rząd jest Wielkim Bratem – apodyktycznym, aroganckim i budzącym postrach – pojawiają się uczucia lęku i niechęci. Jeśli państwo jest „wielką nianią", czujemy się jak duże dzieci i budzi się w nas nieprzyjemne uczucie wstydu. Metafory nie stanowią ozdobnych dodatków do codziennego języka; jak słusznie podkreślają autorzy, są w niego wbudowane, a zatem nieustannie kierują naszymi uczuciami. Według Lakoffa i Johnsona metafory są przez nas odbierane jako oddzielne, statyczne i niezmienne propozycje sposobu patrzenia na życie. W rozdziale 9 niniejszej książki rozbudowuję metaforę czekania w kolejce, a następnie sprawdzam, czy moi prawicowi przyjaciele uznają ją za prawdziwą. Uznali.

43 Jedna trzecia moich rozmówców była potomkami kajuńskich osadników. Ich katoliccy przodkowie uciekli w XVII wieku z Francji i założyli Akadię, kolonię francuską na obszarze dzisiejszej Nowej Szkocji w Kanadzie. Szybko stali się dobrze prosperującymi farmerami i kupcami. W latach 40. XVIII wieku Brytyjczycy zażądali od nich, by złożyli przysięgę na wierność królowi i zaczęli mu płacić podatki. Gdy odmówili, zostali przymusowo deportowani. Henry Wadsworth Longfellow opisał ten tragiczny epizod historii – *Grand Dérangement*, Wielkie Wypędzenie – w poemacie *Evangeline: The Tale of Acadia*. Brytyjczycy spalili domy francuskich osadników, siłą załadowali ich na okręty i wysadzili w różnych miejscach wybrzeża. Połowa deportowanych zmarła z powodu wyziębienia i czarnej ospy.

W Luizjanie Kajunom (od franc. *les Cadiens* albo *les Acadiensi)* również nie pozwolono zagrzać miejsca, tym razem jednak wysiedlenia odbywały się etapami. Po zakupie Luizjany przez Stany Zjednoczone (1803 r.) inne, bogatsze grupy ludności, m.in. Kreole (potomkowie mieszanych związków francuskich i hiszpańskich osadników oraz afrykańskich niewolnic) zepchnęli Kajunów na zachód, odbierając im najlepsze, namułowe tereny rolnicze. Według jednego z historyków plantatorom trzciny cukrowej nie chodziło jedynie o ziemię; obawiali się także, by Kajuni swoim przykładem nie pokazali niewolnikom, że można być wolnym i niezależnym. Nieliczni Kajuni sami stali się właścicielami niewolników (podobnie jak niektórzy czarni wyzwoleńcy), ale większość została zmuszona do opuszczenia żyznych terenów nad Missisipi i zepchnięta do południowo-zachodniej części stanu (gdzie zajęli się hodowlą bydła oraz uprawą ryżu, kukurydzy i bawełny) lub na południe, na obszary podmokłe, gdzie zaczęli żyć z rybołówstwa. Kajuni mieli nieco inne spojrzenie na działalność Partii Herbacianej od moich pozostałych rozmówców.

44 7 grudnia 2015 roku, szukałam pod „College Student Life, Special Inerests", http://www.southwestern.edu/offices/studentactivities.

45 Parafia Beauregard została nazwana na cześć generała, współtwórcy sztandaru bojowego Konfederatów; nazwa parafii Jefferson Davis pochodzi od nazwiska prezydenta Skonfederowanych Stanów Ameryki. Nazwa parafii Allen upamiętnia Henry'ego Watkinsa Allena, generała Armii Skonfederowanych Stanów Ameryki. Odnośnie do pomników, zob. *Louisiana Confederate Monuments and Markers*, http://www.scvtaylorcamp.com/monuments.html.

46 Associated Press, *Cross Burning Defendant Speaks Out*, KPLC-TV, 12 grudnia 2001, http://www.kplctv.com/story/317803/cross-burning-defendant-speaks-out.

47 Rachel Cernansky, *Natural Gas Boom Brings Major Growth for U.S. Chemical Plants*, „Environment 360", 29 stycznia 2015 (data dostępu: 16 sierpnia 2015), http://e360.yale.edu/feature/natural_gas_boom_brings_major_growth_for_us_chemical_plants/2842.

48 Zdecydowanie najbardziej ambitny plan realizował południowoafrykański gigant petrochemiczny Sasol. Gdy prowadziłam badania, koncern był w trakcie wykupywania od właścicieli działek na czarnym osiedlu Mossville na obrzeżach Lake Charles. Wzięłam udział w zebraniu mieszkańców Mossville i spędziłam dzień z mężczyzną mieszkającym w przyczepie kempingowej na terenie strefy przemysłowej, na którym pracował ciężki sprzęt budowlany. Odcięto mu wodę i elektryczność, a listonosz przestał dostarczać na jego adres pocztę. Gdyby udało mi się zrozumieć, dlaczego ludzie odczuwający bolesne skutki rozległego zanieczyszczenia środowiska sprzeciwiają się wprowadzeniu przepisów, które ograniczyłyby działalność trucicieli, oraz finansowaniu walki z zanieczyszczeniem ze środków federalnych, może potrafiłabym zrozumieć także, dlaczego nie chcą, by rząd pomógł w rozwiązaniu pozostałych dojmujących problemów.

49 *Cancers Facts and Figures 2015*, American Cancer Society, http://www.cancer.org/acs/groups/content/@editorial/document/acspc-044552.pdf.

50 Przez długie lata Lee był narażony na kontakt z niebezpiecznymi substancjami chemicznymi, które powstawały

w jego zakładzie pracy i lądowały zupełnie gdzie indziej, by ostatecznie znów do niego wrócić. Jedna z nich, dichlorek etylenu, była używana przy produkcji tzw. mieszanki pomarańczowej (Agent Orange). Jak opowiedział mi Lee, podczas wojny w Wietnamie mieszankę pomarańczową przewożono pociągami w pięćdziesięciopięciogalonowych (ponaddwustulitrowych) beczkach do Bazy Lotnictwa Marynarki Wojennej Alameda w Kalifornii. Tam ładowano ją do samolotów i przewożono do Azji Południowo-Wschodniej, gdzie była rozpylana nad rozległymi obszarami dżungli. Pierwszy mąż żony Lee, mechanik pokładowy, uszczelniał przecieki w beczkach w czasie lotu. Zmarł straszliwą śmiercią wskutek przypadkowego kontaktu z pomarańczową mieszanką. Wdowa wyszła za Shermana. Lee powiedział mi, że ona również miała kontakt z toksyczną substancją, piorąc mundury pierwszego męża, i że odbiło się to na zdrowiu jej i jej syna. W ten sposób kółko się zamknęło.

51 Odpady wrzucane do Bayou d'Inde przez Lee nie były jedyną przyczyną umierania ryb. Na jednym ze spotkań w siedzibie władz miasta Paul Ringo, ekolog monitorujący stan wody w rzece Sabine, zmusił przedstawicieli przemysłu do przyznania, że toksyczne odpady pochodziły również z innych źródeł. Jak sam mi opowiadał, zdecydowanym gestem podniósł kartkę papieru i mówił, jakby odczytywał z niej dane. „Wiedzieliśmy, że ryby umierają. Ktoś dał mi cynk, że widział wielki, pusty pojemnik po dichlorku etylenu (EDC). Zachowywałem się więc jak prawnik. «Czy ten zbiornik różni się czymś od innych?» – zapytałem. Jeden z tych facetów przyznał, że wyciekło im trochę EDC. Zapytałem: «Ile w przybliżeniu?». Odpowiedział, że nie są pewni. «Ile normalnie mieści się w zbiorniku?» «Sto tysięcy litrów». «To znaczy, że tyle EDC straciliście i nie wiecie, co się z nim stało?» Blefowałem, ale mi się udało!" Odbyła się wizja lokalna, w czasie której przedstawiciele przemysłu przyznali, że w czasie, o którym była mowa, doszło do większej liczby wycieków.

52 *Jambalaya* – potrawa kreolska składająca się głównie z ryżu, cebuli, czosnku i pomidorów.

53 The Louisiana Seafood Marketing and Promotion Board, *By the Numbers: Louisiana's Ecology* (data dostępu: 8 kwietnia 2015), http://www.louisianaseafood.com/ecology.

54 1 stycznia 1970 roku, w pierwszym oficjalnym oświadczeniu wygłoszonym u zarania nowego roku, prezydent Nixon powiedział: „W latach 70. Ameryka bezwzględnie musi spłacić swój dług wobec przeszłości, przywracając czystość powietrza, wód i środowiska naturalnego. To kwestia dosłownie teraz albo nigdy". Jonathan Schell, *The Time of Illusion*, Vintage Books, New York 1975, s. 74. Ten pozytywny krok zbiegł się tragicznie z ukradkową inwazją w Laosie.

55 Jim Schwab, *Front Porch Politics: The Forgotten Heyday of American Activism in the 1970s and 1980s*, Hill and Wang, New York 2013.

56 W kwestii nazewnictwa: *bayou* to bagnista rzeka, a moczary – porośnięte lasem tereny bagienne.

57 Sean Cockerham, *Louisiana French: l'heritage at Risk*, „Seattle Times", 6 lipca 2012. W 1921 roku w konstytucji Luizjany zadeklarowano, że angielski jest jedynym językiem w szkołach publicznych.

58 Według danych luizjańskiej Komisji Kontroli Strumieni (Louisiana Stream Control Commission), poprzedniczki Departamentu Jakości Środowiska, już w 1971 roku wykryto w krabach (kalinkach) błękitnych, zbadanych w zakładach przetwórstwa ryb i owoców morza w Calcasieu Lake, skażenie rtęcią w stężeniu półtora części na milion. Wywiad z Williem Fontenotem, 2014.

59 Produkcja chlorowanych węglowodorów przypomina trochę budowanie z klocków i polega na wiązaniu różnych molekuł (cząsteczek składowych). Koncern kupuje pierwszy składnik, węglowodór (etylen), od innego producenta. Następnie wpompowuje słoną wodę (drugi składnik), by otrzymać wodorotlenek sodu, inaczej sodę kaustyczną, którą może sprzedać. Fabryka przeprowadza również proces chlorowania wodorów, wytwarzając różne związki, takie jak EDC, perchloroetylen (tetrachloroetylen) i chlorek winylu. Odpady tych procesów chemicznych trafiały do „wózka smołowego" Lee, a stamtąd do kanału łączącego się z Bayou d'Inde.

60 *Environmental Espionage: Inside a Chemical Company's Louisiana Spy Op*, „Mother Jones", 20 maja 2008, http://www.motherjones.com/environment/2008/05/environmental-espionage-inside-chemical-companys-louisiana-spy-op.

61 Chris Pederson, *Sasol Clears Major Hurdle to Build Americas First GTL Plant*, oilprice.com, 4 września 2014, http://oilprice.com/Energy/Natural-Gas/Sasol-Clears-Major-Hurdle-to-Build-Americs-First-GTL-Plant.html. Też: Wilma Subra, korespondencja e-mailowa, 20 lutego 2014, załącznik: Sasol Permit.

62 Zob. też *Hazardous, Toxic and Radioactive Waste Reconnaissance Report (HTRW) Calcasieu River and Pass*, Louisiana Dredged Material Plan, U.S. Army Corps of Engineers, New Orleans District, przygot. przez Gulf Engineers and Consultants, Appendix G, maps.

63 Wywiad z Kevinem Phillipsem w „New York Timesie”. James Bond, *Nixon’s Southern Strategy: ‘It’s All in the Charts’*, „New York Times”, 17 maja 1970, http://www.nytimes.com/packages/html/books/phillips/souther.pdf. Zob. też *Governor Bobby Jindal Says Americans Want a ‘Hostile Takeover’ of Washington*, teaparty.org, 16 września 2014, http://www.teaparty.org/gov-bobby-jindal-says-americans-want-hostile-takeover-in-washington-55848.

64 W 2007 roku firma Universal Placement International w ramach programu H-1B Guest Workers sprowadziła 350 nauczycieli z Filipin, którzy mieli uczyć w szkołach publicznych, najpierw jednak musieli zapłacić po szesnaście tysięcy dolarów „opłaty wpisowej”. Większość z nich zaciągnęła w tym celu kredyty i spłacała od nich odsetki. UPI zatrzymało ich paszporty i wizy do momentu spłacenia pożyczek. Sąd uznał te kontrakty za nielegalne i szefowie UPI dostali wyroki więzienia za handel ludźmi. Claire Gordon, *Filipino Workers Kept as Slaves in Louisiana, Lawsuit Charges*, „AOL Jobs”, 15 listopada 2011, http://jobs.aol.com/article/2011/11/15/filipino-workers-kept-as-slaves-in-louisiana-according-to-lawsu/20106284; *Lawsuit: Filipino Teachers Defrauded in International Labor Trafficking Scheme*, la.aft.org, http://la.aft.org/news/lawsuit-filipino-teachers-defrauded-international-labor-traffickig-scheme.

65 *David Vitter on Environment*, On the Issues (strona internetowa omawiająca projekty ustaw Kongresu i rejestrująca, jak poszczególni kandydaci głosowali w określonych sprawach), http://www.ontheissues.org/Domestic/David_Vitter_Environment.htm.

66 Cytaty z Pisma Świętego za Biblią Warszawską, Warszawa 1975.

67 Svetlana Boym, *The Future of Nostalgia*, Basic Books, New York 2001. Zob. też tejże, *Nostalgia and Its Discontents*, „Hedgehog Review” 2007, nr 13, http://www.iasc-culture.org/eNews/2007_10/9.2CBoym.pdf.

68 Chciałoby się dodać, że Anglicy i Amerykanie mają *homesickness*.

69 Edward E. Evans-Pritchard, *The Nuer: A Description of the Modes of Livelihood and Political Institutions of a Nilotic People*, Clarendon Press, Oxford 1940; Laura Ann Stoler, *Imperial Debris: Reflections on Ruins and Ruination*, „Cultural Anthropology” 23, nr 2 (2008), s. 191–219; Laura Ann Stoler, *Colonial Aphasia: Race and Disabled Histories in France*, „Public Culture” 23, nr 1 (2011), s. 121–156.

70 http://www.bayousandbyways.com/festivals2.htm.

71 Edward E. Evans-Pritchard, dz. cyt., s. 199–200.

72 Mówić o środowisku w kategoriach religijnych potrafią nie tylko osoby głęboko wierzące, lecz także ludzie przemysłu. W 2013 roku, po wybuchu w zakładach chemicznych Axiall, dyrektor generalny koncernu, przemawiając do udziałowców, nazwał katastrofę „siłą wyższą” – aktem Boga lub innej siły niepodlegającej kontroli człowieka. Pavel Pavlov, *US Axiall Declares Force Majeure on VCM from PHH Monomers Plant*, Platts, 23 grudnia 2013, http://platts.com/latest-news/petrochemicals/houston/us-axiall-declares-force-majeure-0n-vcm-from-21990566.

73 W rzeczywistości cytat z *Drugiego listu św. Piotra* 3:10.

74 Javier Auyero, Debora Alejandra Swistun, *Flammable: Environmental Suffering in an Argentine Shantytown*, Oxford University Press, Oxford 2009, s. 128–129. Czekanie zajmuje mieszkańcom bardzo dużo czasu, czas jest „ustawiony dla i przez innych”.

75 Zydeco – gatunek muzyki, który powstał w południowo-zachodniej Luizjanie z połączenia bluesa, R’n’B i muzyki kreolskiej.

76 Zespół WWL-TV, *Poll: Obama Loses Support in LA: Perry, Romney, Cain Close on GOP Side*, 13 października 2011, http://www.wwltv.com/story/news/politics/2014/08/29/14408560. WWL-TV przepytało 602 potencjalnych wyborców z Luizjany.

77 Tamże.

78 Scott Lewis, *Boustany and Landry Fight Over Obamacare, Medicare, Negative Campaigns and Oilfield Jobs*, Cajun Radio, 31 października 2012, http://cajunradio.com/boustany-and-landry-fight-over-obamacare-medicare-negative-campaigns-and-oilfield-jobs-audio/?trackback=tsmclip.

79 Informacje dla Lafayette w stanie Luizjana, uzyskane 24 stycznia 2015 roku za pomocą narzędzia EPA do wyszukiwania „MyEnvironment”. Zob. http://www.epa.gov/myenvironment.

80 Informacje zaczerpnięte z bazy danych ECHO EPA, która śledzi przestrzeganie różnych przepisów dotyczących ochrony środowiska. Uzyskaliśmy je, korzystając z narzędzia EPA do wyszukiwania Enforcement Compliance and History Online (wyszukiwanie 29 września 2015 roku dla parafii Lafayette w Luizjanie). Zob. http://echo.epa.gov.

[81] Stacy Mitchell, Fred Clements, *How Washington Punishes Small Business*, „Wall Street Journal", 7 maja 2015. Wielu kandydatów Partii Herbacianej z Luizjany – w tym Charles Boustany, John Fleming, Steve Scalise i Bill Cassidy – głosowało za zniesieniem ograniczeń dla sektora finansowego (wprowadzonych przez tzw. ustawę Dodd-Frank). Nowa ustawa nosi sprzeczny z intuicją tytuł *Promoting Job Creation and Reducing Small Business Burdens Act* (ustawa o tworzeniu miejsc pracy i zmniejszeniu obciążeń dla drobnych przedsiębiorstw), w rzeczywistości jednak, jak twierdzą Mitchell i Clements, wzmacnia wielkie koncerny, ułatwiając im marginalizowanie drobnych konkurentów.

[82] Zob. League of Conservation Voters, *Public Health Basis of Clean Air Act, House Roll Call Vote 395*, http://scorecard.lcv.org/roll-call-vote/2012-395-public-health-basis-clean-air-act. W 2011 roku szesnastu republikańskich senatorów zagłosowało za projektem ustawy znoszącej EPA, zgłoszonym m.in. przez senatora Davida Vittera z Luizjany.

[83] Brad Johnson, *Senate Republicans Introduce Bill to Abolish the EPA*, „Think Progress", 6 maja 2011, http://thinkprogress.org/politics/2011./01/06/164077/senate-republicans-introduce-bill-to-abolish-the-epa.

[84] W 2012 roku Luizjana wygenerowała 14,1 kg zrzutów toksycznych (na i poza terenem obiektu, do powietrza / wody / gleby, wszystkie gałęzie przemysłu) per capita (to jest 64 888,2 ton podzielone przez 4 602 000 mieszkańców). Dla porównania: w skali całych Stanów Zjednoczonych było to 5,25 kg zrzutów toksycznych per capita. Tylko pięć stanów wygenerowało więcej zrzutów toksycznych w przeliczeniu na głowę mieszkańca: Alaska 543,7 kg, Montana 26,7 kg, Nevada 47 kg, Dakota Północna 22,3 kg i Utah 30,5 kg. Luizjańskie Center for Environmental Health (w strukturach Departamentu Zdrowia i Szpitali) stwierdza na swojej oficjalnej stronie internetowej: „Luizjana plasuje się w czołówce wszystkich stanów pod względem produkcji niebezpiecznych odpadów w przeliczeniu na głowę mieszkańca oraz zrzutów substancji toksycznych do wody, powietrza i gleby".

[85] Missisipi odprowadza wodę z 40% obszaru kontynentalnych Stanów Zjednoczonych, zapewniając wodę pitną osiemnastu milionom ludzi. Jednak wskutek wycieków z rurociągów i instalacji przemysłowych, zrzutów odpadów chemicznych i spływania do rzeki wody z pól uprawnych w trzynastu luizjańskich parafiach, które czerpią wodę pitną z Missisipi, jest ona zupełnie niezdatna do spożycia. Badanie wody w jednej z parafii wykazało, że zawiera ona 75 różnych substancji toksycznych, w tym tetrachlorek węgla, DDT i atrazynę. Richard Misrach, Kate Orff, *Petrochemical America*, Aperture, New York 2012, s. 143.

[86] Louisianatravel.com (oficjalna strona internetowa stanu promująca turystykę), http://www.louisianatravel.com/cities/gonzales.

[87] W miasteczku Norco nad Missisipi piękne białe kłębiaste obłoki są nazywane cumulusami Norco, ponieważ zawierają lotne węglowodory. Richard Misrach, Kate Orff, dz. cyt., s. 4.

[88] Zob. EPA's Toxics Releases Inventory (TRI) Explorer. Według EPA TRI parafia Calcasieu – na której obszarze znajdują się Westlake, Lake Charles i Bayou d'Inde – w 2013 roku (najnowsze dostępne dane) zaliczała się do górnych dwóch procent najbardziej zanieczyszczonych parafii i hrabstw w całym kraju (zajmując 34. miejsce na 2428 jednostki administracyjne uwzględnione w TRI). W 1990 roku parafia Calcasieu zajęła 24. miejsce pod względem emisji substancji toksycznych (TRI) wśród 2315 hrabstw i parafii, które dostarczyły dane (czyli zaliczała się do górnego procenta największych trucicieli). Environmental Protection Agency, TRI Explorer, 1990, 2013, Washington 2015, http://iaspub.epa.gov/triexplorer/tri_release.chemical. Zamieszczone tam informacje na temat toksycznych zrzutów pochodzą z raportów zakładów z niektórych, regulowanych przepisami gałęzi przemysłu, a nie od niezależnych obserwatorów. Praktykę tę wprowadził w 1986 roku Kongres USA, uchwalając Emergency Planning and Community Right to Know Act (ustawę o planowaniu w sytuacjach zagrożenia oraz prawie społeczeństwa do informacji).

[89] W 2000 roku Robert D. Bullard odkrył, że prawie 60% łącznej pojemności składowisk odpadów niebezpiecznych w USA przypada na pięć stanów południowych (Alabamę, Luizjanę, Oklahomę, Karolinę Południową i Teksas) oraz że cztery składowiska, znajdujące się w rejonach zamieszkanych przez Afroamerykanów, składają się na 63% pojemności składowisk odpadów niebezpiecznych na Południu, chociaż czarni stanowią tam tylko 20% populacji. Zob. Robert D. Bullard, *Dumping in Dixie: Race, Class, and Environmental Quality*, Westview Press, New York 2000. Według bazy danych Right to Know w 2011 (najnowsze dostępne dane) Luizjana zajęła trzecie miejsce wśród wszystkich stanów pod względem ilości odpadów niebezpiecznych, którymi zarządza (tzn. otrzymywanych spoza obszaru stanu). Nie uwzględnia to jednak dziesięciu z czternastu rodzajów odpadów z przetwórstwa ropy naftowej. Right to Know Network,

*Biennial Reporting System Quantities by State for 2011: Waste Received and Managed*, Washington 2015, http://www.rknet.org/db/brs/tables.php?tabtype=t3&year=2011&subtype=a&sorttype=rcv.

90 Abraham Lustgarten, *Injecion Wells: The Poison Beneath Us*, „ProPublica", 21 czerwca 2012, https://www.propublica.org/article-injection-wells-the-poison-beneath-us.

91 Ken Silverstein, *Dirty South: Letter from Baton Rouge*, „Harpers" 2013, nr 11, s. 45–56.

92 Kolej Podziemna, *Underground Road*, zorganizowany przez amerykańskich abolicjonistów szlak przerzutu zbiegłych niewolników na północ, często aż do Kanady, ale także na południe do Meksyku, złożony z sieci dróg i bezpiecznych domów.

93 *Remarks by the President to the Nation on the BP Oil Spill*, komunikat prasowy Białego Domu, 15 czerwca 2010, https://www.whitehouse.gov/the-press-office/remarks-president-nation-bp-oil-spill.

94 Z tankowca Exxon Valdez, który w 1989 rozbił się u wybrzeży Alaski, wyciekło ok. 250 tysięcy baryłek (ok. czterdziestu milionów litrów) ropy naftowej.

95 Mark Hertsgaard, *What BP Doesn't Want You to Know About the Gulf Spill*, „Newsweek", 22 kwietnia 2013. Instrukcja wydana przez koncern Nalco, producenta dyspergatorów corexit 9527 i corexit 9500, użytych przez BP do rozpraszania ropy, zawiera opis skutków nadmiernego kontaktu z tym środkiem (nudności, wymioty, uszkodzenie nerek i wątroby). BP nie rozdało instrukcji robotnikom oczyszczającym wody Zatoki, nie poinformowało ich o potencjalnych zagrożeniach, nie przeszkoliło pod kątem bezpieczeństwa ani nie zapewniło odpowiedniej odzieży i sprzętu ochronnego, o czym mówiło w wywiadach kilkudziesięciu uczestników akcji. Wydano im kombinezony i rękawice, ale nie maski z respiratorami ani czujniki czystości powietrza. Corexit rozpylano z samolotów na robotników w łodziach i na wybrzeże, a robotnikom powiedziano, że toksyczny dyspergator jest bezpieczny jak „proszek do zmywarki". Kate Sheppard, *BP's Bad Breakup: How Toxic Is Corexit*, „Mother Jones", wrzesień / październik 2010, http://www.motherjones.com/2010/09/bp-ocean-dispersant-corexit. Zob. też *Deep Water: The Gulf Oil Disaster and the Future of the Off Shore Drilling*, raport Państwowej Komisji ds. Wycieku z Platformy BP Deepwater Horizon i Wierceń Podmorskich dla prezydenta USA, styczeń 2011, https://www.gpo.gov/fdsys/pkg/GPO-OILCOMMISSION/pdf/GPO-OILCOMMISSION.pdf.

96 Naukowcy szacują, że śmiertelność żyjących dziko ssaków morskich była od szesnastu do pięćdziesięciu razy wyższa niż policzono. Rob Williams, Shane Gero, Lars Bejder, John Calambokidis, Scott D. Krauss, David Lusseau, Andrew J. Read, Jooke Robbins, *Underestimating the Damage: Interpreting Cetacean Carcass Recoveries in the Context of Deepwater Horizon/BP Incident*, „Conservation Letters" 4, nr 3 (2011), s. 228–233; Natural Resources Defense Council, *The BP Oil Disaster at One Year*, Washington 2011.

97 *Fish Embryos Exposed to Oil from BP Spill Develop Deformities, a Study Finds*, „New York Times", 25 marca 2014.

98 Joseph Goodman, *Gulf Oil Spill Threatens Louisiana Native Americans' Way of Life*, „Miami Herald", 1 czerwca 2010.

99 Antonia Juhasz, *Investigation: Two Years After the BP Spill, a Hidden Health Crisis Festers*, „Nation", 18 kwietnia 2012, http://www.thenation.com/article/investigation-two-years-after-bp-spill-hidden-health-crisis-festers.

100 Inżynierowie BP naruszyli standardowe procedury bezpieczeństwa, pomijając cztery z pięciu zalecanych kroków ostrożności i polegając, z fatalnym skutkiem, wyłącznie na ostatnim. Przedstawiciele koncernu Exxon wbrew przyjętym przez siebie zwyczajom stwierdzili, że ten wypadek nie powinien był się wydarzyć.

101 Lawrence C. Hamilton, Thomas G. Safford, Jessica D. Ulrich, *In the Wake of the Spill: Environmental Views Along the Gulf Coast*, „Social Science Quarterly" 93, nr 4 (2012), s. 1053–1064. Niemal wszyscy respondenci byli republikanami. W pierwszej z dwóch przebadanych parafii 17%, w drugiej 26% respondentów pracowało w przemyśle naftowym albo gazowym. Pozostali byli zatrudnieni w usługach. Jak na ironię, mieszkańcy Florydy, lżej dotknięci skutkami wycieku, częściej popierali moratorium. Jak wykazał sondaż przeprowadzony przez agencję Bloomberg, w skali całego kraju tylko jedna trzecia obywateli popierała zakaz wierceń podmorskich. Kim Chipman, *Americans in 73% Majority Oppose Ban on Deepwater Oil Drilling*, „Bloomberg", 14 lipca 2010, http://www.bloomberg.com/news/articles/2010-07-14/americans-in-73-majority-oppose-ban-on-deepwater-drilling-after-oil-spill.

102 Oliver A. Houck, *The Reckoning: Oil and Gas Development in the Louisiana Coastal Zone*, „Tulane Environmental Law Journal" 28, nr 2 (2015), s. 185–296.

[103] W swojej książce *Zarządzanie emocjami. Komercjalizacja ludzkich uczuć* stosuję termin „praca emocjonalna" w znaczeniu pracy zarobkowej wymagającej odczuwania emocji oczekiwanych od osoby na danym stanowisku albo zachowywania się tak, jakby się je odczuwało. Dotyczy to zwłaszcza takich zawodów, jak steward / stewardesa linii lotniczych, pracownik opieki społecznej czy sprzedawca. „Pracą emocjonalną" nazywam również zarządzanie emocjami za darmo, w domu albo w dowolnym innym miejscu poza miejscem pracy zarobkowej.

[104] Przepisy stanowe w Luizjanie nie określają godziny zamykania (tzn. ostatniego zamówienia) lokali serwujących alkohol (chociaż poszczególne parafie mogą wprowadzać własne ograniczenia). *Louisiana Law Regarding the Unlawful Sale, Purchase and Possession of Alcoholic Beverages*, Louisiana R.S. 14:93.10–14.

[105] Michael Mizell-Nelson, *Nurturing the Drive-Through Daiquiri*, „Louisiana Cultural Vistas", 12 marca 2015.

[106] Zob. *Louisiana Stare Profile* na witrynie National Riffle Association (data dostępu: 31 lipca 2015), https://www.nraila.org/gun-laws/state-gun-laws/louisiana. Luizjana zajmuje 40. miejsce na karcie wyników głosowań przygotowanej w 2013 roku przez Law Center to Prevent Gun Violence and the Brady Campaign, a jej uregulowania prawne dotyczące posiadania broni otrzymały najniższą ocenę F (w skali A–F). Zob. Law Center to Prevent Gun Violence and the Brady Campaign, *2013 State Scorecard: Why Gun Laws Matter* (San Francisco 2013), http://www.bradycampaign.org/sites/default/files/SCGLM-Final10-spreads-points.pdf.

[107] Stephen Clark, *Gun Control Advocates Decry Louisiana's New Law Allowing Churchgoers to Pack Heat*, Fox News, 8 lipca 2010, http://ww.foxnews.com/politics/2010/07/08/gun-control-advocates-decry-new-louisianas-law-allowing-churchgoers-pack-heat.html. Jak zauważa Clark, „według przeprowadzonej przez Violence Policy Center analizy danych za rok 2013, zebranych przez federalne Center for Disease Control and Prevention i National Center for Injury Prevention and Control, w Luizjanie liczba zgonów w wyniku postrzału z broni palnej wyniosła 19,87 na sto tysięcy mieszkańców. W skali całego kraju było to dziesięć na sto tysięcy mieszkańców".

[108] Adam Liptak, *Supreme Court Blocks Louisiana Abortion Law*, „New York Times", 4 marca 2016, http://www.nytimes.com/2016/03/05/us/politics/supreme-court-blocks-louisiana-abortion-law-html.

[109] *Baggy Pants Law Will Fine Offenders in Louisiana Parish*, „Huffington Post", 14 kwietnia 2013 (data dostępu: 3 listopada 2015), http://www.huffingtonpost.com/2013/04/14/baggy-pants-law-fine-louisiana_n_3080851.html.

[110] Sarah Childress, *Has The Justice Department Found a New Town That Preys on Its Poor?*, „Frontline", 27 kwietnia 2015, http://www.pbs.org?wgbh/pages/frontline/criminal-justice/has-the-justice-department-found-a-new-town-that-preys-on-its-poor.

[111] Institute for Criminal Policy Research, *World Prison Brief*, http://www.prisonstudies.org/highest-to-lowest/prison_population_rate.

[112] Jak wyjaśnia moja rozmówczyni, do niefortunnych zdarzeń dochodzi zwykle w czasie planowych zrzutów (dozwolonych przepisami emisji gazów lub spuszczania cieczy) albo w czasie przerw technicznych (tzn. kiedy robotnicy zatrzymują blok produkcyjny, by wyczyścić urządzenia lub przestawić je na wytwarzanie innego produktu, a potem uruchamiają je ponownie).

[113] Jak podaje „Pittsburgh Business Times", do pierwszej eksplozji doszło 24 grudnia 2012 roku. Malia Spencer, *Fire Damages PPG Industries Plant in Louisiana*, 27 grudnia 2012, http://www.bizjournals.com/Pittsburgh/news/2012/12/27/plant-fire-causes-force-majeure-for-ppg.html. Do drugiego wybuchu doszło 20 grudnia 2013. Associated Press, *Number of Injured from Axiall Chemical Plant Fire in Westlakes Rises to 18*, „Times-Picayune", 25 grudnia 2013, http://www.nola.com/environment/index.ssf/2013/12/number_of_injured_from_axiall.html.

[114] Loren C. Scott, *The Energy Sector: Still a Giant Economic Engine for the Louisiana Economy – an Update*, Louisiana Mid-Continent Oil and Gas Association and Grow Louisiana Coalition report, 2014, http://www.growlouisianacoalition.com/blog/wp-content/uploads/2014/07/Loren-Scott-Study.pdf. Sektor energetyczny „utrzymuje" 287 008 miejsc pracy, co daje w przybliżeniu 15% zatrudnionych w Luizjanie. Według danych rządowej agencji U.S. Census Bureau z 1 535 407 wszystkich zatrudnionych w Luizjanie 9637 pracowało przy „wydobyciu nafty i gazu", 20 823 w „przemyśle chemicznym", 12 163 w „przetwórstwie ropy naftowej i węgla", a 2734 „przy produkcji wyrobów z plastiku i gumy". Zob. Loren C. Scott, *The Energy Sector: A Giant Economic Engine for the Louisiana Economy*, Baton Rouge: Mid-Continent Oil and Gas Association (data dostępu: 18 czerwca 2015), http://www.scribd.com/doc/233387193/The-Energy-Sector-A-Giant-Engine-for-the-Louisiana-Economy.

[115] W rzeczywistości liczba zatrudnionych w przemyśle naftowym może być nawet niższa. Według nieuwzględniających wahań sezonowych danych U.S. Bureau of Labor Statistics w 2014 roku w „nafcie i gazie" pracowało 3,32% wszystkich zatrudnionych w Luizjanie. Obejmowało to wszystkie miejsca pracy związane z wydobyciem ropy naftowej i gazu, obsługą tego sektora, przetwórstwem ropy naftowej i węgla oraz eksploatacją rurociągów. Bureau of Labor Statistics, *Quarterly Census of Employment and Wages* [dane za: grudzień 2014] (data dostępu: 18 czerwca 2015), http://data.bls.gov/cgi-bin/dsrv?en.

[116] Sponsorowaną przez Sasol prognozę *Southwest Louisiana Regional Impact Study* przygotował zespół, w którym znaleźli się zarówno konsultanci z sektora prywatnego, jak i naukowcy z Uniwersytetu Stanowego McNeese. Wyniki ich pracy zostały opublikowane w październiku 2014 roku. CSRS, *Southwest Louisiana Regional Impact Study, 2014*, 1,3, http://www.gogroupswla.com/Content/Uploads/gogroupswla.com/files/SWLA Regional Impact Study_final.pdf. Szacuje się, że 13 000 z 18 000 nowych miejsc pracy zajmą robotnicy spoza południowo-zachodniej Luizjany. Raport podkreśla, że „SWLA (południowo-zachodnia Luizjana) ma zbyt mało ludzi, by zapewnić potrzebną dodatkową siłę roboczą. Przewiduje się, że na 13 000 stanowisk trzeba będzie zatrudnić imigrantów spoza regionu".

[117] Tamże. Obecność filipińskich robotników często wychodzi na jaw dopiero przy okazji nieszczęśliwych zdarzeń na platformach wiertniczych. Jennifer A. Dlouhy, *Dangers Face Immigrant Contract Workforce in Gulf*, „FuelFix", 3 listopada 2013, http://fuelfix.com/blog/2013/11/03/dangers-face-immigrant-contractor-workforce-in-gulf. Lokalna stacja telewizyjna wyemitowała materiał o filipińskim robotniku, który został ranny w wypadku na platformie wiertniczej w Zatoce Meksykańskiej. Assiociate Press, *Gulf Platform Owner Sued Over Deadly 2012 Blast*, KPLC-TV, http://www.kplctv.com/story/23832004/gulf-platform-owner-sued-over-deadly-2012-blast.

[118] Curt Eysink, *Louisiana Workforce Information Review, 2010*, Statewide Report, https://www.doleta.gov/performance/results/AnnualReports/2010_economic_reports/la_economic_report_py201

[119] Ballotpedia, *Louisiana State Budget and Finances, 2013*, https://ballotpedia.org/Louisiana_state_budget_and_finances. Zob. też *Bureau of Economic Analysis [Regional Datafile]: Louisiana 2013*, Washington D.C., dokument pobrany 22 września 2015.

[120] Całkowita realna stopa podatkowa (obliczona na podstawie wszystkich stanowych i lokalnych podatków, w tym podatku dochodowego, podatku od koncesji, podatku obrotowego i podatków od nieruchomości) wyniosła niespełna 1%. „Tax Foundation ocenia, że dziś Luizjana zajmuje pierwsze miejsce w całych Stanach Zjednoczonych pod względem konkurencyjności podatków dla nowych przedsiębiorstw, zarówno inwestujących głównie w tworzenie miejsc pracy, jak i inwestujących przede wszystkim kapitał. Ponadto Luizjana zajęła pierwsze miejsce w Unii pod względem konkurencyjności systemu podatkowego dla nowych i istniejących od dawna instytucji badawczo-rozwojowych". Zob. *New Tax Foundation Ranking Indicates Dramatic Improvement in Louisiana's Business Tax Competitivness*, Louisiana Economic Development (data dostępu: 5 stycznia 2014), http://www.opportunitylouisiana.com/index.cfm/newsroom/detail/175. Zob. Gordon Russell, *Giving Away Louisiana: An Overwiev*, „Advocate", Special Reports, 26 listopada 2014, http://blogs.theadvocate.com/specialreports/2014/11/26/giving-away-louisiana/.

[121] *Governing the State and Localities*, governing.com (data dostępu: 21 września 2015), http://www.governing.com/gov-data/state-tax-revenue-data.html.

[122] Louisiana Economic Development, *Louisiana: At the Epicenter of the U.S. Industrial Rebirth*, 2012, http://www.opportunitylouisiana.com./index.cfm/newsroom/detail/265.

[123] Institute for Southern Studies, *Looting Louisiana: How the Jindal Administration Is Helping Big Oil Rip Off a Cash-Strapped State*, http://www.southernstudies.org/2015/05/looting-louisiana-how-the-jindal-administration-is.html. Raport powołuje się na *Tax Exemption Budget, 2011–2012* i *Tax Exemption Budget, 2014–2015* Urzędu Skarbowego Luizjany (Louisiana Department of Revenue). Zob. też Chico Harlan, *Battered by Drop in Oil Process and Jindal's Fiscal Policies, Louisiana Falls into Budget Crisis*, „Washington Post", 4 marca 2016, https://www.washingtonpost.com/news/wonk/wp/2013/03/04/the-debilitating-economic-disaster-louisianas-governor-left-behind.

[124] Paul H. Templet, *Defending the Public Domain: Pollution, Subsidies and Poverty*, dokument roboczy PERI nr 12 (styczeń 2011), http://ssrn.com/abstract=333280 albo http://dx.doi.org/10.2139/ssrn.333280.

[125] Connecticut i Kalifornia to przykłady hipotetyczne. Exxon wydobywa w Luizjanie ropę naftową o wartości

miliarda dolarów, ale tylko połowę tej kwoty płaci swoim dostawcom, kontrahentom, pracownikom oraz urzędowi skarbowemu w Luizjanie. Pozostałe pół miliarda wysyła do centrali, do podziału pomiędzy członków zarządu i akcjonariuszy, zwykle mieszkających w innych stanach. W ten sposób, jak wyjaśnił mi Templet, w latach 90. ubiegłego wieku blisko jedna trzecia PKB Luizjany wypływała do innych stanów. Korespondencja e-mailowa, 5 listopada 2015.

126 Paul H. Templet, *Grazing the Commons: Externalities, Subsidies and Economic Development*, „Ecological Economics" 1995, nr 12, s. 141–159; Paul H. Templet, *Defending the Public Domain: Pollution, Subsidies and Poverty* [w:] *Natural Assets: Democratizing Environmental Ownership*, ed. by James K. Boyce, Barry G. Shelley, Island Press, Washington 2003.

127 Przemysł naftowy nie zmniejszył biedy między innymi dlatego, że branża ta nie napędza w naturalny sposób innych sektorów luizjańskiej gospodarki; rosną one i spadają niezależnie od siebie. Na przykład w okresie od 2003 do 2013 roku liczba miejsc w przemyśle naftowym utrzymywała się na stabilnym poziomie, gdy w tym samym czasie ogólny poziom zatrudnienia w skali całego stanu wahał się, osiągając najwyższe wskaźniki w 2004 i 2007 roku, a najniższe w latach 2003 i 2005–2006.

128 Caroline Hanley, Michael T. Douglass, *High Road, Low Road or Off Road: Economic Development Strategies in the American States*, „Economic Development Quarterly" 28:3 (2014), s. 110.

129 Ale czy podobna korelacja zachodzi w innych rejonach Stanów Zjednoczonych? Przemysł tytoniowy ma bardzo mocną pozycję na południowym wschodzie kraju, gdzie od dawna sprzeciwia się podniesieniu akcyzy na papierosy. Amanda Fallin, Rachel Grana, Tanton A. Glantz, *To Quarterback Behind the Scenes, Third-Party Efforts': The Tobbacco Industry and the Tea Party*, „Tobbacco Control", 8 lutego 2013, http://tobbaccocontrol.bmj.com/content/early/2013/02/07/tobbaccocontrol-2012-050815. Paul LePage, popierany przez przemysł drzewny gubernator Maine z Partii Herbacianej, zliberalizował wydawanie pozwoleń na wyrąb. System certyfikatów zaproponowany przez producentów drewna co prawda zawiera wymóg „odnawialności" eksploatowanych zasobów leśnych, ale jednocześnie pozwala na karczowanie obszarów odpowiadających wielkością dziewięćdziesięciu boiskom do piłki nożnej. Zob. Jackie Wei, *Governor LePage Undermines Maine's Green-Building Economy, Sets Back Sustainable Forestry*, nrdc.org, 12 grudnia 2012, https://www.nrdc.org/media/2011/111212. Czy na decyzje ustawodawców z Partii Herbacianej w południowej Kalifornii wywarła wpływ niechęć przemysłu rolnego do rygorystycznych przepisów regulujących stosowanie pestycydów? Heath Brown, *The Tea Party Divided: The Hidden Diversity of a Maturing Movement*, Praeger, New York 2015, s. 78.

130 Catherine L. Mann, *Environment and Trade: Do Stricter Environmental Policies Hurt Expert Competitiveness?*, Organisation for Economic Co-operation and Development (Organizacja Współpracy Gospodarczej i Rozwoju, OECD), http://www.oecd.org/economy/greeneco/do-stricter-environmental-policies-hurt-export-competitiveness.htm. Zob. też. Silvia Albrizio, Enrico Botta, Tomasz Kozluk, Vera Zipperer, *Do Environmental Policies Matter for Productivity Growth? Insights from New Cross-County Measures of Environmental Policies*, dokument roboczy nr 1176, 3 grudnia 2014, http://www.oecd-library.org/economics/do-environmental-policies-matter-for-productivity-growth_5jxrjncjrcxp-en.

131 Stephen M. Meyer, *Environmentalism and Economic Prosperity: Testing the Environmental Impact Hypothesis*, MIT Project on Environmental Politics and Policy (1992); Stephen M. Meyer, *Environmentalism and Economic Prosperity: An Update*, MIT Project on Environmental Politics and Policy (1993); Stephen M. Meyer, *Endangered Species Listings and State Economic Performance*, MIT Project on Environmental Politics and Policy (1995); John R. E. Bliese, *The Great „Environment Versus Economy" Myth*, New York 1999; Roger H. Bezdek, Robert M. Wendling, Paula DiPerna, *Environmental Protection, the Economy, and Jobs: National and Regional Analyses*, „Journal of Environmental Management" 2008, nr 1, s. 63–79.

132 Barbara Koeppel, *Cancer Alley, Louisiana*, „Nation", 8 listopada 1999, s. 16–24.

133 Arthur O'Connor, *Political Polarization and Environmental Inequality: A Pilot Study of Pollution Release Amounts and Practices in „Red" Versus „Blue" States*, „International Environmental Review" 13, nr 4, s. 308–322. Pozostałe siedem z pięćdziesięciu stanów Unii plus dystrykt stołeczny Waszyngton to tak zwane stany wahadłowe (*swing states*) albo „fioletowe", w których kandydat żadnej z dwóch głównych partii nie osiąga w wyborach prezydenckich wyraźnej przewagi i wynik wyborów jest trudny do przewidzenia. Wspomnianą siódemkę tworzą: Nevada, Wirginia Zachodnia, Arkansas, Kolorado, Floryda, Missouri i Ohio. O'Connor porównał wielkość emisji toksycznych w 2010 roku (korzystając z bazy danych EPA Toxic Release Inventory

[TRI]) z historią wyników wyborów prezydenckich w poszczególnych stanach.

134 W artykule *Managing Community Acceptance of Major Industrial Projects* Ronald Luke – ekspert komisji doradczej teksańskiego Departamentu Zdrowia i Opieki Społecznej (Texas Health and Human Services Council) za czasów republikańskiego gubernatora Ricka Perry'ego oraz dyrektor Texas Association of Business – stwierdza, że im bogatszy stan, tym bardziej rygorystyczne przepisy dotyczące odpadów niebezpiecznych. Zauważa również, że „na większości obszarów kraju lokalizacja wielkich obiektów przemysłowych to przede wszystkim kwestia polityki". Ronald Luke, *Managing Community Acceptance of Major Industrial Projects*, „Coastal Zone Management Journal" 1980, nr 7, s. 292; James Lester, James Franke, Ann Bowman, Kenneth Kramer, *Hazardous Wastes, Politics, and Public Policy: A Comparative State Analysis*, „Western Political Quarterly" 1983, nr 36, s. 255–285.

135 Cerrell Associates, Inc., *Political Difficulties Facing Waste-to-Energy Conversion Plant Siting*, Los Angeles 1984.

136 Michael Kurth, *On the Brink of the Boom*, „Lagniappe", 6 maja 2014, http://www.bestofswla.com/2014/05/06/brink-boom. („Lagniappe" jest lokalnym czasopismem zamieszczającym głównie wiadomości biznesowe). Według przygotowanego przez Ernst & Young LPP *US Investment Monitor* w 2013 roku 64% łącznej sumy wszystkich inwestycji kapitałowych w USA, wynoszącej 145 miliardów dolarów, trafiło do trzech stanów: Teksasu, Pensylwanii i Luizjany. Jedna trzecia tej sumy pochodziła z zagranicy, a przeszło połowa zagranicznych inwestycji (11 z 20 największych inwestycji kapitałowych) zasiliła przemysł chemiczny, szczególnie atrakcyjny ze względu na perspektywę taniego gazu. Dwie największe inwestycje w Lake Charles były inwestycjami w rozbudowę istniejących już terminali załadunkowych (eksportowych) skroplonego gazu ziemnego (*liquefied natural gas, LNG*) w Port Arthur i Lake Charles. Zob. Ernst & Young LLP, *2014 Investment Monitor: Tracking Mobile Capital Investments During 2013* (data dostępu: 4 sierpnia 2015), http://www.ey.com/Publication/vwLUAssets/EY-the-us-investment-monitor/$FILE/EY-the-us-investment-monitor.pdf.

137 Dennis K. Berman, *Are You Underestimating America's Fracking Boom?*, „Wall Street Journal", 27 maja 2014.

138 Instalacja do krakingu etanu – największa w Stanach Zjednoczonych – miała produkować czystszy olej napędowy z taniego gazu ziemnego poprzez kontrolowane inicjowanie jego rozkładu pod wpływem bardzo wysokiej temperatury. Podstawą procesu przeprowadzanego w instalacji do skraplania gazu również jest gaz ziemny. Po dodaniu tlenu powstaje z niego gaz syntezowy, z którego następnie rafinuje się parafinę używaną do produkcji m.in. świec i szminki.

139 Eric Cornier, *Construction Boom: Labor Shortage Among Area Concerns*, „American Press", 10 lutego 2013.

140 Po raz pierwszy ropę naftową zauważono w 1901 roku w postaci baniek na powierzchni pola ryżowego w Jennings. Indywidualni poszukiwacze, a trochę później więksi przedsiębiorcy, zaczęli prowadzić próbne odwierty i wydobywać ropę na lądzie i na morzu. Następnie zbudowano zakłady petrochemiczne, które produkują różne wsady dla przemysłu chemicznego i tworzyw sztucznych.

141 Ruth Seydlitz, Shirley Laska, *Social and Economic Impacts of Petroleum „Boom and Bust" Cycles*, przygotowane przez Environmental Social Science Research Institute, University of New Orleans, OCS Study MMS 94-0016, U.S. Dept. of the Interior, Minerals Mgmt. Service, Gulf of Mexico OCS Regional Office, New Orleans 1993.

142 Z analizy przeprowadzonej w 2012 roku przez American Chemistry Council (Stowarzyszenie Przemysłu Chemicznego USA) wynika, że eksploatacja taniego gazu ziemnego może bezpośrednio zwiększyć wartość łącznej produkcji przemysłów naftowego i petrochemicznego o 121 miliardów dolarów, co pociągnie za sobą kolejne inwestycje. *Lake Charles: A Case Study: With Massive New Industrial Investments and up to 25 000 New Workers Headed to Town, the Landscape of Lake Charles Is Changing Dramatically*, „Business Report", 25 września 2014, https://www.businessreport.com/article/lake-charles-a-case-study-with-massive-new-industrial-investments-and-up-to-25000-new-workers-headed-to-town-the-landscape-of-lake-charles-is-changing-dramatically.

143 Louisiana Economic Development, *Louisiana: At the Epicenter of the U.S. Industrial Rebirth* (data dostępu: 4 stycznia 2014), http://www.opportunitylouisiana.com/index.cfm/newsroom/detail/265.

W 2013 roku na liście Louisiana Chemical Association figurowały 63 przedsiębiorstwa. Wzdłuż wybrzeży Luizjany ciągnie się szelf kontynentalny Zatoki Meksykańskiej, największy obszar roponośny w Stanach

Zjednoczonych. Luizjana posiada dłuższy odcinek niż Teksas czy Meksyk. Stan ten szczyci się również jedynym na świecie portem dla supertankowców w morskiej strefie przybrzeżnej. Ropa wyładowywana jest ze statków przez nitki rurociągów do terminali na lądzie i przy jego brzegu (80% szybów naftowych w Zatoce Meksykańskiej znajduje się na wodach Luizjany).

144 Michael Kurth, dz. cyt., s. 13.

145 „Z wielkim uznaniem przyjęliśmy decyzję PPG usytuowania nowej fabryki barwników właśnie tutaj i zapewniamy, że wszyscy nasi mieszkańcy są za to wdzięczni" – tak w 1966 roku w artykule wstępnym „American Press" zareagowano na ogłoszenie przez PPG zamiaru zwiększenia produkcji barwników w Lake Charles. Jak się wyraził autor, był to „kolejny krok w kierunku wspaniałej przyszłości… Rozmach inwestycji petrochemicznych w parafii Calcasieu przyprawia o zawrót głowy. Lake Charles naprawdę się poszczęściło, że w ciągu ostatnich dziesięciu lat mógł być widownią tak niesamowitego rozwoju dwóch gałęzi przemysłu petrochemicznego. Ale musimy uświadomić sobie, że jeszcze ważniejsze jest to, co dopiero nastąpi", „American Press", 22 czerwca 1966 (archiwum).

146 Dennis K. Berman, dz. cyt.

147 Sześćdziesiąt milionów litrów (trzynaście milionów galonów) należy dodać do 22,7 milionów litrów (pięciu milionów galonów) dziennie, które koncern mógł pobierać według wcześniejszych ustaleń.

148 Frank DiCesare, *All Water, Air Permits for Sasol Approved*, „American Press", 2 czerwca 2014.

149 Justin Phillips, *Calcasieu, Cameron Area's on Bubble' with EPA for Air Quality*, „American Press", 11 lipca 2014, http://www.americanpress.com/news/local/Air-quality. Wielkie pieniądze, wielu pracowników, euforia – cała uwaga skupiała się na gazie ziemnym, który był tańszy od ropy. Gdyby cena gazu zbyt wzrosła, a cena ropy nazbyt spadła, bańka mogłaby pęknąć. W 2007 roku ropa na światowym rynku była siedmiokrotnie droższa od ceny gazu. W 2014 roku cena ropy naftowej przewyższała cenę gazu mniej więcej dwudziestoczterokrotnie. Sasol potrzebuje, by ropa naftowa była co najmniej szesnaście razy droższa od gazu. Dla koncernów petrochemicznych gaz ziemny jest kluczowym surowcem. Gdyby mogły kupować go taniej, a swoje wyroby sprzedawać drożej, osiągałyby większe zyski. Kto jednak potrafi przewidzieć, jak będą się kształtowały ceny gazu i ropy? Jeden z moich rozmówców powiedział z przekonaniem: „Muszą wiedzieć, co robią". Zob. też Michael Kurth, dz. cyt.

150 Jak zauważyła Sandra Steingraber w *Living Downstream: A Scientist's Personal Investigation of Cancer and the Environment*, pojawia się coraz więcej danych i informacji, które powinny skłonić nas do zastanowienia się, jakie to ma skutki dla naszego zdrowia, i skierować nasze zainteresowanie na [proekologiczne praktyki biznesowe promowane przez] Green Chamber of Commerce. Sandra Steingraber, *Living Downstream: A Scientist's Personal Investigation of Cancer and the Environment*, Vintage Books, New York 1998.

151 Clem Brooks, Jeff Manza, *A Broken Public? Americans' Responses to the Great Recession*, „American Sociological Review" 2013, nr 5, s. 727–748.

152 Nancy DiTomaso rozwija tę tezę w *The American Non-Dilemna: Racial Inequality Without Racism*, Russell Sage Foundation, New York 2013. Zob. też Deirdre Royster, *Race and the Invisible Hand: How White Networks Exclude Black Men from Blue Collar Jobs*, University of California Press, Berkeley 2003. Zob. też Aneks C.

153 Złożyły się na to bezpośrednie wpłaty gotówkowe, odpisy podatkowe i świadczenia finansowane ze środków publicznych.

154 Richard Thompson, *Giving Away Louisiana: Industrial Tax Incentives*, „Advocate", 11 grudnia 2014, http://blogs.theadvocate.com/specialreports/2014/12/03/giving-away-louisiana-industrial-tax-incentives.

155 Biuletyn informował, że „zarazki, bakterie i pasożyty występujące naturalnie w akwenach naszego stanu, takich jak rzeki, jeziora, marsze oraz Zatoka Meksykańska, mogą powodować choroby, niekiedy nawet śmiertelne. Pewne drobnoustroje występują naturalnie, inne pochodzą z odchodów ludzkich i zwierzęcych. Trafiają do wód publicznych z przepełnionych studzienek ściekowych i zanieczyszczonych kanałów burzowych, niewłaściwie funkcjonujących systemów uzdatniania wody wykorzystywanej w przemyśle, z wodą po deszczu zbierającą zanieczyszczenia z miast i pól, wycieków z łodzi, wadliwych przydomowych oczyszczalni ścieków i wraz z wodą spływającą z upraw rolniczych". „Większość ludzi może pływać i kąpać się bez żadnej szkody dla zdrowia – zauważył urzędnik luizjańskiego ministerstwa zdrowia dr Jimmy Guidry. – Jednakże kontaminanty mogą przedostać się do każdego akwenu, więc zawsze istnieje niewielkie ryzyko zakażenia". W dalszej części biuletynu czytamy: „Doktor Guidry stwierdził także, że jeśli ktoś ma skaleczenia lub otwarte rany, połykanie wody lub kąpiel w niej nie jest najlepszym pomysłem". Louisiana Department of Health and

Hospitals, *Health Department Advises „Take Precautions While Swimming"*, 21 maja 2014, http://new.dhh.louisiana.gov/index.cfm/communication/viewcampaign/896?uid=gE&nowrap+1.

156 W 2015 roku gubernator Jindal zapowiedział odebranie wyższym uczelniom kolejnych 533 milionów dolarów. Kaitlin Mulhere, *In the Face of Colossal Cuts*, „Inside Higher Ed", 27 kwietnia 2015, https://www.insidehighered.com/news/2015/04/27/anxiety-over-massive-proposed-cuts-louisianas-colleges-felt-across-state.

157 Zob. CSRS, *Southwest Louisiana Regional Impact Study* (data dostępu: 4 sierpnia 2015), s. 121, http://www.gogroupswla.com/Content/Uploads/gogroupswla.com/files/SWLA Regional Impact Study Final.pdf. Na liście (*Open Desegregation Cast)* Sekcji Praw Człowieka *(*Civil Rights Division) amerykańskiego Departamentu Sprawiedliwości znalazło się dwadzieścia pięć szkół, w których nadal występuje segregacja rasowa. Departament Sprawiedliwości utrzymał rozdawnictwo kuponów, które miało przeciwdziałać segregacji, lecz zdaniem malkontentów w praktyce skazało dzieci na naukę w kiepskich szkołach prywatnych. Od wyroku w sprawie Brown przeciwko Komisji Edukacji (1954) amerykańskie prawo zabrania segregacji rasowej w szkołach publicznych. Do dziś jednak dostęp do edukacji publicznej pozostaje bardzo nierówny. Ponad dwa miliony czarnych dzieci uczęszcza do szkół, gdzie 90% uczniów stanowią przedstawiciele mniejszości rasowych. Według raportu Center for American Progress szkoły te przeznaczają na jednego ucznia o 733 dolarów rocznie mniej niż placówki, gdzie 90 lub więcej procent uczniów stanowią białe dzieci. W skali całego kraju wzrostowi liczby kolorowych uczniów w danej szkole o 10 punktów procentowych towarzyszy obniżenie wydatków na jednego ucznia o 75 dolarów. Ary Spatig-Amerikaner, *Unequal Education: Federal Loophole Enables Lower Spending on Students of Color*, Washington D.C., 2012, https://www.americanprogress.org/wp-content/uploads/2012/08/UnequalEducation.pdf.

158 Heather Regan-White, *Westlake City Council Reaches Agreement with Sasol on Expansion Costs*, „Sulphur Daily News", 25 listopada 2015, http://www.sulphurdailynews.com/article/20151125/NEWS/151129875.

159 Condea Vista jest spółką zależną niemieckiego koncernu petrochemicznego RWE-DEA.

160 Wywiady z Robertem McCallem, 29 maja 2015 i z Williamem B. Baggettem, 5 czerwca 2015, z kancelarii adwokackiej Baggett McCall Injury Attorneys w Lake Charles.

161 1200 metrów.

162 Błotnia leśna (*Nyssa sylvatica*) – drzewo z gatunku dereniowatych.

163 Deborah Dupre, *State Blames One Company for Gassy Sinkhole, Orders More Seismic Monitors*, examiner.com, 12 października 2012, http://www.examiner.com/article/state-blames-one-company-for-gassy-sinkhole-orders-more-seismic-monitors.

164 A. Wilson, *Mysterious Tremors Raise Questions*, dailycomet.com, 4 października 2012 (data dostępu: 19 listopada 2015), http://www.dailycomet.com/article/20121004/ARTICLES/121009798. Według U.S. Geological Survey (http://earthquake.usgs.gov/earthquakes/states/louisiana/history.php) ostatnie lokalne trzęsienie ziemi, „przy którym szyby zadrżały w oknach", zdarzyło się w 1958 roku w pobliżu Baton Rouge.

165 Christina Ng, *Louisiana Boat Disappears into Sinkhole*, ABC News, 16 sierpnia 2012, http://abcnews.go.com/US/louisiana-sinkhole-engulfs-boat-workers-rescued/story?id=17021557.

166 Wydobywanie soli metodą otworów wiertniczych polega na wywierceniu kilku otworów, wpompowanie przez nie wody, która rozpuszcza sól w złożu, i wypompowanie powstałej solanki na powierzchnię ziemi. Następnie solanka jest dostarczana rurociągami albo w cysternach do rafinerii nad Missisipi, gdzie uzyskuje się z niej wodorotlenek sodu i chlor, używane do produkcji najrozmaitszych rzeczy, od papieru po artykuły medyczne. Inne przedsiębiorstwa wydobywcze sprzedają solankę koncernom wydobywającym gaz ziemny metodą szczelinowania, które po dodaniu wody i substancji chemicznych używają jej do uwolnienia gazu ziemnego ze skał łupkowych.

167 *brine* (ang.) – słona woda.

168 Charles Q. Choi, *Gas-Charged Earthquakes Linked to Mysterious Louisiana Sinkhole*, Live Science, http://www.livescience.com/46692-louisiana-sinkhole-explained.html.

169 Vicki Wolf, *Salt Dome Instability Caused by Bayou Corne Sinkhole Tragedy and Others*, CLEAN (organizacja Citizens' League for Environmental Action Now z Houston w Teksasie), http://www.cleanhouston.org/misc/ssalt_dome.html.

170 Również inne koncerny są właścicielami przestrzeni magazynowej i zarabiają na wynajmowaniu jej firmom, które przechowują w kawernach różne substancje chemiczne, toksyczne lub nie – na przykład OxyChem,

Acadian i Crosstex Energy Services.

171 Jeffrey D. Beckman, Alex K. Williamson, *Salt Dome Locations in the Gulf Coastal Plain, South-Central United States*, U.S. Geological Survey, Water-Resources Investigations Report 90-4-6-, 1990, http://pubs.usgs.gov/wri/report.pdf. W Zatoce Meksykańskiej, południowo-środkowej części USA i na przyległym szelfie kontynentalnym znajdują się 624 wysady solne, w tym wiele na wodach przybrzeżnych Luizjany. Noszą takie nazwy jak Good Hope (Dobra Nadzieja).

172 Robert Mann, *Residents of Bayou Corne Ask, Where Are You, Bobby Jindal?*, 16 grudnia 2012, http://bobmannblog.com/2012/12/16/residents-of-bayou-corne-ask-where-are-you-bobby-jindal.

173 Sheila V. Kumar, *Jindal Meets with Bayou Corne Residents, Promises to Fight Texas Brine for Fair Buyouts*, „Times-Picayunne", 19 marca 2013, http://www.nola.com/politics/index.ssf//2013/03/jindal_to_visit_assumption_par_1.html. 21 maja 2013 przyjechał tam po raz drugi.

174 Tamże.

175 Wyniki badań przeprowadzonych w 2007 roku sugerują, że silna rodzina, regularne uczestniczenie w praktykach religijnych i przekonanie, że indywidualni obywatele są w stanie lepiej niż rząd zaradzić bolączkom społecznym, wiążą się z wspieraniem dobroczynności. Rodziny, w których głowa domu ma przekonania konserwatywne, przeznaczają o 30% więcej na cele charytatywne niż rodziny liberałów. Konserwatyści częściej oddają krew i chętniej podejmują wolontariaty. Po przeanalizowaniu danych federalnego urzędu skarbowego „Chronicle of Philanthropy" stwierdziła, że 17 stanów, które wykazały się największą hojnością (mierzoną jako część dochodów przekazanych na działalność dobroczynną), w wyborach prezydenckich w 2012 roku zagłosowało na kandydata republikanów, Mitta Romneya. Arthur C. Brooks, *Who Really Cares: The Surprising Truth About Compassionate Conservatism*, Basic Books, New York 2007. Dwoje politologów z Massachusetts Institute of Technology odpiera te twierdzenia, argumentując, że konserwatyści są z reguły bogatsi od liberałów, a beneficjentami znacznej części ich datków są kościoły, do których należą. Zob. Michele F. Margolis, Michael W. Sances, *Who Really Gives? Partisanship and Charitable Giving in the United States*, szkic roboczy, Social Science Research Network (2013), s. 1–17, http://papers.ssrn.com/sol3/papers.cfm?abstract_id=2148033; *How States Compare and How They Voted in the 2012 Election*, „Chronicle of Philanthropy", aktualizacja z 13 stycznia 2015 (data dostępu: 5 sierpnia 2015), https://philanthropy.com/article/How-States-CompareHow/152501.

176 David J. Mitchell, *Texas Brine Shifts Blame to Occidental Petroleum, Others for Causing Bayou Corne Sinkhole*, „Advocate", 9 lipca 2015, http://theadvocate.com/news/ascension/128700889-123/texas-brine-shifts-blame-to.

177 Deborah Dupre, *Sinkhole: H-Bomb Explosion Equivalent in Bayou Corne Possible*, examiner.com, 12 sierpnia 2012, http://www.examiner.com/article/sinkhole-h-bomb-explosion-equivalent-bayou-corne-possible.

178 Melissa Gray, *Louisiana Probes Cause of Massive Bayou Sinkhole*, CNN, 10 sierpnia 2012, http://www.cnn.com/2012/08/09/us/Louisiana-bayou-sinkhole.

179 Office of the Inspector General, *Audit Report: EPA Region 6 Needs to Improve Oversight of Louisiana's Environmental Programs*, Washington 2003, http://www.epa.gov/oig/reports/2003/2003-p-0005.pdf. Raport był reakcją na petycje zgłaszane przez grupy obywatelskie z Luizjany między październikiem 2001 roku a marcem 2002 roku. Niezadowoleni obywatele domagali się w nich wycofania z tego stanu trzech programów EPA: National Pollutant Discharge Elimination System (NPDES, ogólnokrajowy system eliminacji zanieczyszczeń wody); Resource Conservation and Recovery Act (RCRA, ustawa o zabezpieczeniu i zachowaniu surowców) i program pozwoleń na emisje, tzw. Title V air permit program. Autorzy petycji twierdzili, że władze Luizjany, zobowiązane przez EPA do wdrożenia tych programów, nie realizują ich we właściwy sposób.

180 Tamże, s. 1. Raport zarzucał również szefowi szóstego regionu EPA nieprawidłowy nadzór nad obszarem Luizjany. Generalny inspektor nie był w stanie zapewnić obywateli, że Luizjana chroni środowisko, ponieważ szefostwo szóstego regionu: „(1) nie stworzyło i nie zakomunikowało w jasny sposób żadnej wizji ani wymiernych celów swojego nadzoru nad tym stanem ani nie przykładało należytej wagi do systematycznego sprawowania owego nadzoru, (2) nie rozliczało Luizjany z realizacji celów i zobowiązań i (3) nie dopilnowało skorygowania danych dotyczących złej jakości, co umożliwiłoby podejmowanie sensownych decyzji. W rezultacie współpraca pomiędzy Regionem i władzami stanu nie przebiegała w sposób spójny". Zob. też Office of the Inspector General, *EPA Must Improve Oversight of State Enforcement*, Washington 2011,

http://www.epa.gov/oig/reports/2012/20111209-12-P-0113.pdf.

181 Tamże, s. 16. Zaniepokojeni wysokim poziomem zachorowań mieszkańcy zwrócili się do niezależnego specjalisty, by zbadał poziom dioksyn w ich krwi. Doktor Wilma Subra, chemiczka z Luizjany, stwierdziła, że jest on znacznie podwyższony.

182 Julia O'Donoghue, *Louisiana Failed to Collect Millions in Oil and Gas Taxes*, „Times Picayune", 2 grudnia 2013, http://ww.nola.com/politics/index/ssf/2013/12/louisiana_oil_and_gas_taxes.html. W latach 2009 i 2010 automatyczny system luizjańskiego urzędu skarbowego rozesłał zawiadomienia o nieuregulowanych podatkach na łączną sumę 11,9 miliona dolarów. We wrześniu 2010 roku program wycofano z użycia z powodu skarg na mylne zawiadomienia. Od tego momentu urząd skarbowy zdany jest wyłącznie na własnych kontrolerów, którzy wykrywają znacznie mniej przypadków uchylania się od płacenia podatku od eksploatacji zasobów naturalnych. Audytor wyznaczony przez stanową legislaturę powiedział: „Nie wiemy. Nie mamy pojęcia, ile naprawdę straciliśmy".

183 Luizjański Departament Jakości Środowiska publikuje informacje o wydanych pozwoleniach. Na witrynie internetowej departamentu jest zakładka „Sprawdź status pozwolenia". W bazie danych figuruje 89 787 pozwoleń, najstarsze z 1967 roku, najświeższe z grudnia 2013. Część z nich opiewa na kilka tygodni, inne na kilkadziesiąt lat. Jest tylko kilka wpisów dla lat 70., również dla lat 80. i 90. jest ich stosunkowo mniej niż dla późniejszego okresu – nie podano żadnego wyjaśnienia tego faktu.

184 Badając w 2013 roku poziom dioksyn we krwi mieszkańców czarnego getta Mossville w pobliżu domu Arenów nad Bayou d'Inde, wysiedlanego obecnie przez Sasol, zatrudnieni przez stan naukowcy porównali uzyskane próbki (w których, jak się należało spodziewać, poziom dioksyn powinien być bardzo wysoki) z próbkami pobranymi od mieszkańców innego silnie uprzemysłowionego obszaru, Lafayette. Następnie ogłosili, że poziom dioksyn we krwi mieszkańców silnie uprzemysłowionego obszaru „nie jest wyższy niż w grupie kontrolnej" (Lafayette). Dziwnym zbiegiem okoliczności dla Mossville przyjęto wysoki „próg wykrywalności" (a więc urządzenia nie wychwytywały przekroczenia normy, dopóki nie było ono bardzo duże), a dla obszaru kontrolnego – niski. Pomiary nie były więc porównywalne. Część wyników zapisano jako „niedostępne". Tymczasem niezależne badania przeprowadzone w 2008 roku przez uznaną chemiczkę, dr Wilmę Subrę, wykazały, że stężenie dioksyn w krwi mieszkańców Mossville jest trzykrotnie wyższe niż średnia krajowa. Wilma Subra, *Results of the Health Survey of Mossville Residents and Chemicals and Industrial Sources of Chemicals Associated with Mossville Residents Medical Symptoms and Conditions*, New Iberia 2008. Badania prowadzone w Hiszpanii w latach 1997–2006 wykazały silną współzależność pomiędzy mieszkaniem w pobliżu składowisk odpadów i umieralnością na raka opłucnej, żołądka, wątroby, nerek oraz innych organów wewnętrznych. Zob. Javier Garcia-Perez i in., *Cancer Mortality in Towns in the Vincinity of Incinerators and Installations for the Recovery of Disposal of Hazardous Waste*, „Environment International" 2013, nr 51, s. 31–44. Również wyniki brytyjskich badań zachorowalności na nowotwory wśród dzieci wskazują na ścisły związek pomiędzy występowaniem nowotworów u małych dzieci i narażeniem na działanie spalin w okresie prenatalnym lub noworodkowym. E. G. Knox, *Oil Combustion and Childhood Cancers*, „Journal of Epidemiology and Community Health" 2005, nr 9, s. 755–760. Udowodnienie, że bezpośrednią przyczyną wystąpienia choroby była bliskość obiektu przemysłowego, jest bardzo trudne i sądy zwykle oddalają takie powództwa.

185 Louisiana Department of Health and Hospitals for the Agency for Toxic Substances and Disease Registry (Luizjański Departament Zdrowia i Szpitali dla Agencji ds. Substancji Toksycznych i Rejestru Chorób), *Health Consultation: Calcasieu Estuary Sediment Sample Evaluation, Calcasieu Parish, Louisiana, EPA Facility ID: LA0002368173*, Baton Rouge 2005.

186 Louisiana Department of Health and Hospitals for the Agency for Toxic Substances and Disease Registry, *Public Health Assessment, Initial/Public Comment Release, Review of Data from the 2010 EPA Mossville Site Investigation*, Baton Rouge 2013.

187 Protokół opracowany przez luizjański Departament Zdrowia i Szpitali (Louisiana Department of Health and Hospitals) we współpracy z Departamentem Jakości Środowiska (Department of Environmental Quality), Departamentem Rolnictwa i Leśnictwa (Department of Agriculture and Forestry) i Departamentem Przyrody i Rybołówstwa (Department of Wildlife and Fishery).

188 Louisiana Department of Health and Hospitals, Louisiana Department on Environmental Quality, Louisiana Department of Agriculture and Forestry, and Louisiana Department of Wildlife and Fisheries, *Protocol for*

*Issuing Public Health Advisories for Chemical Contamination in Recreationally Caught Fish and Shellfish*, Baton Rouge 2012, http://www.dhh.louisiana.gov/assets/oph/Center-EH/envepi/fishadvisory/Documents/LA_Fish_Protocol_FINAL_Feb_2012_updated_links_pdf.

189 W *Teorii klasy próżniaczej* Thorstein Veblen zauważył, że ludzie wiążą pojęcie honoru z oderwaniem potrzeb materialnych i nieprzydatnością do celów praktycznych. Szczupłe kobiety są darzone tym większym podziwem, im bardziej zbliżą się do śmierci głodowej, pokazując w ten sposób, że się jej nie boją. W dziedzinie nauki im bardziej niepraktyczny temat badań, tym większy zaszczyt dla badacza. Konia uważamy za piękniejszego od krowy, ponieważ krowa jest użyteczna, a koń nie. W różnych regionach, klasach społecznych i grupach rasowych ta zasada może się wyrażać w odmienny sposób.

190 Zob. wyniki wyszukiwania dla „Lake Charles, LA" i „Berkeley, CA" na churchfinder.com (data dostępu: 6 sierpnia 2015), http://www.churchfinder.com.

191 *Bertrand Excited About Future of the Southwest Louisiana*, „American Press", 27 stycznia 2015, sekcja B4.

192 Jadłodajnia dla ubogich też działa głównie dzięki darowiznom wiernych. Na Uniwersytecie Stanowym McNeese grupa o nazwie 635 Campus Ministries organizuje zbiórki pieniędzy na ten cel. *Abraham's Tent Opens New Facility to Feed the Hungry*, „Jambalaya News", 22 grudnia 2014, http://lakecharles.com/2014/12/abrahams-tent-opens-new-facility-feed-hungry.

193 Jack E. White, *The Poorest Place in America*, „Time", 15 sierpnia 1994.

194 Zob. *Meet the Staff*, First Pentecostal Church, Lake Charles (data dostępu: 28 sierpnia 2014), http://firstpentecostalchurchlc.org/about-us-meet-the-staff.

195 Chodzi o strony internetowe Living Way, First Pentecostal Church of Lake Charles, Eastwood Pentecostal, Apostolic Temple, First Pentecostal Church of Westlake, Grace Harbor Lighthouse, First Baptist Church, Victory Baptist Church, South City Christian Church i Trinity Baptist Church. Żadna z nich nie wspominała o działalności na rzecz środowiska.

196 Kościoły ewangelikalne, w odróżnieniu od protestanckich, bazują na dosłownym odczytaniu tekstów Pisma Świętego, a zwłaszcza Nowego Testamentu. W latach 90. i później przywódcy ewangelikalni, tacy jak Pat Robertson, Jerry Falwell, Ralph Reed i ostatnio David Lane, za pośrednictwem organizacji w rodzaju Moral Majority, Christian Coalition, Focus in the Family, Faith and Freedom i The American Family Association sprecyzowali i ujednolicili poglądy na temat imigrantów, aborcji, małżeństw jednopłciowych i wielu innych.

197 Glenn Scherer wykazał, że w 2003 roku 40% członków Kongresu USA – 45 senatorów i 186 członków Izby Reprezentantów – miało wskaźnik aprobaty trzech najbardziej wpływowych organizacji prawicowych chrześcijan: Christian Coalition, Eagle Forum i Family Resource Council na poziome od 80 do 100%. Wielu z nich uzyskało bardzo niskie wyniki (maksymalnie 10%) na karcie głosowań League of Conservation Voters. Zob. Glenn Scherer, *Christian-Right Views Are Swaying Politicians and Threatening the Environment*, grist.org, 28 października 2004, http://grist.org/article/scherer-christian.

198 Bill Moyers, *Welcome to Doomsday*, „New York Review of Books", 24 maja 2005.

199 W 2008 roku w ramach przeprowadzonego przez Bliss Center for Applied Politics Uniwersytetu w Akron ogólnokrajowego badania grup religijnych respondenci zostali poproszeni o określenie, czy zgadzają się z kategorycznie sformułowanym sądem: „Rygorystyczne przepisy ochrony środowiska są konieczne, nawet jeśli oznaczałoby to likwidację miejsc pracy albo wzrost cen". Najmniej skłonni zgodzić się z tym twierdzeniem byli członkowie Kościołów ewangelikalnych (tylko 40% uznało je za słuszne). Najchętniej zgadzali się z nim wyznawcy liberalnych odłamów protestantyzmu (72%). John C. Green, *The Fifth National Survey of Religion and Politics*, Akron 2008, http://www.uakron.edu/bliss/research/archives/2008/Blissreligionreport.pdf.

200 Około pięćdziesięciu milionów Amerykanów, z których większość to ewangelikanie, wierzy we wniebowstąpienie żywcem. Przyczyniła się do tego wydana w latach 70. ubiegłego wieku książka Hala Lindseya *The Late Great Planet Earth*, a później także cykl dwunastu powieści Jerry'ego Jenkinsa i Tima La-Haya *Pozostawieni*, które sprzedały się w USA w liczbie sześćdziesięciu dwóch milionów egzemplarzy. Zob. Glenn Scherer, dz. cyt.

201 Andrew Cohut, Scott Keeter, Carroll Doherty, Michael Dimock, Michael Remez, Robert Suls, Shawn Neidorf, Leah Christian, Jocelyn Kiley, Alec Tyson, Jacob Pushter, *Life in 2050: Amazing Science, Familiar Threats: Public Sees a Future Full of Promise and Peril*, komunikat prasowy, Pew Center for the People and the Press, 22 czerwca 2010.

202 Gina Kolata, *Death Rate Rising for Middle Aged White Americans, Study Finds*, „New York Times", 2

listopada 2015. Najwyższa śmiertelność występuje w grupie mężczyzn z wykształceniem średnim od 45 do 55 lat.

203 Sabrina Tavernise, *Life Spans Shrink for Least Educated Whites in U.S.*, „New York Times", 20 września 2012.

204 Uczelnia w Provo w stanie Ohio, należąca do Kościoła Jezusa Chrystusa Świętych w Dniach Ostatecznych.

205 Komentarz George'a Russella w Fox News, 19 grudnia 2011, *Exclusive: EPA Ponders Expanded Regulatory Power in Name of „Sustainable Development"*, http://www.foxnews.com/politics/2011/12/09/epa-ponders-expanded-regulatory-power-in-name-sustainable-development.

206 Lou Dobbs o EPA: *As It's Being Run Now, It Could Be Part of the Apparatchik of the Soviet Union*, Media Matters, 6 czerwca 2011, http://mediamatters.org/video/2011/06/06/lou-dobbs-on-the-epa-as-its-being-run-now-it-co/180331.

207 Todd Thurman, *Charles Krauthammer Destroys Global Warming Myths in 89 Seconds*, „Daily Signal", 18 lutego 2014, http://blog.heritage.org/2014/02/18/charles-krauthammer-destroys-global-warming-myths-89-seconds.

208 Media Matters, organizacja monitorująca media, w maju 2014 roku przeanalizowała archiwa Fox News pod kątem materiałów nawiązujących do Agencji Ochrony Środowiska. Znaleziono siedem przypadków powołania się dziennikarzy na krytyczny wobec propozycji podniesienia standardów ochrony klimatu raport Izby Handlowej USA i jeden powołania się na opinię Krajowej Rady Obrony Zasobów (National Resources Defence Counsel, NRDC), według której bardziej rygorystyczne standardy klimatyczne pozwoliłyby zmniejszyć rachunki gospodarstw domowych za energię elektryczną i stworzyć miejsca pracy w energetyce źródeł odnawialnych. Według raportu Media Matters „wszyscy członkowie Kongresu, których Fox News cytowało lub z którymi rozmawiało o standardach emisji dwutlenku węgla, przed wyborami w 2014 roku otrzymali darowizny od przemysłu naftowo-gazowego, przedsiębiorstw górniczych albo od producentów energii elektrycznej". Największe sumy trafiły do senatora Mitcha McConnella (republikanina z Kentucky), członkini Izby Reprezentantów Shelley Moore Capito (republikanki z Wirginii Zachodniej) i senatora Jamesa Inhofe'a (republikanina z Oklahomy). Zob. Laura Santhanan, *Report: Fox News Enlists Fossil Fuels Industry to Smear EPA Carbon Pollution Standards*, Media Matters, 6 czerwca 2014, http://mediamatters.org/research/2014/06/06/report-fox-news-enlists-fossil-fuel-industry-to/199622.

209 Zob. Candace Clark, *Misery and Company: Sympathy in Everyday Life*, University of Chicago Press, Chicago 1998.

210 *Restore* (ang.) – przywrócić, uzdrowić.

211 James Ridgeway, *Environmental Espionage: Inside a Chemical Company's Louisiana Spy Op*, „Mother Jones", 20 maja 2008, http://www.motherjones.com/ environment/2008/05/environmental-espionage-inside-chemical-companys-louisiana-spy-op.

212 Tamże. Jak wynika z billingów, BBI – czyli Beckett Brown International, jak się wówczas nazywała firma (później jej właściciele zmienili nazwę na S2i) z siedzibą w Easton w stanie Maryland – obsługiwała również innych korporacyjnych klientów (Halliburton, Monsanto, National Rifle Association). Z upublicznionych materiałów procesowych wynika, że BBI wymieniła także inne „potencjalne miejsca działania" – Center for Food Safety, U.S. Public Interest Research Group oraz Environment and Justice, organizację założoną przez Lois Gill, która ujawniła sprawę składowania toksycznych odpadów na niesławnym nowojorskim wysypisku Love Canal.

213 Tamże. Postępowanie w sądzie wykazało, że firma „zniszczyła dokumenty świadczące o pełnych rozmiarach wycieku i działaniach koncernu".

214 Theresa Schmidt, *Condea Vista Hired Spies*, KPLCTV, 29 maja 2008, http://www.kplctv.com/story/8399515/condea-vista-hired-spies; Theresa Schmidt, *Spy Targets Call for Action*; KPLCTV, 30 maja 2008, http://www.kplctv.com/story/8404443/spy-targets-call-for-action; Theresa Schmidt, *Motion Filed to Force Disclosure of Spy Details*, KPLCTV, 4 czerwca 2008, http://www.kplctv.com/story/8433538/motion-filed-to-force-disclosure-of-spy-details; Theresa Schmidt, *Attorneys Seek Disclosure of Spy Operation*, KPLCTV, 3 grudnia 2008, http://www.kplctv.com/story/9366858/attorney-seek-disclosure-of-spy-operation.

215 Wyszukiwanie artykułów na ten temat w serwisie LexisNexis dla okresu od 1980 roku do dziś nie przyniosło żadnych wyników poza tekstem Ridgewaya w „MotherJones".

[216] Głęboka historia krystalizuje emocje, które istniały już wcześniej. Daje to, co T. S. Eliot nazywa „korelatem obiektywnym", zdefiniowanym przez niego jako „jakiś ciąg wydarzeń, które powinny stać się formułą tego właśnie konkretnego uczuciowego stanu, skutkiem czego przywołanie faktów o charakterze zewnętrznym, które wyczerpać się muszą w doznaniu zmysłowym, przywoła również odpowiedni stan uczuciowy". T. S. Eliot, *Hamlet* [w:] *Kto to jest klasyk i inne eseje*, przeł. Helena Pręczkowska, Znak, Kraków 1998, s. 118. Metafory porządkują sytuacje, które tworzą „formuły stanów emocjonalnych". Zob. George Lakoff, Mark Johnson, dz. cyt. Metafora nie jest narzucana przez rzeczywistość, lecz przez osobiste poczucie, że p a s u j e ona do rzeczywistości. Twierdzę, że poglądy polityczne kształtują się wokół głębokiej historii – tak działa metafora. Uważam również, że głęboka historia implikuje określoną, zgodną z nią osobowość; tę osobowość, gdy się już ukonstytuuje, chronimy przez zarządzanie emocjami. Co więcej, moim zdaniem każda głęboka historia implikuje także obszar amnezji, nie-historii, nie-osobowości. Zob. też Arlie Russell Hochschild, dz. cyt., s. 44–45.

[217] David R. Gibson, *Doing Time in Space: Line Joining Rules and Resulting Morphologies*, „Sociological Forum" 2008, nr 2, s. 207–233.

[218] Zgadza się to z analizą dr Larry'ego Rosenthala, dyrektora Center for Right Wing Studies, Institute for the Study of Social Issues na Uniwersytecie Kalifornijskim w Berkeley. Zob. http://www.fljs.org/sites/www.fljs.org/files/publications/Rosenthal.pdf.

[219] Phillip Longman, *Wealth and Generations*, „Washington Monthly" 2015, nr 6–8, s. 3, http://www.washingtonmonthly.com/magazine/junejulyaugust_2015/features/wealth_and_generations055898.ph

[220] Tamże.

[221] Zob. Allison Pugh, *The Tumbleweed Society: Working and Caring in an Age of Insecurity*, Oxford University Press, London 2015.

[222] W tym samym czasie, gdy jego zarobki drastycznie spadły, Bill obserwował wzrost aspiracji amerykańskich konsumentów, którzy marzyli teraz o dorównaniu 1% najbogatszych. Ekonomistka Juliet Schor w książce *The Overspent America* zwraca uwagę, że na pytanie, z czym kojarzy się im „dobre życie", w 1975 r. „letni dom" wymieniło 19% Amerykanów; w 1991 r. już 35%. Dom z basenem? 14% w 1975 r., 29% w 1991 r. Dużo pieniędzy? 38% w 1975 r., 55% w 1991 r. Zarobki wyższe od przeciętnych? 45% w 1975 r. i 60% w 1991 r. Juliet Schor, *The Overspent American: Why We Want What We Don't Need*, Harper Perennial, New York 1999, s. 16.

[223] Barbara Ehrenreich, *Dead, White, and Blue: The Great Die-Off of America's Blue Collar Whites*, tomdispatch.com, 1 grudnia 2015 r., http://tomdispatch.com/post/176075/tomgram.

[224] Nils Kumkar, *A Socio-Analysis of Discontent: Protests Against the Politics of Crisis in the U.S. and Germany: An Empirical Comparison*, praca doktorska na Wydziale Socjologii Uniwersytetu w Lipsku (niepublikowana, korespondencja e-mailowa, 30 listopada 2015).

[225] Theda Skocpol, Vanessa Williamson, dz. cyt.

[226] *Public Religion Research Institute's American Values Atlas, Louisiana*, http://ava.publicreligion.org/#religious/2015/States/religion/m/US-LA.

[227] Melissa Deckman, *A Gender Gap in the Tea Party?*, referat na sesję Midwest Political Science Association, 11–14 kwietnia 2013 (niepublikowany).

[228] Podział społeczeństwa 90%–10% opisuje sytuację, która zaistniałaby, gdyby usunąć rząd federalny – tzn. bez płacenia podatków i dystrybucji środków za pośrednictwem takich programów, jak ubezpieczenie od bezrobocia, bony żywnościowe i Medicaid. Od 1980 do 2012 roku PKB Stanów Zjednoczonych znacznie wzrosło, ale 90% Amerykanów tego nie odczuło. W tym okresie średnie zarobki 10% najwyżej zarabiających wynosiły 260 488 dolarów rocznie, średnie zarobki pozostałych 90% – 31 659 dolarów rocznie. Nie znam nikogo, kto zarabiałby ćwierć miliona dolarów rocznie. W 2014 r. p r ó g dochodu górnych 10% wynosił 118 140 dolarów rocznie (115 938 w 2012 r.) W tej grupie gospodarstwa domowe, gdzie oboje małżonkowie, bez względu na wykształcenie, pracują zawodowo, osiągały dochód co najmniej taki lub wyższy.

[229] Robert Reich, *Saving Capitalism: For the Many, Not the Few*, Vintage, New York 2015; John Ehrenreich, *Third Wave Capitalism: How Money, Power, and the Pursuit of Self-Interest Have Imperiled the American Dream*, ILR Press, Ithaca 2016; Thomas Piketty, Emmanuel Saez, *2007 Average Incomes, U.S. 1980–2012 (in real 2014 dollars)*. Zob. też Thomas Piketty, *Kapitał XXI wieku*, przeł. Andrzej Bilik, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2015. Thomas Piketty i jego francusko-amerykański kolega Emmanuel Saez opierają ten

podział na dochodach, jakie ludzie osiągaliby, gdyby nie było rządu – tzn. nie płacąc podatków i nie korzystając z redystrybucji środków za pośrednictwem programów rządowych (pomoc społeczna, ubezpieczenie od bezrobocia, talony żywnościowe, Medicaid, ulgi podatkowe od dochodu z pracy). Zob. też Jacob S. Hacker, Paul Pierson, *Winner-Take-All Politics*, Simon & Schuster, New York 2010. W Stanach Zjednoczonych spektakularny awans społeczny zawsze był trudny do osiągnięcia: amerykańskie dziecko urodzone w 1971 roku w rodzinie z dolnej jednej piątej skali dochodów miało tylko 8% szans na przebicie się do górnej jednej piątej, czyli na urzeczywistnienie romantycznego mitu „od pucybuta do milionera". By ocenić międzypokoleniową mobilność społeczną, naukowcy przeanalizowali zeznania podatkowe czterdziestu milionów amerykańskich trzydziestolatków i porównali je z zeznaniami podatkowymi ich rodziców sprzed dwudziestu lat. Raj Chetty, Nathaniel Hendren, Patrick Kline, Emmanuel Saez, Nicholas Turner, *Is the Unites States Still a Land of Opportunity? Recent Trends in Intergenerational Moblility*, analiza National Bureau of Economic Research nr 19844, http://www.nber.org/papers/w19844. Zob. też Raj Chetty, Nathaniel Hendren, Patrick Kline, Emmanuel Saez, *Where is the Land of Opportunity? The Geography of Intergenerational Mobility in the United States*, „Quarterly Journal of Economics" 2014, s. 1–71. Miejsce zamieszkania ma duży wpływ na mobilność społeczną młodych ludzi z rodzin o niskich dochodach, ale nie ich rówieśników z rodzin zamożnych. Zob. David Leonhardt, *In Climbing Income Ladder, Location Matters*, „New York Times", 22 lipca 2013, http://www.nytimes.com/2013/07/22/business/in-climbing-income-ladder-location-matters.html.

230 Słoń jest symbolem Partii Republikańskiej.

231 Janice popierała inwazję na Irak oraz wierzyła, że przed wkroczeniem amerykańskiej armii Saddam Husajn ukrywał broń masowego rażenia i utrzymywał kontakty z Al-Kaidą.

232 Chaz jest teraz transgenderycznym mężczyzną, nie gejem.

233 Louisiana Department of Environmental Quality, *Solid Waste Landfill Report* (data dostępu: 7 sierpnia 2015), http://www.deq.louisiana.gov/portal/DIVISIONS/WastePermits/SolidWastePermits/SolidWasteLandfillReport.as

234 Pomocna charakterystyka różnych typów indywidualizmu, zob. Ann Swidler, *Cultural Constructions of Modern Individualism*, referat na sesję Amerykańskiego Towarzystwa Socjologicznego.

235 Księga Izajasza 40:31.

236 W wieku trzech lat Mike Tritico także niczego się nie bał, ale szybko się z tego wyleczył. W Boże Narodzenie wpadł na niemądry pomysł wyfrunięcia z domu przez komin. Uratował go dziadek, Pappa Billy. To jedno z najwcześniejszych wspomnień Mike'a. „Myślałem, że mogę latać jak Superman. Wziąłem rozbieg, wskoczyłem do kominka, wpadłem rękami w węgle i właśnie miałem nabrać powietrza, kiedy dziadek wyszarpnął mnie za koszulę, mówiąc: «Przed niektórymi niebezpieczeństwami ktoś musi nas uratować»". Tritico sam wyrósł na obrońcę innych. Jego matka była kobietą niezwykle inteligentną, ale niezrównoważoną emocjonalnie i Mike musiał pilnować młodszego rodzeństwa. Istnieją realne zagrożenia, trzeba zachować czujność.

237 James Ridgeway, *Environmental Espionage: Inside a Chemical Company's Louisiana Spy Op*, „Mother Jones", 20 maja 2008, http://www.motherjones.com/ environment/2008/05/environmental-espionage-inside-chemical-companys-louisiana-spy-op.

238 John Guldroz, *LSU Professor Discusses Climate Change, Erosion*, „American Press",  28 czerwca 2013.

239 Jak w wielu podobnych rozmowach, rasa matek, które mają za dużo dzieci, nie została określona wprost. Jeśli chodzi o rzeczywiste wskaźniki dzietności białych i czarnych kobiet, zob. Aneks C.

240 John Baugher, J. Timmons Roberts, *Perceptions and Worry About Hazards at Work: Unions, Contract Maintenance, and Job Control in the U.S. Petrochemical Industry*, „Industrial Relations" 1999, nr 4, s. 522–541.

241 Mniej niż 10% pracowników biurowych – w przeważającej większości kobiet – stwierdziło, że w pracy „często albo zawsze" są narażeni na działanie szkodliwych substancji chemicznych, ale aż 35% przyznało, że się tym martwi (tamże, s. 531). Sposób myślenia Donny'ego był typowy dla robotnika zatrudnionego w godzinowym systemie pracy. Mike Tritico myślał jak kierownicy i pracownicy biurowi. Ponadto odsetek zaniepokojonych narażeniem na kontakt ze szkodliwymi substancjami był trzykrotnie wyższy wśród członków związków zawodowych niż wśród pracowników niezrzeszonych, być może dlatego, że zostali lepiej przeszkoleni z zasad BHP. Częściej również uważali, że procedury bezpieczeństwa w ich zakładzie pracy są niewystarczające (28% członków związków zawodowych i 10% niezrzeszonych). Zakłady chemiczne zatrudniają robotników kontraktowych do pomocy w serwisowaniu urządzeń w czasie planowych przestojów. Zwykle pracują oni pod silną presją, by jak najszybciej wznowić produkcję. W czasie serwisowania urządzeń zagrożenie zwykle

wzrasta. Sześciu na dziesięciu robotników uważało, że praca w czasie serwisowania urządzeń i przestawiania ich na inną produkcję jest bardziej niebezpieczna. Robotnicy etatowi czuli się bezpieczniejsi niż ci zatrudnieni na podstawie kontraktu i mniej bali się pożaru. Robotnicy na etacie mniej się obawiają utraty pracy (w roku poprzedzającym badanie tylko 6% z nich musiało pójść na przymusowy bezpłatny urlop, w porównaniu z 51% robotników kontraktowych). Niepewność zatrudnienia zwiększała skłonność do lęku. Robotnicy kontraktowi dwa razy rzadziej korzystali z prawa do odmowy pracy w niebezpiecznych warunkach.

242 Jak stwierdzają autorzy: „Pytania o dochody, system edukacji i kilka innych ważnych czynników pokazały wyraźnie, że odmienną – niewykazującą niepokoju – grupą nie są kobiety, tylko biali mężczyźni” (tamże, s. 523).

243 Matthew Desmond, *On the Fireline: Living and Dying with Wildland Firefighters*, University of Chicago Press, Chicago 2007.

244 Projekt ustawy numer 209 nie zakazywał odwiertów w wysadach solnych, a jedynie obwarowywał zezwolenia dodatkowymi wymaganiami. Koncerny byłyby zobowiązane zwrócić administracji stanowej koszty zażegnania katastrofy oraz wypłacać poszkodowanym mieszkańcom godziwe odszkodowania za zniszczony majątek. Ustawa nie została uchwalona.

245 List, zaadresowany do pani Peggy Hatch, dotyczył zezwolenia nr LA0126917 i sprawy nr PER20140001, Texas Brine, LLC, 201.

246 E-mail Mike’a Schaffa do autorki, 8 czerwca 2015.

247 Luizjański Departament Jakości Środowiska stwierdził, że czujniki nie wykryły śladów gazu i że powietrze oraz woda są „całkowicie bezpieczne”. Mike napisał jednak do władz, że „w całej okolicy” czuć „bardzo wyraźny zapach ropy naftowej i / albo oleju napędowego. […] Potwierdzenie wyników przez federalnych uśmierzyłoby nasze obawy. […] Prosimy, żebyście zwrócili się do EPA, żeby przysłali kogoś do ponownego zbadania jakości wody i powietrza” (rozmowa osobista).

248 *Iberia Parish*, *Louisiana Travel Directory*, Tour Louisiana (data dostępu: 7 sierpnia 2015), http://www.tourlouisiana.com/content.cfm?id=15.Jefferson.

249 Island Storage and Hub (dawne AGL Resources) połączyło się z elektrownią Nocor Oil & Gas, stając się największym dystrybutorem gazu ziemnego w Stanach Zjednoczonych. Koncern planuje rozszerzyć wykorzystanie kawern solnych do magazynowania gazu. Zob. AGL Resources, *2011 Annual Report* (data dostępu: 7 sierpnia 2025), http://www.aglresources.com/about/docs/AGL_AR_2011/2011AnnualReport.pdf. W 2011 roku stopa zysku akcjonariuszy wyniosła 24%. Zob. też Yolanda Martinez, *Environmentalists Allege Constitutional Violation in Permitting Gas Storages Salt Dome Construction in Lake Peigneur*, „Louisiana Record”, 24 lipca 2013.

250 W 2013 roku odbyło się publiczne wysłuchanie w sprawie jednego z trzech pozwoleń. Koncern AGL Resources z centralą w Atlancie ubiegał się o pozwolenie na wyługowanie w wysadzie solnym dwóch nowych kawern dla Jefferson Island Storage and Hub, które miały służyć do przechowywania gazu ziemnego. Nowe kawerny w pobliżu dwóch eksploatowanych od lat 90. przeszło dwukrotnie zwiększyłyby pojemność magazynową JIS&H. By zrealizować ten projekt, AGL potrzebowało dwóch oddzielnych pozwoleń – na wyługowanie kawern w wysadzie solnym i na przechowywanie w nich gazu ziemnego. W 2006 roku ówczesna gubernator stanu, Kathleen Blanco, wstrzymała procedurę, uważając, że najpierw należy gruntownie zbadać potencjalne skutki dla środowiska. AGL pozwało stan Luizjana do sądu i w 2009 roku sprawa zakończyła się ugodą, która wprawdzie przewidywała wprowadzenie dodatkowych zabezpieczeń, ale odstępowała od wymogu przeprowadzenia badań żądanych przez mieszkańców. Po ugodzie procedura wydawania pozwoleń zaczęła się od początku.

251 W sierpniu 2012 roku „Advocat” opublikował wyniki śledztwa dziennikarskiego w archiwach Departamentu Zasobów Naturalnych, które ustaliło, że w 1995 roku Texas Brine otrzymał pozwolenie na składowanie materiałów radioaktywnych w kawernie solnej w wysadzie Napoleonville. Zob. *Dome Issues Kept Quiet*, „Advocate”, 12 sierpnia 2012.

252 „Dzień dobry, senatorze Long. Nie jestem sowicie opłacanym lobbystą przemysłu energetycznego ani szalonym ekologiem. Jak wielu tutejszych mieszkańców, przez całe życie utrzymywałem się z pracy w przemyśle. […] To smutne, że z powodu zbyt liberalnych przepisów i chaotycznego wydobycia soli z wysadu pod naszymi stopami członków mojej społeczności czeka ponura i niepewna przyszłość. Mam nadzieję, że przyjęcie tej ustawy oszczędzi podobnych konsekwencji mieszkańcom okolic wysadu solnego Jefferson Island”.

Pod listem widniał podpis: „Mike i Becky Schaffowie, mieszkańcy Bayou Corne i przyjaciele Lake Peigneur”.

253 Coastal Wetlands Planning, Protection and Restoration Act (CWPPRA, ustawa o zagospodarowaniu, ochronie i restytucji nadmorskich terenów wodno-bagiennych), *Frequently Asked Questions*, https://lacoast.gov/newAbout/FAQs.aspx.

254 *As More of Coastal Louisiana Is Lost, Official Map Makers Erase Names*, WorldNow, 21 kwietnia 2014, http://apmobile.worldnow.com/story/24807691/as-more-of-coastal-louisiana-is-lost-mapmakers-erase-names.

255 John Snell, *Despite Land Loss, Native American Community Clings to Life Along the Mississippi River*, WorldNow, 4 marca 2015, http://apmobile.worldnow/26559685/despite-land-loss-native-american-community-clings-to-life-along-the-mississippi-river; Amy Wold, *Washed Away*, „Advocate”, http://theadvocate.com/home/5782941-125/washed-away.

256 Coral Davenport, Campbell Robertson, *Resettling the First American ‘Climate Refugees’*, „New York Times”, 3 maja 2016.

257 Krótko po mojej pierwszej wizycie w Bayou Corne Mike przysłał mi w 2014 roku e-mail zatytułowany *Zapadlisko innego rodzaju*, z linkiem do artykułu w „Washington Post” o sześciusetosobowym zespole, który w Boyers w stanie Pensylwania archiwizuje papierowe akta przechodzących na emeryturę pracowników instytucji państwowych. Archiwum mieści się w opuszczonej kopalni soli, gdzie jest dość miejsca na składowanie dokumentów. „Widzisz, jakie marnotrawstwo?” – skomentował Mike. David Fahrenthold, *Deep Undergound Federal Employees Process Paperwork by Hand in a Long Outdated Inefficient System*, „Washington Post”, 22 marca 2014.

258 Zob. Richard Hofstadter, *The Age of Reform*, Vintage Books, New York 1966, s. 4; Jill Lepore, *The Whites of Their Eyes: The Tea Party’s Revolution and the Battle over American History*, Princeton University Press, Princeton 2010.

259 Wilbur Joseph Cash, *The Mind of the South*, Vintage Books, New York 1991.

260 Tamże, s. 39, 217. Cash opisuje „niezmierną, powszechną wdzięczność spływającą na potentata bawełnianego; na starych magnatów, na wszystkich szermierzy i orędowników Postępu, na całą klasę panującą za to, że przyjęła doktrynę i zaprowadziła owe porządki [postęp gospodarczy ostatniej dekady XIX wieku] […] jako narzędzie zbawienia dla Południa i dla nich samych” (tamże, s. 215).

261 Biały plantator, pisał Cash, „bez względu na to, jak cyniczne mogły się wydawać jego czyny, zawsze uważał się za wielkiego obywatela i patrona ludu, w obejściu z zależnymi od siebie demonstrując pełne przekonanie, iż z jego łaski spływają na nich niezliczone dobrodziejstwa. […] Czyż to nie on pozwolił ci zasadzić bawełnę? Czyż to nie dzięki niemu mogłeś uprawiać ziemię rok po roku, przez długie lata? A jeśli nawet w końcu sprzedał twoje pole, to czy na jego miejscu, zatwardziały indywidualisto, nie postąpiłbyś tak samo? Czy nie potraktował cię przy tym życzliwie? Nie wystarał się dla ciebie o dobrą dzierżawę na własnej ziemi albo gdzieś indziej?”. Obawiając się buntu niewolników, bogaci plantatorzy łaskawie traktowali ubogich białych farmerów. Odwoływali się do wspólnej tożsamości rasowej, pozwalając białym sąsiadom czuć się „honorowymi plantatorami”. Cash tłumaczy, że biali bogacze „wykorzystywali białych dzierżawców za pomocą rasowej lojalności i zwykłego paternalizmu. W najmniejszym stopniu nie poczuwali się […] do odpowiedzialności za los wywłaszczonych [ubogich białych] […], choć żyli tuż przed naszym, plantatorów, nosem. Ludzie, których znaliśmy od dziecka, z którymi śmialiśmy się, polowaliśmy i, w wielu przypadkach, walczyliśmy ramię w ramię” (tamże, s. 166).

262 Oczywiście na Południu była niewielka liczba czarnych właścicieli niewolników i białej służby kontraktowej, ale przytłaczającą większość ciemiężonych stanowili czarni, i to ich los budził powszechną grozę. W południowych stanach Ameryki dokonano 3959 linczów, w tym 540 w Luizjanie, a w parafii Calcasieu czterech. Ich ofiary, wśród których według zachowanych dokumentów byli „ojciec gwałciciela”, „ukrywający się pod łóżkiem” i „odprawiający obrzędy wudu”, nie zostały uczczone żadnym pomnikiem. W odczuciu większości moich znajomych szkolny program historii omawiał to zjawisko, ale nie łączył go w żaden sposób z rasizmem. Najwięcej linczów wydarzyło się w latach 90. XIX wieku – w samym roku 1890 aż dwadzieścia sześć. Dwa w 1928. Głównie czarni, głównie za morderstwo lub gwałt; sami mężczyźni z wyjątkiem jednej kobiety zlinczowanej za usiłowanie zabójstwa; dwie osoby za bunt i morderstwo. Dwaj biali zginęli za „rozgniewanie Ku Klux Klanu”, jeden w hrabstwie Bossier za „współżycie z białą kobietą”, jeden za „podglądanie”, a dwaj po prostu jako „bracia morderców”. Jeszcze jeden w Calcasieu, ponieważ „bronił gwałciciela”. W Missisipi wśród wymienionych powodów znalazły się: „ojciec mordercy”, „przestraszył

kobietę", „znieważył dziewczynę", „zganił białego chłopca", „przesądy rasowe" i „gnuśność". Zob. dokumenty historyczne zebrane w ramach Project HAL: Historical American Lynching Data Collection Project, University of North Carolina-Wilmington, http://people.uncw.edu/hinese/HAL/HAL Web Page.htm. Cztery z pięciu hrabstw, w których w latach 1877–1950 odnotowano najwięcej linczów, znajdują się w Luizjanie (parafie Caddo, Lafourche, Ouchaita i Tensas). Ich liczba była mniejsza niż w Missisipi i większa niż w Wirginii. (Najwięcej linczów dokonano w Arkansas, Missisipi i Georgii).

263 Wilbur Joseph Cash, dz. cyt., s. 22. Plantacje często były finansowane przez banki z Północy USA, a czasem wręcz stanowiły ich własność.

264 Tamże.

265 Tamże.

266 Tamże, s. 23.

267 Tamże.

268 Tamże.

269 Mark Twain, *Życie na Missisipi*, przeł. Zofia Siwicka, Czytelnik, Warszawa 1967, s. 234.

270 Oliver A. Houck, *Save Ourselves: The Environmental Case That Changed Louisiana*, „Louisiana Law Review" 2012, nr 72, s. 409–437.

271 Michael Hout zwrócił moją uwagę na potężne inwestycje rządu federalnego na Południu w okresie od lat 60. XIX wieku do lat 60. XX wieku. Zob. Claude Fischer, Michael Hout, *Century of Difference: How America Changed in the Last One Hundred Years*, Russell Sage Foundation, New York 2008. Zob. też Ira Katznelson, *When Affirmative Action Was White: An Untold History of Racial Inequality in Twentieth-Century America*, W. W. Norton & Company, New York 2006.

272 Zob. Chip Berlet, *Reframing Populist Resentment in the Tea Party Movement* [w:] *Steep: The Precipitous Rise of the Tea Party*, red. Lawrence Rosenthal, Christine Trost, University of California Press, Berkeley 2012, s. 47–66. Lawrence Rosenthal podkreślił również rolę reakcji na protesty przeciwko wojnie w Wietnamie.

273 Studentów zmobilizowały dwie organizacje: CORE (Congress of Racial Equality z Chicago) i SNCC (Student Non-Violent Coordinating Committee).

274 Doug McAdam, *Freedom Summer*, Oxford University Press, Oxford 1990.

275 Tzw. Title VII, dodany do ustawy o prawach obywatelskich w 1964 roku, zakazał dyskryminacji ze względu na płeć, a Title IX, dodany w 1972 roku, dyskryminacji w dostępie do edukacji.

276 Todd Gitlin, dz. cyt., s. 124–125.

277 Tysiąc organizacji i grup studenckich, które działały na Uniwersytecie Kalifornijskim w Berkeley w 2015 roku, odzwierciedlało kulturę studencką tej liczącej 37 000 słuchaczy uczelni. Część z nich bazowała na zainteresowaniach zawodowych (np. Society for Landscape Architecture), inne skupiały się na kwestiach społecznych (np. Campus Green Initiative, Amnesty International, The Anti-Trafficking Coalition), kolejne miały character religijny (jak Acts 2 Fellowship), rekreacyjny (Berkeley Ballroom Dancers) lub łączyły obie te funkcje (Christ-Centered Dance Group). Jeszcze inne koncentrowały się na rozwoju osobistym, np. Body Peace, stowarzyszenie osób walczących z zaburzeniami odżywiania. Istniały też grupy określone, w duchu polityki tożsamości, wyłącznie w kategoriach etnicznych – Asian and Pacific Islander Women's Circle, Cal Queer and Asian, The Albanian Association, The American Indian Studies Association. W innych przypadkach tożsamość rasowa lub genderowa łączyła się z zainteresowaniami zawodowymi lub hobbistycznymi: The American Medical Women's Association at Berkeley, The Armenian Law Student Association, The Black Engineering and Science Student Association. Uniwersytet Stanowy Luizjany, który ukończyło wielu moich informatorów, miał [w 2015 roku] 31 000 studentów i 375 oficjalnych organizacji studenckich. Były wśród nich aktywnie działające korporacje studentów i studentek, oczywiście osobne dla mężczyzn i kobiet. Kilka grup, takich jak Minorities in Agriculture and Natural Resources, The Minority Women's Movement, uzależniało członkostwo od statusu rasowego.

278 Citizens for Tax Justice, *Corporate Taxpayers and Corporate Tax Dodgers, 2008–2010*, listopad 2011, http://ctj.org/ctjreports/2011/11/corporate taxpayers corporate tax dodgers 2008-2010.php. Większość amerykańskich przedsiębiorstw płaci w Stanach Zjednoczonych niższe podatki niż w innych państwach, w których prowadzą działalność.

279 Według Geralda Seiba z „Wall Street Journal" Trump jest „spadkobiercą" Partii Herbacianej, mimo że nie wpisuje się dokładnie w żaden z nurtów myśli konserwatywnej, które złożyły się na ten ruch. Gerald Seib, *How*

*Trump's Army Is Transforming GOP*, „Wall Street Journal", 23 lutego 2016.

280 CNN Politics, *Trump Ends Wild Day on Campaign Trail by Calling for Protestors Arrest*, 13 marca 2016, http://www.cnn.com/2016/13/12/politics/donald-trump-protests. Zob. też *Next Time We See Him, We Might Have to Kill Him: Trump Fan on Punching Black Protester*, rt.com, 11 marca 2016, https://www.rt.com/usa/335188-trump-protester-punched-arrested.

281 Donald J. Trump na wiecu w Kansas City, Missouri, 12 marca 2016, https://www.youtube.com/watch?v=owSn8IYQUks.

282 Coral Davenport, *E.P.A. Faces More Tasks, Louder Critics, and a Shrinking Budget*, „New York Times", 19 marca 2016.

283 *Donald Trump Forcefully Removes Protesters from Louisiana Rally*, mic.com, 5 marca 2016, http://mic.com/articles/137129/donald-trump-forcefully-removes-protesters-from-louisiana-rally.

284 Émile Durkheim, *Elementarne formy życia religijnego. System totemiczny w Australii*, przeł. Anna Zadrożyńska, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2010, s. 188; zob. też s. 319 o obrzędach jako formie sztuki dramatycznej i s. 344 o symbolicznej roli kozła ofiarnego. Zob. też. René Girard, *Kozioł ofiarny*, przeł. Mirosława Goszczyńska, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1987.

285 Potrzebę wiary przejmująco i wnikliwie opisali Leon Festinger, Henry W. Riecken i Stanley Schachter w *Gdy proroctwo zawodzi. Koniec świata, który nie nastąpił*, przeł. Małgorzata Hołda, Wydawnictwo WAM, Kraków 2012.

286 Chico Harlan, *Battered in Drop in Oil Prices and Jindal's Financial Policies, Louisiana Falls into Budget Crisis*, „Washington Post", 4 marca 2016, https://www.washingtonpost.com/news/wonk/wp/2016/03/04/the-debilitating-economic-disaster-louisiana-governor-left-behind. Zob. też Campbell Robertson, *In Louisiana, the Poor Lack Legal Defense*, „New York Times", 20 marca 2016.

287 Richard Florida, *Is Life Better in America's Red States?*, „New York Times Sunday Review", 3 stycznia 2015.

288 Amanda Little, *Will Conservatives Finally Embrace Clean Energy?*, „New Yorker", 29 października 2015.

289 Dan Fagin, Toms River: *A Story of Science and Salvation*, Bantam, New York 2013.

290 Mimo że we wcześniejszych latach poziom zanieczyszczeń spadał, ostatnio znów zaznaczyła się tendencja wzrostowa. Ilość toksycznych ścieków spuszczanych do amerykańskich wód rośnie od 1988 roku. Od 2009 roku rośnie ilość odpadów toksycznych składowanych na lądzie i zrzucanych do powietrza. W ostatnich latach liczby dla całego kraju, a także dla większości stanów i hrabstw, wskazują na utrzymującą się tendencję wzrostową. W całych Stanach Zjednoczonych w 2009 r. wyemitowano do powietrza łącznie 144 163 745,3 kg substancji toksycznych; w 2012 r. było to już 148 587 764,5 kg. W 2008 r. do amerykańskich wód trafiło łącznie 5 518 377,6 kg substancji toksycznych; w 2012 5 693 118, 6 kg. W 2005 r. do studni iniekcyjnych wpuszczono 43 141 363,5 kg odpadów toksycznych; w 2012 już 43 656 620,4 kg. Dla składowisk odpadów toksycznych na lądzie liczba ta wyniosła 33 893 268,3 kg w 2012 r., ale w 2013 już 35 550 056,6 kg. Dane ze strony internetowej Toxic Release Inventory Environmental Protection Agency, http://www.2.epa.gov/toxics-release-inventory-tri-program.

291 W 2014 roku podatki dochodowe od przedsiębiorstw przyniosły Luizjanie 481 212 000 dolarów, a podatki od eksploatacji zasobów naturalnych 862 150 000. Jednakże według informacji upublicznionych przez audytora stanowej legislatury i luizjański urząd skarbowy Luizjana straciła 2,4 mld USD, ponieważ w latach 2000–2014 władze stanu hojną ręką zwalniały koncerny naftowe z płacenia podatku od eksploatacji zasobów naturalnych. W przypadku trzech lat nie można stwierdzić, czy koncerny w ogóle wpłaciły cokolwiek do kasy Luizjany, ponieważ kontrolowanie ściągalności tych zobowiązań powierzono powiązanemu z przemysłem naftowym Office of Mineral Resources, które w latach 2010–2013 nie przeprowadziło ani jednego audytu. U.S. Census Bureau, *State Government Tax Collection: 2014*, tabela STC005 (data dostępu: 11 grudnia 2015), http://factfinder.census.gov/bkmk/table/1.0/en/STC/2014/STC005; Institute for Southern Studies, *Looting Louisiana: How the Jindal Administration Is Helping Big Oil Rip Off a Cash-Strapped State*, http://www.southernstudies.org/2015/05/looting-louisiana-how-the-jindal-administration-is.html. Raport przytacza dane za *Tax Exemption Budget, 2011–2012* i *Tax Exemption Budget, 2014–2015* Louisiana Department of Revenue.

292 Paradoksalnie, po części to właśnie norweska kultura w ł a s n o ś c i oraz zasada dzielenia się dochodami z ropy z obywatelami uczyniły z Norwegii bogaty kraj. Jak wyjaśnił norweski wiceminister ropy naftowej i energii, Mette Agerup, działalność przemysłu wydobywczego w jego kraju opiera się na założeniu, że

przedsiębiorstwo naftowe pomaga w eksploatacji naturalnych zasobów Norwegii, ale w ostatecznym rachunku złoża ropy naftowej są w ł a s n o ś c i ą narodu. Kevin Grandia, *If Canada Is 'Oil-Rich' Why Are We So in Debt?*, DESMOGCANADA, 5 marca 2013, http://www.desmog.ca/2013/02/28/if-canada-is-oil-rich-why-are-we-so-in-debt.

293 Robert Reich, dz. cyt., s. 188.

294 Caroline Hanley, Michael T. Douglass, dz. cyt., s. 1–10.

295 Zob. Thomas Frank, *Listen, Liberal, Or What Happened to the Party of the People?*, Metropolitan Books, New York 2016; Joe Bageant, *Deer Hunting with Jesus: Dispatches from America's Class War*, Broadway Books, New York 2007.

296 Pozew został złożony 2 kwietnia 1996 roku i oddalony w 2014 roku. *Harold Areno, et al. versus the Chemical Manufacturers Association, et al.*, 14 Judicial District Court (XIV Sąd Okręgowy) in Calcasieu Parish, Louisiana. Wśród koncernów, od których Harold Areno i dwudziestu innych powodów domagało się odszkodowania, były PPG, Axiall, Citgo, Occidental Chemical i Westlake Polymers. Jak wyjaśnił mi w korespondencji e-mailowej Mike Tritico: „Ponieważ ATSDR [Agency for Toxic Substances and Disease Registry, Agencja ds. Substancji Toksycznych i Rejestru Chorób] nie potwierdziła, że na tym obszarze występują poważniejsze problemy z chlorowanymi węglowodorami, adwokat powództwa nie był w stanie udowodnić, że ktokolwiek poniósł szkodę". Mike Tritico, e-mail do autorki, 27 lipca 2015.

297 Frank DiCesare, *Bayou d'Inde Cleanup to Begin This Month*, „American Press", 16 lutego 2015.

298 Lokalny organ luizjańskiego Departamentu Jakości Środowiska, działając pod dyktando PPG, ukręcił łeb pomysłowi oczyszczenia Bayou d'Inde. Co ciekawe, pobliskie Bayou Verdine, niewielki dopływ rzeki Calcasieu, również zatruty w latach 80. XX wieku, jest dziś zupełnie czysty. Usunięcia zanieczyszczeń nie pozostawiono tam koncernom, które je spowodowały, lecz zajęły się tym agencje federalne: Amerykańska Narodowa Służba Oceaniczna i Meteorologiczna (National Oceanic and Atmospheric Administration) i Służba Połowu i Dzikiej Przyrody Stanów Zjednoczonych (U.S. Fish and Wildlife Service).

299 William Fontenot, e-mail do autorki, 16 grudnia 2013.

300 Mose Buchele, *After HB 40, What's Next for Local Drilling Rules in Texas?*, stateimpact.nrp.org, 2 lipca 2015, https://stateimpact.nrp.org/texas/2015/07/02/after-hb-40-whats-next-for-local-drilling-bans-in-texas/.

301 Zaid Jilani, *Fracking Industry Billionaires Give Record $15 Million to Ted Cruz's Super PAC*, alternet, 25 lipca 2015, http://www.alternet.org/election-2016/fracking-industry-billionaires-give-record-15-million-ted-cruz-super-pac.

302 *Laissez les bons temps rouler* (franc.) – pozwól trwać dobrym chwilom.

303 Alec MacGillis, *Who Turned My Blue State Red?*, „New York Times", 20 listopada 2015.

304 RSEI pomijają więc niektóre rodzaje zanieczyszczeń – na przykład spaliny samochodowe.

305 Z początku próbowałyśmy powiązać postawy respondentów (na podstawie GSS) z poziomem narażenia na działanie zanieczyszczeń (z RSEI) na obszarach odpowiadających kodom pocztowym. Ponieważ jednak RSEI nie zawierało danych dla niektórych kodów pocztowych, zdecydowałyśmy się oprzeć naszą analizę na wskaźnikach RSEI dla poszczególnych hrabstw (większy obszar), a nie kodów pocztowych (mniejszy obszar).

306 Zob. *A Century of Welfare Spending*, http://www.usgovernmentspending.com/us_elfare_spending_40.html. Świadczenia dla bezrobotnych osiągnęły szczytowy poziom 2,06% PKB w 2010 r., a w 2015 r. spadły do 0,5% PKB. Wydatki na Medicaid (program opieki zdrowotnej dla najuboższych) wzrosły z 1% PKB w latach 60. do 3% PKB w 2015 r.

307 Ife Floyd, Liz Schott, *TANF Cash Benefits Have Fallen by More Than 20 Percent In Most States and Continue to Erode*, Center on Budget and Policy Priorities (ostatnia aktualizacja 15 października 2015), http://www.cbpp.org/research/family-income-support/tanf-cash-benefits-have-fallen-by-more-than-20-percent-in-most-states.

308 Center on Budget and Policy Priorities, *SNAP Costs and Caseloads Declining*, 10 lutego 2016, http://www.cbpp.org/research/food-assistance/snap-costs-and-caseloads-declining. Dane na podstawie raportów USDA, U.S. Census Bureau (dane dot. obecnej i przewidywanej liczby ludności) i Congressional Budget Office. Jako datę bazową przyjęto styczeń 2016 roku.

309 Robin Rudowitz, Laura Snyde, Vernon K. Smith, *Medicaid Enrollment & Spending Growth: FY 2015 & 2016*, Henry J. Kaiser Founation, 15 października 2015, http://kff.org/medicaid/issue-brief/medicaid-enrollment-spending-growth-fy-2015-2016.

[310] Tamże; Louis Jacobson, *Are There More Welfare Recipients in the U.S. Than Full Time Workers?*, PunditFact, 28 stycznia 2015, http://www.punditfact/statements/2015/jan/28/terry-jeffrey/are-there-more-welfare-recipients-us-full-time-wor (na podstawie spisu ludności i statystyk Bureau of Labor).

[311] Ken Jacobs, Ian Perry, Jenifer MacGillvary, *The High Public Cost of Low Wages*, 13 kwietnia 2015, w części zatytułowanej *The High Cost of Low Wages*, http://laborcenter.berkeley.edu/the-high-public-cost-of-low-wages.

[312] Jason Furman, Betsey Stevenson, Jim Stock, *The 3014 Economic Report of the President*, 10 marca 2014, https://www.whitehouse.gov/blog/2014/03/10/2014-economic-report-president.

[313] Ken Jacobs, Ian Perry, Jenifer MacGillvary, dz. cyt. Bureau of Labor Statistics co roku przygotowuje profil „osoby pracującej żyjącej w ubóstwie” (*profile of the working poor*). W 2013 roku BLS obliczyło, że 5,1 mln amerykańskich rodzin żyje poniżej poziomu ubóstwa, mimo że przynajmniej jedna osoba w rodzinie przepracowała w tym roku sześć lub więcej miesięcy. „Wskaźnik ubóstwa pracujących” – stosunek liczby osób pracujących żyjących w ubóstwie do liczby wszystkich zatrudnionych przez okres co najmniej dwudziestu siedmiu tygodni – dla rodzin (zdefiniowanych przez BLS jako grupa dwóch lub więcej mieszkających razem osób, związanych ze sobą przez urodzenie, małżeństwo lub adopcję) wyniósł 7,7%. Raport uwzględnia jedynie rodziny pierwotne. Rodzina pierwotna składa się z osoby odniesienia (głowy gospodarstwa domowego) i wszystkich członków gospodarstwa domowego, związanych więzami rodzinnymi z osobą odniesienia. Rodziny zostały podzielone na małżeństwa i rodziny utrzymywane przez samotnego rodzica. Bureau of Labor Statistics, *A Profile of the Working Poor, 2013*, Washington 2015, http://www.bls.gov/opub/reports/cps/a-profile-of-the-working-poor-2013.pdf. Odnośnie do składu rasowego żyjących w ubóstwie rodzin osób pracujących, zob. Deborah Povich, Brandon Roberts, Mark Mather, *Low Income Working Families: The Racial/Ethnic Divide* (Working Poor Families Project and Population Reference Bureau, 2015), http://www.workingpoorfamilies.org/wp-content/uploads/2015/03/WPFP-2015-Report_Racial-Ethnic-Divide.pdf.

[314] Według Biura Budżetowego Kongresu (Congressional Budget Office) z 2011 roku (najnowsze dostępne dane) gospodarstwa domowe z dolnego kwintyla skali dochodów (w przeliczeniu na jednego członka rodziny) otrzymały średnio ze środków rządowych 9100 dolarów (w zasiłkach gotówkowych, pomocy rzeczowej i innych świadczeniach w ramach programów federalnych, stanowych i lokalnych), czyli ok. 37% swojego rocznego dochodu, który przed opodatkowaniem wynosił średnio 24 600 dolarów. Congressional Budget Office, *The Distribution of Household Income and Federal Taxes, 2011*, Washington 2014, https://www.cbo.gov/publicaion/49440.2.

[315] Shelley K. Irving, Tracy A. Loveless, *Dynamics of Economic Well-Being: Participation in Government Programs, 2009–2012: Who Gets the Assistance?*, Washington 2015, http://www.census.gov/content/dam/Census/library/publications/2015/demo/p70-141.pdf.

[316] Zob. wykres 2 w Ife Floyd, Ladonna Pavett, Liz Schott, *TANF Continues to Weaken as Safety Net*, Center on Budget and Policy Priorities, aktualizacja 27 października 2015, http://www.cbpp.org/research/family-income-support/tanf-continues-to-weaken-as-a-safety-net.

[317] David J. Drozd, *Trends in Fertility Rates by Race and Ethnicity for U.S. and Nebrasca*, Omaha 2015, http://ww.unomaha.edu/college-of-public-affairs-and-community-service/center-for-public-affairs-research/fertility-rate-gap.php. W 2010 statystyczna czarna kobieta miała 2,0 dzieci, a biała 1,8; zob. Mark Mather, *Fact Sheet: The Decline in U.S. Fertility*, Washington 2012, http://www.prb.org/publications/datasheets/2012/world-population-data-sheet/fact-sheet-us-population.aspx; U.S. Census Bureau, *5-Year American Community Survey [2009–2013 data]*, Washington 2013. Według danych American Community Survey z 2013 roku w skali całego kraju wskaźnik dzietności białych, nielatynoskich kobiet wynosił 59, a czarnych kobiet 58 dzieci na 1000 kobiet. Wskaźnik dzietności ubogich kobiet (kobiet w wieku od 15 do 55 lat, podpadających pod jakąkolwiek kategorię ubóstwa) wynosił 56 dzieci na 1000 kobiet. W Luizjanie wskaźnik dzietności białych, nielatynoskich kobiet wynosił 53, a czarnych kobiet 61 dzieci na 1000 kobiet. Dla kobiet ubogich wyniósł 58 dzieci na 1000 kobiet.

[318] Bureau of Labor Statistics, *Current Employment Statistic [2014 data]*, Washington 2014 (data dostępu: 2 września 2014), http://stats.bls.gov/ces/#data.

[319] Defense Manpower Data Center, *Personnel, Workforce Reports & Publications*, Washington 2014 (data dostępu: 25 listopada 2014), https://www.dmdc.osd.mil/appj/dwp/dwp_reports.jsp.

[320] Bureau of Labor Statistics, *Current Employment Statistics* [2014 data].

[321] David Cooper, Mary Gable, Algernon Austin, *The Public-Sector Jobs Crisis: Women and African-American Hit Hardest by Job Losses in State and Local Governments*, Economic Policy Institute, 2 maja 2012, http://www.epi.or/publication/bp339-public-sector-jobs-crisis (zob. Keefe, 2010).

[322] W dwóch z pięciu kategorii wykształcenia (ukończona szkoła średnia i niektóre college'e) czarni zatrudnieni w sektorze publicznym zarabiają mniej niż biali z porównywalnym wykształceniem, przy czym te dwie kategorie obejmują większość czarnych pracowników sektora publicznego. Zatrudnieni w sektorze publicznym czarni bez dyplomu ukończenia szkoły średniej i z licencjatem lub pełnym wykształceniem wyższym zarabiają nieznacznie więcej od białych z takim samym wykształceniem, ale bardzo niewielu czarnych zalicza się do tych dwóch kategorii. (Zob. David Cooper, Mary Gable, Algernon Austin, dz. cyt., tabela nr 4).

[323] Zob. przegląd uregulowań prawnych dotyczących ochrony środowiska w poszczególnych stanach w Eban Goodstein, *Jobs and Environment: The Myth of a National Trade-Off*, Economic Policy Institute, Washington 1994. Zob. też Michael Porter, C. Van der Linde, *Toward a New Conception of the Environment-Competitiveness Relationship*, „Journal of Economic Perspectives" 1995, nr 4, s. 97–118. Porter i Van der Linde argumentują, że właściwie pomyślane przepisy ochrony środowiska tak silnie pobudzają innowacyjność, że koszty związane z ich przestrzeganiem zupełnie przestają się liczyć. Dla omówienia najnowszej literatury na ten temat zob. John Irons, Isaac Shapiro, *Regulation, Employment, and the Economy Fears of the Job Loss Are Overblown*, Economic Policy Institute, Washington 2011.

[324] Stephen M. Meyer, *Environmentalism, and Economic Prosperity: An Update*, szkic naukowy, Department of Political Science, Massachusetts Institute of Technology (1993), s. 1–10. Zob. też Stephen Meyer, *Endangered Species Listings and State Economic Performance*, Project on Environmental Politics & Policy, Massachusetts Institute of Technology (marzec 1995); J. R. Bliese, *The Great 'Environment Versus Economy' Myth*, Brownstone Policy Institute, New York 1999.

[325] Eli Berman, Linda T. M. Bui, *Environmental Regulations and Labor Demand: Evidence from the South Coast Air Basin*, „Journal of Public Economics" 2011, nr 79, s. 265–295.

[326] Richard D. Morgenstern, William A. Pizer, Jhih-Shyang Shih, *Jobs Versus the Environment: An Industry-Level Perspective*, „Journal of Environmental Economics and Management" 2002, nr 43, s. 412–436.

[327] Roger H. Bezdek, Robert M. Wendling, Paula DiPerna, *Environmental Protection, the Economy, and Jobs: National and Regional Analyses*, „Journal of Environmental Management" 2008, nr 1, s. 63–79.

[328] The U.S. Bureau of Labor Statistics prosi zatrudnionych o wskazanie głównej przyczyny zwolnień obejmujących ponad pięćdziesięciu pracowników. Bureau of Labor Statistics, *Mass Layoff Statistics [2012 data]*, Washington 2012 (data dostępu: 13 marca 2014), http://www.bls.gov/mls.

[329] Paul Templet, *Integrating Resource Conservation and Economic Development, People First: Developing Sustainable Communities*, marzec 1997, s. 1.

[330] Zob. też John Irons, Isaac Shapiro, *Regulation, Employment, and the Economy: Fears of Jobs Loss Are Overblown*.

[331] Todd M. Gabe, Kathleen P. Bell, *Tradeoffs Between Local Taxes and Government Spendings as Determinants of Business Location*, „Journal of Regional Science" 2004, nr 1, s. 21–41.

[332] Lingwen Zheng, Mildred Warner, *Business Incentive Use Among U.S. Local Governments: A Story of Accountability and Policy Learning*, „Economic Development Quarterly" 2010, nr 4, s. 325–336.

[333] Gordon Russell, *Giving Away Louisiana: An Overview*, „Advocate", 26 listopada 2014, http://blogs.theadvocate.com/specialreports/2014/11/26/giving-away-louisiana.

[334] Bureau of Economic Analysis, *Personal Income and Griss Domestic Product by State [1997–2012]* (data dostępu: 13 marca 2014).

[335] Michael Comiskey, Lawrence C. Marsh, *Presidents, Parties, and the Business Cycle, 1949–2009*, „Presidential Studies Quarterly" 2012, nr 1, s. 40–59.

[336] Larry Bartels, *Unequal Democracy: The Political Economy of the New Gilded Age*, Princeton 2008.

[337] Alan S. Blinder i Mark W. Watson, *Presidents and the U.S. Economy: An Econometric Exploration*, National Bureau of Economic Research, document roboczy nr 20334 (lipiec 2014), http://www.nber.org/papers/w30324.

[338] Steve Clemons, *GOP Presidents Have Been the Worst Contributors to the Federal Debt*, „Atlantic", 27 października 2012, http://www.theatlantic.com/politics/archive/2012/10/gop-presidents-have-been-the-worst-contributors-to-the-federal-debt/264193.

Przekład: Hanna Pustuła
Redakcja: Kamil Bogusiewicz
Korekta: Grzegorz Krzymianowski
Projekt okładki: Patryk Mogilnicki
Układ typograficzny i łamanie: Katarzyna Błahuta
Redaktor prowadzący: Patryk Walaszkowski



Wydawnictwo Krytyki Politycznej
ul. Foksal 16, II p
00-372 Warszawa
redakcja@krytykapolityczna.pl
www.krytykapolityczna.pl